# CZĘŚĆ PIĄTA KATORGA

„Z Syberii katorżniczej, zakutej w kajdany, uczyńmy kraj sowiecki, socjalistyczny!"
Stalin

## I

## POTĘPIEŃCY

Rewolucja bywa niecierpliwa i wspaniałomyślna. Wiele jest spraw, od których pragnie odciąć się czym prędzej. Na przykład od pojęcia *katorgi*, czyli ciężkich robót. A jest to słowo dobrze wyważone, nie żaden tam niedopieczony DOPR, czy nieporęczny, śliski ITŁ. Wyraz „katorga" spada z podium sędziowskiego jak ostrze nie całkiem dotartej gilotyny i już na sali sądowej łamie grzbiet skazańcowi, zdolne jest przetrącić wszelką nadzieję. Słowo „katorżnik" takie jest straszne, że inni aresztanci, nie należący do tej kategorii, myślą sobie: no, to już na pewno jakiś łotr i oprawca! (Ludzie mają ten dar zbawienny i tchórzowski; zawsze potrafią wmówić sobie, że nie są jeszcze ostatnimi z ostatnich i że ich sytuacja nie jest jeszcze najgorszą z możliwych. Katorżnicy mają na odzieży numery rozpoznawcze! — no, no, to już widać najgorsi zbóje! Nas przecież nikt tak nie ponumeruje!... Poczekajcie, was też ostemplują!).

Stalin bardzo lubił stare terminy, nigdy nie zapominał, że mogą one przez całe stulecia być podporą organizmów państwowych. Nie szukając żadnych proletariackich uzasadnień, znów pozaszczepiał odrąbane kiedyś na łapu-capu słowa: „oficer", „dyrektor", „naczelny". I 26 lat po zniesieniu katorgi przez Rewolucję Lutową — Stalin znów katorgę wprowadził. Stało się to w kwietniu 1943 roku, gdy Stalin poczuł, że jego wóz przestał się staczać i znowu jedzie pod górę. Pierwszymi cywilnymi efektami wik-torii stalingradzkiej były: — Dekret o militaryzacji kolejnictwa (babom i wyrostkom groziły odtąd sądy wojenne) i — po upływie dwóch dni zaledwie (17 kwietnia) — Dekret o wprowadzeniu katorgi i kary śmierci przez powieszenie. (Szubienica — to też bardzo zacny, stary wynalazek, to nie

**7**

jakieś tam kropnięcie z pistoletu; szubienica przedłuża umieranie i daje możność pokazania każdego jego szczegółu całym tłumom). Wszystkie następne wiktorie powodowały masowy dopływ nowych uzupełnień na katorgę i na szafoty — najprzód z Kubania i znad Donu, później z Ukrainy lewobrzeżnej — z Zadnieprza, spod Kurska, Orła, Smoleńska. Trop w trop za armią sunęły trybunały; jednych wieszano na miejscu publicznie, innych zaś — z miejsca wysyłano do świeżo pozakładanych katorżniczych pod-obozów.

Pierwszy z tych obozów, jak się zdaje, otwarto w Workucie, przy kopalni Nr 17 (zaraz potem zainaugurowano następne — w Norylsku i w Dżezkaz-ganie). Celu nikt

właściwie nie ukrywał: chodziło o jak najszybsze zgładzenie przysłanych tu skazańców. Były to obozy zagłady bez żadnych osłonek, ale — zgodnie z tradycją GUŁagu — zagłada miała być powolna tak, aby skazani pomęczyli się należycie i żeby przed śmiercią jeszcze godziwie się napracowali.

Wsadzono ich do namiotów, 7 metrów na 20, wedle wymiarów przyjętych na Północy. Oszalowane dranicami, pod które sypało się warstwę opiłek, namioty te stawały się jakby lekkimi barakami. Na jeden taki namiot przypadało według normy 80 ludzi — jeśli spali na „wagonetkach"; 100 —jeśli na biegnących przez całą długość baraku narach. Katorżników zaś pakowano tu po 200.

Ale to nie było żadne zagęszczenie! — tylko racjonalne wykorzystanie przestrzeni mieszkalnej. Katorżnicy pracować mieli na 2 zmiany, po 12 godzin bez przerw i świąt — dlatego zawsze jedna setka ludzi pracowała, druga zaś — siedziała w baraku.

Przy robocie otaczał ich kordon konwojentów i psów policyjnych. Bił ich każdy, kto tylko mógł, automatami zachęcano ich do pracy. W drodze powrotnej do żony — kto tylko miał ochotę, mógł przejechać się wzdłuż ich szeregu serią z automatu — i nikt nie musiał się potem wyliczać, ilu zginęło. Kolumnę katorżników łatwo było już z daleka odróżnić od zwykłej, więźniarskiej — bo z takim trudem, z taką rezygnacją ludzie ci się wlekli.

Dwanaście godzin roboczych wyliczano im pełną miarką. (Przy ręcznym wydobywaniu łupków bitumicznych pod ciosami norylskiej, polarnej zawiei — nie pozwalano im w ciągu tej pół doby na jedne jedyne 10 minut dla pogrzania się przy ogniu). Dwunastogodzinny wypoczynek organizowano im zaś w sposób możliwie najbardziej bezmyślny. Urywano im z tych dwunastu godzin czas potrzebny na przemarsze z jednej żony do drugiej, na ustawianie w szeregu, na rewizje. W żonie mieszkalnej wprowadzano ich od razu do nigdy nie wietrzonego namiotu — czyli baraku bez okien —
i od razu brano ich tam pod klucz. Zimą oddychało się tam samym kwaśnym, wilgotnym smrodem; ktoś do tego nie przyzwyczajony nawet dwóch minut nie mógłby tu wytrzymać. Żona mieszkalna była dla katorż-ników bardziej jeszcze niedostępna niż robocza. Ani ustępu, ani stołówki, ani przychodni lekarskiej: musieli zadowalać się tylko kiblem i klapą we drzwiach, przez którą dawano im żarcie. Stalinowska katorga lat 1943-1944 była więc połączeniem tego, co najgorsze w obozie z tym, co najgorsze w więzieniu'.

Kosztem 12 godzin *wypoczynku* odbywał się także poranny i wieczorny apel katorżników — jednak nie zwykły apel jak to w obozie, gdzie rachowano tylko pogłowie zeków, lecz dokładne wywoływanie po nazwisku, przy którym każdy skazany dwa razy dziennie musiał bez zająknienia wykrzyknąć swój *numer,* uprzykrzone swoje nazwisko, imię, imię ojca, rok i miesiąc urodzenia, artykuły, na podstawie których dostał wyrok, instancję sądową i datę końca kary; pozostałych 99 z jego setki musiało z udręką wysłuchiwać tego dwa razy na dobę. W ciągu tych 12 godzin wydawano też dwa razy jedzenie: przez klapę w drzwiach każdy dostawał swoją miskę i tą samą drogą ją zwracał. Nikt z galerników nie miał prawa do

pracy w kuchni, nikt też z nich nie roznosił blaszanek z żarciem. Cała obsługa składała się z knajaków, im bezczelniej i bezlitośniej okradali oni przeklętych katorżników, tym lepiej im samym się powodziło i tym łatwiej byli widziani przez gospodarzy obozu. Także tutaj — i jak zawsze, kosztem Pięćdziesiątki Ósemki — zbiegały się interesy NKWD i knajaków.

Ale — jako że sprawozdawczość nie powinna była zachować dla historii śladu nawet faktu, iż katorżników morzono głodem — oficjalnie należały się tym więźniom jakieś tam żałosne (a tu jeszcze po trzykroć rozkradane) „dodatki górnicze" i „premie żywnościowe". Również te ochłapy — po długiej mitrędze — wydawano przez klapę w drzwiach — z wywoływaniem po nazwisku i zamianą misek na talony. A kiedy można było wreszcie zwalić się na dechy i zasnąć, znów opadała klapa i znów zaczynało się wywoływanie nazwisk — tym razem chodziło o wydawanie talonów na dzień następny (zwykły zek nie miał z talonami kłopotów, pobierał je i przekazywał do kuchni brygadzista).

W ten sposób — z 12 godzin wypoczynku w celi — zostawały człowiekowi z górą 4 godziny dla snu.

[1] Jak świadczy Czechów — carska katorga była instytucją o wiele mniej urozmaiconą. Z więzienia Aleksandrowskiego (Sachalin) katorżnicy mogli nie tylko całą dobę wychodzić na dwór i do ustępu (nie było tam nawet kiblów w celach), ale za dnia wolno im było chodzić do miasta! Tak, że prawdziwy sens słowa „katorga" — czyli galery, tzn. statki wiosłowe, na których skazańcy przykuci byli do wioseł, rozumiał tylko Stalin.

Oczywiście, katorżnicy nie dostawali żadnych pieniędzy, nie mieli prawa do paczek, do korespondencji (w ich ogłuszonych, otępiałych łbach powinno było wygasnąć każde wspomnienie dawnej wolności; cały ich świat miał zostać zredukowany do nieprzeniknionej nocy polarnej, roboty i baraku).

Wszystko to sprawiało, że nasi galernicy nader gładko się załamywali i szybko wymierali.

Pierw.s/y workucki *alfabet* (28 liter, z każdą literą związana była numeracja od jednego do tysiąca) czyli całe 28.000 pierwszych workuckich kator-żników gryzło piasek już po pierwszym roku pobytu.

Dziwne — że już nie po pierwszym miesiącu[2].

W Norylsku wjeżdżały na teren obozu pociągi towarowe z rudą dla 25. huty kobaltowej; katorżnicy rzucali się pod koła, aby prędzej skończyć te męki. Dwa tuziny więźniów z desperacji uciekły w głąb tundry. Wyśledzono ich z pomocą samolotów, wystrzelano do żywej nogi, a trupy wyłożono przy wejściu do żony mieszkalnej.

Przy workuckiej kopalni Nr 2 istniał kobiecy podobóz katorżniczy. Kobiety miały numery wybite na grzbietach kurtek i na chustkach, którymi okręcały głowy. Pracowały przy wszystkich rodzajach robót pod ziemią i nawet, nawet... przekraczały normę!...[3]

Ale słyszę już gniewne krzyki moich współobywateli, moich współczesnych: dosyć

tego! O *kim* właściwie tu gadasz, *kogo* śmiesz bronić? Tak jest! Wpakowano ich tam po to, by sczeźli prędzej — i bardzo słusznie! Przecież tu chodzi o zdrajców, policjantów, niemieckich burmistrzów! Dobrze im tak! Może ci ich żal? (W takich wypadkach, jak wiadomo, *krytyka* przestaje być sprawą literatury i staje się przedmiotem troski *organów).* A te baby to przecież *niemieckie dziwkil* — słyszę *kobiece* głosy. Może mi się tylko zdaje? — nie, to nasze kobiety tak mówią o swoich rodaczkach, nazywają je *dziwkami...).*

Najłatwiej by mi teraz było, dzisiejszym obyczajem, dać im odpowiedź, zwalając po drodze winę na kult. Mógłbym powołać się na kilka wyjątkowych przypadków niesprawiedliwości (na przykład — opowiedzieć o skazaniu na katorgę tych trzech komsomołek — ochotniczek, pilotują-

[2] Za czasów Czechowa na całym Sachalinie było — no, jak myślicie? — wszystkiego
5.905 katorżników, starczyłoby zaledwie sześciu liter alfabetu. Prawie tylu więźniów liczył
sam tylko nasz Ekibastuz, a taki Spassk był znacznie większy. Samo słowo „Sachalin"
brzmiało groźnie, ale w sumie był to jeden lada jaki podobozik. Sam Steplag składał się
z dwunastu obozów, a innych zespołów tej wielkości byto co najmniej dziesięć. Policzcie
sobie, ile to Sachalinów.

[3] Na Sachalinie kobiet w ogóle nie używano do ciężkich robót (Czechów).



cych lekkie bombowce, którym zabrakło odwagi, by zrzucić bomby na wyznaczony cel, więc zbombardowały nimi jakieś puste pole, wróciły szczęśliwie do bazy i zameldowały o wykonaniu rozkazu. Ale jedna z nich nie mogła sobie później dać rady z wyrzutami komsomolskiego sumienia, więc opowiedziała rzecz całą koleżance, sekretarce komsomołu swojej eskadry; ta poleciała, rzecz jasna, do specwydziału i cała trójka dziewcząt dostała po 20 lat katorgi). Toż mógłbym zawołać: widzicie, jacy to uczciwi sowieccy ludzie padali ofiarą stalinowskiej samowoli! Dalej — mógłbym już spokojnie pomstować nie na samowolę w ogóle, lecz jedynie na fatalne pomyłki, popełniane niegdyś wobec komsomolców i komunistów, obecnie zaś już szczęśliwie naprawione.

Sądzę wszelako, że nie godzi się poruszać tej kwestii inaczej, jak sięgając aż do dna.

Najprzód więc pomówmy o kobietach; jak wiadomo są one u nas nareszcie wyzwolone. Co prawda, nie od podwójnego ciężaru pracy — domowej i zawodowej — ale od małżeństwa cerkiewnego, od pogardy, jaką otaczała je społeczność i od wyzysku ze strony rozmaitych Kabanich*. Ale — czyśmy nie ściągnęli czasem na ich głowy gorszego przekleństwa, jeśli twierdzimy, iż swobodne dysponowanie własnym

ciałem i osobą jest postępkiem antypatriotycznym i przestępstwem? Czy literatura całego świata (przed erą stalinowską) nie opiewała triumfów miłości, przezwyciężającej podziały narodowe i zakazy, stawiane przez generałów i dyplomatów? Ale myśmy nawet tutaj zastosowali stalinowską zasadę: nie ważcie się iść do łóżka bez zezwolenia Rady Najwyższej ZSSR. Twoje ciało jest przede wszystkim dobrem państwowym.

I w ogóle — ileż to lat miały te kobiety, gdy zetknęły się po raz pierwszy z wrogiem — nie na polu bitwy, lecz w łóżku? Zapewne nie więcej niż 30, a najczęściej — nie więcej niż 25. To znaczy, że od pierwszych chwil dzieciństwa, od najmłodszych lat wychowywane były w sowieckim duchu, w sowieckich szkołach, bo już *po* Październiku! Więc taką to wzgardą darzymy własne dzieło? Część tych dziewcząt dobrze sobie zapamiętała, jak to przez 15 lat powtarzaliśmy gromko, że nie ma żadnych ojczyzn, że ojczyzna to pojęcie reakcyjne, zwykły wymysł. Innym znów uprzykrzyła się purytańska czczość naszych zebrań, wieców, manifestacji, naszych filmów bez pocałunków i naszych tańców bez objęć. Innym zaś imponowała grzeczność, szarmanckie maniery, te wszystkie zewnętrzne atrybuty męskiego szyku i sztuki zalotów, której nikt nie uczył młodych budowniczych na-

* Postać ze sztuki A. Ostrowskiego *Burza*.

11

szych pięciolatek ani elewów akademii wojskowych. Jeszcze inne były po prostu głodne, tak jest, najzwyczajniej głodne, nie miały co do gęby włożyć. Inne wreszcie nie znalazły innego sposobu, aby ocalić życie własne lub swoich bliskich, aby nie rozstać się z nimi.

W miasteczku Starodub, w pobliżu Briariska, dokąd wkroczyliśmy tuż za cofającymi się oddziałami przeciwnika, stała — jak mi opowiadano — dłuższy czas węgierska załoga dla ochrony miasta przed partyzantami. Po jakimś czasie przyszedł rozkaz dyslokacji garnizonu i dziesiątki miejscowych kobiet, za nic mając sobie wstyd, przyszły na dworzec, żegnając się z okupantami. Więcej łez wylały (jak dodał ironicznie pewien szewc) niż wtedy, „kiedy własnych mężów odprowadzały na wojnę".

Sąd wojskowy zjechał do Starodubu już po kilku dniach. Z pewnością nie wyrzucił donosów do kosza. I na pewno niejedną ze starodubskich płaczek posłał do workuckiej kopalni Nr 2.

Ale kto tu winien? Kto? Czy te kobiety? Czy może my wszyscy — ich rodacy, ich rówieśnicy? Kim byliśmy, że nasze kobiety tak łatwo zapominały o nas i przylgnęły do okupantów? Czy to nie jedna z tych niezliczonych grzywn, które płacimy, wciąż płacimy i długo jeszcze płacić będziemy za wybór drogi, którą tak pośpiesznie sobie wytknęliśmy, którą tak bezładnie biegniemy, nie troszcząc się o straty i nie patrząc wcale przed siebie?

Nie wykluczam, że wszystkie te kobiety i dziewczęta należało napięt

nować moralnie (ale też należało najprzód wysłuchać ich racji), może warto było je Wyśmiać, wyszydzić — ale posyłać za to na katorgę?!, do polarnych mordowni?! v.

— Ależ to Stalin je posłał! Beria!

O nie, przepraszam bardzo! Ci, którzy je tam posłali i trzymali pod kluczem i dobijali — zasiadają teraz w kółkach rencistów i to oni wydają nam świadectwa moralności. A my sami? Słyszymy, że chodzi o „niemieckie kurwy" — i kiwamy głowami ze zrozumieniem. To, że dziś jeszcze te kobiety uważane są za zbrodniarki — jest zjawiskiem bardziej dla nas złowróżbnym, niż sam fakt ich ówczesnej *odsiadki* na katordze.

— Zgoda, ale przynajmniej mężczyźni skazani zostali słusznie?! Przecież to zdrajcy ojczyzny i własnego społeczeństwa!

Tu również mógłbym wykręcić się sianem. Mógłbym napomknąć (i byłaby to święta prawda), że ważniejsi przestępcy nie siedzieli, rzecz jasna, na tyłku, czekając spokojnie, aż przyjadą nasze trybunały z szubienicami. Wyrywali na Zachód, jak kto potrafił — i wielu zdołało uciec. Nasze zaś organy ścigania wykonywały ułożony z góry plan kosztem drobnicy (tu sąsiedzkie donosy okazały się nader pomocne): u tego tam Niemcy stali na

**12**

kwaterze — za co go tak polubili?, a ten znów siano woził Niemcom swoimi saniami — toć to oczywista kolaboracja z wrogiem[4].

Można byłoby więc w ten sposób zbagatelizować jakąś całą sprawę — znów zwalić wszystko na *kult:* zdarzały się wypaczenia, teraz już je naprawiono. Normalka.

Ale skorośmy już zaczęli, to idźmy dalej.

A nauczyciele? Ci nauczyciele, których nasza armia w czasie panicznego odwrotu zostawiła na pastwę losu, razem z ich szkołami i uczniami, jednych na rok, innych na dwa, trzy lata. Zgoda, intendenci byli głupi, generałowie poniżej poziomu, ale co miał robić taki nauczyciel — uczyć swoje dzieci czy nie? A co robić miały dzieci — nie piętnastolatki, ci co mogli już iść do pracy albo do partyzantów — tylko małe dzieciaki? Miały uczyć się, czy żyć po baraniemu przez parę lat dła odkupienia grzechów i omyłek wodza naczelnego? Nie dał tatko czapki, to niech ci uszy zmarzną, co?...

Nie wiedzieć czemu — nikt nie miał takich problemów ani w Danii, ani w Norwegii, ani w Belgii, ani we Francji. Nikt tam nie uważał, że naród — z taką łatwością oddany na łaskę i niełaskę Niemców przez własną bezmyślną władzę (albo z winy okoliczności, którym nie sposób było stawić czoła) — powinien był w ogóle wyrzec się swoich życiowych funkcji. Działały tam i szkoły, i koleje, i organy samorządu lokalnego.

Ale był kraj (oczywiście, mogło to się zdarzyć tylko u nas!), gdzie pojęcia w głowach ludzkich odwrócone zostały o 180 stopni. Dlatego to u nas nauczyciele dostawali od partyzantów karteluszki takiej treści: „Ani się ważcie uczyć dzieci! Zapłacicie za to drogo!". W kolejnictwie pracować też było niesporo: toć to

kolaboracja. A już praca w organach administracji lokalnej była uważana za zdradę niesłychaną, monstrualną.

Wszyscy wiedzą, że dziecko raz odzwyczajone od nauki może już nigdy do niej nie wrócić. Skoro więc Największy Strateg Wszystkich Czasów i Ludów dał się wystrychnąć na dudka, to czy trawa ma dalej rosnąć, czy raczej niech sobie schnie? A dzieci niech się dalej uczą czy może nie?

Nie ma kwestii, trzeba za to jakąś cenę zapłacić. Trzeba wynieść ze szkoły portrety pana z wąsami i — być może — powiesić wizerunki faceta z wąsikiem. Choinkę trzeba będzie ubierać nie na Nowy Rok, tylko na Boże Narodzenie i pan dyrektor będzie musiał tego dnia (i jeszcze z okazji jakiejś niemieckiej rocznicy, a nie — jak dotąd — październikowej) palnąć mówkę ku chwale nowego, wspaniałego życia, które w istocie bardzo jest nędzne. Ale przecież dawniej też wygłaszało się mowy ku większej chwale wspaniałego nowego życia, które też było nędzne.

Trzeba tu dodać gwoli sprawiedliwości, że poczynając od 1946 roku takim więźniom czasami zamieniano ze skrzypem karę 20 lat ciężkich robót na 10 lat zwykłego obozu.

13

Właściwie to *przedtem* trzeba było gwałcić własne sumienie i łgać przed dziećmi znacznie chyba częściej — ponieważ łgarstwo dość miało czasu, aby uleżeć się i przesycić wszystkie programy szkolne, dzięki mrówczej pracy speców od metodyki oraz inspektorów szkolnych. W trakcie każdej lekcji, bez względu na sens i potrzebę, niezależnie od tego, czy mowa była
0 budowie bezkręgowców, czy o zdaniach złożonych, należało koniecznie kopnąć Pana Boga (nawet, jeśli było się samemu człowiekiem wierzącym); nie wolno było pominąć żadnej okazji do wygłoszenia peanu na cześć naszej nieograniczonej wolności (nawet, jeśli człowiek nie spał poprzedniej nocy w oczekiwaniu na wiadome pukanie do drzwi); czytając na głos Tur gieniewa albo pokazując linijką bieg Dniepru, trzeba było koniecznie skląć od ostatnich dawną naszą nędzę i wynieść pod niebiosa teraźniejszy nasz dostatek (nawet jeśli i ty, człowieku, i twoi uczniowie pamiętaliście, jak to przed drugą wojną światową wymierały u nas z głodu całe wsie, a na kartki wydawano miejskim dzieciom po 300 gramów chleba dziennie).

I wszystko to nie było uważane za zbrodnię i grzech ani przeciw prawdzie, ani przeciw duszy dziecka, ani przeciw Duchowi Świętemu.

Teraz zaś, pod tymczasową i nieokrzepłą jeszcze władzą okupantów, łgać trzeba było stosunkowo mniej — tyle, że w odwrotnym kierunku, w odwrotnym kierunku! — w tym sęk! I właśnie dlatego zew ojczyzny — oraz ołówek podziemnego rajkomu partii zabraniały nauczania języka ojczystego, geografii, arytmetyki i przyrody. Za to należało się przecież 20 lat katorgi!

Kiwajcie, kiwajcie głowami, rodacy! Oto prowadzą ich pod strażą psów gończych do baraku z kiblem. Rzuć no w nich który kamieniem! Toć uczyli nasze dzieci.

Ale nie, nasi rodacy (zwłaszcza owi renciści z uprzywilejowanych resortów; czoła

tycie, a emeryturka leci od 45. roczku życia) wymachują mi już przed nosem zaciśniętymi pięściami: *kogóż* to właściwie biorę tu w obronę?, niemieckich burmistrzów?, wójtów?, policjantów?, tłumaczy?, tych łajdaków, te szumowiny?

No cóż, sięgnijmy więc głębiej. Wyrąbaliśmy całe lasy, traktując ludzi jak drzazgi, co lecą. Tak czy owak, sam bieg czasu zmusi nas kiedyś, abyśmy pomyśleli o przyczynach tego procesu.

Zagrzmiały trąby, rozległa się pieśń „Niech gniew szaleje święty nasz..."*

1 cóż dziwnego, niejednemu od tych słów włos się zjeżył? Nasz wrodzony, a tak długo zakazywany, wyśmiewany, rozstrzeliwany i wyklinany patrio tyzm nagle okazał się dozwolony, popierany, a nawet uznany za *święty.*

* Pieśń skomponowana podczas wojny i stale nadawana przez sowieckie radio.

**14**

Jakże mogliśmy my, Rosjanie, nie podnieść się na duchu w takiej chwili, nie zjednoczyć w porywie wdzięczności naszych tętniących serc i z całą naszą rozrzutną wspaniałomyślnością (dobra, niech tam!) — nie wybaczyć wszystkiego naszym domorosłym oprawcom w godzinie najazdu oprawców obcego chowu? Aby później — tłumiąc mętne wątpliwości, tlące się w głębi naszych dusz, tak skłonnych do niewczesnej szczodrobliwości —z tym większą zaciekłością i jednomyślnością wyklinać *zdrajców* — tych nędznych gadów, o tyle gorszych od nas, bo nie umiejących zapomnieć wyrządzonego niegdyś nam wszystkim zła?

Jedenaście stuleci liczy sobie Ruś, wielu miała wrogów i wiele wojen prowadziła, a iluż to zdrajców znają jej dzieje? Czy były tych zdrajców całe ***tłumy!*** Pono niewielu ich było. Jak się zdaje, nawet nieprzyjaciele nie twierdzili nigdy, że charakter rosyjski cechuje skłonność do zdrady, do zaprzaństwa, do niewierności. A wszystko to kształtowało się w ustroju wrogim ludziom pracy.

Ale oto nadeszła najsprawiedliwsza ze wszystkich wojen — i to w chwili, gdy kraj korzystał z dobrodziejstw najsprawiedliwszego w świecie ustroju —i nagle okazało się, że wśród naszego ludu są dziesiątki i setki tysięcy *zdrajców.*

Skąd się wzięli? I dlaczego?

Może to znów zapłonęły niewygasłe zgliszcza minionej wojny domowej? Niedorżnięci *biaW.* Nie! Wspominaliśmy wyżej, że wielu białych emigrantów (wśród nich — nawet po trzykroć przeklęty Denikin) stanęło po stronie Rosji Sowieckiej, opowiadając się przeciw Hitlerowi. Mogli wybierać wedle uznania — i właśnie taki uczynili wybór[5].

Te- zaś dziesiątki i setki tysięcy policjantów i uczestników ekspedycji karnych, wójtów i tłumaczy — wszystko to byli sowieccy eks-obywatele. I młodzieży, wychowanej już po Październiku, też było wśród nich niemało.

Co ich do tego skłoniło?... Kim byli ci ludzie?

A byli to przede wszystkim ci, po których skórze (albo po kościach ich bliskich)

przejechały się gąsienice lat Dwudziestych i Trzydziestych. Ci, którzy potracili swoich rodziców, krewniaków, ukochanych, w mętnych nurtach -naszej kanalizacji. Ci, co sami tonęli w nich, aby wynurzyć się w obozach czy na zesłaniu, tylko po to, by znów pójść na dno i znów się wynurzyć. Ci, których nogi dość się nastały i namarzły w ogonkach przed okienkami, gdzie przyjmowano paczki dla więźniów. I ci, którym w trakcie

! Nie zaznali wśród nas goryczy lat Trzydziestych — i w oddali, w głębi Europy, łatwo im było wpaść w zachwyt nad „wielkim, bohaterskim wysiłkiem ludu rosyjskiego", zapominając o trwającym od lat wewnętrznym ludobójstwie.

15

**J**

tych dziesięcioleci przecięto, uniemożliwiono dostęp do tego, co uważali za najcenniejsze na tej ziemi — do samej ziemi mianowicie, do tej ziemi, którą im obiecywał wielki Dekret, do ziemi, za którą sporo krwi musieli zresztą przelać podczas wojny domowej. (Letniskowe majoraty dowódców Armii Sowieckiej i oparkanione, podmoskiewskie dwory dygnitarzy, to całkiem co innego: to — dla naszych, to wolno, a jakże). A jeszcze ci, których brano pod klucz za „łuskanie kłosów". Albo tacy, których pozbawiono prawa mieszkania tam, gdzie mieli chęć. Bądź prawa do uprawiania swojego starego i ulubionego rzemiosła (myśmy wszystkie rękodzieła zwalczali bardzo fanatycznie, ale o tym już się zapomniało).

0 wszystkich takich ludziach mówi się u nas (lubią tak mówić zwłaszcza agitatorzy, a już szczególnie ci, co to zawsze na posterunku) z pogardliwym grymasem: „obrażeni na władzę sowiecką", „byłe ofiary represji", „byli synalkowie kułaccy", „ci, co zioną skrytą nienawiścią do naszej władzy".

Jedni tak mówią głośno, a inni kiwają głową. Jakby im ktoś nareszcie rzecz wyjaśnił. Jakby ludowa władza miała prawo krzywdzić własnych obywateli. Jakby to właśnie był grzech pierworodny, główna plaga: obrażeni... skryta nienawiść...

1 jakoś nikt nie zawoła: ależ zastanówcie się, do diabła! czy — waszym zdaniem — byt określa świadomość czy nie? Czy tylko wtedy ją określa, kiedy to warn jest na rękę?, a kiedy nie na rękę, to jej nie określa?

A jeszcze potrafią u nas niektórzy mówić z l e k k ą chmurką na czole: „owszem, popełniono u nas pewne błędy". I zawsze ta niewinna, wszetecz-na, bezosobowa forma — p o p e ł n i o n o. Nikt nie ośmieli się powiedzieć, że to partia je popełniła! A któż jeszcze — oprócz tych, co mają władzę — mógł je „popełnić"? Zwalać wszystko tylko na Stalina? — toć trzeba mieć odrobinę poczucia humoru! Powiedzmy, błędy popełnił Stalin — a gdzieście wy wtedy byli, wy miliony naczelników?

Zresztą, owe błędy i wypaczenia też jakoś na naszych oczach bardzo prędko rozpełzły się, rozlały w mętną bezkształtną plamę i nie są już uważane za owoc tępoty, fanatyzmu, podłości; sprowadzają się do tego jedynie, że komuniści pakowali za kraty innych komunistów. A to, że 15 do 17 milionów chłopów zrujnowano, posłano na pewną śmierć, rozpędzono na wszystkie strony, odbierając dzieciom prawo do wspomnień o własnych rodzicach, do wymieniania ich nazwisk — to przecież tylko omyłka, nic więcej. A wszystkie fale naszej kanalizacji, rozpatrzone na początku tej księgi — to też tylko nieduży błąd. A to, że byliśmy do wojny z Hitlerem zupełnie nie przygotowani, żeśmy się tylko puszyli kłamliwie, że cofaliśmy się w sromotny sposób, z dnia na dzień wywracając na nice propagandowe hasła, i że tylko wierny Iwan i Święta Ruś zatrzymały niemiecki pochód na

16

linii Wołgi — to już dziś nawet za błąd nie uchodzi, ale staje się omalże główną zasługą Stalina.

W ciągu dwóch pierwszych miesięcy oddaliśmy wrogowi nieomal trzecią część ludności kraju, w tej liczbie wszystkie, niedorżnięte jeszcze rodziny pokrzywdzonych

i wielotysięczne obozy, rozbiegające się, gdy tylko eskorta dała nogę, i wszystkie więzienia Ukrainy i krajów nadbałtyckich, gdzie jeszcze nie rozwiał się dym salw, którymi wystrzelano przed ucieczką tych z 58 artykułem na karku.

Dopóty, dopóki czuliśmy się mocni — wszystkich łych nieszczęśników gnębiliśmy, szczuliśmy, nie dawaliśmy pracy, wyganialiśmy z mieszkań, każąc im po prostu zdychać. Gdy tylko wyszła na jaw nasza słabość, zaraz zażądaliśmy od nich, aby puścili w niepamięć całe wyrządzone im zło, aby zapomnieli o rodzinach i dzieciach, zmarłych z głodu w tundrze, aby zapomnieli o rozstrzelanych, o ruinie i niewdzięczności, której doświadczyli, o donosach i torturach w NKWD, o głodowych racjach w obozach — i żeby natychmiast wzięli się do partyzantki, do konspiracji, broniąc Ojczyzny własną piersią. (Ale to nie od siebie samych żądaliśmy duchowej przemiany! I nikt im nie gwarantował, że po powrocie będziemy inni, że nie będziemy już ich szczuć, popędzać batem, sadzać za kraty i rozstrzeliwać!).

W tej sytuacji — co większe powinno budzić zdziwienie: czy to, że tak wielu ludzi uradował niemiecki najazd, czy też, że było ich nie tak już wielu? (A nawet Niemcy musieli czasem wymierzać sprawiedliwość, na przykład sądzić byłych donosicieli — za to właśnie został rozstrzelany diakon Nabiereżno-Nikolskiej cerkwi w Kijowie, zresztą podobnych wypadków było więcej).

No, a ludzie wierzący? Dwadzieścia lat z rzędu tępiono wiarę i zamykano cerkwie. Przyszli Niemcy i pozwolili na ich otwarcie. (Niesporo było naszym znów je zamykać zaraz po odejściu Niemców). W takim Rostowie nad Donem uroczyste otwarcie cerkwi wzbudziło powszechną radość, ludzi zbiegło się co niemiara. A powinni byli przeklinać za to Niemców, prawda?

W tym samym Rostowie, w pierwszych dniach wojny aresztowano inżyniera Aleksandra Piotrowicza M. W. Zmarł w celi podczas śledztwa. Jego żona przez parę miesięcy dygotała, obawiając się, że ją też aresztują — i po raz pierwszy zasnęła spokojnie dopiero po przyjściu Niemców: „Teraz przynajmniej trochę pośpię!". Otóż nie, powinna była właściwie modlić się o rychły powrót swoich katów.

W maju 1943 roku, gdy Niemcy stali w Winnicy, w ogrodzie przy ulicy Podleśnej (który w pierwszych miesiącach roku 1939 został z rozkazu rady miejskiej ogrodzony wysokim parkanem jako „obiekt specjalny Ludowego Komisariatu Obrony") przypadkiem natknięto się przy wykopkach na zu-



pełnie już zaklęśnięte, zarosłe bujną trawą groby zbiorowe — i wykryto ich 39, każdy głębokości 3,5 metra, o powierzchni 3 na 4 metry. Na wierzchu każdej z tych mogił leżała warstwa okryć pochowanych, dopiero pod nią — trupy leżące byle jak. Wszyscy mieli ręce związane z tyłu powrozem, wszyscy zabici zostali strzałem w potylicę z pistoletów małego kalibru. Zabijano zapewne w więzieniu, a zwożono tu nocami dla pochówku. Jako że przy niektórych znaleziono papiery, okazało się, że byli to ci, co w 1938 roku skazani zostali na „20 lat bez prawa korespondencji". Mam tu fotografię jednej ze scen, jakie się przy tych mogiłach rozgrywały, gdy mieszkańcy Winnicy przyszli, aby rozpoznać swoich zaginionych bliskich. To nie

wszystko. W czerwcu zaczęto kopać opodal starego cmentarza prawosławnego, obok szpitala imienia Pirogowa, i znaleziono jeszcze 42 groby zbiorowe. Następnie przekopano Park Kultury i Wypoczynku im. Gorkiego i pod pawilonami rozrywkowymi pod „beczką śmiechu", pod estradami do występów i tańców — znaleziono jeszcze 14 wspólnych dołów, pełnych zwłok. Ogółem — w 95 grobach znaleziono 9.439 zastrzelonych. A w innych miastach? Ile jeszcze takich dołów znaleźć można? I cóż, ludność tych miast, napatrzywszy się na te trupy, miała rwać się do partyzantki?

Może uznamy nareszcie za sprawiedliwe i słuszne, że jeśli *my* czujemy ból, gdy ktoś tłamsi i nas, i to co kochamy, to taki sam ból czują ci, *kogo my* tłamsimy? Może uznamy wreszcie za słuszne, że ci, których tępimy i niszczymy, mają prawo nas nienawidzić? A może nie mają tego prawa? Może powinni ginąć z wyrazami wdzięczności na ustach?

Zakładamy, że wszyscy ci policjanci i burmistrze ziali jakąś odwieczną, może nawet — wrodzoną nienawiścią do nas, a przecież tę złość i nienawiść wszczepiliśmy w nich my sami, to przecież są nasze „odpadki przemysłowe". Jak to mawiał Krylenko? „Z naszego punktu widzenia każde przestępstwo jest owocem danego ustroju społecznego"[6]. A więc — waszego ustroju, towarzysze! Toć trzeba być wiernym stworzonym przez siebie zasadom!

Nie zapominajmy też, że wśród tych naszych rodaków, którzy zbrojnie nas zwalczali i gardłowali przeciw nam, byli również ludzie zupełnie bezinteresowni, którym nikt nie konfiskował mienia (najczęściej nie mieli go wcale), którzy ani sami nie siedzieli w obozach, ani nie stracili w nich nikogo z bliskich, którzy jednak dusili się w stworzonej przez nas atmosferze, których dławiło panujące u nas lekceważenie dla losów jednostki, dławił system prześladowania za poglądy, dławiła urągliwa piosenka:

*.... gdzie powietrzem wolności oddychasz'*.,*

[6] Krylenko, *Tych pięć lat,* str. 337.

* „Sziroka strana maja rodnaja..." słowa W. Lebiediewa-Kumacza.

18

kością w gardle stały te czołobitne modły do Wodza, to ciągłe podsuwanie ołówka żeby podpisać się czym prędzej na pożyczkę! i te burzliwe oklaski, dochodzące do owacji! Czy możemy więc założyć, że tym ludziom, całkiem normalnym ludziom, nasze cuchnące powietrze zapierało dech? (Ojciec Fiodor Floria doczekał się podczas śledztwa takiego zarzutu — że niby jak mógł sobie pozwolić na relacje o potwornościach ery stalinowskiej podczas rumuńskiej okupacji? Floria odparł: „A cóż innego miałem o was do powiedzenia? Com widział — tom opowiedział. Tylko o tym mówiłem, co się naprawdę zdarzyło"). A wedle naszych praw — trzeba było łgać, szargać własne sumienie, zginąć nawet — a wszystko dla naszej wygody. (A to już chyba niewiele ma wspólnego z materializmem, prawda?).

Tak się zdarzyło, że we wrześniu 1941 roku, tuż przed moim pójściem do wojska,

mieszkaliśmy z żoną — a oboje byliśmy początkującymi nauczycielami — w osadzie Morozowsk, która za rok miała znaleźć się w niemieckim ręku. Sąsiadowaliśmy z pewnym bezdzietnym małżeństwem, zwali się Broniewiccy. Inżynier Mikołaj Gerasimowicz Broniewicki miał lat 60 i był inteligentem o rysach Czechowa, człowiekiem nader miłym, spokojnym i rozumnym. Gdy przywołuję teraz w wyobraźni jego pociągłą twarz, wciąż mi się zdaje, że zdobią je czechowowskie binokle, chociaż może wcale binokli nie nosił. Jego żona była jeszcze cichsza i łagodniejsza — wyblakła, o lnianych, gładko przyczesanych włosach, młodsza od męża o 25 lat, ale bez młodzieńczej świeżości w ruchach. Miła nam była ta para, my też chyba zyskaliśmy ich sympatię, zwłaszcza w porównaniu z gospodarzami naszego domu, ludźmi pełnymi chciwości.

Wieczorami siadywaliśmy we czwórkę na stopniach ganku. Wieczory były ciepłe, ciche, jasne od księżycowego blasku, jeszcze nie szarpane rykiem samolotów i detonacjami bomb, ale już groza niemieckiego natarcia napierała na nas, jak niewidoczne, lecz ciężkie chmury, sunące po mlecznym nieboskłonie ku bezbronnemu, maleńkiemu miesiączkowi. Co dzień na przystanku zatrzymywały się nowe pociągi, jadące do Stalingradu. Uciekinierzy wytrząsali na rynek osady całe wory pogłosek, przeraźliwych wieści, szastali jakimiś niebywałymi setkami rubli i wyjeżdżali jeszcze dalej. Wymieniali nazwy miast, już oddanych nieprzyjacielowi, o których długo jeszcze głucho było w komunikatach Informbiura, nie ośmielającego się mówić ludziom prawdy. (O takich miastach Broniewicki mówił nie „oddane", tylko „zdobyte").

Siedzieliśmy więc na ganku i toczyliśmy rozmowy. My, dwoje młodych, pełni byliśmy życia i troski o nie, ale o samym owym życiu właściwie nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia niż to, co czytaliśmy w gazetach. Dlatego też rozmawiało nam się z Broniewickimi bez wysiłku: mówiliśmy to,

19

co przychodziło nam na myśl i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z różnicy naszych pojęć.

Oni zaś patrzyli na nas zapewne ze zdumieniem, jak na dwa okazowe przykłady cielęcej naiwności. Dopiero co minęły dla nas Lata Trzydzieste, a wyglądało na to, że nie było nas wcale w tym okresie w kraju. Nasi rozmówcy pytali nas, co zapadło nam w pamięć z wydarzeń 37.?, 38.? A cóż by, jeśli nie biblioteka uniwersytecka, egzaminy, wesołe parady sportowe, potańcówki, występy amatorskie, no i oczywiście miłość, bo też była to dla nas pora miłości. A czy nikt z waszych profesorów nie poszedł siedzieć w tych latach? A owszem, dwóch, zdaje się, zabrano. Zastąpili ich docenci. No, a ze studentów, nikogo nie zabrano? Przypomnieliśmy sobie, że ostatnio kilku starszych kolegów poszło siedzieć. No, a co wy na to?... — A nic, dalej chodziliśmy na tańce. — A z waszych bliskich nikogo nie ruszono? — Jakoś nie...

To straszne, ale chcę teraz koniecznie jak najdokładniej zdać sprawę z ówczesnego mego stanu ducha. Tak to właśnie było, nie inaczej. I tym to

straszniejsze, że nie należałem wcale do młodzieńców zajętych wyłącznie sportem i potańcówkami, ani do maniaków, nie widzących świata poza studiami i formułkami naukowymi. Interesowałem się polityką bardzo intensywnie od dziesiątego chyba roku życia; już w szczenięcych latach nie wierzyłem w to, o czym mówił Wyszyriski, i potrafiłem należycie docenić reżyserowany charakter sławetnych procesów sądowych, ale nic jakoś nie kazało mi drążyć głębiej i s z u k a ć w i ę z i między tymi drobniutkimi moskiewskimi procesami (zdawało się wtedy, że to wydarzenia ogromne) a przetaczaniem się po całym kraju olbrzymiego walca drogowego (masa pomiażdżonych jego ofiar jakoś nie wpadała w oko). Całe dzieciństwo spędziłem w ogonkach — po chleb, po mleko, po kaszę (mięsa wtedyśmy w ogóle nie widywali), ale jakoś niezdolny byłem do skojarzeń, nie rozumiałem, że brak chleba jest dowodem ruiny wsi, nie pojmowałem p r z y c z y n tego zjawiska. Dla nas istniała przecież inna formuła: „chwilowe trudności". W naszym dużym mieście każdej nocy porywano ludzi i wożono do więzień, ale myśmy przecież nocami po ulicach nie chodzili. We dnie zaś krewni aresztowanych nie wywieszali czarnych chorągwi, woleli nic nie mówić o aresztowanych ojcach.

A sądząc z gazet, wszystko wyglądało tak pogodnie i rześko.

O, młodzi ludzie tak bardzo chcą wierzyć, że wszystko zmierza ku lepszemu!

Rozumiem teraz, jak niebezpieczne były dla Broniewickich szczere z nami rozmowy. Niemniej, ten stary inżynier, który znalazł się w polu ob-

**20**

strzału podczas jednej z najsroższych kampanii GPU, coś niecoś nam przecież powiedział. Stracił zdrowie za kratami, przeżył kilka aresztowań i przeszedł przez niejeden obóz, ale z prawdziwą pasją mówił tylko o Dżezkaz-eanie, o początkach tego obozu, o wodzie zatrutej związkami miedzi, o trującym powietrzu, o mordowaniu ludzi, o bezowocnych skargach posyłanych do Moskwy! Już sam ten wyraz Dżez-kaz-gan był jak tarka drąca skórę; takie też były jego okrutne opowieści. (No i co? Czy cały ten Dżez-kaz-gan zmienił choć trochę nasz światopogląd? Ani trochę, rzecz jasna. Przecież to było daleko. To nie nas dotyczyło. I komu to opowiedzieć? Lepiej o tym nie myśleć. Najlepiej — zapomnieć o tym).

Właśnie tam, do Dżezkazganu, gdy tylko Broniewickiemu pozwolono chodzić bez konwoju, przyjechała jego obecna żona; była jeszcze wtedy dziewczyną. Tam też wzięli ślub, w cieniu drutów kolczastych. A w chwili wybuchu wojny — cudem znaleźli się na wolności, w Morozowsku; rzecz jasna, z paszportami opatrzonymi w znaki szczególne i paragrafy. Bronie-wicki pracował w jakimś mizernym przedsiębiorstwie budowlanym, Bro-niewicka była księgową.

Wkrótce znalazłem się w szeregach. Żona moja wyjechała z Morozows-ka. Osada znalazła się pod okupacją. W końcu została odbita. I oto któregoś dnia dostałem na froncie list od żony: „Wyobraź sobie, podobno Broniewicki był w okupowanym Morozowsku burmistrzem! Co za ohyda!". Ja również zdumiałem się i pomyślałem: „Co za podłość!".

Ale minęło jeszcze parę lat. Na ciemnej więziennej pryczy, grzebiąc w zakamarkach pamięci, przypomniałem sobie Broniewickiego. I już nie znalazłem w sobie tej szczenięcej łatwości, z jaką niegdyś potrafiłem go potępić. Pozbawiono go bezprawnie pracy, później zaprzęgnięto do robót poniżających i bezmyślnych, wsadzano za kraty, torturowano, bito, morzono głodem, pluto w twarz — więc co miał robić? Miał wierzyć, że to wszystko jest ceną postępu i że ani jego własne życie — cielesne i duchowe — ani życie jego bliskich, ani życie całego, trzymanego za gardło narodu, nie ma żadnego znaczenia?

Puszczono nam w oczy dymną zasłonę „kultu jednostki"; nakładały się jedna na drugą warstwice czasu, który nas przemienił przenikając przez te warstwy, i wszystko to sprawiło, że widzimy dziś i samych siebie, i całe lata 30., nie tak i nie takimi, jakimi naprawdę były. Kult Stalina i ślepa ufność — bez granic, bez wątpliwości — wcale nie były charakterystyczne dla całego społeczeństwa, a co najwyżej - dla partii, komsomołu, dla uczniów szkół miejskich, dla neointeligencji (zajmującej miejsca zlikwidowanych i rozstrzelanych), a *częściowo* również dla nowego mieszczaństwa (czyli

21

klasy robotniczej)[7]. To byli ci, u których nie milkły w domach głośniki radiowe — od porannych kurantów z Wieży Spaskiej Kremla aż do „Międzynarodówki" o północy — ci, dla których głos speakera Lewitana stał się głosem sumienia. („Częściowo", bo przecież rządowe dekrety, dotyczące kar dyscyplinarnych w przemyśle, sławetne „dwadzieścia minut spóźnienia", a nadto przypisywanie siły roboczej do fabryk na stałe — wszystko to też nie przysparzało reżymowi zwolenników). Jednakże istniała mniejszość także wśród ludności miast — i to wcale nie tak mała, w każdym razie było kilka milionów ludzi, którzy ze wstrętem wyszarpywali z gniazdka wtyczkę głośnika publicznego, gdy tylko mogli; którzy na każdej kolumnie każdej z gazet widzieli tylko rozpanoszone łgarstwo; i dzień wyborów był dla tych milionów dniem cierpień i poniżenia. Dla mniejszości tej istniejąca dyktatura nie była dyktaturą proletariatu ani dyktaturą ludu, ani też (jeśli ktoś pamiętał, jaki sens miał niegdyś ten termin) dyktaturą rad robotniczych i chłopskich, lecz jedynie dyktaturą, sprawowaną przez inną mniejszość, wcale nie będącą elitą duchową narodu.

Ludzie nie są prawie zdolni do poznania beznamiętnego, wypranego z elementów emocji. Jeśli jakąś rzecz człowiek uznał za złą, to nader trudno mu już zmusić się do zobaczenia w niej także jakichś dobrych stron. Nie wszystko przecież było w naszym życiu godne pogardy i nie każde słowo w gazecie było kłamstwem — ale dla tej zaszczutej, zgiętej w barani róg i osaczonej przez szpiclów mniejszości całe życie naszego kraju było wstrętne i wszystkie stronice wszystkich gazet — pełne kłamstw. Uprzytomnijmy sobie, że Zachód nie nadawał jeszcze wtedy transmisji radiowych po rosyjsku (zresztą bardzo niewiele było w kraju odbiorników), a więc j e d y n y m źródłem informacji były dla ludności nasze

gazety i nasze radio, a właśnie to źródło Broniewiccy i im podobni znali z doświadczenia jako pełne po brzegi natrętnych, lepkich łgarstw albo tchórzliwych przemilczeń. I wszystko, co pisano u nas o zagranicy — o beznadziejnej klęsce zachodniej gospodarki w 1930 roku i o zdradzieckiej postawie zachodnich socjalistów, i o jednomyślnym porywie całej Hiszpanii przeciw generałowi Franco (zaś w 1942 roku — o zdradzieckich machinacjach Jawaharlala Nehru, mających na celu uzyskanie przez Indie niepodległości, co wszak osłabiało sojusznika, imperium brytyjskie) — też okazało się kłamstwem. Ziejąca nienawiścią, zapamiętała agitacja na zasadzie „kto nie z nami, ten przeciw

[7] Właśnie w latach 30. klasa robotnicza zaczęła stawać się kośćcem naszego mieszczaństwa, cała w końcu wtapiając się w nie.



nam" nie czyniła żadnych rozróżnień między Marią Spiridonową* a Mikołajem II, Leonem Blumem a Hitlerem, angielską Izbą Gmin a niemieckim Reichstagiem. Czemuż więc fantastyczne z pozoru opowieści o paleniu książek na niemieckich placach i o wskrzeszeniu legendarnego teutoriskiego okrucieństwa (a nie zapominajmy, że na temat owego teutoriskiego okrucieństwa nieźle sobie nałgała również carska propaganda podczas pierwszej wojny światowej) Broniewicki miał brać za świętą prawdę, a hitleryzm (wyklinany przy użyciu niemal tych samych — to znaczy krańcowo ostrych — terminów, które przedtem stosowano wobec Piłsudskiego, Poincare i angielskich konserwatystów) uznać za bestialstwo, równe temu, które już od ćwierćwiecza namacalnie i całkiem konkretnie dławiło, zatruwało i szarpało na strzępy zarówno jego samego i cały Archipelag, jak wszystkie rosyjskie miasta i sioła? A nadto — cały ten gazeciarski miszmasz na temat hitlerowców! Raz — relacje o przyjacielskich spotkaniach naszych poczciwych żołnierzyków, którzy strzegą wspólnej granicy, przecinającej tę wstrętną Polskę, i fala przelewającej się przez łamy gazet sympatii do tych dzielnych niemieckich wojaków walczących z anglo-francuskimi bankierami, i dosłowne przedruki przemówień Hitlera na bitą kolumnę „Prawdy"; to znowu (i to z dnia na dzień — mianowicie poczynając od drugiego dnia wojny) eksplozja nagłówków głoszących, że cała Europa jęczy boleśnie pod niemieckim butem. Otóż to wszystko było tylko dowodem przewrotnej obrotności naszej kłamliwej prasy i w żaden sposób nie mogło przekonać Bronie wiek iego — że są na świecie oprawcy równi naszym, tych zaś znał aż nadto dobrze. I gdyby teraz podsuwano mu codziennie pod nos biuletyn informacyjny BBC, to co najwyżej dałby się może przekonać, że Hitler jest dla Rosji wrogiem numer dwa, ale póki Stalin żyje — na pewno nie numer jeden. BBC nie przysyłało mu wszelako swoich biuletynów, zaś sowieckie Informbiuro cieszyło się od dnia swoich narodzin nie większym kredytem niż stary TASS; a pogłoski, zwożone przez ewakuowanych, też nie były wiadomościami z pierwszej ręki (bo nie pochodziły z Niemiec czy z terenów okupowanych; ani jeden żywy świadek jeszcze stamtąd nie przybył); z pier-

wszej ręki był tylko obóz Dżezkazgariski i rok 37., i głodowy rok 32., i likwidacja kułaków i rujnowanie cerkwi. I oto w miarę jak zbliżali się Niemcy, Broniewicki (a także dziesiątki tysięcy podobnych mu ludzi) czuł, że zbliża się jego godzina, ta jedyna, niepowtarzalna chwila, na którą już od lat 20 czekano bez żadnej nadziei, chwila co raz tylko zdarza się w życiu

* Przywódczyni lewicowych eserowców, aresztowana po zamachu Blumkina na posła niemieckiego Mirbacha w 1918 roku, zmarła w więzieniu w końcu lat 30. W 1938 roku spotkała ją tam jeszcze Jadwiga Siekierska, druga żona St. Bobińskiego, polska komunis-tka.



człowieka — tak krótkim w porównaniu z powolnym tokiem przemian dziejowych; chwila, w której człowiek może dać wyraz swojemu sprzeciwowi wobec tego, co sam przeżył, co tu ponawyrabiano, co roztrwoniono, co zadeptano w naszym kraju — moment tedy, w którym — jeszcze całkiem nieznanym, niejasnym sposobem — będzie mógł przysłużyć się temu ginącemu krajowi, dopomóc w dziele odrodzenia jakiejś rosyjskiej społeczności. Tak jest, Broniewicki należał do tych, co wszystko zapamiętali i niczego nie wybaczyli. I żadną miarą nie mógł darzyć ciepłym uczuciem tej władzy, która połamała Rosji kości, doprowadziła ją do kołchozowej nędzy, do moralnego zwyrodnienia, a teraz — także do przerażającej klęski militarnej. I patrzył z osłupieniem na takich cielaków jak ja, jak my dwoje, nie będąc w stanie nas przekonać. Czekał też na k o g o k o l w i e k. Czekał, aby ktokolwiek przybył — byleby ów ktoś zrobił koniec ze stalinowską władzą! Znany to psychologom proces przeskoku z jednego bieguna na drugi: niech tam będzie co chce, byle nie to, co tak się już uprzykrzyło! Bo czyż mógł wyobrazić sobie, że jest na świecie ktoś gorszy od n a s z y c h? Nawiasem mówiąc, działo się to w okręgu dońskim, a połowa tamecznej ludności właśnie w takim nastroju czekała na przyjście Niemców. Tak więc, przez całe życie stroniąc od polityki, Broniewicki u progu siedemdziesiątki zdecydował się na krok polityczny.

Zgodził się stanąć na czele lokalnej administracji w mieścinie Moro-zowsk...

Jak sądzę, rychło zrozumiał, że dał się nabrać; że dla nowych władców Rosja jest czymś jeszcze podlejszym i pośledniejszym niż dla starych, że nowe wilkołaki tylko krwi ruskiej łakną, a ciało, a cała reszta — niech tam ginie. Nowy burmistrz musiał stanąć nie na czele rosyjskiej społeczności, lecz — zgrai pomagierów niemieckiej policji. Jednakże —już osadzono go na osi i — chcąc nie chcąc — musiał się potoczyć. Wyrwał się spod władzy jednych oprawców po to tylko, by zostać pomocnikiem drugich. I raptem przekonał się, że ta idea patriotyczna, którą uważał za przeciwieństwo idei sowieckiej, nagle zlała się z tą ostatnią w jedną całość: niepojętym sposobem, od mniejszości, co jej strzegła, przeszła do serc większości jak przez rzeszoto. Ludzie zapomnieli, jak to za tę ideę rozstrzeliwano, jak się nad nią naigrawano, i oto stała się nagle rdzeniem cudzego pnia.

Chyba go (ich?) ogarnęła wtedy zgroza i beznadzieja. Przesmyk zawaliło i tylko

dwa wyjścia zostały: śmierć albo katorga. ,

Rzecz jasna, nie sami Broniewiccy byli wśród tych ludzi. Jasne, że na tę krótką ucztę podczas dżumy zleciały się całe chmary kruków i wron, łaknących władzy i krwi. Ale gdzie i kiedy ich brakło?! Tacy właśnie doskonale odpowiadali standardom NKWD. Należał do nich i Mamułow, i An-

**24**

tonów z Dudina, i jakiś tam Poj-suj-szapka; czy można wyobrazić sobie podlejszych katów? A cieszyli się władzą przez cale dziesięciolecia i mrowie ofiar mają na sumieniu. Niezadługo już ja sam miałem zetknąć się z nadzorcą Tkaczem*, który zdążył przysłużyć się w ten sam sposób i jednym, *i* i drugim.

Skoro była mowa o miastach, nie wolno nam teraz pominąć wsi. Współcześni nasi liberałowie często zarzucają wiejskim ludziom tępotę i konserwatyzm. Ale przedwojenna wieś — cała, prawie bez wyjątku — odznaczała się trzeźwością myślenia w stopniu nierównie większym niż miasto. Wcale nie pałała chęcią udziału w aktach strzelistych ku czci ojczulka Stalina ani na cześć rewolucji światowej. Miała po prostu zwykły rozum w głowie i dobrze pamiętała, jak to obiecano jej ziemię i jak ją potem odebrano; jak żyła, jak jadała i jak się odziewała przed kołchozami, a jak po ich wprowadzeniu; jak jej zabierano z obejścia cielę, jagnię, a nawet kuraka; jak bezczeszczono i rujnowano jej cerkwie. W tych latach radio nie dudniło jeszcze w każdej chacie i nie w każdej wsi znalazł się taki mądrala, co by czytał ludziom na głos gazety, więc w końcu te wszystkie Czang-tso-liny, MacDonaldy i Hitlery były dla rosyjskiej wsi jedynie kukłami, nikomu niepotrzebnymi, obcymi i zupełnie jednakowymi.

W pewnej wsi opodal Riazania 3 lipca 1941 roku chłopi zebrali się przy kuźni, gdzie nadawano przez głośnik przemówienie Stalina. I gdy twardy dotąd jak żelazo, i nieczuły na chłopskie łzy, ojczulek beknął łamiącym się głosem swoje słynne ,,Bracia i siostry!", jeden z chłopów krzyknął w stronę czarnej, tekturowej gardzieli:

— Aha, tak teraz śpiewasz, kurwa mać? A t e g o nie wolisz? — i ulubionym na Rusi, grubiańskim gestem ciachnął grzbietem dłoni drugą rękę w łokciu i pomachał zgiętym ramieniem w stronę głośnika.

Ogólny rechot był mu odpowiedzią.

Gdyby wypytać wszystkich świadków po wszystkich wsiach, mielibyśmy z dziesięć tysięcy takich relacji, często jeszcze wymowniejszych.

Oto jakie nastroje panowały na rosyjskiej wsi w pierwszych miesiącach wojny, a więc także wśród tych rezerwistów, którzy wypijali ostatnie pół litra na przystanku i ostatni raz puszczali się w tany z bliskimi. A ponadto zwaliła się ludziom na łeb niesłychana w rosyjskich dziejach klęska i ogromne połacie wiejskiego kraju — aż po obie stolice, aż po Wołgę — z milionami chłopów i chłopek w okamgnieniu znalazły się poza zasięgiem kołchozowej władzy i — przestańmy wreszcie kłamać, dosyć retuszowania historii! — okazało się, że republiki związkowe marzą wyłącznie o nieza-

*** Patrz cz. III, rozdział 20.**

**25**

wisłości! wieś — wyłącznie o wyzwoleniu z jarzma kołchozów! — robotnicy — o wyzwoleniu spod władzy pańszczyźnianych Dekretów! I gdyby najeźdźcy nie byli tak beznadziejnie tępi i zadufani, gdyby — dla dobra Wielkiej Rzeszy — nie utrzymali przy życiu poręcznej, urzędowej administracji kołchozów, gdyby nie układali planów tak podłych, jak plan przekształcenia Rosji w kolonię, to idea narodowa nie wykwitłaby tam właśnie, gdzie od lat ją dławiono. I chyba nie mielibyśmy okazji świętowania dwu-dziestopięciolecia komunistycznej władzy w Rosji.

(O partyzantce też ktoś kiedyś będzie musiał napisać, jak to nie całkiem dobrowolnie szli do niej chłopi pod okupacją. Jak to z początku szykowali broń przeciw partyzantom, nie chcąc oddawać im chleba i bydła).

A kto pamięta dziś wielki exodus mieszkańców Północnego Kaukazu w styczniu 1943 roku i kto znajdzie analogiczny przykład w historii? Żeby ludność — zwłaszcza chłopi — uciekała masami, wycofując się wraz z rozbitym nieprzyjacielem, u boku obcych najeźdźców, byleby tylko nie powrócić w objęcia zwycięskich s w o j a k ó w ; tabory, tabory, a tu luty ziąb styczniowy i zadymka!

Na takim właśnie gruncie społecznym wyrosły te setki tysięcy ochotników, którzy — nie bacząc na potworności hitleryzmu — z całą desperacją przywdziali mundur wroga. Tu też trzeba nam wrócić do tematu w ł a s o w c ó w .

Czytelnik pierwszej części tej książki nie był chyba w stanie strawić całej 0 nich prawdy (zresztą ja sam całej nie znam, zapewne pojawią się kiedyś specjalne opracowania, dla mnie to temat uboczny). Tam, na wstępie, gdy czytelnik nie przeszedł jeszcze wraz z nami całej drogi krzyżowej przez obozy, można było dać mu tylko sygnał ostrzegawczy, skłonić go do na mysłu. Teraz zaś, po zwiedzeniu wszystkich etapów, zborniaków, leśnych robót i śmietników obozowych — może nasz czytelnik stanie się wyrozumialszy. W części pierwszej mówiłem o tych własowcach, którzy wzięli broń do ręki z rozpaczy, z głodu panującego w obozach jenieckich, z po czucia, że nie ma innego wyjścia. (Zresztą, tu też warto byłoby zastanowić się chwilę: przecież Niemcy brali z początku jeńców sowieckich tylko do służby pozafrontowej, na tyłach własnych oddziałów, i było to chyba naj lepsze wyjście dla tych, co chcieli jedynie r a t o w a ć się, czemu więc brali broń do ręki i szli łeb w łeb przeciw Armii Czerwonej?).

Ale teraz nie ma co dalej zwlekać, trzeba wreszcie powiedzieć coś o tych, którzy jeszcze przed 41. myśleli tylko o jednym: jak by tu zdobyć broń

1 zacząć b i ć tych czerwonych komisarzy, czekistów i działaczy od kolek tywizacji. Pamiętacie może te słowa Lenina: „Uciemiężona klasa, która nie dąży do tego, by nauczyć się walki z bronią w ręku, nie szuka sposobu, aby

26
mieć tę broń — zasługuje jedynie na to, by potraktować ją jako zgraję niewolników" (wyd. rosyjskie IV, tom 23, str. 85). Tak więc — ku naszej chwale — wojna sowiecko-niemiecka wykazała, że nie takie z nas znowu raby, jakby to wynikało ze wszystkich, pełnych liberalnej pogardy, historycznych badań i opracowań. Nie rabska pokora kazała tym ludziom jąć się szabli, aby uciąć łeb Stalinowi-batiuszce. Również i z tej strony — nie po rabsku prostowały się grzbiety czerwonych żołnierzy w podszytych wiatrem szynelach; żaden socjolog nie mógł przewidzieć, że pęd do wolności znajdzie sobie na krótką chwilę tak zawiłe ujście.

Ci ludzie, którzy z własnego doświadczenia znali od 24 lat komunistyczny raj, już w 1941 roku wiedzieli to, czego nie wiedział jeszcze nikt na świecie — że na całym globie i w ciągu całych jego dziejów nie było jeszcze reżymu tak bezwzględnego, krwawego, a zarazem przewrotnie obłudnego jak bolszewicki, bezprawnie nazywający sam siebie „radzieckim". Że jeśli wziąć pod uwagę liczbę jego ofiar, jego zdolność do zakorzenionej, długoletniej stabilności, jego długodystansowe perspektywy, jego monolityczny, wszechobecny totalizm, to żaden inny reżym nie wytrzymuje z nim porównania. Żaden, nie wyłączając epigońskiego hitleryzmu, który podówczas zaćmił swoimi wyczynami wszystko w oczach Zachodu. I oto nadeszła odpowiednia chwila. Broń zaczęto tym ludziom wpychać do ręki. Czy mieli właśnie wtedy postąpić na przekór własnym pragnieniom, pozwolić, aby bolszewizm przetrwał, aby znów się umocnił, znów zabrał się do ciemiężenia ludzi — i dopiero wtedy decydować się na walkę z nim (walkę, której po dziś dzień nikt w świecie nie podjął)? Nie; wydawało im się oczywiste, że trzeba zastosować właśnie starą bolszewicką taktykę: podobnie jak bolszewizm wgryzł się w ciało Rosji, osłabionej pierwszą wojną światową, tak samo należało dobrać się do niego podczas drugiej wojny.

Zresztą, już podczas wojny sowiecko-fińskiej, w 1939 roku, doszedł do głosu swoisty defetyzm. Te podskórne nastroje próbował wykorzystać W.G. Bażanow, były sekretarz Politbiura i Biura Organizacyjnego WKP(b), pomocnik i bliski współpracownik Stalina. Pragnął on zgromadzić rosyjskich jeńców, oddać dowództwo nad nimi rosyjskim emigrantom-oficerom i posłać na front — nie dla walki z armią sowiecką, tylko dla celów propagandowych. Niespodziewana kapitulacja Finlandii udaremniła te plany.

Kiedy zaczęła się wojna z Niemcami — 10 lat po katowskiej kolektywizacji rolnictwa, 8 lat po wielkim głodzie na Ukrainie (sześć milionów ofiar śmiertelnych, a u sąsiadów, w Europie, nikt nawet okiem nie mrugnął), 4 lata po rozpasanym, szatańskim balu, urządzonym przez NKWD, rok po wydaniu kajdaniarskich dekretów o dyscyplinie pracy (a

**27**
jednocześnie 15 milionów siedziało w obozach i całe starsze pokolenie dobrze pamiętało życie przed rewolucją) ludzie w sposób naturalny chcieli odetchnąć i

wyzwolić się od zmory. W sposób tak samo naturalny żywili wstręt do władz. I nie żadne „zaskoczenie" ani „przewaga ilościowa w dziedzinie lotnictwa i broni pancernej" (nawiasem mówiąc właśnie Armia Czerwona miała przewagę ilościową we wszystkich dziedzinach) sprawiły, że tak łatwo zamykały się fatalne kotły, gdzie kapitulować musiało po 300.000 (Białystok, Smoleńsk) i po 650.000 tysięcy uzbrojonych, dorosłych mężczyzn (Briańsk, Kijów), że rozpadały się całe fronty i że armia cofała się tak szybko i daleko, jak nigdy jeszcze w całej tysiącletniej historii Rosji, jak nigdy chyba w dziejach wszystkich krajów i wojen. Wszystko to sprawił błyskawiczny paraliż naszej żałosnej władzy, od której poddani odstrych-nęli się jak od trupa. (Rajkomy i miejskie komitety partii rozlatywały się w ciągu paru minut; i to dlatego Stalin załkał).

To trzęsienie ziemi mogło osiągnąć swój zenit już w 1941 roku (w grudniu sześćdziesiąt milionów ludności ZSSR — ze 150 — znalazło się już poza zasięgiem władzy Stalina). Nie bez powodu spitraszony został taki oto jego rozkaz (0019, 16 lipca 1941 roku): „Na wszystkich (!) frontach trafiają się w naszej armii liczne (!) elementy biegnące wręcz w objęcia wroga (!) i rzucające broń przy pierwszym z nim zetknięciu". (W białostockim saku, w początkach lipca 1941 roku, na 340 tysięcy jeńców było 20 tysięcy dezerterów, którzy dobrowolnie przeszli na stronę nieprzyjaciela). Stalin był przekonany, że sytuacja jest tak rozpaczliwa, iż w październiku 1941 roku depeszował do Churchilla z prośbą o przysłanie 25-30 angielskich dywizji na teren ZSSR. Jakiż komunista dał się kiedykolwiek tak opanować panice?!

Oto próbka ówczesnych nastrojów: 22 sierpnia 1941 roku dowódca 436 pułku strzelców, major Kononow, oznajmił przed frontem swoich oddziałów, że przechodzi na stronę Niemców, aby wstąpić do szeregów armii wyzwoleńczej i przyczynić się do obalenia Stalina. Zapytał też, kto poszedłby z nim na ochotnika. Nie dość, że nikt mu się nie przeciwstawił, ale c a ł y p u ł k poszedł w jego ślady. Po trzech zaledwie tygodniach Kononow sformował po t a m t e j stronie ochotniczy pułk kozacki (był sam dońskim Kozakiem). Gdy przybył do obozu jeńców pod Mohylewem i rozpoczął werbunek — z 5 tysięcy zgromadzonych tam jeńców 4 tysiące od razu zgłosiły się na jego apel, ale nie był w stanie wziąć aż tylu. W obozie pod Tylżą tegoż roku p o ł o w a jeńców — 12 tysięcy ludzi — podpisała odezwę głoszącą, że czas już p r z e k s z t a ł c i ć tę w o j n ę w w o j n ę domową.

Nie zapominajmy o spontanicznym ruchu w okolicach Łoktia pod Bria-

28

ńskiem. Powstał tam autonomiczny, rosyjski samorząd jeszcze przed przyjściem Niemców i niezależnie od nich. Był to samoistny, kwitnący okręg, złożony z 8 powiatów, liczący ponad milion ludności. Żądania tej ludności były zupełnie wyraźne: rosyjski rząd narodowy, rosyjski samorząd we wszystkich okupowanych okręgach, uznanie niepodległości Rosji w granicach z 1938 roku, utworzenie armii wyzwoleńczej pod rosyjskim dowództwem.

Chlebem i solą witały Niemców również dońskie stanice. Na pewno jeszcze nie

zapomniano tam komunistycznej rzezi: jej ofiarą padli wszyscy mężczyźni od 16 do 65 roku życia.

W sierpniu 1941 roku leningradzki student medycyny, Martynowski, utworzył pod Ługą oddział partyzancki, w skład którego wchodzili głównie sowieccy studenci; chcieli uwolnić się od komunizmu. We wrześniu 1941 uformował pod Porchowem taki sam antykomunistyczny oddział z lenin-gradzkich (przeważnie wywodzących się z Wyspy Wasiliewskiej) studentów i żołnierzy (z jednostek otoczonych przez Niemców) lejtnant Rutczenko, były aspirant wyższej uczelni. Ale Niemcy zrobili z tych ochotników jakichś posługaczy w swoich oddziałach. Ludności ZSSR w roku 1941 wydawało się rzeczą naturalną, że najazd cudzoziemski oznacza obalenie reżymu komunistycznego, i nikt u nas nie życzył sobie takiego najazdu z innych przyczyn. Oczekiwano na polityczną alternatywę. Na wyzwolenie od bolszewizmu.

Czy łatwo nam było uwierzyć — poprzez głuche mury sowieckiej propagandy, poprzez całą grubość hitlerowskiego frontu — że alianci zachodni walczą w tej wojnie nie o wolność dla wszystkich, lecz jedynie w imię własnej, zachodnioeuropejskiej wolności, jedynie przeciw hitleryzmowi, że chcą jak najwszechstronniej wykorzystać siły armii sowieckiej i poprzestać na tym? Czy nie łatwiej nam było uwierzyć, że nasi sojusznicy wierni są samej zasadzie wolności i nie zostawią nas na żer najgorszej tyranii? Co prawda, byli to właśnie ci sami sojusznicy, za których ginęliśmy już podczas Pierwszej Światowej, którzy już wtedy zostawili na łasce losu naszą pobitą armię, aby czym prędzej zatroszczyć się o własną pomyślność. Ale doświadczenie jest to rzecz często zbyt sroga, aby serce zgodziło się mu zaufać.

Mając słuszne powody, aby nie wierzyć sowieckiej propagandzie w żadnym wypadku, uważaliśmy naturalnie za bajki to, co mówiono o hitlerowskich planach obrócenia Rosji w kolonię, a nas samych w niemieckich niewolników. Nie chcieliśmy wierzyć, że takie idiotyzmy mogą wykluć się w ludzkich łbach w dwudziestym wieku. Nie sposób było uwierzyć, zanim się tego nie doświadczyło na własnej skórze. Ale jeszcze w 1942

**29**

roku do rosyjskiego oddziału kadrowego w Osintorfie zgłaszało się więcej ochotników, niż mogło ich było wcielić dowództwo. Na Smolenszczyznie i na Białorusi uformowała się ochotnicza stutysięczna „milicja ludowa" — dla obrony przed partyzantami podporządkowanymi Moskwie. Ale Niemcy nastraszyli się i milicję rozwiązali. Jeszcze wiosną 1943 roku, podczas dwóch propagandowych podróży Własowa po Smolenszczyznie i Pskowszczyźnie, witano go wszędzie z entuzjazmem. Jeszcze wówczas ludzie spodziewali się, że powstanie wreszcie rosyjski niezależny rząd i rosyjska niezależna armia. Mam w ręku dokument z powiatu pożerewickiego okręgu pskowskiego, świadczący z jaką serdecznością ludność tamecznych wsi odnosiła się do stacjonującego w okolicy oddziału własowskiego: ci żołnierze nie zajmowali się grabieżą i hulankami, nosili dawne rosyjskie mundury, pomagali przy żniwach; uznawani byli powszechnie za rosyjską,

niekołchozową władzę. Ochotnicy zgłaszali się gęsto do tego oddziału sami, ludzie z cywila (podobnie jak w Łoktiu zgłaszali się do Woskobojnikowa) — i nad tym warto się zastanowić, boć nie z konieczności to robili, nie z obozu jeńców chcieli się wyrwać! Ale Niemcy z a b r o n i l i własowcom takiej rekrutacji (niech się tam lepiej zapisują do policji!). Jeszcze w marcu 1943 roku w obozie jeńców pod Charkowem, gdzie dotarła ulotka o ruchu własowskim (rzekomym!) — 730 *oficerów* podpisało deklarację z prośbą
0 wcielenie do rosyjskiej armii wyzwoleńczej (ROA) — i to po dwóch pełnych latach wojny i chlubnej służby, bo wielu z nich to byli bohaterowie bitwy stalingradzkiej; wśród nich — nawet dowódcy dywizji, komisarze pułków! A przy tym obóz był bardzo syty, nie głód więc pchnął tych ludzi do deklaracji. (Ale oto typowa niemiecka tępota: z tych 730, co się zgłosili, 722 aż do samego końca wojny nie doczekało się zwolnienia z obozu i prze niesienia do szeregów). Nawet w 1943 roku, w ślad za cofającą się niemiec ką armią, ciągnęły dziesiątki tysięcy uciekinierów z okupowanych obsza rów, byleby tylko nie znaleźć się znów pod władzą bolszewików.

Pozwolę sobie na takie stwierdzenie: funta kłaków niewart byłby nasz naród, stanowiłby zgraję beznadziejnych rabów, gdyby podczas tej wojny nie zdobył się na to, aby — choćby z daleka — pogrozić karabinem stalinowskiej władzy, gdyby nie skorzystał z okazji, aby pokazać pięść i zwymyślać od ostatnich naszego O j c z u l k a r o d z o n e g o . Niemcy mieli swój spisek generałów. A my? Nasi generałowie byli (i zostali po dziś dzień) gromadą miernot, zdeprawowanych przez partyjną ideologię i chciwość. Nie zachował się w nich duch narodowy, jak to bywa w innych krajach. 1 tylko żołniersko-chłopsko-kozacki p-1-e-b-s podniósł pięść i wymierzył cios. Był to właśnie plebs. Niezmiernie nikły udział w tym ruchu mieli przedstawiciele dawnej szlachty, przebywający na emigracji, czy ludzie nie-

**30**

gdyś zamożni albo inteligenci. I gdyby ruchowi temu pozwolono na rozmach, jaki rokowały mu pierwsze tygodnie wojny, to mógłby stać się nowym buntem Pugaczowa. Przemawiał za tym wysoki współczynnik aktywnego udziału wielu warstw społecznych, sympatia ludności, na którą mógł liczyć, poparcie kozactwa, powszechna chęć porachowania się z wielmożnymi złoczyńcami, żywiołowy nacisk mas — przy równoczesnej słabości grupy kierowniczej. W każdym razie ruch ten był o wiele bardziej ludowym i plebejskim, niż cały inteligencki ,,ruch wyzwoleńczy" od zarania XX wieku aż do lutego 1917 roku — z jego pseudoludowymi celami i z jego lutowo-październikowymi płodami. Ale nie był pisany temu ruchowi prawdziwy rozwój, sądzone mu było sczeznąć z piętnem hańby: wszystko to było z d r a d ą świętej naszej Ojczyzny!

Zniknęło u nas zamiłowanie do socjologicznej analizy wypadków, przyzwyczailiśmy się, że to zwykłe wywracanie kota do góry ogonem, jak komu i kiedy wygodnie. A pakt przyjaźni z Ribbentropem i Hitlerem? A buńczuczne mówki Mołotowa i Woroszyłowa o naszym bezpieczeństwie, tuż przed wojną? A potem —

osłupiająca nieudolność, brak przygotowania, ignorancja i tchórzowska ucieczka rządu z Moskwy, i po pół miliona żołnierzy zostawionych na pastwę wroga w osaczeniu — czy to nie jest z d r a d ą O j c z y z n y ? Czy nie groźniejsze to miało skutki? Czemu więc t y c h zdrajców tak troskliwie hołubimy w apartamentach przy ulicy Granowskiego?

Ooo, długa, długa, długachna jest ława oskarżonych, na której siedzieć by powinni w s z y s c y zdrajcy naszego narodu, gdyby posadzić ich tam jak należy, od A do Z...

Ale na nieprzyjemne pytania nikt u nas nie odpowiada. Milczenie milsze. Za to takie oto krzyki słyszymy często:

— Ale sama z a s a d a ! Sama zasada! Czy jakikolwiek Rosjanin ma prawo — dla osiągnięcia swoich celów politycznych, choćby najsłuszniejszych w jego pojęciu — korzystać z poparcia niemieckich imperialistów?! 1 to jeszcze podczas tak okrutnej z nim wojny?!

Istotnie, jest to problem kluczowy: czy wolno — dla celów nawet najszlachetniejszych w twoim pojęciu — korzystać z pomocy niemieckiego imperializmu, walczącego z Rosją?

Wszyscy zakrzykną dziś jednomyślnie: nie! nie! nie!

Ale skoro tak — to skąd się wziął niemiecki zaplombowany wagon, wiozący Lenina ze Szwajcarii do Szwecji, z postojem (jak to już dziś wiemy) w Berlinie? Cała prasa — od mienszewików do konstytucyjnych demokratów także wtedy krzyczała: nie! nie! — ale bolszewicy wyjaśnili, że owszem, że wolno było, że to śmieszna rzecz wysuwać podobne zarzuty.

**31**

Zresztą, nie tylko o ten jeden wagon chodziło. A latem 1918 roku — ileż to wagonów z żywnością i złotem wyekspediowali bolszewicy z Rosji, a wszystkie prosto do Wilhelma! P r z e k s z t a ł c i ć tę w o j n ę w w o j n ę domową — sam Lenin powiedział to grubo wcześniej niż własowcy.

— Ale c e l e ! O jakież cele wtedy chodziło!

A cóż to za cele? I gdzież są teraz te cele?

— Ale wtedy był Wilhelm! Kajzer! Ot, kajzer i tyle! To nie Hitler, ładna różnica! I czy w Rosji w ogóle był rząd? Jakiś tam tymczasowy....

Zaciekłość wojenna sprawiła, iż o kajzerze Wilhelmie też pisaliśmy wówczas nie inaczej jak „okrutny" i „krwiożerczy", a o kajzerowskich żołnierzach krzyczeliśmy pochopnie, że pasjami lubią rozbijać niemowlętom główki o kamienie. Ale mniejsza już o kajzera. A jak tam było z tym rządem tymczasowym? Nie miał Czeki, nie strzelał ludziom w kark, nikogo do obozów nie posyłał, do kołchozów chłopów nie zapędzał, nie dławiło w gardle na samą myśl o nim. Tymczasowy, ale też nie stalinowski.

Proporcja więc zachowana.

Nie żeby tam komuś drgnęło serce, że giną katorżnicze alfabety, tylko po prostu

wojna się kończyła, już nie był potrzebny tak groźny straszak, nowych policajów Niemcy już nie werbowali, siła robocza była zaś potrzebna, a na katordze kontyngenty wymierały bez żadnego pożytku. Już latem w 1945 roku katorżnicze baraki przestały być więziennymi celami, drzwi we dnie stały 'otworem, kible wyniesiono do latryny, skazańcy otrzymali prawo uczęszczania o własnych siłach do izby chorych, a do stołówki już ich goniono dziarskim kłusem. Pozabierano knajaków, którzy katorżników obżerali, i obsługę powierzono samym katorżnikom. Później pozwolono im nawet na pisanie listów, dwa razy do roku.

W latach 1946-47 różnice między katorgą a zwykłym obozem zaczęły się zacierać. Politycznie niezorientowane kierownictwo inżynierskie, mając na względzie tylko wykonanie planów produkcji, zaczęło (przynajmniej w Wor-kucie) przenosić dobrych specjalistów — katorżników do zwykłych pod-obozów, gdzie z całej katorgi zostawał człowiekowi tylko numer. Jednocześnie szare bydełko robocze ze zwykłych obozów zaczęto przenosić do katorżniczych, żeby rachunek się zgadzał.

Tym sposobem bezmyślni inżynierkowie zupełnie by zawalili wielki stalinowski plan wskrzeszenia katorgi, gdyby w 1948 roku nie dojrzał do realizacji nowy pomysł Stalina: chodziło o to, aby przeprowadzić radykal-

**32**

ny podział wśród tubylców GUŁagu, oddzielić bliskich socjalnie knajaków i pospolitaków od socjalnie beznadziejnych facetów z Pięćdziesiątki Ósemki.

Wszystko to było jedynie częścią jeszcze wspanialszego, wielkiego planu Umocnienia Zaplecza (sama nazwa już wskazuje, że Stalin czynił przygotowania do bliskiej wojny). Utworzone zostały Obozy Specjalne[8]. Miały szczególny regulamin — nieco mniej surowy niż na katordze w okresie początkowym, lecz ostrzejszy niż w obozach zwykłych.

Aby lepiej zaznaczyć różnicę, dano tym obozom nazwy nie związane z miejscowościami, gdzie zostały roztasowane, lecz fantastyczne i poetyckie. Utworzono więc: Gorłag (obóz górniczy) w Norylsku, Bierłag na Ko-łymie, Minłag (obóz mineralny) nad Intą, Rieczłag nad rzeką Pieczorą, Dubrowlag w Pot'mie, Ozierłag w Tajszecie, Stepłag, Pieszczanłag i Ługłag w Kazachstanie, Kamyszłag w okręgu Kiemerowskim.

W obozach ITŁ krążyć poczęły ponure pogłoski, że Pięćdziesiątkę Ósemkę przeniosą do Specobozów tylko po to, by ją tam zlikwidować. (Ani zwierzchności, ani ofiarom nie przychodziło, rzecz jasna, do głowy, że ten sam efekt może mieć po prostu wrzepienie ludziom po byle jakim nowym wyroku).

Zakipiała robota w URCz[9] i w oddziałach operacyjnych. Układano tajne spisy i wożono je gdzieś dla uzgodnienia. Następnie przyjeżdżały długie zestawy czerwonych wagonów, otaczały je dziarskie kompanie konwojentów z czerwonymi epoletami, automatami, psami i młotkami na długich styliskach — i oto już wrogowie ludu, wywoływani według listy, bez dyskusji i apelacji porzucać musieli swojskie baraki, aby jechać na daleki etap.

Ale wywoływano nie wszystkich z artykułu 58. Później dopiero, porównując znane

sobie osoby i wypadki, więźniowie zrozumieli, kogo zostawiono z pospolitakami na wyspach ITŁ. Został „czysty" artykuł 58/10, to znaczy skazani za zwykłą agitację antysowiecką. Zwykłą — to jest solową, nie kierowaną przeciw nikomu konkretnie, z nikim nie związaną, uprawianą jakby w malignie. (I chociaż nie sposób prawie wyobrazić sobie podobnych agitatorów, miliony ich zostały zarejestrowane i pozostawione na starych wyspach GUŁagu). Jeśli zaś agitatorzy działali we dwójkę lub w trójkę, jeśli mieli choćby cień skłonności do wzajemnych zwierzeń, do nawoływania się albo chóralnych produkcji, wówczas otrzymywali tzw. dodatek: 58-11, „punkt grupowy" — i jako drożdże antysowieckich or-

Porównaj — Specobozy z 1921 roku. URCz — dział ewidencji i dystrybucji robót.

**33**

ganizacji jechali teraz do Obozów Specjalnych. Rzecz jasna, jechali tam również zdrajcy (58-1 „a" i ,,b"), burżuazyjni nacjonaliści i separatyści (58-2), agenci burżuazji międzynarodowej (58-4), szpiedzy (58-6), dywersa-nci (58-7), terroryści (58-8), szkodnicy (58-9) i winni sabotażu gospodarczego (58-14). Łatwo było w tym tłumie znaleźć miejsce dla takich jeńców niemieckich (Minłag) i japońskich (Ozierłag), których miano zamiar trzymać w niewoli również po 1948 roku.

W obozach ITŁ pozostali natomiast skazani za niezłożenie donosu (58-12) i ukarani za okazywanie pomocy nieprzyjacielowi (58-3). Skądinąd zaś katorżnicy, skazani właśnie za kolaborację z wrogiem, jechali teraz do Specobozów razem z innymi.

Podział miał jeszcze głębsze podteksty, niż zdołaliśmy tutaj wyłuszczyć. Wedle niepojętych jakichś kryteriów pozostawiono w systemie ITŁ. na przykład, zdrajczynie z 25-letnimi wyrokami (Unżłag), a nawet gdzieniegdzie całe podobozy, pełne samej Pięćdziesiątki Ósemki z domieszką wła-sowców i niemieckich policajów — nie Specobozy, bo bez numerów, ale z ostrym reżymem (np. Krasnaja Glinka nad Wołgą, pod Samarą albo obóz Tuim w rejonie Szyryriskim w Chakassji czy też obóz południowosa-chaliński). Obozy te okazały się bardzo surowe. Życie w nich nie było łatwiejsze niż w Specobozach.

Aby zaś Wielka Segregacja Archipelagu nie została zmącona w przyszłości, w 1949 roku zadekretowano, aby każdy nowy tubylec przed przeniesieniem z Kontynentu otrzymywał razem z wyrokiem decyzję (okręgowego bezpieczeństwa i prokuratury), wpisaną do akt więziennych, a ustalającą raz na zawsze w jakich mianowicie obozach dany facet ma karę odsiadywać.

Tak oto, na wzór ziarna co umiera, aby dać życie nowej roślinie, ziarno stalinowskiej katorgi przedzierzgnęło się w bylinę Specobozów.

Czerwone pociągi przewiozły nowy kontyngent magistralami kraju i Archipelagu.

A w obozie nad Intą po prostu przepędzono całe stado z jednej zagrody do

drugiej.

Czechów utyskiwał, że brak u nas ,.prawniczej definicji, czym jest katorga i na co właściwie się zdała".

Ale działo się to jeszcze w oświeconym wieku XIX! W połowie zaś jaskiniowego wieku XX już niepotrzebne nam były definicje. Ojczulek zadecydował, że ma być tak, i to starczyło za wszystkie prawnicze określenia.

My zaś tylko kiwamy głowami ze zrozumieniem.

II

## PIERWSZY PODMUCH REWOLUCJI

Gdym zaczął odsiadywać mój wyrok, zgnębiony jego nieprzejrzaną długością i ogłuszony pierwszym zetknięciem ze światem Archipelagu — nie mogłem uwierzyć, że zdołam się kiedykolwiek ukradkiem rozprostować, że w miarę upływu lat, krok po kroku wspinając się na niewidzialny szczyt Archipelagu, niczym na hawajską Mauna-loa, potrafię z tej wyżyny spokojnym już spojrzeniem ogarnąć przestrzenie Archipelagu i że nawet zdradliwy ocean zacznie mnie pociągać swoim migotliwym blaskiem.

Środkowy okres kary spędziłem na złotej wysepce, gdzie więźniów karmiono i pojono do syta, gdzie było czysto i ciepło. W zamian za to wszystko wymagano jedynie, by człowiek siedział przy biurku dwanaście godzin i starał się dogodzić zwierzchności.

Ale raptem przestało mnie bawić ciągłe dbanie o zachowanie tych przywilejów!... Już czułem całkiem nowy przedsmak więziennego życia. Przypominając sobie dobre rady, dawane mi niegdyś przez wędrownego speca z Krasnoj Presni „byle tylko nie być posłanym na o g ó l n e !, starać się o to za wszelką cenę!". Cena, którą tu musieliśmy płacić, była niewspółmierna z tym, co dawano nam w zamian.

Więzienie pozwoliło rozwinąć się moim pisarskim skłonnościom, tej nowej namiętności poświęcałem teraz każdą chwilę, przestałem zaś przykładać się do zasadniczej mojej pracy. Możność rozprostowania grzbietu wydała mi się ważniejsza od śmietankowego masła i cukru.

I oto kilkorgu z nas dano możność owego „rozprostowania się", wysyłając nas etapem do Specobozów.

Wieziono nas tam długo, przez trzy miesiące (konnym zaprzęgiem

35

w XIX wieku zdążyłby człowiek prędzej). Wieziono nas tak długo, że sama podróż stała się niejako osobnym etapem życia; sądzę, że w jej trakcie zmienił się mój charakter i zmieniły się moje poglądy.

Droga nasza zaczęła mi się od razu wydawać czymś obiecującym, odświeżającym i pełnym znaczeń. Twarze smagał nam rzeźwy i coraz to mocniejszy powiew katorgi i wolności. Zewsząd przybywali ludzie i nawijały się zdarzenia świadczące, że to my, my, my mamy rację, że prawda świadczy za nami, nie zaś za naszymi sędziami i

strażnikami.

Znane od dawna Butyrki powitały nas rozdzierającym krzykiem kobiecym, dochodzącym zapewne z okna jakiejś izolatki: „Ratunku! Na pomoc! Mordują! Mordują!"; wrzask urwał się nagle, zdusiły go strażnicze łapy.

Na butyrskim ,,dworcu" przemieszano nas z nowym narybkiem, który trafił do sieci w 49. roku. Ci ludzie mieli jakieś śmieszne wyroki — nie zwykłe d y c h y , tylko ć w i a r y. Kiedy podczas apelów, a było ich bez liku, musieli meldować datę końca odsiadki, brzmiało to jak złośliwy żart: „do października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego", „do lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego!".

Zdawało się, że takich wyroków nikt nie potrafi odsiedzieć. I od razu musiało się myśleć o nożycach do cięcia drutu kolczastego.

Już same te dwudziestopięcioletnie wyroki powodowały zmiany w świecie więziennym. Władza wypaliła do nas ze wszystkich posiadanych luf. Teraz była kolej na nas, na odpowiedź więźniów — już swobodną, nieskrępowaną, nie muszącą już liczyć się z żadną nową groźbą, na tę właśnie odpowiedź, do której całe życie nie mieliśmy okazji i bez której tak trudno o jasność i jedność.

Już siedząc w stołypince na dworcu Kazańskim w Moskwie, dzięki stacyjnemu głośnikowi usłyszeliśmy wiadomość o wybuchu wojny koreańskiej. Koreańczycy z Północy twierdzili, że padli ofiarą agresji, choć pierwszego już dnia działań, jeszcze przed południem, zdążyli przerwać linię obrony przeciwnika i wedrzeć się na dziesięć kilometrów w głąb jego terytorium. Nawet największy kretyn, jeśli tylko był kiedyś na froncie, potrafił się zorientować, że napastnikiem jest ten, kto pierwszego już dnia posunął się naprzód.

Ta wojna w Korei też wzmogła nasze podniecenie. Buntownicy modlą się o burzę! Przecież bez burzy, bez burzy, bez jakiejś burzy, skazani bylibyśmy na powolne zdychanie!...

Gdy minęliśmy Riazari, wschodzące słońce z taką siłą uderzyło w zakratowane, ślepawe okienka wagonu więziennego, że młody konwojent stojący w korytarzu na warcie musiał aż oczy przymrużyć. Konwój, jak to konwój: napchali ci nas po piętnastu na przedział, karmili śledziami, **ale**

36

przecież roznosili wodę i prowadzili do klozetu wieczorem i rano. Nie byłoby więc powodów do tarć, gdyby właśnie ten chłopak nie rzucił nieopatrznie, bez żadnej nawet złości, że jesteśmy wrogami ludu.

I tu się zaczęło! I z naszego przedziału, i z sąsiedniego, zaraz się posypało:

„Wrogowie ludu? My? A dlaczego w kołchozach die ma co żreć?".

„Tyś sam chłopak wsiowy, z oczu ci to patrzy, a na pewno zostaniesz nadterminowo na tej psiej twojej służbie, bo wcale ci nie pilno do domu wracać, ziemię orać!?".

„Skorośmy wrogowie, to dlaczego musieliście przemalować więzienne karetki? Wrogów lepiej wozić na pokaz!".

„Ej, synku! Moich dwóch, takich jak ty, z wojny nie wróciło — a ja wróg, co?!".

Niczego podobnego już od dawna nikt nie ośmielał się wołać przez kraty! Wszystko, cośmy wykrzykiwali, były to rzeczy najprostsze, zbyt oczywiste, aby można im było przeczyć.

Do speszonego chłopaka przyłączył się sierżant z kadry, ale nikogo nie zabrał do karceru, nie zaczął zapisywać nazwisk, próbował tylko pomóc swojemu podkomendnemu przy użeraniu się z nami. Wydawało nam się, że to też oznaka jakichś zmian, jakichś nowych czasów. Chociaż jakie tam „nowe" czasy mogły być w 1950 roku! — nie, to były oznaki nowych stosunków w świecie więziennym, skutki wprowadzenia nowych kar i nowych obozów politycznych.

Nasz spór przybrał postać istnego turnieju argumentów. Chłopaki z eskorty patrzyli na nas nowym okiem i już nie ośmielali się wymyślać od wrogów ludu nikomu z naszych dwóch przedziałów. Usiłowali parować nasze okrzyki, cytując jakieś formułki z gazet czy z godzin szkolenia ideologicznego, ale sami czuli — chyba nie na rozum, na sam słuch — że te frazesy trącą fałszem.

— Patrzcie, chłopaki! Patrzcie przez okna! — powtarzaliśmy im. — Patrzcie, do czegoście Rosję doprowadzili!".

A za oknami przesuwał się kraj tak obszarpany, zgniłą słomą kryty, walący się, zabiedzony (jechaliśmy szlakiem na Ruzajew, gdzie cudzoziemców się nie puszcza), że gdyby Batu-Chan zobaczył ten brud i nędzę — pewno by wcale nie zechciał takiego kraju zdobywać.

Na cichym przystanku Torbiejewo zobaczyliśmy starca, człapiącego w łapciach przez peron. Stara chłopka zatrzymała się pod naszym oknem z opuszczoną klapą i przez podwójną kratę zewnętrzną i wewnętrzną długo, bez jednego ruchu, patrzyła na nas stłoczonych na górnej półce.

**37**

Wpatrywała się tym spojrzeniem, jakim z dawien dawna nasz lud patrzy na swoich „nieboraków". Nierychliwe łzy ściekały jej po policzkach. Stała tak przygarbiona i tak patrzyła, jakby to jej syn leżał z nami na jednej półce. „Nie ma się co tu gapić, matulu" — powiedział do niej konwojent półgłosem. Nawet głowy nie obróciła. U jej boku stała dziewczynka, może dziesięcioletnia, z białymi wstążeczkami w warkoczykach. Dziewczynka przyglądała się nam z uwagą i frasobliwością, jakby niedziecinną, oczyma szeroko otwartymi, bez mrugnięcia; tak patrzyła, że —jak myślę — utrwaliła w sobie ten widok na całe życie. Pociąg ruszył bez szarpnięcia, starucha podniosła poczerniałe palce i solennie, bez pośpiechu, przeżegnała nas.

Na innej znów stacji jakaś dziewczyna w sukience w groszki, wcale się nie krępując, bez żadnego lęku podeszła pod samo nasze okienko i z ożywieniem jęła nas wypytywać z jakiego artykułu nas skazano i jakie mamy wyroki. „Ruszaj stąd!" — krzyknął na nią wartownik z platformy. „A co ty mi możesz zrobić? Jestem z tej samej paczki! Na, masz tu papierosy, daj tym chłopakom!" — i wyjęła z torebki pudełko (jużeśmy się domyślili: ta dziewczyna odsiedziała swoje. Ileż to takich

dziewuch, krążących po Rosji wśród wolniaków, przeszło już swój staż na Archipelagu!). „Ruszaj stąd! Bo też pójdziesz siedzieć!" — wyskoczył z wygonu pomocnik szefa konwoju. Zerknęła z pogardą na jego kapralskie czółko. „A idźże ty na chuj, mendo!". I jeszcze zawołała, żeby nam dodać odwagi: „Możecie mieć ich w dupie, chłopaki!". Dopiero potem oddaliła się z godnością.

Taka to była nasza podróż i nie sądzę, aby nasi konwojenci uważali się za straż ludową. Jechaliśmy i coraz bardziej upewnialiśmy się, że z nami jest i racja, i cała Rosja — i że czas już zrobić koniec, koniec z tą całą zabawą.

W Kujbyszewskim więzieniu etapowym, gdzieśmy siedzieli ponad miesiąc, też niemało cudów człowiek zobaczył. Z okien sąsiedniej celi nagle doszły nas histeryczne, rozpaczliwe kwiki knajaków (ich lamenty też brzmią jakoś wstrętnie i piskliwie): „Ratunku! Ludzie, ratujcie! Faszyści tu nas leją, faszyści!".

Coś niesłychanego! „Faszyści" biją szemranych? Dawniej zawsze bywało odwrotnie.

Ale wkrótce dochodzi do przetasowania w celach i dowiadujemy się, że nie ma żadnych cudów, że to dopiero pierwsza jaskółka — Paweł Boro-niuk; piersi jak żarna, łapy jak konary, zawsze gotowe i do uścisku, i do ciosu — czarniawy, z orlim nosem, wyglądający raczej na Gruzina niż na Ukraińca. Paweł jest oficerem liniowym, operując swoim zenitowym ceka-emem wytrzymał pojedynek z trzema meserszmitami; miał już dostać tytuł bohatera ZSSR, ale specwydział odrzucił wniosek; posłany do karnej kom-

38

panii, wrócił stamtąd z orderem; teraz wlepili mu dychę, według nowych norm to „dziecinny wyrok".

Kim są knajacy zrozumiał, gdy wieziono go tu z więzienia w Nowogrodzie Wołyńskim, już bił się z nimi. A teraz leżał sobie spokojnie na górnych pryczachi grał w szachy. W celi siedziała wyłącznie Pięćdziesiątka Ósemka, ale administracja dokwaterowała dwóch fetniaków. Jeden z nich,
0 przezwisku „Fiksat", niedbale paląc „białomora" i zmierzając do prycz
pod oknem, aby rozwalić się na miejscu przysługującym mu ,,prawnie", tak
sobie zażartował: „No, miałem przeczucie, znów muszę siedzieć z bandy
tami!". Naiwny Wielijew, nie mający jeszcze doświadczenia z knajakami,
sprostował: „Nie bój się, my tu wszyscy z Pięćdziesiątego Ósmego! A ty?".
— „A ja defraudant, człowiek kulturalny!". Knajacy przepędzili jakichś
dwóch politycznych, cisnęli swoje sidory na „przysługujące" im miejsca
1 rozpoczęli wizytację celi, bobrując w cudzych workach i szukając zacze
pki. A Pięćdziesiątka Ósemka — nic! Wcale nie była jeszcze „nowa", nikt
nawet nie pisnął. Sześćdziesięciu mężczyzn czekało pokornie na swoją ko
lej, na grabież ich ostatnich rzeczy. Jest coś paraliżującego w tej czelności
knajackiej, jakiś fluid, wykluczający wszelki sprzeciw. A także pewność, że
zwierzchnicy są po ich stronie.

Boroniuk dalej przestawiał sobie szachowe figury, ale już wiercił groźnie swoimi

oczyskami i kalkulował w myśli, jak tu rozegrać bitkę. I kiedy jeden z knajaków zatrzymał się przed jego pryczą, Paweł, półleżąc ze zwieszonymi nogami, dał mu z rozmachu kopa w mordę ciężkim buciorem, zeskoczył z góry, złapał grubą, drewnianą pokrywę kibla i rypnął nią po łbie drugiego fetniaka. Grzał ich tak po kolei tą pokrywą, póki się nie rozleciała, a trzymała się na krzyżownicy z drążków trzycalowej grubości. Knajacy zaczęli lamentować, ale przyznać trzeba, że w ich żałosnych krzykach był też element humoru, z tego nie rezygnują: „Co ty wyprawiasz? *Krzyżem* ludzi lejesz?". „Taki siłacz — i żeby *człowieka* krzywdził". Ale Boroniuk wiedział ile są warci, nie przestawał ich łupić, i wtedy właśnie jeden z knajaków rzucił się w stronę okna z kwikiem: „Ratunku, faszyści nas biją!".

Szemrani nie zapomnieli tej wciry i jeszcze parę razy próbowali zastraszyć Pawła: „Jedzie od ciebie trupkiem! Jak do parku sztywnych — to tylko razem!". Ale więcej już nie brali się do zaczepek.

Z sukami też nasza cela wkrótce się pożarła. Wyprowadzono nas na spacer połączony z wizytą w latrynie i strażniczka przysłała jakiegoś ze-psiałego typka, żeby nas przepędził z klozetu. Typek zabrał się do tej roboty raźno, ale jego chamstwo (w stosunku do „politycznych"!) tak oburzyło młodziutkiego, nerwowego, niedawno dopiero skazanego Woło-dię Gerszuni, że zaczął s u 1 ę besztać. W odpowiedzi sukinsyn zbił chlo-

**39**

paka jednym ciosem z nóg. Dawniej Pięćdziesiątka Ósemka przełknęłaby to gładko, ale teraz Maksym (Azerbejdżanin, który zatłukł przewodniczącego swojego kołchozu) rzucił w sukinsyna kamieniem, zaś Boroniuk dołożył mu pięścią po pysku. Ten ciachnął Boroniuka nożem (pomocnicy strażników chodzą z nożami, to u nas nikogo nie dziwi) i uciekł pod opiekę nadzorców. Boroniuk popędził za nim. Zaprowadzono nas niezwłocznie do celi i wkrótce zjawili się oficerowie straży, aby ustalić k t o i straszyć nas domiarem do wyroku za bandytyzm (enwudziści do swoich s u k zawsze odnoszą się z serdeczną troską). Boroniuk cały spąsowiał, wystąpił z szeregu i krzyknął: „Ja tych drani zawsze biłem i będę bić, póki sił starczy!". Więzienny k u m ostrzegł nas życzliwie, że my jako kontrrewolucjoniści nie mamy żadnego prawa unosić się pychą i że bezpieczniej dla nas będzie trzymać jęzor za zębami. Wołodia Gerszuni, jeszcze prawie dzieciak, bo wzięty z pierwszego roku uniwersytetu, nie imiennik, lecz rodzony bratanek słynnego Gerszuni, szefa organizacji bojowej eserów — zapiał wtedy jak kogucik, prosto w nos kumowi: „Nie ważcie się nazywać nas kontrrewolucjonistami! Już nie te czasy! Teraz znów jesteśmy re-wo-lu-cjo-nis-ta-mi! Tylko przeciw sowieckiej władzy!".

Ale wesoło! Aleśmy się doczekali! A więzienny k u m — tylko brwi marszczy i nadyma się, a wszystko łyka. Nikogo nie posyła się do karceru, oficerowie straży niesławnie się wycofują.

A więc tak też można żyć w więzieniu? — bić się? — odgryzać się? — mówić głośno to, co się myśli? A ileż lat znosiliśmy to w milczeniu, bez żadnego sensu. Kto płacze, tego łatwiej bić — głosi przysłowie. Płakaliśmy, więc też nas bito!

Teraz, w nowych, legendarnych już obozach — do których nas wiozą — gdzie człowiek staje się numerem, jak u hitlerowców, ale gdzie siedzieć mają nareszcie sami polityczni, bez kryminalnego namułu — może więc tam zacznie się takie właśnie życie? Czarnooki, matowo blady, wynędzniały Wołodia Gerszuni mówi z nadzieją w głosie: „Przejdziemy do obozu i tam zaraz zorientujemy się, z kim mamy „trzymać". Tak, jakby nam ten wybór był dany! Tak, jakby nie zostało to już zdecydowane — za nas — przez tych, co dla każdej republiki związkowej planowali cyfry aresztowań i tych, co wyznaczali ludzi na etap.

W naszej długachnej celi — niegdyś była to stajnia, zamiast żłobów z obu stron stoją wzdłuż ścian dwupiętrowe prycze, w przejściu rząd krzywych słupków podpiera zmurszały dach, grożący zawaleniem, a okienka też są typowo stajenne, tyle tylko z nich światła, żeby trafić widłami z sianem do żłobu (a teraz zasloniętо je jeszcze żelaznymi kagańcami) — otóż w naszej celi jest koło stu dwudziestu więźniów i to najrozmaitszego auto-

**40**

ramentu. Więcej niż połowa — to mieszkańcy krajów nadbałtyckich, ludzie niewykształceni, zwykli chłopi. W ich krajach ojczystych trwa już druga czystka. Pakują za kraty i deportują wszystkich, którzy nie chcą dobrowolnie iść do kołchozów albo sprawiają takie wrażenie. Następnie — jest tu sporo Ukraińców z dawnych polskich ziem, członków OUN ', a także tych, którzy choć raz udzielili komuś z nich noclegu czy dali kawałek chleba, dalej — są rdzenni Rosjanie z RSFSR, ale niewielu wśród nich nowych, większość to r e c y d y w i ś c i . No i, rzecz jasna, pewna liczba cudzoziemców.

Wszystkich nas wiozą do tego samego obozu (dowiadujemy się, że ma to być Stepłag). Obserwuję tych, z którymi los mnie złączył i staram się ich poznać lepiej.

Szczególnie mi są mili Estończycy i Litwini. Chociaż siedzę tu w tym samym charakterze co oni, wstyd mi przed nimi tak. jakbym ja ich tu wpakował. Niezepsuci, pracowici, rzetelni, powściągliwi — dlaczego oni *też* idą na przemiał, dlaczego trafili między te same przeklęte żarna, za co im się to należy? Nie wadzili nikomu, żyli sobie spokojnie, więcej było u nich porządku niż u nas, sami są od nas porządniejsi — i oto skazano ich za to, że nam chce się żreć, że mieszkają pod naszym bokiem i odgradzają nas od morza.

„Wstyd teraz być Rosjaninem!" — zakrzyknął Herzen, kiedyśmy dusili Polskę. Podwójnie mi teraz wstyd przed tymi ludźmi, nieskornymi do bitki i bezbronnymi.

Mój stosunek do Łotyszów jest nieco bardziej skomplikowany. W ich przypadku spełnia się jakieś fatum. Toć sami też to pole zasiewali.

A Ukraińcy? Już dawno nie używamy terminu „ukraińscy nacjonaliści". Mówi się o nich teraz „banderowcy" i słowo to stało się takim wyzwiskiem, że nikt nawet nie stara się wniknąć w jego treść. (Mówi się też prościej „bandyci", wedle tej, powszechnie przyjętej, zasady, że wszyscy, którzy zabijają w naszym imieniu to „partyzanci", wszyscy zaś, którzy zabijają nas — to „bandyci", poczynając od

tambowskich chłopców, co podnieśli bunt w 1921 roku).

A chodzi w istocie o to, że — chociaż niegdyś, w epoce Rusi Kijowskiej, stanowiliśmy jedną wspólnotę narodową, przecież w międzyczasie więzy się rozsprzęgły i przez całe wieki na rozmaitą modłę kształtował się nasz sposób bycia, kształtowały się nasze obyczaje, nasze języki. Tak zwane „zjednoczenie" było nadzwyczaj trudną — chociaż może i szczerą w czyichś

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

**41**

intencjach — próbą nawrotu do dawnego braterstwa. Ale trzy stulecia, które od tej chwili minęły, poszły właściwie na marne. Brak było w Rosji działaczy, którzy potrafiliby zastanowić się skutecznie, jak tu z Ukraińców i Rosjan uczynić prawdziwą rodzinę, jak sprawić, aby zniknęły dzielące ich szramy. A toż gdyby tych szram nie było, wiosną 1917 roku nie powstałyby na Ukrainie komitety narodowe, a później Centralna Rada. Podczas rewolucji lutowej domagali się oni zresztą tylko stworzenia federacji; nikt wtedy nie chciał się separować i ten ostry rozdźwięk powstał w miarę upływu lat pod znakiem komunizmu. Bolszewicy — przed zagarnięciem władzy — mieli do kwestii ukraińskiej podejście jednoznaczne. W «Prawdzie» z 7 czerwca 1917 roku Lenin pisał: „Traktujemy Ukrainę, podobnie jak inne obszary, nie zamieszkane przez rdzenną ludność rosyjską,, jako terytoria zaanektowane przez rosyjskich carów i kapitalistów". Napisał to w momencie, gdy istniała już Centralna Rada, 2 zaś listopada 1917 roku uchwalona została „Deklaracja Praw Narodów Rosji", przy czym — nie dla kawału przecież?, nie po to by ludzi mamić? — oznajmiomo w niej, że narody Rosji ***mają*** *prawo* do samostanowienia — włącznie z możliwością wystąpienia ze wspólnoty. Minęło pół roku — i rząd sowiecki p o p r o s i ł kajzerowskie Niemcy o pomoc w sprawie zawarcia z Ukrainą pokoju i wytyczenia granic. 14 lipca 1918 roku Lenin podpisał taki traktat pokojowy z hetmanem Skoropads-kim. Uznał w ten sposób, że pogodził się z faktem oderwania Ukrainy od Rosji i nie dbał, że chodziło o Ukrainę monarchiczną!

Ale dziwna rzecz. Zaledwie tylko Niemcy skapitulowali przed Ententą (co nie mogło wszak mieć wpływu na stronę *zasadniczą* naszego stosunku do Ukrainy), ledwie tylko stracił — skutkiem tego — władzę pan hetman, ledwie tylko okazało się, że jesteśmy mocniejsi niż Petlura, natychmiast bolszewicy przekroczyli uznaną przez nich samych granicę i narzucili swoją władzę owym rodzonym braciom. Co prawda, jeszcze przez jakieś piętnaście, dwadzieścia lat po tym akcie usilnie i nawet demonstracyjnie bawili się w popieranie ukraińskiej *mowy* wmawiając braciom, że są całkiem niezawiśli i że mogą oderwać się od ZSSR, kiedy tylko zechcą. Ale gdy tylko przyszła im na to chęć pod koniec wojny — oznajmili, że ci, co do tego dążą, to „banderowcy" i jęli ich tropić, wyłapywać, torturować, rozstrzeliwać i wysyłać do obozów. (A „banderowcy", podobnie jak „petlurowcy", to jedynie tacy Ukraińcy, którzy nie życzą sobie obcej władzy. Przekonawszy się, że Hitler wcale nie zamierza przyznać im obiecanej wolności, zaczęli walkę również z hitlerowcami i robili to

aż do końca wojny, ale u nas ten fakt się przemilcza, bo to nam nie na rękę, podobnie jak Powstanie Warszawskie w 1944 roku).

Dlaczego tak drażni nas ukraiński nacjonalizm, ta chęć naszych braci,

**42**

aby mówić po ukraińsku, uczyć dzieci po ukraińsku i wypisywać na szyldach ukraińskie nazwy. Nawet Michał Bułhakow (w swojej *Białej gwardii)* nie ustrzegł się tu przed mylną interpretacją. Skoro nie doszło do pełnego zlania się w jedną całość etniczną, skoro są jednak różnice między nami a nimi (wystarczy, że odczuwają je oni, ci młodsi!) to trudno, to fakt, chociaż przykry! Ale skoro tak jest i skoro tyle okazji zmarnowano — a najwięcej w latach 30. i 40.; do największych zaognieri doszło nie za cara, lecz za komuny — to dlaczego tak nas gniewa ich chęć oderwania się od nas? Tak żal nam plaż pod Odessą?, czerkaskich owoców?

Pisanie o tym wszystkim sprawia mi ból: składniki ukraińskie i rosyjskie przemieszały się w mojej krwi, w sercu i myślach. Ale długie i przyjazne współżycie z Ukraińcami w obozach pozwoliło mi zrozumieć, jak ich to wszystko boli, jakie to już nieznośne dla nich. Nasze pokolenie będzie musiało płacić za błędy poprzednich generacji.

Tupnąć nogą i krzyknąć „to moje" — najprostszy to sposób. O całe niebo trudniej jest powiedzieć: „niech każdy żyje, jak chce!". Zadziwiające, ale wcale się nie sprawdziły przepowiednie Przodującej Doktryny, przewidujące zanik nacjonalizmu. Nie wiedzieć czemu, rozkwitł on właśnie w epoce atomu i cybernetyki. I nadchodzą czasy, w których to my, chcąc nie chcąc, będziemy musieli spłacić wszystkie weksle, opiewające na samostanowienie i niepodległość innych — my sami, nie czekając aż nas zaczną palić na stosach, topić w rzekach i ścinać nam łby. Że jesteśmy wielkim narodem — powinniśmy udowodnić nie ogromem podległych nam obszarów, nie ilością podporządkowanych nam narodów, ale wielkością naszych czynów. I głębokością orki na ziemiach, które zostaną nam po odejściu tych, co nie zechcą żyć razem z nami.

Bardzo bolesna będzie dla nas sprawa ukraińska. Ale trzeba zrozumieć, jaka już gorączka Ukraińców trawi. Jeśli zbratanie nie udało się w ciągu tylu stuleci — to teraz kolej na nas, aby dać przykład rozsądku. Powinniśmy pozostawić wybór im samym. Im, federalistom czy separatystom, niech tam między sobą zadecydują, kto z nich ma rację. Upierać się przy swoim, to i głupie, i okrutne. Im więcej przejawimy teraz ustępliwości, tolerancji i otwartości, tym większa jest nadzieja, że uda się nam w przyszłości odbudować naszą jedność.

Niech spróbują samodzielnego życia. Zapewne szybko zdadzą sobie sprawę, że separacja nie wszystkie problemy rozwiąże[2].

[2] W różnych okręgach Ukrainy rozmaita jest liczba tych, co uważają się za Rosjan, tych co mają się za Ukraińców i takich, co nie mają na ten temat zdania. Wyniknie stąd mnóstwo komplikacji. Może się okazać, że w każdym okręgu trzeba będzie przeprowadzić osobny plebiscyt, aby później odnieść się ze szczególną

troskliwością i uwagą do tych,

**43**

Dziwne to jednak, długo już siedzimy w tej stajennej, podłużnej celi — a jakoś nas nie wysyłają do Stepłagu. Ale nas też nic nie pili: tu nam całkiem wesoło, a tam — może być tylko gorzej.

Co dzień — to nowina, bo też co dzień przynoszą nam do celi jakąś karłowatą gazetkę i to ja właśnie muszę czytać ją na głos. Czytam bardzo w y r a z i ś c i e , bo i wiadomości zasługują na to.

Akurat przypada dziesiąta rocznica w y z w o l e n i a Estonii, Łotwy i Litwy. Ten i ów zna tu rosyjski, więc tłumaczy na chybcika pozostałym (robię odpowiednie pauzy w czytaniu), a ci wyją, no, po prostu wyją na wszystkich pryczach dolnych i górnych, słysząc, jaka to w ich krajach zapanowała wolność, jakiego to dobrobytu doczekali się wreszcie, po raz pierwszy w dziejach. Każdy z tych Bałtów (a stanowią przynajmniej trzecią część wszystkich mieszkańców zborniaka) zostawił za sobą zrujnowany dom, a jeśli miał szczęście — to również osamotnioną rodzinę, ale najczęściej - - rodziny też jadą na Sybir, tylko innym transportem.

Jednak największe podniecenie wśród moich towarzyszy niedoli budziły wieści z Korei, to oczywiste. Stalinowski *blitzkrieg* spalił tam na panewce. Już zjeżdżali się zewsząd ochotnicy do oddziałów ONZ. My zaś uważaliśmy Koreę za Hiszpanię trzeciej wojny światowej. (Zresztą, tak ją też widział Stalin, jako próbę generalną). Te oddziały ONZ budzą w nas podziw osobliwy: to jest dopiero sztandar! — kto by pod nim nie chciał stanąć? Wzór dla przyszłej wszechludzkiej wspólnoty!

Tak bardzo czuliśmy się przytłoczeni, że nie potrafiliśmy już podnieść oczu ponad horyzont naszego nieszczęścia. Nie mogliśmy zdobyć się na takie, dajmy na to, rozumowanie: dobrze, niech przyjdzie na nas zguba, byle tylko włos z głowy nie spadł tym, co z sytą obojętnością patrzą teraz, jak my giniemy. O nie, pragnęliśmy nawałnicy!

Ach, dziwi was to i oburza? Że cynizm, że desperacja? Że nie pomyśleliśmy nawet, ile nieszczęść zwaliłoby się na całą, ogromną resztę ludzi w o l n y c h ? — Ale ta reszta o n a s w ogóle się nie troszczyła! — Więc jak to, faktycznie życzyliście sobie trzeciej wojny światowej?! — Toć skazując w roku 1950 tych wszystkich ludzi na kary, kończące się dopiero

którzy zechcą zmienić miejsce zamieszkania. Nie cala Ukraina, w jej dzisiejszych sowieckich granicach, jest Ukrainą rzeczywistą. Niektóre okręgi Zadnieprza bezwarunkowo ciążą ku Rosji. A już Krym przysobaczyl Chruszczow do Ukrainy w ogóle bez cienia sensu. A Ruś Zakarpacka? To też będzie okazja do próby ognia: żądając dla siebie sprawiedliwości, czy zdobędą sic Ukraińcy na taką samą sprawiedliwość wobec mieszkających w Karpatach Rosjan?

**44**

w połowie lat 70. — jakiż jeszcze inny wybór im daliście, czegóż jeszcze mieli sobie życzyć, jeśli nie wojny światowej?

Dziś mnie samego przejmuje zgroza na myśl o naszych ówczesnych nadziejach, równie zgubnych, co zwodniczych. Powszechne zniszczenie, śmierć atomowa — to nie jest żadne wyjście, to nikomu nic nie da. Zresztą, co tam wojna jądrowa; wszelka wojna jest na rękę przede wszystkim tyranii wewnętrznej, stanowi dla niej usprawiedliwienie, zwiększa jej ciężar. Ale ta moja historia uległaby skażeniu, gdybym nie powiedział z całą szczerością co czuliśmy tamtego lata.

Oczekiwanie na nową wojnę było zmorą, która zatruła młodość pokolenia Romain Rollanda, zmorą zaś naszego pokolenia było to, że wojna nie nadchodziła — i tylko zdając sobie z tego sprawę, będziecie znać całą prawdę o duchu panującym w specobozach politycznych. Do tego stopnia byliśmy zaszczuci. Wojna światowa mogła nam przynieść jedno z dwojga: albo szybką śmierć (mogli nas wystrzelać do nogi wartownicy z wieżyczek czy wytruć zakażonym chlebem, jak to praktykowali Niemcy), albo wolność mimo wszystko. W obu wypadkach — lepsze to, niż czekanie na koniec kary aż do 1975 roku.

Na to też liczył Pietia P-w. Ów Pietia był w naszej celi ostatnim przybyszem z Zachodu. Zaraz po wojnie wszystkie więzienia pełne były po brzegi tych Rosjan, wracających z Europy. Ale tamci dawno już gniją w obozach albo gryzą ziemię, reszta zaś — za Boga nie da się namówić do powrotu, więc ten skąd się tu wziął? Wrócił dobrowolnie w listopadzie 1949 roku, kiedy normalni ludzie już dawno nie wracali.

Wojna zastała Pietię pod Charkowem, gdzie uczył się w szkole rzemieślniczej. Wzięto go do tej szkoły przymusowo, z mobilizacji. Tak samo z musu znalazł się w Niemczech. Niemcy wywieźli całą szkolną gromadkę. Aż do końca wojny był więc *Ostarbeiterem* w Niemczech, tam też uformowały się jego poglądy: grunt to łatwe życie, niech licho weźmie harówkę, do której namawiano człowieka od małego.

Na Zachodzie, żerując na tamtejszej łatwowierności i słabej ochronie granic, Pietia przemycał kradzione francuskie auta do Włoch, a włoskie do Francji, aby sprzedawać je za pół ceny. Francuzi wyśledzili go jednak i aresztowali. I wtedy Pietia wystosował do sowieckiej ambasady list, wyrażając w nim gorącą chęć powrotu do ukochanej ojczyzny. Tak to sobie wykalkulował: francuski wyrok trzeba będzie odsiedzieć co do jednego dnia, a mogli wlepić nawet 10 lat. W ZSSR za zdradę kraju dadzą wprawdzie 25, ale już trzecia wojna w powietrzu, Związek Sowiecki nie utrzyma się chyba dłużej niż trzy lata, w sumie więc lepiej iść za sowieckie kraty. Przyjaciele z ambasady zjawili się bez zwłoki i przytulili Pietię do łona.

45

Władze francuskie chętnie pozbyły się złodzieja [3]. W ambasadzie zgromadzono już koło trzydziestu ptaszków tegoż (albo zbliżonego) autoramentu. Posłano ich z komfortem, statkiem pasażerskim do Murmańska, pozwolono powałęsać się trochę po mieście — i w ciągu jednej doby wyłapano wszystkich po kolei.

W naszej celi Pietia zastępował nam zachodnią prasę (znał wszystkie szczegóły procesu Krawczenki), teatr (bo potrafił zręcznie wybrzdąkać na wargach niejeden

zachodni przebój) i kino (opowiadał nam zachodnie filmy, ilustrując relację gestami).

Jak swobodnie czuliśmy się w tym kujbyszewskim zborniaku! Poszczególne cele spotykały się czasem na dziedzińcu i podczas spacerów. Spod okiennego kagańca można było przerzucić się paru słowy z przybyszami, gdy nowy etap pędzono przez dziedziniec. Idąc do latryny, można było nawet podejść do otwartych (to znaczy zakratowanych, ale bez blach) okien baraku rodzinnego, gdzie trzymano kobiety z dziećmi, przeważnie z krajów nadbałtyckich i z Ukrainy zachodniej. Między dwoma celami stajennymi była wąska szpara, zwana „telefonem"; od rana do wieczora tkwił ktoś przy niej, aby podzielić się wieściami z sąsiadem.

Wszystkie te luzy dodały nam jeszcze więcej wigoru, grunt pod naszymi nogami wydał nam się pewniejszy, pod nogami strażników — zdawał się już dymić. I podczas spacerów zadzieraliśmy głowy coraz wyżej, wpatrując się w niebo nad dziedzińcem, rozpalone do białości lipcowym upałem. Nie zdziwilibyśmy się ani nie przestraszyli wcale, gdyby klin obcych bombowców wypełzł na to niebo. Tak żyć dalej nie mieliśmy już żadnej ochoty.

Nowo przybyli ze zborniaka Karabas przywieźli wieść, że już tam ponoć pojawiły się ulotki „Mamy tego dosyć!". Podbijaliśmy sobie nawzajem bębenka takimi opowiastkami. W tym nastroju pewnej upalnej nocy w Omsku, kiedy nas — jak kawały duszonego we własnym pocie mięsa — wpychano i wgniatano do więziennej karetki, zaczęliśmy wrzeszczeć z jej wnętrza: „Poczekajcie, gady! Znajdzie się na was Truman! Spadnie warn na łby atomówka!". Strażnicy milczeli tchórzliwie. Czuli dobrze, jak nasz nacisk rośnie, a my czuliśmy —jak rośnie w nas poczucie, że to my idziemy prawą drogą. I głód sprawiedliwości tak nas już zadręczył, że wcale nie byłoby nam szkoda życia, gdyby ta sama bomba spalić miała i nas, i naszych katów. Doszliśmy do kresu, do takiego stanu ducha, kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia.

[3] Podobno z francuskich danych statystycznych, dotyczących mniejszości narodowych, wynika, że między dwiema wojnami światowymi rosyjscy emigranci wyróżnili się wśród innych grup najniższą stopą przestępczości. Po drugiej zaś wojnie światowej — wśród cudzoziemców przebywających we Francji największą liczbę elementów przestępczych znaleźć można właśnie wśród Rosjan, byłych obywateli sowieckich.

46

Gdybym tego nie wyjawił, nie znalibyście całej prawdy o Archipelagu lat 50.

Omskie więzienie, to które poznał Dostojewski, nie jest byle jakim, skle-panym z tarcic gułagowskim zborniakiem. To groźna turma z czasów Katarzyny, groźne zwłaszcza są jej lochy. Nie sposób wymyśleć lepszej scenerii do filmu niż cela w tych lochach. Kwadratowe okienko jest tylko wyziorem pochyłej studni, wychodzącej tam, w górze, na powierzchnię gruntu. Trzymetrowa głębokość tej studni daje pojęcie o grubości tutejszych murów. W celi nie ma powały, zwisają ciężko murowane stropy. Jedna ściana zawsze wilgotna: wody gruntowe ściekają aż na podłogę. Rano i wieczorem — zawsze tu ciemno, w samo południe — panuje półmrok. Szczurów nie

widać, aie zdaje się człowiekowi, że zewsząd bije szczurzy zapach. I chociaż strop nawisł tak nisko, że można do niego gdzieniegdzie sięgnąć ręką, nawet tu wstawiono dwupiętrowe prycze, przy czym dolna półka jest już nad podłogą, pół stopy nad ziemią.

Zdawałoby się, że w tej turmie powinny by przygasnąć te mętne, buntownicze nastroje, które rozpanoszyły się wśród nas w kujbyszewskim, rozbałaganionym zborniaku. Bynajmniej! Wieczorem, przy 15-watowej żarówce, dającej tyle światła co ogarek, staruszek Drozdów, łysy, o zaostrzonych rysach, psalmista odeskiego soboru katedralnego staje we wnęce pod okienną studnią i głosem słabym, w którym jednak wibruje świadomość, że życie gaśnie, śpiewa nam starą pieśń rewolucyjną:

*Jak zdrada, jak czarne tyrana sumienie*
*tej nocy jesiennej jest mrok, Lecz jeszcze mroczniejsze od nocy — wiezienie*
*co we mgle majaczy o krok.*

Śpiewa tylko dla nas, ale choćby nawet krzyczał na głos i tak nikt nie usłyszy. Gdy śpiewa, ostre jabłko Adama rusza mu się rytmicznie pod suchym brązem skóry. Śpiewa, dygocąc cały, wspomina i emanuje z siebie kilka dziesięcioleci rosyjskiego życia i ten jego dreszcz udziela się nam, słuchającym:

*Choć cicho tu w krąg, turma nie cmentarz. Więc sie strzeż,*
*wartowniku, czuj duch'*

Taka pieśń w takim więzieniu[4]! 1 wszystko się zgadza. Wszystko rymuje się z tym, czego oczekuje nasza więźniarska generacja.

[4] Szkoda że Szostakowicz, przed skomponowaniem swojej Jedenastej Symfonii, nie wysłucha) tej pieśni t u t a j ! Albo w ogóle by jej — w takim wypadku — nie napisał, albo postarałby się dać w niej wyraz treściom współczesnym, nie zaś dawno już martwym.

**47**

Kładziemy się wreszcie na pryczach w tym żółtawym półmroku, w chłodzie i wilgoci. No, a kto nam dziś z a s u n i e r o m a n s ?

A oto zabiera głos Iwan Aleksiejewicz Spasski — i jest tak, jakby wszyscy naraz bohaterowie Dostojewskiego przemówili wspólnym głosem. Głos to łamiący się, zacinający, niespokojny, wydaje się, że lada chwila przekształci się w płacz, w bolesny krzyk. Najbardziej prymitywna powieść Breszko-Breszkowskiego, typu *Czerwonej madonny,* brzmi jak pieśń o Ro-landzie, tyle w tym głosie wiary, męki i nienawiści. I mniejsza, czy to prawda, czy puste zmyślenie, ale w pamięć naszą wrzyna się jak epos historia o Wiktorze Woroninie, o tym jak przemaszerował sto pięćdziesiąt kilometrów, aby znaleźć się w Toledo i jak przebił się do oblężonego Al-kazaru.

Życiorys Spasskiego sam przez się byłby materiałem do niezgorszej powieści. Jeszcze jako chłopak brał udział w kampaniach wojny domowej, od pierwszej do

ostatniej chwili. Wyemigrował do Włoch. Ukończył rosyjską szkołę baletową za granicą, zdaje się — u Karsawinej, a pod okiem pewnej rosyjskiej hrabiny uczył się sztuki snycerskiej (później, w obozie, wszystkich nas zadziwił: sam sobie zrobił miniaturowe narzędzia i wykonywał na zamówienie naczelników mebelki tak misterne, o tak wymyślnych kształtach, że ci tylko gęby z podziwu otwierali; co prawda, taki stoliczek robił dobry miesiąc). Wraz ze swoim zespołem baletowym występował w różnych krajach Europy. Był operatorem włoskiej kroniki filmowej podczas wojny domowej w Hiszpanii. W charakterze majora włoskiego korpusu ekspedycyjnego, pod nazwiskiem Giovanni Paschi (lekko więc retuszowa-nym), znalazł się latem 1942 roku znów nad Donem jako dowódca batalionu. Tu batalion jego został otoczony, chociaż w zasadzie sowieckie wojska były jeszcze w odwrocie. Spasski chciał bić się do upadłego, ale młodzi Włosi z jego oddziału uderzyli w płacz — chcieli żyć i tyle! Major Paschi zawahał się i w rezultacie wywiesił białą chorągiew. Mógł odebrać sobie życie, ale wielką miał ochotę, aby przyjrzeć się trochę sowieckim ludziom. Poszedłby do zwykłego obozu jeńców i po czterech latach byłby już we Włoszech, jednakże ruska dusza nie zdzierżyła, dała o sobie znać — wygadał się przed oficerami, którzy wzięli go do niewoli. Fatalna omyłka! Skoro człowiek ma nieszczęście być Rosjaninem — powinien to ukrywać jak brzydką chorobę, inaczej biada mu! Najprzód trzymano go przez rok w Łubiance. Następne trzy lata — w międzynarodowym obozie w Charkowie (dla Hiszpanów, Włochów, Japończyków — taki też istniał). I kiedy już odsiedział 4 lata, wlepiono mu jeszcze 25, nie zaliczając tych czterech wcale. Ale jakie tam 25! — w katorżniczym obozie pisany był mu rychły zgon.

Do więzienia w Omsku, a potem w Pawłodarze, trafiliśmy dlatego, że

48

w miastach tych — poważne to przeoczenie — nie było dotąd specjalnych zborniaków. W Pawłodarze — o hańbo! — nie było nawet karetek więziennych i dlatego pędzono nas długim szeregiem od dworca do więzienia, przez pól miasta, wcale nie krępując się przechodniów, zupełnie jak przed rewolucją albo w trakcie pierwszego dziesięciolecia po niej. Dzielnice, któreśmy mijali, pozbawione były jeszcze bruku i wodociągów, parterowe domki tonęły w burym piachu. Miasto co się zowie zaczynało się dopiero od więzienia, piętrowego, białego murowańca.

Ale w XX wieku to więzienie nie budziło grozy, lecz dawało poczucie odprężenia, nie strach budziło, lecz śmiech. Przestronny, cichy dziedziniec gdzieniegdzie pokryty mizerną trawką i podzielony wcale nie groźnymi płotkami na działki do spacerów. Okna cel na piętrze zakratowane paru prętami na krzyż, bez blach i blińców; można stanąć sobie na parapecie i rozglądać się po okolicy. Pod oknami, między ścianą budynku więziennego a zewnętrznym murem ochronnym, biega sobie ogromne psisko na łańcuchu i czasem szczeknie głośno ze dwa razy, jeśli coś je wytrąci z równowagi. Ale pies też wcale nie jest więzienny, niestraszny, to nie wilczur tresowany do łapania ludzi, tylko jakiś biało-żółty kudłacz, nieomal pies podwórzowy (jest w Kazachstanie taka rasa), chyba porządnie już stary. Przypomina tych

dobrodusznych dziadków, strażników obozowych, których swego czasu przeniesiono z armii czynnej i którzy wcale nie ukrywali jaka niemiła im ta psia służba.

Dalej, od razu za murem — widać ulicę i kiosk z piwem i wszyscy, którzy tam się kręcą — albo przyszli do więzienia z paczką, albo czekają na zwrot tary. A jeszcze dalej widać całe dzielnice jednakowych, parterowych domków, zakole Irtysza i nawet dal stepową za rzeką.

Jakaś żwawa dziewczyna, która właśnie odbierała na wartowni pusty koszyk, podniosła głowę, dostrzegła w oknie nas i nasze powitalne machanie rękoma, ale udała, że nie widzi. Godnie i spokojnie krocząc, skręciła za kiosk, aby zejść z oczu wartownikom i tam dopiero wszystko się w niej migiem odmieniło, rzuciła swój kosz, macha do nas podniesionymi rękoma, uśmiecha się! Szybkim ruchem palca dzierga w powietrzu rząd niewidzialnych pętelek: „piszcie, piszcie listy!", ruchem drugiej dłoni daje znak: „rzucajcie, rzucajcie je mnie!" — i szeroki gest w stronę miasta: „odniosę, przekażę!". I rozwiera ramiona: „czego jeszcze warn trzeba? czym warn pomóc? Przyjaciele!".

Wszystko to było tak szczere, tak bezpośrednie, tak niepodobne do naszej zatłamszonej *wolności*, do zachowania się naszych skołowaciałych obywateli! — co to takiego??? Czy jakieś inne czasy nastały? Czy to może w Kazachstanie takie obyczaje? Tu przecież połowa ludności - - to zesłańcy...

3 Archipelag Gulag 49

Droga, dzielna dziewczyno! Jak prędko przyswoiłaś sobie, jak dobrze zrozumiałaś arkana podwięziennej mądrości! Co za szczęście (czy to aby nie łzy czuję pod powieką?), że są jeszcze takie jak ty!... Przyjm nasz pokłon, bezimienna! Ach, gdyby cały nasz naród był z takiej gliny! — nikogo by nie pakowano za druty; zacięłyby się przeklęte tryby!

Rzecz jasna, mieliśmy w fufajkach kawałki grafitu. I strzępki papieru. I zawsze można było odłupać kawałek tynku, przywiązać nitką do kar-teluszka i rzucić. Ale o co tu prosić w tym Pawłodarze? Więc tylko kłanialiśmy się jej i machaliśmy dłońmi.

Wieziono nas w głąb pustyni. Nawet niepozorny, wsiowy Pawłodar będzie nam się już wkrótce wydawał rozbłyskaną stolicą.

Teraz jedziemy już pod eskortą ze Stepłagu (ale, na szczęście, nie z dżez-kazgańskiej jego filii; przez całą drogę błagaliśmy los, aby nie posłano nas do kopalni miedzi). Przysłano po nas ciężarówki z wysokimi burtami i z kratą, oddzielającą przednią część nadwozia; ta krata odgradza strażników z automatami od nas jak od dzikich bestii. Posadzono nas po turec-ku, stłoczonych na dnie ciężarówki, tyłem do kierunku jazdy i w fakiej pozycji musieliśmy trząść się na wybojach przez osiem godzin. Strażnicy z pepeszami siedzieli na dachu kabiny i przez całą drogę lufy ich automatów wycelowane były w nasze grzbiety.

W kabinach jechali lejtnanci, sierżanci, a w naszej — żona jakiegoś oficera z sześcioletnią córeczką. Dziewczynka wyskakiwała z kabiny na przystankach, biegała po stepowej trawie, zbierała kwiatki, głośnymi okrzykami porozumiewała się z

mamą. Wcale jej nie peszyły ani automaty, ani psy, ani bezkształtne, oszpecone łby aresztantów, widoczne nad burtami samochodów; nasz straszny świat nie rzucał cienia na jej łąki i kwiaty, nie spojrzała ani razu na nas, nawet z prostej ciekawości... Przypomniałem sobie wtedy sierżanckiego synka ze specwięzienia w Zagorsku. Miał swoją ulubioną zabawę: rozkazywał dwóm chłopakom od sąsiada zakładać ręce do tyłu (niekiedy wiązał je im postronkami), sam zaś maszerował obok nich z pałką na ramieniu, bawiąc się w konwojenta.

Czym żyje ojciec, tym syn się bawi...

Przecięliśmy Irtysz. Długo jechaliśmy przez podmokłe łąki, później przez step, gładki jak stół. Dech od rzeki, świeżość stepowego wieczoru, zapach piołunu — wszystko to biło nam w nozdrza podczas krótkich przystanków, kiedy opadały tumany popielatego pyłu, wzbijającego się spod kół. Pokryci grubą warstwą tego pyłu, wybałuszaliśmy oczy (głowy nie wolno było odwracać) w milczeniu (bo rozmawiać też nie było wolno) i rozmyślaliśmy o obozie, do którego nas wieziono, noszącym dziwną jakąś, zawiłą, niero-syjską nazwę. Czytaliśmy ją na naszych aktach, leżąc na górnej półce sto-

50

łypinki. Do góry nogami, ale odczytać się dało: EKIBASTUZ; nikt jakoś nie wiedział, gdzie to właściwie jest i tylko podpułkownik Oleg Iwanów przypominał sobie, że są tam jakieś kopalnie węgla. Komuś roiło się nawet, że niedaleko do chińskiej granicy (a ten i ów już się cieszył, bo jeszcze nie oswoił się z myślą, że w Chinach teraz jeszcze gorzej niż u nas). Komandor-podporucznik Burkowski (pierwszy raz za kratą i to z 25-letnim wyrokiem na karku) boczył się jeszcze i stronił od nas, bo przecież jest członkiem partii, wpakowano go tu omyłkowo, a dookoła sami wrogowie ludu; mnie tolerował tylko dlatego, że byłem sowieckim oficerem i nie siedziałem w niewoli u Niemców — otóż Burkowski przypomniał mi rzecz, która po studiach wypadła mi z pamięci: przed dniem jesiennego zrównania dnia z nocą nakreślimy na ziemi linię południkową, a 23 września odliczymy wysokość kulminacji słonecznej od dziewięćdziesięciu — i będziemy znać naszą szerokość geograficzną. Jest w tym jakaś pociecha, chociaż i tak długości geograficznej nie ustalimy.

Wiozą nas i wiozą. Zapadł zmrok. Na czarnym niebie zabłysły duże gwiazdy i teraz można było się zorientować, że jedziemy na południo--zachód.

W blasku reflektorów jadących za nami aut wiją się strzępy chmury kurzu, wzbitego przez pędzące koła, ale widocznego tylko w świetle lamp. Dziwny to miraż: cały świat zatopiony w chybotliwym mroku i tylko te molekuły kurzu błyszczą, wirują, i kreślą przed nami złowróżbne obrazy przyszłości.

Na jakiż to kraj świata, do jakiej to zatraconej dziury tak nas wiozą, gdzież to wzniecić mamy naszą rewolucję?

Podkurczone nogi tak zmartwiały, że już ich się wcale nie czuło. Dopiero koło północy przybyliśmy do obozu, otoczonego wysokim drewnianym płotem, jaskrawo oświetlonego lampami uśpionej, czarnej osady, latarniami przed wartownią i

reflektorami wokół żony.

Jeszcze jeden apel — „do marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego!" — i przez wysokie, dwuskrzydłowe wierzeje wprowadzono nas tu na całe ćwierćwiecze.

Obóz spał, ale światło waliło z okien wszystkich baraków tak, jakby kipiało w nich życie. Skoro nie gaszą na noc — to znaczy, że reżym tu -więzienny. Wrota baraków pozamykane są od zewnątrz na ciężkie kłody. Na jasnych prostokątach okien czernieje krata.

Wyszedł na dwór funkcjonariusz cały oblepiony łatami *n u m e r ó w* .

A czytaliście w gazetach, że w faszystowskich obozach więźniowie nosili *numery]*

III

## OKOWY, OKOWY

Ale nasze niecierpliwe, przedwczesne nadzieje rychło zostały zadeptane. Zefirek przemian czuło się tylko tam, gdzie wiały przeciągi — w zbor-niakach, na etapach. Tu zaś, za wysokie płoty Specobozów, wcale nie dolatywał. I chociaż w tych obozach siedzieli sami polityczni, żadne buntownicze ulotki na słupach nie wisiały.

Podobno w Minłagu kowale odmówili kucia krat do okien baraków. Chwała im, choć nie znamy ich jeszcze z imienia! To byli ludzie! Wtrącono ich do BUR-a. Kraty dla Minłagu wykuto w Kotłasie. 1 nikt jakoś nie poparł tych kowali.

Dzieje Specobozów zaczęły się pod znakiem tejże niemej, ba — skwapliwej pokory, którą wpajano w ludzi przez trzy dziesięciolecia historii ITŁ.

Więźniowie przerzuceni etapem spod bieguna niewiele mieli radości z kazachstańskiego słoneczka. Na stacji Noworudnoje zeskakiwali z czerwonych wagonów na ziemię tegoż czerwonego koloru. Zawdzięczała to owej dżezkazgańskiej miedzi, której wyziewów nikt z kopaczy nie mógł wytrzymać dłużej niż przez cztery miesiące; później ginął. Tutaj również dziarscy nadzorcy od razu wypróbowali na pierwszych winowajcach pewien nowy przyrządzik: *kajdanki*, nigdy nie stosowane w ITŁ — lśniące, niklowane kajdanki, których masową produkcję udało się w ZSSR zorganizować właśnie w trzydziestolecie Październikowej (robili je w jakiejś fabryce robotnicy o wąsach przysypanych siwizną — proletariaccy bohaterowie naszej literatury — bo przecież nie Stalin z Berią osobiście?). Kajdanki tym różniły się od zwyczajnych, że można je było zaciskać bardzo ciasno: zamek wyposażony był w kółko zębate i gdy ręce więźnia już były w kajdanach,

**52**

zamek dociskało się na kolanie strażnika tak, by jak najwięcej ząbków wlazło i żeby bardziej bolało. Kajdanki przestawały więc być urządzeniem ochronnym, krępującym tylko ruchy aresztanta, stając się narzędziem tortury: ściskały napięstki, powodując stały i ostry ból w rękach — wykręconych, wyłamanych do tyłu. Trwało to godzinami. Stosowano inny jeszcze chwyt: szczęki kajdan zaciskano na samych palcach obu dłoni więźnia, co powodowało ostry ból w stawach.

W obozie Bierłag kajdany stosowano z osobliwą gorliwością: za byle co, za to że

więzień nie zdjął czapki na widok strażnika. Zakładano kajdanki (wykręcając ręce do tyłu) i stawiano człowieka obok wartowni. Ręce puchły, drętwiały i dorośli mężczyźni szlochali: „Obywatelu naczelniku! Już więcej nie będę! Zdejmijcie tylko te kajdany!". (Porządek w tym Bierłagu panował wzorowy — nie tylko do stołówki maszerowało się na komendę, ale na komendę siadało się przy stole, na komendę brało się łyżki w garść, na komendę siorbało się sałamachę, na komendę wstawało się i wychodziło na dwór).

Nie trudno było potem napisać zlecenie: „Zorganizować Specobozy! Zameldować się z projektem regulaminu takiego a takiego dnia!". A przecież niejeden pracowity *ciupolog* (a zarazem — psycholog i znawca życia obozowego) musiał w tym celu punkt po punkcie przeanalizować — czym by tu jeszcze dopiec?, co jeszcze dorzucić do ciężaru ponad siły?, jak jeszcze bardziej zatruć życie tubylca-zeka i tak już gorzkie? Po przeniesieniu z ITŁ do Specobozów — to bydło powinno przecież od razu odczuć, że tu o wiele surowiej i ciężej — ale nasamprzód ktoś musi to punkt po punkcie obmyś-leć!

No, rzecz jasna, wzmocnić trzeba pod każdym względem ochronę obozu. We wszystkich Specobozach żony zostały poprzegradzane pasami ziemi niczyjej, poprzedzielane dodatkowymi zasiekami z drutu kolczastego, a całe przedpole żony usiane zostało kolczastymi spiralami. Wzdłuż szlaków, którymi ciągnęły do pracy kolumny robocze — na każdym ważniejszym skrzyżowaniu i zakręcie — ustawione były gniazda karabinów maszynowych, przy których warowali strzelcy, leżąc w pozycji bojowej.

W każdym podobozie było murowane więzienie — BUR[1]. Kto szedł do BUR-a — musiał najprzód oddawać swój waciak: tortura chłodu była ważnym punktem repertuaru tych instytucji. Zresztą, każdy barak był więzieniem, bo to i kraty w oknach, i zamykanie drzwi na noc, i kible w celach. A jeszcze w każdej żonie był jeden albo i dwa baraki karne ze wzmocnioną

[1] Zwać je będą po dawnemu BUR, jak zwano je u nas z przyzwyczajenia, ale nie chodziło o karcery w barakach, jak w obozach pracy poprawczej — to były w istocie więzienia wewnętrzne.

**53**

strażą, z własną malutką *żonką* wewnątrz żony; zamykano je na klucz zaraz po powrocie więźniów z pracy, jak w pierwszym okresie istnienia katorgi. (To były BUR-y właściwe, ale u nas nosiły inną nazwę: *reżymki).*

Zupełnie otwarcie zapożyczony został od hitlerowców pomysł z numerowaniem więźniów: nazwisko więźnia, samo „ja" więźnia, jego osobowość, podlegało zamianie na numer; w rezultacie nie jakieś ludzkie cechy stanowiły o różnicy między ludźmi, lecz tylko niższy albo wyższy numer kolejny w szarym szeregu. Numerowanie samo przez się może stać się torturą, jeśli je stosować konsekwentnie, do ostatecznych granic. Próbowano zresztą tego. Każdy nowo przybyły naprzód musiał „zagrać na fortepianie" w Specwydziale obozu (to znaczy — zostawić tam

swoje odciski palców, jak to robiono w więzieniach, czego natomiast w ITŁ nigdy nie bywało), po czym zawieszano mu na szyi sznurek z tabliczką. Na tabliczce wypisywano jego numer, na przykład SZCZ-262 (w Ozierłagu doszli nawet do „Y", toć alfabet jest krótki!) i z tą deszczułką na piersi uwieczniał go fotograf Specwydziału (wszystkie te zdjęcia gdzieś są jeszcze przechowywane! Jeszcze będziemy je kiedyś oglądać!).

Tabliczkę w końcu zdejmowano (toż to więzień, a nie żaden pies) dając w zamian człowiekowi cztery (w niektórych obozach tylko trzy) białe łaty
0 wymiarach 8 na 15 centymetrów. Łaty te musiał on sam sobie przyszyć
w miejscach ustalonych, przepisy nie wszędzie były jednobrzmiące, ale
przeważnie łaty naszywano na grzbiecie, na piersi, nad daszkiem czapki
1na rękawie albo nogawicy[2]. Waciaki były zawczasu dziurawione w tych
punktach — w warsztatach obozowych specjalni krawcy zajmowali się
wyłącznie tym psuciem nowych sortów: w tkaninie waciaków wycinano
kwadratowe dziury tak, aby wata wyłaziła. Robiono to po to, by zek nie
mógł — w razie ucieczki — spruć numerów i udawać wolniaka. W nie
których obozach stosowano jeszcze prostszą metodę: numer wypalano
chlorkiem wprost na odzieży.

Strażnikom kazano wywoływać zeków tylko według numerów, nie wymieniać zaś nigdy ich nazwisk, ba, nie znać ich nawet. Gdyby trzymali się tej zasady wytrwale — rzecz mogłaby stać się dość trudna do zniesienia. Ale nie potrafili się na to zdobyć (co Rosjanin, to nie Niemiec) i nim rok minął, już zaczęli się mylić, wołać tego czy owego po nazwisku. Powtarzało się to coraz częściej. Dla ułatwienia strażnikom ich trudnego zadania przybijano do „wagonetek" tabliczki z numerami sypiających tu zeków. Nie

[2] Mam fotografie robione już później, na zestaniu, ale nosze na nich tę samą fufajkę i te same mam na niej numery, jakie dano mi w obozie. Przez cały czas spędzony w Ekibas-tuzie nosiłem numer SZCZ - 232, dopiero pod koniec tej odsiadki zmieniono mi go na SZCZ - 262. Numery te udało mi się potajemnie wywieźć z obozu, mam je po dziś dzień.

54

widząc więc nawet numeru wypalonego na odzieży śpiącego, strażnik mógł zawsze wywołać go, a pod jego nieobecność — wiedział od razu na jakiej pryczy zaszło wykroczenie. Przed nadzorcami otwierało się też nowe pole dla nader owocnych akcji: mogli po cichu zdejmować kłódkę i wchodzić do baraku przed pobudką, zapisując numery tych, co wstali za wcześnie, albo też — wpadać natychmiast po pobudce i zapisywać tych, co nie zdążyli jeszcze zerwać się z prycz. W obu wypadkach wolno było posyłać ludzi do karceru, ale w Specobozach najczęściej wymagano od winowajców *pisania* usprawiedliwień — i to bez względu na zakaz posiadania piór i atramentu oraz przy prawie zupełnym braku papieru. System tych pisemnych wyjaśnień — marudny, żmudny, męczący — był to wynalazek niegłupi,

tym bardziej, że zwierzchności nigdy nie zbywało na gorliwych nierobach — i na czasie do rozpatrywania ich meldunków. Tak więc nie karano cię po prostu, ale wymagano najprzód, abyś wyjaśnił na piśmie, dlaczego prycza źle zasłana; jak mogłeś pozwolić, aby tabliczka z twoim numerem przekrzywiła się na gwoździu; dlaczego numer w twojej fufajce zamazany jest błotem i dlaczegoś go zaraz nie oczyścił; jak mogłeś ośmielić się palić papierosa w sypialni; dlaczegoś nie zdjął czapki przed strażnikiem[1]. Głębia myślowa tych pytań była taka, że trudniej było sformułować odpowiedź na piśmie komuś, kto pisać umiał, niż takiemu co był niepiśmienny. Ale odmowa pisania wyjaśnień powodowała obostrzenie kary. Pisano więc te cedułki jak najstaranniej, aby okazać tym należny szacunek Stróżom Dyscypliny, i wręczano je nadzorcy baraku, by ten mógł zanieść je z kolei Zastępcy Szefa Wydziału Dyscyplinarnego albo nawet samemu Szefowi, który pisał na marginesie, jaka kara się należy.

Również w dokumentach sprawozdawczych brygad roboczych trzeba było wymieniać numer przed nazwiskiem — czy zamiast nazwiska? — ale strach było z nazwisk całkiem zrezygnować! Bądź co bądź imię wlecze się za człowiekiem i ślad zostawia, imię własne jest jak zaczep, na którym trzyma się człowiek całe życie, numer zaś — to bagatelka, fiut — i już go nie ma. Gdybyż te numery wypalone były albo wytatuowane na samym ciele! — inna sprawa. Ale tego już nie zdążyli załatwić. A mogli byli, mogli jak pić dać, niewiele brakowało.

Pomysł z numerami o to jeszcze się rozbijał, że przecież nie siedzieliśmy w izolatkach i nie tylko ze strażą mieliśmy do czynienia, ale też z innymi więźniami. Więźniowie zaś — nie dość że nigdy nie używali między sobą numerów zamiast nazwisk, ale nawet ich *nie widzieli* (chociaż wydawało się,

[J] Publicysta przedrewolucyjny, Doroszewicz, zwiedzając Sachalin d z i w i ł się, że więźniowie zdejmują czapki na widok dyrektora więzienia. My zaś musieliśmy zdzierać czapki z głów przed każdym ciurą.

55

że nie mogą ujść niczyjej uwagi te krzyczące białe łaty na czarnym tle; gdy zbierało się nas wielu do kupy — przy rannych zbiórkach czy apelach kontrolnych — numery pstrzyły się jak tablica logarytmów, ale dostrzec to mogło tylko jakieś nowe oko) — i to do tego stopnia, że nikt nigdy nie wiedział jaki numer nosi najbliższy przyjaciel, kolega z tej samej brygady. Pamiętało się tylko własny. (Wśród p r y d u r k ó w zdarzali się gogusie, dbający by numer przyszyty był elegancko z kokieteryjną starannością, z obrębką skrajów, drobnym ściegiem, no w ogóle *jak najładniej*. Wieczne służalstwo! My zaś — na odwrót, staraliśmy się, aby numery nasze miały wygląd jak najbardziej niechlujny).

Reżym Specobozów obliczony był na zupełną tajność całej imprezy, na to że żaden głos skargi stąd nie doleci, że nikt stąd nie wyjdzie na wolność, że nikt sam się nie wyrwie. (Ani Oświęcim, ani Katyń nie nauczyły niczego naszych gospodarzy). Dlatego pierwsze Specobozy — to obozy z pałkami. Najczęściej chodzili przy pałkach nie sami panowie nadzorcy (mieli przecież kajdanki) — tylko ich zausznicy

spośród zeków: szefowie baraków, brygadziści. Ale bić mogli do woli i to z błogosławieństwa zwierzchności. W Dżezkazganie przed zbiórką do roboty, pod drzwiami baraków, stawało po dwóch dziesiętników z palami, krzycząc po staremu: „Wyłazić na wyścigi! ostatniego marny los!!" (istotnie, kto wychodził ostatni, ten mógł pożegnać się z życiem[4]). Dlatego też zwierzchność mało się przejmowała, gdy 200 ludzi, wysłanych pieszym etapem, zimową porą, z Karabasu do Spasska, zamarzło po drodze. Ocaleli leżeli tłocznie we wszystkich salkach i korytarzach lazaretu, gnijąc żywcem i cuchnąc ohydnie, a doktor Koles-nikow dokonał amputacji dziesiątków rąk, nóg i nosów[5]. Specobozy wydawały się otoczone tak nieprzeniknioną tajemnicą, że słynny szef działu dyscyplinarnego w Spassku, kapitan Worobiow, mógł ze swoimi pachoł> karni najprzód posłać pewną węgierską tancerkę (zeczkę) do karceru, następnie „skazać" ją na noszenie kajdan, by wreszcie dopuścić się na zakutej tak dziewczynie zbiorowego gwałtu.

Regulamin pomyślany był jako mechanizm nierychliwy, lecz drobiazgowy i wszechobecny. Na przykład — nie wolno było mieć żadnych fotografii. Nie tylko zdjęć własnych (ucieczka!), lecz również osób bliskich. Odbierano je i niszczono. Starościna baraku kobiecego w Spassku, kobieta

[4] W Spassku w 1949 roku coś jednak trzaslo. Brygadzistów zwołano do sztabu i kazano
im oddać pałki. Musieli rządzić odtąd bez tych narzędzi.

[5] Ów doktor Kolesnikow należał do grona „biegłych", którzy firmowali kłamliwe spra
wozdanie Komisji Katyńskiej, głoszące że to nie my wymordowaliśmy tam polskich ofi
cerów. Za to też sprawiedliwym zrządzeniem Opatrzności dostał się sam do obozu. A dla
czego posłała go tam ziemska władza? Jasne, żeby się nie wygadał. Murzyn zrobił swoje,
murzyn mógł więc odejść.

56

już niemłoda, nauczycielka, postawiła na swoim stoliczku fotografię Czaj-kowskiego. Nadzorca skonfiskował ją i wrzepił nauczycielce trzy doby ciemnicy. — „Przecież to portret Czajkowskiego". — „Ja tam nie wiem czyj, ale babom nie wolno trzymać w baraku męskich fotografii". W Kengirze wolno było dostawać krupę w paczkach od rodzin (czemu nie), ale gotować jej zabroniono i to w sposób stanowczy. Jeśli zek warzył sobie gdzieś kaszę na dwóch cegłach, strażnik wywracał menażkę kopniakiem, a winowajcy rozkazywał gasić ogień gołymi rękoma. (Owszem, zbudowano później szopkę dla celów kuchennych, ale już po dwóch miesiącach rozwalono piec i zakwaterowano w szopie oficerskie wieprzki oraz konika opera Bielajewa).

Wprowadzając te regulaminowe wynalazki, gospodarze nie zapominali jednak o doświadczeniu przywiezionym z ITŁ. W Ozierteigu kapitan Mi-szyn, naczelnik

podobozu, przywiązywał do sań tych, co odmawiali chodzenia do pracy, i tak wlókł ich na miejsce robót.

Na ogół biorąc, reżym Specobozow okazał się tak dobrze pomyślany, że do niegdysiejszych katorżników stosowano tutaj ogólne, obowiązujące teraz przepisy, trzymano ich też w tych samych żonach. Cała różnica sprowadzała się tylko do innych liter na numerowanych latach. (No, jeżeli gdzieś miejsc w barakach nie starczało, to — jak w Spassku — katorżników lokowano w szopach i stajniach).

W ten sposób Specobozy, choć oficjalnie miana katorżniczych nie nosiły, stały się ich prawnymi spadkobiercami i dziedzicami, zlały się z nimi.

Trzeba było wszelako podeprzeć regulamin odpowiednio dobranym wiktem i odpowiednią pracą, aby więźniowie dobrze przyswoili sobie jego zasady.

Więźniów ze Specobozow przydzielono do robót możliwie najcięższych w danej okolicy. Słusznie już Czechów podkreślał, że „w naszym społeczeństwie, a częściowo również w literaturze ustalił się pogląd, że najcięższa i najbardziej poniżająca katorga — to praca w kopalni. Gdyby bohater *Kobiet rosyjskich* Niekrasowa... łowił dla potrzeb więzienia ryby albo zajęty był przy trzebieniu lasu, wielu czytelników odczułoby brak satysfakcji". (Nie ma zgody tylko co do tego trzebienia lasów — skąd to lekceważenie, panie Antoni? Wyrąb lasu — to niezła robótka, w sam raz). Pierwsze podobozy Stepłagu powstały wyłącznie przy złożach miedzi (1. i 2. filia zwała się po prostu Rudnik, kopalnia; 3. — Kengir, 4. — Dżezkazgan). Roboty wiertnicze i cała eksploatacja pokładów prowadzone były sposobem suchym, pył kamienny wżerał się w płuca, powodując pylicę i gruźlicę[6]. Kto się rozchorował, tego wysyłano do sławetnego Spasska (pod

[6] Na mocy ustawy z 1886 roku nie wolno było więźniów kierować do prac szkodliwych dla zdrowia nawet na i c h  w ł a s n e  ż y c z e n i e.



Karaganda), czyli do „wszechzwiązkowego domu inwalidów" Speco-bozów.

Spassk zasługiwałby na specjalne omówienie.

Do Spasska przysyłano inwalidów. Inwalidów stuprocentowych, których już żaden obóz nie chciał widzieć przy robocie. Ale dziw nad dziwy! — ledwie ci ludzie wkraczali na życiodajne tereny tego zdrojowiska, zaraz przekształcali się z inwalidów w pełnosprawnych robotników. Filia spasska należała do najulubieńszych obiektów pułkownika Czeczewa, naczelnika całego Stepłagu. Niedobry ten człowiek, barczysty i krępy, przylatywał tu z Karagandy samolotem, kazał glansować sobie oficerki na wartowni i wychodził na przechadzkę po żonie, wypatrując kto z jego poddanych nie jest jeszcze zajęty jakąś pracą. Mawiał często: „W całym Spassku mam tylko jednego inwalidę — faceta bez obu nóg. Ale on też pracuje, tyle że zajęcie ma lekkie —jest posłańcem". Wszyscy jednonodzy pracowali na siedząco: kruszyli kamienie na żwir, sortowali odpadki drzewne. Ani szczudła, ani nawet brak ręki nie uprawniały w Spassku nikogo do zwolnienia z roboty. Oto jeden z wynalazków Czeczewa: czterech jednorękich (dwóch bez lewego ramienia, dwóch bez prawego)

zaprzęgano do noszenia trag. Oto inny jego wynalazek: ręczny napęd obrabiarek w warsztatach mechanicznych, gdy przerywał się dopływ prądu. Czeczew miewał swoje ambicje — chciał mieć „własnego profesora", pozwolił więc biofizykowi Czyżewskiemu na urządzenie w Spassku l a b o r a t o r i u m (z pustymi stołami). Ale kiedy Czyżewski wykonał — z najgorszych odpadków — prototyp maski przeciwpylnej dla górników z Dżezkazganu, Czeczew nie pozwolił na produkcję maski. Pracują bez masek — to i dobrze. Jakaś rotacja załogi jest przecież konieczna.

Pod koniec roku 1948 siedziało w Spassku około 15.000 zeków obojga płci. Była to żona ogromna, słupy jej ogrodzenia to wbiegały rzędem na wzgórza, to zbiegały w doliny i żadna z węgłowych wieżyczek nie była widoczna z wysokości innych. Posuwały się stopniowo naprzód roboty wewnętrzne: rozgradzano obóz od środka, więźniowie budowali mury separujące poszczególne żony — kobiecą, roboczą, czysto inwalidzką (zmniejszało to możliwości kontaktów wewnętrznych i ułatwiało gospodarzom życie). Sześć tysięcy ludzi chodziło do budowy zapory wodnej, odległej o 12 kilometrów. Jako że byli to jednak inwalidzi, wlekli się tam ponad dwie godziny, tyleż czasu tracąc na powrót. *Dodajmy* do rachunku 11-godzinną dniówkę roboczą. (Mało kto wytrzymywał przy tej pracy dłużej niż dwa miesiące). Innym ważnym rodzajem robót były kamieniołomy, znajdujące

58

się na terenie żony (własne złoża surowca na wyspie!) — zarówno w jej części męskiej, jak kobiecej. W żonie męskiej wydobywano kamień z odkrywki na zboczu wzgórza. Po dokopaniu się do pokładów, wysadzano skałę w powietrze ładunkami ammonalu, a następnego dnia inwalidzi rozdrabniali głazy młotkami. W żonie żeńskiej ładunków wybuchowych nie stosowano, baby ryły grunt oskardami, a gdy dokopały się już do *złoża.*, kruszyły skałę wielkimi młotami. Rzecz jasna, że młoty zrywały im się z trzonków, nowe trzonki łamały się często, a dla napraw odsyłało się narzędzia do innej żony. Niemniej — od każdej z tych kobiet wymagano wykonania przepisowej normy: 0,9 kubika na dniówkę. Ponieważ nie mogły w ten sposób dać sobie z normą rady, długi czas zadowalać się musiały karną racją chleba, wynoszącą 400 gramów. Dopiero koledzy z męskiej żony podpowiedzieli im, że wystarczy przed końcem dnia roboczego przerzucić kamienia ze starych stosów urobku do nowych. Przypomnijmy, że cała ta robota nie tylko prowadzona była przez inwalidów i to bez żadnych urządzeń mechanicznych, lecz także surową zimą stepową (30-35° mrozu, ciągłe wiatry), a nadto w *letniej odzieży*, ponieważ *niepracujący* (a inwalidzi należeli przecież do tej kategorii) nie mieli prawa do ciepłych sortów zimowych. Pani P-r do dziś wspomina, jak w takim zimnisku, prawie goła, biedziła się nad złomami skalnymi z ogromnym młotem w ręku.

Korzyść, jaką taka praca przynosiła Ojczyźnie, stanie się szczególnie oczywista, gdy dodamy, że kamień wydobyty w żeńskiej żonie okazał się — nie wiedzieć czemu — nieprzydatny dla celów budowlanych i pewnego pięknego dnia jakiś naczelnik zlecił, aby kobiety cały swój roczny urobek zasypały ziemią i zrobiły na

tym miejscu park (oczywiście żaden park tam nie powstał). W żonie męskiej kamień był dobry, dostawiano go zaś na miejsce budowy w taki oto sposób: po zbiórce kontrolnej całą gromadę ludzką (z początku — koło ośmiu tysięcy zeków, później — wszystkich, którzy tego dnia jeszcze byli przy życiu) pędzono na szczyt wzgórza, zejść zaś stamtąd wolno było tylko z głazem na barkach. W niedzielę taki spacer zdrowotny musieli inwalidzi odbywać dwukrotnie: rano i wieczorem.

Były inne jeszcze rodzaje robót: wznoszenie murów wewnętrznych; budowa osady dla nadzorców i konwojentów (domy mieszkalne, klub, łaźnia, szkoła); roboty polne i ogrodnicze.

Jarzyny z tych warzywników też były przeznaczone dla wolniaków, do kuchni zeków szła tylko boćwina: zwożono ją furmankami i ciężarówkami, zwalano na kupę koło kuchni, tam mokła ona i gniła, stamtąd też kuchciki brali ją na widły i wrzucali do kotłów. (Czy nie przypomina to trochę przygotowania karmy dla bydła?...). Z tej właśnie boćwiny gotowano sła-

**59**

wetną sałamachę, dodając po jednym czerpaku kaszy na dzień. Oto scenka ze spasskiego warzywnika: około 150 zeków zmawia się po cichu i rzuca się na grządki. Padają na brzuchy i tak leżąc żrą surowe jarzyny. Straż zbiega się, leje zeków pałkami, a ci dalej leżą i żwawo ruszają żuchwami.

Chleba dawano niepracującym inwalidom po 550 gramów, pracującym 650 gramów dziennie.

Nie znano też w Spassku żadnych lekarstw (skąd je wziąć dla takiej czeredy?! Tak czy owak muszą przecież powyzdychać...) ani żadnej pościeli. W niektórych barakach wagonetki ustawiano jedną przy drugiej i na dubeltowych dechach kładziono w poprzek już nie dwóch zeków, ale czterech ciasnym rządkiem.

Aha, jeszcze o jednej robocie zapomnieliśmy. Codziennie 110-120 ludzi posyłano do kopania grobów. Dwa Studebackery zwoziły trupy; nogi i ręce truposzy sterczały z oczek drucianej siatki, którą obciągnięte było nadwozie. Nawet w trakcie letnich, pogodnych miesięcy roku 1949 umierało po 60-70 zeków dziennie, zimą zaś — po stu (rachowali ich skrupulatni Estończycy, pracujący w trupiarni).

(W innych Specobozach śmiertelność była niższa, wikt też bywał obfit-szy, ale za to praca była jeszcze cięższa — niech więc czytelnik sam tu sobie proporcje wyważy).

Wszystko to dniało się w 1949 (słownie — tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku), trzydzieści dwa lata po Rewolucji Październikowej, cztery lata po wojnie, mającej przecież swoje surowe wymagania, trzy lata po zakończeniu procesu w Norymberdze, dzięki któremu cała ludzkość mogła dowiedzieć się prawdy o potwornościach obozów faszystowskich, by powiedzieć z westchnieniem ulgi: „To nie powtórzy się już nigdy!..."[7].

Jeśli do tych wszystkich obostrzeń dodać, że z chwilą przybycia więźnia do Specobozu urywał się prawie całkowicie jego kontakt z resztą świata, z żoną, czekającą na niego i na jego listy, z dziećmi, dla których ojciec przeobrażał się w

postać mistyczną (dwa listy rocznie, ale często zatrzymywano nawet te kartki, na które człowiek przelał wszystko, co w ciągu

[7] Rozumiem zaniepokojenie czytelników i pragnę ich czym prędzej zapewnić, że wszyscy ci panowie — i Czeczew, i Miszyn, i Worobiow, i nadzorca Nowgorodow — żyją sobie spokojnie i bezpiecznie. Czeczew jest generałem w stanie spoczynku. Mieszka w Karagan-dzie. Nikt z nich nie byl i nie będzie sądzony. Bo też za co stawiać ich przed sądem? Przecież ci ludzie po prostu w y k o n y w a l i rozkazy. Toć nie wolno porównywać ich z hitlerowcami, którzy po prostu wykonywali rozkazy. Jeśli zaś robili *coś jeszcze,* czego rozkaz już nie wymagał, to jedynie z głębokiego, ideowego przekonania, szczerze albo przez nieświadomość, bo skąd mieli wiedzieć, że Beria, „wierny towarzysz broni wielkiego Stalina", jest agentem zachodniego imperializmu?

60

miesięcy nagromadziło mu się dobrego i ważnego w duszy. Któż ośmielał się kontrolować cenzorki, urzędniczki MGB? Często ułatwiały sobie robotę: rzucały do pieca część listów, aby mieć kontrolę z głowy. A że list nie dotarł do adresata, to zawsze mogło być winą poczty. W Spassku pewnego razu kazano więźniom odremontować piec w izbie cenzury, leżały w nim setki nie wysłanych a nie spalonych jeszcze listów, cenzorki zapomniały przytknąć do nich zapałkę. I oto macie próbkę atmosfery Specobozów: zdunowie bali się mówić o tym fakcie z przyjaciółmi, obawiając się zemsty emgiebistów... Czy te cenzorki z MGB — palące dla własnej wygody samą *duszę* więźnia — mogą być uważane za bardziej humanitarne od esesma-nek, kolekcjonujących skóry i włosy pomordowanych?). O widzeniach z bliskimi nikt się w Specobozach nawet nie zająknął — adres obozu był zaszyfrowany i nikomu nie dawano zezwolenia na przyjazd.

Dodajmy jeszcze, że stawianie sobie hemingwayowskiego pytania m i e ć c z y n i e mieć nie miało w Specobozach żadnego prawie sensu, jako że od dnia ich powstania kwestia była rozstrzygnięta: można było tylko n i e mieć. Nie mieć pieniędzy ani żadnego zarobku (w ITŁ można było jeszcze zarobić jakieś grosze — tu zaś ani kopiejki). Nie mieć odzieży ani obuwia na zmianę, niczego do wdziania pod spód, niczego dla ciepła czy ochrony przed deszczem. Bielizna (i co to za bielizna była! — nędzarze z powieści Hemingwaya pewno by jej nawet nie tknęli) zmieniana była dwa razy na miesiąc, sorty odzieżowe i buty — dwa razy rocznie; kryształowa, arakczejewska* jasność. (Nie w początkowym okresie istnienia obozów, ale później utworzono *bezterminowy* magazyn depozytów — do dnia zwolnienia. Niezłożenie do depozytu jakiejkolwiek rzeczy osobistej zaliczane było do poważnych przestępstw; był to dowód, że więzień planuje ucieczkę. Rezultat — karcer i śledztwo). Nie mieć żadnych wiktuałów w szafce (a zatem — stać rano w kolejce do przechowalni żywności, aby zdeponować je tam, zaś wieczorem stać znowu — aby je odebrać. W ten prosty sposób marnowało się skutecznie wieczorne i ranne kwadranse, jeszcze nie zużyte, jeszcze dające myśli jakąś szansę). Nie mieć żadnych rękopisów, nie mieć atramentu, żadnych ołówków, zwykłych czy

chemicznych, nie mieć czystego papieru, poza jednym jedynym zeszytem. Nie mieć w końcu nawet książek. (W Spassku odbierano więźniom książki już w chwili przybycia do obozu. U nas nasamprzód pozwalano mieć jedną-dwie, ale pewnego dnia wydano przemyślne rozporządzenie: zarejestrować wszystkie posiadane książki w Oddziale Kulturalno-Oświatowym, stawiając na stronie tytułowej stempel: „Stepłag. Podobóz Nr...". Wszystkie książki nie ostemplowa-

' General Arakczejew, minister Aleksandra I, założy! szereg osiedli wojskowych, w których wszystkie sprawy życia codziennego normował ścisły regulamin.



ne miały do tej chwili podlegać konfiskacie, książki zaś ze stemplem uznano za własność biblioteki, właściciel więc traci do nich prawo).

Przypomnijmy jeszcze, że w Specobozach rewizje przeprowadzane były staranniej i częściej niż w ITŁ (codziennie dwa drobiazgowe kipisze — przy wymarszu do roboty i przy powrocie; planowe rewizje w barakach z podnoszeniem desek podłogi, wyłamywaniem rusztów w piecach, podważaniem belek progowych, następnie — ogólne rewizje osobiste typu więziennego, z rozbieraniem do naga, obmacywaniem, odpruwaniem podszewki i podeszew). Z czasem zaczęto też wypalać na całym terenie obozu trawę („żeby nie było gdzie ukryć broni"). Zaś wszystkie dni wolne od pracy obracano na roboty gospodarcze wewnątrz żony.

Gdy to wszystko sobie uprzytomnimy, stanie się jasne, że noszenie *numerów* nie było jeszcze najbardziej złośliwą i dotkliwą dla godności więźnia szykaną. Kiedy mój Iwan Denisowicz powiada „numer?, toż on wcale nie ciąży" — nie oznacza to bynajmniej, że utracił poczucie godności (jak to mu zarzucali namaszczeni krytycy, którzy sami numerów nigdy nie nosili i nigdy nie głodowali), nie, to po prostu głos zdrowego rozsądku. Przykrość, jaką nam noszenie numerów sprawiało, miała charakter nie psychologiczny ani moralny (na co liczyli gospodarze GUŁagu) — lecz była tylko dolegliwością praktyczną: w obawie karceru trzeba było tracić chwile wypoczynku na przyszycie odprutego brzegu łaty, prosić malarzy o poprawienie zatartych cyfr, a łaty podarte przy pracy — zastępować nowymi, szukając jakichś białych szmatek.

Owszem, łaty były najbardziej diaboliczną z obozowych szykan, ale tylko dla fanatycznych członkiń niektórych sekt. Były takie w żeńskim pod-obozie obok stacji Susłowo (Kamyszłag) — w ogóle jedna trzecia uwięzionych siedziała tam „za religię". Bo też sprawdzało się wszystko, co przepowiedział Apostoł w Apokalipsie:

XIII, 16: — / *uczyni, aby wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy, mieli cechę na prawej ręce swojej albo na czo-lech swoich.*

I te kobiety odmówiły noszenia numerów! — cechy diabelskiej! Nie chciały też podpisywać pokwitowań (toż to też cyrograf diabelski) za obozowe sorty. Administracja obozu (dyrektor zarządu — generał Grigoriew, naczelnik OŁP — major Bogusz) okazała należną surowość! Kazano *rozebrać* te kobiety do koszuli, zabrać im *obuwie* (strażniczki-komsomołki wszystko wykonały posłusznie) — tak,

aby zima przekonała te bezmyślne fanatyczki, że trzeba przyjąć obozowe uniformy i ponaszywać numery. Ale te baby wolały chodzić po śniegu i mrozie boso i w samych koszulach — byle nie oddać duszy diabłu!

**62**

Taki je ożywiał duch (rzecz jasna — reakcyjny, myśmy ludzie oświeceni — skąd do nas takie pomysły!), że skapitulowała przed nimi administracja, zwróciła sekciarkom ich własną odzież — i kobiety nosiły ją bez żadnych numerów! (Helena Iwanowna Usowa cale 10 lat chodziła w tych swoich łaszkach, suknia i bielizna zetlały całkiem, nie trzymały się już na ciele, ale księgowość nie mogła wydać jej ani szmatki bez pokwitowania!).

Numery miały dla nas tę jeszcze złą stronę, że były spore — więc wpadały w oko z daleka. Eskorta trzymała się od nas z dala, tak aby zawsze zdążyć zarepetować automat i wycelować dobrze; nikogo tu z nazwiska nie znała, to jasne, więc też nie sposób byłoby nas rozróżnić (bo ubrani byliśmy jednakowo), gdyby nie te numery. Teraz zaś konwojenci mogli zorientować się zaraz kto w kolumnie gada, zmienia szereg, kto nie trzyma rąk za plecami albo podnosi coś z ziemi — i wystarczył raport dowódcy eskorty, aby w obozie czekał już na winowajcę karcer.

Konwój był jedną z tych sił, które zaciskały mocną garścią nasze wróble życie. Ci żołnierze regularnej armii z czerwonymi epoletami na płaszczach, te chłopiska z pepeszami — byli siłą ciemną, bezmyślną, nic o nas nie wiedzącą i nie przyjmującą do wiadomości żadnych wyjaśnień. Nic z naszej strony nie mogło przebić się do ich świadomości, do ich słuchu, z ich zaś strony dochodził nas tylko wrzask, psie ujadanie, szczęk zamków karabinowych i gwizd kul. I to oni zawsze mieli rację, my — nigdy.

W Ekibastuzie, przy umacnianiu nasypów kolejowych gdzie nie ma żony, a jest tylko łańcuch straży — pewien zek, nie przekraczając nawet dozwolonej linii, zrobił kilka kroków, aby wziąć kromkę chleba z własnej kurtki, rzuconej opodal na ziemię; konwojent podniósł broń do oka i zastrzelił go na miejscu. Musiał mieć rację, rzecz jasna, I ze strony zwierzchników mógł liczyć tylko na wdzięczność. I — ma się rozumieć — po dziś dzień nie ma wyrzutów sumienia. My zaś nie przejawiliśmy żadnego oburzenia. I — rzecz jasna — nie pisaliśmy o tym fakcie nikomu (zresztą — nikt by naszej skardze nie nadał biegu).

19 stycznia 1951 roku nasza kolumna licząca 500 ludzi znalazła się w pobliżu obiektu, gdzie pracowaliśmy. Z jednej strony była żona — i tam już żołnierzy nie było. Za chwilę miano otworzyć przed nami wejściowe wrota. Nagle więzień o przezwisku Mały (w istocie zaś — chłop rosły i barczysty) ni z tego, ni z owego wystąpił z szeregu i jakby w osłupieniu ruszył w stronę stojącego niedaleko dowódcy eskorty. Zdawało się, że nie jest przy zdrowych zmysłach, że sam nie rozumie co robi. Nie podniósł ręki, nie zrobił żadnego groźnego ruchu, po prostu szedł w tym odrętwieniu. Dowódca konwoju, fircykowaty, gładki oficer, przestraszył się i zaczął cofać się, ucie-

63
kając przed Małym, pokrzykując piskliwie i nie będąc nawet w stanie wyciągnąć pistoletu z kabury. Ruszył za to szybko w stronę Małego jakiś sierżant z pepeszą i z odległości paru kroków puścił mu serię w brzuch i piersi, też cofając się powoli. Mały zaś — nim padł — zrobił jeszcze ze dwa niespieszne kroki; na plecach powyłaziły mu z fufajki strzępy waty znacząc miejsca, przez które przeszły niewidzialne kule. Ale chociaż Mały nareszcie upadł, a cała kolumna — my wszyscy — nie drgnęliśmy nawet, przerażony naczelnik eskorty rzucił żołnierzom rozkaz i ze wszystkich stron zaterkotały automaty; pociski śmigały tuż nad naszymi głowami, zawarczał cekaem, ustawiony zawczasu na stanowisku ogniowym, i zewsząd doszły nas histeryczne wrzaski: „Padnij! Padnij! Padnij!". Kule poczęły kłaść się coraz niżej i niżej, chłoszcząc już druty żony. My zaś, pół tysiąca mężczyzn, nie rzuciliśmy się na strzelców, nie powaliliśmy ich, tylko padliśmy jak jeden mąż na brzuchy — i tak, z pyskami wrażonymi w śnieg, w haniebnej pozycji, bezradni, leżeliśmy tego styczniowego, świątecznego ranka ponad kwadrans, jak te barany — a tamci mogli tymczasem wszystkich nas powystrzelać bez trudu i żadnych późniejszych kłopotów: toż to próba buntu!

Takie to z nas były raby, żałosne, zgięte w barani róg — w pierwszym i drugim roku istnienia Specobozów. Dość już o tym okresie mówiło się w *Iwanie Denisowiczu.*

Jak do tego doszło? Dlaczego mnogie tysiące tych potulnych bydląt z - Pięćdziesiątki Ósemki — ale przecież już teraz *politycznych,* do licha!, przecież już teraz odseparowanych, wybranych, zebranych do kupy, już politycznych nareszcie! — zachowywały się tak żałośnie?, tak pokornie?

Dzieje tych obozów nie mogły rozpocząć się w inny sposób. I ciemiężeni i ciemięzcy przybyli tu z obozów ITŁ, jedni i drudzy mieli za plecami całe dziesięciolecia tradycji — pańskiej i poddańczej. Sposób bycia i sposób myślenia przekoczował na nowe siedliska razem z,żywymi ludźmi, a ludzie ci trzymali go w cieple i podtrzymywali w sobie wzajem, bo jechali tu grupami — po kilkuset z każdego starego obozu. Na nowy teren przywozili powszechnie panujące, wbite w głowy przeświadczenie, że w świecie obozowym człowiek człowiekowi jest szczurem i kanibalem i że inaczej być nie może. Wieźli wkorzenione w duszę zainteresowanie dla własnego tylko losu i zupełną obojętność na los innych ludzi. Jechali, szykując się do bezlitosnej walki o godność brygadzisty, o ciepłe funkcje przy kuchni, krajalni chleba, magazynie, księgowości czy w Dziale KO.

Więzień samotny, jadąc do nowego obozu i marząc o *urządzeniu się* tam, liczyć może tylko na los szczęścia i na swój zupełny brak skrupułów. Kiedy

64
zaś wiozą długim etapem, dwa, trzy, cztery tygodnie pod rząd — posyłając razem do łaźni w zborniakach i prowadząc w jednym szeregu ludzi, co już dość się wzajem natrykali łbami, co już dobrze potrafili w koledze rozpoznać i dziesiętniczą krzepę w

łapie i talent do brania zwierzchności pod włos i zdolność do nagłych ukąszeń i umiejętność „wekslowania" ciężkiej roboty, jak najdalej od brygady — kiedy więc wiozą etapem zgraną już paczkę *prydurków*, jest naturalne, że ci ludzie nie oddają się wolnościowym urojeniom, lecz myślą tylko o tym, jak ponieść dalej sztafetę niewolnictwa, zmawiają się, jak zająć w nowym obozie wszystkie kluczowe pozycje i zepchnąć na bok konkurencję z innych obozów. Szara zaś brać robociarska, całkiem już pogodzona ze swoim pokracznym, ciemnym losem pogaduje, jak by tu w nowym obozie znaleźć się w jednej wspólnej brygadzie i trafić na znośnego brygadzistę.

Wszyscy ci ludzie bezpowrotnie zapomnieli nie tylko to, że każdy z nich jest człowiekiem i ma w sobie iskrę Bożą, że stworzony został dla innych przeznaczeń, lecz to nawet, że można by rozprostować grzbiet, że najzwyklejsza wolność tak samo należy się człowiekowi jak powietrze, że wszyscy oni należą do tak zwanych *politycznych* i że teraz nareszcie są wśród swoich.

Co prawda, garstka knajaków też by się wśród nich znalazła: nie mogąc w żaden sposób odzwyczaić swych faworytów od częstych ucieczek (82 artykuł KK przewidywał dla nich tylko 2 lata kary za ucieczkę, złodzieje zaś miewali na swoim koncie dziesiątki i setki takich dodatków do wyroku, czemuż więc nie uciekać, jeśli to nie wpływa na sumę ogólną?) — władza postanowiła wlepiać im za ucieczkę 58-14, to znaczy — karać za sabotaż ekonomiczny.

Takich pasażerów było jednak bardzo niewielu w transportach do Spec-obozów, na każdy etap przypadała mała garstka — ale, stosownie do ich kodeksu, wystarczająco duża, by zachowywać się czelnie i zuchwale, przyjmować śmiało funkcje szefów baraku, chodzić z pałkami (jak ci dwaj Azerbejdżanie ze Spasska, co to ich później zarąbano) — i pomagać *prydurkom* wysoko dzierżyć na nowych wyspach Archipelagu ich stary sztandar; zawsze tę samą, czarno-sraczkową chorągiew niewolniczych, podłych obozów pracy i zagłady.

Obóz w Ekibastuzie powstał rok przed naszym przybyciem, w 1949 roku, i wszystko tu było dokładnym odbiciem tegoż układu spraw i stosunków, jaki przynieśli ze sobą więźniowie i zwierzchnicy ze starych obozów. Byli więc porządkowi, ich pomocnicy i starostowie baraków, trzymający swoich podwładnych w posłuchu —jedni pięścią, inni donosem. Był osobny barak *prydurków*, gdzie na wagonetkach, przy herbatce decydowały się



losy całych obiektów i brygad. Były (dzięki specjalnej konstrukcji fińskich budynków) osobne *kabiny* w każdym baraku, zajmowane — zgodnie z ich wysoką godnością — przez jednego lub dwóch prominentów. I dyspozytorzy bili po karku, brygadziści — po mordzie, a nadzorcy — kańczugami. I przy kotłach szarogęsili się bezczelni, spasieni kucharze. I wszystkie klucze od magazynów i przechowalni znajdowały się w ręku miłujących wolność synów Kaukazu. A stanowiska kierowników robót objęła zgrana grupa kanciarzy, mieniących się inżynierami. A kapusie pracowicie i bezkarnie nosili swoje donosy do Wydziału Operacyjnego. I — jeszcze przed rokiem składający się z samych namiotów — obóz miał już własne

murowane więzienie, tyle że jeszcze nie wykończone, więc panowała w nim ciasnota: na swoją kolejkę do karceru, z wyrokiem już wciągniętym do akt, musiał człowiek czekać miesiąc, a nawet więcej — gdzie sprawiedliwość, ha? — w kolejce, do karcą! (mnie też wlepiono karcer, ale nie doczekałem się mojej kolejki).

Co prawda w ciągu tego roku przywarowali nieco knajacy (a ściślej — *ligawi, suki,* jako że nie stronili od funkcji obozowych). Już się jakoś dało odczuć, że tu nie starczy im rozmachu — nie ma młodego narybku, nikt niczego nie chce robić *w podskokach.* Porządkowy Magieran próbował jeszcze spozierać na nas wyzywająco i mrocznie, gdy szef działu dyscyplinarnego prezentował go na apelu ogólnym; ale już mu mina rzedła i wkrótce gwiazda jego przygasła.

Nasz transport, jak to zawsze bywało z nowo przybyłymi, wytrzymać musiał pierwsze natarcie już na samym wstępie, w łaźni. Łaziebni, fryzjerzy i dyspozytorzy stali już w pogotowiu i całą kupą rzucali się na każdego, kto ośmielał się bąknąć cokolwiek na temat podartej bielizny, zimnej wody albo sposobu dezynfekcji. Tylko czekali na takie pretensje i rzucali się całą sforą, jak psy, umyślnie wrzeszcząc: „Tu nie kujbyszewski zborniak, poczekajcie tylko!" i podsuwając nam pod sam nos grube pięści. (Z punktu widzenia psychologii — stosowali metodę właściwą. Człowiek nagi czuje się dziesięciokrotnie bardziej bezbronny niż ubrany. I jeśli nowemu etapowi dobrze zmyją głowę już podczas pierwszej wizyty w łaźni — to później, już w obozie, też będzie łatwiej poradzić sobie z nim).

Ten sam Wołodia Gerszuni, studencik, który roił sobie, jak to w obozie rozejrzy się wśród ludzi i zadecyduje ,,z kim mu po drodze" —już pierwszego dnia posłany został do roboty przy umacnianiu struktury obozu: kazano mu kopać jamę dla słupa linii elektrycznej. Chłopak był osłabiony, nie dał rady, nie wykonał normy. Pomocnik naczelnika Baturin, kryminalista, ligawy, już trochą utemperowany, ale nie całkiem, sklął go, nazwał *piratem* i uderzył w twarz. Gerszuni cisnął łom i przestał kopać jamę. Udał

**66**

się do komendatury i oznajmił „możecie mnie posłać do karceru, a do roboty tak długo nie stanę, jak długo wasi piraci nie przestaną bić ludzi" (ten „pirat" szczególnie go dotknął; chłopak nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić). Życzeniu jego stało się zadość, odsiedział w karcerze 18 dni, w dwóch ratach (robi się to tak: najprzód wrzepia się człowiekowi 5 albo 10 dni, ale po ich odsiedzeniu wcale go się nie wypuszcza, czeka się spokojnie, aż więzień zacznie protestować i awanturować się, i wtedy — w całym majestacie prawa — wrzepia mu się za to jeszcze jedną porcję karceru). Po odsiedzeniu tej kary, dodano mu jeszcze — za skłonność do awantur — dwa miesiące BUR-a. Znaczyło to, że ma siedzieć dalej w tej samej pace, ale z prawem do ciepłego jedzenia, do ,,pajki" — w proporcji do wykonanej normy — i posłano do pracy przy wypalaniu wapna. Widząc, że zapada się coraz głębiej, Gerszuni próbował szukać pomocy w sanitariacie, ale nie znał jeszcze madame Dubiriskiej, odpowiedzialnej za służbę zdrowia w obozie. Wołodia sądził, że gdy tylko pokaże swoje platfusy, zaraz dostanie zwolnienie i nie będzie musiał drałować

kilometrami do roboty przy piecach wapiennych. Ale nie dotarł nawet do przychodni, regulamin BUR-a w Ekibastuzie nie przewidywał wizyt ambulatoryjnych. Gerszuni chciał tam jednak się dostać, a nasłuchał się już, jak trzeba protestować, został więc na narach w samych kalesonach, gdy inni spali już po pracy. Nadzorcy Połundra (były marynarz, z napadami złośliwego bzika) i Koniencow ściągnęli go z pryczy za nogi i tak jak leżał, w gaciach, powlekli chłopa na zbiórkę. Ci go wloką, a ten próbuje utrzymać się rękoma za to co po drodze — więc za obciosane głazy, leżące tam i przygotowane do budowy. Gerszuni już gotów był iść po dobroci do pracy i krzyczał tylko: „pozwólcie chociaż portki wdziać!", ale tamci wlekli go dalej. Na wartowni, wstrzymując wymarsz całej czterotysięcznej gromady, ten słabowity chłopczyna krzyczał: „Gestapowcy" Faszyści!" i szamotał się ze strażnikami, nie pozwalając zakuć się w kajdany. Jednakże Połundra z Koniencowem przygięli mu łeb do ziemi, nałożyli okowy i jęli popychać go, aby szedł prędzej. Ani ich, ani lejtnanta Maczechowskiego, odpowiedzialnego za dyscyplinę, nic nie obchodziło, że Gerszuni będzie musiał maszerować przez całą osadę w samych gaciach, ale Wołodię to krępowało. Zaparł się więc i powiedział, że nie pójdzie! Stał opodal konwojent z psem, prosty chłopak, perkaty. Mruknął cicho do Wołodii — i Gerszuni dobrze to sobie zapamiętał: „No, po co się szarpiesz, idź do szeregu. Posiedzisz sobie przy ognisku — kto ci tam każe pracować..." I mocno trzymał na smyczy swojego wilczura, który rwał się Wołodii do gardła; też widział, że chłopczyna zadarł z błękitnymi wyłogami! Wołodię zabrano precz, odprowadzono do baraku karnego. Ręce skute za plecami bolały coraz bardziej, a strażnik —

67

Kozak trzymał go za gardło i raz po raz dawał mu kolanem dziucha pod żebra. W BUR-ze rzucono go na ziemię, ktoś rzeczowym tonem wydał fachowe zlecenie: „Lejcie go tak, żeby się usrał!". Zaczęto kopać go buciorami, nie szczędząc głowy, aż wreszcie stracił przytomność. Po dwóch dniach wezwano go do opera — i zaczęto wrabiać w sprawę o... *zamiar* uprawiania *terroru* — bo kiedy go wleczono, chwytał się kamieni! Niby po co?

Na innej zbiórce tak samo zapierał się niejaki Twierdochleb; rozpoczął nawet głodówkę, że nie będzie pracował diabłu na pożytek! W nosie mieli jego głodówki i strajki, jego też powlekli siłą, tyle że ze zwykłego baraku — więc Twierdochleb mógł dorwać się do okien i zaczął rozbijać szyby. Bite szkło dzwoniło, jak ponury akompaniament do apelu; staliśmy w długim szeregu, a strażnicy i nadzorcy prowadzili wyliczankę.

To był akompaniament do przeciągłego, monotonnego chorału naszych dni, miesięcy, lat.

I żadnego prześwitu, żadnej nadziei. Plany MWD nie przewidywały prześwitów, nie po to zakładano te obozy.

Tymczasem my, ćwierć setki nowo przybyłych, przeważnie Ukraińcy z okręgów zachodnich, weszliśmy do tej samej brygady i udało nam się namówić dyspozytorów, by brygadzistą został jeden z nas, mianowicie tenże Paweł Boroniuk. Nasza

brygada była spokojna, robotna (Ukraińców z Galicji, dopiero co oderwanych od ziemi, jeszcze nie znających kolektywizacji, nie trzeba było popędzać do roboty, ale raczej odrywać od niej!). Przez kilka dni pracowaliśmy w randze robociarzy bez kwalifikacji, ale wkrótce się okazało, że mamy wśród nas majstrów murarskich i że inni gotowi są poduczyć się rzemiosła, więc zrobiono z nas brygadę murarską. Murowanie poszło nam składnie. Kierownictwo" to zauważyło i przeniosło nas z budowy obiektu mieszkalnego — sześć domków dla pracowników z najmu; zostaliśmy teraz w obrębie żony. Brygadziście naszemu wskazano kupę kamieni obok BUR-a — tych właśnie, których czepiał się Gerszuni; przyobiecano stały dowóz surowca z kamieniołomów i wyjaśniono, że ten BUR, który tu już stoi. to dopiero połowa BUR-a, że trzeba dobudować teraz drugą połowę i że tym właśnie ma się zająć nasza brygada.

Tak oto, ku naszej hańbie, zabraliśmy się do budowy więzienia dla nas samych. ',.

Była to pora jesieni długiej już i suchej; przez cały wrzesień i pół października nie spadła ani kropla dżdżu. Ranki były ciche, później zrywał się wiatr, wzmagał się koło południa, wieczorami znów przycichał. Niekiedy ustalał się, przechodził w długą dujawicę; wiał z przejmującym pogwiz-dem i wtedy z osobliwą, przejmującą udręką czuło się bliskość tego gładkiego stepu, który widać było w całej rozległości nawet z rusztowań BUR-a

68

—- bo ani przysiółek z pierwszymi budynkami fabrycznymi, ani wojskowa osada, gdzie mieszkali konwojenci, ani tym bardziej nasza **odratowana** żona, nie mogły zasłonić przed naszymi oczyma bezgranicznego bezmiaru, równinnej gładzizny i zupełnej beznadziei tego stepu. Ledwie się na nim znaczył pierwszy, samotny rządek byle jak okorowanych słupów telefonicznych, biegnących na północny wschód, do **Pawłodaru.** Czasem znów wiatr tężał nagle i w ciągu godziny dążył nawiać nam za pazuchy syberyjskiego zimna, zmuszał do wdziewania waciaków i siekł nam długo twarze grubym piachem i drobnym żwirem, zmiecionym tu z głębi stepu.

Prościej będzie powtórzyć tu wiersz, który napisałem wtedy, przy budowie więzienia:

M U R A R Z

*Ten wiersz pamiętacie?" Też jesieni murarzem.*
*Też słaniam wiezienie — z kamieniu polnego.*
*Lecz wokół pustynia. I druty. I straże.*
*A w niebie —* ***sęp*** *czuwa i słońce się żarzy.*
*Step. Wiatr. Żywej duszy. Kto spytać się waży*
*— Budujesz? Dla kogo? Dla siebie samego?!*
*Nie dość im tych drutów, psów mało im wściekłych.*
*Chcą jeszcze w więzieniu zbudować więzienie.*
*Więc kielnia. Zaprawa. I cegła do cegły.*

*I coraz to sprawniej układam kamienie.*
*Dziś był tu pan major i kręci! już nosem.*
*Że mur pełen szczelin, że pion diabli wzięli.*
*Na pewno ktoś chodził do niego z donosem.*
*Bo przyrzekł, że pierwszych nas wsadzi do celi.*
*I mur pośród murów już rośnie — jak trzeba.*
*I pali się w ręku przeklęta robota.*
*A potem — papieros i marny — kęs chleba,*
*Nagroda, za którą oddamy pól nieba,*
*Zaplata za jamę, co każdy z nas grzebał,*
*By wkrótce już tam w niej dokonać żywota.*
*A cóż mają tamci? Ten jeden gościniec I drut. zawodzący pomiędzy słupami. Mój Boże, jak bardzo jesteśmy bezsilni! Mój Boże, jakimi jesteśmy rabami!*

* Aluzja do wiersza Walerego Briusowa pod tym samym tytułem, napisanego w 1902 roku, niezmiernie popularnego w środowisku rewolucyjnym. Bohater tego utworu również buduje wiezienie.

69

Niewolnicy! nawet nie dlatego, że pod wpływem gróźb majora Mak-symienko kładliśmy kamieni suto i nie żałowaliśmy cementu, tak aby przyszłym mieszkańcom tego więziennego budynku niełatwo było rozwalić ten mur. Dlatego natomiast, że — chociaż w istocie brygada nasza nie osiągała przy budowie więzienia stu procent normy, jednak dostawała porcje dodatkowe — a my nie ciskaliśmy tego żarcia majorowi w pysk, tylko zjadaliśmy je, aż miło. A nasz towarzysz, Wołodia Gerszuni, siedział tymczasem w odbudowanym już skrzydle BUR-a. A Iwan Spasski, żadnych nie mając na sumieniu wykroczeń, ot, za jakiś haczyk w aktach, już tkwił w „reżymce".

Wielu z nas było pisane siedzenie w tym BUR-ze, w tych samych celach, któreśmy tak starannie, tak krzepko budowali. I oto — gdybyśmy pracowali z największym ferworem, tak że kielnie z zaprawą i kamienie tylko śmigały nam w rękach — usłyszeliśmy nagle z głębi stepu wystrzały. Wkrótce też pod wartownię obozu, niedaleko nas, nadjechała karetka więzienna (najnormalniejsza na świecie, miejska, wchodząca w skład taboru eksorty — tylko że na jej bokach nie było napisów na użytek dudków — „Pijcie sowieckiego szampana"). Z karetki wypchnięto czterech ludzi — pobitych, pokrwawionych; dwóch szło kulejąc, jednego trzeba było wlec, tylko pierwszy z nich. Iwan Worobiow, szedł krokiem dumnym i gniewnym.

Pod naszymi nogami, pod kładkami, na których staliśmy — zbiegów przeprowadzono do prawego, już gotowego skrzydła BUR-a.

*My zaś dalej ----- kamień do kamienia...*

Ucieczka! Co za odwaga straceńcza! — bez odzieży cywilnej, bez zapasów, z pustymi rękoma — przebiec żonę pod gradem kul, żeby uciec — w puste,

bezwodne, nieogarnione, gołe stepy! To nie żaden plan — to tylko wyzwanie, to rodzaj dumnego samobójstwa. Do takich tylko aktów oporu gotowi są najsilniejsi, najśmielsi z nas.

*A my — cegła do cegły...*

I pogadujemy półgębkiem, że to już druga ucieczka w ciągu miesiąca. Pierwsza też się nie udała, ale sam jej pomysł był głupawy. Wasyl Briuchin (przezywaliśmy go „Bliicher"*), inżynier Mutianow i jeszcze jeden były oficer polskiej armii wykopali w warsztatach mechanicznych, gdzie pracowali, jamę pojemności jednego metra sześciennego, zaopatrzyli się w trochę jedzenia, wleźli tam, ułożyli nad głowami deski, jakby nigdy nic. W swojej naiwności byli pewni, że wieczorem — jak zwykle — straż żony wróci do

Wybitny dowódca Czerwonej Armii, marszałek, zniknął pod sam koniec okresu Wielkiej Czystki; uprzednio byl członkiem kolegium, które skazało na śmierć marszałka Tu-chaczewskiego.

**70**

koszar i że będą mogli wtedy wyjść i uciec. Ale przecież przy apelu trzech zabrakło — a druty dookoła obozu nigdzie nie były przecięte — więc posterunków postanowiono przez parę dni nie ściągać. Przychodzili przez ten czas strażnicy z psem — ale tu wystarczyło podsunąć do szczeliny watkę z benzyną — i pies węch tracił. Przez trzy doby siedzieli tak, nie mogąc nawet piknąć — bez ruchu, z rękoma i nogami splecionymi, powykręcanymi, boć to troje ludzi, a tu jeden metr wszystkiego — wreszcie nie wytrzymali i wyszli sami.

Wchodzą do żony inne brygady i już wiemy, jak uciekła grupa Woro-biowa: przebiła się przez pasmo drutów ciężarówką.

Mija jeszcze tydzień. Murujemy dalej. 1 już całkiem jasno wyrysowuje się drugie skrzydło BUR-a — ale ci będą przytulne te karcery, te'izolatki, te cele przejściowe! Już mnóstwo kamienia nagromadziliśmy na tej małej przestrzeni, a tu wciąż wiozą i wiozą budulec z kamieniołomów: surowiec darmowy, robotne ręce też za darmo, tylko cement państwowy.

Mija więc tydzień, cztery tysiące mieszkańców obozu ma dość czasu, aby pomyśleć, że ucieczka to szaleństwo — że to nic nie daje. I nagle, któregoś dnia, równie słonecznego — znów grzmoty wystrzałów w stepie — ucieczka!!! Ależ to jakaś epidemia: znów mknie karetka eskorty — i przywozi dwóch zbiegów (trzeciego zabito na miejscu). Tych dwóch — Batanowa i jakiegoś chmyza, całkiem jeszcze młodziutkiego, całych we krwi — znów prowadzą obok naszego stanowiska roboczego, pod naszymi kładkami, do gotowego skrzydła, żeby tam bić ich dalej, a potem cisnąć bez żadnego odzienia na kamienną podłogę i nie dawać nic do jedzenia ani do picia. Co czujesz, niewolniku, patrząc na nich, poranionych, ale dumnych? Czy tylko plugawą radość, że to nie ciebie złapano, nie ciebie pobito, nie ciebie skazano?

„Prędzej tam, prędzej, trzeba nareszcie skończyć to lewe skrzydło!" — pokrzykuje na nas brzuchaty major Maksymienko.

A my — cegła do cegły. Dostaniemy za to wieczorem dodatkową miskę kaszy.

Zaprawę roznosi komandor-podporucznik Burkowski. Cokolwiek się buduje, to przecież wychodzi Ojczyźnie na pożytek.

Wieczorem dowiadujemy się, że Batanow też wyrwał się za druty ciężarówką. Ale samochód dostał się pod celny obstrzał strażników.

Ale czy teraz my, niewolnicy, zrozumieliśmy już, że ucieczka to samobójstwo, że nikomu nie uda się oddalić więcej niż na kilometr od obozu, że nasz los to harówka aż do śmierci?

Minęło pięć dni bez żadnych strzałów i ucieczek — aż tu nagle niebo zmienia się w misę z metalu, w którą ktoś wali ogromnym łomem — co za nowina! Ucieczka! Znów ucieczka!!! I tym razem — udana.

71

Ucieczka, która miała miejsce 17 września, w niedzielę, zaplanowana była i wykonana tak bezbłędnie, że podczas wieczornego apelu wszystkie rachunki strażnikom się zgadzają. Dopiero rankiem 18 widać, że coś nie gra, zbiórka do pracy zostaje odwołana i zarządza się kontrolę ogólną. Kilka razy sprawdzają numery ludzi stojących w szeregu, później robią to samo w barakach, w brygadach, przechodzą do wywoływania więźniów według listy ewidencyjnej — bo *liczyć* potrafią te sukinsyny tylko pieniądze przy kasie. I za każdym razem wynik jest inny! Nie wiedzą nawet *ii u* w końcu uciekło?, kto właściwie?, kiedy?, dokąd?, w jaki sposób?

Już wieczór się zbliża, a nic nam jeść nie dają (bo kucharzy też oderwano od kotłów na apel — toć wszystkich trzeba policzyć!), ale to nas wcale nie boli, nam w to graj! Każda udana ucieczka to wielka radość dla więźniów! Choćby eskorta nie wiem jak się potem pastwiła — choćby nie wiem jakie obostrzenia wprowadzono — my o to nie dbamy, nam w to graj! Każda udana ucieczka to bicz na was, psie syny!

To nam, nam udało się uciec! (I patrząc naszym panom prosto w oczy, modlimy się po cichu: oby tamtych nigdy nie złapano!, żeby ich tylko nie złapali!).

A na dodatek do roboty tego dnia nie poszliśmy wcale i poniedziałek stał się dla nas drugą niedzielą. (Tak to miło, że chłopaki dali drapaka nie w sobotę! Nawet o tym pomyśleli, żeby nam niedzieli nie psuć!).

Ale kto uciekł? Kto taki?

W poniedziałek wieczorem rozchodzi się wieść, że to Gieorgij Tenno i Kolka Żdanok.

Coraz wyższe są mury więzienia, które własnymi rękoma wznosimy. Już wmurowane są poprzeczki nad drzwiami, już zbudowane maleńkie otwory okienne, już porobione są gniazda dla krokwi.

Od ucieczki minęły trzy dni. Siedem. Dziesięć. Piętnaście.

Ani słychu!

Uciekli!

## IV DLACZEGO SIĘ NIE BUNTOWALI?

Wśród moich czytelników jest również pewien bardzo wykształcony His-toryk-Marksista. Gdy — siedząc w swoim wyściełanym foteliku — przeczyta jakeśmy budowali BUR, zdejmie okulary, plaśnie po stronicy czymś długim a płaskim, chyba linijką i tak powie:

- Właśnie, właśnie. W to chętnie uwierzę, to nie jakieś bajędy o zefirku rewolucji, duperele! O żadnej rewolucji nie mogło u was być mowy, ponie waż rewolucja wybucha nie tak sobie, lecz tylko zgodnie z prawami his torii. Proszę, zebrano tam u was do kupy kilka tysięcy tak zwanych „po litycznych" — i cóż? Odarto was z godności, wolności, więzów rodzinnych, odzieży, jedzenia, nawet z cech ludzkich, no i cóż? Dlaczego nie podnieśliś cie buntu?
- Myśmy pracowali na naszą porcję chleba. Przy budowie więzienia.
- To właśnie dobrze. Powinniście byli budować! Bo to praca dla ludzi. To było jedynie słuszne i prawidłowe rozwiązanie. Ale nie przypisujcie sobie miana rewolucjonistów, kochani! Aby mieć do tego prawo, trzeba być związanym z jedyną naprawdę przodującą klasą, klasą robotniczą...
- Ale przecież my sami byliśmy wtedy robotnikami.
- To... nie gra żadnej roli. To pseudoobiektywny wykręt. Czy w ogóle ma pan pojęcie, co to takiego pra-wid-ło-wość historyczna, ha?

Chyba mam. Słowo daję, jakieś tam pojęcie mam. Wyobrażam sobie, że jeśli obozy dla milionów ludzi trwają niewzruszenie już od lat czterdziestu, to widocznie mamy do czynienia z jakąś historyczną prawidłowością. Za wiele tych milionów, zbyt wiele tu lat, aby można było wszystko sprowadzić do kaprysu Stalina, chytrości Berii, łatwowierności i naiwności partii

**73**

rządzącej, oświeconej niegasnącym blaskiem Przodującej Doktryny. Ale *tą* prawidłowością nie będę żgał mojego oponenta. Uśmiechnąłby się tylko mile i powiedziałby, że w danym wypadku mówimy o dwóch różnych rzeczach i że odbiegam od tematu.

Widząc więc moje zmieszanie, dochodzi do wniosku, że niezbyt jasno wyobrażam sobie prawidłowości i tak mi klaruje:

- Rewolucjoniści sprzątnęli carat jednym machnięciem miotły. Cał kiem po prostu. Niechby spróbował tylko car Nikołka tak przycisnąć swo ich buntowników! Spróbowałby tylko ponawieszać na nich numery! Niech by tylko spróbował...
- Racja. Nie próbował. Nie próbował nawet — i dlatego ocaleli ci, którzy spróbowali później, po jego upadku.

— Ależ nawet *nie mógł* próbować! Nie mógł!

Chyba i to racja: nie żeby nie chciał — nie mógł i tyle.

Zgodnie z rozpowszechnioną kadecką (nie mówiąc już o socjalistycznej) opinią, cała historia Rosji jest jednym łańcuchem okresów tyranii. Tyrania Tatarów. Tyrania książąt moskiewskich. Pięć stuleci rodzimego despotyzmu, opartego na wschodnich wzorach, pięć stuleci otwartego, dobrze wko-rzenionego niewolnictwa. (Jakby nie było ani Soborów Ziemskich, ani wspólnot gminnych na wsi, ani wolnej kozaczyzny, ani północnorosyjs-kiego chłopstwa). Czy Iwan Groźny, czy Aleksy Pokorny, czy Piotr Srogi, czy Katarzyna Aksamitna — aż do samej wojny krymskiej rosyjscy carowie nic, tylko *tłamsili.* Tłamsili swoich poddanych jak chrabąszcze czy gąsienice. Zesłaniec, katorżnik? Wprost na ciele, na skórze stawiano mu szpilkową pieczęcią stempel „SK"* i przykuwano do taczek. Ustrój zginał poddanym karki, był niezłomny i krzepki. Bunty i powstania niezmiennie były tłumione.

Ale, ale! Tłumione — ale z pewnym rabatem. Tłumione, ale bez naszej technicznej perfekcji. Po wojnach napoleońskich (od czasu powrotu naszych wojsk z Zachodu) społeczeństwo rosyjskie, musnęły pierwsze zaczątkowe powiewy — i już tego było dosyć, aby car musiał się z tym społeczeństwem liczyć. Weźmy na przykład szeregowców, stojących w czworoboku na Placu Senackim pod wodzą dekabrystów. W s z y s t k i m co do j e d n e g o po 4 dniach darowano winę. (Przypomnijmy dla porównania naszych żołnierzy, rozstrzelanych nie za powstanie, lecz tylko za to, że nie chcieli strzelać do bezbronnego tłumu — w Berlinie w 1953 roku, w Budapeszcie w 1956, w Nowoczerkassku w 1962). Spośród oficerów-dekabrys-tów, którzy podnieśli bunt, tylko 5 weszło na szafot; czy można wyobrazić

***Ssylno-katorinyj,***

**74**

sobie coś podobnego w sowieckiej epoce? Czy choć jeden z nich ocaliłby głowę w naszych czasach? Ani Puszkinowi, ani Lermontowowi nie można było po prostu dać *dychy* — i trzeba było szukać dróg okólnych. „Gdzie byłbyś 14 grudnia, gdybyś znalazł się w Petersburgu?" — zapytał Mikołaj I Puszkina, a Puszkin odparł szczerze: **„Na** Senackim". 1 został za to... odesłany do domowych pieleszy! My natomiast, którzyśmy na własnej skórze poznali mechanizm systemu sądowego, a także druhowie nasi z prokuratury, doskonale rozumiemy, co oznaczała odpowiedź Puszkina: artykuł 58, punkt 2, powstanie zbrojne, w najlepszym wypadku — przy uwzględnieniu paragrafu 19 (udział zamierzony) — jeśli nie rozstrzelanie, to w żadnym wypadku nie mniej niż d y c h a . I nasi Puszkinowie dostawali na talerzu swoje wyroki, jechali do obozów i umierali tam (a Mikołaj Gumilew nawet do obozu nie musiał się fatygować, załatwiony został od ręki, w lochu).

Wojna krymska — najfortunniejsza ze wszystkich wojen prowadzonych przez Rosję! — przyniosła nie tylko wyzwolenie chłopom i reformy Aleksandra II, lecz również narodziny *opinii publicznej,* najpotężniejszej z sił, działających w Rosji.

Pozornie — wciąż jeszcze ropiała i nawet rozlewała się syberyjska katorga, system więzień przesyłkowych został ulepszony, katorżnicy dalej wlekli się z etapu na etap, zasiadały kolegia sądowe. Ale — o dziwo! — sądy sądami, a Wiera Zasulicz, która

strzelała do komendanta stołecznej poli-cji(!) — została uniewinniona!?...

Łatwość z jaką wypuszczono na wolność Wierę Zasulicz równa była łatwości, z jaką na miejscu niegdysiejszego zamachu zbudowano później leningradzkie więzienie centralne, tzw. Wielki Dom. Nadto Wiera Zasulicz nie kupowała sama rewolweru, z którego strzelała do Trepowa, broń jej kupiono, a później zamieniono na kaliber większy, iście niedźwiedzi — i sąd w ogóle nie zaindagował jej: a kto tę broń kupił?, gdzie ten człowiek? Taki wspólnik, wedle ówczesnych rosyjskich praw, nie był uważany za przestępcę. (Wedle sowieckiego prawa natychmiast by mu dano czapę).

Na Aleksandra II dokonano *siedmiu* zamachów: zamach *Karakozowa*[1], zamach *Soiowiowa;* zamach pod *Aleksandrowskiem;* zamach pod *Kurskiem;* bomba *Cbalturina;* mina *Tietiorki*\ wreszcie udany zamach *Hryniewieckie-go*\ Aleksander II chodził ze strachem w oczach (nawiasem mówiąc, bez żadnej ochrony) po Petersburgu „jak szczute zwierzę" (wedle wyrażenia Lwa Tołstoja, który spotkał cara na schodach jakiegoś prywatnego do-

[1] *A propos* — Karakozow miał brata. Brat człowieka, który strzelał do cara! — spróbujcie to zmierzyć naszym łokciem. Oto jaką ów brat poniósł karę: „Zostało mu nakazane, aby zmienił nazwisko i zwał się odtąd Władimirow". Żadnego uszczerbku materialnego, żadnych ograniczeń statusu i prawa do swobodnego poruszania się.

**75**

mir). I cóż — czy rozpędził i deportował pół Petersburga, jak to się stało po zabójstwie l^irowa? Skądże, ani mu to było w głowie. Czy wprowadził profilaktyczny terror masowy? Powszechny terror, jak w roku 1918? Czy brał *zakładników!* Nie było wówczas nawet takiego pojęcia. Czy wpakował do ciupy elementy podejrzane? Ależ jak to można?!... Czy posłał tysiące ludzi na szafot? Stracono wszystkiego pięciu ludzi. Skazano na różne kary w tym całym okresie niespełna trzystu. (A gdyby miał miejsce choćby *jeden* taki zamach na Stalina — to iloma milionami dusz musielibyśmy za to zapłacić?).

W roku 1891, jak pisze bolszewik Olmiński, byl on *jedynym więźniem politycznym* w całym więzieniu Kresty. Gdy z Petersburga przeniesiono go do Moskwy, był znowu jedynym politycznym na Tagance. Dopiero w Bu-tyrkach, przed samą wysyłką na etap, zebrało się ich kilku!... (Minęło ćwierć wieku i rewolucja lutowa zastała w odeskiej twierdzy 7 więźniów politycznych, a w Mohylowie — 3);

Postępy oświaty i swobodnie rozwijającej się literatury sprawiły, że z każdym rokiem wzrastało znaczenie opinii publicznej, tej siły niewidzialnej, lecz groźnej dla caratu; nie udawało się już carom utrzymać w garści cugli, czy bodaj grzywy i Mikołaj galopował czepiając się już tylko kłębów i ogona. Nie miał odwagi, aby działać. Ani on, ani jego dygnitarze nie mieli już serca do walki o zachowanie władzy. Już nie gnębili, uciskali tylko z lekka i prędko szli na ustępstwa. Wciąż oglądali się i wytężali słuch: a co też powie na to opinia publiczna?

Mikołaj II zlikwidował agenturę informacyjną wewnątrz jednostek wojskowych uważając, że ta instytucja ubliża honorowi armii (i dlatego nasze władze pojęcia nie miały, jaka też cicha propaganda prowadzpna jest w oddziałach). A do organizacji rewolucyjnych właśnie dłatego posyłano zakamuflowanych szpiclów i korzystano z ich mizernych meldunków, że rząd uważał, iż skrępowany jest przepisami prawa i nie może (jak to się czyni za sowieckich czasów) po prostu wyaresztować wszystkich podejrzanych, nie troszcząc się wcale o konkretne dowody winy.

Oto sławny Milukow, ten przywódca konstytucyjnych demokratów, który jeszcze 30 lat po rewolucji pysznił się, że to on właśnie dał sygnał, który miał rozpętać burzę, drukując 1 listopada 1916 roku swój apel „Głupota czy zdrada?". W 1900 roku pozwolił sobie na zgoła niewinny wyskok: występując (a był profesorem) na studenckim wiecu (profesor na wiecu!) podzielił się z zebranymi poglądem (wśród zebranych był student Sawin-kow, późniejszy szef Organizacji Bojowej Partii Socjalrewolucjonistów), że skoro władze nie uwzględniają dynamiki rewolucyjnego ruchu i nie czynią

[2] *Lew Tołstoj we wspomnieniach jego współczesnych*, 1955, t. 1, str. 180.

**76**

jej ustępstw, to dynamika ta musi nieuchronnie doprowadzić do terroru. Ale przecież to nie żadne podżeganie? i nie żadne *intencje prowadzące do...'*[1]. To tylko zwykła słabość radykalnych liberałów do terroru (dopóki nie skieruje się ona przeciwko nim samym). Milukow wsadzony zostaje do aresztu śledczego na Szpalernej (a jeszcze zabierają mu przy rewizji projekt konstytucji). Do celi sympatycy naznosili mu od razu mnóstwo kwiatów, słodyczy i smakołyków. Ma, rzecz jasna, dostęp do całego księgozbioru Biblioteki Publicznej. Krótkie śledztwo. Właśnie w jego trakcie pewien student zabija ministra oświaty (minęły dwa miesiące od wiecu) — ale to żadną miarą nie wpływa obciążająco na sytuację podsądnego Milukowa. Czekać na wyrok będzie mógł na wolności, tylko nie w samym Petersburgu. Dokąd więc jedzie? A na stację Udielnaja, tuż za rogatkami stolicy. Bywał w Petersburgu niemal każdego dnia — to w lokalu Funduszu Literackiego, to znów w redakcji pisma „Russkoje Bogatstwo". W oczekiwaniu na wyrok otrzymał zezwolenie na wyjazd... do Anglii. Wyrok w końcu zapadł: 6 miesięcy w więzieniu Kriesty. (Również tutaj nie brakowało mu nigdy narcyzów i książek z biblioteki publicznej), Ale odsiedział tylko 3 miesiące: dzięki wstawiennictwu historyka Kluczewskiego („potrzebny jest dla rozwoju nauki") car puszcza go na wolność. (Tego właśnie cara Milukow nazwie później „starym despotą" i oskarży fałszywie o zdradę Rosji). A wkrótce znów będzie mógł udać się na objazd Europy i Ameryki, aby nastawiać tamtejszą opinię publiczną przeciw rosyjskiemu rządowi.

Jedna z ciemniejszych postaci rewolucji lutowej, Gimmer-Suchanow, „wygnany" został z Petersburga wiosną 1914 takim trybem, że pod własnym nazwiskiem mógł dalej pracować sobie w ministerstwie rolnictwa (nie mówiąc już o tym, że często nocował we własnym, stołecznym mieszkaniu).

W 1907 roku padł ofiarą zamachu dyrektor Głównego Zarządu Więziennictwa,

Maksymowski. Jak do tego doszło? Zarząd mieścił się w kamienicy, obok prywatnych mieszkań i prawie w ogóle nie był strzeżony. Wieczorem, już po godzinach służbowych, Maksymowicz z całym zaufaniem przyjął w swoim gabinecie pewną petentkę, która go zabiła.

Kiedy dyrektor departamentu policji Łopuchin zdradził rewolucjonistom tajemnicę swego informatora Azefa (szefa organizacji bojowej partii S-R), to nie znaleziono w kodeksie karnym artykułu, który pozwoliłby go postawić przed sądem; reżym carski nie miał prawnej obrony przeciw rozpowszechnianiu tajemnic państwowych. (Zdecydowano go się jednak oddać pod sąd na podstawie jakiegoś innego, zbliżonego paragrafu — i złote głosy adwokatów długo jeszcze później głosiły, że ta rozprawa to istna „hańba carskiego reżymu". Zdaniem liberałów, Łopuchina nie było za co sądzić).

**77**

Właśnie tchórzliwa połowiczność władzy drażniła i rozjuszała jej przeciwników.

Bohaterowie tej epoki już tak bardzo nie liczyli się z żadnymi poważnymi represjami charakteru penitencjarnego, że Bogrow, który bez wahania zabił Stołypina, mózg Rosji i jej chwałę, krzyknął głośno: „to boli!" kiedy mu nałożono kajdanki.

Jak nieskuteczny był przy tym reżym więzienny, sądzić można z planu ucieczki kijowskiego anarchisty, Justyna Żuka (ucieczka nie udała się jedynie z winy donosu, którego autorem był zapewne Bogrow): w 1907 roku, w czasie przerwy w rozprawie (a sprawa była polityczna!) Żuk (terrorysta) miał wyjść na dziedziniec do toalety, gdzie konwojenci nie ośmielili się wchodzić, a nawet podchodzić blisko. Tam już czekać miał na niego tobołek z cywilnym ubraniem i cęgi do przecinania kajdanów (i wszystko to w obrębie gmachu sądowego!). Prześladowano rewolucjonistów, ale w tym tylko stopniu, by pozwolić im poznać się wzajemnie w celach więziennych, zahartować się w walce, roztoczyć aureole dookoła głów. My zaś, mając w ręku właściwą miarę, możemy dziś stwierdzić śmiało, że rząd carski nie tępił, lecz raczej *hołubił* rewolucjonistów sobie na pohybel. Brak stanowczości, połowiczność decyzji, słabość carskiego rządu — oczywiste są dla każdego, kto na własnej skórze poznał działanie naprawdę *niezawodnego* systemu sądowego.

Przyjrzyjmy się chociażby biografii Lenina, ogólnie wszak znanej: wiosną 1887 roku jego rodzony brat stracony został za zamach na Aleksandra III[3]. Podobnie jak brat Karakozowa, Lenin był więc bratem carobójcy. I cóż? Jesienią tegoż roku Włodzimierz Uljanow wstępuje na Imperatorski Uniwersytet Kazański, przy tym — na wydział prawa! Czy to nie zadziwiające?

Co prawda, w trakcie owego pierwszego roku akademickiego Włodzimierz Uljanow zostaje usunięty z uniwersytetu. Ale represja ta dotyka go za zorganizowanie tajnego, antyrządowego zebrania studenckiego. Brat carobójcy podżega zatem kolegów do nieposłuszeństwa wobec władzy. Co by mu się u nas za to należało? Ależ rozstrzelanie, bez żadnego gadania (współuczestnicy dostaliby po dwadzieścia pięć, w najlepszym wypadku —

[3] W stadium śledztwa sądowego wyszło zresztą na jaw, że Anna Uljanowa otrzymała z Wilna szyfrowaną depeszę: „siostra jest ciężko chora", co znaczyć miało: broń została wysłana. Anna wcale się nie zdziwiła, chociaż nie miała w Wilnie żadnej siostry; i nie wiedzieć czemu — przekazała ten telegram Aleksandrowi. Jasne, że miała swój udział w zmowie i że u nas na pewno dostałaby za to dychę. Ale Anna nic została nawet pociągnięta do odpowiedzialności sądowej! Ustalono też w trakcie tego samego śledztwa, że inna Anna (Sierdiukowa), nauczycielka z Jekatiorinodaru, wiedziała dobrze o przygotowaniach do zamachu na cara i milczała. Co by ją czekało za to u nas? Rozstrzelanie! A jaki wyrok w końcu dostała? Dwa lata...

78

po dziesięć lat). Jego zaś wylewają z uniwersytetu. Okrucieństwo! *Zaraz* jedzie ponadto na zesłanie. Dokąd? Ha... Sachalin[4]? Ależ nie, do majątku rodzinnego Kokuszkino, gdzie zresztą zawsze spędzał ferie letnie. Chce pracować, więc pozwalają mu na... trzebienie lasu w tajdze? Ależ nie! — na prowadzenie praktyki prawniczej w Samarze; jednocześnie uczestniczy w działalności kółek nielegalnych. Następnie może jako ekstern zdawać egzaminy na uniwersytecie Petersburskim. (A kwestionariusze? Oddział Specjalny spał sobie, czy co?).

1 oto po kilku latach ten sam młody rewolucjonista zostaje aresztowany za to, że utworzył w stolicy „Związek Walki o Wyzwolenie" — ni mniej, ni więcej! Że niejednokrotnie wygłaszał „podburzające" przemówienia do robotników, że pisał ulotki. Może znęcano się nad nim albo morzono głodem? Bynajmniej, zapewniono mu w więzieniu warunki dla wydajnej pracy umysłowej. W petersburskim więzieniu śledczym, gdzie przesiedział rok i dokąd przekazano mu dziesiątki dzieł naukowych, zdołał napisać większą część swojej książki *Rozwój kapitalizmu w Rosji,* a oprócz tego wysyłał — legalnie, przez prokuraturę! — *Studia ekonomiczne* do marksistowskiego pisma „Nowe Słowo". Do celi przynoszono mu płatne obiady dietetyczne, mleko, wodę mineralną z apteki, trzy razy tygodniowo paczki żywnościowe od rodziny. (Podobnie Trocki w twierdzy Pietropawłowskiej mógł przelać na papier pierwszy zarys teorii permanentnej rewolucji).

Ale za to później poszedł pod mur z wyroku Trójki? Nie, nawet więzieniem go nie ukarano, pojechał od razu na zesłanie. Czy do Jakucji, na całe życie? Skądże znowu, do żyznego okręgu Minusińskiego, na całe trzy lata. Wiozą go tam jednak skutego? W wagonie dla więźniów? O, nie! Jedzie jak inni wolni ludzie — jeszcze trzy dni chodzi sobie bez przeszkód po Petersburgu, później także po Moskwie, musi przecież zostawić konspiratorom instrukcje, zatroszczyć się o kontakty i łączność, przeprowadzić naradę tych, co mają kontynuować działalność rewolucyjną. Pozwolono mu jechać na zesłanie na własny rachunek — to znaczy, w jednym przedziale z wolnymi pasażerami. Żadnych etapów, żadnego zborniaka w drodze na Sybir — ani, tym bardziej, w drodze powrotnej — Lenin nie poznał nigdy. Później, w Krasnojarsku, musi jeszcze posiedzieć w bibliotece dwa miesiące, aby zakończyć swój *Rozwój kapitalizmu;* i dzieło to, napisane przez zesłańca, pojawia się w druku

bez żadnych przeszkód ze strony cenzury (ano, przyłóżcie tu nasz łokieć!). Z jakich jednak środków utrzymuje się Lenin w dalekim siole, toć nie znajdzie tam pracy zarobkowej? Otóż poprosił o przyznanie mu dotacji skarbowej, państwo opłacało z nawiązką wszyst-

[4] Na Sachalin posyłano również więźniów politycznych. Ale dziwne, że nie trafił tam nikt z wybitniejszych bolszewików (a także mienszewików).

79

kie jego potrzeby (chociaż matka jego była dość zamożna i słała mu wszystko, czego mu było trzeba). Nie sposób wymyśleć sobie lepszych warunków dla deportowanego niż te, które miał Lenin podczas pierwszego i jedynego swego zesłania. Jedzenie niezwykle tanie i zdrowe, wielka obfitość mięsa (co tydzień — cały baran), mleka, warzyw; uciech łowieckich — też bez liku (nie jest zadowolony z psa, więc całkiem serio chcą mu przysłać z Petersburga innego; kąsają go w kniei komary, więc zamawia sobie skórkowe rękawiczki); Lenin wyleczył się z choroby żołądka i innych przypadłości, na które w młodości cierpiał, szybko też utył. Nie ma żadnych obowiązków, żadnego zatrudnienia, żadnych powinności, jego kobiety też nie muszą się nadwerężać. 15-letnia córeczka miejscowych chłopów wykonywała w ich rodzinie całą czarną robotę za 2 i pół rubla miesięcznie. Lenin nie musiał wcale zarabiać na życie piórem, odrzucał przychodzące z Petersburga oferty płatnej pracy literackiej — a publikował i pisał tylko to, co mogło mu zapewnić literackie nazwisko.

Doczekał się końca okresu deportacji (mógłby bez trudu „uciec", ale nie zrobił tego, był przezorny). Czy zesłanie przedłużono mu automatycznie?, czy zamieniono je na bezterminowe? Nigdy w świecie, to byłoby sprzeczne z prawem. Pozwolono mu zamieszkać w Pskowie, z tym że nie miał prawa jeździć do niedalekiej stolicy. Jeździ za to do Smoleńska, do Rygi. Nikt tych jego ruchów nie śledzi. Wówczas postanawia przewieźć z pomocą bliskiego przyjaciela (Martowa) cały kosz nielegalnej literatury do stolicy — i wybiera drogę przez Carskie Sioło, gdzie kontrola jest szczególnie surowa (tu już obaj panowie przefajnowali). W Petersburgu zostaje zatrzymany. Co prawda, kosza już nie ma, znajdują za to przy nim list, pisany atramentem sympatycznym, a przeznaczony dla Plechanowa i zawierający cały plan organizacji czasopisma „Iskra" — ale żandarmi nie bawią się w chemię; aresztant trzy tygodnie spędza w celi, mają w ręku ów list — lecz list pozostaje w dziewiczym stanie aż do końca.

Czym też kończy się ten samowolny wyjazd z Pskowa? Dwadzieścia lat katorgi, jak u nas? Nie, te trzy tygodnie w areszcie — to wszystko! I wkrótce już wolno Leninowi poruszać się całkiem swobodnie — może pojeździć sobie po Rosji, przygotować punkty kolportażu „Iskry", wreszcie ruszyć za granicę, aby zorganizować redakcję („policja nie widzi przeszkód", aby wydać mu paszport zagraniczny!).

Nie dość na tym! Lenin już z emigracji wysyła do Rosji, do encyklopedii „Granat", hasło o Marksie! i artykuł ten zostaje wydrukowany[5]. I nie tylko ten!

[5] Wyobraźcie sobie tylko, że „Wielka Encyklopedia Sowiecka" zamawia u autora z emigracji hasło o Bierdiajewie — i zamieszcza je!

80

I wreszcie — kieruje działalnością wywrotową, osiedliwszy się w małym I miasteczku blisko austriacko-rosyjskiej granicy; a z Rosji nikt nie posyła przebranych zbirów, aby porwać go i przywieźć żywcem. A nie było to wcale trudne.

Takie same dowody słabości i niezdecydowania władz carskich znaleźć można, gdy przyjrzymy się biografii każdego wybitniejszego socjaldemokraty (szczególnie — w wypadku Stalina, ale tu otwiera się pole dla dodatkowych podejrzeń). Na przykład, podczas rewizji u Kamieniewa w Moskwie, w 1904 roku, znaleziono „kompromitujące listy". W czasie przesłuchania Kamieniew odmawia wyjaśnień. I na tym się kończy. I zostaje deportowany... do rodzinnego miasta, do rodziców.

Co prawda, eserów prześladowano znacznie surowiej. Ale co to znaczy w tym wypadku? Czy można uznać za błahe zarzuty wobec Gerszuni (aresztowanego w 1903 roku), czy Sawinkowa (w 1906)? Zorganizowali udane zamachy na najwyższych dygnitarzy cesarstwa. Ale nie zostali skazani na śmierć. Niedługo potem pozwolono uciec Marii Spiridonowej, która zastrzeliła generała Łużenowskiego, tłumiciela chłopskiego powstania na Ta-mbowszczyźnie. Też zresztą nie ośmielono się posłać jej na szafot, lecz na katorgę[6]. A gdyby u nas, w 1921 roku, jakaś 17-letnia gimnazjalistka zastrzeliła dowódcę, który stłumił bunt chłopski w tym samym tambowskim okręgu* — ileż *tysięcy* gimnazjalistów i inteligentów poszłoby od razu pod mur, bez sądu, na fali czerwonego „kontrterroru"?

Za bunt w bazie floty wojennej w Sweaborgu, przy którego tłumieniu zginęło kilkuset żołnierzy — rozstrzelano 8 zbuntowanych, 800 skazano zaś na karę więzienia. Kilku z nich rewolucja lutowa uwolniła zza krat legendarnego, katorżniczego Zerentuju — gdzie znajdowało się wtedy raptem 22 politycznych katorżników.

Jak zaś karano studentów (za wielką demonstrację w Petersburgu w 1901 roku) wspomina Iwanów Razumnik. W więzieniu petersburskim — istny piknik studencki: śmiech, śpiew chóralny, swobodne krążenie z celi do celi. Iwanów Razumnik z całą niefrasobliwą czelnością poprosił dyrektora więzienia o przepustkę na przedstawienie Teatru Artystycznego, występującego właśnie gościnnie w stolicy — toć bilet mógł przepaść! Skazano go później na „zesłanie" wedle jego wyboru — do Symferopola i mógł z plecakiem odbywać wycieczki po całym Krymie.

[6] Wolność dala jej rewolucja Lutowa. Za to w 1917 roku Spiridonowa aresztowana była przez Czekę i trafiała do jej więzień jeszcze parokrotnie. Była kartą w długoletnim Wielkim Pasjansie socjalistów. Była na zesłaniu pod Samarkandą, Taszkientem, Ufą. Później — ślad jej ginie w jakimś politizolatorze, ponoć gdzieś ją w końcu rozstrzelano. Autor ma na myśli Tuchaczewskiego.

81

Ariadna Turkina tak pisze o tym samym okresie: „Byliśmy więźniami śledczymi i reżym nie był surowy". Oficerowie żandarmerii proponowali im dostawę obiadów z najlepszej restauracji -—— od Dodona. Jak świadczy niezmordowany dłubacz Burcew, „więzienia petersburskie były o wiele bardziej humanitarne od zachodnioeuropejskich".

Leonida Andriejewa za napisanie ulotki wzywającej robotników moskiewskich do zbrojnego (!) powstania, którego celem miało być obalenie (!) samodzierżawia... przetrzymano w areszcie całe 15 dni! (sam uznał, że to jakoś przymało, więc pisał we wspomnieniach, że siedział trzy tygodnie). Oto notatki z jego dziennika[7]:

„Izolatka! Nie szkodzi, nie jest aż tak źle. Rozścielam łóżko, przysuwam taboret, lampę, kładę sobie paczkę papierosów, gruszkę... czytam, gryzę tę gruszkę, całkiem jak w domu... I wesoło mi, właśnie że wesoło". — „Szanowny panie! Ej, panie szanowny" — tak woła na niego nadzorca przez klapę w drzwiach. Dużo książek. Liściki z sąsiednich cel.

W sumie, jak stwierdzał Andriejew, jeśli chodzi o wyżywienie i warunki mieszkaniowe — lepiej mu się wiodło w celi niż na studenckiej stancji. W

W tym samym okresie Gorki napisał dramat *Dzieci słońca,* siedząc w Trubeckim bastionie. Gdy opadła fala rewolucji lat 1905-07, liczni jej aktywiści, jak na przykład Diaczkow-Tarasow i Anna Rak, nie czekali aż ich zamkną, tylko wyjechali po prostu za granicę, by w charakterze bohaterów — wrócić po lutowej rewolucji i brać się za budowę nowego życia. Było wieleset takich wypadków.

Przywódcy bolszewiccy wydali publikację o charakterze dość bezwstydnej autoreklamy w postaci 41. tomu encyklopedii „Granat" — *Czołowi działacze ZSRR podczas Rewolucji Październikowej — Autobiografie i życiorysy.* Mierzona naszym łokciem, każda z tych elukubracji budzi zdumienie z uwagi na względną bezkarność, z jaką spotkała się rewolucyjna działalność autorów. Bardzo łagodne wydają się zwłaszcza warunki, w jakich odsiadywali swoje kary więzienia. Oto świadectwo dotyczące Krassina: „Pobyt w więzieniu na Tagance zawsze wspominał bardzo mile. Po pierwszych przesłuchaniach żandarmi dali mu spokój (a czemuż to? — A.S.) i Krassin całe te nieproszone wywczasy poświęcił wytężonej pracy: nauczył się niemieckiego, przeczytał w oryginale wszystkie utwory Schillera i Goethego, poznał dzieła Schopenhauera i Kanta, teorie psychologiczne Wund-ta...". Jako miejsce zesłania Krassin obiera sobie Irkuck, tj. stolicę Syberii, jej największe centrum kulturalne.

Radek w więzieniu warszawskim w 1906 roku: „Wpakowano go na pół roku, spędził je w znakomity sposób, ucząc się rosyjskiego, czytając Le-

[7] Według książki L. Andrejewa *Dzieciństwo.*

82

nina, Plechanowa, Marksa, napisał w więzieniu swój pierwszy szkic (o związkach zawodowych...) i szalenie był dumny, gdy doręczono mu (do celi) numer

czasopisma Kautskiego".

Skądinąd Siemaszko twierdzi: „Okres spędzony w więzieniu (Moskwa 1895 roku) był nadzwyczaj trudny": po trzymiesięcznej odsiadce wysłano go na 3 lata... do ojczystego miasta Jelca!

Złą sławę „straszliwych rosyjskich Bastylii" szerzyli na Zachodzie ludzie, których więzienie załamało, tacy jak Parvus, autorzy napuszonych i sentymentalnych, retuszowanych wspomnień, pisanych z chęci odwetu i wymierzonych w carat jako całość.

Wszystkie te prawidłowości powtarzają się również tam, gdzie chodzi o drobniejsze płotki, znaleźć je można w tysiącach poszczególnych życiorysów.

Mam właśnie pod ręką encyklopedię — co prawda, niezupełnie związaną z tym tematem, bo literacką, a ponadto starą (z 1932 roku) z tak zwanymi „omyłkami". Póki jeszcze tych „omyłek" raz na zawsze nie poprawiono, wybieram na chybił trafił literę „K".

Karpenko-Karyj. Będąc sekretarzem policji miejskiej (!) w Jelizawietgra-dzie dostarczał rewolucjonistom paszportów. (Przetłumaczamy to na nasz język: urzędnik biura paszportowego zaopatrywał w paszporty organizację podziemną!). I cóż — został za to skazany na szubienicę? Ależ nie, zesłano go na... 5 (słownie — pięć) lat... do jego własnego futoru! To znaczy — na daczę. Został później pisarzem.

Kiryłow W. T. Brał udział w ruchu rewolucyjnym we flocie czarnomorskiej. Rozstrzelany? Zesłany dożywotnio na katorgę? Ależ nie, 3 lata zesłania do Ust' Sysolska. Został literatem.

Kasatkin I.M. Pisał opowiadania siedząc w więzieniu. Utwory te zamieszczała legalna prasa. (U nas nie może dochrapać się druku nawet taki,co już odsiedział swoje).

Karpow J., powróciwszy z drugiego już zesłania, został kierownikiem cesarskiego teatru Aleksandryjskiego oraz teatru Suworina. (U nas — po pierwsze — nie dostałby prawa meldunku w stolicy, po drugie zaś spec-wydział nie pozwoliłby powierzyć mu nawet posadki suflera).

Krzyżanowski powrócił z zesłania w okresie, gdy reakcja stołypinowska sięgała swego zenitu i (będąc dalej członkiem podziemnego KC) bez żadnych przeszkód przystąpił do swojej pracy jako inżynier. (U nas byłby szczęśliwy, gdyby pozwolono mu objąć posadę ślusarza w stacji maszyn rolniczych).

Chociaż Krylenko nie trafił do „Encyklopedii Literackiej", należy mu się tu wzmianka, skoro już jesteśmy przy literze „K". W trakcie całej swojej frenetycznej działalności rewolucyjnej trzykrotnie „uniknął szczęśliwie are-

83

sztowania[8]", sześciokrotnie go nie uniknął, ale odsiedział w s z y s t k i e go 14 miesięcy. W 1907 roku (był to rok, gdy reakcja triumfowała) został oskarżony o prowadzenie agitacji w szeregach wojskowych i o uczestnictwo w tajnej organizacji paramilitarnej — ale Wojskowy Sąd Okręgowy (!) go uniewinnił! W roku 1915 „za uchylanie się od pełnienia służby wojskowej" (a Krylenko jest oficerem i wojna

trwa!) ten przyszły dowódca naczelny (oraz zabójca innego naczelnego dowódcy) ukarany zostaje w ten sposób, że... wysyłają go na front — i to wcale nie do jakichś oddziałów karnych! (W ten oto sposób rząd carski chciał pokonać Niemców i jednocześnie stłumić ruch rewolucyjny...). I oto w cieniu niepodciętych, prokuratorskich skrzydeł tego człowieka przez 15 lat przeciągali długim szeregiem skazani w tylu procesach, ustawiając się w kolejce po swoją kulę w kark.

We wspomnianym już okresie ,,stołypińskiej reakcji" gubernator okręgu Kutaisi W.A. Starosielski, który osobiście zaopatrywał rewolucjonistów w paszporty i broń oraz udostępniał im plany akcji policyjnych i woj* kowych — wykręcił się omal czy nie dwoma tygodniami aresztu[9].

Przetłumacz to na nasz język, człowiecze, jeśli ci starcza wyobraźni!

W tej samej epoce reakcji ukazuje się *legalne* bolszewickie czasopismo filozoficzne i spoJeczno-polityczne „Myśl", a w „reakcyjnych" „Wiechach" wyczytać można takie określenia: „skostniałe ze starości samodzierżawie", „przekleństwo despotyzmu i niewolnictwa" — co tam, piszcie co chcecie, kto by warn tego zabraniał!

Surowość władz była iście monstrualna. Retuszer zakładu fotograficznego w Jałcie, W.K. Janowski, narysował scenę rozstrzelania marynarzy z krążownika „Oczaków" i wystawił obrazek w witrynie sklepu (no, wyobraźmy sobie, że ktoś u nas wystawia na Kuźnieckim Moście ilustracje mające za przedmiot bunt w Nowoczerkasku i jego stłumienie). Co też zrobił pan starosta z Jałty? Jako że niedaleko znajduje się Liwadia, gdzie car miał swoją rezydencję, postąpił nad wyraz okrutnie: po pierwsze, na-krzyczał na Janowskiego! po drugie, zniszczył... nie zakład fotograficzny Janowskiego, nawet nie sam rysunek sceny rozstrzelania, tylko kopię tego rysunku. (Ktoś powie — to dowód, że z Janowskiego był spryciarz. Ale zauważmy, że starosta miejski też nie kazał rozbijać szyby wystawowej w swojej obecności). Po trzecie, na Janowskiego spadła taka oto ciężka kara: wolno mu było dalej mieszkać w Jałcie, pod warunkiem, że nie będzie pojawiał się na jej ulicach w trakcie przejazdów rodziny carskiej.

Burcew, w piśmie wychodzącym na emigracji, szkalował nawet życie

[8] Tu i na następnych stronnicach korzystamy z jego autobiografii zamieszczonej w encyklopedii „Granat", tom 41, część 1, strony 237-245. • *Towarzysz gubernator* — „Nowyj Mir", 1966, nr 2.

84

intymne cara. Wrócił do Rosji (1914, poryw patriotyzmu) i co — może go rozstrzelali? Niecały rok więzienia i to z rabatem, bo dostawał książki i zajmował się pracą literacką.

Pozwalano więc, aby topór rąbał sobie spokojnie. A topór już się dorą-bie swego.

Gdy z kolei Szlapnikow, przywódca „robotniczej opozycji", fachowy metalowiec, został w 1929 zesłany (pierwszy i nie ostatni raz) do Astracha-nia, to wyrok zabraniał mu „wszelkiego kontaktu z robotnikami'"; nie miał nawet prawa do pracy w swoim fachu, jak sobie tego życzył.

Mienszewik Zubarow, który podczas sesji Drugiej Dumy Państwowej w

skandaliczny sposób szkalował rosyjską armię, nie był nawet wyproszony za drzwi. Za to syn jego, aresztowany w 1927 roku, nie wytknął już nosa z obozów sowieckich. Oto miernik dwóch e"pok.

Kiedy zaś „represjonowano" (jak to się dzisiaj 'grzecznie mówi) Tucha-czewskiego, to nie tylko rozgromiono i wsadzono za kraty całą jego rodzinę (mniejsza o takie drobnostki, jak wyrzucenie córki z wyższej uczelni), ale aresztowano również dwóch jego braci z żonami, cztery siostry oraz ich mężów, a wszystkich bratanków i siostrzenice zapędzono do sierocińców, zmieniając im nazwisko na Tomaszewicz, Rostow itd. Żona Tuchaczews-kicgo została rozstrzelana w obozie, w Kazachstanie, matka żebrała na ulicach Astrachania aż do samej śmierci'". To samo można by powiedzieć o krewniakach setek innych rozstrzelanych dygnitarzy. To jest prześladowanie, co się zowie.

Głównym wyróżnikiem prześladowań (czy półprześladowań) za carskich czasów było chyba to, że krewni i powinowaci rewolucjonisty nic cierpieli za jego winy. Natalia Siedowa (żona Trockiego) W 1907 roku bez przeszkód wróciła do kraju, podczas gdy jej mąż miał wyrok sądowy na karku. Wszyscy członkowie rodziny Uljanowów (a prawie każdy z nich przeszedł przez więzienie) otrzymywali bez przeszkód paszporty i mogli wyjeżdżać za granicę. Gdy Lenin uznany był za „ściganego przez policję przestępcę", ponieważ publikował wezwania do powstania zbrojnego, jego siostra Anna legalnie i regularnie przekazywała mu pieniądze na konto „Credit Lyon-nais". Zarówno matka Lenina, jak i matka Krupskiej, aż do śmierci otrzymywały wysokie renty państwowe jako wdowy (jedna po radcy stanu, czy tzw. generale cywilnym, druga po wyższym oficerze). ! nie sposób było wyobrazić sobie nawet, aby ktokolwiek zechciał je szykanować.

'" Ten przykład przytaczam ze względu na krewnych, niewinnych przecież ludzi. Sam Tuchaczewski staje sie teraz u nas przedmiotem nowego kultu, którego nie zamierzam popierać. Zebrał co sam posiał, to on przecież stłumił powstania w Krunsztacie i na Tambowszczyżnie.

85

W takich to okolicznościach Tołstoj doszedł do przekonania, że ludziom wcale nie jest potrzebna wolność polityczna, lecz jedynie możność moralnego doskonalenia się.

A pewno, że wolność nie jest potrzebna tym, którzy ją już mają. Gotowiśmy się z tym zgodzić: ostatecznie nie o wolność polityczną chodzi, tak jest! Chodzi, rzecz jasna, o moralne zasady życia społecznego! Ale to jest ostatnie ogniwo, co jest zaś ogniwem pierwszym? Jakiż to p i e r w s z y krok trzeba zrobić? Jasna Polana była w tym czasie otwartym klubem, ogniskiem myśli. A gdyby ją tak otoczono łańcuchem posterunków, jak leningradzkie mieszkanie Achmatowej, legitymując każdego, kto ją odwiedzał, a gdyby tak zaciśnięto ów klub w cęgi, jak nas wszystkich za czasów Stalina, kiedy to ludzie bali się spotkań pod jednym dachem nawet we trójkę — o, wtedy nawet Tołstoj żądałby przede wszystkim politycznej

wolności.

W najstraszniejszym okresie terroru stołypińskiego liberalny dziennik „Ruś" na pierwszej kolumnie drukuje taki oto wielki tytuł: „Pięć wyroków śmierci!... Dwudziestu straconych w Chersoniu!". Tołstoj łkał, powtarzał,' że dalej tak żyć nie sposób, że nie można wyobrazić sobie *niczego bardziej przeraźliwego* ".

Przytoczmy jeszcze raz spis z czasopisma *Minione lata:* 950 straconych z wyroku sądowego w ciągu sześciu miesięcy[12].

Weźmy ten numer czasopisma do ręki. Zwróćmy uwagę, że opublikowany został (luty 1907) w samym zenicie ośmiomiesięcznej (19 sierpień 1906 — 19 kwiecień 1907) stołypińskiej epoki „sprawiedliwości polowej" — i że dane czerpał z oficjalnych biuletynów rosyjskich agencji telegraficznych. Wyobraźmy sobie, że w Moskwie w 1937 roku gazety publikują spisy rozstrzelanych, że ukazuje się nawet biuletyn zbiorczy z nazwiskami i cyframi — a NKWD przymyka oczy po wegetariarisku.

Po drugie, ten ośmiomiesięczny okres, który zresztą nie miał w Rosji nowoczesnej precedensów i już się nie powtórzył, musiał się skończyć dlatego, że „pozbawiona znaczenia", „potulna" Dumą Państwowa nie zgadzała się na wymierzanie sprawiedliwości w ten sposób. (Stołypin nie ośmielił się nawet przedłożyć Dumie odpowiedniego wniosku).

Po trzecie, wprowadzenie sądów polowych uzasadniano tym, że w ciągu poprzedzającego ten krok półrocza miały miejsce „niezliczone wypadki mordów politycznych, których ofiarą padli policjanci", liczne zamachy na urzędników i działaczy państwowych[13], a także — eksplozja na Wyspie

" *Tołstoj we wspomnieniach swoich współczesnych,* 1955, t. II, str. 232.

[12] Czasopismo „Byloje", nr 2/14, luty 1907.

[13] Fakty te znajdują potwierdzenie w tym samym artykule czasopisma „Byloje" na
str. 45.

86

Aptekarskiej w Petersburgu; jeśli zaś „państwo nie sprzeciwia się czynnie aktom terroru, to zatraca się samo pojęcie państwa". I oto ministerium stołypinowskie, zniecierpliwione i zirytowane — bo sądy przysięgłych rozpatrują sprawy bez pośpiechu, bo adwokatura ma w nich pozycję mocną i nic nie ogranicza jej przywilejów (to nie nasz sąd okręgowy, potulnie wsłuchany w telefon) — rząd dąży więc za wszelką cenę do okiełznania rewolucjonistów (a także — zwykłych bandytów strzelających do okien pociągów pasażerskich, mordujących spokojnych ludzi dla miłego grosza, dla paru rubli), uciekając się do małomównych sądów polowych. (Zresztą
—pod rygorem ograniczeń: Sąd polowy można wprowadzić *wyłącznie*
w miejscowości, gdzie obowiązuje już stan wojenny albo wyjątkowym zasia
da *tylko* w sprawach przestępstw świeżych, dopiero co — nie dalej niż 24

godziny temu — wykrytych i jedynie wtedy,gdy przestępczy charakter in kryminowanego czynu jest *oczywisty).*

Jeśli społeczeństwo ówczesne tak było tą innowacją wstrząśnięte i tak na nią oburzone, to widać była to rzecz w Rosji od dawna niesłychana!

Biorąc pod uwagę sytuację z lat 1906-1907 widzimy dziś, że winę za wprowadzenie „terroru stołypinowskiego" ponoszą — na równi z rządem —także rewolucjoniści-terroryści.

W sto lat po narodzinach rosyjskiego stronnictwa terroru rewolucyjnego możemy bez żadnych wahań stwierdzić, że ten program terrorystyczny i wynikające zeń akcje były strasznym błędem rewolucjonistów, plagą dla Rosji, że nie dały jej nic prócz chaosu, nieszczęść i mnóstwa ofiar.

Przerzućmy jeszcze kilka stronic tego czasopisma *Minione lata*[H]. Oto jedna z proklamacji,-ogłoszonych w 1862 roku, kiedy się to wszystko zaczęło:

„Czego chcemy? — dobra i szczęścia Rosji. Ale zbudowanie zrębów nowego, lepszego życia *niemożliwe jest bez ofiar,* ponieważ *nie mamy czasu na zwlokę* — potrzeba nam reform szybko, niezwłocznie!".

Jakież to fałszywe rozumowanie! Troszcząc się o dobro Rosji, nie mogli zwlekać i wskazali drogę: kosztem *ofiar* należy przyśpieszyć nadejście epoki szczęścia powszechnego! Nie mieli czasu na żadną zwłokę — i oto my, ich prawnuki, po upływie 115 lat znajdujemy się nie w tym samym punkcie, co oni (mam na myśli moment oswobodzenia chłopów od pańszczyzny i poddaństwa), lecz cofnęliśmy się znacznie na tej drodze.

Przyznajmy, że terroryści byli godnymi partnerami stoiypinowskich sądów polowych.

Z naszego punktu widzenia różnica między erą Stołypina a erą Stalina na tym polega, że za naszych czasów barbarzyństwo azjatyckie przybrało

**[14] „Byłoje" nr 2/14.**

87

formy bardziej jednoznaczne: łby leciały z karków za jedno tylko westchnienie •albo i za cień westchnienia[15].

„Nie ma nic straszniejszego!" — zakrzyknął Tołstoj. A tymczasem — tak łatwo wyobrazić sobie rzeczy straszniejsze. O wiele straszniej, kiedy egzekucje odbywają się nie od czasu do czasu w jakimś znanym wszystkim mieście, lecz *co dzień i wszędzie* — i nie po dwudziestu, ale po dwustu naraz, a gazety o tym — ani słowa, ani petitem, ani wołowymi literami; piszą natomiast, że „żyje się teraz lepiej, żyje się nam radośniej".

Nabili chłopu pyski i prawią: takiś był od kołyski.

Nie, nie było tak! Daleko było do tego, chociaż państwo rosyjskie już w tamtym okresie uważane było powszechnie za największą despotic w Europie.

Dwudzieste i trzydzieste lata bieżącego wieku dały nowy i znacznie głębszy wymiar naszym wyobrażeniom o możliwych stopniach *sprężenia.* Ta materia ziemska, owa garść pyłu, która wydawała się naszym przodkom czymś ugniecionym i zbitym do

granic ostatecznych — dziś przypomina fizykom raczej dziurawe rzeszoto. Okruszynka, leżąca samotnie na stumetrowym boisku, oto model atomu. Wymyślono rzecz monstrualną — sposób, aby te okruszyny, owe jądra atomów zebrać ze wszystkich pustych stumetrowych boisk w jeden pakunek. Naparstek takiej materii waży tyle, ile nasz ziemski parowóz. Ale nawet taki gnieciuch nazbyt jeszcze przypomina kupę pierza: obecność protonów nie pozwala jąder atomowych ugnieść, jak należy. Gdyby zaś udało się sprasować same neutrony, to znaczek pocztowy, z tej masy wykonany, ważyłby 5 milionów ton!

Do *takich* właśnie granic — i to nie korzystając wcale z osiągnięć fizyki — starano się nas ugnieść i stłamsić.

Przez usta Stalina kraj nasz został przywołany do porządku: trzeba raz na zawsze wyplenić beztroską dobroduszność! ,,Dobrodusznością" zaś nazywa W. Dal w swoim słowniku „poczciwość, pobłażliwość, wyrozumiałość, skłonność do miłosierdzia, tolerancji, czułość na dobro innych". Otóż tego wszystkiego kazano nam się wyrzec — a my skwapliwie wyzbyliśmy się wszelkich względów na dobro ogółu! Własny żłób — to dla nas wszystko.

Rosyjska opinia publiczna w pierwszych latach dwudziestego wieku była zadziwiającą siłą,to dzięki niej oddychać można było swobodnie. Carat załamał się nie wtedy, kiedy Kołczak zmuszony został do panicznego odwrotu, ani też podczas lutowej burzy w Piotrogrodzie — ale grubo wcześ-

[15] Twierdzę śmiało, że odbywające się bez sądu ekspedycje karne (stłumienie powstań chłopskich w 1918-19, Tambów — 1921, Kubań i Kazachstan — 1930), prześcignęły znacznie swoim rozmachem i techniką ekspedycje carskie.

88

niej! Był pokonany i skazany już wtedy, gdy w literaturze rosyjskiej przyjęto za pewnik, że opisanie żandarma albo nawet policjanta, z najmniejszą domieszką sympatii —jest dowodem czarnosecinnego lizusostwa. Kiedy za hańbę uważać zaczęto nie tylko podanie mu ręki, nie tylko uchylenie kapelusza, ale wręcz — przypadkowe otarcie się o niego rękawem na ulicy.

Oprawcy, przeniesieni w stan spoczynku albo nawet kierowani do tych zajęć specjalnie — opiekują się dziś u nas... literaturą piękną i kulturą. Każą samych sobie opiewać jako mitycznych herosów. Uchodzi to u nas — nie wiedzieć czemu — za miernik patriotyzmu.

Opinia publiczna! Nie wiem, jak interpretują to pojęcie socjologowie. Dla mnie jest jasne, że być ona może tylko sumą — zależnych od siebie wzajemnie, owszem — ale zupełnie osobistych, jednostkowych opinii, wyrażanych w sposób nieskrępowany i zupełnie niezawisłych od opinii organów państwowych czy partyjnych.

I dopóki nie mamy niezależnej opinii publicznej, dopóty nie ma *żadnej* gwarancji, że nie powtórzy się bezzasadna, masowa rzeź, że nie zacznie się którejkolwiek nocy, tej właśnie nocy, już najbliższej.

Przodująca Doktryna, jak widzieliśmy, nie ustrzegła nas przed tą *zarazą*.

Ale widzę, że mój oponent krzywi się, mruga do mnie, daje znaki, przeczy gestem: po piewsze, ***wrogowie*** *mogą usłyszeć]* po drugie, po co tak generalizować? Przecież kwestia miała zakres o wiele węższy: nie — djacze-go nas wsadzano do ciupy? ani — dlaczego tolerowali tyle bezprawia ci, co zostali na *wolnościP*. Bo wiadomo, że niczego się nawet ***nie*** *domyślali*, że po prostu *ufali partii*[16] i zakładali, że skoro całe narody deportuje się na Sybir w ciągu 24 godzin,to widać te narody winne. Chodzi przecież o inny problem: dlaczego już w obozie, gdzie mogliśmy wszak *dogadać sie* ze sobą, otóż — dlaczego tam głodowaliśmy, gięliśmy kark, znosiliśmy wszystkie szykany i *nie walczyliśmy!*

Zresztą, sam też mam chęć odpowiedzieć na to pytanie. Znosiliśmy cierpliwie to, co wyrabiano z nami w obozach dlatego właśnie, że na zewnątrz, na *wolności* nie istniała *opinia publiczna.*

Jakież w ogóle ma aresztant możliwości oporu wobec reżymu, któremu jest podporządkowany? Zapewne tylko te cztery:

1. protest,
2. głodówka,
3. ucieczka,
4. bunt.

[16] Tak odpowiedział W. Jermiłow Ilji Erenburgowi.

89

A zarazem *jest jasne dla każdego*, by zacytować ulubiony zwrot Nieboszczyka (bo jeśli nie jest jasne, to można wbić do głowy), że pierwsze dwa sposoby są skuteczne (i groźne dla gospodarzy więzień) *tylko* tam, gdzie istnieje opinia publiczna! Gdzie zaś jej nie ma, tam protesty i głodówki budzą tylko śmiech pusty.

Bardzo to efektowne: rozerwać na piersi koszulę w obecności więziennych dygnitarzy — jak to zrobił Dzierżyński — i już samym tym gestem wymusić uznanie swoich żądań. Ale to udać się może tylko tam, gdzie liczą się z głosem opinii. Jeśli zaś tego nie ma, to knebel ci w pysk i jeszcze za więzienną koszulę każą ci płacić!

Warto tu przypomnieć słynny niegdyś wypadek, jaki miał miejsce w ciężkim więzieniu Kara u schyłku zeszłego wieku. Więźniów politycznych zawiadomiono, że mają podlegać odtąd karom cielesnym. Nadieżda Segeda jako pierwsza miała być poddana chłoście (za to, że spoliczkowała komendanta... by zmusić do złożenia dymisji!). Zażyła trucizny — i skonała, byleby tylko nie iść pod rózgi! W ślad za nią jeszcze trzy inne kobiety łykają truciznę — i umierają! W baraku męskim decyduje się na samobójstwo 14 ochotników, ale nie wszyscy z nich giną[17]. W rezultacie — *k&fy* cielesne zostają raz na zawsze skasowane! Polityczni liczyli na to, że zwierzchność więzienna przerazi się ich determinacji i ustąpi. Bo wieść o tragedii w Karze dojdzie przecież do wszystkich uszu w Rosji i w całym świecie.

Ale historia ta, przymierzona do naszych własnych dziejów, może wycisnąć z nas tylko łzy pogardy do nas samych. Dać w pysk komendantowi? A przy tym nie za

własną *krzywdę?* I co w tym strasznego, że wrzepią ci w tyłek porcję rózeg? Za to przecież zachowasz życie! A te koleżanki — czemuż też się otruły? I na dodatek — tych 14 mężczyzn? Dają ci jeść i pić — a ty rozstajesz się z życiem? A może tymczasem nadejdzie amnestia albo zaczną zaliczać ci podwójnie dni pracy?

Oto z jakich stoczyliśmy się wyżyn. Oto jak niskośmy upadli.

Ale też na jakie wyżyny wzlecieli nasi więzienni opiekunowie! O, to już nie te gamonie z Kary! Gdybyśmy nawet teraz podnieśli się na duchu i zdobyli na taki sam górny postępek, to zaraz by nas wszystkich — cztery baby i czternastu chłopa — rozstrzelano, jeszcze zanim zdołalibyśmy zna-

[17] **Dodajmy tu parę szczegółów — chyba nie bez znaczenia (patrz J. N. Kowalska: *Kobiety na katordze* Biblioteka Historyczno-Rewolucyjna, Gosizdat 1920, str. 8-9; G. F. Osmolowski *Karsku tragedia,* Moskwa, 1920): Segeda spoliczkowała i opluła oficera bez powodu, tylko dlatego, że wśród katorżników panowało „nerwowe, kliniczne podniecenie". Po tym akcie oficer żandarmerii (Masjukow) *prosił więźnia politycznego, katorinika,* (Osmolowskiego) *by ten przeprowadził w tej sprawie dochodzenie.* Naczelnik katorgi (Bob-rowski) *umarł w skrusze,* dręczony wyrzutami sumienia, odmawiając przyjęcia ostatniej komunii z rąk kapłana! (Ech, gdybyż to nasi strażnicy byli tacy!).**

90

leźć truciznę (zresztą — skąd trucizna w sowieckim więzieniu?). A gdyby tam kto nawet zdążył się otruć, to ułatwiłby tylko zwierzchności robotę. Pozostali zaś już by dostali swoją porcję rózeg za niezłożenie donosu. I — rzecz jasna wieść o całej tej historii nie mogłaby się przedostać za druty.

O to właśnie chodzi, to jest właśnie ich siła: wieść nie rozeszłaby się po świecie! A gdyby nawet — to niedaleko; byłaby głucha, żadna gazeta nie udzieliłaby jej miejsca, kapusie by ją wyniuchali, w sumie — tyle by jej było, co nic. I żadnego niepokoju publicznego! I czegóż tu się bać, w takim razie? I co tu dbać o jakieś tam protesty? Chcecie się truć? — proszę bardzo.

Beznadziejność naszych *głodówek* naświetlona została wyczerpująco w części pierwszej.

A *ucieczka* Pozostały w pisanych dziejach relacje o kilku poważnych ucieczkach z więzień carskich. Wszystkie te akcje — zaznaczmy — planowane były i realizowane *poza* więzieniem przez ludzi wolnych, innych rewolucjonistów, towarzyszy partyjnych tych, co siedzą za kratą. Liczni sympatycy również przyczyniali się do powodzenia tych czy innych etapów akcji. W samej więc organizacji ucieczek i dalej — kryjówek i przerzutów zbiega — brało udział wiele osób. (Aha — łapie mnie za słowo Historyk-Marksista: „— To dlatego, że ludność była po stronie rewolucjonistów i że do nich należała przyszłość!". — „A może i dlatego — odpowiem z całą skromnością — że to była wesoła zabawa, że można było bezkarnie machnąć chusteczką z okna, ofiarować zbiegowi własne łóżko, gdy nie miał gdzie przenocować, uszminkować go, aby zmienić rysy twarzy? Za to przecież sąd nie groził. Gdy Piotr Ławrow uciekł z zesłania, gubernator Wołog-dy (Chomiński)... wystawił przepustkę jego nieślubnej

żonie, aby mogła udać się w ślady ukochanego... Nawet za fabrykowanie fałszywych paszportów wysyłano sprawców do ich własnych majątków czy folwarków. (Ludzie *nie czuli strachu* — czy zna pan ten stan ducha z doświadczenia? *A propos* — jak to właściwie się stało, że pan nigdy *nie siedziaP".* — „Ach, wie pan, sprawa przypadku, to była przecież *loteria...").*

Zresztą — są również inne świadectwa. Wszyscyśmy musieli czytać w szkole *Matkę* Gorkiego, więc może ktoś zapamiętał opis stosunków panujących w więzieniu w Niżnym Nowgorodzie: nadzorcy noszą zardzewiałe pistolety, używają ich do wbijania gwoździ, można bez trudności przystawić drabinę do muru więziennego i spokojniutko wyjść na wolność. A oto co pisze wyższy urzędnik departamentu policji, Ratajew: „Zesłanie istniało tylko na papierze. Więzienia tak dobrze, jak nie było. Obowiązujący wówczas reżym więzienny sprawiał, że rewolucjonista mógł w więzieniu kontynuować dawną swoją działalność... Kijowski komitet rewolucyj-

91

ny, który znalazł się w pełnym skłaflzie za Kratą miejscowego więzienia, , kierował strajkiem w mieście i ogłaszał odezwy do ludności"[18].

Nic mam teraz dostępu do danych, które pozwoliłyby mi na zorientowanie się, jak dozorowane były najważniejsze ośrodki carskiej katorgi — ale o takich desperackich ucieczkach, przy jednej szansie na sto tysięcy, jakie zdarzały się na naszej katordze —jakoś nie słyszałem. Zapewne dawnym katorżnikom nie bardzo opłacało się ryzykować: nie groziła im przedwczesna śmierć z wyczerpania przy ciężkich robotach, ani niezasłużona repeta wyroku; drugą połowę kary odbywali na zesłaniu i odkładali ucieczkę właśnie do tego czasu.

Z carskiego zaś zesłani;* nie uciekał tylko ten, kto za bardzo się lenił. Zresztą wizyty kontrolne na posterunku policji wyznaczano rzadko, nadzór był słaby, żadnych posterunków operacyjnych na szlaku; mieli pieniądze (albo im je przysyłano), miejsca zesłań nie były zbyt odległe od wielkich rzek i szos; nic takiego nie zagrażało tym, co pomagali uciekinierom, zresztą — samemi* zbiegowi też nie groziło zastrzelenie w razie wpadki ani pobicie, ani dwadzieścia **lat** ciężkich robót jak u nas. Schwytany bywał zwykle odsyłany na dawne miejsce zesłania i pierwotny wyrok nie ulegał zmianie. To było wszystko. W tej loterii nie było straconych stawek. *Wy*-jazd Fastenki za granicę (p. cz. I, rozdział 5) jest przypadkiem typowym. Ale bywały przypadki jeszcze bardziej charakterystyczne — jak ucieczka z Krainy Turuchańskiej anarchisty A.P. Ułanowskiego. Wystarczyło, że po drodze, w Kijowie, wszedł do czytelni studenckiej i poprosił o książkę Michajłowskiego *Co to jest postęp?* — by studenci dali mu jeść, zapewnili nocleg i zebrali pieniądze na pociąg. Za granicę zaś wydostał się w ten sposób, że po prostu wszedł na pokład nierosyjskiego statku — toć nie

'" Czasopismo „Byloje" Nr 2/24, 1917, list L. A. Ratajewa do N. P. Zujewa. Znajdujemy tamże następujące uwagi o sytuacji ogólnej w Rosji, na w o l n o ś c i:

„Nigdzie (poza stolicami — A. S.) nie istniała tajna agentura ani sieć płatnych konfidentów, obserwacje prowadzili w skrajnych wypadkach poprzebierani członkowie korpusu podoficerskiego żandarmerii, którzy niekiedy zapominali zdjąć ostrogi, przywdziewając cywilne ubrania... W takich warunkach wystarczało, by rewolucjonista przeniósł się na prowincję, a już to, co robił, stawało się zupełną tajemnicą dla policji. W ten sposób powstały prawdziwe ośrodki rewolucyjne, wylęgarnie propagandzistów i agitatorów...

Czytelnicy nasi bez trudu potrafią się zorientować, jak bardzo różnią się te warunki od naszych, sowieckich. Jegor Sazonow, przebrany za dorożkarza cały dzień przesiedział na koźle *poĄ samą bramą departamentu policji (!!),* trzymając bombę pod skórzanym fartuchem w oczekiwaniu na ministra Plehwe, którego miał zabić — i nikt nie zwrócił na niego uwagi, nikt go nie pytał o nic! Kalajew, zamachowiec jeszcze niedoświadczony, *cały dzień* stal w napięciu przed domem Plehwego na Fontance, pewien że zostanie aresztowany, ale nikt go nawet nie zaczepili... O, bajeczna epoko!... W t e n sposób robić rewolucje nie jest trudno.

92

pilnował go posterunek MWD! — i zaszył się w kotłowni. Ale nie na tym koniec z cudami: podczas wojny roku 14. Ułanowski dobrowolnie wrócił do Rosji, na swoje turuchariskie zesłanie! Szpieg? Rozstrzelać? Gadaj, gadzino, kto cię zwerbował!? Nic podobnego. Oto wyrok sędziego pokoju: za trzy lata spędzone nielegalnie za granicą — 3 ruble kary z zamianą na jeden dzień aresztu! Trzy ruble to sporo i Ułanowski wolał odsiedzieć ów jeden dzień.

Helfand-Parvus, autor wywrotowego *Manifestu finansowego* (grudzień 1905), faktyczny leader Petersburskiej Rady Robotniczych Deputatów w 1905 roku... czy był może ćwiartowany? Nie, skazano go na 3 (trzy) lata *zesłania* do Kraju Turuchariskiego — i mógł uciec już z etapu w Krasno-jarsku (aresztantom pozwolono iść do miasta na „zakup wiktuałów") Lew Deutsch — już wtedy uciekł. Parvus zaś przeoczył chwilę. Dojechał do Jenisejska, dopiero tam spił jedynego swojego konwojenta i poszedł sobie precz. Musiał wracać wodnym szlakiem, Jenisejem w chłopskim przebraniu! Dręczył go brud, pchły i chłopskie towarzystwo. Potem zatrzymał się w Petersburgu i dopiero po jakimś czasie wyjechał za granicę.

Poczynając od ucieczek z Sołówek — wątłą łódeczką przez morze albo w okrętowej ładowni, pełnej drzewa — i kończąc na beznadziejnych, straceńczych, szalonych wypadach z obozów w końcu ery stalinowskiej (poświęcone im jest kilka dalszych rozdziałów) — nasze ucieczki były przedsięwzięciami godnymi gigantów, ale gigantów skazanych na zagładę. Tyle śmiałości, fantazji i woli nikt przed rewolucją w plan ucieczki nie wkładał, ale tamte ucieczki zwykle kończyły się sukcesem, nasze zaś — nigdy.

— A dlatego, że wasze ucieczki były w swojej klasowej istocie reakcyjne!...

Więc to objaw reakcji, kiedy człowiek nie chce być rabem i bydlęciem?

Nie udawały się zaś istotnie dlatego, że sukces ucieczki — w jej dalszych stadiach — zależy od nastrojów ludności. Nasza zaś ludność *bala* się pomagać albo nawet

*denuncjowala* zbiegów — z chęci zysku lub z przekonania.

Znowu wraca problem opinii publicznej.

Co do buntów natomiast, ale takich porządnych, z udziałem trzech, pięciu, ośmiu tysięcy więźniów — to cała historia naszych trzech rewolucji nie znała ich wcale.

My zaś — znaliśmy je dobrze.

Ale to samo przeklęte fatum sprawiało, że największe wysiłki i ofiary paliły sromotnie na panewce.

Bo społeczeństwo nie dojrzało jeszcze. Bo bez poparcia opinii publicznej bunt, nawet w największym obozie, nie ma żadnych perspektyw.

93

Tak więc na pytanie: „Czemuscie się godzili na wszystko?" czas wreszcie dać odpowiedź: Wcaleśmy się nie godzili! Zaraz przeczytacie, jakeśmy się godzili.

W Specobozach rozwinęliśmy sztandar *politycznych* i staliśmy się nimi naprawdę!

## POEZJA POD FAJERKĄ, PRAWDA POD KAMIENIEM

W zaraniu mojej wędrówki przez obozy bardzo chciałem zwolnić się z robót ogólnych, ale mi się to nie udawało. Gdy przyjechałem do obozu Ekibastuz w szóstym roku po aresztowaniu, postanowiłem zaprzestać tych usiłowań i za jednym zamachem odrzucić balast rozmaitych obozowych nastawień, stosunków i kombinacji, które nie pozwalają umysłowi więźnia zająć się żadną sprawą głębszą. Dlatego też, zamiast prowadzić dojutrkową wegetację wyrobnika — jak to czynią chcąc nie chcąc ludzie kulturalni, mający wciąż nadzieję, że z rąk łaskawego losu dostaną awans na *prytlurka*

- postanowiłem, tu na katordze, nauczyć się fachu. W brygadzie Boro-
niuka nawinęła się nam (to jest mnie i Olegowi Iwanowowi) taka szansa
- mogliśmy opanować fach murarski. Inny traf sprawił później, że do
stałem zajęcie w odlewni, jako giser.

Z początku nękały mnie obawy, niepewność: czy dobrze robię? czy dam sobie radę? Mózgowcy, nie przystosowani do takiej roboty — więcej trudności mieliśmy niż inni koledzy z brygady, choć pracowaliśmy w tych samych warunkach. Ale właśnie od chwili, gdy świadomie opadłem aż na dno i poczułem je pod stopami, ów grunt twardy, skalisty, dla wszystkich wspólny — otóż dopiero wtedy zaczęły się najważniejsze lata mego życia, które dały ostateczny szlif memu charakterowi. Jakiekolwiek by teraz wzloty i upadki czekały mnie w życiu, wierny już będę poglądom i nawykom, które wówczas rozwinęły się we mnie.

Wolna od szlamu głowa potrzebna mi zaś była dlatego, że już od dwóch lat układałem poemat. Był ten poemat ważnym dla mnie zadośćuczynieniem, pozwalał mi nie zwracać uwagi na to, co tymczasem wyrabiano z moją powłoką cielesną.

Czasami gdy maszerowałem w posępnym

***0***

95

szeregu popędzany wrzaskami zbrojnej w pepesze eskorty — czułem parcie takiego mnóstwa wierszy i obrazów, że niosło mnie, jakbym szybował nad wlokącą się kolumną, i chciałem już jak najprędzej znaleźć się tam, na o b i e k c i e , żeby zaszyć się gdzieś w kącie i notować. Przenikało mnie w takich chwilach poczucie szczęścia i swobody[1].

Ale jak tu *pisać* w Specobozie? Korolenko wspomina, że pisał w carskim więzieniu — ale też co tam były za porządki! Pisał ołówkiem (a dlaczego mu go nie zabrali, dlaczego nie przełamywali przy rewizji szwów odzieży?), który udało mu się ukryć w kędzierzawej czuprynie (a dlaczego nie golili im łbów?), pisał wśród hałasu (Bogu by dziękował, że miał na czym siedzieć i mógł nogi rozprostować!). A na domiar wszystkiego — miał prawo do zachowania swoich rękopisów i mógł przesyłać je poza obręb więzienia (to jest właśnie rzecz najbardziej niepojęta dla naszych współczesnych).

U nas nikomu nie uda się tak pisać, nawet w obozie! (Bardzo niebezpieczne było choćby notowanie projektów nazwisk, jakie nosić mieli bohaterowie przyszłej powieści — spis członków organizacji? Zapisywałem tylko rdzeń etymologiczny imienia — i to w postaci rzeczownikowej albo przymiotnikowej). Pamięć to jedyna skrytka, w której człowiek może to, *cdu* napisał, przechować i przenieść przez wszystkie rewizje i etapy. Z początku nie bardzo wierzyłem w możliwości pami dlatego postanowiłem pisać powieść wierszem. Był to, rzecz jasna, gwałt zadany zasadom gatunku literackiego. Przekonałem się później, że proza też nieźle da się upchnąć w tajne zakamarki naszych łbów. Uwolniona od balastu niepotrzebnych, miałkich wiadomości, pamięć więźnia zadziwia swoją pojemnością i potrafi rozszerzać się nieomal bezgranicznie. Nie dowierzamy własnej pamięci, a szkoda!

Ale nim człowiek coś pamięci powierzy, najprzód chce to zapisać i doszlifować na papierze. Ołówek i papier do pisania mieć w obozie wolno, nie wolno tylko mieć żadnego *rękopisu* (chyba, że to poemat o Stalinie[2]).

[1] Wszystko zależy od łokcia, jakim się mierzy! Piszą ci u nas o rewolucjoniście, Wasyhi
Kuroczkinie, że 9 lat, które przeżył po zamknięciu czasopisma „Iskra", były dla niego
„latami istnej agonii", bo pozbawiono go JEGO UKOCHANEGO PISMA! My zaś, nie
ośmielający się nawet marzyć o WŁASNYM piśmie, ani rusz nie możemy zrozumieć: toż
miał własną izbę, ciszę, stół, atrament, papier, nikt go nie rewidował i nie odbierał tego, co
zdążył napisać — co to za „agonia"?

[2] Wypadek takiej twórczości opisany został przez Diakowa: Dmitriewski i

Czetwieri-
kow przedstawiają kierownictwu temat i pian powieści, jaką chcą napisać, po czym do-
czekują się przychylnej opinii i zatwierdzenia. Sam oper dba, aby nikt nie posyłał ich na
ogólne. Następnie — wyprowadzają ich *ukradkiem z żony* („żeby banderowcy ich nie
rozszarpali") i w ten sposób współautorzy mogą spokojnie kontynuować pracę literacką.
Też rodzaj „poezji pod fajerką". Tylko gdzie ta powieść?

96

I jeśli nie jesteś *prydurkiem* w lazarecie, ani pieczeniarzem Działu KO, musisz rano i wieczorem przejść procedurę rewizji. Postanowiłem więc pisać małymi fragmentami — po 12-20 wierszy, doprowadzać je do stanu optymalnego, później — wykuwać na pamięć, a szkice palić. Raz na zawsze przyjąłem też zasadę: nie ograniczać się do zwykłego rwania kartki na strzępy.

W więzieniach cały proces układania i szlifowania wierszy musiał odbywać się w pamięci. Gdy już były gotowe, łamałem parę zapałek na cząstki i układałem je na papierośnicy w dwóch rzędach — dziesięć jednostek i dziesięć dziesiątek; recytowałem potem moje wiersze w milczeniu
—i po każdej odtworzonej w pamięci linijce przesuwałem jeden odłamek zapałki na bok. Przesunąwszy tak dziesięć jednostek, przesuwałem zapał kę oznaczającą dziesiątkę. (Ale nawet tę czynność wykonywać trzeba było ostrożnie: gdyby takiemu niewinnemu przesuwaniu zapałek towarzyszyły ruchy warg i mamrotanie, albo nawet szczególny wyraz twarzy, zaraz by jakiś kapuś mógł to zauważyć. Starałem się przesuwać moje zapałki jakby w roztargnieniu). Każdą pięćdziesiątą i setną linię notowałem w pa mięci szczególnie uważnie — jako kontrolne. Raz na miesiąc powtarza łem sobie zapamiętaną całość. Jeśli nie zgadzał się wtedy pięćdziesiąty czy setny wiersz, powtarzałem dopóty, dopóki nie chwyciłem za ogon mojego zbiega.

W kujbyszewskim etapowym przyjrzałem się, jak katolicy (z Litwy) wyrabiają swoje więzienne różańce. Nasamprzód moczyli chleb, potem miesili papkę, barwili ją (na czarno — paloną gumą, na biało — proszkiem do zębów, na czerwono — pigułkami streptocydu), jeszcze mokre kulki nizali na sznurek ze skręconych i namydlonych nici i wieszali na oknie, aby wyschły. Przyłączyłem się do nich i oznajmiłem, że też chcę się modlić, ale moja religia wymaga, aby różaniec miał dokładnie sto paciorków (dopiero później zrozumiałem, że wystarczy dwadzieścia, że to .pawet wygodniej
—i sam je sobie zrobiłem z korka), przy tym każdy dziesiąty musi być nie kulisty, lecz sześcienny, na kształt kostki, a ponadto — pięćdziesiąty i setny musi dać się rozróżnić dotykiem. Litwinów zadziwiła moja gorliwość

w wierze (najpobożniejsi z nich nie mieli w różańcu więcej niż czterdzieści paciorków), ale z całą serdeczną życzliwością pomogli mi w robocie: setny koralik ulepili w kształcie ciemnoczerwonego serduszka. Z tym ich cudow nym podarunkiem nigdy ju^ się potem nie rozstawałem. Przesuwałem i przebierałem paciorki ukryte w szerokiej, zimowej łapawicy — na zbiórce, w trakcie marszu do roboty, podczas wszystkich długich czekan, można było to robić stojąc, mróz w tym nie przeszkadzał. Przez wszystkie rewizje też go tak samo przeniosłem — w watowanej rękawicy, w której strażnik



nie mógł się go domacać. Kilkakrotnie jednak strażnicy go znajdowali, ale domyślali się, że służy do modlitwy i zwracali mi różaniec. Aż do końca kary (kiedy miałem już w majątku 12.000 wierszy), a później jeszcze na zesłaniu, ten różaniec pomagał mi pisać i pamiętać.

Ale to wszystko jeszcze nie jest takie proste. Im więcej robiło się tego, com napisał, tym więcej dni musiałem co miesiąc poświęcać na powtórki. A powtórki dlatego są szkodliwe, że całość ci powszednieje, przestajesz odróżniać miejsca mocne od słabych. Pierwszy wariant — i tak już pośpiesznie zaakceptowany, bo to trzeba czym prędzej spalić — staje się w końcu jedynym. Nie można sobie pozwolić na luksus czekania, nie można odłożyć go na parę lat do szuflady, żeby zapomnieć, a potem — znów mu się przyjrzeć świeżym, krytycznym okiem. Dlatego nie można w ten sposób napisać niczego naprawdę wartościowego.

A z paleniem karteluszków nie można było zwlekać. Trzy razy byłem przez nie w poważnych opałach, a ratowało mnie tylko to, że najniebezpieczniejszych słów nie pisałem, tylko zastępowałem je na kartce krechami. Pewnego razu leżałem sobie na trawce, z dala od kolegów, ale blisko żony (żeby gwar nie przeszkadzał) i pisałem, chowając moją kartkę między stronicami książki. Starszy nadzorca, Tatar, podkradł się do mnie cichcem z tyłu i zdążył zauważyć, że nie czytam, lecz piszę.

— Dawaj no! — i wyciągnął rękę po papierek. Zerwałem się, czując zimne dreszcze, i podałem mu kartkę. Napisane było na niej:

*Nasz los obróci się na nice, Co nasze będzie znowu naszym Pięć dni po grudzie, wśród"śnieżycy Pieszo z Ostródy do Brodnicy Tatarski konwój gnał nas w jasyr.*

Gdyby słowa „tatarski" i „konwój" napisane były litera po literze, mój Tatar wziąłby mnie za kark i odprowadził do opera, a temjuż by doszedł po nitce do kłębka. Ale kreski były nieme:

*T-----k - -----gnał nas w j --*

Każdy myśli po swojemu. Ja drżałem o mój poemat, a konwojent podejrzewał, że rysuję sobie plan żony i szykuję się do ucieczki. Ale to, co znalazł, też czytał marszcząc brwi: „gnał nas" — też było dla niego jakąś poszlaką. Co zaś najbardziej go zastanowiło, to owe nieszczęsne „pięć dni". Ani mi przyszło do głowy, z czym

to mu się kojarzy. *Pięć dni* — to przecież był standardowy, obozowy zwrot, tej formułki używano posyłając więźnia do karceru.

— Kto dostał te pięć dni? O kim tu mowa?

Ze skrzypem udało mi się go przekonać (pomogły nazwy miejscowości — Ostróda i Brodnica), że staram się jedynie odtworzyć czyjś frontowy wiersz, ale nie mogę przypomnieć sobie niektórych słów.

— A po co masz je w ogóle wspominać? Wspominać wam nie kazano! —zganił mnie surowo. Jeszcze raz tak tu się rozciągniesz — to zobaczysz!

Gdy teraz o tym piszę, sprawa wydaje się błaha. Ale wówczas — dla mnie, nędznego niewolnika — było to wydarzenie największej wagi: zostałem pozbawiony prawa do ucieczki od hałasu, a gdybym raz jeszcze wpadł temuż Tatarowi w łapy z innym jakimś wierszem, zaraz mogliby zacząć nowe śledztwo przeciw mnie i wzmocnić nadzór.

Ale nie mogłem już wyrzec się mojego pisania!...

Innym znów razem — wbrew moim zasadom — zanotowałem podczas pracy jakieś 60 wierszy z mojej sztuki [3] i nie potrafiłem ukryć karteczki tak, by nikomu nie wpadła w oko przy wejściu do obozu. Strażnik, prosty, szerokonosy chłopak, ze zdziwieniem oglądał swój łup:

— List? — zapytał.

(Przenoszenie listów pachniało tylko karcerem. Ale ładne skutki mógłby mieć ten „list", gdyby dostał się do rąk opera!).

- To tekst dla kółka teatralnego — powiedziałem z całą bezczelnością. Spisuję z pamięci jedną taką sztuczkę. Jak będzie premiera, niech obywatel koniecznie przyjdzie.
- Duży, a głupi!

I przedarł moją kartkę na dwoje, na czworo, na ośmioro. Przestraszyłem się, że rzuci strzępy na ziemię — a były jeszcze spore i tu, przed wartownią mogły zwrócić uwagę jakiegoś czujniejszego nadzorcy — ot, sam naczelnik Maczechowski stoi o kilka kroków od nas i obserwuje przebieg rewizji. Ale mieli chyba rozkaz, aby nie śmiecić przed wartownią, <bo sami musieliby w końcu sprzątać, więc nadzorca potargane strzępki wetknął mi w półroz-wartą dłoń jak w urnę. Minąłem wrota i postarałem się wrzucić te papierki do pieca.

Za trzecim zaś razem miałem przy sobie porządny kawał mego poematu, — ale pracując przy rozbudowie BUR-a —%nie mogłem się powstrzymać i zapisałem jeszcze *Murarza.* Nie wychodziliśmy przecież poza żonę, nie bałem się więc codziennych rewizji osobistych. Chodziłem z tym *Murarzem* już trzeci dzień. W ciemnościach, przed wieczornym apelem, odszedłem na bok, żeby powtórzyć go sobie ostatni raz, a potem od razu spalić. Szukałem ciszy i samotności, dlatego udałem się na skraj żony, nie pamiętając o tym, że jestem blisko punktu, gdzie niedawno przelazł pod drutami Ten-

*Uczta zwycięzców.*

99

no. Widać strażnik czaił się tam w zasadzce, bo raptem ktoś chwycił mnie za kołnierz i po chwili już prowadzono mnie do BUR-a, w tych ciemnościach. Korzystając z nich, ostrożnie zmiąłem w kulkę mojego *Murarza* i rzuciłem go na chybił-trafił za plecami na ziemię. Było wietrzno i strażnik nie dosłyszał szelestu gniecionego papieru.

Ale całkiem zapomniałem, że mam za pazuchą jeszcze fragment poematu. W BUR-ze znaleziono go podczas rewizji. Był to na szczęście fragment frontowy, nieomal całkiem niewinny (z *Pruskich nocy).*

Naczelnik zmiany, starszy sierżant, zupełnie nieźle podkuty, przeczytał tekst.

- Co to takiego?
- Twardowski! — oznajmiłem z przekonaniem. — Z poematu *Wasyli Tiorkin**.

(Tak oto po raz pierwszy przecięły się nasze drogi: moja i Aleksandra Twardowskiego).

- Twardowski? — sierżant był pełen szacunku. — A po co ci to?
- Brak przecież książek. Wspominam co mogę, żeby mieć później co czytać. j

Skonfiskowano mi broń — pół żyletki, poemat natomiast oddano i pewno pozwolono by mi odejść tak, że mógłbym pobiec na poszukiwanie papierka z *Murarzem.* Ale tymczasem apel się skończył i nie wolno już było chodzić po żonie — więc nadzorca sam odprowadził mnie do baraku i zamknął za mną drzwi.

Źle spałem tej nocy. Na dworze hulał istny huragan. Gdzież jest teraz ten świstek z moim *Murarzem?* Nie bacząc na wszystkie skreślenia, sens wiersza był całkiem jednoznaczny. I tekst pozwalał się domyśleć, że autor pracuje w brygadzie, budującej BUR. A wśród Ukraińców nie trudno było mnie zidentyfikować.

Tak więc, cała moja tyloletnia pisanina, i ta co już znalazła jakiś wyraz, i ta co dopiero telepała się w głowie — miotała się teraz po całej żonie albo już po stepie, w postaci bezradnej, papierowej kuleczki. Ja zaś — modliłem się. Bo gdy nam źle — nie wstydzimy się Boga. Wstydzimy się go tylko wtedy, gdy nam dobrze.

Rano, zaraz po pobudce, o piątej, dławiąc się wiatrem, pobiegłem na to miejsce. Wiatr podnosił nawet żwir, prał drobnymi kamyczkami po twarzy. Nie było co szukać! Wiatr dmuchał w stronę baraku komendy, i dalej w stronę karceru, i dalej — za żonę, gdzie rozciągała się osada strażników.

Najpopularniejszy utwór okresu wojny, długi poemat patriotyczny, utrzymany w stylu ludowej opowieści, rodzaj sagi o przypadkach prostego żołnierza.

100

Całą godzinę, aż do brzasku, wałęsałem się tam, półzgięty, szukając papierka bez żadnego skutku. Ale gdy się rozwidniło, zobaczyłem mój świstek 0 trzy kroki od miejsca, gdziem go wyrzucił! — wiatr zwiał go na bok

1 papierek uwiązł między leżącymi tam deskami.

Po dziś dzień uważam to za cud.

W ten więc sposób pisałem. Zimą — w ogrzewalni, wiosną i latem — na rusztowaniach, na murze: w przerwie między jedną a drugą porcją zaprawy, którą nam przynoszono z dołu na tragach, kładłem kartkę na cegle i ogryzkiem ołówka (ukrywając się przed sąsiadami) zapisywałem linijki wiersza, które mi przyszły do głowy przed chwilą, gdym wybierał maź z dna koryta. Żyłem jak we śnie — siedziałem w stołówce nad miską świętej bałandy i nieraz nie wiedziałem co żłopią, nie słyszałem, co mówią sąsiedzi

—wciąż wspinałem się po stopniach strof i nakładałem jedną na drugą jak cegły. Rewidowano, sprawdzano mój numer, pędzono w szeregu przez step; a ja widziałem tylko scenę, na której rozgrywała się moja sztuka, barwę kurtyny, teatralne meble, blask reflektorów, ruchy przyszłych ak torów.

Moi towarzysze rwali ciężarówkami kolczaste druty, przełazili pod nimi —albo nad nimi, gdy śnieżna zawieja przywalała je zaspami — dla mnie zaś tych drutów jakby wcale nie było, już dawno uciekłem daleko, tyle że żadna straż na żadnym apelu tej ucieczki wykryć nie była w stanie.

Domyślałem się, że nie ja jeden tak czynię, że wchodzę oto w krąg Wielkiego Wtajemniczenia, że tajemnica owa dojrzewa skrycie na różnych wyspach Archipelagu, w głębi takich samych piersi jak moje, aby kiedyś, już po naszej zapewne śmierci, wyjść na jaw i stać się zaczynem przyszłej rosyjskiej literatury.

(W roku 1956 przeczytałem — bo *samizdat* już wtedy istniał — pierwszy zbiorek Warłama Szałamowa i zadrżałem, jakbym spotkał brata:

*Ja przecież wiem, że to już nie są żarty. To pewna śmierć.*
*Lecz nawet kosztem życia Jak Archimedes — nie zniszczę*
*tej karty I nie przestanę tych słów kreślić skrycie.*

On też pisał w obozie! — w sekrecie przed wszystkimi, z takim samym wiecznym krzykiem na ustach, rzucanym w głąb ciemności:

*We wspólnym dole moich wspomnień Nic, tylko grób przy*
*grobie. Też by już dawno było po mnie, Lecz*
*poprzysięgłem sobie,*

101

*Dośpiewać wszystko i dopłakać, Dośnić i dosnuć*
*wątek. Tak, jakby żywot umarlaka Miał jakiś*
*swój początek...*

Iluż nas takich było? Sądzę, że znacznie więcej, niż ujawniło się w trakcie ostatnich lat. Nie wszystkim dane było doczekać. Ten i ów zakopał zapewne butelkę z tekstem, ale nikomu nie powiedział gdzie. Inny znów powierzył swój utwór rękom niedbałym albo zbyt ostrożnym. Kto inny znowu — nie zdążył swych myśli utrwalić na piśmie.

A w Ekibastuzie, na naszej wysepce — czy byliśmy w stanie poznać się wzajem?, dodać sobie odwagi?, podać pomocną dłoń? Kryliśmy się jak wilki jeden przed drugim, nie wyłączając nam podobnych. Ale nawet w tych warunkach udało mi się spotkać w Ekibastuzie kilku takich jak ja.

Baptyści pomogli mi zawrzeć znajomość z Anatolem Wasyliewiczem Si-linem, poetą uprawiającym tematykę religijną. Miał naówczas ponad czterdzieści lat. Twarz jego nie odznaczała się niczym szczególnym. Całą jego ostrzyżoną i wygoloną głowę porastała ryża szczecinka — brwi też były rudawe. Jego zachowanie cechowała zawsze ustępliwość i łagodność, ale potrafił dbać o dystans. Dopiero gdyśmy się porządnie rozgadali, gdy zaczęliśmy już spędzać razem wolne niedziele, godzinami spacerując po zonie, Silin jął recytować mi swoje — bardzo długie — poematy religijnej treści (pisał je w obozie, tak samo jak ja) — i po raz nie wiadomo który przekonałem się ze zdumieniem, jak często w niepozornym ciele mieszka niepowszednia dusza.

Był bezdomnym sierotą, wychował się w przytułku, uważał sią za ateistę, ale w niewoli u Niemców dostał do rąk książki religijne i cały w nich zatonął. Od tej chwili stał się nie tylko człowiekiem wierzącym, ale i filozofem i teologiem! A jako że „od tej chwili" siedział bez przerwy w więzieniu albo w obozie, cały ten szlak teologiczny przebyć musiał samotnie, raz po raz odkrywając dla siebie rzeczy już dawno odkryte, nie wiedząc czy nie błądzi — bo przecież „od tej chwili" nie miał pod ręką ani książek, ani przewodników. Pracował teraz jako zwykły robociarz, przy łopacie, usiłował sprostać niewykonalnym normom, wracał na miękkich nogach, z trzęsącymi się rękoma — ale i we dnie i wieczorami kręciła mu się w głowie karuzela jambów; wszystkie jego poematy pisane były czterostopowym jam-bem, rymowane nieregularnie i od początku do końca układane w pamięci. Sądzę, że miał już wtedy w zapasie ze dwadzieścia tysięcy linijek. Również dla niego wiersz był środkiem; chodziło o to, by łatwiej rzecz zapamiętać i przekazać innym.

102

Światopogląd jego opromieniała i zdobiła znaczna wrażliwość na uroki natury. Pochylając się nad samotnym źdźbłem trawy, ukradkiem wyrosłym na bezpłodnym terenie naszej żony, Silin wołał:

- Taka trawka, cóż to za piękna rzecz! Ale nawet ją dał Stwórca człowiekowi za podściółkę. O ileż piękniejsi zatem powinniśmy być my sami!
- A przecież jest powiedziane: „Nie miłujcie zbytnio świata ani *rzeczy* świeckich"? (Członkowie sekty często powtarzali tę maksymę).

Uśmiechał się przepraszająco. Umiał tym uśmiechem godzić sprzeczności:

— Ależ nawet w cielesnej, ziemskiej miłości przejawia się nasze dążenie do Zjednoczenia z nadprzyrodzonym!

Swoją Teodyceję, to znaczy próbę wyjaśnienia, dlaczego zło musi istnieć, formułował on tak:

*Dlatego Duch Doskonałości Niedoskonałość*
*toleruje, Że bez cierpienia któż by odgadł, Co warta*

*wieczność w błogostanie.*

*Srogie to prawo, sroga uzda, Lecz zbawion będzie,*
*kto je uzna, By wieczne mieć odpoczywanie...*

Tajemnicę męki Chrystusa, który przybrał ludzką postać, wyjaśniał Silin w sposób nader śmiały: Bóg pragnął nie tylko odkupić ludzkie grzechy, lecz także o d c z u ć na w ł a s n e j s k ó r z e wszystkie cierpienia z ziemskim istnieniem związane. Silin pozwalał sobie na takie twierdzenia:

— O tych cierpieniach Bóg zawsze *wiedział,* ale nigdy przedtem ich nie zaznał!

Podobnie mówił o Antychryście, który w duszy ludzkiej —

*...wolnej, opromienionej laską wieczne dążenie ku*
*światłości obrócił ku doczesnym blaskom...*

Silin potrafił znaleźć dlań świeże ludzkie tony:

*Darem błogości i zbawienia Wzgardził archanioł ów*
*natchniony, Skoro mu został odmówiony Ludzki dar*
*bólu. Bo jałowa Była dlań miłość bez cierpienia.*

103

Rozumując w sposób tak daleki od rygorów, Silin znajdował w swoim pojemnym sercu miejsce dla wszystkich odcieni wiary chrześcijańskiej:

*...Ich sens polega na tym, że w myśl nauki*
*chrystusowej jest każda dusza własnym światem...*

W odpowiedzi na wątpliwości zapalczywych materialistów, pytających jakim sposobem duch mógł wyłonić z siebie materię, Silin tylko się uśmiechał:

— A nie chcą zastanowić się nad tym, jak nikczemna materia mogła stać się źródłem Ducha? Czy w tej kolejności nie byłoby to jeszcze większym cudem?

Głowę miałem pełną własnych wierszy i tylko te okruchy poematów Silina mi w niej zostały. Starałem się je zapamiętać w obawie, że autorowi niczego nie uda się ocalić. W jednym z tych poematów ulubiony bohater Silina, noszący greckie imię (jakie — zapomniałem), wygłaszał przemówienie z trybuny Zgromadzenia Ogólnego ONZ, referując program odrodzenia duchowego całej ludzkości. Ten wynędzniały, skazany na śmierć z wyczerpania niewolnik, ten poeta obnoszący swoje cztery katorżnicze numery — miał więcej ludziom do powiedzenia niż cała sfora najemników, popisujących się w dziennikach, wydawnictwach, radiostacjach, ale nikomu, prócz siebie samych, niepotrzebnych.

Anatol Wasyliewicz ukończył przed wojną wydział literatury instytutu pedagogicznego. Miał teraz — podobnie jak ja — jeszcze trzy lata odsiadki przed „wyjściem na wolność", tzn. na zesłanie. Jedynym fachem, jaki znał, było wykładanie dzieciom literatury, ale nie wydawało się prawdopodobne, aby nam, byłym więźniom, pozwolono pracować w szkole. No, ale gdyby jednak?

— Toż nie będę dzieciom kłamał! Powiem dzieciom prawdę o Bogu, o sprawach ducha.

- Ależ wyrzucą cię po pierwszej lekcji!

Silin opuścił głowę i powiedział cicho:

- A niech tam.

I widać było, że się nie zawaha. Że nie pokala swojej duszy kłamstwem, byle tylko dostać do rąk dziennik klasowy zamiast kilofa.

Ze współczuciem i zachwytem przyglądałem się temu niepozornemu rudzielcowi, który nie miał ani rodziców, ani nauczycieli, dla którego całe życie tak samo było trudne, jak kopanie łopatą kamienistego gruntu w Eki-bastuzie.

Z baptystami Silin jadał z jednej menażki, dzielił się chlebem i repetami

104

Rzecz jasna, bardzo mu było potrzebne kółko wiernych słuchaczy, z którymi mógłby czytać i komentować Ewangelię, a także przechowywać w ukryciu swój drogocenny tekst. Ale prawosławnych we właściwym sensie tego słowa jakoś nie szukał (obawiając się, że go odtrącą jako heretyka), czy może nie potrafił znaleźć: w naszym obozie, poza grupą Ukraińców, było ich niewielu albo też nie wyróżniali się szczególnym zapałem i konsekwencją w swoich praktykach religijnych. Baptyści"zaś —jak się zdaje — szanowali Silina, chętnie go słuchali, uważali nawet za członka ich grupy, jednakże im też nie przypadał do gustu heretycki posmak jego twierdzeń; mieli nadzieję, że z czasem przerobią go na swój ład. Silin blaknął, gdy rozmawiał ze mną w ich obecności, rozbłyskał dopiero, gdy byliśmy sami. Trudno mu było przyciosać swoje przekonania tak, by pasowały do ich wiary — chociaż była to wiara bardzo mocna, czysta, gorąca, która pomagała im przetrwać na katordze, ratując przed zwątpieniem i gniciem ducha. Wszyscy oni byli uczciwi, nieskłonni do gniewu, pracowici, oddani służbie chrystusowej.

Właśnie dlatego tak usilnie ich się u nas zwalcza. W latach 1948-1950, *jedynie* za przynależność do ich gmin, wieluset baptystów posłano na 25 lat do Specobozów (przecież *gmina* — to *organizacja!)*[4].

W obozie wszystko jest inne niż na wolności. Tam każdy lekkomyślnie usiłuje wyróżnić się wśród innych, wywnętrzyć się i popisać. Łatwiej też wychodzi na jaw, na czym komu w istocie zależy. Za drutami natomiast wszyscy są zniwelowani, pozbawieni cech własnych — bo jednakowo ostrzyżeni, nie goleni, poubierani w jednakowe czapy i kaftany. Twarz, zwierciadło ducha, zarosła brudem, posieczona jest wiatrem, spalona słońcem, skażona ciężką robotą. Żeby przez tę plugawą skorupę dostrzec pełganie ognia wewnętrznego — trzeba wprawy.

Ale ogienek wewnętrzny przecież pełga i stara się przebić ku innym. Zachodzi proces bezwiednego przyciągania wzajemnego i skupiania się podobnych jednostek.

Łatwiej i szybciej możesz zrozumieć, z kim masz do czynienia, jeśli znasz choć okruch życiorysu tego człowieka. Niedaleko nas jakaś brygada przekopuje grunt.

Zaczął padać gęsty, miękki śnieg. Wszyscy schronili się w ziemiance, bo też przerwa za pasem. Tylko jeden z kopaczy został na polu. Wsparty o łopatę stoi tak nad rowem, nieruchomy, jakby mu było w tej

[4] Za czasów Chruszczowa wymierzano baptystom mniejsze kary, ale istota prześladowań nie uległa zmianie (patrz część VII).

105

pozycji wygodnie — całkiem jak figura z kamienia. I śnieg zasypuje mu głowę, barki, ramiona — właśnie jak kamiennej figurze. Czy mu wszystko jedno? Czy może nawet miło? Patrzy przez tę śnieżną kurzawę na żonę, na step, pociągnięty bielą. Ma grube kości, szerokie bary i szeroką twarz, porosłą jasną, szorstką szczecią. Jest powolny, solidny, bardzo spokojny. Stoi tak tylko po to, aby patrzeć na świat i rozmyślać. Wcale go tu z nami nie ma.

Nie znamy się, ale jego przyjaciel Riedkin już mi o nim opowiadał. Ten człowiek jest tołstojowcem. Wpojono mu w dzieciństwie staromodne przekonanie, że zabijać nie wolno (nawet w imię Przodującej Doktryny!) i dlatego nie należy brać broni do ręki. W 1941 roku został zmobilizowany. Rzucił broń i przeszedł afgańską granicę w okolicach Kuszki, gdzie miał pełnić służbę. Żadnych Niemców tam nie było, nikt ich też nie oczekiwał, mógł więc spokojnie przesłużyć całą wojnę, nigdy nie musząc strzelać do nikogo — ale już samo noszenie tego żelastwa na grzbiecie sprzeciwiało się jego przekonaniom. Miał nadzieję, że Afganie uszanują jego prawo do niezabijania i przepuszczą go dalej — do tolerancyjnych Indii. Ale rząd afgariski był taką samą tchórzliwą bandą jak inne rządy. Bojąc się gniewu wszchmocnego sąsiada, wziął zbiega w dyby. I tak właśnie, z nogami w dybach, bez możliwości ruchu, przetrzymano go trzy lata w afgańskim pierdlu, wypatrując kto zwycięży. Gdy okazało się, że Sowiety biorą górę — Afganie usłużnie przekazali im dezertera. Dopiero od tej chwili zaczął się liczyć jego teraźniejszy wyrok.

I oto stoi teraz pod nawałą śniegu jak fragment tutejszej przyrody. Czy nasze państwo dało mu życie? Czemu więc państwo przypisuje sobie prawo do decydowania, jak ten człowiek ma żyć?

U nas nikt nie jest od tego, żeby uważać Lwa Tołstoja za swego rodaka. Lew Tołstoj — to firma, dobra marka. (Pocztową markę też na jego cześć można wydać). I żeby można było wozić cudzoziemców do Jasnej Polany. I każdy będzie ślinił się powtarzając po sto razy, jak to wielki pisarz walczył z caratem i jak cerkiew rzucała na niego klątwę (tu głos nawet drgnie speakerowi). Ale jeśli ktoś, moi kochani, weźmie Tołstoja na serio, jeśli pojawi się u nas żywy tołstojowiec — o, wtedy biada mu! Oważ byku — bo wpadniesz pod nasze gąsierRce!

...Zdarzyło się raz, że chciałeś na budowie zmierzyć, ile właściwie muru przybyło. Biegniesz więc do dzisiętnika, też zeka — żeby poprosić o składaną miarkę. Miarki tej dziesiętnik pilnuje jak oka w głowie, a nie zna cię przecież z twarzy, brygad tu wiele. Ale jednak ten skarb ci ufnie powierza (jak na obóz — to po prostu idiotyzm!). A kiedy mu tę miarkę zwracasz, jeszcze ci pięknie podziękuje. Jak też takie

dziwadło może być dziesięt-

106

nikiem w obozie? Mówi z akcentem. Ach, okazuje się, że to Polak, nazywa się Jerzy Węgierski. Jeszcze o nim usłyszymy.

...Innym razem maszeruje człowiek w szeregu i powinien by właściwie przebierać paciorki w rękawicy albo układać następne strofy — ale sąsiad trafił się bardzo interesujący; nowa twarz, bo na nasz obiekt przysłano dodatkową brygadę. Niemłody, inteligentny, sympatyczny Żyd o ironicznym i mądrym spojrzeniu. Nazywa się Mesamed, ukończył uniwersytet... Jaki, jaki? Bukaresztański, specjalizował się w biopsychologii. Jest poza tym fizjognomistą i grafologiem. A ponadto — zajmuje się jogą i gotów jest choćby jutro rozpocząć z tobą kurs Hatha-yogi. (Ale masz ci los! Za małe dają nam kary jak na taki uniwersytet! Formalnie brak tchu! Czasu nie starcza, aby wszystkiemu podołał!).

Będę mógł przyjrzeć mu się później w żonie roboczej i mieszkalnej. Jego ziomkowie proponowali mu robotę w biurze, ale się nie zgodził: chciał dowieść, że Żyd potrafi dobrze pracować także na ogólnych. Ma pięćdziesiąt lat, a wcale się nie boi kilofa. Ale to fakt, że panuje nad swoim ciałem jak prawdziwy joga: przy dziesięciostopniowym mrozie zrzuca odzież i prosi kolegów, aby oblali go wodą z sikawki. Je też inaczej niż my, nie zapycha sobie pośpiesznie gęby kaszą, tylko żuje ją w skupieniu, dyskretnie odwracając głowę, drobnymi kęsami, używając specjalnej, małej łyżeczki[5].

...Nieraz zdarza się więc poznać kogoś ciekawego podczas przemarszu. Ale na ogół w szeregu niewiele ma człowiek uciech: konwojenci wrzeszczą, sąsiedzi syczą gniewnie („przez was nam też wsypią!..."), do pracy idziemy apatycznie, a z roboty — zbyt spiesznie. Nawet wiatr — i to ci pysk zatyka. I nagle... No, ale to już wypadek całkiem NIETYPOWY, jak powiadają specjaliści. Niepowszedni.

W ostatnim szeregu kroczy niski człowiek z gęstą, czarną brodą (gdy aresztowano go ostatnim razem, już ją nosił, na zdjęciu urzędowym też więc była, a zatem w obozie już nie mógł jej zgolić). Kroczy sobie dziarsko, godnie i niesie pod pachą zwinięty rulon papieru kreślarskiego. Jest to jakiś jego projekt czy wniosek racjonalizatorski, nowy pomysł, z którego autor bardzo jest dumny. Kreślił go na obiekcie, zaniósł do obozu, żeby komuś pokazać, a teraz odnosi go znów na obiekt. Nagle złośliwy podmuch wiatru wyrywa mu rulon spod pachy i unosi daleko od maszerującej kolumny. Niewiele myśląc, raczej odruchowo, Arnold Rappoport (czytelnik już go zna) robi krok w stronę rulonu, potem drugi, trzeci — ale papier leci coraz

[5] A zresztą — wkrótce już będzie musiał skonać jak zwykły śmiertelnik, na zwyczajny zawal serca.

107

dalej, przetoczył się między dwoma konwojentami — i jest już za łańcuchem eskorty! Tu już Rappoport powinien był się zatrzymać — toć „krok w lewo, krok w prawo... i

bez ostrzeżenia!" — ale tam przecież rysunek, projekt!

- Rappoport rzuca się za nim pochylony, wyciągając daremnie ramiona
- toć złośliwy traf gotów porwać mu świetny techniczny pomysł! — i Ar

nold wyciąga ręce, grabi powietrze palcami — barbarzyńco! nie tykaj moich rysunków!* Ludzie w szeregu spostrzegli co się dzieje, kolumna zatrzymała się sama. Pepesze podniosły swoje ryjki, szczęknęły zamki!... Dotąd wszystko miało przebieg typowy, ale tu zaczyna się coś zgoła nietypowego: nie znalazł się żaden chętny!, nikt nie strzelił! Barbarzyńcy zrozumieli, że to nie uciecz ka! Nawet dla ich zaćmionych mózgów ten obraz był jasny: autor goni za swoim ulatującym dziełem. Rappoport wybiega o jakieś piętnaście kroków poza kordon eskorty, łapie swój rulon, prostuje się i wraca do szeregu, bardzo z siebie zadowolony. Wraca z tamtego świata...

Chociaż Rappoport zainkasował grubo ponad zwykłą obozową normę (po pierwszym, „dziecinnym" wyroku oberwał *dychę,* po niej — zesłanie, a teraz znowu *dycha)* — jest bardzo żywotny, ruchliwy, oczy mu błyszczą, oczy te zawsze pełne są wesołości, ale w istocie stworzone są po to, by odbijało się w nich cierpienie. To bardzo wyraziste oczy. Arnold jest dumny, że lata więzienia wcale go nie złamały — ani uczyniły starcem, zresztą jest inżynierem, otrzymuje więc zawsze funkcję w dziale produkcji i może nie tracić wigoru. Ma aktywny stosunek do swojej pracy, ale ponadto coś jeszcze pisze dla ducha.

Jest to człowiek z rozmachem, chciałby doświadczyć i dokonać wszystkiego. Niegdyś zamierzał napisać taką książkę jak ta moja właśnie —o obozach, ale jakoś do tego nie doszło. Inny jego utwór jest powodem naszych nieustannych żartów: Arnold już ileś tam lat kompiluje cierpliwie uniwersalne vademecum techniczne, które objąć ma wszystkie gałęzie współczesnej techniki i przyrodoznawstwa (od rodzajów lamp radiowych do średniego ciężaru słonia) i które ma mieć przy tym format... kieszon kowy. Te prześmiewki nauczyły Arnolda mieć się na baczności, dlatego też kolejne swoje dzieło pokazuje mi w sekrecie. W notesie oprawnym w czar ną ceratę ma traktat *O miłości,* nowy, bo ten pióra Stendhala uważa za zupełnie niewystarczający. Są to chwilowo tylko notatki szkicowe i nie powiązane wzajemnie. Ale ileż w tym czystości jak na człowieka, który pół życia spędził w obozach! Oto parę cytatów[6]:

Aluzja do ostatnich słów Archimedesa, gdy Rzymianie zdobyli Syrakuzy (212 p.n.e) podczas drugiej wojny punickiej — *Noli tangere circulos mkos.*

[6] Minęło od tej chwili sporo lat. Rappoport zaniechał pisania swego traktatu i udzielił mi zezwolenia na przytoczenie tych wyjątków.

108

- Posiadanie kobiety nie kochanej — to pożałowania godny los ludzi

ubogich ciałem i duchem. A przecież mężczyźni chlubią się tym jako suk cesem.

- Posiadanie, którego nie poprzedza miłość, organicznie się rozwijająca

- przynosi nie radość, lecz wstyd i wstręt. Mężczyźni naszej epoki, całą swoją energię trwoniący na zdobywanie zarobku, stanowiska, władzy
- utracili gen miłości wyższego rzędu. Inaczej z kobietami — dla nieomyl nego instynktu niewieściego zbliżenie erotyczne jest tylko pierwszym stop niem prawdziwego, intymnego powinowactwa. Dopiero po tym akcie ko bieta uznaje mężczyznę za kogoś bliskiego i zaczyna mówić mu „ty". Na wet po przypadkowym zbliżeniu kobietę ogarnia fala wdzięczności i czu łości.

- Zazdrość wypływa z urażonej miłości własnej. Prawdziwa miłość, nie znajdując echa, więdnie raczej i kostnieje, lecz nie przekształca się w za zdrość.
- Nie tylko nauka, sztuka i religia, lecz również miłość jest sposobem *poznania* świata.

Mając tak różnorodne zainteresowania, Arnold Lwowicz Rappoport zna również mnóstwo bardzo rozmaitych ludzi. Przedstawia mi pewnego człowieka, którego inaczej nawet bym nie zauważył: na pierwszy rzut oka jest to po prostu beznadziejny d o c h o d i a g a , dystrofik; gdy rozepnie obozową kurtkę, widać że obojczyki sterczą mu już pod skórą jak u trupa. Jest wysoki, więc jego chudość tym bardziej zdumiewa. Jest tak smagły, a pod kazachstańskim słońcem golona jego czaszka stała się całkiem brunatna. Ale jeszcze wlecze się poza żonę, jeszcze trzyma się trag, żeby nie upaść. Jest to Grek — i też poeta! jeszcze jeden! Tom jego wierszy, pisanych po nowogrecku, wydano w Atenach. Ale jako że siedzi w więzieniu nie ateńskim, lecz sowieckim (a ponadto jest sowieckim obywatelem), więc nasze gazety nie tracą na niego łez.

Jest człowiekiem lat średnich, ale już bliskim końca swoich dni. Usiłuję odegnać od niego te myśli, robię to w sposób żałosny i niezdarny. Uśmiecha się wyrozumiale i odpowiada mi, z lekka kalecząc rosyjski, że w akcie umierania najstraszniejsza jest nie sama śmierć, tylko faza moralnego przygotowania się do niej. Już mu *było* i straszno, i gorzko, i żal, już opłakał utracone życie, już zżył się całkowicie z myślą o nieuchronności śmierci i już gotów jest na nią. Jedno tylko jeszcze zostało: trzeba, aby dopełniła się śmierć ciała.

Iluż jest na świecie poetów! Nie do wiary jak dużo! (Czasami aż mnie to zdumiewa). Ten Grek czeka na śmierć — a ci dwaj młodzieńcy doczekać się nie mogą końca kary i przyszłej swojej sławy literackiej. Są poetami

109

niejako jawnie, wcale się z tym nie kryją. Tę mają cechę wspólną, że obaj są jacyś czyści, pełni światła. Obydwaj nie zdążyli ukończyć studiów. Kola Borowików jest wielbicielem Pisariewa (a więc — wrogiem Puszkina), zatrudniony jest jako felczer w sanitariacie. Juroczka Kiriejew z Tweru wielbi Błoka i naśladuje go w tym, co sam

pisze; pracuje poza żoną w biurze warsztatów kuśnierskich. Jego koledzy (i to jacy! — starsi o lat dwadzieścia, ojcowie rodzin) dworują sobie z niego, że w poprzednim obozie, w ITŁ, na Dalekiej Północy, jakaś Rumunka, niewiasta notorycznie łatwa, robiła mu awanse, on zaś nie zrozumiał o co jej chodzi i pisał dla niej sonety. Nietrudno w to uwierzyć, gdy patrzy się na jego czystą twarzyczkę. Przekleństwo młodzieńczej cnoty, którą trzeba nieść przez obozy!

...Przyglądasz się, człowieku, ludziom, a tymczasem inni obserwują ciebie. W ogromnym, nieporządnym baraku, gdzie mieszka, łazi i śpi czterystu chłopa, czytam po kolacji i w trakcie nudnego, wieczornego sprawdzania listy obecności — drugi tom słownika języka rosyjskiego Dala, jedyną książkę, którą udało mi się dowieźć do Ekibastuza; musiałem tu oszpecić ją stemplem „Stepłag. Dział KO". Nigdy jej nie wertuję, bo w ciągu tego strzępka wieczoru nie zdążę przeczytać więcej niż pół stroniczki. Siedzę tak albo snuję się po kontroli, wetknąwszy nos w książkę i kontemplując jakieś jedno hasło. Już przyzwyczaiłem się do tego, że wszyscy pytają mnie co to za grube tomisko i dziwują się, po jakiego licha to czytam. — Bo to najbezpieczniejsza lektura, odpowiadam żartem. Nie naraża na *nowy wyrok*[1].

Ale dzięki tej książce zawieram też wiele interesujących znajomości. Oto podchodzi do mnie drobny człowieczek, przypominający z wyglądu kogutka — o wścibskim nosku i ostrym, drwiącym spojrzeniu; mówi ze śpiewnym, nadwołżańskim akcentem:

— Pozwoli pan zapytać, co to za książka?

Słowo po słowie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, otwierał się przede mną w duszy tego człowieka mikroświat — w którym skoncentrowało się ostatnie półwiecze dziejów mego kraju. Wasyli Grigoriewicz Własow (ten sam, bohater kadyjskiego procesu; odbębnił już 14 lat ze swojej dwudziestki) uważa się sam za ekonomistę i działacza, a nie zdaje sobie sprawy, że jest artystą słowa, słowa żywego, wyłącznie. Gdy mówi o sianokosach, o sklepie (był chłopakiem u kupca), o służbie w Armii

' Czy są w Specobozie bezpieczne lektury? Aleksander Stotik, ekonomista, czytywał w Dżezkazganie wieczorami, ukradkiem, skrócone wydanie *Szerszenia* Hellen Woynicz po angielsku. Ktoś jednak zlożyt donos. Na rewizję przyszedł sam szef obozu ze sforą oficerów. „Czekasz na Amerykańców?". Kazali mu czytać na glos po angielsku. „Ile lat masz jeszcze siedzieć?". — „Dwa lata". — „Posiedzisz teraz dwadzieścia!". Znaleźli też u niego

110

Czerwonej, o starym dworku, o kacie z gubernialnej Komisji do Walki z Dezercją, czy o chciwej babie z przedmieścia — wszystko staje przede mną jak żywe i zapada w pamięć, jakbym sam to przeżył. Chciałby to człowiek od razu utrwalić na piśmie, ale jak! Gdybyż to dało się odtworzyć z pamięci za dziesięć lat! — ale pamięć ułomna!...

Widzę, że często zerka z ukosa na mnie i moją książkę, ale nie ośmiela się

wszcząć rozmowy, jakiś chuderlawy, długonosy i wysoki młodzieniec, grzeczny, nawet nieśmiały, jakby go się nie imały obozowe obyczaje. Z nim też zawierani znajomość. Mówi cicho, z widocznym skrępowaniem, rosyjskie zdania układa z trudem, popełnia przezabawne błędy, kwitując je zaraz uśmiechem. Okazuje się, że jest Węgrem, nazywa się Janos Rozsas. Pokazuję' mu słownik Dala; Janos kiwa głową — a twarz ma już zapadłą, wynędzniał w obozie — i powiada: „Tak, tak, trzeba się oderwać, nie myśleć tylko o jedzeniu". Ma dopiero dwadzieścia pięć lat, ale darmo szukać na jego policzkach młodzieńczego rumieńca; sucha, cienka skóra, osmalona wiatrem, przylega ściśle do podłużnych, cienkich kości czaszki. Bolą go stawy, wyżarzone reumatyzmem; nabawił się go przy robotach leśnych na północy.

Tu, w obozie, siedzi dwóch, trzech jego ziomków, ale myślą oni całe dni tylko o tym, jak tu wyżyć?, jak tu nażreć się do syta? Janos zaś zjada bez protestu to, co mu wypisze brygadzista i — chociaż na poły głodny, nie rozgląda się za dodatkowymi porcjami. Przypatruje się za to, słucha, stara się zrozumieć. Co zrozumieć?... a *nas* chce zrozumieć, Rosjan!

— Mój własny los już mnie tak nie obchodzi, od czasu jak poznałem tutejszych ludzi. Bardzo mnie wszystko dziwi. Oni kochali swój naród

- i za to poszli na katorgę. To chyba przez wojenny bałagan, co?
- (Mówi to w 1951 roku!, jeśli wciąż trwa „wojenny bałagan", to czy nie

jest aby spadkiem po Pierwszej Światowej?...).

W 1944 roku, kiedy *nasi* zagarnęli go na Węgrzech, miał 18 lat (i nie służył w wojsku). „Jeszcze nie zdążyłem zrobić ludziom niczego — ani złego, ani dobrego — mówi z uśmiechem. — Ani pożytku, ani szkody nikt ze mnie nie miał". Śledztwo miało taki przebieg: śledczy ani słowa nie umiał po węgiersku, Janos ani słowa po rosyjsku. Czasem zjawiał się jakiś bardzo marny tłumacz, Hucuł. Janos podpisał 16 stronic protokołu, wcale nie wiedząc co podpisuje. A kiedy mu jakiś nieznany oficer odcyfrował coś z papierka, Janos długo jeszcze nie miał zielonego pojęcia, że to był wyrok,

wiersze: „Ach, sentymenty? To cię bawi?... Urządźcie go tak, żeby nie tylko angielski, ale rosyjski też mu z głowy wyleciał!". (Raby —*prydurki* syczały jeszcze na Stotika: „Nas też narażasz! Teraz nas wszystkich rozpędzą!").

*m*

111

wydany przez OSO[8]. — I posłali go na Północ, na wyrąb lasu, gdzie do cna skapcaniał i trafił do szpitala.

Do tej chwili znał Rosję z jednej tylko strony, z tej mianowicie, na której się siada; teraz poznał ją również z drugiej. W obozowym szpitaliku OŁP Symsk pod Solikamskiem pracowała pielęgniarka Dusia, lat czterdziestu i pięciu. Siedziała za przestępstwo pospolite: przepuściła kilka dni pracy. Dostała za to 5 lat. Sens swojej pielęgniarskiej pracy widziała nie w tym, aby ukraść co się da i jakoś doczekać się

końca kary (jak to właśnie u nas się czyni, a czego Janos przez różowe swoje okulary nie widział) — ale w tym, aby ratować takich właśnie umierających i nikomu niepotrzebnych. Ale nie sposób było ratować ich tym, co dawał obozowy lazaret. Więc pielęgniarka Dusia swoje poranne 300 gramów chleba wymieniała w pobliskiej wsi na pół litra mleka i tym mlekiem odratowała Janosa (a przed nim, jeszcze jakichś innych[9]). Przez tę ciocię Dusię Janos polubił i nasz kraj, i nas wszystkich. I jął pilnie studiować w obozie mowę swoich strażników i konwojentów — wielki i potężny język rosyjski. Przesiedział 9 lat w naszych łagrach, tyle widział Rosji co przez kraty więziennych wagonów, na kartkach pocztowych i za drutami obozów. A pokochał.

Janos należał do tych, których coraz mniej w naszych czasach: jedyną jego pasją w dzieciństwie było czytanie. Gdy dorósł, też tej pasji nie porzucił — nawet w obozie. Zarówno na Północy, jak teraz, w Ekibastuzie, nie przepuszczał żadnej okazji zdobycia jakiejś nowej książki. Gdym go poznał, Janos znał już i lubił Puszkina, Niekrasowa, Gogola, sam recytowałem i objaśniałem mu Gribojedowa, ale najbardziej, omal tak jak Petófiego i Arny'ego, polubił Lermontowa, którego po raz pierwszy wziął do ręki tu, w niewoli[10]. Szczególnie bliski dla Janosa był Meyri — tak samo w niewoli, taki sam"młody i skazany na zagładę. Umiał na pamięć całe partie tego poematu; całe lata z dłońmi splecionymi z tyłu, maszerując wśród obcych, po obcej ziemi, Janos w obcym dla siebie języku mruczał pod nosem:

[8] Gdy zaś po śmierci Stalina Janos zosta) zrehabilitowany, ponoć korciło go by dostać kopię wyroku w tłumaczeniu na węgierski, aby dowiedzieć się wreszcie za co odsiedział 9 lat. Ale nie zdobył się na odwagę: „Pomyślą jeszcze — a na co mu to? A mnie rzeczywiście już to nie bardzo potrzebne...". Nasz duch już nie był dla niego zagadką: a właściwie dlaczego ma facet wiedzieć, za co siedział?

' Niech mi kto powie — z jaką to ideologią zgadza się takie postępowanie? (porównajcie rozmówki w komunistycznym lazarecie u Diakowa: „Co, ząbki rozbolały, ty mordo banderowska?").

[10] Nieraz mówili mi cudzoziemcy, że Lermontowa cenią ze wszystkich poetów rosyjskich najbardziej. Puszkin — tak powiadali — potrafił jednak napisać wiersz *Oszczercom Rosji*. A. Lermontow nigdy i w niczym nie chciał wysługiwać się samodzierżawiu.

112

*.../ w te dym też odgadnąć mógł Że wrócić na rodzinny próg Nigdy mi nie dozwoli Bóg...*

Uprzejmy, miły w obejściu, o bezbronnych, bladobłękitnych oczach snuł się Janos Rozsas po naszym srogim obozie. Przysiadał na mojej wagonetce — lekko, na samym brzeżku, jakby mój siennik z opiłkami można było jeszcze bardziej zabrudzić albo pognieść i mówił cichutko:

— Komu powiem, o czym marzę w głębi duszy?

I nigdy na nic się nie skarżył".

Wśród więźniów obozu chodzi człowiek jak po zaminowanym polu, każdego trzeba prześwietlić promieniami intuicji, żeby samemu nie wylecieć w powietrze. Ale nawet ta powszechna nieufność nie była przeszkodą; ileż liryki znalazłem w niejednej golonej czaszce, pod czarną fufajką zeka!

A iluż nie zaufało mi, nie zdobyło się na wyznanie, że piszą?

A ilu, ile tysięcy — nie udało mi się spotkać?

A ilu poetów zadusiłeś w ciągu tych dziesięcioleci ty, przeklęty Lewiata-nie?

Również w Ekibastuzie istniał oficjalny, choć bardzo niebezpieczny, ośrodek życia kulturalnego — Dział KO, gdzie czarnym tuszem stemplowano książki i odnawiano nasze zatarte numery.

Ważną i bardzo kolorową postacią w naszym KO był malarz, niegdyś archidiakon i omal czy nie prywatny sekretarz patriarchy, Włodzimierz

" Wszystkich Węgrów puszczono do domu po śmierci Stalina i Janos uniknął losu lermontowskiego Mcyri, a już byl na to gotów.

Minęło 12 lat — a byl wśród nich również rok 1956. Janos jest księgowym w miasteczku Nagykanizsa, gdzie nikt nie zna rosyjskiego i nie czyta rosyjskich książek. I cóż pisze mi teraz mój przyjaciel?

„Już po tych wszystkich wypadkach, szczerze wyznaję, nie oddałbym za nic mojej przeszłości. Poznałem to, czego inni nie znają; to było surowe doświadczenie... Kiedy mnie puszczano na wolność, obiecałem tym co zostali, że nigdy nie zapomnę Rosjan — i nie dlatego, że razem cierpieliśmy, tylko za dobre serce... Dlaczego z takim zainteresowaniem szukam w gazetach wieści z mojej byłej 'ojczyzny'?... W mojej bibliotece stoi cały pułk rosyjskich klasyków — czterdzieści jeden tomów po rosyjsku, a po ukraińsku — cztery (Szewczenko)... Inni czytają rosyjskich pisarzy tak, jak angielskich czy niemieckich, ale ja inaczej. Dla mnie Tołstoj jest bliższy od Tomasza Manna, a Lermontow o wiele bliższy niż Goethe.

Nawet się nie domyślasz, jak ja tęsknię po cichu do wielu rzeczy. Czasem pytają mnie: coś ty za dziwak? Coś tam takiego dobrego widział? Dlaczego tak cię ciągnie do ruskich?...



Rudczuk. Istnieje w obozowym regulaminie dawny przepis, aby duchownym nie strzyc włosów. Oczywiście, przepis ten nie podlega publikacji i ci duchowni, którzy go nie znają — strzyżeni są tak jak inni. Ale Rudczuk znał swoje uprawnienia i dlatego nie utracił jasnych kędziorów, nieco dłuższych niż u osób świeckiego stanu. Dbał o nie, dbał zresztą bardzo o swój wygląd. Był przystojny, wysoki, o zgrabnej figurze, głos miał niski i miły, nie trudno było sobie wyobrazić jak odprawia uroczyste nabożeństwo w ogromnej bazylice. Psalmista Drozdów, ten z mojego transportu, zaraz poznał archidiakona; widział go przy ołtarzu w odeskim soborze katedralnym.

Ale Rudczuk nie tylko wyglądem, lecz sposobem bycia różnił się od nas, obywateli więziennego świata. Należał do tych dwuznacznych figur, które wcisnęły się — albo zostały wciśnięte — do cerkwi prawosławnej, gdy tylko skończył się okres niełaski; to oni właśnie przyczynili się walnie do zbrukania cerkwi. Także cała sprawa uwięzienia Rudczuka była jakaś niejasna; nie wiedzieć czemu, pokazywał na prawo i lewo swoje zdjęcie (nie zarekwirowane, to dziwne) z metropolitą Anastazym, cudzoziemcem, na jednej z ulic Nowego Jorku. W obozie korzystał z osobnej *kabinki*. Po apelu, w czasie którego z odrazą domalowywał zatarte numery na naszych czapach, fufaj-kach i portkach, resztę dnia spędzał na nieróbstwie, pacykując czasem niezdarne kopie z banalnych obrazów. Miał u siebie — na co na ogół nie pozwalano — gruby tom reprodukcji z Galerii Tretiakowskiej. Wpadłem do niego właśnie po to, by je obejrzeć, może po raz ostatni w życiu. Przysyłano mu do obozu periodyk „Zwiastun patriarchii moskiewskiej" i Rudczuk wdawał się często z napuszoną miną w roztrząsania na temat żywotów świętych czy szczegółów liturgii — ale zawsze brzmiało to sztucznie, nieszczerze. Miał też gitarę; tylko wtedy bywał szczery, gdy grał na niej, nucąc z uczuciem:

*Włóczęga przez Bajka! przepłynął...*

i kiwając się do taktu, cały zgięty pod żałobnym brzemieniem katorżniczej melodii.

Im lepiej się człowiek urządzi w obozie, tym subtelniej potrafi cierpieć...

Byłem wówczas ostrożny do dwudziestej trzeciej potęgi, już więcej nie chodziłem do Rudczuka, a niczego mu o sobie przedtem nie powiedziałem. W ten sposób uniknąłem ostrego jego oka i zapisałem mu się w pamięci co

Jak im wyjaśnić, że cala moja młodość tam minęła, a życie to przecież ciągłe żegnanie mijających dni... Jak mogę odwrócić się tyłem niby obrażony dzieciak, jeżeli przez dziewięć lat łączyły nas te same losy? Jak im wyjaśnić, że serce mi się ściska, kiedy usłyszę przez radio rosyjską piosenkę ludową? Sam czasem sobie zanucę: 'Wot mczytsja trojka udala-ja...' — i taki ból zaraz czuję, że ani rusz nie mogę śpiewać dalej. A dzieci proszą, żebym uczył je rosyjskiego. Poczekajcie dzieci, czy nie dla was zbieram te rosyjskie książki?...".

114

najwyżej jako bezbarwny, marny robak. Oko Rudczuka było zaś okiem MGB.

Zresztą, któż ze starych więźniów nie wie, że dział KO jest z reguły pełen szpicli i że mniej niż jakikolwiek inny nadaje się na miejsce spotkań i wymiany myśli? No, w obozach ogólnych, w ITŁ — ciągnęło nas do działu KO dlatego, że można tam było zetknąć się z kobietami. Ale po kiego licha chodzić tam na katordze?

Okazało się jednak, że nawet katorżniczy, szpiclowski KO można wykorzystać, jeśli się szuka wolności. Nauczyli mnie tego — Gieorgij Tenno, Piotr Kiszkin i Żenią Nikiszyn.

Tenno poznałem właśnie w świetlicy KO; to spotkanie zapamiętałem sobie dobrze, bo sam Tenno wrył mi się w pamięć na zawsze. Był to chłop przystojny, wysoki, wysportowany. Z jakichś tam powodów zachował jeszcze swoją marynarską

kurtkę i spodnie (ten i ów donaszał jeszcze swoją własną odzież). I chociaż zamiast epoletów kapitana-porucznika miał na odzieży swój numer SCH-520, gdyby tylko znalazł się na pokładzie, od razu wskoczyłby w skórę typowego oficera marynarki-Przy gwałtowniejszych ruchach na jego napięstkach pokrytych rudawymi włoskami widać było tatuaż, na jednym ramieniu — kotwicę okoloną napisem „Liberty", na drugim — słowa — „Do or die"". Spojrzenie miał przenikliwe i pełne dumy, nie potrafił jej ukryć, tak samo jak uśmiechu, który raz po raz wykwitał na jego szerokich ustach. (Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że uśmiech ten znaczył, iż plan ucieczki już gotów!).

Obóz jest jak pole minowe. Zarówno Tenno, jak ja byliśmy tutaj i zarazem gdzie indziej: ja na drogach Prus Wschodnich, on na szlaku swojej przyszłej ucieczki. Obaj nosiliśmy w duszy potencjał tajnych zamiarów, ale nawet iskierka nie śmiała przeskoczyć między naszymi dłońmi, gdyśmy je sobie podawali, między naszymi źrenicami, gdy wymienialiśmy jakieś błahe zwroty! Ograniczyliśmy się więc do słów, bez znaczenia, ja wetknąłem nos w gazetę, on zaś jął mówić o teatrze z Tumarenko, katorżnikiem, który miał piętnastaka na karku, a mimo to kierował działem KO. Był to człowiek dość skomplikowany, wielowarstwowy; zdawało mi się, że go rozgryzłem — ale nie miałem okazji, aby to sprawdzić.

To aż śmieszne — ale przy katorżniczym KO działało również kółko teatralne, właściwie dopiero się formowało. Kółko nie korzystało z żadnych ulg jak w ITŁ; nie mogło obiecać uczestnikom żadnych przywilejów, więc tylko zawodowi entuzjaści mogli chodzić tam na próby. Jednym z nich okazał się właśnie Tenno, chociaż wyglądał na mądrzejszego. Co



więcej — od pierwszego dnia pobytu siedział w karcerze — i stamtąd właśnie zaczął wyrywać się do KO! Przełożeni ujrzeli w tym pierwszą oznakę zaczynającej się poprawy — i pozwolili mu na chodzenie do świetlicy.

A Pietia Kiszkin wcale nie był aktywistą KO, mimo to stał się najpopularniejszą postacią w obozie. Znał go cały Ekibastuz. *Obiekt,* gdzie Kiszkin pracował, pysznił się tym — że nie było tam nudy. Kiszkin przypominał dawnych n a w i e d z o n y c h , ale był też zupełnie od nich inny; udawał przygłupka, ale powiadano u nas: „Kiszkin jest mądrzejszy niż my wszyscy razem!". Przygłupkiem był w tej samej mierze co trzeci, najmłodszy brat w chłopskich baśniach. Kiszkin należał do postaci czysto rosyjskich, naszych, tradycyjnych: tych, co to silnym i złym mówią głośno prawdę w oczy, a narodowi pokazują, jakim ów naród jest w istocie; wszystko zaś w formie nieszkodliwego wygłupu.

Jednym z ulubionych jego numerów było zbieranie ze stołów brudnych misek; wdziewał do tej roboty jakąś zieloną, błazeńską kamizelkę. Już samo to zbieranie było demonstracją: najpopularniejszy człowiek w obozie wylizuje miski, aby nie zdechnąć z głodu. Ale to mu było potrzebne jeszcze w innym celu: zbierał te miski,

przytupując sobie i robiąc grymasy; cały czas był więc przedmiotem ogólnej uwagi, kręcił się wśród robociarzy i rozsiewał buntownicze myśli.

Capnie ci na przykład miskę z nie ruszoną kaszą, kiedy robociarz dopiero chłepce bałandę. Poszkodowany wzdryga się, wczepia się w miskę, a Kiszkin rozpływa się w uśmiechu (twarz miał jak księżyc, ale były w niej błyski okrucieństwa):

— Póki warn kto *kaszy* nie ruszy, można warn kołki na łbie ciosać!

I popłynął dalej ze stosem misek, bijąc hołubce.

Już na pewno będą dziś kolejny koncept Kiszkina powtarzać sobie w niejednej brygadzie.

Innym razem pochyli się nad stołem, wszystkie twarze podnoszą się ku niemu znad misek. Wiercąc oczyma jak nakręcany kot, udając zupełnego jołopa. Kiszkin pyta:

— Chłopaki! Jeżeli tata — dureń, a mama — kurwa, to czy dzieci będą syte czy głodne?

I nie czekając na odpowiedź, zbyt tu łatwą, stuka wyciągniętym palcem po stole, usłanym rybimi ościami:

— A podzielcie siedem-osiem miliardów pudów* rocznie na dwieście milionów!

I zmyka. A jakaż w tym jasna myśl! — dlaczegośmy dotąd nie wykonali

Pud — 16 kilogramów. 116

tego prostego działania? Dawno już głosi się u nas oficjalnie, że zbiory dają w ZSSR 8 miliardów pudów ziarna rocznie, a więc pieczonego chleba powinno wypadać dziennie 2 kilogramy, nawet licząc niemowlęta. A my — dorosłe chłopy, całe dnie kopiemy ziemię — i gdzie te dwa kilo?

Kiszkin dba o urozmaicenia. Czasami ten sam wywód zaczyna z drugiego końca i wygłasza *wykład o przypieku.* W ogóle chętnie wygłasza przemówienia w chwilach, gdy kolumna staje przed wartownią, po roboczej szychcie albo przed wejściem na teren obiektu; można wtedy pofolgować językowi. Jedno z jego najulubieńszych haseł to: „Dbajcie o rozwój pyska!". „Bo idę sobie tak po żonie, kochani, i widzę, że wszyscy macie takie niedorozwinięte pyski, tylko o perłowej kaszy myślicie, nic was więcej nie obchodzi".

A to znów wrzaśnie znienacka i bez powodu, stojąc w tłumie: „Osioł dardanelski! Dzikus!". Krzyknie raz i drugi — i nagle wszyscy już rozumieją, *kto* jest tym osiem dardanełskim i takie się to wydaje zabawne i celne, że każdy widzi nawet wąsy złowieszcze na tym dardanełskim obliczu.

Jakiś naczelnik próbuje wydrwić z kolei Kiszkina i woła głośno koło wachty: „A coś ty, Kiszkin, taki łysy, ha? Pewno cięgiem się branzlujesz?". A Kiszkin z miejsca, bez chwili namysłu, paruje tak samo głośno: „Według pana to Lenin też się branzlował?!".

Albo innym razem: Kiszkin chodzi po stołówce i woła, że dziś po zwrocie misek będzie uczył *dochodiagów,* jak tańczyć charlestona.

Rzadka niespodzianka — kino przyjechało! I wieczorem wyświetlają film — w tejże stołówce, bez ekranu, wprost na bielonej ścianie. Ludzi zeszła się wielka kupa,

siedzą na ławach, na stołach, między ławkami i na cudzych kolanach. Ale jeszcze przed końcem pierwszego aktu — nagła przerwa. Jałowy, biały snop światła żga ścianę. Widać też o co chodzi: przyszło kilku nadzorców i rozglądają się, gdzie by tu siąść najwygodniej. Wybrali jedną z ławek i rozkazują siedzącym tam zekom, aby zwolnili miejsca. Ci nie chcą wstawać — toć"nie widzieli kina już od lat, a taką mają chęć! Głosy nadzorców brzmią coraz donośniej i już słychać: „A no, zapisz ich numery!". To już koniec, trzeba będzie ustąpić. I nagle w ciemnej sali rozlega się ostro koci, drwiący, wszystkim znany głos Kiszkina:

— A pewno, chłopaki, panowie władza nie mają przecież innej okazji, żeby pójść do kina, chodźmy sobie!

Ogólny śmiech. O, śmiech to siła! Nadzorcy mają w ręku władzę, ale przecież wycofują się sromotnie, nie zdążywszy wcale spisać numerów.

— Gdzie Kiszkin? — krzyczą.

Ale Kiszkin już ani mru-mru. Nie ma Kiszkina.

Następnego dnia Kiszkina wzywają do naczelnika wydziału dyscyplinar-

117

nego. No, wlepią mu z pięć dni karceru! Ale nie, wraca uśmiechnięty. Napisał takie oto wyjaśnienie: „W trakcie *sporu* nadzorców z więźniami co do miejsc w kinie, wezwałem więźniów, aby ustąpili zwierzchności i opuścili salę". Za cóż go karać?

Kiszkin potrafi wyśmiać także tę bezmyślną żądzę widowisk, która każe zekom zapomnieć o godności, nieszczęściach i poniżeniu — w zamian za strzęp taśmy filmowej albo spektaklu, gdzie wszystko —jak na urągowisko — przedstawione będzie w różowym świetle. Przed takim koncertem albo pokazem filmowym, zawsze zbiera się pod drzwiami spora grupa miłośników atrakcji, ale drzwi długo nikt nie otwiera, bo nie ma jeszcze starszego nadzorcy, który ma wpuszczać — według spisu — tylko najlepsze brygady. A ci czekają po rabsku i już pół godziny gniotą sobie w tłoku żebra. Kiszkin zaś za plecami tego tłumu zzuwa buty, z pomocą sąsiada wskakuje na barki czekających — i na skos, szybciutko biegnie po karkach, po karkach, po karkach całej ciżby — aż do samych utęsknionych drzwi! Puka w nie, wiercąc całym swoim krępym ciałem Pataszona i pokazując jak go pili, żeby wejść do sali! — po czym tak samo szybko, po karkach, po karkach, biegnie z powrotem i zeskakuje na ziemię. — Tłum z początku się śmieje. Ale wkrótce górę bierze wstyd: rzeczywiście, stoimy jak barany. Dobra! Co tam patrzeć!

I rozchodzą się. Kiedy zjawia się nadzorca ze spisem, nie ma prawie nikogo, nikt się nie pcha; kijem ich poganiać, czy co?

Inny wypadek: Zaczyna się właśnie koncert w dużym baraku jadalni. Kiszkin wcale koncertu nie bojkotuje. Jest na miejscu w swojej zielonej kamizelce, wnosi i wynosi krzesła, pomaga kurtyniarzowi. Każde jego pojawienie się witane jest salwą oklasków. Przebiegnie ci przez proscenium, jakby go kto gonił, i wygrażając wzniesioną ręką wrzaśnie: ,,Osioł dar-danelski! Dzikus!". Ryk śmiechu. Ale coś tam za kulisami nie gra: kurtyna już podniesiona, a scena pusta, nikt się na niej nie pojawia. Kiszkin natychmiast korzysta z okazji. Widząc go publiczność się śmieje,

ale śmiech zaraz zamiera. Kiszkin wcale nie wygląda komicznie, ale jakby oszalał: oczy wytrzeszczone, aż strach patrzeć. Zaczyna recytować, dygocąc cały i wodząc zmętniałym spojrzeniem:

*Jak hlanu — szczo **meni** zdajetsja? Żandarmy bjut' —*
*i krów tam lietsja, I trupiw **zhrudyloś** bahaćko 1 syn*
*ubytyj — tam de bat'ko!"*

Gdy spojrzę — cóż to mi się roi! Żandarmy biją — krew tam płynie, i trupów leży już tam wiele, i syn zabity — obok ojca! (ukr.).

118

Mówi to do Ukraińców, których wśród publiczności jest dobra połowa! Niedawno ich tu przywieziono z Galicji, a on im tu sól sypie na świeże rany! Ukraińcy zawyli! I już biegnie nadzorca na scenę, po Kiszkina! Ale tragiczna twarz Kiszkina nagle przybiera błazeński wyraz. Krzyczy — już po rosyjsku:

— To taki wierszyk o 9 marca* cośmy się go uczyli, jak chodziłem do czwartej klasy!

I uciekł ze sceny pociesznie kusztykając.

A Żenią Nikiszyn był miłym, prostym, bardzo towarzyskim chłopakiem o piegowatej, otwartej twarzyczce. (Takich chłopców sporo było na wsi przed jej ruiną. Teraz przeważają tam twarze o nie bardzo życzliwym wyrazie). Żenią miał niewielki, ale miły głos i w gronie przyjaciół chętnie śpiewał z towarzyszeniem gitary.

Zabrzmiała prosta i smutna melodia. A Żenią przed pełną zeków, dużą salą zanucił niegłośno, dając wyraz całemu tlącemu się w nas, jeszcze nie do cna wyziębionemu, zdrożonemu ciepłu:

*Żonko moja biedna*
*Tylko ty, ty jedna,*
*Tylko tobą żyje moja dusza!*

Tylko ty, ty jedna! Znika sprzed oczu długi, toporny slogan o planie produkcji, zawieszony nad sceną. W sinawej mgle, spowijającej widownię, rozpływają się lata obozu — długie lata już przecierpiane, jeszcze dłuższe co nas dopiero czekają. Tylko ty, ty jedna! Nie rzekome nasze winy wobec władzy, nie żadne tam z władzą porachunki. I nie wilcze nasze troski... Tylko ty jedna!...

*Któż prócz ciebie czeka?*
*Najbliższa, daleka.*
*Jesteś ze mną, gdziekolwiek się ruszę.*

To była pieśń o bezkresnej rozłące. O braku wieści. O zagubieniu. Jak to nam było bliskie! Ale wprost o więzieniu — ani słowa. Wszystko to mogło odnosić się do długiej wojny.

Zawiodła mnie wtedy intuicja, mnie, tajnego, podziemnego poetę: nie zrozumiałem wtedy, że ze sceny dochodzą mnie wiersze jeszcze jednego z nas, poety podziemia

(iluż tu ich jeszcze!) — tylko zręczniejszego ode mnie, lepiej umiejącego się przystosować do wymogów *jawności.*

' 9 marca 1905 roku w Petersburgu policja powitała salwami demonstrację, która — pod wodzą popa Hapona — przyszła złożyć carowi wiernopoddańczą petycję.

119

A któż mógł mieć do niego pretensję? Żądać w obozie nut, sprawdzać teksty Isakowskiego, muzykę Mokrousowa? Żenią na pewno powiedział, że zna wiersz na pamięć.

W sinych oparach siedziało i stało ze dwa tysiące ludzi. Ani ruchu, ani westchnienia, jakby ich wcale nie było. Twardzi, okrutni, obróceni w kamień — poczuli nagle, jak coś im serca ściska. Łzy, jak się okazało, były jeszcze w zapasie, jeszcze znajdowały ujście.

*Żonko moja biedna!*
*Tylko ty, ty jedna,*
*Tylko ty zostałaś mi przy duszy!...*

## VIZ B I E G Z PRZEKONANIA

Ilekroć Gieorgij Pawłowicz Tenno wspomina niegdysiejsze ucieczki — te, w których sam brał udział, te, które przedsiębrali jego koledzy i te, o których wie tylko ze słyszenia — jednej tylko pochwały używa mówiąc o największych uparciuchach i zawadiakach z tego grona — o Iwanie Worobiowie, Michale Hajdarowie, Grzegorzu Kudle, Hafizie Hafizowie: „To był zbieg *z przekonania"*.

Uciekinier z przekonania! — to taki, co nawet na chwilę nie wyrzeka się myśli, że człowiek za żadne skarby nie powinien godzić się na życie za kratami! — nawet za cenę najtłustszej funkcji, stanowiska w księgowości, w dziale KO, ba, nawet w krajalni chleba! Taki, co — znalazłszy się za kratami — całe dni myśli o ucieczce, a całe noce śni o niej. Taki, który podpisał cyrograf, że nigdy nie ustąpi, który wszystkie swoje działania podporządkował jednej tylko myśli — uciec. Który nawet jednego dnia nie spędza w obozie, aby zbyć; bo albo szykuje ucieczkę, albo właśnie uciekł — albo już go złapano, poturbowano i wsadzono do obozowego więzienia.

Zbieg z przekonania! — to taki, który wie, czym ryzykuje. Który widział już trupy zastrzelonych zbiegów, rzucone na pokaz u wrót obozu. Który widział schwytanych żywcem — całych sinych, kaszlących krwią, oprowadzanych od baraku do baraku i krzyczących na rozkaz: „Więźniowie, patrzcie, jak wyglądam! To samo będzie z wami!". Który wie, że zwłoki zbiega są zwykle zbyt ciężkie, by je nieść do obozu — i dlatego pogoń przynosi tylko głowę w worku albo (jak doradza przezorny regulamin) jeszcze prawe ramię — odrąbane w łokciu, aby specwydział mógł

sprawdzić odciski palców i spisać człowieka na straty.

121

Zbieg z przekonania! — to właśnie taki, przeciw któremu zakłada się kraty w oknach, opasuje się żonę dziesiątkami kilometrów drutu kolczastego, wznosi się wieże strażnicze, palisady, umocnienia, urządza zasadzki, nastawia potrzaski i karmi się bure psy szkarłatnym mięsem.

Zbieg z przekonania — to także człowiek, który odrzuca kapitulanckie pretensje obozowych filistrów: „te ucieczki szkodzą wszystkim innym!, zaostrzy się reżym!". To taki, co nie daje ucha podszeptom innych więźniów („... w obozie też można żyć, zwłaszcza jak przychodzą paczki"), ani nie chce słyszeć o protestach, o głodówkach — bo to nie walka, tylko mydlenie sobie oczu. Ze wszystkich sposobów walki zna tylko jeden, wierzy tylko w jeden i temu jednemu poświęca wszystkie siły — ucieczce!

Nie potrafi inaczej, całkiem po prostu. Już taki jest. Podobnie jak ptak nie potrafi oprzeć się potrzebie corocznego odlotu, tak zbieg z przekonania nie umie wyrzec się ucieczki.

Spokojni obywatele obozu nieraz pytali Gieorgija Tenno — w przerwach między dwoma nieudanymi ucieczkami: „Dlaczego nie możesz usiedzieć na tyłku? Dlaczego wciąż uciekasz? Czego szukasz, co cię tak ciągnie na tę wolność, tę obecną?". — „Jak to — co?" — dziwił się Tenno. — „Czego szukam? Właśnie wolności! Choćby jedną dobę spędzić w tajdze, bez kaj-danów — to już wolność!".

Takich jak on czy Worobiew — GUŁag i Organy nie znały w swojej szczytowej epoce — epoce potulnych królików. Takich więźniów spotykało się tylko w okresie początkowym, a później — dopiero po wojnie.

Tenno był właśnie z takiej gliny. Na początku pobytu w każdym nowym obozie (a przerzucano go nader często) był przygnębiony i smutny dopóty, dopóki nie widział sposobu ucieczki. Gdy zaś mu tylko pomysł zaświtał — zaraz promieniał cały i odtąd uśmiech już go nie opuszczał.

Powiada teraz, że gdy zaczęła się powszechna rewizja akt i rehabilitacja skazanych, ogarnęło go uczucie zawodu: zrozumiał, że nadzieja na rehabilitację osłabia pęd do ucieczki.

Nie ma miejsca w tej książce na opis jego zawiłej drogi życiowej. Dość, że od kołyski miał żyłkę do ucieczek. Dzieckiem będąc uciekł z internatu w Briańsku „do Ameryki", to znaczy łódką w dół Dzisny. Później — z sierocińca w Piatigorsku, zimą, w samej bieliźnie przelazł przez żelazne wrota i umknął do babci. Osobliwe, że w całym jego życiu przeplata się linia morska z linią cyrkową. Ukończył szkołę morską, był majtkiem na lodo-łamaczu, bosmanem na trawlerze, szturmanem na statku handlowym.

122

Ukończył wojskowy instytut języków obcych, służył podczas wojny we Flocie Północnej, jako oficer łącznikowy żeglował na angielskich okrętach między Murmańskiem a Islandią i Anglią. Ale od dzieciństwa uprawiał także akrobację i występował w cyrku w okresie NEP-u, a także później, w przerwach między rejsami. Był trenerem drużyny sztangistów. Występował na estradzie jako mnemotechnik — popisywał się zapamiętywaniem mnóstwa słów i liczb, „odgadywaniem" myśli na odległość. W porcie i w cyrku otarł się o świat knajaków; przejął to i owo z ich języka, wzięcia. zawadiactwa i awanturnictwa. Siedząc później razem z szemranymi w niezliczonych „reżymkach" jeszcze niejednego od nich się nauczył. Wszystko to miało się później przydać temu zbiegowi z przekonania.

Wszystkie doświadczenia życiowe odbijają się na charakterze jednostki, nasza osobowość jest ich sumą.

W roku 1948 nagle został zdemobilizowany. To był sygnał z Tamtej Strony (zna języki, żeglował na brytyjskim statku, na dobitkę — Estoń-czyk, chociaż tam i z Petersburga) — ale przecież zawsze łudzimy się nadzieją. Tegoż roku, w samą Wigilię, w Rydze, gdzie tak jeszcze potrafią świętować Boże Narodzenie — Tenno zostaje aresztowany. Pakują go do lochów przy ulicy Amatu, obok konserwatorium. Wchodząc do swojej pierwszej celi Tenno nie mógł się powstrzymać i oznajmił obojętnemu, milkliwemu strażnikowi: „Właśnie dzisiaj mieliśmy iść z żoną na *Hrabiego Monte-Christo,* już miałem bilety. On rwał się na wolność, ja też będę walczył".

Ale jeszcze nie czas było na walkę. Zawsze przecież zakładamy, że to *tylko omyłka.* Więzienia? — a za co? — niemożliwe! Na pewno ***się** połapią!* Przed wysyłką do Moskwy jeszcze go specjalnie uspokojono (robi się to ze względu na bezpieczeństwo operacji transportowej); naczelnik kontrwywiadu, pułkownik Morszczynin odprowadził go nawet na dworzec, pożegnał uściskiem dłoni: „możecie być zupełnie spokojni, dobrej drogi!'". Było ich tylko czterech, licząc speckonwojentów, jechali więc w osobnym przedziale pierwszej klasy. Major i starszy lejtnant obgadali swoje widoki na wesołego Sylwestra w Moskwie (może właśnie dla wykorzystania takich okazji wysyła się speckonwoje?), potem położyli się na górnych półkach i zasnęli, przynajmniej z pozoru. Na drugiej z dolnych półek leżał starszy sierżant. Zrywał się, gdy tylko aresztant otwierał oczy. Pod sufitem paliła się niebieska lampka nocna. Pod głową miał Tenno pierwszą i ostatnią paczuszkę, wetkniętą mu w pośpiechu przez żonę: obcięty lok i tabliczkę czekolady. Leżał i rozmyślał. Wagon stukotał pogodnie. Każdy może dopatrzeć się w tym stukocie dowolnego sensu czy przestrogi. Tenno słyszał w nim głos nadziei — „tak, tak, na pewno się połapią". I dlatego nie myślał poważnie

123

0 ucieczce (nieraz jeszcze wspominać będzie tę noc, plując sobie w brodę z żalu. Nigdy już nie zdarzy mu się okazja do tak łatwej ucieczki, nigdy wolność nie będzie już tak bliska!).

Dwukrotnie chodził Tenno tej nocy do toalety. Nocny korytarz był pusty, sierżant szedł za nim. Pistolet zwisał mu na długich rapciach, jak to w marynarce. Wcisnął się do toalety razem z aresztowanym. Tenno znał chwyty judo i walki francuskiej, łatwo mógł obezwładnić konwojenta, zabrać mu pistolet, zmusić do milczenia i spokojnie wyjść samemu na jakimś przystanku.

Za drugim razem sierżant nie odważył się już wejść do ciasnej ubikacji, został za drzwiami. Ale drzwi były zamknięte i można było siedzieć w toalecie, jak długo się chciało. Można było wybić szybę i wyskoczyć na tory. Noc! Pociąg wlókł się wolno — rok 48., przystanki też były częste. Zima, to fakt. Tenno był bez palta, w kieszeni miał tylko pięć rubli, ale jeszcze nie zabrano mu zegarka.

Luksusy specetapu skończyły się na dworcu w Moskwie. Trzeba było odczekać aż inni pasażerowie wyjdą, po czym wszedł sierżant z błękitnymi epoletami z załogi więziennej suki: „Gdzie go macie?".

Procedura przyjęcia, bezsenność, boksy, boksy. Naiwne żądania — żeby prędzej być wezwanym na śledztwo. Nadzorca ziewa: „Jeszcze ci się zdąży uprzykrzyć".

Pierwsze spotkanie ze śledczym. „No, zeznawaj o swojej działalności przestępczej". — „Nic nie zawiniłem!". — „Tylko papież Pius nic nie zawinił".

W celi — sam na sam z kapusiem. Współwięzień wciąż stara się go podejść: jak tam było naprawdę? Kilka seansów śledztwa — i wszystko staje się jasne: nikt nie chce się „połapać", o wyjściu na wolność nie ma mowy. A więc — trzeba uciekać!

Tenno wcale nie przejmuje się światowym rozgłosem więzienia Lefor-towo. Może dlatego, że jest jako nowicjusz na froncie, co to niczego jeszcze nie przeżył i niczego się nie boi. Plan ucieczki podpowiada mu sam śledczy — Anatol Lewszyn. Podpowiada, bo staje się coraz bardziej złośliwy i wrogi-

Każdy człowiek, każdy naród ma własną miarę rzeczy. Ileż milionów zniosło już plagi w takich murach i nawet nie uważało tego bicia za tortury. Ale dla Tenno — świadomość, że może być bezkarnie bity — była nie do zniesienia. Wolał umrzeć, niż pozwolić, żeby się nad nim ktoś pastwił.

1kiedy Lewszyn — po słownych pogróżkach — po raz pierwszy wstaje zza stołu i podnosi na Tenno rękę — ten zrywa się i woła, dygocąc z wściek łości: „Uważaj, mnie i tak zguba czeka! Ale przedtem wydłubię ci przynaj-

124

mniej jedno oko albo obydwa! Na to zawsze mnie stać". I śledczy wycofuje się. Własne zdrowe oko w zamian za nędzne życie więźnia? Nie, ta transakcja go nie urządza. Z kolei więc zadręcza Tenno karcerami, by wyzuć go z sił. Następnie wmawia w aresztanta, że kobieta, wyjąca z bólu w sąsiednim gabinecie, jest żoną Tenno i że będą ją dalej męczyć, jeśli mąż się nie przyzna.

Ale znów się pomylił! Tenno nie mógł znieść myśli o cierpieniach żony tak samo, jak myśli o biciu. Z coraz większą jasnością widzi, że tego śledczego trzeba będzie zabić. Ten zamiar łączył mu się z planem ucieczki!

—major Lewszyn też nosił marynarski mundur, był tak samo rosłym blondynem. Wartownik budynku śledczego mógł zupełnie łatwo wziąć

Tenno za Lewszyna. Co prawda, major miał twarz pyzatą i gładką, Tenno zaś porządnie wychudł. (Niełatwo jest więźniowi przejrzeć się w lustrze. Nawet jeśli po przesłuchaniu aresztant prosi o pozwolenie na pójście do ustępu, znajduje tam lustro, zasłonięte czarną szmatą. Jeżeli ma szczęście, może szybkim ruchem uchylić na chwilę zasłonki; — o, jaki jest zadręczony, jaki blady! Jak żal samego siebie!).

Tymczasem zniknął z celi bezużyteczny kapuś. Tenno bada jego pryczę. Poprzeczny pręt metalowy zardzewiał tam, gdzie przytwierdzony jest do ramy, rdza wżarła się w żelazo, nit ledwo się trzyma. Pręt ma jakieś siedemdziesiąt centymetrów długości. Jak tu go wyłamać?

Nasamprzód trzeba nauczyć się odmierzać w myśli sekundy. Później —obliczyć, ile mija sekund między jednym a drugim zerknięciem każdego ze strażników przez oczko judasza (ma się rozumieć, nie u wszystkich częstotliwość jest jednakowa; trzeba wyobrazić sobie, że to ty sam przechadzasz się szybciej lub wolniej po korytarzu). Odstęp między jednym zerknięciem a drugim wynosi od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu pięciu sekund.

W trakcie takiej pauzy —jeden wysiłek i pręt trzasnął z jednego końca. Drugi koniec — trzyma się mocno, złamać go trudniej. Trzeba skoczyć nań obu nogami, ale rąbnie o podłogę, gdy się już złamie. Trzeba więc zdążyć w ciągu tych liczonych sekund: rzucić poduszkę na cementową podłogę, skoczyć, złamać, cisnąć poduszkę na miejsce, a pręt schować, chwilowo —choćby we własnej pościeli. Cały czas licząc sekundy.

Złamany. Gotowe!

Ale to jeszcze nic nie daje: wejdą, znajdą — i zgnijesz w karcerze. Dwadzieścia dni karcą to taka strata sił — że nie tylko nie starczy już na ucieczkę, ale nawet na opór w czasie śledztwa. Ale jest rada: nadpruć materac paznokciem. Wyszarpnąć trochę waty. Owinąć watą koniec pręta i wstawić pręt na dawne miejsce. Liczyć sekundy! Dobra, załatwione!

125

Ale to też nie na długo. Co dziesięć dni — łaźnia, a podczas gdy się myjesz rewizja w celi. Mogą połapać się, że złamane. Trzeba więc działać spiesznie. Jak wynieść pręt na śledztwo?... Przy wyjściu z więzienia rewizji nie ma; po powrocie z korpusu śledczego obmacują trochę człowieka, ale też — tylko klepną po bokach i piersi, tam gdzie kieszenie. Szukają ostrych przedmiotów, boją się samobójstw. Tenno ma pod marynarskim kitlem tradycyjną pasiastą koszulkę, co to grzeje i ciało, i duszę. „Im od brzegu dalej, tym trosk mniej!". Poprosił o igłę (użyczają jej w określonych godzinach), rzekomo aby przyszyć ulepione z chleba guziki. Rozpiął kitel, rozpiął spodnie i na podołku swojej koszuli zaszył podłużną rynienkę, jakby wąską kieszeń (dla dolnego końca pręta). Już miał w zapasie troczki oderwane od kalesonów. Teraz, udając, że przyszywa guzik do kitla, przyszył tasiemkę do spodniej

strony koszuli, na wysokości piersi — miała to być górna pętelka dla pręta.

Teraz koszulę wdział tyłem do przodu i zaczął trenować dzień po dniu. Pręt wsuwa pod koszulę, na plecy: wtyka go w pętelkę i trafia dolnym końcem do kieszonki. Rączka pręta jest na poziomie karku, pod kołnierzem kitla. Trening polega na tym, aby między jednym zerknięciem strażnika, a drugim sięgnąć ręką za kołnierz — ująć w dłoń pręt, przegiąć tułów do tyłu wyprostować się ze skłonem do przodu, jak cięciwa łuku, wyszar-pując jednocześnie pręt — i z rozmachem trzepnąć śledczego w łeb. I znów wszystko na miejsce. Oko w judaszu. Aresztant spokojnie wertuje książkę.

Ruchy były coraz szybsze i szybsze, pręt świstał już w powietrzu. Jeśli nawet cios nie będzie morderczy — śledczy i tak padnie bez zmysłów. Ale jeśli żona też siedzi — to nikogo z was nie ma co żałować!

Robi sobie jeszcze dwa wałeczki z waty, wyskubanej z tego samego materaca. Można wsunąć je między dziąsła a policzki i w ten sposób nadać twarzy krągłość.

Oczywiście, trzeba jeszcze tego dnia być ogolonym — a golą tu tępą brzytwą raz na tydzień. Dzień więc też nie jest obojętny.

A jak uzyskać rumieniec na twarzy? Trzeba natrzeć policzki odrobiną krwi. *Jego* krwi.

Zbieg nie może patrzeć i słuchać tak sobie, jak inni ludzie. Musi patrzeć i słuchać przymierzając wszystko do swoich szczególnych, uciekinierskich celów. I nie pomijać żadnego szczegółu, każdy brać pod uwagę. Prowadzą go na przesłuchanie, na spacer, do toalety — a jego nogi liczą kroki, liczą stopnie (nie wszystko się przyda — ale liczyć trzeba), jego ciało zapamiętuje sobie każdy dostępny załom — przypatruje się wszystkim drzwiom — podwójne, pojedyncze, jakie klamki, jakie zamki, w którą stronę się otwierają; głowa analizuje, dokąd jakie drzwi prowadzą, uszy słuchają i kojarzą: o, ten dźwięk słyszałem już w celi i znaczy to a to.

126

Słynny lefortowski korpus „K" — ażurowa klatka schodowa, widać wszystkie piętra, obwodowe galerie metalowe, ruch regulują dyżurni z chorągiewkami. Przesłuchują w coraz to innym gabinecie — tym lepiej! — można poznać usytuowanie wszystkich korytarzy i drzwi korpusu śledczego. Jak tu wchodzą funkcjonariusze śledczy z zewnątrz? O, przez te drzwi z kwadratowym okienkiem. Rzecz jasna, zasadniczą kontrolę ich dokumentów przeprowadza się nie tu, tylko na wartowni przy wejściu, ale tu też ktoś ich sprawdza, ktoś ich obserwuje. O, jeden z nich właśnie schodzi i woła do kogoś na górze: „No to jadę do ministerstwa!". Doskonale, to zdanko przyda się zbiegowi.

Jaką drogą idą stąd dalej, do wartowni? Tu trzeba będzie zgadywać i wybrać dobrą drogę bez wahań. Ależ na pewno wydeptali w śniegu ścieżkę. Albo asfalt jest tu ciemniejszy i brudniejszy. A jak przechodzą przez wachtę? Pokazują legitymację? Czy może zostawiają ją przy wejściu wartownikowi, a teraz tylko mówią nazwisko i odbierają dokument? Albo może każdego znają tam z wyglądu i wymienianie nazwiska to błąd, wystarczy tylko wyciągnąć rękę?

Wiele wątpliwości można rozstrzygnąć, jeśli się nie wnika w treść bzdurnych pytań śledczego, a tylko obserwuje się każdy jego ruch. Chce zatem-perować ołówek i wyjmuje żyletkę z jakiejś swojej legitymacji, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni. I zaraz tyle zagadnień:

—[1] to nie jest przepustka. Więc przepustka — na wartowni?

— dokument bardzo przypomina prawo jazdy. Więc przyjeżdża tu autem? Ma zatem klucz od stacyjki w kieszeni? Czy zostawia wóz przed bramą więzienia? Trzeba będzie od razu tutaj, przed wyjściem z gabinetu odnaleźć numer rejestracyjny w książce wozu, żeby tam się nie pomylić.

Szatni tu nie mają. Płaszcz marynarski i czapkę wiesza tu, w gabinecie. Tym lepiej.

Nie zapomnieć, nie przegapić żadnej czynności i wszystko załatwić w ciągu 4—5 minut. Kiedy już tamten będzie leżał powalony, trzeba —

1. zrzucić własny kitel, wdziać jego, o wiele nowszy, z epoletami;
2. zabrać mu sznurowadła i zasznurować nimi własne, opadające buty — sporo czasu na to ujdzie;
3. jego żyletkę wsunąć do specjalnie przygotowanej szpary w obcasie (jeśli jednak złapią, to *od razu* w pierwszej celi przeciąć nią sobie żyły);
4. przejrzeć jego dokumenty, wybrać te, co potrzebne;
5. zapamiętać numer auta, znaleźć klucz;
6. do jego wypchanej teczki włożyć akta własnej sprawy, zabrać teczkę;
7. zdjąć z niego zegarek;
8. pokryć policzki krwawym rumieńcem;

127

9. zaciągnąć jego ciało za biurko albo za portierę tak, aby ktoś, kto tu zajrzy, pomyślał, że major wyszedł i żeby nie wszczął alarmu;
10. ukręcić z waty wałeczki i włożyć je między dziąsła a policzki;
11. wdziać jego czapkę i płaszcz;
12. oberwać przewód elektryczny przy kontakcie. Jeśli ktoś tu wejdzie — zobaczy, że ciemno, przekręci kontakt — e, pewno żarówka się przepaliła, dlatego major poszedł do innego gabinetu. Ale nawet kiedy wkręcą nową żarówkę — też nie od razu się połapią.

Oto więc dwanaście punktów, trzynasty — to sama ucieczka... Wszystko to trzeba zrobić podczas nocnego przesłuchania. Gorzej, jeśli okaże się, że legitymacja ~ to nie prawo jazdy. To znaczy, że major przyjeżdża i odjeżdża autobusem dla funkcjonariuszy śledczych (wożą ich specjalnie, bo też noc!) i kolegom jego wyda się dziwne, że Lewszyn, nie czekając na godzinę odjazdu, jeszcze przed 4 poszedł piechotą do domu.

Aha, przechodząc obok kwadratowego okienka trzeba podnieść do nosa chusteczkę, niby że katar: równocześnie spojrzeć na zegarek: dla uspokojenia szyldwacha krzyknąć w stronę górnego piętra: „Pietrow! (to jego przyjaciel) — Jadę do ministerstwa! Jutro pogadamy!".

Oczywiście, szans niewiele, mniej więcej 3, najwyżej — 5 na 100, przynajmniej chwilowo. Nic nie wiadomo o wartowni przy wyjściu, sprawa niemal beznadziejna. Ale zdychać tu jak rab? Nie! I nie opaść z sił tak, żeby mogli kopać człowieka nogami! Żyletka już tam będzie w obcasie!

I na jedno z nocnych przesłuchań, zaraz po goleniu, Tenno przyszedł z żelaznym prętem na grzbiecie. Śledczy zadawał pytania, klął, sypał pogróżkami, a Tenno tylko patrzył na niego i dziwił się: więc facet nie przeczuwa, że jego godziny są policzone?

Była jedenasta wieczór. Tenno spodziewał się, że posiedzi tu do drugiej. O tej porze niektórzy funkcjonariusze zaczynają już wychodzić, urządzają sobie „krótką noc".

Byle złowić ten moment: albo kiedy śledczy poda karty protokołu do podpisu, jak to zawsze robi — i nagle udać zawrót głowy, opuścić protokół na ziemię, wtedy śledczy schyli się i... Albo bez żadnego protokołu —wstać, zachwiać się, powiedzieć, że dziwna słabość, poprosić o trochę wody. Major przyniesie emaliowany kubek (szklankę ma tylko dla siebie), upić łyk i upuścić naczyńko — zaraz potem podnieść rękę do karku, to ruch całkiem naturalny, skoro w głowie się kręci. Śledczy na pewno pochyli się, aby popatrzeć na kubek i wtedy...

Serce waliło. Była wigilia świąt. Albo wigilia kaźni.

128

Ale wszystko przybrało inny obrót. Około północy szybkim krokiem wszedł do gabinetu inny śledczy i zaczął coś szeptać Lewszynowi na ucho. Tego jeszcze nie bywało. Lewszyn zaczął się śpieszyć, zadzwonił na strażnika i kazał mu odprowadzić więźnia.

I to było wszystko. Tenno wrócił do celi, wstawił pręt na swoje miejsce.

Innym zaś razem śledczy wezwał go na przesłuchanie przed goleniem — i zabieranie ze sobą prętu nie miało sensu.

Albo znów — dzienne przesłuchanie. 1 dziwnie jakoś się potoczyło: śledczy nie wrzeszczał i nawet stropił go przepowiadając, że dostanie tylko 5 do 7 lat, więc nie ma co się martwić. I jakoś zabrakło złości, aby rozwalić mu łeb. Pod tym względem Tenno nie odznaczał się stałością.

Furor jakoś przygasł. Zaczęło mu się wydawać, że szansę są zbyt nikłe, któż tak gra?

Zbieg częściej zmienia nastrój niż niejeden artysta.

Całe długie próby poszły na marne...

Ale uciekinier musi być na to przygotowany. Już po stokroć machnął prętem w powietrzu, już zabił setkę śledczych. Dziesięć razy przeżył już całą swoją ucieczkę. Szczegół po szczególe — naprzód gabinet, potem — obok kwadratowego okienka, droga do wartowni, teraz minąć wartownię! —już zmęczyła go ta ucieczka — a tu okazuje się, że jeszcze nie zaczęta.

W końcu Lewszyna zastąpił inny śledczy, Tenno został przewieziony na Łubiankę. Już tu nie szykował ucieczki (wydawało mu się, że przebieg śledztwa daje mu jakieś nadzieje i nie miał już tej determinacji, co dawniej), ale dalej prowadził niezmordowanie swoje obserwacje i trenował się w układaniu planów.

Ucieczka z Łubianki? Czy to w ogóle możliwe?... Jeśli dobrze się zastanowić, to może być łatwiejsza niż z Lefortowa. Wkrótce zaczął się orientować, jak biegną te długie, przedługie korytarze, którymi prowadzą cię na śledztwo. Czasem widać na korytarzach strzałki: ,,Do wyjścia nr 2", ,,Do wyjścia nr 3". (Żałujesz, żeś był tak lekkomyślny, zanim tu trafiłeś: toć można było zawczasu obejść Łubiankę z zewnątrz i przyjrzeć się, jakie tu wejścia i wyjścia). Ten gmach ma ten jeszcze plus, że to nie więzienie, tylko ministerstwo i tylu tu śledczych, a także innych urzędników, których wartownicy nie mogą znać z wyglądu. A więc wchodzi się i wychodzi za okazaniem przepustki, a przepustkę ma każdy funkcjonariusz w kieszeni. Skoro zaś nie każdego znają tu z wyglądu, to nie jest takie ważne, czyś zupełnie podobny do śledczego, wystarczy przypominać go z grubsza.

Nowy śledczy nosi mundur nie marynarski, tylko zwykły, khaki. Trzeba by więc przebrać się także w jego mundur. Mniejsza, że nie ma pręta, grunt to zdecydowanie. W gabinecie śledczego dość jest rozmaitych przedmiotów — choćby marmurowy przycisk. Zresztą, nie trzeba go zaraz zabijać, wystarczy ogłuszyć na dziesięć minut, tyle, żeby wyjść z gmachu!

Ale mętne nadzieje na jakieś zmiłowanie czy na rozsądek władz osłabiają wolę Tenno. Dopiero w Butyrkach ciężar spada mu z serca: ze strzępka papieru odczytują mu wyrok OSO — 25 lat obozu. Podpisując, czuje jak mu od razu lżej, jak powraca zdolność do uśmiechu, jak żwawo niosą go nogi do celi 25-latków. Wyrok oznacza wolność od upokorzeń, kompromisów, potulności, zabiegów o względy, o te obiecane pieć-siedem lat odsiadki: dwadzieścia pięć, gnać waszą mać?! — no to nie ma co na was liczyć, to znaczy, trzeba wiać!

Albo — śmierć. Ale czy to śmierć gorsza od ćwierćwiekowej niewoli? I tylko strzyżenie do gołej skóry — zwykłe, rytualne strzyżenie po wyroku, komu to zaszkodziło? — Tenno ledwie jest w stanie je znieść; to dla niego najgorsza obraza, jakby mu kto napluł w pysk.

Teraz trzeba szukać sojuszników. I dobrze przyjrzeć się dziejom innych ucieczek. Tenno jest w tym świecie nowicjuszem. Czy to możliwe, żeby nigdy jeszcze nikomu nie udało się uciec?

— Ileż to razy w ślad za stażnikiem przekraczaliśmy progi tych żelaznych drzwi, przegradzających butyrskie korytarze: niektórzy z nas zauważyli to, co Tenno widzi od razu: przepierzenia te mają podwójne rygle, strażnik zaś otwiera kluczem tylko jeden z nich i to wystarcza, by wierzeje się otwarły. Drugi zawór jest więc chwilowo nieczynny: składa się z trzech ruchomych czopów, które wysuwają się ze ściany i wchodzą we wpusty w żelaznych futrynach.

W celi każdy szuka czego innego. Tenno tylko jednego — relacji o ucieczkach i ludzi, którzy brali w nich udział. Znalazł nawet takiego, który wpadł właśnie przez te trzy czopy w drzwiach. Nazywa się Manuel Garcia. Zdarzenie miało miejsce przed

kilku miesiącami. Więźniowie jednej z cel wyszli do ustępu. Po drodze złapali strażnika (wbrew regulaminowi był sam, bo przecież całymi latami nic się tu nie dzieje, przyzwyczajono ich do pokory!), odarli go z munduru, skrępowali, zostawili w ustępie, a jeden z więźniów wdział jego uniform. Wzięli pęk kluczy i zabrali się do otwierania wszystkich po kolei cel tego skrzydła (a były tu także cele skazanych na śmierć, tym to dopiero było na rękę! Podniósł się krzyk, radosne wrzaski, nawoływano, aby pootwierać cele także w innych skrzydłach i opanować całe więzienie. Ostrożność poszła w kąt! Zamiast po cichu przygotować się w celach do ucieczki, a na korytarz wypuścić tylko tego, co się przebrał za strażnika, wszyscy znaleźli się na korytarzu — i dalejże hałasować! Usłyszał tę wrzawę strażnik z sąsiedniego skrzydła, zajrzał

130 .

rzeź dwustronne oczko w żelaznym przepierzeniu i nacisnął guzik alar-lowy. Samo naciśnięcie tego guzika już wystarcza, aby zatrzasnęły się szystkie owe dodatkowe rygle żelaznych przegród - i nie sposób otworzyć h żadnym z kluczy, które ma ze sobą stażnik. Zbuntowane skrzydło astało zatem odizolowane. Zwołano mnóstwo strażników: stanęli szpale-;m, buntowników przepuszczano gęsiego i młócono we dwa kije. Znale-ono podżegacza i zabrano dokądś. Już mieli na karku po ć w i a r t c e . )odano im drugie tyle? Czy rozstrzelano?

Etapem do obozu. Znana więźniom „ciupka" na dworcu Kazańskim, czywiście — jak najdalej od ludzkich oczu. Tu przyjeżdżają karetki wię-enne, tu ładuje się ludzi do wagon-zaków, nim się je przyczepi do pocią-u. Konwojenci — w ostrym pogotowiu z obu stron torów, rzędami. Rwą-**e** się do gardeł psy. Komenda: „Eskorta, gotuj broń!" — i morderczy

■ rczęk zamków karabinowych. Tu nie ma żartów. Psy towarzyszą też więz iom podczas marszu wzdłuż torów. Dać nogę? Pies na pewno dogoni.

(Ale zbieg z przekonania, wciąż przerzucany za ucieczki z więzienia do ięzienia — jeszcze ma w perspektywie dużo takich dworców i marszów 'zdłuż torów. Będą go może kiedyś prowadzić bez psiej eskorty.

Zaczniesz wtedy udawać, że utykasz, żeś chory, że ledwie się wleczesz, *z* ledwie możesz unieść s i d o r, i fufaję: to działa na eskortę uspokajają-*3.* A jeżeli na torach stoi parę pociągów — to dopiero można zacząć grę ' chowanego! Rzucić sidor precz, pochylić się — i jednym susem skoczyć od wagony! Ale kiedyś się już schylił, możesz zobaczyć z drugiej strony 'agonu buciory rezerwowego konwojenta, kroczącego wzdłuż drugiego eronu... Wszystko wzięli pod uwagę, psiekrwie... Możesz wtedy tylko dać, że zrobiło ci się słabo i dlatego porzuciłeś rzeczy. Ach, gdybyż to lieć szczęście — gdyby po sąsiednich torach przejeżdżał właśnie pociąg! idyby udało się przebiec przed samym parowozem — toć to żaden kon-ojent nie odważyłby się skoczyć za tobą! Ty ryzykujesz dla wolności,

on? I nim pociąg cały się przetoczy — już po tobie nie ma śladu! Ale tu zęba mieć podwójne szczęście — żeby pociąg nadjechał na czas i żeby bła nóg ci nie obcięły).

W Kujbyszewie, ze zborniaka na dworzec wiozą zeków otwartymi cięża-jwkami — gromadzi się wielki ***czerwony*** transport. Jeszcze w zborniaku enno zawiera znajomość z miejscowym złodziejaszkiem, który „bardzo anuje takich, co chcą pryskać" i dostaje od niego dwa adresy, pod któ-/mi można szukać oparcia zaraz po ucieczce. Znajduje dwóch jeszcze andydatów do ucieczki, dzieli się z nimi tymi adresami i umawia się, że ostarają się usiąść w głębi platformy, a kiedy auto zwolni na zakręcie (a

■ enno, gdy jechał tu z dworca, własnymi bokami wymacał ten zakręt,

131

chociaż w karetce było ciemno i oczyma nic nie widział) — spróbują razem, całą trójką zeskoczyć z ciężarówki, na prawo, na lewo, do tyłu! Obok konwojentów, niech tam nawet któryś zwali się na ziemię za nimi! Będą strzelać, ale wszystkich trzech przecież nie trafią. Zresztą — czy na pewno będą? Toć pełno ludzi na ulicy. Będą ich ścigać? Nie — przecież nie mogą zostawić ciężarówki bez ochrony. Tyle tylko, że pokrzyczą trochę i wystrzelą parę razy w powietrze. Może ich ktoś zatrzyma: jacyś przechodnie, nasi sowieccy, kochani przechodnie. Nic to, wystarczy podnieść rękę jak do dźgnięcia nożem! (A żadnego noża nie ma).

Cała trójka tak manewruje i marudzi podczas rewizji, żeby znaleźć się w ostatniej ciężarówce — i to możliwie już o zmroku. Nadjeżdża wreszcie ostatnia — ale nie jest to trzytonówka o niskich burtach jak wszystkie poprzednie, tylko Studebacker z wysokim oszalowaniem. Nawet Tenno
—gdy już tam siedzi — nie może wychylić głowy ponad krawędź burty.
Studebacker mknie. Zakręt! Tenno zerka na wspólników — a ci mają
strach w oczach. Nie, nie zdecydują się na skok. Nie, to nie są zbiegowie
z przekonania. (Ale czy on sam już stał się takim zbiegiem?...).

W ciemnościach, ciętych błyskami ręcznych lamp, przy akompaniamencie psiego ujadania, wrzasków eskorty, wyzwisk i brzęku łańcuchów — pakują ich do bydlęcych wagonów. I tu Tenno wbrew własnym zasadom
—zapomina przyjrzeć się dobrze z zewnątrz wagonowi, którym ma jechać
(a zbieg z przekonania powinien wszystko obejrzeć zawczasu i nie wolno
mu niczego przegapić!).

Na przystankach straż opukuje wagony długimi młotkami. Bada w ten sposób każdą deskę. Widać boją się — ale czego? A tego, że deskę można przepiłować! To znaczy, że tego właśnie trzeba próbować.

Znalazł się (u któregoś ze złodziei) mały kawałek ostrej stali narzędziowej. Postanowili przeciąć nim poprzeczną belkę pod dolnymi narami. Kiedy pociąg zacznie zwalniać — dopiero ją wyłamać, skakać plackiem na tory i trzymać się podkładów, póki cały pociąg nie przejedzie. Co prawda, znawcy przedmiotu twierdzą, że do ostatniego wagonu więziennych transportów przyczepiona jest metalowa brona, że zęby tej żelaznej łapy wiszą nisko nad torami, że zgarniają ciało zbiega i wloką je po pokładach, aż zostaną zeń strzępy.

Przez całą noc, po kolei wpełzając pod nary, piłują więc deskę ogryzkiem żelaza,

trzymanym przez szmatkę. Ciężka to robota. W końcu jeden koniec poprzeczki jest przecięty. Decha zaczyna się ruszać. Odginają więc ją, ile tylko się da — a już świta — i widzą z tyłu wagonu białe tarcice. Dlaczego białe? A bo widać do wagonu dobudowano platformę dla konwojenta. Stoi więc na niej wartownik i obserwuje szparę między wagonami. Nie ma co piłować dalej, daremna robota.

132

Ucieczki z więzień — jak to wszelka działalność ludzka, mają swoją historię, mają też swoją teorię. Nieźle jest znać je, nim się człowiek sam do nich zabierze.

Historia — to dzieje dawnych ucieczek. Operczekiści nie publikują specjalnych broszur o ich technologii, wolą zdobyte doświadczenie obracać na własny użytek. Wiadomości historyczne zaczerpnąć za to możesz z opowieści innych zbiegów, już schwytanych. Drogo zapłacili za swoje doświadczenie — krwią, cierpieniem, życiem nieomal. Ale drążyć krok po kroku, brać na spytki jednego, drugiego, trzeciego uciekiniera — to wcale nie żarty, to zajęcie niebezpieczne. Niewiele mniej ryzykowne od wypytywania
—jak i z czyją tu pomocą wstąpić do organizacji podziemnej? Długie te rozmowy mogą być podsłuchane przez szpicli. A co gorsza — sami wasi rozmówcy, kiedy ich po złapaniu dręczono — i kiedy jeden tylko wybór mieli — śmierć albo życie — mogli przecież załamać się — dać się zwer bować i teraz służą za przynętę dla innych, nie mogą już być sprzymierzeń cami. Jednym z najważniejszych zadań kumów jest wykrycie zawczasu tych, którzy myślą o ucieczce, którzy interesują się ucieczkami, aby za znaczyć, co trzeba — w jego formularzu — i czym prędzej posłać go do brygady o zaostrzonym rygorze, skąd uciec jest o wiele trudniej.

Mimo to — Tenno wypytuje uciekinierów w każdym więzieniu, w każdym obozie. Sam próbuje uciekać, łapią go — i siedzi później w obozowych więzieniach właśnie z uciekinierami. Tu może ich wypytywać do woli. (Zdarzają mu się błędy. „Stiepan", zbieg niestrudzony, wydaje go w Ken-girze operowi i ten powtarza wszystkiego jego pytania, jakie ten „Stiepa-nowi" zadał).

Co zaś do teorii ucieczek, to jest ona bardzo prosta: jak kto potrafi. Jeśli cię złapano — to znaczy, że jeszcze jej nie znasz. Elementarne zaś zasady są następujące: uciekać można zarówno z „obiektów", jak z żony mieszkalnej. Z obiektu uciec łatwiej *y* jest ich wiele, straż jest tam przygodna, zbieg może też zaopatrzyć się w niejedno narzędzie. Uciekać można w pojedynkę, to zadanie trudniejsze, za to nikt cię nie wyda. Można uciekać w towarzystwie — to łatwiejsze, ale wszystko zależy od tego — czyście się dobrze dobrali. Istnieje też zasada: geografię trzeba znać tak, żeby ci się mapa paliła przed oczyma. Ale w obozie o mapach nie ma mowy. (Nawiasem
—złodzieje wcale geografii nie znają, i są pewni, że północ jest tam, gdzie ostatnio w zborniaku było zimno). Jeszcze jedna zasada: trzeba znać lud, przez którego terytorium biegnie trasa ucieczki. Oto jeszcze jedna wskazówka metodyczna: ucieczkę trzeba przygotowywać *według planu*, ale

należy być gotowym, aby próbować ucieczki *przy pierwszej okazji*.

Oto przykład, co to znaczy — przy pierwszej Qkazji, przypadkowo. Pew-

133

nego dnia w Kengirze wszystkich ukaranych dyscyplinarnie wyprowadzono z obozowego więzienia do roboty: kazano im miesić *samem,* mieszankę gliny z sieczką, z której formuje się potem niepalone, azjatyckie cegły. Zerwał się nagle huragan z kurzawą, jak to często bywa w Kazachstanie, kiedy wszystko ciemnieje, słońce niknie z oczu, kurz i żwir garściami siepie prosto w oczy, że aż nie sposób ich otworzyć. Nikt nie był gotów do tak przypadkowej i raptownej ucieczki, ale Mikołaj Krykow podbiegł do drutów żony, przerzucił przez nie fufajkę, podrapał się cały, ale przelazł przez zasieki i zginął z oczu. Burza minęła. Fufajkę znaleziono na drutach i połapano się, że więzień uciekł. Wysłano w pogoń konny oddział, przy jeźdźcach biegły psy na długich smyczach' Ale zimny wicher zmiótł wszystkie ślady. Krykow przeczekał niebezpieczeństwo w kupie śmiecia. Lecz następnego dnia trzeba było przecież ruszać dalej! I samochody, wysłane w step, w końcu go znalazły.

Pierwszy obóz Tenno zwał się Noworudnoje, niedaleko Dżezkazganu. To ma być właśnie miejsce twojej zguby, stąd właśnie musisz uciekać, człowieku! Dokoła — pustynia, słone piachy i wydmy, tu i ówdzie przesy-pane darnią i krzakami cierniowymi, dobrymi tylko dla wielbłądów. Gdzieniegdzie koczują tu Kazachowie ze swoimi stadami — są też połacie zupełnie bezludne. Nie ma rzek, trafić na studnię jest tu rzeczą prawie niemożliwą. Najlepszy okres do ucieczki — to kwiecień, maj, bo miejscami trzymają się wtedy jeszcze kałuże stopniałego śniegu. Ale straż też o tym doskonale wie. Właśnie wtedy ulegają obostrzeniu rewizje przy wymarszu drużyn do pracy i nie pozwolą człowiekowi wynieść z żony ani kromki chleba na zapas, ani żadnej szmatki.

Jesienią tamtego właśnie — 1949 roku — trzech śmiałków - Słobodia-niuk, Bazyczenko i Kożyn — zdecydowali się na skok na południe. Sądzili, że doliną rzeki Sary-Su zdołają przedrzeć się w stronę Kzył-Ordy. Ale rzeka wyschła na całej długości. Gdy ich schwytano — konali już z pragnienia.

Dlatego właśnie Tenno, postanowił nie próbować ucieczki jesienią. Stale bywa w Dziale KO — nie jest przecież zbiegiem ani buntownikiem, należy do tych rozsądnych więźniów, którzy rokują nadzieję na *poprawę* po odsiedzeniu swoich dwudziestu pięciu latek. Pomaga, czym i gdzie tylko może, obiecuje zaopiekować się twórczością amatorską, uczyć chętnych akrobacji, mnemotechniki, chwilowo zaś, wertując wszystko, co jest pod ręką w KO, znajduje mizerną mapkę Kazachstanu, przeoczoną przez kuma. Owszem. Istnieje stary szlak, którym karawany ciągnęły na Dżusały, trzysta pięćdziesiąt kilometrów — chyba można jeszcze na nim znaleźć studnie. I na północ, do Iszymu jest czterysta kilometrów, są tam ponoć po drodze

134

pastwiska. Do jeziora Bałchaszjest zaś pięćset kilometrów zupełnej pustyni Bet-Pak-Dał. Za to w tym kierunku pewno pogoni nie poślą.

Takie więc są odległości. Taki jest wybór...

Jakie też pomysły przychodzą do głowy kandydatowi na zbiega, jeśli jest spostrzegawczy! Od czasu do czasu przyjeżdża do obozu samochód asenizacyjny — beczka z kichą. Otwór tej kichy jest szeroki, Tenno spokojnie mógłby wcisnąć się do środka, stanąć potem we wnętrzu cysterny, mocno pochylony — i niechby później szofer nabrał płynnych fekalii, byle nie do pełna. Człowiek cały się upaćka, może po drodze zachłysnąć się, utonąć, udusić, ale wszystko to nie wydaje się Tenno takim obrzydlistwem, jak rabskie odsiadywanie swojej kary. Sam siebie sprawdza — czy jesteś na to gotów? Jestem gotów. No, a kierowca? To pospolitak z przepustką, krótkoterminowy. Nie, to nie ten człowiek, co trzeba. Nie zaryzykuje swojej przepustki, żeby pomóc drugiemu. Ma psychologię rozpowszechnioną w obozach pracy poprawczej: kto pomaga drugiemu — ten dureń.

W ciągu tej zimy Tenno układa plan i dobiera sobie czterech towarzyszy. Ale podczas gdy ciągną się drobiazgowe i zgodne z tym planem przygotowania — Tenno zostaje któregoś dnia nagle posłany na nowy obiekt — do kamieniołomów. Dopiero co otwarto je w pagórkowatej okolicy i z obozu ich nie widać. Nie ma tam jeszcze ani wież, ani żony: kilka pali, parę rządków drutu kolczastego. W pewnym miejscu jest w drutach dziura — to ma być „brama". Sześciu konwojentów pilnuje tej żonki z zewnątrz i to bez żadnych wieżyczek.

A dalej, hen — step kwietniowy, ruń jeszcze zielona, żarzą się w niej tulipany, tulipany! Serce zbiega nie może znieść tych tulipanów i tego słońca kwietniowego! Może to właśnie jest ta Okazja!... Pókiś jeszcze nie-podejrzany, póki cię nie wpakowano do reżymki — powinieneś właśnie wiać, wiać!

Tenno znalazł już w tym czasie wielu znajomych w obozie i teraz szybko dobrał sobie trzech do czwórki: Misza Hajdarow (służył w sowieckiej morskiej piechocie w Północnej Korei, miał sprawę w trybunale wojskowym, więc przekroczył 38 równoleżnik: ale Amerykanie, nie chcąc psuć tradycyjnych, dobrosąsiedzkich stosunków, odesłali go z powrotem, ć w i a r a); Jaździk, kierowca, Polak z armii Andersa (gdy chce pokrótce opowiedzieć swój życiorys, pokazuje buty nie do pary i tak powiada: „jeden but mam od Hitlera, drugi od Stalina«); i jeszcze pewien kolejarz z Kujbyszewa, Sergiusz.

Ciężarówka przywiozła wreszcie partię prawdziwych słupów i drutu kolczastego dla ogrodzenia przyszłej żony — akurat przed samą przerwą na obiad. Drużyna Tenno — zakochana wprost w pracy katorżniczej, pragnąc

135

zwłaszcza ogrodzić żonę czym prędzej — zabrała się dobrowolnie do rozładowania ciężarówki w czasie przerwy. Wleźli do nadwozia. Ale że była to jednak pora obiadu — grzebali się tam dość niemrawo i rozglądali się pilnie. Kierowca poszedł sobie. Reszta więźniów wylegiwała się byle gdzie na słoneczku.

Uciekać, czy może nie? Nic ze sobą nie wzięli: ani noża, ani wyposażenia, ani zapasów, ani planu. Zresztą, jeśli jest samochód, to Tenno już wie, bo mapkę przestudiował: prosto do Dzeżdy, a stamtąd — w stronę Ułutau. Wiara wzięła na kieł: to jest okazja! Okazja!

W stronę „wrót", gdzie stoi strażnik, droga biegnie zboczem w dół. Dalej — skręca za pagórek. Jeżeli ruszyć z kopyta, to nie zdążą wziąć na cel. I nie rzucą się w pogoń, toż strażnicy nie opuszczą swoich posterunków!

Wyładowali już wszystko, a przerwa jeszcze trwa. Przy kierownicy siąść ma Jaździk. Zeskoczył na ziemię, pokręcił się koło wozu, tamci trzej leniwi rozciągnęli się na dnie nadwozia, już ich nie widać, może nawet nie wszyscy strażnicy zauważyli, gdzie się właściwie podzieli. Jaździk sprowadza kierowcę: rozładowaliśmy bez przestoju, to dajże teraz zapalić. Zakurzyli po skręcie. No, w drogę! Szofer wsiadł do kabinki, ale nie ma zapłonu, silnik nie chce zaskoczyć, jak na złość. Tych trzech w nadwoziu nie zna planu Jaździka i myśli, że wszystko trzasło). Jaździk łapie korbę i zaczyna kręcić — ręczne zapalanie też nie pomaga. Jaździk siedzi w kabinie. I silnik od razu w ryk! I samochód już toczy się po pochyłości wprost na strażnika u wrót! (Później Jaździk opowie, że — dla szofera — zamykał kranik dopływu paliwa, dla siebie zdążył go odkręcić). Kierowca nie gonił auta, był przekonany, że Jaździk zahamuje. Ale wóz wyjechał już za bramę całym pędem.

„Stój!" i znowu — „stój!". Samochód rwie naprzód. Wystrzały — z początku strażnicy strzelają w powietrze, już za bardzo to wszystko wygląda na omyłkę. Zresztą, może strzelają też do samochodu, zbiegowie nie wiedzą, bo leżą za burtami. Zakręt. Już chroni ich pagórek, już strzały niestraszne. Tych trzech w nadwoziu jeszcze nie śmie podnieść głów. Wyboje, jazda na łeb, na szyję. I nagle — stop! i Jaździk krzyczy z rozpaczą — to nie ta droga! — stoją przed bramą kopalni, przed nimi — ich własna żona, znane wieżyczki.

Wystrzały. Nadbiega eskorta. Zbiegowie zeskakują na ziemię, padają plackiem i zakrywają głowy rękoma. Konwojenci zaś tratują ich nogami, .starając się kopnąć właśnie w głowę, w ucho, w skroń albo przetrącić grzbiet.

Ogólnoludzkie, zbawcze prawo: „nie bije się leżącego" - nie ma za-

136

stosowania na stalinowskiej katordze. U nas właśnie leżącego się bije. A do stojącego się strzela.

Ale w trakcie przesłuchania wyjaśnia się, że *nie było żadnej próby ucieczki!* A tak! Chłopaki zgodnie oznajmili, że drzemali w samochodzie, że samochód zaczął nagle toczyć się po zboczu, że usłyszeli strzały, ale za późno było na wyskakiwanie, toż wpadliby pod kule. A Jaździk? Niedoświadczony, nie potrafi dać sobie rady z wozem. Ale przecież nie w głąb stepu pojechał, tylko do sąsiedniej kopalni.

Skończyło się na pobiciu'.

Tymczasem szły dalej przygotowania do *planowej* ucieczki. Majstrują sobie kompas: słoik z przejrzystego plastiku, na denku rysują podziałkę. Na drewnianym pływaku osadzają kawałek namagnesowanego drutu. Nalewają do słoika wody. I już mają busolę. Wodę do picia trzymać będą w dętce samochodowej; w drodze można ją przewiesić przez ramię, jak zwinięty płaszcz. Wszystkie te rzeczy (zapasy i odzież) wynoszą stopniowo na teren tartaku, z którego będą uciekać: chowają je w jamie opodal piły mechanicznej. Pewien szofer — wolniak sprzedaje im dętkę. Leży

w jamie, już pełna wody. Czasami pociągi z drzewem przyjeżdżają w nocy, dlatego też w żonie roboczej zostaje na noc brygada przeładunkowa. Właśnie wtedy trzeba próbować ucieczki. Jakiś wolny w zamian za wyniesione z żony mieszkalnej obozowe prześcieradło (taki to nasz handel, takie ceny!) przeciął już dwa dolne rzędy drutów zaraz obok pilni. Lada noc ma nadejść transport drzewa! A jednak znalazł się więzień, Kazach, który wypatrzył, gdzie chowają swoje zapasy i doniósł władzom.

Aresztowanie, bicie, przesłuchanie. Tenno ma już w ankiecie za wiele „przypadków", dziwnie przypominających próby ucieczki. Odsyłają ich do więzienia w Kengirze. Tenno stoi twarzą do ściany, z rękoma skutymi za plecami, kapitan z Działu KO przechodzi właśnie przez salę, zatrzymuje się powiada:

— Ech, ty! Ech, ty-ty! I taki typ teatrem się parał! Amatorskim!

Najbardziej go dziwi, że zbiegostwem splamił się obozowy propagator kultury. W dniach występu dostawał przecież dodatkową porcję kaszy — a próbował ucieczki! Czego jeszcze mu tu było brak?...

9 maja 1950, w piątą rocznicę Zwycięstwa, Gieorgij Tenno, frontowiec,

[1] Misza Hajdarow miał nieraz jeszcze brać udział w ucieczkach. Nawet za Chruszczo-wa, gdy reżym stal się o wiele łagodniejszy, a zbiegowie przycupnęli, oczekując legalnej amnestii, Misza z kilkoma przyjaciółmi, nie mającymi żadnej nadziei na darowanie win, spróbowali ucieczki z centralnego obozu karnego Andzioba-307: koledzy rzucili pod wieżyczki granaty własnego wyrobu, aby odwrócić uwagę od grupy zbiegów, która tymczasem ciachała toporami zasieki żony. Ale zatrzymano ich ogniem z automatów.

137

marynarz — wkroczył do celi sławetnego więzienia w Kengirze. W celi, zupełnie prawie mrocznej, z małym okienkiem pod sufitem, brak powietrza, za to wcale nie brak pluskiew, całe ściany pokryte są krwawymi resztkami rozgniecionych insektów. Tego lata upał dochodzi do 40-50 stopni, wszyscy leżą nago. Nieco chłodniej jest tylko w dole, pod narami, ale którejś nocy dwóch więźniów wyskakuje stamtąd z krzykiem: obsiadły ich jadowite falangi.

W kengirskiej ciupie siedzi jednak dobrane towarzystwo, zwiezione tu ze wszystkich możliwych obozów. W każdej celi — sami doświadczeni zbiegowie, rzadka kolekcja orłów. Nareszcie Tenno znalazł się w towarzystwie zbiegów z przekonania!

Siedzi tu także kapitan Iwan Worobiow, Bohater Związku Radzieckiego. Był podczas wojny partyzantem, działał w okolicach Pskowa. Jest to człowiek stanowczy, o nieugiętym charakterze. Ma za sobą kupę nieudanych ucieczek i nieraz jeszcze będzie ich próbował. Na swoje nieszczęście — nie potrafi przybrać więziennych barw ochronnych — knajackiego fasonu, bardzo przydatnego przy ucieczce. Zachował frontową otwartość i prostotę, ma tu swojego szefa sztabu, rysują razem plany topograficzne i głośno naradzają się leżąc na narach. Worobiow nie potrafi nauczyć się obozowej skrytości i przebiegłości — dlatego zawsze staje się ofiarę donosicieli.

Zaświtał im w głowie taki plan: przy porannym rozdawaniu posiłków wciągnąć do celi strażnika, jeśli będzie sam. Jego kluczami otworzyć wszystkie inne cele. Przypuścić masowy atak do wrót więzienia, opanować wartownię. Wartowników wziąć w z a k ł a d i wyrwać się poza żonę — gdy zapadnie noc. Gdy zaczęto zaś wyprowadzać ich do roboty na budowę osiedla mieszkalnego — zaczęli planować ucieczkę przez sieć kanalizacyjną.

Ale żaden z tych planów nie doczekał się urzeczywistnienia. Tegoż lata całe to dobrane towarzystwo zakuto w kajdany i odstawiono — nie wiedzieć czemu — do Spasska. Tam wtrącono ich do osobnego, dobrze strzeżonego baraku. Już czwartej nocy nasi zbiegowie z przekonania wyłamali kraty w oknie, wyszli na dziedziniec gospodarczy, uchechłali psa i po dachu zaczęli już przechodzić do ogromnej żony ogólnej. Ale blaszany dach zaczął zgrzytać pod ich nogami i wśród nocnej ciszy zabrzmiało to, jak łoskot gromów. Straż uderzyła na alarm. Jednakże, kiedy wartownicy wpadli do ich baraku, cała kompania spała sobie spokojnie, a krata okienna była znów na swoim miejscu. Coś się widać strażnikom przyśniło.

Ale nie było im sądzone długo siedzieć w Spassku! Niestety, los wciąż gna coraz dalej w świat zbiega z przekonania, niczym latającego Holendra.

138

I jeżeli nie uciekł sam, to i tak zawsze go gdzieś daleko wywiozą. Teraz całą tę zgraną paczkę przerzucają w kajdanach do więzienia w Ekibastuzie. Tu sadzają ich razem z dwoma miejscowymi zbiegami, którzy też mieli pecha
—Briuchinem i Mutianowem.

Jako grzeszników, jako dyscyplinarnie karanych posyłają ich do robót w wapienniku. Niegaszone wapno muszą wyładowywać z ciężarówek

- i gasi się ono w ich oczach, w ustach, w krtaniach. Gdy pracują przy

piecach wapiennych, biały pył wżera się w ich spocone, gołe ciała. To codzienne zatruwanie — wymyślone po to, by skłonić ich do poprawy

- każe im tylko przyśpieszyć ucieczkę.

Plan sam się naprasza: wapno zwozi się samochodami, uciekać trzeba więc też samochodem. Trzeba tylko przebić się przez zasieki, są tu wciąż jeszcze prowizoryczne, z drutu. Wybrać trzeba wóz z możliwie największym zapasem benzyny. Wśród zbiegów jest Kola Żdanok, szofer-as, który razem z Tenno uczestniczył w nieudanej próbie ucieczki z tartaku. Już się umówili, że to on poprowadzi samochód. Umówili się, ale Worobiow jest zbyt apodyktyczny, zbyt czynny, aby zaufać komukolwiek innemu. I kiedy odpowiedni samochód jest już *przyskrzyniony* (do szoferki wdziera się z dwóch stron dwóch zeków z nożami i pobladły kierowca musi chcąc nie chcąc brać udział w akcji, unieruchomiony między nimi) — funkcję kierowcy nagle obejmuje sam Worobiow.

Liczone minuty! Wszyscy powinni teraz wskoczyć do nadwozia i próbować przebicia się przez druty. Tenno prosi: „Ustąp, Iwanie!". Ale Iwan Worobiow nie umie ustępować. Nie wierząc, by potrafił dać sobie radę, Tenno i Żdanok nie wsiadają do wozu. Zbiegów jest teraz tylko trójka: Worobiow, Sałopajew i

Martirosow. Nagle wyskakuje jak Filip z konopi niejaki Riedkin, matematyk, inteligent, dziwadło, żaden tam notoryczny zbieg, dostał się do „reżymki" za całkiem inne sprawki. Ale był akurat blisko, zobaczył, co się święci, poszedł po rozum do głowy, już wdrapuje się na wóz, piastując w ręku kawałek nie chleba nawet, tylko mydła:

— Na wolność? To ja też jadę!

(Jakby kto wskoczył do autobusu i zapytał: „Dojadę na Wólkę?").

Na pierwszym biegu, od razu skręcając w bok, samochód ruszył tak, aby pierwsze druty zasieków zerwać kantem zderzaka, następne wpiją się w maskę, w szoferkę. W pierwszym paśmie wóz przechodzi między słupami, ale na głównej linii zasieków nie sposób słupów wyminąć, bo rozstawione są szachownicą. I wóz na pierwszym biegu zwala słup.

Konwojenci na wieżyczkach zdrętwieli: właśnie przed paru dniami na jednym z sąsiednich obiektów zdarzyło się, że pijany szofer obalił słup w żonie zasieków. Może ten też się upił? Strażnicy namyślają się tak przez

139

piętnaście sekund. Ale w tym czasie słup leży, wóz przechodzi na drugi bieg i nie dziurawiąc sobie opon przetacza się po zwojach kolczastego drutu. Więc strzelać! Ale nie ma jak: dla ochrony ochraniaczy przed lutymi, ka-zachskimi wiatrami, wieżyczki obito od zewnątrz dechami. Można strzelać tylko w głąb żony i wzdłuż drutów. Już stracili z oczu samochód, który mknie w step, wzbijając kłęby kurzu. Z wieżyczek palą salwami Panu Bogu w okna.

Droga wolna na wsze strony, step — jak stół. Za pięć minut wóz Wo-robiowa byłby już za widnokręgiem, ale *zupełny przypadek* sprawił, że właśnie jechała do bazy na remont karetka więzienna dywizjonu eskorty. Kierowca szybko zabiera konwojentów, zawraca i pędzi za Worobiowem. I po 20 minutach ucieczka się kończy. Zbiegowie — poturbowani, wśród nich — Riedkin, ów matematyk, czujący teraz w roztłuczonych ustach ciepły i słony smak wolności — brną, słaniając się, do więzienia obozowego[2].

Jednakże cały obóz powtarzał tylko jedno! — uciekli na medal, a złapano ich tylko przypadkiem. Mija jeszcze dziesięć dni — i oto Batanow, były elew szkoły lotniczej z dwoma przyjaciółmi powtarza ten sam manewr na innym obiekcie. Przebija się samochodem przez zasieki i gna! Ale gna nie tą drogą, co trzeba, myli się w pośpiechu i wpada pod obstrzał z wieżyczki wapiennika. Opona pęka, wóz staje. Konwojenci z automatami otaczają samochód. „Wyłazić!". Wychodzić, czy lepiej czekać, aż cię wyciągną za kark? Jeden z tej trójki — Pasiecznik — posłuchał rozkazu, wyszedł z szoferki i natychmiast padł przeszyty wściekłą serią z automatu.

W ciągu jednego miesiąca — już trzykrotnie próbowano uciekać z Eki-bastuza, a Tenno ani, ani! Zadręcza się, zawistnie powtarza w wyobraźni wszystkie kroki uciekających. Z boku lepiej widać wszystkie błędy i zawsze wydaje się, że potrafiłbyś ich uniknąć. Na przykład — gdyby przy kierownicy wozu zasiadł Żdanok a nie Worobiow, myśli sobie Tenno, można by uciec nawet przed karetką. Ledwie ci

złapano Worobiowa, a Tenno i Żdanok już siedli do narad, już zorganizowali nową ucieczkę.

Żdanok jest czarniawy, drobny, bardzo ruchliwy, tego i owego nauczył się od szemranych. Ma 26 lat, pochodzi z Białej Rusi, wywieziono go

[2] W listopadzie 1951 roku Worobiow jeszcze raz spróbuje ucieczki z roboczej żony na wiatrołomach, w towarzystwie jeszcze pięciu więźniów. Po kilku dniach zostają złapani. Chodziły też wieści, że w 1953 roku Worobiow był jednym z *głównych podżegaczy* podczas powstania w Norylsku i że wtrącono go za to do Aleksandrowskiego więzienia centralnego.

Opis życia tego niezwykłego człowieka, biorący pod uwagę także jego przedwojenną młodość i partyzanckie koleje — wiele zapewne mógłby nam wyjaśnić w dziejach naszej epoki.

140

stamtąd do Niemiec, pracował tam jako szofer, skazany jest na 25 lat. Gdy się podnieci, to tak promienieje energią, że cały spala się w pracy, w bójce, w biegu, w byle jakim ferworze. Oczywiście brak mu cierpliwości, ale Ten-no ma jej za to dosyć.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują im, że uciekać trzeba z wapienników. Jeśli nie od razu samochodem — to postarać się o wóz tuż za żoną. Ale nim oper albo konwój zdoła wpaść na trop ich planów — bierze Tenno na stronę brygadzista karnej grupy, Loszka Cygan (Nawruzow), *suka*, niepozorny, ale budzący powszechny strach, który zamordował w obozach dziesiątki ludzi (mógł bez trudu zabić człowieka dla zdobycia paczki żywnościowej, czy nawet pudełka papierosów) — i takiego oto udziela mu ostrzeżenia:

— Sam uciekałem i lubię takich, co uciekają. Popatrz, całe ciało mam posiekane kulami, to za ucieczkę do tajgi. Wiem, że też chciałeś nawiać z Worobiowem. Ale nie wiej z żony roboczej: tu ja odpowiadam i mnie za to znów posadzą.

A więc — lubi takich, co uciekają, ale siebie jeszcze więcej. Loszka Cygan zadowolony jest ze swego suczego życia i nie pozwoli go tknąć. Oto knajackie „przywiązanie do wolności".

A może ucieczki ekibastuzkie stają się naprawdę nieco monotonne? Wszyscy uciekają z zon roboczych, nikt — z mieszkalnej. A gdyby spróbować? Żona mieszkalna też tylko drutem opleciona, jeszcze nie ma żadnego płotu.

Któregoś dnia na wapienniku ktoś zepsuł przewody elektrycznego mieszadła do roztworu. Wezwano więc elektromontera — wolniaka. Tenno pomaga mu przy naprawie, Żdanok tymczasem kradnie mu z kieszeni cęgi do cięcia drutu. Monter spostrzega brak cążków. Zameldować eskorcie? Nie można, bo sam pójdziesz pod sąd za niedbalstwo. Prosi knajaków, by oddali narzędzie. Knajacy mówią, że nie mieli w ręku.

Tam też, na wapienniku, przyszli zbiegowie szykują sobie dwa noże: dłutami wycinają klingi z łopat, w kuźni ostrzą je i hartują, w glinianych foremkach odlewają cynowe rękojeści. Tenno ma nóż „turecki", który nie tylko jest poręczny i przydatny,

ale nadto swoim błyszczącym ostrzem potrafi napędzić strachu, a o to chodzi. Przecież nie chcą mordować, tylko nastraszyć.

I cęgi, i noże przynieśli do żony mieszkalnej w nogawkach kalesonów, przymocowane troczkami do nóg w kostce. Ukryli je w podmurówce baraku.

Kluczową pozycję w planie ucieczki znów zajmuje świetlica KO. Podczas gdy trwają zabiegi koło wyrobu i przenosu broni, Tenno melduje władzom,

141

że razem ze Żdankiem chce uczestniczyć w koncercie amatorskim (a w Eki-bastuzie nie było jeszcze ani jednego — ten byłby pierwszy i zwierzchność niecierpliwie nań czeka: dobrze byłoby go **odfajkować** w spisie inicjatyw, które oderwać mają zeków od buntowniczych myśli, zresztą — dla nich też to będzie zabawa, kiedy więźniowie po piętnastu godzinach katorżniczej harówki zaczną jeszcze wygłupiać się na estradzie). I oto Tenno ze Żdankiem dostają zezwolenie na wychodzenie z baraku karnego wieczorem, już po zamknięciu, kiedy żona jeszcze dwie godziny czuwa i rusza się. Brodzą więc po całej nieznanej im jeszcze żonie, ustalają jak i kiedy zmieniają się posterunki na wieżach, gdzie najłatwiej można by przyczołgać się do drutów. W samej świetlicy Tenno uważnie czyta pawłodarską gazetkę okręgową, stara się zapamiętać nazwy rejonów, sowchozów, nazwiska przewodniczących, sekretarzy, najrozmaitszych przodowników pracy.

Oznajmia nareszcie, że ma być grany skecz i że potrzebne im są do tego cywilne ubrania z depozytu oraz jakaś teczka. (Teczka — to element oryginalny! Teczka nada zbiegowi wygląd iście dyrektorski!). Dostaje pozwolenie! Tenno ma jeszcze na sobie marynarski kitel, teraz wdziewa swój islandzki garnitur, pamiątkę z okresu rejsów konwojowych. Żdanok bierze z walizki przyjaciela szary, belgijski garnitur, tak elegancki, że aż dziwnie patrzeć na coś takiego w obozie. Pewien Łotysz ma w depozycie teczkę. To także zdobywają. I — prawdziwe czapki, zamiast obozowych oprychówek.

Ale skecz wymaga tylu prób, że nie starcza czasu, nawet gdy się siedzi do ostatniego dzwonka. Dlatego też jedną noc, a później drugą, Tenno i Żdanok spędzają w baraku świetlicy. Wcale nie wracając na noc do swego baraku karnego — i starając się przyzwyczaić strażników do takiego stanu rzeczy. (Przecież trzeba w trakcie ucieczki mieć przewagę choćby jednej nocy!).

Kiedy uciekać najlepiej? Podczas apelu wieczornego. Kiedy pod barakami stoi kolejka, wszyscy strażnicy pochłonięci są kontrolą wchodzących, zresztą więźniowie też patrzą tylko na zbawcze drzwi! Ach, jak najprędzej iść spać! Nikt nie zwraca uwagi na resztę żony. Dni coraz krótsze, trzeba więc trafić na taki, kiedy apel wieczorny wypadnie po zachodzie słońca, o szarej godzinie, ale jeszcze *przed* wyprowadzeniem psów, strzegących żony od zewnątrz. Trzeba wykorzystać te pięćdziesięć cennych minut, bo wyczołgać się pod nosem psów — to rzecz niemożliwa.

Wybrali w końcu niedzielę 17 września. Tak najlepiej — miała to być niedziela bez pracy, wieczorem człowiek będzie wypoczęty, będzie też czas na wszystkie przygotowania.

Ostatnia noc przed ucieczką! — Bo to człowiek uśnie? Tyle myśli... Czy jutro będą jeszcze żyli o tej porze?... Może i nie. No, a tutaj? — śmierć na

142

raty, śmierć dochodiagi na śmietnisku?... Nie, byle nie przyzwyczaicie do myśli — że jesteś niewolnikiem.

Oto naczelne pytanie: czy jesteś gotów zginąć? Jestem gotów. A więc —gotów jesteś również do ucieczki.

Słoneczna niedziela. Ze względu na sławetny skecz obu przyjaciół wypuszczono na cały dzień z karnego baraku. I nagle — w KO wręczają Tenno list od matki. Tak, właśnie tego dnia. Ileż takich dziwnych trafów przydarza się więźniom? List jest smutny, ale może właśnie utwierdzić zbiega w jego zamiarach: żona w więzieniu, nie dojechała jeszcze do obozu. A szwagierka żąda od brata, by zerwał ze zdrajcą ojczyzny.

Bardzo źle z zapasami: w karnym baraku siedzą, jak pod szkłem — gromadzenie chleba wywołać może podejrzenia. Ale liczą na skok szybki i daleki, chcą od razu w osadzie podobozowej poderwać samochód. Jednakże matka przysłała nie tylko list, lecz również paczkę, jest to jakby błogosławieństwo na drogę. Glukoza w tabletkach, makaron, płatki owsiane —wszystko to do teczki, na drogę. Papierosy — wymienić na machorkę. A jedno pudełko zanieść felczerowi, do ambulatorium. I już Żdanok figu ruje w spisie zwolnionych na ten dzień od pracy. A to się przyda. Bo Tenno już biegnie do świetlicy z meldunkiem: mój Żdanok rozchorował się, dziś wieczór próby nie będzie, nie przyjdziemy. A w baraku powiada nadzorcy i Loszce Cyganowi: dziś wieczór znów mamy próbę, nie będzie nas w ba raku. Tak więc, nie będą ich wyglądać ani tu, ani tam.

Trzeba jeszcze zdobyć „Katiuszę"* — krzesiwo z knotem w metalowej rurce, to lepsze w drodze od zapałek. Jeszcze wypada w ostatniej chwili odwiedzić Hafiza w jego baraku. Doświadczony zbieg, Tatar Hafiz miał początkowo uciekać razem z nimi. Ale później doszedł do wniosku, że za stary jest na tego rodzaju imprezę i że będzie im ciężarem. Teraz — jest jedynym w obozie człowiekiem, który zna ich zamiary. Podwinął nogi, siedzi na swojej wagonetce. Szepcze: „Dopomóż warn Bóg! Będę się za was modlił". Coś tam jeszcze mruczy po tatarsku i wodzi dłońmi po twarzy.

W Ekibastuzie siedzi jeszcze stary kolega Tenno z celi na Łubiance, Iwan Kowierczenko. Nic nie wie o planowanej ucieczce — ale to dobry kolega. Jest prydurkiem, ma własną kabinkę: to w niej zbiegowie przechowują wszystkie swoje rekwizyty do skeczu. Naturalnie — u niego właśnie wypada ugotować i z nim zjeść kaszę, którą mama przysłała w swojej biednej paczuszce. Zaparza się również c z y f i r. Siedzą więc przy tej małej uczcie —dwoje gości i gospodarz; ich rozbiera gorączka, jego — niedzielna bło-

Tak nazywano w czasie wojny ruchome wyrzutnie rakiet bojowych,

ustawione na ciężarówkach. Niemcy nazywali je „Stalinorgel".

143

gość i nagle widzą, że za oknem przenoszą od wartowni do kostnicy ledwie ociosaną skrzynię trumienną.

To dla Pasiecznika, zastrzelonego przed paru dniami.

_ Xak; tak — wzdycha Kowierczenko — ucieczki nie mają sensu...

(Gdyby wiedział...).

Kowierczenko, jakby czymś tknięty, wstaje, bierze pod pachę ich wypa-kowaną teczkę, nadyma się, kroczy z partesu i powiada surowo:

— W śledztwie wszystko już wyszło na jaw! Szykujecie się do ucieczki!

To takie żarty. Zachciało mu się zabawić w śledczego...

Dobry kawał.

(A niewykluczone, że to właśnie aluzyjka: domyślam się wszystkiego, kochani. Ale — nie radzę!?).

Gdy Kowierczenko wychodzi z kabinki, zbiegowie wdziewają garnitury pod swoje obozowe szatki. Numery spruwają i przyczepiają na patataj, tak, żeby zerwać jednym ruchem. Czapki bez numerów — do teki.

Niedziela ma się ku końcowi. Złociste słońce zachodzi. Rosły, powolny Tenno i mały, ruchliwy Żdanok narzucają jeszcze fufajki na ramiona, zabierają tekę (już nikogo w obozie nie dziwi ten ich cudacki wygląd) i udają się na swój punkt startowy — między barakami, na trawce, niedaleko zasieków, na wprost wieżyczki. Tylko ten strażnik ich widzi. Rozścielają fufajki, kładą się na nich i zaczynają grać w szachy, niech się wartownik przyzwyczai. Zmierzcha się. Sygnał na apel. Więźniowie ściągają pod baraki. Już nadciąga zmrok i strażnik na wieżyczce nie widzi chyba tych dwóch, co zostali w trawie. Niedługo kończy się jego wachta, rozgląda się już z mniejszą uwagą. Zawsze łatwiej uciekać, kiedy wartownik jest już znużony.

Postanowili ciąć drut nie byle gdzie, wzdłuż linii, tylko bezpośrednio pod samą wieżyczką. Na pewno strażnik bardziej na żonę się gapi, niż sobie pod nogi patrzy.

Łby trzymają nisko, nad samą trawą, a jeszcze ten zmrok — nie widzą więc trasy, którą za chwilę mają się czołgać. Ale nieźle się jej przyjrzeli zawczasu: zaraz za drutami żony wykopany jest dół dla nowego słupa, można będzie w nim ukryć się na minutę; dalej leży parę kup szlaki; za nimi ciągnie się droga od osiedla eskorty do osady.

Zaplanowali sobie, żeby zaraz w osadzie zdobyć samochód. Zatrzymać jakikolwiek i zagabnąć szofera obcesowo: chcesz zarobić? Musimy ze starego Ekibastuza podrzucić tu dwie skrzynki wódki. Pokażcie mi szoferaka, co nie lubi wypić! Potargować się trochę: starczy pół litra?, litr? Dobra, jedź, tylko ani pary z gęby! A później, po drodze, już w szoferce — zająć się nim bliżej, wywieźć w step i tam zostawić, związanego. Potem — całym

144

pędem nad Irtysz, tam zostawić wóz, przepłynąć Irtysz łodzią i dalej, na Omsk!

Mrok zgęstniał jeszcze trochę. Na wieżyczkach zapaliły się reflektory, wycelowane w głąb żony, nasi zbiegowie leżą zaś w ślepym polu, w cieniu. Teraz czas! Niedługo zmiana warty, zaraz wyprowadzą też psy.

W barakach zapłonęły żarówki, widać jak więźniowie wracają po apelu. Dobrze w baraku? A dobrze, ciepło, przytulnie... A tu zaraz rypną do człowieka z automatu i to jeszcze do leżącego, rozciągniętego w trawie.

Żeby tylko pod wieżyczką nie zakaszleć, nie kichnąć.

No, czuj duch, psy łańcuchowe! Pilnować — to rzecz wasza a uciekać — nasza!

A dalej niech sam Tenno opowiada.

Archipelag Gułag

## VII B I A Ł Y KOTEK

(O p o w i e ś ć G i e o r g i j a T e n n o)

„Jestem starszy od Koli, mam więc iść pierwszy. Nóż w pochwie u pasa, cęgi w ręku. — Kiedy przejdę pierwszą linię zasieków — staraj się mnie dogonić!

Czołgam się, jak zwiadowca. Człowiek chciałby wcisnąć się w grunt. Zerknąć na wartownika, czy lepiej nie? Jak zerknę — to spojrzę śmierci w oczy. Albo, co gorsza — przyciągnę jego wzrok. Tak chce się zerknąć! Lepiej nie patrzeć.

Wciąż bliżej wieżyczki. Bliżej śmierci. Oczekiwanie na serię z automatu. O, teraz zacznie prać... A może świetnie mnie widzi, stoi sobie i pastwi się wzrokiem,

pozwala, żebym jeszcze chwilę tu się grzebał?...

Oto już pierwsza linia. Obróciłem się na wznak, wzdłuż drutów. Przecinam pierwszy rząd, świsnął, jak zwolniona nagle cięciwa. Zaraz gruchnie seria... Nie. Może tylko ja słyszałem ten dźwięk. Ależ donośny! Tnę drugi rząd. Przecinam trzeci. Przerzucam na tamtą stronę jedną nogę, potem drugą. Nogawka zaczepiła się o kolce leżącego drutu. Odczepiam ją.

Pełznę przez pas bronowanego gruntu. Słyszę z tyłu szurgot. To Kola, ale czemu tak głośno? Ach, to jego teka orze ziemię.

I już druty głównej linii. Przeplecione są na krzyż. Przecinam kilka po kolei. Teraz zasieki spiralne. Przecinam zwoje u góry i u dołu, przejście się otwiera. Teraz główne pasmo. Chyba wcale nie dyszymy. Tamten wciąż nie strzela. Czy myśli o domu? Albo dziś wybiera się na tańce?

Podrzut — i już jestem w żonie zewnętrznej. Jeszcze jeden zasiek spiralny. Wikłam się w drutach. Tnę. Byle nie zapomnieć: tu jeszcze muszą być zewnętrzne, pochyłe rzędy drutów. O, już są. Cięcie.

146

Teraz pełznę w stronę jamy. Jest tu, naprawdę. Staczam się na dno. Za mną — Kola. Ziajemy chwilę jak psy. Dalej stąd, duchem! — Zaraz zmiana warty! I wilczury!

Wyłazimy z jamy, czołgamy się w stronę kup żużlu. Nawet teraz nie możemy zdobyć się na spojrzenie wstecz. Kola rwie się naprzód, na czworakach. Łapię go za połę.

Przeczołgaliśmy się przez pierwszą kupę szlaki. Wtykam cążki pod kamień.

Nie strzelają.

Ruszyliśmy szerokim, kołyszącym się krokiem, bez pośpiechu — teraz musimy udawać zwolnionych spod konwoju, ich barak stoi niedaleko. Zrywamy numery z piersi, z kolan — i nagle z ciemności wyłania się jakichś dwóch, idących prosto na nas. Idą z garnizonu do osady. To żołnierze. A na plecach mamy jeszcze nasze numery!! Powiadam głośno:

— Wania! A może uzbiera się na pół litra?

Kroczymy wolno, jeszcze nie drogą tylko obok. Wolno, wolniutko, idziemy, żeby to oni nas minęli, ale przecie — wprost na nich i twarzy nie chowamy. Przechodzą jakieś dwa metry od nas. Aby nie zobaczyli naszych pleców, omal się nie zatrzymujemy. Tamci idą, gadają o swoich sprawach — a my zrywamy sobie wzajem numery z grzbietów!

Nie zauważyli nas?!... Jesteśmy więc wolni?! Teraz — do osady po wóz.

Ale co to?? Nad obozem wzbija się rakieta! druga! trzecia!

Ucieczka wykryta! Zaraz zacznie się pogoń! Uciekać!!

Co tam nasze obserwacje, rozmyślania, kalkulacje — cały nasz wspaniały plan nagle runął. Rzucamy się w głąb stepu — po prostu jak najdalej od obozu! Biegniemy bez tchu, potykamy się o każdą kępę, zrywamy się i biegniemy dalej — a tam śmigają i śmigają rakiety! Z dziejów poprzednich ucieczek już to wiemy: zaraz puszczą się

w konny pościg, z psami na długich smyczach, we wsze strony, po stepie. I całą bezcenną machorkę wysypujemy na nasze ślady — sadząc wielkimi skokami'

Teraz wypada wielkim łukiem ominąć osadę. Zabiera to wiele czasu i sił. Kola zaczyna mieć wątpliwość, czy aby dobrze prowadzę. To przykre.

[1] Znów przypadek! Czysty przypadek, jak z tą karetką więzienną! Niemożliwy do przewidzenia przypadek! Na każdym kroku czyhają na nas przypadki, pomyślne i złośliwe. Ale dopiero w trakcie ucieczki, w szczytowym momencie ryzyka poznajemy ich pełny ciężar. Zupełnym więc przypadkiem, trzy, czy pięć minut po wyczołganiu się Tenno i Żdan-ka, zgasło w żonie światło i tylko dlatego z wieżyczek zaczęto palić w powietrze rakietami świetlnymi, których wtedy sporo jeszcze było w Ekibastuzie. Gdyby nasi uciekinierzy wypełzli o te pięć minut później — zaalarmowani konwojenci mogliby zobaczyć ich i zastrzelić. Gdyby zaś zbiegowie potrafili pomiarkować się pod tym rozjarzonym nagle niebem, gdyby rozejrzeli się spokojnie, konstatując, że zgasły nagle lampy i reflektory w zo-

147

Ale oto już nasyp kolei do Pawłodaru. Ucieszyliśmy się. Z nasypu Eki-bastuz zaskakuje ogromem, ilością rozsypanych świateł; nigdy nie wydawał nam się tak duży.

Znaleźliśmy kij. Trzymając go za końce ruszyliśmy przed siebie krocząc po szynach. Gdy pociąg przejedzie — żaden pies śladów nie wyniucha.

Przeszliśmy tak ze trzysta metrów — i zaraz wielkimi susami w step.

1 dopiero teraz odetchnęliśmy lżej, całkiem inaczej niż dotąd! Mieliśmy ochotę śpiewać, krzyczeć! Padliśmy sobie w objęcia. Jesteśmy naprawdę wolni! I co za duma, że porwaliśmy się na ucieczkę, że zwialiśmy, że wyprowadziliśmy w pole całą tę sforę.

I chociaż nasza wola poddana jest dopiero pierwszym próbom, wydaje się nam, że najgorsze mamy już z głowy.

Niebo — czyste. Jest ciemne i pełne gwiazd, w obozie tego nie widać, bo latarnie. Orientując się wedle Gwiazdy Polarnej idziemy na północny wschód. Później skręcimy trochę w prawo i znajdziemy się nad Irtyszem. Trzeba tej pierwszej nocy odsądzić się jak najdalej. Tym samym — poszerzy się do kwadratu ta żona, którą ścigający będą musieli promieniście spenetrować. Nucąc wesołe piosenki w paru językach idziemy szybko, jakieś osiem kilometrów na godzinę. Ale dwumiesięczna poniewierka po więzieniach sprawiła, że nasze nogi oduczyły się chodzenia i teraz prędko się męczą. (Przewidzieliśmy to, dlatego planowaliśmy ucieczkę samochodem!). Raz po raz więc kładziemy się, zadzierając nogi i opierając je o stopy kolegi. Potem znów idziemy i znów się kładziemy.

Strasznie długo nie chce zgasnąć łuna Ekibastuza za naszymi plecami. Idziemy już kilka godzin, a łuna wciąż rozpiera się na niebie.

Ale oto kończy się noc, wschód blednie. Iść we dnie równym jak stół, otwartym stepem nie możemy. Nawet ukryć się tu teraz nie jest łatwo: ani krzaków, ani porządnej, wysokiej trawy, a szukać nas będą również samoloty, to wiadomo.

Tak więc — wykopujemy jamkę nożami (grunt twardy, kamienisty, trudne to kopanie) szeroką na pół metra, głęboką na jakieś trzydzieści centymetrów — kładziemy się w niej na waleta i rzucamy na wierzch suche żółte gałęzie krzaków cierniowych. Teraz dobrze by pospać, nabrać sił? Ale nie można tu zasnąć. To bezsilne wylegiwanie się przez ponad pół doby trudniejsze jest od nocnego marszu. Wrześniowe słońce ostro przypieka, prze-

nie, to poszliby dalej spokojnie, znaleźliby samochód i cala ich ucieczka miałaby zupełnie inny przebieg. Ale w ich sytuacji — dopiero co się urwali, a już cała żona grzmi i pała — nie mogło być nawet dwu zdań, że to właśnie z ich powodu, że to chodzi o ich głowy. Krótkie, bardzo krótkie spięcie — i już ich plany ucieczki wzięły w łeb, już sprawa przybrała inny obrót.

148

cięż nie mamy nic do picia i znikąd wody nie wydostaniemy. Wykroczyliśmy przeciw ważnej regule ucieczek w Kazachstanie: uciekać wiosną, nie jesienią. Aleśmy przecież myśleli — że samochodem... Męczymy się tak od piątej rano do ósmej wieczór! Ciało zdrętwiało — ale nie wolno nam zmieniać pozycji: wstanie człowiek, rozsunie gałęzie, to go konny zobaczy z daleka. Każdy z nas ma na sobie po dwa ubrania, upał dręczy. Trudno.

I dopiero z nadejściem zmroku zaczyna się życie dla zbiega. Wstajemy. A stać trudno, nogi bolą. Ruszamy powolutku, niech się rozchodzą. Sił też mało: przez cały dzień mieliśmy w gębie tylko po garści suchego makaronu i po jednej czy drugiej tabletce glukozy. Pić!

Nawet w ciemnościach nocnych trzeba się dziś wystrzegać zasadzki: przecież na pewno wszędzie już dotarły radiogramy, we wsze strony rozjechały się samochody, a już najgęściej w stronę Omska. Ciekawe: jak i kiedy znaleźli nasze fufajki, zostawione na trawie — i szachy? Zobaczą numery i od razu się zorientują, że to my, więc nie będą musieli robić apelu według listy[2].

Robimy nie więcej niż 4 kilometry na godzinę. Bolą nogi. Często kładziemy się dla odpoczynku. Pić, pić! W ciągu tej nocy przeszliśmy nie więcej niż 20 kilometrów. I znów trzeba szukać kryjówki, żeby przypaść do ziemi na całodzienną udrękę.

Czy to nie budynek aby? Czołgamy się ostrożnie w jego stronę. A to tylko kupy głazów, rzecz w stepie dziwna. Czy nie znajdzie się trochę wody w jakiej niecce kamiennej? Ani-ani... Pod jednym z głazów jest szczelina. Może nora skalna. Trudno było tam się wcisnąć. A jeżeli na łeb się zwali? — zgniecie człowieka na placek i przy tym nie od razu. Nadciąga poranny chłód. Do świtu nikt z nas nie zasnął. Po wschodzie słońca — również. Zaczęliśmy toczyć noże o kamień, bo stępiły się przy kopaniu wczorajszej jamy.

Koło południa słychać skrzyp kół. Niedobrze, jesteśmy za blisko drogi. Tuż obok nas przejeżdża jakiś Kazach, coś do siebie mamrocze. Wyskoczyć, dopędzić go, może ma trochę wody! Ale jak tu go dopaść, skorośmy się nie rozejrzeli po okolicy, może nas kto zobaczy?

[2] A było to tak: rano wiara znalazła nasze fufajki, zimne, więc oczywiście — leżące tu od wieczora. Chłopaki zdarli numery i b u c h n ę l i watówki; bo watówka to jest dobra rzecz! Nadzorcy nawet tego nie zauważyli. A przecięte druty zobaczyli dopiero w poniedziałek pod wieczór. I właśnie według listy sprawdzać musieli przez cały dzień, kto właściwie nawiał. Zbiegowie mogli więc jeszcze następnego ranka spokojnie iść i jechać przed siebie! Oto skutki tego, że nie domyślili się, co w istocie znaczyły rakiety.

Gdy zaś w obozie stopniowo wyszły na jaw fakty, związane z niedzielną ucieczką, wszyscy przypomnieli sobie, że światło zgasło i nic, tylko powtarzali: ,,Ale spryciarze! Ale cwaniaki! Tylko jak im się udało wyłączyć prąd?". I wszyscy długo byli przekonani, że wygaszenie świateł pomogło zbiegom.

149

Żeby tylko pościg nie wybrał tej samej drogi! Wyłazimy ostrożnie, roz glądamy się, przycupnięci. O jakieś sto metrów stoi zrujnowany budynek. Czołgamy się. Nie ma nikogo. Studnia!! Nie, dół zasypany gruzem. W ką cie stara słoma na sieczkę. Tu sobie przylgniemy? Kładziemy się. Ale zasnąć nie można. Oj-oj — pchły! Pchły! Rety, jakie wielkie, jak ich dużo! Jasnopopielaty, belgijski żakiet Koli poczerniał od pcheł. Wytrząsamy je, czyścimy się. Pełzniemy z powrotem, do skalnej nory. Czas mija, siły z nas uchodzą, a nie ruszamy się.

0 zmroku wstajemy. Jesteśmy już bardzo osłabieni. Pragnienie nas drę czy. Postanawiamy skręcić jeszcze bardziej na prawo, żeby prędzej dojść do Irtysza. Noc jasna, niebo czarne, wygwieżdżone. Konstelacje Pegaza i Perseusza układają mi się w kształt byka, rwącego przed siebie z pochylonym łbem, jakby nam chciał dać dobry przykład. Więc i my idziemy naprzód.

1 nagle, przed nami wzbijają się w górę rakiety! Na wprost nas! Dręt wiejemy. Widzimy nasyp kolejowy. Tory. Nie widać już rakiet, ale wzdłuż torów biegnie poziomy słup światła z reflektora i przesuwa się to na prawo, to na lewo. To jedzie drezyna, omiata step reflektorem. Jak nas teraz zauważą, to koniec... Co za głupia bezradność: leżeć w zasięgu światła i czekać póki cię nie wymacają.

Pojechała dalej, nie wpadliśmy im w oko. Zrywamy się na równe nogi. Nie jesteśmy w stanie biec, ale chcemy jak najszybciej oddalić się od nasypu. Niebo tymczasem zaciąga się chmurami i — klucząc po ciemku, tracimy w końcu orientację. Teraz brniemy prawie na chybił-trafił. I małośmy uszli i może cała ta droga — to niepotrzebne zygzaki.

Pusta noc!... Znów się rozwidnia. Znów łamiemy gałęzie cierniowe. Bie-' rzemy się do kopania jamy — a tu nie ma już mojego tureckiego noża. Zgubiłem go, gdym leżał albo kiedym rzucił się od nasypu precz. Nieszczęście! Jak tu być zbiegiem bez noża? Kopiemy jamkę nożem Koli.

Jedno tylko dobrze się składa: przepowiedziano mi, że zginę nim skończę

trzydzieści osiem lat życia. Trudno by marynarz nie wierzył w przesądy. Ale dziś, dwunastego września, są właśnie moje urodziny. Dziś kończę trzydzieści dziewięć lat. Przepowiednia już się do mnie nie odnosi. Będę żyć!

I znów leżymy w jamce — bez ruchu, bez wody... Gdybyśmy mogli chociaż zasnąć! Ale nie śpimy: gdyby też deszcz lunął!, ale pogoda tu stała. Niedobrze. To już prawie *trzy* doby jak uciekamy — a nie zdobyliśmy nawet kropli wody, żywimy się zaś pięcioma tabletkami glukozy dziennie. I uszliśmy też niewiele — może tylko trzecią część drogi do Irtysza. A druż-kowie nasi w obozie cieszą się, że zielony prokurator dał nam wolność...

Zmierzch. Gwiazdy. Kurs na północny wschód. Brniemy z trudem. Na-

150

gle słyszymy z oddali krzyk: „Wa-wa-wa-wa!". Ki diabeł? Doświadczony zbieg Kudła powiadał nam, że w ten sposób Kazachowie odpędzają wilki od owiec.

Owca! Owca by się nam zdała! — to by nas uratowało. Na wolności nigdy by na myśl nie przyszło nam, aby pić krew. A tu gdyby tylko ją dostać!

Skradamy się. Pełzniemy. Zabudowania. Nie widać studni. Wchodzić do domu — to niebezpieczne. Spotkanie z ludźmi — to ślad. Skradamy się w stronę zagrody dla bydła, ulepionej z samanu. Tak, to krzyczała Kazasz-ka, odpędzała wilki. Przewalamy się do środka, tam gdzie murek najniższy, nóż mam w zębach. Polujemy na owce czołgając się. Słyszę, jak dyszą tuż obok. Ale uciekają przed nami, uciekają! (Później, w swoim czasie, ktoś mi wyjaśni, na czym polega omyłka. Czołgaliśmy się — i owce wzięły nas za zwierzęta. Trzeba zaś było podchodzić do nich po gospodarsku, bez pochylania się — i owce same wpadłyby w ręce).

Kobieta czuje, że coś tu się dzieje, podchodzi bliżej, wpatruje się w mrok. Nie ma z sobą ognia, ale podnosi grudkę ziemi, trafia w Kolę. Idzie prosto na mnie, oj, bo zaraz nogą kopnie! Zobaczyła albo wyczuła, bo krzyknęła: „Szajtan, szajtan!" — i dalej w nogi, a my też, dalej przez murek, padamy na ziemię. Męskie głosy. Spokojnie. Mówią na pewno: przywidziało się babie.

Porażka. Cóż, wleczemy się dalej.

Sylwetka konia. Jaki piękny. Przydałby się. Podchodzimy bliżej. Stoi. Poklepaliśmy go po szyi, zarzuciliśmy na nią pasek. Żdanka jakoś podsadziłem, ale sam nie mogę wleźć, tak osłabłem. Czepiam się rękoma, przypadam brzuchem do końskiego grzbietu, ale nie potrafię podrzucić nogi. Koń wierci się już. Wyrwał się wreszcie, poniósł Żdanka, zwalił go na ziemię. Dobrze, że chociaż pasek został mu w ręku, przynajmniej śladu nie zostawił, wszystkiemu będzie znowu szatan winien.

Ostatnie siły straciliśmy przy tym koniu. Jeszcze trudniej teraz iść. A tu zaczyna się orna jakaś ziemia, bruzdy. Nogi więzną, ledwie je wleczemy za sobą. Ale to ma też dobrą stronę: gdzie grunt orny, tam ludzie, tam woda.

Idziemy, brniemy, wleczemy się. Znów jakieś sylwetki. Znów padamy na ziemię, znów się czołgamy. Stóg siana! Dobra. Łąki? Już Irtysz blisko? (Jeszcze daleko, och, jak daleko...) Ostatkiem sił wdrapujemy się na stóg, zakopujemy się w sianie.

Wtedy to zasnęliśmy wreszcie i spaliśmy cały dzień. Razem z bezsenną nocą przed

ucieczką — mieliśmy już na karku pięć nocy bez snu.

Budzimy się pod koniec dnia, słyszymy turkot ciągnika. Ostrożnie roz-grzebujemy siano, rozglądamy się ledwie wychylając głowy. Podjechały dwa ciągniki. Chatka. Już się zmierzcha.

151

Jest pomysł! — Ciągnik ma wodę w chłodnicy! Traktorzyści pójdą spać, a my się napijemy.

Zapadł zmrok. Skończyła się *czwarta doba* naszej ucieczki. Czołgamy się w stronę ciągników.

Dobrze przynajmniej, że psów nie ma. Cicho otwieramy kurek, łykamy psiakrew, woda z naftą. Trzeba wypluć, tego nie da się pić.

Wszystko tu mają — wodę, jedzenie. A gdyby tak zapukać, poprosić w imię Boże: „Bracia! Ludzie! Pomóżcie! Toć my niewolnicy, myśmy z więzienia uciekli!". Jak to bywało w wieku dziewiętnastym — na skraj leśnych duktów w tajdze wynoszono garnki z kaszą, jakieś stare ubrania, trochę miedziaków.

> ■ *.../ chłopaki poczciwe dawały mi chleb A wiejskie chłopaki — machorkę**

Akurat! Nie te czasy. Zdradzą człowieka. Albo z przekonania, albo dla ratowania własnej skóry. Bo za *współudział* im też można wlepić ć w i a r ę. W minionym stuleciu nie doszli jeszcze do tego, by za chleb i wodę dawać polityczny paragraf.

I wleczemy się dalej. Wleczemy się całą noc. Wyglądamy Irtysza, szukamy oznak bliskości ludzi. Ale ich nie widać. Popędzamy się wzajem bez litości. Nad ranem znów trafiamy na stóg. Włazimy nań z jeszcze większą trudnością niż wczoraj. Ale zasypiamy. I to dobre.

Budzimy się pod wieczór. Ile właściwie człowiek może wytrzymać? To *już piąta* doba. Nieopodal stoi jurta, a obok niej szopa na żerdziach. Skradamy się cichutko. Pod szopą — rozsypane ziarno. Sypiemy je do teki, do pełna, próbujemy żuć, ale nie sposób, tak wyschło w gębie. Nagle — widzimy obok szopy wielki samowar, na dwa wiadra. Podpełzamy bliżej. Odkręcamy kurek — pustka, bierz to licho. Gdyśmy go przechylili — starczyło jednak po dwa łyki na każdego.

Znów się wleczemy. Wleczemy się, wciąż padając na pysk. Na leżąco — łatwiej się dyszy. Już nie umiemy się podnieść z pozycji na wznak. Aby wstać, trzeba naprzód przekręcić się na brzuch. Później — na czworaki. I dopiero potem — stanąć na nierówne, chwiejące się nogi. I już tchu brak. Wychudliśmy tak, że brzuch omal nie przyrasta do krzyża. Do rana przeszliśmy jakieś dwieście metrów, nie więcej. 1 kładziemy się.

Tego ranka nie znaleźliśmy już stogu. Na stoku pagórka — nora wykopana przez jakieś zwierzę. Przeleżeliśmy w niej cały dzień, ale zasnąć nie

Ze słynnej pieśni Dymitra Dawydowa „Slawnoje morie, swiaszczennyj Bajkal..." gdzie mowa o ucieczce więźnia z carskiej katorgi.

152
potrafiliśmy; tego dnia zrobiło się chłodniej, od ziemi też szedł już ziąb. A może krew już w nas stygnie? Próbujemy żuć makaron.

I nagle widzę, że zbliża się tyraliera! Czerwone pagony! Jesteśmy otoczeni! Żdanok mnie uspokaja — zdaje ci się, to tylko tabun koński.

A tak, przewidziało mi się. Znów leżymy. Dzień ciągnie się bez końca. Nagle pojawił się szakal — wracał do swojej nory. Położyliśmy mu trochę makafonu i odczołgaliśmy się na bok, żeby go przynęcić, zarżnąć i zjeść. Ale nie dał się nabrać. Poszedł sobie.

Przed nami — stok pagórka, niżej — solniska po wyschłym jeziorze, na drugim jego brzegu — jurta, dymek z niej bije.

Minęła *szósta doba*. Już doszliśmy do granic wytrzymałości: zwidują się siepacze, język już skołczał — mocz oddajemy rzadko, jest w nim krew. Nie! Tej nocy trzeba za wszelką cenę zdobyć wodę i żarcie! Pójdziemy do tej jurty. Jeśli odmówią — siłą weźmiemy. Przypomniało mi się: stary zbieg. Grzegorz Kudła, miał takie zawołanie: *tnachmaderal* (to znaczy — dość tego gadania, łap, co możesz!). Takeśmy się też z Kolą umówili: ja też zawołam „machmadera"!

W ciemnościach cicho podchodzimy do jurty. Jest studnia. Ale nie ma wiadra. Niedaleko — pal, przy nim uwiązany koń pod siodłem. Zajrzeliśmy przez szczelinę w drzwiach. Pali się kaganek — przy nim — Kazach z żoną i dziećmi. Pukamy. Wchodzimy do środka. Powiadam: „Salam!". A już mi wiruje w oczach, boję się, że upadnę. Wewnątrz jurty — kolisty, niski stół (jeszcze niższy od naszych stolików *modernę)* dla beszbarmaku*. Pod ścianami ławki, kryte kilimami. Duży, okuty sepet.

Kazach burknął coś w odpowiedzi i patrzy spode łba, wcale nam nierad. Aby dodać sobie powagi (zresztą — trzeba szczędzić siły) usiadłem sobie, a tekę położyłem na stole. „Jestem naczelnikiem ekspedycji geologicznej, a to mój kierowca. Samochód stoi w stepie z całą załogą, jakieś pięć-siedem kilometrów stąd: chłodnica cieknie, nie ma wody. Nie jedliśmy już ze trzy doby, głodniśmy, jak licho. Daj nam pić i jeść, aksakale**. I znasz może jaką radę?".

Ale Kazach tylko oczy mruży, nie kwapi się, by nas poczęstować. Pyta: „A jak się pan naczelnik nazywa?".

Wszystko zawczasu sobie ułożyłem, ale głowa już trzeszczy i zapomniałem. Odpowiadam „Iwanów — (pewno, że głupio). — No, sprzedaj trochę jedzenia, aksakale!" — „Nie. Idź do sąsiada". — „A daleko?". — „Dwa kilometry".

Potrawa środkowoazjatycka z duszonej baraniny, jarzyn i kaszy. Aksakal — starzec, zwrot używany dla okazania szacunku.

153

Ja siedzę sobie godnie, ale Kola tymczasem nie wytrzymał, porwał ze stołu podpłomyk, odgryzł kęs i zabrał się do żucia, ale widać, że mu ciężko idzie. I nagle Kazach — łaps za knut z krótką rączką, z długim, plecionym

rzemieniem i podnosi go do Żdanka. Zrywam się zza stołu: „Ech, ludzie!
To ma być gościnność!?". Ale Kazach trzonkiem knuta żga Żdanka w plecy i wygania z jurty. Wołam więc: „Machmadera!". Biorę nóż i rozkazuję Kazachowi: „Do kąta! Kłaść się!". Kazach rzuca się w kąt, za zasłonę. Ja za nim — może ma tam strzelbę, zaraz wystrzeli? A ten uwalił się na łóżko i wrzeszczy: „Bierz wszystko, nic nikomu nie powiem!". Ach. ty sukinsynu! Na co mi twoje „wszystko"? Czemuś mi od razu nie dał tej odrobiny, o którą żem cię prosił?

Kazaszka wrzeszczy, dzieci płaczą. „Powiedz żonie, że nikogo nie tkniemy. Chce nam się jeść, to wszystko. Mięso jest?". — „Jok!", mówi i rozkłada ramiona, że niby nie ma. A Kola już myszkuje w jurcie i wyciąga ze spiżarni wędzonego barana. „Czemuś łgał?!". Kola wyciąga miednicę pełną baur-saków — słonych pączków z ciasta, smażonego w tłuszczu. Tu dopiero się skapowałem, że na stole stoi w czarkach kumys! Zaczęliśmy z Kolą pić. Z każdym łykiem wracało w nas życie! Co za napój! Uderzyło nam do głów, ale jakoś lekko się zrobiło, sił od razu przybyło. Kola nabrał apetytu. Pokazuje mi pieniądze. Okazało się, że znalazł dwadzieścia osiem rubli. Na pewno ma tu gdzieś dużo więcej. Ale pakujemy tylko barana do worka, do drugiego sypiemy baursaki, podpłomyki, jakieś cukierki, brudne, słodkie poduszeczki. Kola znajduje jeszcze misę z baranimi skwarkami. Nóż — o, to nam potrzebne. Staramy się niczego nie zapomnieć: drewniane łyżki, sól. Wynoszę z jurty worek. Wracam po wiadro z wodą. Zabieram koc, zapasową uzdę, knut (warknął gniewnie, nie podoba mu się to: toć chciał nas ścigać).

„Ucz się bracie — mówię do Kazacha — zapamiętaj sobie: gości trzeba lepiej traktować! Gdybyś nam dał wiadro wody i jakieś dziesięć baur-saków, to byśmy ci się nisko pokłonili. Porządnym ludziom nie robimy krzywdy. A teraz — nasze ostatnie żądanie: leż i nie śmiej się ruszyć! Nie jesteśmy tutaj sami!".

Zostawiam Kolę pod drzwiami i wynoszę resztę zdobyczy tam, gdzie przytroczony jest koń. Trzeba się śpieszyć, ale staram się kalkulować spokojnie. Podprowadzam konia do studni, poję go. Koń będzie miał sporo roboty — ma cwałować całą noc, przy tym obładowany. Sam też piję ze studni, Kola tak samo. Zbliża się stadko gęsi. Kola ma słabość do drobiu. „Gąski też bierzemy? — powiada — ukręcić im łebki?". — „Za dużo hałasu. Nie traćmy ani chwili". Wydłużyłem strzemiona, podciągnąłem popręgi. Z tyłu, za siodłem Żdanok położył koc i wsiadł na konia, stając na ocembrowaniu studni. Wiadro z wodą trzymał w ręku. Przerzuciliśmy

* 154

koniowi przez kark dwa związane worki. Skoczyłem na siodło. Orientując się według gwiazd ruszyliśmy na wschód, żeby zbić pogoń z tropu.

Koń nie bardzo rad, że dźwiga dwóch jeźdźców, przy tym obcych, stara się zawrócić ku domowi, wciąż się ogląda. No, jakoś daliśmy sobie z nim rady. Poszedł szparko. Gdzieś z boku widać ognie. Objeżdżamy je, Kola nuci mi do ucha:

*Jak to dobrze mknąć przez świat*
*Gdzie wolności wieje wiatr*
*Byle tylko koń byl rączy u kowboja!*

„A widziałem jeszcze — powiada — jego paszport". -- „Czemuś nie wziął? Paszport zawsze się przyda, żeby chociaż okładkę pokazać z daleka".

Po drodze, nie złażąc wcale z konia, często piliśmy wodę, jedliśmy do woli. Całkiem inny duch w nas wstąpił! Żeby tylko tej nocy jak najdalej się odsądzić!

Naraz słyszymy jazgot ptasi. Jezioro. Objeżdżać je? To przedłuży drogę, szkoda czasu. Kola zlazł z konia i poprowadził go za cugle podmokłą ścieżką. Jakoś przebrnęliśmy. Ale tu spostrzegliśmy, że koca brak. Ześliznął się... *Zostawiliśmy ślad...*

To bardzo źle. Od jurty Kazacha — drogi prowadzą we wsze strony, ale jeśli teraz poprowadzić prostą od jurty do miejsca, gdzie leży koc — to zaraz będzie wiadomo, dokąd zmierzamy. Wracać, szukać? Nie ma na to czasu. Zresztą — tak, czy owak domyśla się, że idziemy na północ.

Rozbijamy biwak. Trzymam konia za uzdę. Jemy — pijemy, jemy — pijemy bez końca. Wody zostało tylko na dnie wiadra, aż dziwne.

Kurs — na północ. Cwałem koń już nie skoczy, ale szybkim truchtem zawsze zrobi osiem — dziesięć kilometrów na godzinę. Jeśli w ciągu sześciu nocy odwaliliśmy półtorej setki kilometrów, to tej nocy na pewno jeszcze ze siedemdziesiąt. Gdybyśmy nie musieli kluczyć — już bylibyśmy nad Irtyszem.

Świta. A nie ma gdzie się schronić. Jedziemy dalej, choć to już niebezpieczne. Widzimy głęboką rozpadlinę, coś w rodzaju dużego dołu. Schodzimy na jej dno razem z koniem, jeszcze tam jemy i pijemy. I nagle — słyszymy blisko warkot motocykla. To źle, to znaczy, że droga tuż-tuż. Trzeba szukać pewniejszej kryjówki. Wychylamy się z jamy, rozglądamy się. Nie tak daleko — martwy, opustoszały auł[3]. Tam też się kryjemy.

[3] Niemało jest w Kazachstanie takich aułów, to pamiątka z lat 1930-1933. Z początku przeczesał ten kraj Budionny ze swoją armią konną (dotychczas w całym Kazachstanie nie znajdzie się ani jednego kołchozu jego imienia, ani jednego portretu), a później — głód.

155

Rozkładamy się na popas wśród trzech ścian zrujnowanego domostwa. Wiążę koniowi przednie nogi i puszczam go, aby się pasł.

Ale nie mogliśmy zasnąć tego dnia — Kazach i koc! Zostawiliśmy *ślad.*

Wieczór. *Siódma doba.* Koń pasie się dość daleko. Poszliśmy po niego — skacze, wyrywa się. Kola chwycił go za grzywę — koń szarpnął i Kola rąbnął o ziemię. Węzeł na przednich nogach rozplata! się • — i teraz już nikt konia nie złapie. Łaziliśmy za nim trzy godziny, zmordowaliśmy się, staraliśmy się zapędzić go w ruiny, zarzucaliśmy mu pętlę rzemienną, ale nie dał się złapać. Gryźliśmy wargi z żalu, ale trzeba było dać spokój. Ostała się nam tylko uzda i knut.

Jeszcześmy coś zjedli, dopiliśmy wody. Zadaliśmy sobie na plecy worki z żywnością, puste wiadro. Ruszyliśmy przed siebie. Sił mamy dziś dosyć.

Następny ranek zaskoczył nas obok drogi tak, że trzeba było szukać kryjówki w

byle krzakach. Nie najlepszy punkt, znaleźć nas tu — to nic trudnego. Tego dnia też nie bardzo nam się spało.

Pod koniec *ósmej* doby poszliśmy dalej. Szliśmy jakiś czas — i nagle poczuliśmy pod nogami miękki grunt: znów orna ziemia. Idziemy dalej i widzimy światła reflektorów samochodowych: szosa. Ostrożnie!

Mleczny księżyc wśród chmur. Znowu wymarły, zrujnowany auł kazach-ski. A jeszcze dalej — jakieś sioło, ogienki, śpiew ukraiński donosi się z daleka:

*Rozpriahajte, chłopcy, koni...*

Worki zwaliliśmy w ruinach, sami zaś z wiadrem i teką poszliśmy do wsi. Noże w kieszeniach. Oto już pierwszy dom — słychać kwik prosiaka. Gdyby spotkać takiego w stepie, ależ by było! Jedzie w naszą stronę chłopak na rowerze. ,,Słuchaj, bratku, jesteśmy samochodem, wieziemy ziarno, gdzie by tu nabrać wody do chłodnicy?". Chłopak zlazł z roweru, poprowadził nas, pokazał. Za opłotkami — koryto; pewno poi się w nim bydło. Zaczerpnęliśmy do wiadra, niesiemy, nie pijemy. Dopiero jak rozeszliśmy się z chłopakiem w różne strony — dalej pić, a pić! Pół wiadra wypiliśmy duszkiem (pragnienie mieliśmy wyjątkowe, bo byliśmy najedzeni).

Ciągnie trochę wilgocią. I pod nogami najprawdziwsza trawa. Pewno rzeka blisko! Trzeba jej poszukać. Idziemy, szukamy. Trawa coraz wyższa, krzaki. lwy! Zawsze rosną blisko wody! Trzciny! I woda!!... Na pewno to stare koryto Irtysza. No, teraz dopiero — umyć się, wypluskać! Dwumetrowe trzciny! Kaczki zrywają się spod nóg. Swoboda! Tu już nie zginiemy!

I oto żołądek — po raz pierwszy od ośmiu dni — dał o sobie znać. Po ośmiu dniach bezczynności — to była męka. Nie mniejsza chyba od porodu...

156

A później — znów do tego spustoszonego aułu. Rozpaliliśmy tam ognisko pośród murów, gotowaliśmy wędzoną baraninę. Lepiej by skorzystać z takiej nocy, odwalić kawałek drogi, ale chce się jeść, a jeść, tacyśmy nienasyceni. Nażarliśmy się tak, że z trudem się ruszamy. Radzi z siebie, poszliśmy wreszcie na poszukiwanie Irtyszu. Ale tu zdarzyło się coś, czego przez osiem dni nie było nigdy — sprzeczka. Ja mówię, że w prawo, Żdanok — że w lewo. Ja tam czuję doskonale że trzeba w prawo, a ten nie chce nawet słyszeć! Kłótnia — oto jeszcze jedno niebezpieczeństwo grożące zbiegom. Ktoś musi mieć prawo do ostatniego słowa, do decyzji. ■ Bo inaczej — kłopot gotowy. Poszedłem w prawo, aby postawić na swoim. Przeszedłem ze sto metrów: nie słychać, żeby kto szedł za mną. Ciężar na sercu. Przecież nie wolno nam się rozstawać. Siadłem pod stogiem, oglądam się... Kola nadchodzi! Uściskałem go. Poszliśmy przed siebie, jakby nigdy nic.

Przybyło krzaków, a z nimi — chłodu. Zbliżamy się do urwiska. W dole pluska, szemrze i dyszy ku nam błogością Irtysz... Co za radość!

Znajdujemy stóg siana, gramolimy się nań. Gdzieżeście, psy?, gdzie nas szukacie? Hej! I zapadamy w kamienny sen.

Budzi nas wystrzał! i psie ujadanie!...

Jak to? To już koniec? Już naszą wolność diabli wzięli?

Przycupnęliśmy, ani pary z gęby. Ktoś przeszedł obok stogu. I pies za nim. Ależ to myśliwy!... Zasypiamy więc jeszcze mocniej — na cały dzień. I tak mija *dziewiąta* nasza doba.

O zmierzchu ruszyliśmy wzdłuż brzegu. Zostawiliśmy ślad przed trzema dniami. Teraz psiarnia szuka nas tylko nad Irtyszem. Zrozumieli, że idziemy w stronę rzeki. Jeśli więc pójdziemy wzdłuż brzegu — łatwo możemy się nadziać. Zresztą — nie bardzo nam się tak idzie: trzeba obchodzić zatoki, starorzecza, zarośla trzcinowe. Łódź nam potrzebna!

Widać ognik; jakiś dom stoi na brzegu. Plusk wioseł, potem cisza. Zaczailiśmy się i czekamy. Czekamy długo. Ogienek zgasł. Skradamy się po cichutku. Łódka! I para wioseł. Dobra nasza! (A przecież właściciel mógł je zabrać ze sobą). „Dalej w morze, Bóg pomoże!". Toć to mój żywioł! ,Z początku — cicho, bez hałasu. Gdy dopłynęliśmy do głównego nurtu — naległem na wiosła.

Płyniemy Irtyszem w dół — a na spotkanie wypływa zza zakrętu rozjarzony światłami parowiec. Ile tych świateł! Wszystkie okna się świecą, cały statek dygoce w rytm muzyki tanecznej. Beztroscy, wolni pasażerowie, nie mając pojęcia o własnym szczęściu, nie rozumiejąc, co to znaczy być wolnym — przechadzają się po pokładzie, siedzą w restauracji. A jak przytulnie jest w ich kajutach!...

157

Płyniemy tak ponad dwadzieścia kilometrów. Prowizja nam się kończy. Dobrze by uzupełnić zapasy, póki jeszcze noc na dworze. Słychać pianie koguta Dobijamy do brzegu i po cichu włazimy na skarpę. Chałupa. Nie ma psa. Obórka. Krowa z cielęciem. Kury. Żdanok lubi drób. Ale powiadam mu: bierzemy cielę! Odwiązujemy je. Żdanok prowadzi cielątko do łódki, a ja najdosłowniej w świecie zacieram ślady: inaczej nasza sfora połapie się, że urządziliśmy sobie spływ Irtyszem.

Aż do brzegu cielę szło spokojnie, ale do łódki włeźć nie chciało, zaparło się. Z ledwością wciągnęliśmy je wspólnymi siłami i zwalili na dno łódki. Żdanok siadł na nim, przyciska je własnym zadem, ja wiosłuję — byle kawałek odpłynąć, to je później zaszlachtujemy. Ale to był błąd — płynąć z żywym cielęciem. Cielę zaczęło się wyrywać, zrzuciło z siebie Żdanka i już przednimi kopytami wylazło za burtę.

Alarm! Żdanok trzyma cielę za ogon, ja trzymam Żdanka, łódź przechyla się na bok i woda już wlewa się przez burtę. Tego tylko nam brakowało! Utonąć w Irtyszu! Jakoś udało się nam wciągnąć to cielę. Ale łódź nabrała sporo wody, trzeba się jej pozbyć. Tylko jeszcze przedtem trzeba zarżnąć cielę! Biorę nóż i chcę przeciąć mu takie ścięgno na karku, gdzieś tu powinno być. Cielę dygoce, wyrywa się, całe w nerwach — ja też. Staram się przerżnąć mu gardło — znów nic z tego. Beczy, wierzga, lada chwila wyskoczy z łódki — albo nas utopi. Chce żyć! — ale my też chcemy!!

Szlachtuję je i nie mogę dorżnąć. Cielak całą łódkę rozkołysał, matoł bezmyślny, zaraz przez niego utoniemy! Za to więc, że taki głupi, że się tak opiera — bierze mnie

na niego taka złość — nienawidzę tego bydlątka, jak najgorszego wroga i zaczynam go z tej złości dźgać nożem byle gdzie, byle jak! Krew z niego tryska prosto na nas. Cielak beczy głośno — wyrywa się, Żdanok zaciska mu pysk, łódka się kołysze, ja zaś furt dźgam i dźgam. A przecież dawniej nawet myszki mi było żal, nawet robaczka! Teraz nie ma czasu na żale: albo on, albo my[4]!

Zamarł nareszcie. Zabraliśmy się co rychlej do wylewania wody — czerpaliśmy puszkami, w czworo rąk. I — do wioseł.

Prąd zniósł nas w boczny nurt. Przed nami wyspa. Dobrze by tu było znaleźć schronienie, toć ranek blisko. Łódkę — w szuwary, jak najgłębiej. Wyciągnęliśmy na brzeg cielaka i wszystkie nasze skarby, łódź przyrzuciliśmy jeszcze z wierzchu sitowiem. Niełatwo było windować cielę na stromy brzeg. A tam — trawa po pas. I las. Bajka! Od kilku lat mieszkaliśmy na pustyni, zapomnieliśmy już co to las, trawa, rzeka...

[4] Czy nie tak samo dzieje się z naszymi oprawcami? Gnębiąc nas — jeszcze nas za to nienawidzą!

158

Świta. Cielę ma pysk jakby pełen żalu. Ale dzięki niemu, dobrodziejowi naszemu, możemy pożyć sobie teraz na tej wyspie. Toczymy nóż odłamkiem pilnika z „Katiuszy". Nigdym jeszcze bydła nie skórował, ale wszystkiego trzeba się uczyć. Pruję podłużnie brzuch, podcinam brzegi skóry, wyjmuję patrochy. Rozpalamy ognisko w głębi lasu i warzymy na nim cielęcinę z płatkami owsianymi. Pełne wiadro.

Uczta! A najważniejsze — że spokojnie na duszy. A to dlatego, że jesteśmy na wyspie. Wyspa to ochrona przed złymi ludźmi. Są wśród ludzi przyzwoici faceci — ale — nie wiedzieć czemu — zbiegowie nie ich spotykają, tylko przeważnie tych złych.

Dzień jest słoneczny i upalny. Nie musimy spędzać go w szakalej norze. Trawa — gęsta i soczysta. Kto tratuje ją co dnia, ten nie wie, ile to warte — paść na trawę, poczuć ją pod pieTsiąrzanurzyć w niej twarz.

Wałęsamy się po wyspie. Wspominamy nasz niełatwy szlak i widzimy teraz sporo zdarzeń, nad którymi warto się pośmiać. Jak tam teraz czekają na premierę naszego skeczu. Jak też klną, jak tłumaczą się w zarządzie. Odgrywamy sobie te sceny. Ryczymy ze śmiechu!...

Zdzieramy korę z grubego pnia i wypalamy rozżarzonym drutem: ,,W tym miejscu, w październiku 1950 roku szukali ratunku i wolności ludzie niewinnie skazani na dożywotnią katorgę". Niech ten ślad zostanie. W takiej głuszy tropiciele nie będą mieć z niego pociechy, a ludzie już to sobie kiedyś przeczytają. Postanawiamy nigdzie się nie śpieszyć. Mamy tu właśnie to, co chcieliśmy zdobyć: wolność! (Gdy wreszcie dotrzemy do Omska albo do Moskwy, to chyba nie będziemy mieć jej więcej). Dńi są jeszcze słoneczne i ciepłe, powietrze czyste, pełno zieleni, człowiek wypoczywa. I mięsa dość. Tylko chleba nie ma, brak go bardzo.

I tak oto żyjemy sobie na wyspie prawie tydzień: od *dziesiątej* doby do *szesnastej*. W mateczniku klecimy sobie suchy szałas. Chłodnawo w nim nocami, fakt, ale dosypiamy we dnie. Przez wszystkie te dni grzejemy się na słoneczku. Dużo pijemy, chcemy napić się na zapas, na wielbłądzią modłę. Siedzimy sobie bez trosk i patrzymy zza gałęzi na życie — hen, na brzegu rzeki. Jeżdżą tam samochody. Kosi się tam trawę — już chyba druga kośba. Nikt do nas nie zagląda.

I raptem - - pewnego dnia, gdy drzemaliśmy w trawie korzystając z ostatnich słonecznych chwil, usłyszeliśmy na wyspie stukot topora. Rozglądamy się, i cóż widzimy? Całkiem niedaleko jakiś człowiek okrzesuje drzewa z suchych gałęzi i stopniowo zbliża się do nas.

W ciągu tych dwóch tygodni zarosłem strasznie, okropna ruda szczecina, bo też nie ma się czym golić, no — typowy zbieg. Żdanok ma zaś gołą twarz, nic mu nie rośnie — jak u dziecka. Dlatego też udałem, że śpię,

159

a jego posłałem na spotkanie drwala, żeby nie czekać. Miał podejść, poprosić o szczyptę tytoniu, powiedzieć, że jesteśmy turystami z Omska, zapytać skąd ten człowiek. A gdyby co — to ja już czuwam.

Kola poszedł, pogadał z facetem. Zapalili po skręcie. Okazało się — że to Kazach z sąsiedniego kołchozu. Ale później widzimy, że poszedł ku brzegowi — wsiadł do łódki i odpłynął, wcale nie zabierając swoich narą-banych gałęzi.

Co to ma znaczyć? Że śpieszy się, aby szybciej na nas donieść? (A może odwrotnie — to on się przestraszył, że doniesiemy na niego, a za samowolny wyrąb w państwowym lesie też przecież wyrok leci. Takie to nasze życie, że każdy każdego się boi). „A coś mu o nas powiedział?". — „Że jesteśmy alpiniści". I śmiech, i grzech — zawsze ten Żdanok coś nabroi. — „Toż mówiłem, że turyści! Skąd tu alpiniści na gładkim stepie?!".

Nie, nie wolno nam tu dłużej siedzieć! Koniec błogiego spokoju. Przenosimy wszystko do łódki i odbijamy. Chociaż to dzień, ale trzeba ruszać w drogę. Kola położył się na dnie łódki, nie widać go, wydaje się — że lo jeden jakiś płynie. Wiosłuję samym środkiem Irtysza.

Pierwszy problem — to zakup chleba. Drugi — że muszę koniecznie się ogolić — bo zaczynają się gęsto zaludnione okolice. Liczymy na to, że w Omsku uda się sprzedać jedno z naszych ubrań i wsiąść do pociągu parę przystanków za miastem.

Przed wieczorem docieramy do chaty dróżnika rzecznego: wychodzimy na brzeg. Jest w domu kobieta, zupełnie sama. Nastraszyła się, miota się w panice. „Zaraz zawołam męża!". I poszła. Ruszam za nią, patrzę dokąd idzie. Nagle Żdanok z domku krzyczy niespokojnie: „Zora!" (Bierz cię licho, ależ ozór! Umówiliśmy się, że zwać mnie Wiktor Aleksandrowicz). Wracam. Przyszło jakichś dwóch mężczyzn, jeden ma dubeltówkę. „Ktoście tacy?". — „Turyści z Omska. Chcieliśmy kupić trochę prowizji. (I żeby rozproszyć ich podejrzliwość). Ależ wejdźmy do domu, coście wy tacy nabzdyczeni?". I rzeczywiście, jakoś się udobruchali: „Kiedy nic nie mamy w zapasie. Może w sowchozie. Dwa kilometry z

biegiem rzeki".

Wracamy do łódki i robimy jeszcze dwadzieścia.

Noc jest księżycowa. Wspinamy się znów na wysoki brzeg. Domek. Nie widać światła. Pukamy. Wychodzi gospodarz, Kazach. Oto pierwszy człowiek, który sprzedaje pół bochenka chleba i ćwierć worka kartofli. Kupujemy również igłę z nitką (to chyba nieostrożność). Prosimy też o brzytwę — ale on się nie goli, broda mu nie rośnie. A jednak to pierwszy dobry człowiek. Nabieramy apetytu i pytamy, czy nie ma czasem ryb. Zjawia się żona, wynosi nam dwie ryby i powiada: „Besz dzieńga". To już przekracza nasze oczekiwania — bez dzierigi — więc bez pieniędzy, za darmo! No,

160

rzeczywiście, co za dobrzy ludzie! Kładę ryby do worka, a ta mi je z worka wyciąga: „Besz dzieńga — to znaczy pięć rubli" — mówi gospodarz. Ach
—to o to chodzi! Nie, nie bierzemy ich, za drogo.

Płyniemy dalej przez resztę nocy. Następny, *siedemnasty* dzień naszej eskapady przesypiamy w sianie: łódkę ukrywamy w zaroślach. Tak samo — *osiemnastą i dziewiętnastą* dobę — starając się unikać ludzi. Mamy wszystko: ogień, mięso, kartofle, sól, wiadro. Na urwistym prawym brzegu
—lasy liściaste, na lewym — łąki, pełne siana. Za dnia palimy w krzakach
ogniska, warzymy sobie polewkę, wysypiamy się.

Ale niedaleko już do Omska, trzeba w końcu wejść *między ludzi*, a więc koniecznie potrzebna jest brzytwa. Jestem zupełnie bezsilny, bez brzytwy i nożyc nie poradzi, nie sposób uwolnić się od tych kłaków. Wyrywać po włosku, czy jak?

Innej księżycowej nocy zobaczyliśmy wysoki kurhan nad Irtyszem. Co to takiego — strażnica? Może z czasów Jermaka? Wdrapaliśmy się na szczyt. I ujrzeliśmy w miesięcznym blasku tajemnicze martwe miasto, skupisko pustych domów z samanu. Też chyba pamiątka z pierwszych lat trzydziestych... Spalili to, co dało się spalić, poburzyli budowle, tego i owego przywiązali do końskich ogonów. Turystów tu nie przywożą...

W ciągu tych dwóch tygodni ani razu nie padał deszcz. Ale noce stały się już bardzo chłodne. Żeby było szybciej, przy wiosłach ja zwykle siadałem, a Żdanok siedział na rufie i marzł. I raptem *dwudziestej* nocy zaczął prosić, abyśmy rozpalili ognisko i popili trochę wrzątku. Oddałem mu wiosła, ale wciąż trzęsły nim dreszcze i wciąż mówił o tym ognisku.

Towarzysz ucieczki nie mógł mu odmówić, ale Kola powinien był sam zrozumieć i odstąpić od tego zamiaru. Ale Żdanok miał taki charakter, że nie potrafił walczyć ze swoimi zachciankami: tak było — gdy porwał podpłomyk ze stołu w jurcie albo kiedy skusił się na drób.

Dygotał więc i prosił o rozpalenie ogniska. Ale przecież czatują tu na nas wzdłuż całego biegu Irtysza, to pewne. To zadziwiające, że dotąd ani razu nie spotkaliśmy strażników. Że w taką księżycową noc nie zauważyli nas nigdy na środku rzeki i nie zatrzymali.

Wtem widzimy ogienek na wysokim brzegu. Kola zaczął się napierać, aby podejść tam i pogrzać się — zamiast palić własne ognisko. To było jeszcze bardziej niebezpieczne. Nie wolno było na to się zgodzić. Tyle się nacierpieć, tyle przeżyć — i tak skończyć? Ale nie potrafiłem mu odmówić, mógł przecież być chory. A sam jakoś nie chciał zrezygnować.

Przy blasku kaganka spali na podłodze chaty Kazach z żoną. Zerwali się na równe nogi, przerażeni. Wyjaśniam: „Mój człowiek mi jakoś słabuje. Jesteśmy na delegacji służbowej z przedsiębiorstwa skupu zboża. Przy wie-

161

ziono nas łódką z tamtej strony". Kazach powiada: „Możecie się kłaść". Kola położył się na jakiejś macie wojłokowej — ja też — ale tylko udaję, że śpię. Pierwszy raz od chwili ucieczki leżymy pod dachem, ale ten dach mi czaszkę tłoczy. Nie to, żeby zasnąć — wprost uleżeć nie mogę. Mam takie uczucie — jakbyśmy sami siebie zdradzili, sami wleźli w potrzask.

Stary wyszedł na dwór w bieliźnie (bo inaczej bym za nim poszedł) i jakoś długo nie wraca. Słyszę za kotarą jakieś szepty po kazachsku. To młodzi. Pytam więc: „Kim właściwie jesteście? Pilnujecie brodu, stawiacie boje?". — „Nie, myśmy z sowchozu imienia Abaja, najlepszy sowchoz w całym Kazachstanie, hodujemy bydło". Aleśmy sobie popas znaleźli — ładny kwiat! Gdzie sowchoz — tam zaraz władze i milicja. A jeszcze najlepszy w całym kraju. Widać starają się...

Ściskam Kolę za rękę: „Biegnę do łódki, dogoń mnie, teczki nie zapomnij". A głośno powiadam „zostawiliśmy zapasy na brzegu, mogą zginąć". Wychodzę do sieni. Pchnąłem drzwi na dwór — a tu zamknięte. No, to wszystko jasne. Wracam — szarpię Kolę, na znak alarmu i znów do wyjścia. Marni to byli cieśle, co te drzwi zbijali, jedna deska u dołu jest krótsza, przesuwam pod nią ramię, wyciągam je ku górze, ku górze... — aha, jest skobelek, zamknięto nas z zewnątrz. Wybijam skobel.

Wychodzę na dwór. Prędzej do brzegu. Łódka na miejscu. Stoję i czekam w pełnym blasku księżyca. A Koli nie widać. To ci los! Widać nie potrafi wstać. Chce jeszcze chwilę się pogrzać. Albo go już złapali. Trzeba wracać na pomoc.

Znów gramolę się na skarpę. Idzie ku mnie od domu jakichś czterech, Żdanok jest wśród nich. Idą kupą (może go trzymają?). Żdanok krzyczy: „Zora! (Znów ten „Zora"!). Chodź no tu! Chcą widzieć nasze dokumenty!". A teki nie ma w ręku, choć mu kazałem.

Zbliżam się do nich. Jeden z nich, nowy, pyta z kazachskim akcentem: „Dokumenty?". Staram się za wszelką cenę zachować spokój: „A kim jesteście?". — „Jestem zarządzający". — „No cóż, mówię protekcjonalnym tonem — chodźmy. Dokumenty zawsze warto sprawdzić. Tam, w domu jest zresztą jaśniej". Wchodzimy do chaty.

Podnoszę powoli tekę z podłogi, podchodzę do kaganka, patrzę spod oka, jakby tu najlepiej wykaraskać się spośród nich i wyskoczyć na dwór, pogaduję tymczasem: „Dokumenty to zawsze, dlaczego nie. Trzeba sprawdzać dokumenty, co się należy, to

się należy. Czujność nigdy nie zawadzi. U nas w biurze też raz się zdarzył taki wypadek...". Już mam palec na zatrzasku, żeby otworzyć tekę. Tamci skupili się wokół mnie. A ja — jak ci pchnę zarządzającego łokciem w lewo — - ten leci na starego — obaj padają na ziemię. Młodego — pięścią w szczękę. Wrzask, krzyk! A ja

162

— „Machmadera!" i z teką w ręku - do drzwi, a potem do wyjścia. A Kola krzyczy do mnie z sieni: „Zora, nie puszczają mnie!". Trzyma się framugi, a ci ciągną go do środka. Chwyciłem go za rękę, ale nie mogę wyciągnąć. Więc opieram się stopą o framugę, i tak szarpnąłem Kolą, że ten przeleciał przeze mnie, a ja upadłem. Wtedy tych dwóch rzuciło się na mnie. Nie mogę sobie uzmysłowić jakim sposobem spod nich się wydobyłem. Nasza drogocenna teka została w chałupie. Lecę prosto do skarpy, susami! Z tyłu wrzeszczą po rosyjsku: ,.Toporem go, toporem!". Pewno tylko straszą, bo inaczej krzyczeliby po kazachsku. Czuję już ich łapy na karku. Potykam się, zaraz upadnę! Kola już przy łodzi. Spycham łódź w wodę po kolana, dopiero potem włażę przez burtę. Kazachowie nie decydują się na kąpiel, biegają po brzegu szwargocząc: „Gyr-gyr-gyr!". Krzyczę im więc: „A co, gady, macie za swoje?!".

Dobrze, że nie mieli strzelby. Wiosłuję z prądem. Tamci wciąż biegną brzegiem, ale drogę im przecięła zatoczka. Ściągnąłem dwie pary moich portek — marynarskie i te z garnituru, wyżymam je, szczękam zębami. „No co Kola? Pogrzałeś się przy ogieńku?". Milczy...

Jasne, że musimy teraz pożegnać się z Irtyszem. Przed świtem trzeba wyłazić na brzeg i przebijać się na Omsk autostopem. Zresztą — już niedaleko.

W tece została „Katiusza" i sól. A gdzie znaleźć brzytwę, nie mówiąc już o suszeniu odzieży? O, łódka przy brzegu, jakiś domek. Chyba dróżnik rzeczny. Wychodzimy na brzeg, pukamy. Nikt światła nie zapala. Niski. męski głos: „Kto tam?". — „Wpuśćcie nas, chcemy się ogrzać. Omal nie utonęliśmy, łódź się nam wywróciła". Długa krzątanina, wreszcie drzwi się otwierają. W sieniach, obok drzwi stoi w półmroku rosły starzec, Rosjanin z toporem podniesionym oburącz nad głową. Pierwszego zatłucze, nic go nie powstrzyma! „Ależ nie bójcie się — mityguję go. — Jesteśmy z Omska. Byliśmy na delegacji w sowchozie Abaja. Chcieliśmy płynąć do powiatu w dół rzeki łódką, ale trochę powyżej nas rozstawiono sieci na noc, nie zauważyliśmy i była wywrotka". Patrzy jeszcze podejrzliwie, nie opuszczając topora. Gdzie go widziałem?, na jakim obrazie? Starzec jakby z prarus-kiej byliny — siwa grzywa, cały łeb siwy. Wreszcie się odezwał: „To znaczy niby, że płynęliście do Żelezianki?". Bóg zapłać, teraz wiemy, gdzie jesteśmy. „No właśnie, do Żelezianki. Ale najgorsze,, że teczka nam zatonęła, a tam mieliśmy 150 rubli. Kupiliśmy w sowchozie mięsa, ale kto by tam teraz myślał o mięsie. Może kupicie go u nas?". Żdanok poszedł po mięso. Stary wpuścił mnie do izby, paliła się w niej lampa naftowa, a na ścianie wisiała strzelba myśliwska. „Teraz pokażcie dokumenty". Staram się mówić jak najbardziej dziarskim tonem: „Dokumenty to mamy

zawsze

163

przy sobie dobrze, że w górnej kieszeni, to nie zamokły. Jestem Wiktor Aleksandrowicz Stolarow, pełnomocnik obwodowego zarządu hodowli bydła". Teraz należy co rychlej przejąć inicjatywę. „A wyście co za jeden?".

Strażnik wodny". — „A jak nazwisko?". Tu nadszedł Kola i stary już więcej nie wspomniał o dokumentach. Powiedział, że na mięso nie ma pieniędzy, ale że herbatą nas poczęstuje.

Przesiedzieliśmy u niego z godzinkę. Zagrzał nam herbaty na szczap-kach, dał chleba i nawet ukroił kawałek słoniny. Mówiło się o tym, jak biegnie farwater na Irtyszu, za ileśmy kupili łódkę — gdzie ją mamy sprzedać. Przeważnie mówił on sam. Patrzył na nas współczującym, mądrym, starczym okiem, i wydawało mi się, że rozumie wszystko, prawdziwy człowiek. Miałem nawet chętkę, by mu się zwierzyć. Ale to by nam nie pomogło: brzytwy nie miał, rzecz jasna, bo broda rosła mu tak, jak wszystko w lesie. A dla niego bezpieczniej było nie wiedzieć, bo inaczej: „wiedział — a nie powiedział".

Zostawiliśmy mu nieco naszej cielęciny, on dał nam zaś zapałek, odprowadził do łódki i objaśnił jak trzymać się nurtu. Odbiliśmy i nalegliśmy na wiosła, żeby jak największy kawał drogi odwalić na ostatek. Chcieli nas złapać na prawym brzegu, więc teraz trzymajmy się raczej lewego. Księżyc świecił właśnie z lewej strony, ale niebo czyste i widzimy, że wzdłuż brzegu prawego, urwistego i pokrytego lasem, płynie z prądem jakaś łódź, tyle że my — szybciej.

Czy to aby nie opergrupa?... Płyniemy równoległym kursem. Zdecydowałem się na bezczelność, wziąłem się za wiosła, zbliżyłem się do czółna. „Przyjacielu! Dokąd droga prowadzi?". „Do Omska". — „A skąd?". — „Z Pawłodaru". — „Taki świat drogi?" — „A bo przenosimy się ze wszystkim na nowe mieszkanie".

Jak na opera — ten chłopski jego akcent zbyt już był wyraźny, odpowiada też z ochotą, widać że cieszy się nawet ze spotkania. Żona śpi w czółnie, a on spędza nocne godziny przy wiosłach. Przyglądam się uważniej — toć to nie łódź, tylko formalny skład, cały dobytek tu wiezie, wszystko zawalone tobołkami.

Szybko kalkuluję w myśli. Ostatnia noc, ostatnie chwile na rzece — i takie spotkanie! Jeśli przenoszą się na stałe, to muszą tu mieć i zapasy, i pieniądze, i paszporty, i odzież, a nawet brzytwę. I nikt się o nich nigdzie nie upomni. Jest sam, nas jest dwóch, żona się nie liczy. Ja mogę wykorzystać jego paszport. Kola w przebraniu doskonale ujdzie za babę: malutki, gęba goła, babskie kształty się dorobi. Na pewno mają też walizkę — to zaraz zrobi z nas typowych podróżnych. I każdy szoferak jeszcze dziś rano podrzuci nas do Omska.

164

Kiedyż to na rosyjskich rzekach nie rabowano podróżnych! Taki los, nie ma innego wyjścia. Od chwili, gdy wiedzą już, że płyniemy rzeką — jest to nasza ostatnia i jedyna szansa. Żal chłopa, szkoda wyzuwać go z dobytku — ale czy nas kto

żałował? Kto się nad nami jutro zlituje?

Wszystko to przebiega błyskawicznie przez nasze głowy — moją i Żdan-ka. Pytam go tylko po cichu: „Hm?". Odpowiada mi również szeptem: „Machmadera".

Przysuwam się jeszcze bliżej i teraz już przyciskam ich czółno do wysokiego, lesistego brzegu; spieszę się, żeby zdążyć przed zakrętem, bo tam może nie być już lasu. Rozkazuję teraz władczym tonem:

— Uwaga! Tu grupa operacyjna ministerstwa spraw wewnętrznych. Przybijać do brzegu! Kontrola dokumentów.

Przestał wiosłować: albo osłupiał — albo nawet się ucieszył — to nie rozbójnicy, tylko opergrupa.

— Bardzo proszę — powiada — możecie kontrolować nawet tu na wo dzie.

— Powiedziałem — do brzegu, to do brzegu! Raz-dwa.

Przybiliśmy. Stanęliśmy burta w burtę. Wyskakujemy z naszej łodzi, a tamten z trudem przełazi przez swoje toboły — widzimy, że utyka. Żona obudziła się — „Jeszcze daleko?". Chłopina podaje swój paszport. — „A książeczka wojskowa?". — „Jestem inwalidą, byłem ranny, to mnie wykreślili z ewidencji. O, tu jest zaświadczenie...". Widzę, że na dziobie czółna błysnęło coś metalowego — siekiera. Daję znak Koli, żeby zabrał. Kola skoczył trochę zbyt żwawo i już toporek w ręku. Baba krzyknęła, przeczuła coś. A ja surowo: — „Co to za krzyki? Dosyć tego! Szukamy zbiegów. Przestępców. A topór to też broń". Trochę się uspokoiła. Daję rozkaz Koli.

— Lejtnancie! Odmaszerować na posterunek. Powinien tam być kapitan Worobiow.

(I ranga i nazwisko same mi jakoś przyszły do głowy, chyba dlatego, że nasz kolega, kapitan Worobiow, siedział dalej w BUR-ze, w Ekibastuzie).

Kola z j o r g n ą ł się w okamgnieniu: trzeba skoczyć na skarpę i rozejrzeć się, czy nie ma tam nikogo, czy możemy poczynać sobie śmiało. Skoczył więc na górę. Ja tymczasem wypytuję dalej i rozglądam się pilnie. Zatrzymany pokornie przyświeca mi swoimi zapałkami. Wertuję dowody osobiste i zaświadczenia. Wiek też się zgadza — inwalida nie ma jeszcze czterdziestki. Pracował jako strażnik wodny. Teraz sprzedał dom i krowę. (Wszystkie pieniądze ma, rzecz jasna, przy sobie). Jadą szukać szczęścia. Mało im dnia było, więc płyną nocą.

Okazja rzadka, okazja wyjątkowa — właśnie dlatego, że nigdzie ich

165

szukać nie będą. Ale o co nam chodzi? Czy potrzebne nam ich życie? Nie, ja ludzi nie zabijałem i zabijać nie będę. Śledczego albo opera, który może dręczy to owszem, ale ręka mi się nie podnosi na prostego, pracującego człowieka. Zabrać im pieniądze? Najwyżej odrobinę. A ile? Na dwa bilety do Moskwy. I na wyżywienie. I jeszcze to i owo z tych ciuchów. To ich nie zrujnuje. A co, jeśli nie zabierzemyim dokumentów ani łódki — i zdołamy ich namówić, żeby nie donieśli? Trudno uwierzyć, aby się to udało. Zresztą, jak sobie poradzimy bez

dokumentów?

Ale jeżeli zabierzemy im dokumenty — to nie pozostanie im nic innego, jak tylko donieść. Żeby zaś donieść nie mogli — trzeba ich unieruchomić. Tak ich związać żebyśmy mieli dwie trzy doby spokoju.

Skoro tak, to znaczy po prostu, że...

Kola wrócił i dał znak, że na górze spokój. Czeka teraz na moje „mach-madera". Co tu robić?

Staje mi przed oczyma niewolniczy, katorżniczy Ekibastuz. Żeby tam wracać?... To my nie mamy prawa?...

I nagle — coś bardzo lekko musnęło mi nogę. Patrzę — a to jakieś malutkie, białe stworzonko. Schylam się i widzę, że to biały kotek. Wyskoczył z czółna, zadarł do góry ogonek, mruczy i ociera się o moje nogi.

Nie zna moich myśli.

I raptem poczułem, że to jedno muśnięcie złamało moją wolę. Determinacja — napięta od dwudziestu dni i nocy, od chwili gdyśmy przedzierali się przez druty — nagle jakby pękła. Poczułem, że — cokolwiek by Kola mi teraz powiedział — nie potrafię już nie tylko pozbawić ich życia, ale nawet tych ich krwawo zapracowanych groszy.

Zachowując surowość powiadam:

— No, zaczekajcie tu, zaraz wszystko będzie jasne!

Wchodzę ze Żdankiem na skarpę, mam w ręku ich dokumenty. Mówię Koli, co o tym myślę.

Kola milczy. Nie zgadza się ze mną, ale milczy.

Tak to już jest: o n i mogą każdego pozbawić wolności, nie dręczą ich wyrzuty sumienia. Jeśli zaś ktoś z nas zechce odzyskać tę wolność, wyrwać im ją z łap — to żądają od niego w zamian życia, jego własnego życia, i życia każdego, kogo on po drodze spotka.

Im wolno wszystko, a nam nic. Oto dlaczego są od nas silniejsi.

Nie umawiając się ruszamy obaj z powrotem na brzeg. Przy czółnie stoi ten kulawy. — „Gdzie żona?". — „Przestraszyła się, uciekła do lasu".

- Tu są wasze dokumenty. Możecie płynąć dalej.

Dziękuje nam. Krzyczy w stronę lasu:

- Maa-aria! Wracaj! To porządni ludzie! Płyniemy!

166

Odbijamy od brzegu. Szybko macham wiosłami. Kulawy coś sobie przypomniał i krzyczy w ślad za nami:

- Towarzyszu naczelniku! A bo wczoraj tośmy widzieli dwóch — ty

powi bandyci! Gdybyśmy wiedzieli, to byśmy zatrzymali drani!

- No co, zlitowałeś się? — pyta Kola.

Właśnie tej nocy — czy to w chwili, gdy poszliśmy się pogrzać, czy może przez tego

białego kotka — cała nasza ucieczka wzięła w łeb. Coś się w nas stłukło — pewność siebie?, stanowczość?, dar orientacji?, zdolność do podejmowania zgodnych decyzji? Tu właśnie, przed samym Omskiem zaczęliśmy popełniać błąd za błędem i działać sobie na przekór. A tacy zbiegowie daleko już nie uciekną.

Nad ranem porzuciliśmy naszą łódkę. Cały dzień przespaliśmy w stogu, ale niespokojnie. Zrobiło się ciemno. Głód doskwiera. Dobrze by ugotować mięsa, aleśmy zgubili wiadro, kiedy nas gonili. Postanowiłem więc usmażyć. Znalazło się żelazne siodło od traktora — to będzie nasz ruszt. A kartofle można upiec.

Stał niedaleko wysoki szałas zbudowany na czas sianokosów. Z tego otępienia, które dziś mi łeb tłoczyło, wpadłem na pomysł, żeby rozpalić ognisko wewnątrz szałasu, że niby nie widać będzie ognia. Kola nie chce żadnych kolacji: — „Idźmy dalej!". Sprzeczka. Nie ma między nami zgody.

Rozpaliłem w końcu ogień w tym szałasie, ale za dużo chrustu położyłem. Cały szałas się zajął, ledwiem zdążył wyskoczyć. Ogień zaś przeniósł się na stóg — ten sam stóg, w którym przespaliśmy dzień. Raptem żal mi się zrobiło tego siana — pachnącego, tak nam życzliwego. Jąłem je rozrzucać, tarzać się po ziemi, żeby zgasić ogień, żeby się nie szerzył. Kola stoi z boku naburmuszony, nic mi nie pomaga.

Ach, jaki t r o p zostawiłem! Co za płomienisko! — na wiele kilometrów. A ponadto — *dywersja*. Za ucieczkę dadzą nam taką samą ć w i a r ę, jaką już mieliśmy na karku. Ale za „dywersję", za spalenie kołchoźnego siana mogą dać śmiało nawet czapę.

A co najgorsze — z każdym błędem narasta prawdopodobieństwo nowych błędów, człowiek traci pewność siebie i zdolność do właściwej oceny sytuacji.

Szałas spłonął, ale kartofle się upiekły. Popiół zamiast soli. Podjedliśmy sobie.

Idziemy dalej, noc. Obchodzimy bokiem dużą wieś. Znaleźliśmy łopatę. Zabraliśmy ją na wszelki wypadek. Skręcamy w stronę Irtysza, żeby iść

167

wzdłuż rzeki. I od razu przegradza nam drogę starorzecze. Znów je obchodzić? Kłopot. Rozejrzeliśmy się i znaleźliśmy łódź bez wioseł. Nie szkodzi, łopata wystarczy. Przepłynęliśmy wodę. Przywiązałem potem łopatę rzemieniem na grzbiecie, żeby stylisko sterczało w górę, jak lufa strzelby. W ciemnościach ujdziemy za myśliwych.

Wkrótce też mijamy kogoś. „Piotrze!" — krzyczy tamten. — „Pomyłka, to nie Piotr!".

Maszerowaliśmy całą noc. Spaliśmy znowu w stogu. Obudziła nas syrena okrętowa. Wynurzamy łby z siana: niedaleko jest tu przystań. Zwożą na nią samochodami arbuzy: Omsk blisko, Omsk blisko, Omsk blisko. Czas już golić się, czas zdobyć pieniądze.

Kola wierci mi dziurę w brzuchu: ,,Teraz przyszła na nas kryska. Po co była ta cała ucieczka, skoroś się nad nimi musiał ulitować? Tu cały nasz los się ważył — a tobie żal się ich zrobiło. I teraz to my zginiemy".

Ma rację. Teraz to wydaje się takie bezsensowne: ani brzytwy, ani pieniędzy, a

mieliśmy przecież to wszystko w ręku, tylkośmy nie wzięli. Trze-baż to było tyle lat śnić o ucieczce, tyle sprytu wykazać, przedzierać się pod drutami, czekając aż ci wlepią kulę w plecy, sześć dni nie widzieli kropli wody, dwa tygodnie brnąć przez pustynię — i nie wziąć tego, coś już miał w ręku! Jak tu wejść do Omska z takim zarostem? I za jakie ciaćki pojedziemy z Omska jeszcze dalej?

Leżymy cały dzień w sianie. Oczywiście, ani mowy o śnie. O piątej przed wieczorem Żdanok powiada: „Chodźmy, rozejrzymy się póki jasno". A ja — „Za nic na świecie!". On: — ,,Toć niedługo już miesiąc będzie, jak zwialiśmy. Ale asekurant! Jak nie chcesz — to wylezę sam i pójdę sobie". — Więc mu grożę — „Uważaj, mam nóż!". Ale go przecież nie kolnę, to jasne.

Ucichł, leży sobie. Nagle stoczył się ze stogu i poszedł sobie. Co robić? Tak to mamy się rozstać? Więc ja też zeskoczyłem i poszedłem za nim. Idziemy obaj brzegiem Irtysza, a tu jasno, dzień! Siadamy na innym stogu i naradzamy się: jak się nam teraz ktoś napatoczy, to już go nie wolno puszczać, żeby nie doniósł przed nocą. Kola nieopatrznie wybiegł na drogę, żeby sprawdzić, czy pusta — i tu zauważył go jakiś chłopak. Chcąc nie chcąc — trzeba go było zawołać: „Chodź no tu przyjacielu, zapalimy z tego żalu!...". — „A co się stało?". — „A bo zachciało się nam ze szwagrem urlopu na wodzie, ja jestem z Omska, a on z pawłodarskiej stoczni remontowej, no i w nocy łódka odpłynęła sobie, zostało nam tyle, co mieliśmy na brzegu. A tyś kto taki?". — „Jestem tu za strażnika wodnego, boje stawiam". — „Nigdzieś naszej łódki nie widział? Może w szuwarach?". — „Nie". — „A gdzie mieszkasz?". — „A tu" - i wskazuje na pobliski

168

domek. — „No to wpadniemy do ciebie, trzeba trochę mięsa ugotować. No i ogolimy się chociaż".

Idziemy. Okazuje się, że ten najbliższy, to domek innego strażnika, sąsiada, a nasz znajomy mieszka jeszcze trzysta metrów dalej. Znów nie z jednym człowiekiem sprawa. Ledwieśmy przestąpili próg — a tu ten sąsiad jedzie rowerem, z fuzją na ramieniu, zerka podejrzliwie na moją szczecinę, wypytuje, jak tam życie w Omsku. Mnie, katorżnika, pytać o życie na wolności! Coś tam plotę na **chybił-trafił,** że tak, w ogóle, to trudności mieszkaniowe, kłopoty z żywnością, z towarami, to najpewniejszy sposób. Ten zaś krzywi się, jest innego zdania: okazuje się, że partyjny. Kola warzy rosół, musimy najeść się na zapas, może aż do Omska nie będzie okazji.

Czas wlecze się nieznośnie, do zmierzchu daleko. Ani jednego, ani drugiego nie wolno nam spuszczać z oczu. A co, jeśli jeszcze ktoś trzeci nadejdzie? Ale już się obaj wybierają na rzekę, do zapalania świateł. Proponujemy im pomoc. Partyjny odmawia: „zapalę wszystkiego dwa ognie i zaraz jadę na wieś, muszę trochę chrustu podrzucić rodzinie. Zresztą wrócę tu jeszcze". Daję znak Koli — nie spuszczać partyjnego z oka, jakby co, to zaraz w krzaki. Wskazuję mu miejsce ewentualnego spotkania. Sam zaś jadę z naszymi znajomymi. Z łodzi rozglądam się po okolicy, rozpytuję się, ile kilometrów do tego, czy owego miejsca. Wracamy równocześnie z sąsiadem. To mnie uspokaja: jeszcze nie zdążył nas zadenuncjowac. Zaraz też podjechał z wozem

pełnym chrustu, istotnie. Ale jakoś nie jedzie dalej, siadł przy stole, kosztuje rosołku ugotowanego przez Kolę. I nie wychodzi. No, co tu robić? Brać za kark obu? Jednego — do piwnicy, drugiego przywiązać do łóżka?... Obaj mają dokumenty, a ten przyjezdny — rower i dubeltówkę. Takie to życie zbiega — nie dość mu zwykłej gościnności, musi jeszcze brać siłą...

Nagle słychać skrzyp dulek. Widzę przez okno — że nadjeżdża jakichś trzech, to już będzie pięcioro na nas dwóch. Mój gospodarz wychodzi i zaraz wraca po bańki. Powiada: „Nasz szef przywiózł nafty. Dziwne, że sam przyjechał — toć to dziś niedziela".

Niedziela! Dawno już straciliśmy rachubę dni tygodnia, dla nas inne były między nimi różnice. Zbiegliśmy z obozu w niedzielę wieczorem. A więc to już trzy tygodnie uciekamy! Co tam w obozie?... Psiarnia już chyba straciła nadzieję, że nas złapie. Gdybyśmy dorwali się do samochodu, to w ciągu trzech tygodni dawno już mogliśmy urządzić się gdzieś w Karelii, czy na Białej Rusi, zdobyć dowód osobisty, pracę... A przy odrobinie szczęścia — wydostać się gdzieś jeszcze bardziej na Zachód... 1 jakby to było przykro kapitulować teraz, po takich trzech tygodniach!

— „No co Kola, napchaliśmy się, teraz wypada ulżyć sobie jak nale-

169

ży?". Idziemy w krzaki i widzimy stamtąd, że nasz gospodarz bierze naftę od tych z łódki i że podszedł tam także ten partyjny. Mówią o czymś, ale nie słychać co.

Tamci odpływają. Odsyłam Kolę czym prędzej do domu, żeby strażnicy nie mogli gadać o nas bez świadków. Sam zaś po cichutku podchodzę do łódki gospodarza. Żeby łańcuch nie zadzwonił — wyciągam z wysiłkiem kołek cumowy. Kalkuluję: jeśli starszy strażnik odpłynął z donosem na nas — to ma siedem kilometrów do sioła, a więc — jakieś czterdzieści minut. Jeśli we wsi są błękitne wyłogi — to przyjadą tu samochodami — dodajmy więc jeszcze piętnaście minut.

Wracam do domu. Sąsiad furt nie odjeżdża, zawraca głowę pustym gadaniem. Bardzo dziwne. No, znaczy że trzeba zabierać się do obu naraz. — „No cóż Kola, pójdziemy umyć się przed snem?" (bo trzeba się dogadać). Ledwieśmy wyszli — słyszymy w ciszy tupot buciorów. Schylamy się i na tle szarzejącego nieba (księżyc jeszcze nie wzeszedł) widzimy, jak za krzakami biegną jeden za drugim jacyś ludzie, otaczając domek.

Szeptem rzucam Koli: ,,Do łodzi!". Biegnę w stronę rzeki, staczam się ze skarpy, już jestem przy łódce. Liczone sekundy! A Koli nie ma! No, gdzie się podział, gdzie jest? A zostawić go nie mogę!

Wreszcie widzę — że wzdłuż brzegu ktoś biegnie prosto na mnie. „Kola, to ty?". Płomień! Wystrzał z bliska! Cyrkowym skokiem (wyciągając ręce, głową naprzód) skaczę do łódki. Z urwiska — serie z automatów. Krzyki: „Jeden już załatwiony!". Pochylają się nade mną: „Jesteś ranny?". Jęczę. Wyciągają mnie z łodzi, prowadzą. Utykam na nogę. (Jeśli pokaleczony, to mniej biją). W ciemnościach rzucam ukradkiem w trawę moje dwa noże.

Na górze pytają, jak nazwisko. — „Stolarow". — Może się jeszcze jakoś wykręcę.

Tak mi się nie chce wymieniać mojego prawdziwego nazwiska! (Bo wtedy już koniec z wolnością). Biją mnie po twarzy: — „Nazwisko!". — i(Stolarow". — Wciągają mnie do chaty, rozbierają do pasa, ręce wiążą mi drutem za plecami, drut wrzyna się w ciało. Dźgają mnie bagnetami w brzuch. Strużka krwi cieknie już spod bagnetu. Milicjant, starszy lejtnant Sabotażnikow, który mnie złapał, żga mi twarz lufą nagana, widzę podniesiony kurek. — „Nazwisko!". — No, dalszy opór nie ma sensu. Mówię więc jak się nazywam. — „A gdzie ten drugi?". — Potrząsa naganem, bagnety wpijają się głębiej: — „Gdzie ten drugi?". — Cieszę się, że nie wzięli Koli i powiadam: — „Byliśmy razem — pewno zabity".

Wchodzi oper z błękitnymi wyłogami, Kazach. Rzucił mnie związanego na łóżko i zaczął metodycznie kuć po pysku — to prawą, to lewą — to prawą, to lewą, jakby pływał po kozacku. Od każdego ciosu walę łbem o ścianę. — „Gdzie broń?". „Co za broń?". — „Mieliście strzelbę,

170

w nocy was widziano". — To ten nocny myśliwy, ten też doniósł... — „To była łopata, nie strzelba!". — Nie wierzy, leje dalej. Nagle zrobiło mi się lekko — straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, słyszę: — „No, uważaj, jeżeli ktoś z naszych będzie ranny — to na miejscu cię wykończymy!".

(Mieli dobre przeczucie — Kola rzeczywiście miał strzelbę! Później wszystko się wyjaśniło: kiedy rozkazałem Koli — „do łódki!", Kola pobiegł w przeciwnym kierunku, ku zaroślom. Tłumaczył się, że nie zrozumiał... Gdzie tam, przez cały ten dzień szukał okazji, aby się oderwać ode mnie — no i oderwał się wreszcie. I zapamiętał sobie ten rower. Gdy rozległy się strzały, Kola rzucił się w bok, byle dalej od rzeki i odpełzł w tę stronę, z której przyszliśmy. Było już dość ciemno — i póki cała sfora zebrana była wokół mnie, Kola zerwał się z ziemi i pobiegł precz. Biegł i płakał — bo myślał, że zostałem zastrzelony. Dobiegł tak do drugiego domku. Wybił nogą okno i zaczął szukać strzelby. Znalazł ją po omacku na ścianie, znalazł też torbę z ładunkami. Załadował broń. Powiadał, że chodziła mu po głowie myśl o zemście, chciał wrócić i rąbnąć do nich z dwururki, za moją krew. Ale się rozmyślił. Znalazł rower i toporek. Wywalił nim drzwi od wewnątrz, nakładł do torby soli (to mu się wydało najważniejsze albo nie miał czasu na co innego) — i pojechał, naprzód ścieżką, potem — przez wieś, obok żołnierzy. Ci się zaś nie zorientowali, kto zacz).

Mnie zaś spętanego załadowano na wóz, dwóch sołdatów siadło na mnie i zawieziono do sowchozu, dwa kilometry stąd. Tu był telefon, przez który leśniczy (siedział w łódce ze starszym strażnikiem wodnym) wezwał był strzelców: dlatego to przybyli tak prędko, nie wziąłem telefonu pod uwagę.

Z tym leśniczym miałem tu historę, o której trochę mi niesporo mówić, a rzecz jest bardzo charakterystyczna. Musiałem mianowicie wyjść za potrzebą, a przecież ktoś powinien był mi przy tym pomóc, chodziło przy tym o pomoc dość intymną, bo ręce miałem skrępowane z tyłu. Aby nie poniżać strzelców — kazano leśniczemu wyjść ze mną. Poszliśmy w ciemnościach na stronę i mój towarzysz poprosił mnie,

abym wybaczył mu zdradę: „Taką mam posadę. Nie mogłem inaczej".

Nic mu nie odpowiedziałem. Bo i kto tu może być sędzią? Zdradzali nas ludzie na stanowisku i bez. Zdradzili nas wszyscy, których napotkaliśmy — prócz tego sędziwego starca z białą grzywą.

Siedzę więc w chacie przy gościńcu, goły po pas, ze związanymi rękoma. Chce mi się bardzo pić, nie dają ani kropli. Strzelcy rozjuszeni, każdy szuka tylko okazji, żeby zdzielić mnie kolbą. Ale tu już mnie tak łatwo nie zabiją, zastrzelić mogą, kiedy ich mało — kiedy nie ma świadków. (Można się domyśleć, jacy są źli. Ile to już dni łazili bez odpoczynku, tyralierą przez bagna i szuwary, jedząc tylko zimne konserwy).

171

W chacie cała rodzina. Małe dzieci przyglądają mi się ciekawie, ale boją się podejść bliżej, aż drżą z przestrachu. Lejtnant milicji siedzi przy stole, pije wódkę z gospodarzem, rad z sukcesu i nagrody, która go nie minie. — „A wisz, co to za jeden?" — pyszni się przed gospodarzem. — „To pułkownik, znany szpieg amerykański, wielki bandyta. Uciekał do amerykańskiej ambasady. Oni po drodze zabijali ludzi i potem żarli".

Może sam w to wierzy. MWD rozsiewało takie gadki o nas, żeby łatwiej móc nas złapać, żeby wszyscy donosili. Nie dość im przewagi, jaką daje władza, uzbrojenie, szybki transport — pomagają sobie jeszcze kalumniami.

(A w tym czasie gościńcem obok naszej chaty przejeżdża, jak gdyby nic, Kola na rowerze ze strzelbą na plecach. Widzi jasno oświetloną izbę, na ganku chaty — żołnierzy, palących papierosy, rozgadanych, za oknem — mnie, półgołego. I pedałuje sobie dalej — na Omsk. A tam, gdzie mnie złapano, wokół zarośli jeszcze przez całą noc będą leżeć strzelcy i rano raz jeszcze przeczeszą lasek. Nikt jeszcze nie wie, że z sąsiedniego domku zniknął rower i strzelba: właściciel też pewno skoczył na wódkę, żeby pochwalić się sukcesem).

Nacieszywszy się swoją wiktorią, niesłychaną jak na tutejsze stosunki, lejtnant milicji wydaje rozkaz, aby odesłać mnie do wsi. Znów rzucają mnie na wóz i wiozą do aresztu — gdzie ich nie ma! są przy każdej radzie gromadzkiej. Dwaj strzelcy dyżurują w korytarzu, dwaj pod oknem! — pułkownik amerykańskiego wywiadu! Ręce mi związali, ale każą mi leżeć pośrodku podłogi, nie zbliżając się do żadnej ze ścian. Tak też — półnagi, na gołej ziemi spędzam tę październikową noc.

Rano przychodzi kapitan, boruje mnie wprost oczyma. Rzuca mi mój kitel (resztę odzieży już przepili). Cichym głosem, oglądając się na drzwi, zadaje mi dziwne pytanie:

- Skąd ty mnie znasz?
- Wcale was nie znam.
- Ale skądeś wiedział, że poszukiwaniami kieruje kapitan Worobiow?

Czy rozumiesz, łajdaku, jak ja teraz wyglądam?

Więc to jest Worobiow! I kapitan! Wtedy, w nocy, kiedyśmy podali się za opergrupę, wymieniłem nazwisko kapitana Worobiowa, a ten pracuś, nad którym się zlitowałem, starannie o wszystkim doniósł. I teraz pan kapitan ma

nieprzyjemności! Pewno, skoro szef grupy pościgowej związany jest ze zbiegiem, to co się dziwić, że go przez trzy tygodnie nikt nie może złapać!...

Przychodzi potem cała sfora oficerów, krzyczą na mnie, wypytują o Worobiowa. Mówię im, że to przypadek.

172

Znów skrępowali mi ręce drutem, wyciągnęli sznurowadła z butów i w biały dzień prowadzą przez wieś. Eskortuje mnie jakichś dwudziestu strzelców z automatami. Cała wieś wyszła na gościniec, baby kiwają głowami, dzieci biegną za mną i krzyczą:

— Bandyta! Na rozstrzelanie go prowadzą!

Drut rżnie mnie w ręce, przy każdym kroku spadają mi buty z nóg, ale idę z podniesioną głową i patrzę ludziom prosto w oczy, niech widzą, że to uczciwy człowiek idzie.

To wszystko przecież — na pokaz, żeby te baby i te dzieciaki pamiętały (jeszcze przez dwadzieścia lat będą tu legendy opowiadać). W końcu wsi wpychają mnie na pustą platformę ciężarówki ze starych desek, pełnych zadziorów. Pięciu strzelców siadło pod ścianką szoferki, aby nie spuszczać mnie z oka.

I oto wszystkie te kilometry, które nizaliśmy z taką radością, kilometry oddzielające nas od obozu, muszę teraz odwalić w odwrotnym kierunku. A będzie ich z pół tysiąca, bo też samochód jedzie drogami, nie na przełaj. Zakładają mi na ręce kajdany, zaciskając je aż do oporu. Ręce za plecami, więc nie mogę osłaniać twarzy. Leżę nie jak człowiek, lecz jak kawał drewna. Tak nas właśnie lubią karać.

Droga też się popsuła: — pada i pada — a samochód skacze po wybojach. I przy każdym chybnięciu się wozu — moja głowa i twarz obijają się o dno nadwozia, zbierają drzazgi i szarpane są przez sęki. A ręce nie tylko nie mogą twarzy osłonić, ale przy każdym wstrząsie mocniej wrzynają się w nie kajdany, całkiem jakby ktoś piłował mi nadgarstki. Usiłuję podpełznąć na kolanach do burty wozu i siąść, opierając się o nią grzbietem. Gdzie tam! — nie mam czym się podeprzeć: przy pierwszym silnym wstrząsie rzuca mną znów po całym pudle nadwozia i znów czołgam się bezradnie. Tak mną rzuca — tak tłucze mną o deski, że aż bebechy się we mnie przewracają. Na grzbiecie nie sposób: odrywa kiście. Przewracam się na bok — nie można wytrzymać. Obracam się na brzuch —jeszcze gorzej. Staram się wygiąć szyję i trzymać głowę wysoko, aby uchronić ją od ciosów. Ale szyja prędko się męczy, głowa opada i znów tłukę pyskiem o deski.

A pięciu konwojentów spokojnie patrzy na moją udrękę.

Ta podróż to nowy etap ich edukacji.

Lejtnant Jakowlew, jadący w szoferce, na przystankach zagląda przez burtę i pyta z drwiną: „No, nie uciekł?". Proszę o pozwolenie pójścia za potrzebą, ale Jakowlew tylko rechocze: „A załatwiaj się w portki, my ci nie przeszkadzamy". Proszę o zdjęcie kajdan, a ten się śmieje: „Szczęście twoje, żeś nie trafił na tego chłopaka, coś to mu pod nosem przelazł za żonę. Już byś dawno nie żył".

173

Poprzedniego dnia cieszyłem się, że mnie pobito, ale jakby słabiej, niż na to sobie „zasłużyłem". Ale też po co ranić sobie pięści, skoro wszystko załatwią deski ciężarówki? Całe ciało mam obolałe, całą skórę poobdziera-ną, dłonie jak oderżnięte. Głowa pęka z bólu. Twarz rozkwaszona — cała w drzazgach, skóra wisi z niej strzępami[5].

Jedziemy cały dzień i prawie całą noc.

Kiedy zaprzestałem walki z deskami i całkiem już bezradnie tłukłem się
0 nie łbem, jeden z konwojentów nie wytrzymał i podłożył mi pod głowę
swój plecak, rozluźnił nieznacznie kajdany, pochylił się nade mną i powie
dział szeptem: „Nie martw się, niedługo przyjedziemy, postaraj się wytrzy
mać"! (Skąd taki odruch u tego chłopaka? Kto go wychował? Na pewno
nie Maksym Gorki i z pewnością nie politruk z jego kompanii).

Ekibastuz. Konwojenci otaczają samochód. „Wyłazić!". Nie mogę się podnieść. (Zresztą, gdybym stanął na nogi, to dopiero daliby mi *wycisk z* radości!) Opuścili burtę, zwlekli mnie na ziemię. Zbiegli się też nadzorcy — chcą napatrzeć się i pośmiać do woli. „Uch, ale *agresor!"* — krzyknął któryś.

Powlekli mnie przez wartownię do więzienia. Wepchnęli nie do izolatki, tylko od razu do wspólnej celi — niech się tam amatorzy wolności napatrzą na mnie.

W celi koledzy podnieśli mnie ostrożnie z ziemi i położyli na górnych narach. Tylko chleba dla mnie nie mieli — aż do porannego przydziału.

Kola zaś tej nocy jechał dalej w stronę Omska. Widząc światła nadjeżdżających samochodów odskakiwał z rowerem w step i tam padał w bruzdy. Później, już na jakimś samotnym futorze wdarł się do kurnika: spełnił swoje marzenie — trzem kurom ukręcił łby i schował do worka. A kiedy reszta się rozgdakała — ruszył dalej.

To poczucie niepewności, które poraziło nas na skutek paru grubych błędów, jakeśmy popełnili — teraz, gdy ja już byłem w ręku prześladowców, jeszcze mocniej zawładnęło Kolą. Wrażliwy, niezdecydowany kontynuował teraz ucieczkę raczej z desperacji, nie bardzo wiedząc, co dalej począć. Nie zdawał sobie sprawy z najprostszych rzeczy, na przykład, że zniknięcie roweru i fuzji dawno już zostało odkryte i że te przedmioty wcale go już nie maskują, że trzeba było z samego rana pozbyć się ich, bo zbyt rzucają się w oczy; do Omska zaś podejść trzeba nie z tego kierunku
1 nie szosą, tylko naprzód obejść miasto przez puste peryferie. Strzelbę

' Tenno cierpi ponadto na hemofilię. Zdecydował się na to całe ryzyko, a jedno skaleczenie mogło przyprawić go o utratę życia.

174

i rower można też było sprzedać, byle szybciej — i zaraz byłyby jakieś pieniądze. Kola przesiedział już W zaroślach nad Irtyszem pół dnia, ale znów nie wytrzymał do wieczora i pojechał wzdłuż rzeki ścieżkami. Nie wykluczone, że miejscowe radio

nadało już list gończy z jego rysopisem; na Syberii nie krępują się tak, jak w Rosji europejskiej.

Podjechał do jakiegoś domku, wszedł do środka. Znalazł tam staruchę z trzydziestoletnią córką. Było także radio. Dziwnym zbiegiem okoliczności nadawano właśnie piosenkę:

*,, Włóczęga uciekł z Sachalinu Zwierzęcy prowadził go trop...".*

Kola rozmiękł, łzy zakręciły mu się w oczach. „Co cię tak gnębi?" — zapytały kobiety. Ich współczucie całkiem go rozrzewniło. Zapłakał w głos. Jęły go teraz pocieszać. Poskarżył się więc: — „Jestem zupełnie sam. Wszyscy o mnie zapomnieli". — „No to się żeń" — półżartem, półserio powiedziała ta stara

- moja córka też jest samotna". Kola rozkrochmalił się i zaczął zerkać na

młodą. Ta zaś podeszła do rzeczy praktycznie: — „Masz forsę na wódkę?".

- Kola wysupłał ostatnie rubelki, okazało się, że przymało. — „Dobra,

potem ci dodam". — Wyszła. — „Aha! — przypomniał sobie Kola. — Na-
strzelałem przecież kuropatw. Niech je mamusia weźmie, w sam raz na wesel
ną ucztę". Baba bierze i powiada: — „Toż to kury!". — „No, widać pomyli
łem się w ciemnościach, jakem strzelał". — „A dlaczego łby ukręcone?".

Kola prosi o coś do palenia, a starucha chce od narzeczonego pieniędzy za machorkę. Kola zdjął czapkę, a starucha się zlękła: — „A możeś ty więzień, masz golony łeb? Uciekaj, pókiś cały. Bo jak córka wróci, to musowo cię wydamy milicji!".

I cały czas chodzi Koli po głowie taka myśl: czemu to myśmy na Irtyszu ulitowali się nad tymi frajerami, a wolni wcale się nad nami nie litują? Zdjął ze ściany kurtkę „moskiewską" (na dworze już chłody, a on ma na sobie tylko garnitur), przymierzył — w sam raz. Babka krzyczy: — „Bo cię wydam milicji!". — A Kola widzi przez okno, że córka wraca, a z nią ktoś jeszcze, na rowerze. Już wydała!

A więc — machmadera! Złapał strzelbę i rozkazuje babie: — „Do kąta! Kładź się na ziemi!". — Skoczył pod ścianę, przepuścił tych dwoje, a gdy już byli w izbie zawołał: — „Kłaść się!". — I do mężczyzny: — „A ty podarujesz mi buty na wesele! Zzuwaj duchem!". - Pod groźbą lufy facet zzuł długie buty. Kola zrzucił obozowe trepy, wziął sobie tamte i zagroził, że jeśli ktoś za nim pójdzie, to będzie strzelał.

I odjechał na rowerze. Mężczyzna popędził jednak za nim na swoim. Kola zeskoczył z siodełka, przyłożył kolbę do ramienia: „Stój! Zostaw

175

rower! Odejdź na bok!". — Odpędził go, połamał szprychy, gumy poprzecinał nożem i pojechał dalej.

Wkrótce wyjechał na szosę. Prosto na Omsk. Całkiem zwyczajnie — wziął i pojechał. Przystanek autobusowy. Na kartofliskach baby dłubią w ziemi. Z tyłu nadjeżdża jakiś motocykl z trzema typami w fufajkach, pewno robotnicy. Jedzie, jedzie, nagle najeżdża na Kolę i przewraca go przyczepą. Ci trzej zeskoczyli z

motocykla, zwalili się na Żdanka i rąbnęli kolbą pistoletu w głowę.

Baby z warzywnika w krzyk: — ,,Za co go tak? Co on warn zrobił?!?".

Rzeczywiście — *co on im złego zrobił?...*

Ale prości ludzie nie są w stanie zrozumieć, co kto komu zrobił — i co jeszcze robić będzie. Pod fufajkami wszyscy trzej mieli mundury (opergrupa dniami i nocami dyżurowała przy wjeździe do miasta). Baby otrzymały odpowiedź: — „To morderca". — Najprostsze wyjście. I baby wierząc w prawo wróciły do kopania ziemniaków.

A opergrupa przede wszystkim zapytała wynędzniałego zbiega, czy ma pieniądze. Kola uczciwie odparł, że nie ma. Obszukali go i w którejś kieszeni jego nowej kurtki znaleźli 50 rubli. Wzięli je sobie, podjechali do jadłodajni, gdzie je przejedli i przepili.

Zresztą — również Kolę nakarmili.

W ten więc sposób zawinęliśmy do ciupy na dłuższy czas, sąd odbył się dopiero w lipcu następnego roku. Dziewięć miesięcy odbębniliśmy w obozowej kozie, od czasu do czasu taszczyli nas na śledztwo. Prowadził je szef wydziału dyscyplinarnego Maczechowski i pełnomocnik operacyjny, lejt-nant Wajnsztejn. Chodziło o dowiedzenie się — kto z więźniów nam pomagał?, kto z wolnych „w zmowie" z nami wyłączył światło w chwili ucieczki? (Toż im nie wyjaśnialiśmy, że mieliśmy całkiem inne plany i że zgaśniecie światła tylko nam przeszkodziło). Gdzie mieliśmy zameldować się w Omsku? Przez jaką granicę zamierzaliśmy dalej uciekać? (Nie mieściło im się w głowie, że ktoś chciałby zostać w kraju). — „Uciekaliśmy do Moskwy, żeby w KC opowiedzieć o aresztowaniach niewinnych ludzi, to wszystko!". — Nie chcą nam wierzyć.

Nie mogąc wydobyć z nas niczego „interesującego", uwili nam zwykły ucie-kinierski bukiet: 58-14 (sabotaż kontrrewolucyjny); 59-3 (bandytyzm); Dekret „cztery-szóste"; artykuł, jeden-dwa" (kradzież dokonana przez szajkę złodziejską); ten sam dekret, artykuł „dwa-dwa'" (rozbój powiązany z groźnym dla życia ofiary użyciem przemocy); artykuł 182 (wyrób i noszenie broni siecznej i tnącej).

Ale cały ten ponury ciąg artykułów nie groził nam zwiększeniem ciężaru okowów, jakie dźwigaliśmy dotychczas. Kara sądowa, której wymiar dawno przekroczył wszelkie rozsądne granice, przewidywała w tym wypadku

176

te same dwadzieścia pięć lat, które obrywał byle baptysta za swoje modlitwy — i które już mieliśmy na karku bez wszelkich prób ucieczki. Tyle, że teraz przy apelu mieliśmy powtarzać, że kara ma trwać nie do 1973 roku, lecz do 1975. Jak byśmy w ogóle w 1951 byli w stanie docenić tę różnicę!

Wszelako — jeden groźny moment przeżyliśmy w trakcie tego dochodzenia — gdy próbowano uznać nas za *dywersantów gospodarczych.* Niewinny ten termin był niebezpieczniejszy niż zużyte już „sabotażysta, bandyta, rozbójnik, złodziej". Za dywersję gospodarczą groziła kara śmierci, wprowadzona właśnie przed jakimś

roczkiem.

Dywersantami żaś byliśmy dlatego, że podkopywaliśmy gospodarkę państwa ludowego. Jak wyjaśnili nam panowie śledczy, na pościg za nami wydano 102.000 rubli; niektóre przedsiębiorstwa obozowe przez kilka dni były nieczynne (nie wyprowadzano więźniów do roboty, bo konwój posłany został w pogoń za nami); 23 ciężarówki ze strzelcami dzień i noc objeżdżały stepy, w ciągu trzech tygodni przekroczyły roczną normę zużycia benzyny; wysłano opergrupy po całym państwie, a wraz z nimi 400 fotografii moich i 400 Koli.

Z dumą wysłuchaliśmy tego wyliczenia...

Tak więc — dostaliśmy znów po dwadzieścia pięć.

Kiedy czytelnik weźmie do rąk tę książkę — pewno jeszcze będziemy te wyroki odsiadywać..."[6].

Po ucieczce Tenno — na cały rok rozpędzono na cztery wiatry (za ten nieszczęsny skecz) kółko amatorskie przy dziale KO. Dlatego, że kultura — to dobra rzecz. Ale powinna służyć sprawie niewoli, a nie wolności.

[6] Nim ta książka zdołała dotrzeć do czytelników — Gieorgij Pawlowicz Tenno, atleta, ba, teoretyk atletyki, umarł 22 października 1.967 roku; niespodzianie zżarł go galopujący rak. Starczyło mu w pościeli sił jeszcze na tyle, by przeczytać te rozdziały i drętwiejącymi już palcami zrobić ich korektę. Nie tak sobie wyobrażał swoją śmierć, nie tak mówił o niej przyjaciołom! Podobnie jak niegdyś, gdy snuł plany ucieczki, zapalał się teraz do myśli, że zginie w walce. Powiadał, że nim umrze, zabierze ze sobą na tamten świat z dziesięciu katów, a na pierwszym miejscu Wiaczyka Zębatego (Molotowa) i — ale to koniecznie — Chwata (śledczego w sprawie prezesa Akademii Nauk Wawiłowa). Nie byłoby to zabójstwo, ale wykonanie kary śmierci, skoro prawo państwowe bierze w obronę morderców. „Po pierwszych twoich wystrzałach — już drogo sprzedałeś swoje życie — mawia Tenno — i teraz już tylko z satysfakcją przekraczasz pla n". Ale choroba zmogła go nagle, nie mógł zdobyć broni i szybko utracił siły. Już ciężko chory, Tenno roznosił moje listy do Zjazdu Literatów na różne moskiewskie adresy. Prosił, by pochować go w Estonii. Pastor, który odprawiał egzekwie, też był starym więźniem: nasiedzial się i w hitlerowskich i w stalinowskich obozach.

A Mołotow dalej spokojniutko wertuje stare gazety i pisze swoje pamiętniki kata. Chwat zaś — beztrosko korzysta ze swojej renty w domu numer 41 przy ulicy Gorkiego.

*X* Archipelag Guług
VIII

## UCIECZKI Z MORAŁEM I UCIECZKI Z TECHNOLOGIĄ

Do ucieczek ze zwykłych obozów ITŁ — jeśli tylko nie kończyły się w Wiedniu albo po drugiej stronie cieśniny Beringa — szefowie GUŁagu, zgodnie zresztą z instrukcją, odnosili się raczej pobłażliwie. Upatrywali w nich zjawisko żywiołowe, objaw niedociągnięć trudnych do uniknięcia w zbyt wielkim przedsiębiorstwie — takich, jak pomór bydła, zatonięcie części drewna przy spławie, występowanie stłuczki wśród cegieł.

Inaczej było w Specobozach. Aby zadośćuczynić specjalnemu życzeniu Ojca Narodów, obozy te znalazły się pod nadzorem wielokrotnie wzmocnionym; wyposażenie straży w środki bojowe osiągnęło poziom uzbrojenia nowoczesnej motopiechoty (tzn. tych kontyngentów, które nie podlegają redukcji, nawet gdyby doszło do powszechnego rozbrojenia. Do tych obozów nie posyłano już elementów *socjalnie bliskich*, których ucieczki nie powodowały większych szkód. Tu już nikt nie musiał szukać wykrętów — że żołnierzy za mało albo że broń mają przestarzałą. Przy zakładaniu Spec-obozów wydano instrukcję, zgodnie z którą *nie może być* w ogóle ucieczek z tych obozów, bowiem każda ucieczka jakiegoś tutejszego więźnia równa się przejściu granicy przez szpiega grubego kalibru, jest polityczną plamą na reputacji Zarządu i dowództwa wojsk eskorty.

Ale właśnie w tym okresie Pięćdziesiątka Ósemka zaczęła dostawać ryczałtem już nie d y c h y, ale ć w i a r y — to znaczy — sięgnęła pułapu KK. To bezmyślne i powszechne obostrzenie niosło w sobie zarodek własnej słabości: podobnie jak mordercy nie mieli już teraz żadnych skrupułów (każde nowe zabójstwo prowadziło tylko do pewnego przedłużenia tej samej „dziesięciolatki") — tak samo politycznych żaden kodeks karny nie powstrzymywał już od ucieczek.

178

Nadto — do Specobozów zapędzono już nie ludzi głowiących się, jakby tu z pomocą Jedynej Naukowej Doktryny usprawiedliwić rozpasaną samowolę zwierzchności, lecz krzepkich i zdrowych chłopaków, co to całą wojnę spędzili w polu i których palce jeszcze się dobrze nie rozgięły po rzutach granatem. Gieorgij Tenno, Iwan Worobiow, Wasyl Briuchin, ich towarzysze i tylu im podobnych z innych obozów, nawet bez broni doskonale wytrzymywali konfrontację z nowymi, regularnymi oddziałami eskorty, wyposażonymi w środki techniczne motopiechoty.

I chociaż ucieczki ze Specobozów były w cyfrach absolutnych mniej liczne niż z ITŁ (ale Specobozy istniały dopiero od niedawna), lecz miały też charakter surowszy, cięższy, bardziej desperacki i beznadziejny; dlatego też było o nich znacznie głośniej.

Relacje o nich pomogą nam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę nasz lud tak był w tych latach cierpliwy, tak już pokorny.

Oto kilka takich historii.

Rok przed ucieczką Tenno miał miejsce wypadek, który posłużył mu za przykład. We wrześniu 1949 z Pierwszej Filii Stepłagu (Rudnik, Dżezkaz-gan) uciekło dwóch

katorżników — Grzegorz Kudła, przysadzisty, stateczny i rozsądny Ukrainiec, niemłody już (ale gdy mu kto dopiekł, zamieniał się w istnego Zaporożca, nawet szemrani go się bali) — i Iwan Duszeczkin, cichy Białorusin lat trzydziestu pięciu. Pracowali w kopalni i znaleźli w starym, wyrąbanym chodniku przełaz zamknięty u wylotu kratą. Tę kratę podczas nocnych szycht Kudła i Duszeczkin zdołali rozchwierutać, a w międzyczasie znosili do przełazu suchary, noże, a nawet termofor, ukradziony w ambulatorium. Gdy nadeszła noc ucieczki, oznajmili brygadziście — każdy zrobił to z osobna — że czują się źle, nie mogą pracować i muszą poleżeć. Nocami pod ziemią nie ma nadzorców, brygadzista reprezentuje całą władzę, ale używać musi jej ostrożnie, bo zawsze mogą go *znaleźć* na przodku z rozbitym łbem. Zbiegowie nabrali wody do termo-foru, zabrali swoje zapasy i zniknęli w przełazie. Wyłamali kratę i popełzli przed siebie. Wylot, jak się okazało, był niedaleko wieżyczek, ale już poza żoną. Nikt ich nie zauważył.

Z Dżezkazganu poszli przez pustynię na przełaj, na północny zachód. We dnie leżeli, nocami szli. Nie znajdowali nigdzie wody i po tygodniu Duszeczkin nie chciał już wstawać. Kudła skłonił go do wstania na nogi, twierdząc, że woda może być za pagórkami, które widzieli przed sobą. Dowlekli się tam, ale w rozpadlinach znaleźli nie wodę, lecz błoto. I Duszeczkin powiedział wtedy: — „Ja i tak już dalej nie pójdę. *Załatw* mnie tutaj i napij się mojej krwi!".

Panowie moraliści! Jak tu należało postąpić? Kudle też już dwoiło się

179

w oczach. Przecież Duszeczkin zginie i tak — dlaczego Kudła też ma ginąć?... Ale jeśli woda jest już niedaleko — to ***jak*** potem będzie całe życie wspominać Duszeczkina?... Kudła podjął decyzję: pójdę jeszcze kawałek, jeśli do rana wrócę bez wody, to skrócę jego męki, niech tam dwóch naraz nie ginie. Kudła powlókł się w stronę najbliższego pagórka, zobaczył na drugim jego zboczu rozpadlinę i —jak w najfantastyczniejszej powieści — wodę w tej rozpadlinie! Kudła stoczył się na jej brzeg, przypadł ustami i pił, pił! (dopiero nad ranem zobaczył w niej kijanki i wodorosty). Z pełnym termoforem wrócił do Duszeczkina: — „Przyniosłem ci wody, wody!". — Duszeczkin nie chciał wierzyć, pił — i nie wierzył, że to woda (w ciągu tych nocnych godzin nieraz mu się zdawało, że pije...). Dowlekli się do tej rozpadliny i zostali przy niej, aby jeszcze pić.

Po pragnieniu zjawił się głód. Ale następnej nocy przekroczyli jakąś przełęcz i zeszli w dolinę iście błogosławioną: rzeka, trawa, krzewy, konie, życie. Gdy zapadł zmrok Kudła podkradł się do tabunu i zabił jednego z koni. Chłeptali jego krew prosto z ran. (Bojownicy o *pokój!* Tego roku zebraliście się na huczny kongres w Wiedniu czy Sztokholmie, gdzie piliście koktajle przez słomkę. Nie postało warn chyba w głowie, że krajanie ry-motwórcy Tichonowa i publicysty Erenburga wysysają krew z końskiego ścierwa? Czy nie wyjaśnili warn, że to wchodzi w skład sowieckiego pojęcia p o k o j u ?).

Piekli więc końskie mięso na ogniskach, długo jedli je i długo szli. Obeszli opłotkami Amangeldy na Turgaju, ale na jakimś gościńcu dogoniła ich ciężarówka i

jadący nią Kazachowie zażądali od nich dokumentów, grożąc, że wydadzą w ręce milicji.

W dalszej drodze spotykali często ruczaje i jeziora. Kudła złapał i zarżnął barana. Już cały *miesiąc* tak uciekali! Doszli wreszcie do pierwszego lasku, znaleźli w nim ziemiankę i zamieszkali w niej: nie chciało im się porzucać żyznych okolic. Ten długi popas i fakt, że nie ciągnęło ich do ziemi ojczystej, że nie spodziewali się znaleźć tam spokoju — wszystko dowodzi jak desperacka i bezcelowa była ich ucieczka.

Nocami robili wypady na teren pobliskiego sioła. To skradli tam saga-nek, to wyłamali zamek w komórce i zabrali mąkę, sól, siekierę, garnki. (Zbieg — podobnie jak partyzant — krążąc wśród ludzi wegetujących w spokoju, musi wkrótce stać się złodziejem...). A pewnego razu uprowadzili nawet krowę i zarżnęli ją w lesie. Ale właśnie spadł pierwszy śnieg i — nie chcąc zostawić śladów — musieli siedzieć bez przerwy w ziemiance. Ledwie tylko Kudła wylazł po trochę chrustu, zaraz zobaczył go leśnik i natychmiast zaczął strzelać. — „To wyście ci złodzieje? To wyście krowę ukradli?". — Obok ziemianki były jeszcze ślady krwi na ziemi. Odprowa-

180

dzono ich do wioski, wzięto pod klucz. Ludzie krzyczeli: zabić ich na miejscu bez litości! Śledczy z powiatu miał przy sobie list gończy i oznajmił chłopom: — „Ale zuchy! Nie złodziei złapaliście, tylko groźnych politycznych bandytów!".

I tu wszystko się odmieniło. Nikt już więcej nie krzyczał. Właściciel krowy — okazało się, że to Czeczeniec, więc deportowany, przyniósł aresz-tantom chleba, baraniny, a nawet pieniędzy, co je Czećzericy zebrali. — „Ech — powiedział — czemuś nie przyszedł, nie powiedział, kim jesteś! Toć sam bym ci wszystko dał!...". — (Można w to nie wątpić, to bardzo po czeczeńsku). Wtedy Kudła się rozpłakał. Po tylu latach zawziętości serce nie wytrzymuje współczucia.

Aresztantów odstawiono do Kustanaja. Tam, w kolejowej pace nie tylko odebrano im (dla siebie) całą czeczeriską prowizję, ale *w ogóle nie dawano jeść!* (I Korniejczuk nic warn o tym nie powiedział na Kongresie Pokoju?). Na Kustanajskim peronie kazano im czekać na pociąg — na kolanach, z rękoma skutymi i wykręconymi do tyłu. Tak ich trzymano na pokaz.

Gdyby to było na peronie w Moskwie, w Leningradzie, w Kijowie, słowem — w którymkolwiek z uprzywilejowanych miast — to nikt by nie chciał zwrócić uwagi na tego siwego, rzuconego na kolana starca w kajdanach jak z obrazu Riepina; wszyscy przechodziliby obok, nie widząc nic, nie odwracając głów — i współpracownicy wydawnictw literackich, i czołowi filmowcy, i lektorzy z humanistyki, i oficerowie, nie mówiąc już o działaczach związkowych i partyjnych. Także wszyscy szarzy, nie wyróżniający się niczym, nie piastujący żadnych stanowisk obywatele — też staraliby się przewinąć bez zwracania na siebie uwagi, żeby eskorta nie spytała, ktoś zacz i nie zapisała nazwiska — bo przecież masz, człowieku, moskiewski meldunek, w Moskwie są dobre sklepy, nie

wolno ryzykować... (Można jeszcze zrozumieć podobne postępowanie w 1949 roku, ale czy w 1965 byłoby inaczej? Czy nasi młodzi a zdolni ujęliby się przed konwojem za siwowłosym starcem, klęczącym w kajdanach na peronie?)

Ale kustanajcy niewiele mieli do stracenia, mieszkali tam sami malkontenci albo z masłem na głowie, albo po prostu deportowani. Jęli tedy gromadzić się koło aresztowanych, rzucać im machorkę, papierosy, chleb. Kudła miał dłonie skute za plecami, więc pochylił się, aby ugryźć chleb wprost z ziemi, ale konwojent *czubkiem buta wybił mu chleb z ust.* Kudła przewrócił się na bok i znów popełzł do chleba, ale konwojent kopnął kromkę chleba daleko w bok! (Panowie reżyserowie, tak lubiący w swoich filmach pokazywać poczciwych starców i staruszki! — może zechcecie zapamiętać ujęcie z tym starcem?). Tłum gęstniał, padały okrzyki: „Puście ich! Puście!". Przybył patrol milicji. Patrol okazał się lepiej uzbrojony od tłumu i rozegnał go.

181

Nadszedł pociąg i zbiegowie odjechali nim w kierunku kengirskiego więzienia.

Ucieczki kazachstańskie są monotonne jak tutejszy step. Ale może ta monotonia pozwala lepiej widzieć sedno sprawy?

Też z kopalni, też z Dżezgazganu, ale w roku 1951, starym przełazem trzech więźniów wyszło na powierzchnię. Była noc. Maszerowali tak jeszcze trzy noce. Pragnienie dało im się już wystarczająco we znaki — widząc więc kilka kazachskich jurt, dwu z nich postanowiło poprosić mieszkańców
0 wodę, trzeci zaś — Stiepan X. wolał zostać na stoku pobliskiego
pagórka. Widział, jak koledzy wchodzą do jurty i jak wkrótce wybiegają
z niej. Gonił ich tłum Kazachów — i wkrótce dogonił. Stiepan — szczupły
1drobny, uciekł klucząc jarami i kontynuował swoją wędrówkę w samo
tności, nie mając przy sobie nic, prócz noża. Starał się iść na północny
zachód, ale wciąż zmieniał kierunek: unikał spotkań z ludźmi, wolał zwie
rzęta. Wyciął sobie kij i polował na susły i chomiki ciskając w nie tym
kijem, gdy robiły stójkę koło norek. Ich krew starał się wysysać, a mięso
piekł na ogniskach z chrustu.

Właśnie takie ognisko go zdradziło. Pewnego dnia Stiepan zobaczył jeźdźca w ogromnej, rudej czapie futrzanej; zbliżał się galopem i Stiepan ledwie zdążył przykryć swój szaszłyk gałęźmi, aby Kazach nie zorientował się, co też to za danie. Kazach podjechał blisko i jął wypytywać — kto zacz i skąd. Stiepan wyjaśnił — że pracował w kopalni manganu w Dżezdach (wolni też tam pracowali), a kieruje się do sowchozu, gdzie pracuje jego żona — jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Kazach zapytał, jak się ten sowchoz nazywa. Stiepan wybrał wersję najbardziej prawdopodobną: „imienia Stalina".

Synu stepów! A popędziłbyś sobie dalej swoją drogą! Co ci złego zrobił ten mizerak? Nie! Kazach oznajmił groźnie: — „Twoja siedziała *w turma.* Idziemy!". — Stiepan zaklął tylko i poszedł swoją drogą. Kazach jechał za nim i wciąż się domagał, aby Stiepan szedł za nim. Potem sadził w bok od drogi, wymachiwał czapą, wzywał

swoich do pomocy. Ale step był pusty. Synu stepów! A zostawiłbyś go w spokoju, toć widzisz, że z gołą pałką w ręku idzie przez step, co ciągnie się na setki wiorst, idzie bez zapasów. I tak zginie! Czy ci tak potrzebne to kilo herbaty?

Żyjąc już od tygodnia jak zwierz, Stiepan nauczył się odróżniać każdy szmer i świst. Nagle usłyszał w powietrzu odgłos nowy — i nie widząc jeszcze o co chodzi, instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Odskoczył w bok. To go uratowało. Okazało się, że Kazach rzucił arkan, ale Stiepan wywinął się z pętli.

Polowanie na dwunożne zwierzę! Człowiek — albo kilo herbaty! Kazach zaklął i zwinął arkan. Stiepan ruszył dalej mając się na baczności i starając

182

się nie tracić Kazacha z oczu. Ten podjechał bliżej, zwinął arkan i znów nim rzucił. Wtedy Stiepan podbiegł do niego i ciosem pałki po łbie zbił go z siodła. (Sił miał niewiele, ale to już była sprawa gardłowa). — „Masz swój kałym, babaj" — bez pardonu zaczął go lać ze wściekłości, jak zwierz, co rwie kłami drugiego zwierza. Gdy jednak zobaczył krew, powstrzymał się. Zabrał Kazachowi arkan i knut, wlazł na konia; u siodła przywiązany był jeszcze mieszek z zapasami.

Eskapada jego trwała jeszcze długo — ze dwa tygodnie, ale odtąd Stiepan starannie unikał głównych wrogów — innych ludzi, rodaków. Już rozstał się z koniem, już przebył wpław jakąś rzekę (a nie umiał pływać! — tratwę z trzciny też sobie sklecił, nie wiedząc, jak to się robi!), już próbował polowania — musiał w ciemnościach uciekać przed jakimś dużym zwierzęciem, chyba niedźwiedziem. I oto pewnego dnia tak go zadręczyło pragnienie, głód, znużenie, ziąb — że zdecydował się na wejście do samotnej jurty, aby wyżebrać tam cokolwiek bądź. Dziedzińczyk przed jurtą otoczony był płotem z samanu i zbyt późno, bo dopiero podchodząc do ogrodzenia, Stiepan zobaczył tam dwa konie pod siodłem i młodego Kazacha w bluzie z orderami, idącego mu naprzeciw. Za późno było na ucieczkę, Stiepan zrozumiał, że to już koniec. A Kazach wyszedł za potrzebą. Był pijaniusieńki i ucieszył się na widok Stiepana, nie widząc jakby wcale, jak nieludzko ten człowiek jest obdarty. — „A chodźże, chodźże, witamy gościa!". — W jurcie siedział stary ojciec i drugi młody Kazach z orderami na piersi. Byli to dwaj bracia, byli frontowcy, teraz — na wysokich stanowiskach w Ałma-Acie, którzy przyjechali do ojca z wizytą; konie wzięli w pobliskim kołchozie. Chłopcy ci wiedzieli, co to wojna i dlatego byli ludźmi, a ponadto byli bardzo pijani, więc pijacka beztroska aż ich rozpierała (ta sama dobroduszna beztroska, którą chciał z nas wykorzenić — ale niezupełnie mu się to udało — Wielki Stalin). Im też było miło, że w biesiadzie weźmie udział jeszcze jeden człowiek, choć to tylko prosty robociarz z kopalni, idący do Orska, gdzie jego żona lada chwila ma rodzić. Nie pytali go o dokumenty, tylko napoili, nakarmili i położyli spać. Tak też bywa... (Czy zawsze alkohol jest wrogiem człowieka? Czy niekiedy nie wyzwala w nim jakichś lepszych pierwsiastków?).

Stiepan zbudził się wcześniej niż jego gospodarze; mimo wszystko lękał się pułapki, więc wyszedł na dwór. Nie, oba konie stały sobie dalej i na jednym z nich mógłby zaraz odjechać precz. Ale nie chciał krzywdzić porządnych ludzi — i

poszedł piechotą.

Szedł tak jeszcze parę dni — i zaczął już spotykać samochody. Na ich widok zawsze krył się w polu. Doszedł wreszcie do torów kolejowych. Idąc wzdłuż nasypu tejże nocy dotarł do stacji Orsk. Wsiąść do pociągu! — Tyle

183

tylko zostało do zrobienia. Zwycięstwo! Udało mu się dokonać cudu — o kiju, z nożem własnej roboty, zupełnie sam, przebył od krańca do krańca ogromną pustynię — i oto był u celu.

Ale w świetle latarni zobaczył, że po torach stacyjnych snują się żołnierze. Wówczas pobrnął dalej wzdłuż torów aż do skrzyżowania z gościńcem. Teraz już nie chował się z nadejściem dnia: był już przecież w Rosji, na ziemi ojczystej! Zobaczył jadący mu na spotkanie samochód; ciągnął za sobą obłok kurzu. Pierwszy raz Stiepan nie uciekł w pole. Z tej pierwszej ojczystej maszyny wyskoczył rodak-milicjant: „Ktoś ty taki? Ano, pokaż dokumenty!". Stiepan wyjaśnił, że jest traktorzystą szukającym pracy. W samochodzie siedział akurat przewodniczący kołchozu: „Zostaw go, cholernie mi brak traktorzystów! Kto tam na wsi ma dokumenty!".

Cały dzień jeździli, coś tam targowali, pili i jedli, ale przed zmrokiem Stiepan nie wytrzymał i pobiegł w stronę lasu, do którego było jakieś dwieście metrów. Milicjant był zręczniejszy — wystrzał! jeszcze jeden! Trzeba było się zatrzymać. Kajdanki.

Prawdopodobnie zgubiono jego ślady i uznano za zaginionego, a żołnierze w Orsku szukali całkiem kogoś innego, bo milicjant był nie od tego, by go puścić, a w rejonowej delegaturze MWD początkowo bardzo Stie-panowi świadczono — dano herbaty z kanapkami, papierosów „Kazbek", przesłuchiwał go sam naczelnik (cholera ich wie, tych całych szpiegów, jutro pojedzie do Moskwy i tam zacznie się skarżyć) i mówiono z nim przez „wy". — „A gdzie wasz radionadajnik? Która komórka jakiego wywiadu was tu przerzuciła?". — „Komórka?" — dziwił się Stiepan. — „Ja nie w komórce pracowałem, tylko więcej w kopalni".

Ale nie na kanapkach się skończyło, tylko znacznie gorzej. Żebyż tylko cielesną powłokę Stiepana dostali w łapy! Po powrocie do obozu bito go długo i bezlitośnie. Zadręczony i złamany Stiepan X. dał się strącić do poziomu, na jakim przed ucieczką jednak nie był: podpisał *deklarację* podsuniętą przez kengirskiego opera Bielajewa, że będzie odtąd pomagać w wykrywaniu kandydatów do ucieczki. Stał się czymś w rodzaju kaczki, puszczonej na wabia. Całą historię swojej ucieczki opowiadał on w kengir-skim więzieniu ze szczegółami to jednemu, to drugiemu towarzyszowi z tej samej celi, czekając na jego reakcję. I jeśli słuchacz zdradzał chęć powtórzenie eksperymentu — Stiepan X. meldował o tym kumowi.

Rysy dzikiej bezwzględności, które widoczne są w dziejach wszystkich trudnych ucieczek, ostro uwydatniły się w krwawej i niedorzecznej ucieczce z tegoż Dżezkazganu, tego samego lata 1951 roku.

Sześciu zbiegów — przed nocną *zrywką* z kopalni — uśmierciło siódme-

184

go, który miał u nich opinię kapusia. Następnie wyszli w step przez zapomniany chodnik. Tych sześciu było ludźmi bardzo rozmaitego autoramentu, dlatego też — od samego początku nie chcieli trzymać się razem. Byłoby to słuszne, gdyby mieli rozsądny plan.

Jeden z nich poszedł z punktu do osiedla wolnych, tuż obok obozu i zapukał do okna pewnej swojej sympatii. Nie zamierzał szukać u niej kryjówki pod.podłogą albo na strychu (to byłoby wcale nie głupie), tylko chciał spędzić parę szczęsnych chwil (od razu poznajemy w nim knajaka). Używał tak życia jedną noc i jeden dzień, a następnego wieczoru wdział garnitur jej byłego męża poszedł z nią razem do świetlicy na film. Obozowi nadzorcy, co też tam byli, rozpoznali go i natychmiast *zaharapczyli.*

Dwaj inni, Gruzini, lekkomyślni i zarozumiali, udali się prosto na dworzec i pojechali w stronę Karagandy. Ale z Dżezkazganu — prócz szlaków pasterskich i ścieżynek, wydeptanych przez zbiegów, żadnymi innymi drogami nie sposób się wyrwać w świat — prócz jednej zaledwie kolei, prowadzącej tylko i wyłącznie w stronę Karagandy. Wzdłuż tej drogi leżą same obozy i na każdym przystanku urzędują posterunki operacyjne. Tak więc, nie dojeżdżając do Karagandy, obaj nasi Gruzini zostali *zapeklowani.*

Trzej pozostali ruszyli na południo-zachód, najtrudniejszym szlakiem. Nie ma tu ludzi, ale też nie ma wody. Niemłody Ukrainiec Prokopenko, były żołnierz frontowy, miał mapę, namówił tamtych do wyboru tej drogi i obiecał, że wodę znajdzie. Towarzyszyli mu w ucieczce — pewien krymski Tatar — półknajak i plugawy, zepsiały złodziejaszek. Bez wody i jedzenia szli tak przez cztery doby. Nie mogąc tego dłużej znieść, Tatar i złodziej oznajmili Prokopence: — „Musimy cię załatwić". — Nie zrozumiał i spytał: — „Jak to? Chcecie, żebyśmy się rozeszli?". — „Nie, trzeba cię *załatwić.* Wszyscy, jak jesteśmy, nie dojdziemy". — Prokopenko jął ich błagać. Rozpruł czapkę, wyjął z niej fotografię żony i dzieci, mając nadzieję, że tym ich wzruszy. — „Chłopaki! Przecież razem poszliśmy szukać wolności! Ja was stąd wyprowadzę! Zaraz tu będzie studnia! Woda będzie na pewno! Jeszcze trochę cierpliwości! Zmiłujcie się!".

Ale ci go zarżnęli, spodziewając się jego krwią ugasić pragnienie. Przecięli mu żyły — ale krew się nie pokazała. Zakrzepła...

Patrząc na siebie wilkiem, bo teraz ktoś z nich miał dać gardło, poszli tedy dalej — tam, gdzie bat'ko Prokopenko im kazał — i *po dwóch godzinach* znaleźli studnię...

A następnego dnia zostali zauważeni z samolotu i wzięci w dyby.

Zeznali to wszystko w śledztwie, cały obóz o tym się dowiedział — i postanowiono *uchechłać* ich za Prokopenkę. Ale trzymano ich w oddzielnej celi i na sąd zawieziono do innego obozu.

185

Można by uwierzyć, że wszystko zależy od gwiazd, pod którymi się ucieczka zaczęła. Można jak najstaranniej opracować dalekie plany — ale w jakimś feralnym

momencie gaśnie w żonie światło i już pali na panewce-projekt porwania samochodu. A tymczasem inna ucieczka zaczyna się od nagłego porywu — ale okoliczności zbiegają się, jak na zamówienie.

Latem 1948 roku w tej samej Dżezkazgańskiej Pierwszej Filii (nie był to jeszcze wtedy Specobóz) któregoś ranka posłano samochód-wywrotkę po transport piasku z dalekiej kopalni do rozlewni zaprawy. Kopalnia piasku nie była zaliczana do *obiektów* — to znaczy, że nie miała stałej ochrony, więc wywrotka musiała zabrać również tragarzy — trzech więźniów z d y c h ą i ć w i a r a m i . Eskorta składała się z frajtra i dwóch strzelców, kierowca był to pospolitak zwolniony spod straży. Okazja! Ale okazję trzeba umieć wykorzystać z tą samą szybkością, z jaką się ona zjawia. Więźniowie powinni byli i podjąć decyzję, i wejść w zmowę pod okiem i w obecności konwojentów, stojących tuż obok, podczas gdy oni ładowali piasek. Wszyscy trzej mieli te same życiorysy, typowe wtedy dla mnogich milionów: najprzód front, potem niemieckie obozy, ucieczki z nich, karne łagry koncentracyjne, wyzwolenie pod koniec wojny — i w nagród[0] za to wszystko — ojczyste więzienie. I czemuż to teraz nie uciekać we własnym kraju, gdy nie bali się w Niemczech? Załadowali piach i frajter wsiadł do szoferki. Dwaj strzelcy z automatami usiedli w przedniej części nadwozia, plecami do szoferki i wymierzyli lufy w zeków, siedzących na piasku z tyłu pudła. Ledwie opuścili kopalnię, na dany znak więźniowie sypnęli konwojentom piasku w oczy i rzucili się na nich sami. Rozbroili żołnierzy i przez okna szoferki ogłuszyli kolbą dowódcę. Samochód stanął, szofer ledwie był żywy ze strachu. Powiedzieli mu wtedy: „Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy, tyś przecie nie pies! Wysypuj!". Poszedł w ruch silnik i piasek — drogocenny, droższy od złota, ten, któremu zawdzięczali wolność — zwalił się na ziemię.

I tu — jak podczas wszystkich niemal ucieczek — niech tego historia nie zapomni! — niewolnicy okazali się bardziej wspaniałomyślni niż ich panowie. Zbiegowie nie zabili konwojentów, ani ich nie pobili, kazali im tylko rozebrać się, zzuć buty i — boso, w spodniej bieliźnie — kazali wracać do domu. — „A ty z kim, panie kierowco?". — „A z wami, z kim by jeszcze" — zdecydował szofer.

Aby zbić z tropu rozzutych strażników (oto cena miłosierdzia!) najprzód pojechali na zachód (step gładki, jedź gdzie chcesz), potem jeden przebrał się za frajtra, a dwóch za żołnierzy i skręcili na północ. Wszyscy pod bronią, szofer z przepustką, żadnych podejrzeń! Mimo to, mijając linie telefoniczne — rwali druty, aby utrudnić łączność (ściągali druty zarzuca-

186

jąc na nie sznur z ciężarkiem, a potem szarpali hakiem). Tracili na to czas, ale zysk był większy. Cały dzień pędzili na pełnym gazie, aż licznik wskazał trzysta przejechanych kilometrów i strzałka paliwa zbliżała się do zera. Jęli przyglądać się mijanym samochodom. „Pobieda"! — zatrzymali ją. — „Towarzysze wybaczą, ale taka nasza służba — poprosimy dokumenty do kontroli". Okazało się, że grube ryby!, partyjna góra z powiatu jedzie do swoich kołchozów — coś sprawdzić czy

podkręcić, a może po prostu na tłusty beszbarmak. — „Wychodzić! Raz-dwa! Rozbierać się!". — Panowie władza błagają, żeby ich nie rozstrzeliwać. Zostali wyprowadzeni daleko w step, w samej bieliźnie, związani; zbiegowie zabrali im dokumenty, pieniądze, garnitury i odjechali „Pobiedą". (A strzelcy, rozebrani rano, dopiero wieczorem doszli do najbliższej kopalni. Krzyk z wieżyczki: — „Nie zbliżać się!". — ,,My swoi!". — „Jacy swoi, kiedy w samych gaciach!").

Zbiornik „Pobiedy" nie był pełen. Przejechali ze dwieście kilometrów — i koniec, kanister też już pusty. Zaczęło się ściemniać. Zobaczyli pasący się tabun. Siedli na oklep i popędzili naprzód. Ale szofer spadł z konia i zwichnął nogę. Chcieli posadzić go na drugiego, ale odmówił: „Nie bójcie się, chłopaki, ja nie nakapię!". Dali mu pieniędzy, prawko z „Pobiedy" i pojechali dalej. Szofer był ostatnim, który ich widział, od tej chwili — znikł wszelki ślad. Do obozu też nikt z nich nie wrócił. W ten sposób swoje ćwiary i czerwońca zostawili chłopaki w kasie specwywiadu nie żądając reszty. Zielony prokurator lubi śmiałków!

A kierowca rzeczywiście — nie nakapal. Urządził się w kołchozie koło Piotropawłowska. I żył spokojnie przez cztery lata. Zgubiła go miłość do sztuki. Grał dobrze na harmonii, występował w miejscowej świetlicy, później pojechał na powiatowy festiwal twórczości amatorskiej, jeszcze później — na okręgowy. Już sam nie pamiętał prawie o poprzednim swoim wcieleniu — ale wśród publiczności był ktoś z dżezkazgańskiego nadzoru — i wzięto go z punktu, zza kulis. Oberwał tym razem 25 lat z artykułu 58. Wrócił do Dżezkazganu.

Szczególny gatunek ucieczek — to te, które za podłoże mają nie desperacki zryw, lecz techniczną kalkulację i biegłość.

W Kengirze obmyślona została słynna próba ucieczki wagonem kolejowym. Na jeden z obiektów stale przysyłano składy towarowe z cementem i azbestem. Wewnątrz żony wagony opróżniano z ładunku i odsyłano — już puste. Pięciu zeków wpadło na taki pomysł: wykonali dokładną kopię

187

bocznej ścianki krytego wagonu towarowego w formie przepierzenia — i to składanego, na zawiasach, tak że gdy nieśli ją do wagonu, wyglądała jak szeroka schodnia dla taczek... Wypracowali sobie taki plan: przez cały czas rozładunku gospodarzami wagonu są zeki; przez ten czas trzeba wciągnąć przepierzenie do wagonu i rozłożyć je na podłodze, przymocować jego dolny brzeg do podłogi klamrami z uszkiem; cała piątka staje teraz plecami do bocznej ściany i sznurami podnosi przepierzenie, zostając już za nim. Cały wagon w kurzu azbestowym, przepierzenie również. Różnice długości wagonu niełatwo ocenić gołym okiem. Ale największy kłopot z harmonogramem; trzeba opróżnić wagon szybko, póki więźniowie są jeszcze na obiekcie; nie można też wsiąść za wcześnie, trzeba być pewnym, że zaraz pociąg ruszy. Tak właśnie, w ostatniej chwili rzucili się do wagonu z zapasami i nożami — i raptem — jednemu z tej paczki uwięzła stopa w zwrotnicy i

złamał nogę. To ich zatrzymało — i nie zdążyli dlatego dokończyć montażu swojej kryjówki przed kontrolą wagonów przez konwój. Zostali złapani. Był nawet proces w tej sprawie[1].

Ten sam pomysł, tylko w indywidualnym zakresie, zastosował kursant szkoły lotniczej Batanow. W dziale gospodarczym w Ekibastuzie wyrabiano futryny i drzwi, rozwożąc je później na obiekty budowlane. Robota szła na trzy zmiany i wieżyczki strażnicze nigdy nie były puste. A na budowach warta stała tylko we dnie. Z pomocą przyjaciół Batanow znalazł się w obitej deskami ramie, ramę załadowano na samochód i wyładowano ją na jakiejś budowie. W Ekibastuzie poplątały się komuś rachunki i tego wieczoru jeszcze nikt go nie szukał — a na budowie zbieg wyłamał deski w skrzynce, wylazł — i poszedł sobie. Jednakże, tejże nocy złapany został na drodze do Pawłodaru. (Ta jego ucieczka miała miejsce rok po nieudanym porwaniu samochodu, kiedy to przestrzelili im gumę).

Dzięki ucieczkom — doprowadzonym do skutku i udaremnionym już przy starcie; dzięki dojrzewającym wypadkom, od których już się ziemia w żonie paliła[2]; dzięki przemyślanym zabiegom operów; dzięki tym co odmawiali chodzenia do pracy — i wszelkim innym buntownikom — puchła w Ekibastuzie coraz bardziej Brygada Obostrzonego Regulaminu. Już się nie mogła pomieścić ani w obu kamiennych skrzydłach więzienia, ani w reżymce (barak nr 2, opodal sztabowego). Założono więc jeszcze jedną reżymkę (barak nr 8). Specjalnie dla banderowców.

[1] W taszkenckim szpitalu onkologicznym leżący ze mną w jednej sali konwojent —
Uzbek opowiadał mi o tej ucieczce jako uwieńczonej sukcesem: mówi! z mimowolnym
zachwytem.

[2] Patrz rozdz. X.

188

Po każdej nowej ucieczce czy przejawie buntu — więzienny reżym we wszystkich trzech reżymkach ulegał dalszemu zaostrzeniu. (Zanotujmy tu przyczynek do dziejów knajackiego świata: wśród s u k w BUR-ze podniósł się wrzask: „A to dranie! Dosyć tych ucieczek! Przez te wasze ucieczki zadręczą nas tu dyscypliną... Za takie sprawki w normalnym obozie bierze się po pysku". A więc mówili właśnie to, czego chciały władze).

Latem 1951 roku reżymka — barak nr 8 — postanowiła uciekać gromadą jak jeden mąż. Do drutów żony było z tego baraku tylko 30 metrów, zdecydowano się więc na podkop. Ale gadali o tym za głośno, sądząc, że banderowiec nie może być szpiclem. Tymczasem szpicle wśród nich byli. Zdążyli przekopać tylko parę metrów chodnika, gdy już ich nakryto.

W baraku nr 2 wodzireje reżymki bardzo byli nieradzi z całego tego hałasu — nie dlatego, by lękali się represji, jak s u k i — lecz dlatego, że także ich dzieliło tylko 30 metrów od żony — i że jeszcze przed Ukraińcami zaplanowali i rozpoczęli podkop

wysokiej klasy. Teraz zaś bali się, że jeśli ten sam pomysł przyszedł do głowy pasażerom jednej i drugiej reżymki, to również p s i a r n i a może wpaść na myśl — by skontrolować obie. Ale gospodarze Ekibastuza, nastraszeni bardziej ucieczkami „samochodowymi", uznali za naczelne swoje zadanie otoczenie żony mieszkalnej i wszystkich obiektów fosami metrowej głębokości, w które musiałby wpaść każdy samochód. Jak w średniowieczu — nie dość było murów, jeszcze fosa okazała się potrzebna. Koparka krocząca gładko i sprawnie ryła teraz takie rowy dookoła obiektów, jeden za drugim.

Reżymka w baraku nr 2 była miniaturową żoną z- własnymi zasiekami wewnątrz wielkiej żony Ekibastuza. Wrota do niej zawsze były zamknięte na cztery spusty. Prócz czasu spędzanego przy robocie w wapienniku, więźniom reżymki wolno było spacerować — po malutkim podwórku obok baraku — nie dłużej niż 20 minut dziennie. Cały pozostały czas poranny byli w baraku, a do żony ogólnej wkraczali tylko na apel poranny i wieczorny. Do stołówki ogólnej nie mieli wstępu, kucharze przynosili im sała-machę w beczkach.

Robotę przy wapnie więźniowie trakowali jako możliwość pogrzania się na słońcu i nawdychania się powietrza; reżymka nie bardzo się rwała do machania łopatą przy wapnie. A kiedy jeszcze w końcu sierpnia 1951 roku doszło do morderstwa na terenie obiektu (knajak Aspanow zatłukł łomem Anikina — zbiega, który przeszedł podczas zamieci ponad drutami po śnieżnej zaspie, ale został schwytany w ciągu doby i posłany do reżymki. Patrz część III, rozdział 14) — zjednoczenie w ogóle odmówiło zatrudnienia takiej „siły roboczej" i przez cały wrzesień reżymki na dwór wcale nie wyprowadzano, zapanował w niej autentyczny reżym więzienny.

189

Siedziało tam wielu „zbiegów z przekonania"; latem zaczęła się tworzyć z nich zgrana grupa kandydatów do ucieczki — było ich dwunastu, chłop w chłopa (Mahomet Hadżijew, przywódca ekibastuzkich mahometan; Wa-syl Kustarnikow; Walenty Ryżkow; Mutianow! pewien oficer — Polak, amator podkopów — i jeszcze paru innych). Wszyscy tam byli równi, ale Stiepan Konowałow, kubański Kozak, cieszył się największym mirem. Poprzysięgli sobie, że kto piśnie choćby słówko — temu kryska; albo musi sam się zabić, albo inni go zarżną!

W tym okresie żona Ekibastuzu już była ogrodzona czterometrowym ścisłym parkanem. Ciągnął się wokół niego pas bronowanego gruntu czte-rometrowej szerokości, dalej rozpościerało się piętnastometrowe pasmo ziemi niczyjej i wreszcie wzdłuż jego skraju owa metrowa fosa. Pod całą tą linią obronną miał być przeprowadzony podkop, ale w taki sposób, aby nikt i za żadne skarby go nie wykrył.

Pierwsze poszukiwania wykazały, że fundamenty baraku są za niskie, że całe podpiwniczenie budynku jest tak małe, iż nie będzie miejsca na wykopaną ziemię. Wydawało się, że to przeszkoda nie do pokonania. A więc — nie uciekać?... I tu ktoś zaproponował: strych jest za to pojemny, można windować ziemię na strych! Wydawało się to niemożliwe. Wciągnąć dziesiątki metrów sześciennych gruntu na

strych, przez dobrze widoczne i kontrolowane pomieszczenie mieszkalne, przenosić je w sposób niedostrzegalny, co dzień, co godzinę, nie rozsypując ani szczypty, nie zostawiając śladów!?

Ale kiedy znaleźli na to sposób — radość była ogólna i decyzja została podjęta ostatecznie. Rozwiązanie przyszło samo — wraz z wyborem sekcji, to jest izby. Ten fiński barak projektowany był dla wolnych, zmontowano go na terenie obozu omyłkowo, w całym obozie nie było takiego drugiego: składał się z małych izdebek, w których mieściło się nie po siedem wago-netek, jak wszędzie, ale tylko trzy — to znaczy na dwunastu ludzi. Wybrali więc sekcję, w której już kilku spiskowych mieszkało. Różnymi sposobami, przez dobrowolną zamianę albo żartem, na wesoło powypychali postronnych („chrapiesz, bracie, a ty pierdzisz za głośno") do innych sekcji i przenieśli tu wszystkich swoich.

Im ściślej izolowano reżymkę od reszty żony, im srożej jej mieszkańców karano i uciskano — tym bardziej rósł ich autorytet moralny w obozie. Jeśli ci z reżymki czegoś chcieli — ich zamówienie miało pierwszeństwo przed wszystkimi innymi; wszystko to, co było potrzebne, wykonywano gdzieś na obiektach, przenoszono, przemycano przez wartownie i kipisze, ryzykując własną skórą, następnie — z takim samym ryzykiem przerzucano to do reżymki — w bałandzie, razem z chlebem czy lekarstwami.

190

Zostały w ten sposób zamówione i przekazane noże i osełki. Następnie — gwoździe, śruby, kit, cement, wapno, przewody elektryczne, szpule. Nożami przepiłowali starannie szpunty trzech desek w podłodze, zdjęli listwę łączącą je z jednego końca, wyjęli gwoździe ze styku każdej deski ze ścianą i z tego jej skraju, który przylegał do trampu pośrodku izby. Wyjęte w ten sposób deski zbili od spodu w jedną tarczę poprzeczką, a główny gwóźdź wbity był w tę poprzeczkę od góry: szeroki łebek był pokryty kitem koloru podłogi i przypudrowany kurzem. Tarcza ta bardzo szczelnie dopasowana była do otworu w podłodze, nie miała od góry żadnych uchwytów i nigdy jej nie podważano siekierą. Podnoszono ową tarczę w taki sposób, że zdejmowano listewkę u styku ze ścianą, zakładano pętlę z drutu pod szeroki łebek gwoździa i ciągnięto całość w górę. Przy każdej zmianie kopaczy listewkę starannie zdejmowano i nakładano z powrotem. Codziennie „my to podłogę" — moczono deski wodą, aby nasiąkły i nie miały żadnych szczelin. Ta *robota koło włazu* była jednym z głównych zadań zespołu. W ogóle — w „sekcji kopaczy" zawsze panowała czystość i wzorowy porządek. Nikt tu nie leżał w butach na wagonetce, nikt nie palił w izbie, rzeczy były zawsze poskładane, w szafce nocnej nie było paprochów. Przy kontroli nadzorcy nie tracili tu czasu. „Kultura!" — mówili i szli dalej.

Dalej szła *robota przy windowaniu* ziemi na strych. Podobnie jak w każdej innej, również w tej sekcji był piec. Między piecem a ścianą było ciasne przejście, w którym człowiek ledwie się mieścił. Chodziło o to, by przestrzeń tę przekwalifikować — przenieść ją niejako z części mieszkalnej budynku i włączyć w skład podkopu... W jednej z pustych izb została więc rozebrana
— do ostatniej drzazgi — wagonetka. Deskami spiskowcy oszalowali prze strzeń za piecem, obili deski łatami, otynkowali i pobielili na kolor pieca. Czy nadzorcy mogli pamiętać, w której z dwudziestu feb baraku piec łączy się ze ścianą, a w której jest trochę od niej odsądzony? Zresztą — nie zauważyli też zniknięcia wagonetki. Tylko mokry tynk mogli strażnicy zauważyć w ciągu pierwszych dwóch-trzech dni, ale trzeba by w tym celu obejść piec i domacać się ściany za wagonetka, a po co to, skoro to wzorowa sekcja? Ale gdyby się nawet vłydało, podkop nie byłby jeszcze w niebezpieczeństwie, bo przecież sklecili oszalowanie wyłącznie po to, by przyozdobić swoją sekcję; ten pusty zapiecek był tylko zbiorowiskiem kurzu i szpecił izbę!

Dopiero gdy tynk i wapno wyschły — wycięto nożami podłogę i sufit w zamkniętym teraz na głucho zapiecku, wbudowano do wnętrza drabinkę, zbitą z resztek rozebranej wagonetki i w ten sposób niskie podziemie połączone zostało ze strychowymi komnatami. Była to *kopalnia,* tajna kopalnia — i to pierwsza od wielu lat, w której ci młodzi mężczyźni chcieli trudzić się do siódmych potów!

191

Czy wyobrażacie sobie rodzaj pracy w obozie, która wydaje się spełnieniem marzeń, który wypełnia człowiekowi całą duszę i nie pozwala spać? Jedna jest tylko taka praca — przygotowania Bo ucieczki!

Następna robota to kopanie. Kopać trzeba nożami i trzeba je wciąż toczyć, to jasne. Ale mieli jeszcze wiele innych zadań. A więc — kalkulacja jak w projektach górniczych (inżynier Mutianow) — aby pójść w głąb tyle, ile trzeba dla bezpieczeństwa, lecz nie więcej; prowadzić podkop najkrótszą drogą; określić optymalną średnicę tunelu; wiedzieć zawsze w jakim punkcie się znajdujesz i ściśle oznaczyć miejsce wyjścia na powierzchnię. Dalej — była to również organizacja szycht i zmian: kopać przez możliwie najdłuższą część doby, ale bez zbyt częstych zmian kopaczy — i tak, by bez żadnych wyjątków, w pełnym składzie być na wieczornym i porannym apelu. Dalej — problem odzieży roboczej i higieny osobistej; jest niedopuszczalne, by wychodzić na wierzch z gliną na rękach i odzieży. Dalej — oświetlenie; jak tu kopać 60 metrowy tunel w ciemnościach?! Przeciągnęli więc przewód do piwnicy i tunelu (a trzeba jeszcze umieć przyłączyć go do sieci tak, by śladu nie było!). Wreszcie — kwestia sygnalizacji: jak wezwać kopaczy z głębi długiego, głuchego tunelu, jeśli ktoś nagle wejdzie do baraku? Albo — jak mają kopacze zawiadomić kolegów, że muszą zaraz wychodzić — ale tak, by tamtych z kolei nie narazić? Sztywność więziennego regulaminu była równocześnie jego defektem. Strażnicy nie mogli podkraść się nieznacznie do baraku i wejść doń bez hałasu — musieli używać zawsze tej samej drogi między zwojami drutu kolczastego do

furtki, potem otwierać zamek kluczem, dalej — iść do baraku. Otwierać hałaśliwie jego drzwi innym kluczem — i wszystko to łatwo można było obserwować przez okno, co prawda, nie z izby kopaczy, tylko z pustej „kabinki" przy wejściu; trzeba było tylko mieć tam obserwatora. Sygnalizacja na przodku była świetlna: dwa mrugnięcia — uwaga, przygotować się do wyjścia; częste miganie — zeks! alarm! wyłazić duchem!

Schodząc do tunelu kopacze rozbierali się do naga składając odzież pod poduszki i materace. Po zejściu do włazu przepychali się przez wąską szczelinę; trudno było zgadnąć, że za nią otwiera się spora *kamera*, gdzie stale paliła się żarówka i leżały robocze kurtki oraz spodnie. W tym samym czasie poprzednia zmiana, czterech gołych brudasów, wyłaziła przez luk na górę i starannie myła się (glina przywierała grudkami do ciała, trzeba ją było dobrze rozmoczyć albo odrywać od skóry razem z włosami).

Wszystkie te prace były już w toku, gdy wykryty został lekkomyślnie prowadzony podkop w baraku nr 8. Łatwo zrozumieć stan ducha tych z baraku nr 2 — było to poczucie nie tylko przykrości, lecz również odrazy. Ale wszystko jakoś rozeszło się po kościach.

192

W początkach września, po prawie rocznym pobycie w celi, wrócili do tejże reżymki Tenno i Żdanok. Ledwie odsapnąwszy, Tenno zaczął wiercić się niespokojnie — toć trzeba szykować się do ucieczki! Ale nikt w reżym-ce, nawet najbardziej przekonani, notoryczni zbiegowie, ani jednym słowem nie reagowali na jego wymówki — że mija najlepsza pora do ucieczek, że nie wolno tak siedzieć z założonymi rękoma! (Sekcja składała się z trzech czteroosobowych grup, pracowali na trzy zmiany i żaden trzynasty nie był im potrzebny). Wówczas Tenno zaproponował im otwarcie robienie podkopu! — ale mu odrzekli, że już o tym myśleli, lecz fundamenty są za niskie. (To już było wręcz niemiłosierne: patrzeć doświadczonemu zbiegowi prosto w pełne ciekawości oczy i kiwać głowami z rezygnacją. To tak, jakby ktoś zabronił rasowemu psu myśliwskiemu węszyć za zwierzyną). Ale Tenno zbyt dobrze wiedział z kim ma do czynienia, aby wierzyć w ich obojętność. Toć *wszyscy* oni nie mogli tak dać się przerobić!

Poddał ich więc — do spółki ze Żdankiem — zawziętej i fachowej obserwacji i to takiej, do jakiej żaden strażnik nie byłby zdolny. Zauważył, że chodzą często na papierosa do jednej i tej samej „kabinki" i zawsze po jednemu, nigdy kupą. Że we dnie drzwi ich izby zamknięte są na haczyk, a gdy się zapuka — to otwierają się nie od razu i zawsze kilku z nich mocno śpi, jakby nocy im było mało. To znów Waśka Briuchin wychodzi z klozetu cały mokry. „Co ci to?". — „A nic, myłem się, nie wolno?"

Kopią, nic, tylko kopią! Ale gdzie?, dlaczego milczą?... Tenno podchodził to do jednego, to do drugiego i brał ich na fundusz: — „Nieostrożnie kopiepie, chłopaki, nieostrożnie! Dobrze, póki ja to widzę, ale gdyby jakiś szpicel?".

Zebrali się wreszcie na naradę i postanowili przyjąć Tenno z jeszcze trzema

podobnymi zuchami. Zaproponowali mu, aby spenetrował ich izbę i spróbował znaleźć ślady — i nic nie wykrył! — ku radości swojej własnej i wszystkich kopaczy. Po czym, drżąc z emocji wlazł pod ziemię i zaczął kopać na swój rachunek.

Na przodku robota szła tak: jeden dłubał ziemię na leżąco; drugi leżąc za nim, kładł wykopane grudki do specjalnie uszytych woreczków z płótna; trzeci na czworakach wyciągał pełne już woreczki (z pomocą parcianych szelek, przerzucanych przez barki) tunelem aż do dna szybu i zawieszał je pojedynczo na haku, zwisającym ze strychu; czwarty siedział na strychu. Zrzucał pustą tarę, wciągał woreczki na górę, roznosił je cichutko po całym strychu i rozsypywał ziemię nie kupkami, lecz płaską warstwą, a pod koniec zmiany — ten grunt zasypywał żużlem, którego na strychu było pełno. Wewnątrz grupy zmieniano się przy robocie, ale nie zawsze, bo nie każdy mógł się podjąć szybkiego i sprawnego wykonania najcięższych, wyczerpujących prac: kopania i transportu worków z ziemią.



Wyciągano z początku po dwa, potem — po cztery worki — w tym celu buchnęli też kucharzowi drewnianą tacę i ciągnęli ją szleją; na tacy leżały worki. Szleja zarzucana była na kark, potem przechodziła pod pachami. Szleja nacierała kark, łamało w kościach ramion, zdzierały się kolana, po jednym takim rejsie człowiek był mokry, po całej zmianie można było odwalić kitę.

Kopało się w bardzo niewygodnej pozycji. Mieli tylko jedną łopatę z krótkim styliskiem, co dzień musieli ją toczyć. Łopatą przerzynało się w glebie pionowe bruzdy na głębokość ostrza, następnie zaś.— wpółle-żąc — opierając się plecami o nakopaną ziemię, wydłubywało się nożem grudki ziemi między bruzdami i rzucało je w głąb tunelu. Grunt był kamienisty albo gliniasty. Największe kamienie trzeba było ominąć, zmieniając trasę tunelu. W ciągu ośmio-dziewięciogodzinnej szychty przekopywało się nie więcej niż dwa metry bieżące, czasem nawet mniej niż metr.

Najgorszy był brak powietrza w tunelu. Kręciło się w głowie, niektórzy tracili przytomność, wymiotowali. Trzeba było rozwiązać jeszcze *problem wentylacji*. Otwory wentylacyjne można było borować tylko w górę, to znaczy w najbardziej niebezpiecznej, ciągle obserwowanej okolicy — obok drutów. Ale bez nich nie sposób było oddychać. Zamówili więc stalową płytkę w kształcie śmigła, umocowali w otworku kanciasty kijek, mieli w rezultacie coś w rodzaju kołowrotu — i z jego pomocą przewiercili pierwszy wąski otworek. Pojawił się przeciąg, teraz lżej było oddychać. (Kiedy kopali już na zewnątrz ogrodzenia, poza obozem — wywiercili drugi otwór).

Bezustannie dzielili się zdobytym doświadczeniem — jak i co należy robić, żeby było dobrze. Obliczali, ile już metrów ukopali.

Przełaz czyli tunel szedł w głąb pod skrajem fundamentu, następnie odchylał się od prostej — omijając napotkane głazy albo przez usterki przy kopaniu. Szerokości miał pół metra, wysokości — dziewięćdziesiąt centymetrów. Sklepienie było półokrągłe. Powałę, jak to sobie wyliczyli, dzieliła od powierzchni warstwa ziemi grubości metr trzydzieści — metr czterdzieści. Boki tunelu szalowano deskami. Pod powałą biegł

przewód, wciąż przedłużany, na którym wieszano coraz to więcej żarówek.

Jak spojrzeć wzdłuż tunelu — istne metro, obozowe metro!

Już miał długości kilkadziesiąt metrów, już kopali za obrębem żony. Nad głowami dudniły kroki rontów, słychać było wycie i skomlenie.

I raptem... raptem — któregoś ranka po apelu, kiedy dzienna zmiana jeszcze nie zeszła pod ziemię i (zgodnie z żelaznym prawem grupy) nic kompromitującego nie leżało w izbie — na drodze do baraku pokazała się cała sfora strażników z małym, surowym lejtnantem Maczechowskim, sze-

194

fem od dyscypliny na czele. Serca zbiegów ścisnęły się: wykryto podkop? Zdrada? Czy może przypadkowa kontrola?

— Zabierać rzeczy osobiste! Precz z baraku, co do jednego!

Rozkaz wykonano. Gromada zeków wylęga na spacernik i siedzi na swoich s i d o r a c h. Wewnątrz baraku słychać suchy trzask i łomot na rzędzi! Strażnicy przynoszą łomy i topory. Słychać jakby skrzyp odrywa nych desek podłogi. •

Oto los zbiega! Tyle pomyślunku, trudu, nadziei, pasji — a to wszystko na nic, gorzej nawet — bo teraz znów przyjdą karcery, bicie, śledztwo, nowe wyroki...

Ale jakoś ani Maczechowski, ani nikt ze straży nie wybiega na zewnątrz z radością, nikt rękoma z zachwytu nie wymachuje. Wychodzą spoceni, otrzepując się z kurzu i brudu, zasapani, niezadowoleni, że tyrali nadaremnie. „Pojedynczo do kontroli!", pada rozkaz na odczepne. Zaczyna się *kipisz* rzeczy osobistych. Więźniowie wracają do baraku. Co za pogrom!, w paru miejscach (tam, gdzie widać było szpary albo sterczały gwoździe) zerwana jest podłoga. W izbach wszystko porozrzucane, nawet wagonetki poprzewracali ze złości. Jedynie w *kulturalnej* sekcji nie ruszyli dosłownie nic.

Nie wtajemniczeni utyskują:

— Co ich napadło? Za czym te psy węszą?

Zbiegowie zaś widzą teraz, jak to mądrze, że nie sypali urobku pod podłogę: przez zerwane deski zaraz by zobaczono. A na strych nikt się nie pofatygował, ze strychu można co najwyżej ulecieć na skrzydełkach! Zresztą — nawet na strychu wszystko zasypane jest dokładnie żużlem.

Nie dorwała się sfora, nie dorwała! Co za radość! Jeśli pracować wytrwale i surowo przestrzegać zasad — wyniki muszą być. Teraz to już dokopiemy do końca! Zostało tylko sześć-osiem metrów do okrężnej fosy (ostatnie metry trzeba kopać szczególnie dokładnie, aby wylot trafił na dno fosy, ani wyżej, ani niżej).

A co dalej? Konowałow, Mutianow, Hadżijew i Tenno mieli już plan, zaakceptowany przez całą szesnastkę. Wyjść za druty mieli wieczorem, koło dziesiątej, kiedy skończy się apel w całym obozie, dozór rozejdzie się do swoich mieszkań albo pójdzie do baraku sztabowego, a zmiana warty na wieżyczkach będzie już przeprowadzona.

Do tunelu schodzą wszyscy, jeden po drugim. Ostatni obserwuje jeszcze żonę z

„kabinki". Następnie — razem z przedostatnim — przybija dobrze ruchomą część listwy do pokrywy włazu tak, że — gdy wychodząc opuszczą tę pokrywę, listwa znajdzie się na swoim miejscu. Gwóźdź z szeroką główką ma być wciągnięty do dołu jak najgłębiej. Ponadto przygotowane

195

są już zasuwki, którymi od spodu przymocuje się pokrywkę do reszty podłogi, ażeby nie sposób było oderwać jej od góry.

Jeszcze jedno: przed ucieczką przeciąć kraty w jednym z okien korytarza. Gdy na porannym apelu stwierdzi się brak szesnastu ludzi — nadzorcy nie od razu stwierdzą, że to podkop i ucieczka, a rzucą się z początku do poszukiwań na terenie żony, myśląc, że ci z reżymki wyszli cichcem, aby załatwić porachunki z kapusiami. Potem będą ich jeszcze szukać w sąsiednim podobozie — czy aby nie przeskoczyli tam przez mur. Czysta robota! — podkopu nie znajdą, pod oknem — ani śladu, szesnastu facetów poszło do nieba anielskim szlakiem.

Wypełzać mieli do fosy okrężnej — a następnie — po jej dnie czołgać się jeden za drugim jak najdalej od wieżyczki (wyłaź był zbyt blisko niej), pojedynczo też mieli wychodzić na drogę; między czwórkami zachowywać przerwy, aby nie budzić podejrzeń i mieć czas na rozejrzenie się w sytuacji. (Ostatni z uciekających miał swoje specjalne zadanie: powinien był zamknąć wyłaź z zewnątrz zawczasu przygotowaną drewnianą pokrywą, wymazaną gliną, wcisnąć ją jak najgłębiej i przywalić ziemią!, tak aby rano nikt nie zauważył z fosy śladów podkopu).

Przez osadę mieli iść grupami, przerzucając się głośnymi, wesołymi okrzykami. Gdyby ich kto zatrzymał — stawiać opór całą grupą, używając nawet noży.

Punkt zborny całej grupy wyznaczony był koło przejazdu kolejowego, gdzie łatwo było spotkać samochód. Przejazd wznosi się garbem nad torami, wszyscy kładą się na ziemi obok niego — i wcale ich nie widać. Przejazd jest prymitywny (szło się tamtędy do roboty, znają go), dechy leżą byle jak, ciężarówki z węglem i bez przetaczać się muszą tamtędy na pierwszym biegu. Dwóch z paczki ma podnieść ręce, zatrzymać wóz zaraz za przejazdem i podejść do szoferki z dwóch stron. Poproszą o podwiezienie. W nocy kierowca zwykle jest sam. Wyciągają noże, biorą szofera za hals, sadzają go pośrodku, Wałek Ryżkow siada przy kierownicy, reszta wskakuje na wóz i chodu do Pawłodaru! Sto trzydzieści - sto czterdzieści kilometrów na pewno się odwali w ciągu paru godzin. Nie dojeżdżając do przystani promu, skręcić wzdłuż brzegu w górę rzeki (gdy ich tu wieziono, to i owo wpadło im w oko), tam szofera związać, zostawić w krzakach, wóz też zostawić, przepłynąć Irtysz łodzią, rozbić się na grupy i — gdzie oczy poniosą! Kampania zwozu ziarna jest właśnie w toku, na wszystkich drogach pełno samochodów.

Roboty miały być zakończone 6 października. Dwa dni wcześniej, 4, zabrano na etap dwóch uczestników — Tenno i Wolodkę Kriwoszewina, złodzieja. Chcieli symulować chorobę, żeby zostać w obozie za wszelką cenę, ale oper obiecał, że odstawi ich w kajdanach, choćby nawet byli

196

w agonii. Doszli więc do wniosku, że przesadny opór wywoła podejrzenia. Pogodzili się z losem, aby nie narażać towarzyszy.

W ten sposób Tenno nie miał żadnej korzyści ze swojej natarczywości, której zawdzięczał dopuszczenie go do sekretu. To nie on został trzynastym, ale jego protegowany — nieporadny, zahukany i rozdygotany Żda-nok. Nieszczęsna to była chwila, w której paczka Stiepana Konowałowa uległa namowom Tenno.

Zakończyli kopanie, wyjście było tam, gdzie należało. Ale spadł śnieg i woleli zaczekać, aż podeschnie.

9 października wieczorem zaczęło się wszystko tak, jak to sobie zaplanowali. Pierwsza czwórka wyszła bez kłopotów. Byli to — Konowałow, Ryżkow, Mutianow i ten Polak, co mu zawsze pomagał przy ucieczkach z użyciem techniki.

Następnie — wypełzł do fosy malutki Kola Żdanok, pechowiec. Nie z jego winy, rzecz jasna, rozległy się nagle kroki na górze. Powinien był przeczekać, leżeć spokojnie, przywarować, a gdy kroki ucichną — czołgać się dalej. A ten — taki ci był żwawy — wysunął łeb. Zachciało mu się *popatrzeć* — kto to idzie?

Żwawa weszka zawsze pierwsza da się wyczesać. Ale *ta* głupia weszka doprowadziła do zguby całą grupę zbiegów, grupę wyjątkowo zgraną i zdolną do realizacji pomysłowych planów — czternaście istnień ludzkich, których długie i zawiłe losy przecięły się w tym punkcie. Dla każdego z tych ludzi ucieczka miała ważne i osobliwe znaczenie, dając nowy sens całej ich przeszłości i przyszłości, od każdego z nich zależeli gdzieś inni ludzie, kobiety, dzieci — nie narodzone jeszcze istoty — a tu weszka podniosła łebek i wszystko poszło w diabły.

Szedł zaś — jak się okazało — pomocnik naczelnika działu karnego, zobaczył weszkę, krzyknął i wystrzelił. I strażnicy — niezdolni do rozwikłania zagadki — zostali nagle wielkimi bohaterami. I mój czytelnik, His-toryk-Marksista, plaskając liniałem po książce, karci mnie z wyższością:

— No taaak... Czemu nie uciekliście? Czemu nie buntowaliście się?

I wszyscy uciekinierzy, gotowi do wyjścia (krata w oknie już była wyłamana, listwa przybita do pokrywy włazu) — popełzli teraz rakiem, rakiem, rakiem!

Kto sięgnie dna tej rozpaczy i wściekłości?, tej pogardy do siebie i swoich wysiłków?

Wrócili do baraków — wyłączyli światło w tunelu, wstawili kratę w korytarzu na swoje miejsce. Po niedługim czasie cała reżymka pełna była nadzorców. Zaczęła się kontrola według formularzy i dyslokacja wszystkich mieszkańców do kamiennego więzienia.

197

A podkopu nie znaleźli sami! (Jak długo by szukali, gdyby wszystko poszło tak, jak było zaplanowane?!). Obok miejsca, gdzie wpadł Żdanok, znaleziono półzasypaną dziurę. Ale nawet gdyby przeszli tunelem pod ba rak _ j tak nie mogliby zrozumieć, skąd ludzie wzięli się w podkopie i gdzie podziała się ziemia.

Tyle, że w *kulturalnej* sekcji brak było czterech ludzi, a ośmiu pozostałych przepuszczono teraz *przez wyżymaczkę* bez żadnego miłosierdzia — najłatwiejszy

dla tępaków sposób, by dowiedzieć się prawdy.

A bo warto ją było teraz ukrywać?

I oto wkrótce zaczęły się pielgrzymki całego garnizonu i dozoru do opuszczonego tunelu. Major Maksymienko, brzuchaty naczelnik obozu w Eki-bastuzie, pysznił się potem w Zarządzie przed innymi naczelnikami obozów:

— O, u mnie to był podkop — ho, ho! Ale my... dzięki naszej czujności...

A tu całej parady —jedna weszka...

Alarm nie pozwolił czwórce zbiegów dojść do przejazdu kolejowego. Plan się zawalił! Przeskoczyli płot pustej żony roboczej pod drugiej stronie drogi, przebiegli żonę, jeszcze jeden płot — i ruszyli w step. Nie ośmielili się iść do osady po samochód, bo już tam gęsto było od patroli.

Jak Tenno przed rokiem, od razu stracili rozpęd i szansę sukcesu.

Ruszyli na południowy wschód, w stronę Semipałatyńska. Na tę drogę nie mieli ani zapasów, ani sił — bo wszak już ostatnie dni pracowali ponad siły, na finiszu.

Piątego dnia wędrówki weszli do jurty i poprosili Kazachów o coś do jedzenia. Jak łatwo zgadnąć, doczekali się odmowy; do ludzi proszących
0 chleb gospodarze strzelali z fuzji. (Czy to taka tradycja tego stepowego,
pasterskiego ludu? A jeśli nie tradycja — to skąd te obyczaje?...).

Stiepan Konowałow chwycił za nóż, ranił strzelającego, odebrał mu broń
1 zapasy, ruszyli dalej. Ale Kazachowie gonili ich konno, wyśledzili już nad
samym Irtyszem i wezwali opergrupę.

Zostali otoczeni, pobici do żywego mięsa, a co dalej — to już dobrze, bardzo dobrze wiadomo...

Jeśli ktoś zechce teraz przytoczyć przykłady ucieczek rosyjskich rewolucjonistów z XIX lub XX wieku — *tak* najeżonych trudnościami, przy takim braku pomocy z zewnątrz, przy tak wrogim stosunku środowiska i pod groźbą tak bezprawnych kar dla złapanych — to niechże mi je tu wymieni!

I niech mi ktoś teraz powtórzy — że nie walczyliśmy.

198

## IXCHŁOPAKI Z PEPESZAMI

Pilnowali ci w długich szynelach z czarną wypustką. Pilnowali ci z samoobrony. Pilnowali dziadkowie z rezerwy. W końcu zaś przyszli młodzi, krzepcy chłopcy, urodzeni w okresie pierwszej pięciolatki, którzy nie wąchali podczas wojny prochu, wzięli do rąk nowiutkie pepesze i zaczęli nas pilnować.

Każdego dnia maszerujemy razem po dwie godziny, brniemy związani milczącą zmową na śmierć i życie: każdy z nich ma prawo zabić każdgo z nas. Oni drogą, my — bezdrożem, tam gdzie nam wszystko nie po drodze. Co rano — niemrawo, wieczorem — szparko, my do naszej stajni, oni do swojej. I jako że prawdziwego domu nikt z nas nie ma — te stajnie muszą nam starczyć za dom.

Maszerujemy — i ani spojrzymy na ich półkożuszki, na ich automaty — co nam po nich. Oni zaś maszerują i cały czas bałuszą oczy na nasze czarne szeregi. Regulamin wymaga od nich, by tak patrzyli; tak im kazano i na tym ich służba polega. Mają obowiązek wystrzałem przeciąć każdy nasz nieostrożny ruch, każdy krok.

Jak też widzą oni nas — w tych czarnych kaftanach, w szarych czapkach watowanych, w naszych szpetnych, tylekroć łatanych, tylekroć żelowanych walonkach, z łatami numerów tu i tam? Czy tak mogą wyglądać prawdziwi ludzie?

Jak tu się dziwić, że nasz wygląd budzi obrzydzenie? Przecież po to nam taki wygląd nadano. Wolni mieszkańcy osady, zwłaszcza dzieci ze szkół i nauczycielki, ze strachem zerkają z trotuarów na nasze kolumny, prowadzone środkiem jezdni. Ponoć bardzo się boją, że my, pomiot faszystowski,

199

nagle rzucimy się kupą, wytłuczemy eskortę i zaczniemy grabić, gwałcić, podpalać, zabijać. Przecież to jasne, że tylko takie popędy mieć mogą istoty tak podobne do zwierząt. Kto broni mieszkańców osady przed tymi bestiami? Konwój. Sierżant z eskorty, zapraszając nauczycielkę do tańca, może spokojnie uważać się za rycerza.

Ci chłopcy ciągle nas więc obserwują — i krocząc obok nas, i stojąc na wieżyczkach, ale nic o nas wiedzieć nie mają, a tylko mają prawo strzelać bez uprzedzenia!

O, gdyby wieczorami wolno im było przychodzić do nas, do naszych baraków, przysiadać się do nas na wagonetki i pytać — za co siedzi ten dziadek, a za co tamten ojciec, opustoszałyby te wieżyczki i nie strzelałyby te pepesze.

Ale cała przewrotność i siła systemu polega na tym, że nasz ucisk śmiertelny zasadza się na nieświadomości. Za współczucie dla nas karani są jak za zdradę kraju, chęć pogwarzenia z nami oznacza złamanie uroczystej przysięgi. I po co tam gadać z nami, skoro o wyznaczonej godzinie przychodzi politruk i „trzyma" do nich mówkę o tym, jakie jest moralne i polityczne oblicze tych wrogów ludu, co tu siedzą pod strażą. Szczegółowo, z licznymi powtórzeniami wyjaśnia im, jak bardzo te niemrawe chochoły są szkodliwe i jakim są ciężarem dla państwa (tym bardziej kusi, aby użyć ich w charakterze żywego celu). Przyniesie pod pachą jakieś teczki i oznajmia, że w specwydziale obozu pożyczono mu na jeden dzień *akta* skazanych. Wybierze pisane na maszynie papierki, w których mowa o zbrodniach, za jakie wszystkie piece Oświęcimia — to jeszcze mało — i przypisze je, ot, temu elektrykowi, który naprawiał właśnie latarnię na słupie, albo temu stolarzowi, u którego tacy a tacy towarzysze, oczywiście szeregowi, chcieli zamówić stolik nocny.

Politruk nie przegada się ani nie wygada. Nigdy nie powie chłopakom, że ludzie siedzą tu po prostu za wiarę w Boga i po prostu za szukanie prawdy, i po prostu za przywiązanie do sprawiedliwości. Albo i za nic.

Cała siłą systemu na tym polega, że człowiek nie może tu zwyczajnie pomówić z człowiekiem, tylko za pośrednictwem oficera czy politruka.

Cała siła tych chłopaków bierze się z ich ignorancji.

Cała siła tych obozów skupiła się w tych chłopcach z czerwonymi pagonami. Co

mordują z wieżyczek i polują na zbiegów.

Oto jedna z takich pogadanek politycznych, przytoczona we wspomnieniach byłego konwojenta z Nyrobłagu: „Lejtnant Samutin — wysoki, o wąskich barkach i wąskiej, podłużnej czaszce, przypomina węża. Płowowłosy, niemal bez brwi. Wiemy, że osobiście rozstrzeliwał skazanych. Teraz zaś na szkoleniu politycznym duka: 'wrogowie ludu, których tu dozoruje-

200

cie, to po prostu faszyści, plugastwo. Jesteśmy siłą i karzącym mieczem naszej Ojczyzny, musimy być twardzi i nieustępliwi. Żadnych sentymentów, żadnej litości'".

Tak właśnie kształtuje się mentalność chłopaków, którzy pojmanego i leżącego zbiega starają się kopnąć właśnie w głowę. Którzy siwemu starcowi w kajdanach wybijają nogą chleb z zębów. Ci, którzy obojętnie obserwują, jak skuty zbieg tłucze bezradnie łbem o szorstkie dechy ciężarówki — twarz ma we krwi, głowę rozbitą, a ci patrzą, jakby nigdy nic. Są przecież karzącym mieczem ojczyzny.

Już po śmierci Stalina, już skazany tylko na dożywotnie zesłanie — leżałem w zwykłej taszkienckiej klinice *dla wolnych.* Wtem słyszę, że mój sąsiad, młody Uzbek, opowiada innym chorym o swojej służbie *w armii.* Ich oddział dozorował oprawców, bestie ludzkie. Uzbek zwierzył się, że konwojenci też nie całkiem byli syci i złość ich brała, iż więźniowie pracujący w kopalni dostają porcje (to za 120% normy, jasna rzecz) niewiele tylko mniejsze od ich porcji, żołnierskich, uczciwych. I jeszcze to ich gniewało, że oni, konwojenci, muszą marznąć na wieżyczkach zimą (co prawda — w kożuchach do pięt), a wrogowie ludu po wejściu do żony roboczej ponoć cały dzień siedzą przy piecu (nawet z wieżyczki mógł widzieć, że tak nie jest) i furt tylko śpią przy nim (był serio przekonany, że państwo jest dobroczyńcą dla swoich wrogów).

Jaki ciekawy zbieg okoliczności! — popatrzeć na Specobóz oczyma konwojenta! Jąłem go wypytywać, co to były za gady i czy rozmawiał z nimi bezpośrednio. Odparł, że wszystkiego o nich dowiedział się od politru-ków, że nawet ich akta odczytywano im podczas szkolenia. I ta głucha jego złość — że więźniowie śpią cały dzień, też zakorzeniła się w nim, to jasne, dlatego, że oficerowie kiwali potakująco głowami, gdy ktoś takie zarzuty stawiał.

O, gorszyciele maluczkich!... Lepiej, abyście nigdy się nie narodzili!...

Uzbek opowiedział nam jeszcze, że szeregowiec wojsk MWD dostaje 130 rubli miesięcznie (12 razy więcej niż w oddziałach liniowych! Skąd ta szczodrość? Czy służba jego też jest 12 razy trudniejsza?) a za Kołem Podbiegunowym — nawet 400 rubli; to w służbie czynnej, z wiktem i opierunkiem.

Wspomniał też o rozmaitych zdarzeniach. Na przykład — jak jego kolega eskortował kolumnę więźniów i przywidziało mu się, że któryś z nich zamierza wybiec w bok. Nacisnął spust i jedną serią zabił *pięciu* zeków. Jako że później wszyscy konwojenci zeznali, że kolumna szła spokojnie, żołnierz został ukarany nader surowo: za pięć trupów dostał piętnaście dni aresztu (na ciepłym odwachu, ma się rozumieć).

Kto z tubylców Archipelagu nie zna, kto nie przytoczy podobnych wy-

201

padków!... Ileż ich znaliśmy już w ITŁ: na robotach, gdzie nie ma żony, a jest tylko niewidzialna linia graniczna — rozlega się nagle strzał i więzień pada trupem; przekroczy! linię, tłumaczą się później. Może wcale nie przekroczył, toż jest tylko wyobrażalna, ale nikt nie podejdzie, nie sprawdzi, bo też go mogą zastrzelić. Komisja też nie przyjdzie, by stwierdzić, gdzie leżą nogi zabitego. A jak nawet przekroczył? — konwojent może sobie obserwować niewidzialne linie, a zek pracuje. Toteż taki zek częściej dostaje kulę, który rzetelniej i chętniej pracuje. Na stacji Nowoczunka (Ozier-łag) przy sianokosach zek widzi zżęte siano o dwa-trzy kroki, gospodarskie serce każe mu jeszcze te trzy garście zgrabić na kopkę — i masz, kula! A żołnierz dostaje miesiąc urlopu!

A zdarza się jeszcze, że strzelec ma na pieńku z tym właśnie zekiem (nie wykonał zamówienia, czy jakiejś prośby) — i wtedy strzela z zemsty. Czasem stosuje podstęp: konwojent każe więźniowi przynieść coś spoza linii — i gdy ten ją przekracza, żołnierz strzela. Można też rzucić mu tam papierosa: na, popal sobie! Zek pobiegnie nawet za niedopałkiem, już taki z niego nędzny stwór.

Ale dlaczego strzelają? — nie zawsze można to zrozumieć. Dajmy na to — w Kengirze, w żonie mieszkalnej, we dnie, gdzie o żadnej ucieczce nie ma mowy, Lida, dziewczyna z Zachodniej Ukrainy, uprała sobie pończochy między jedną robotą a drugą i powiesiła je parę metrów od drutów, aby wyschły. Wartownik z wieżyczki podniósł broń do oka i zastrzelił ją na miejscu. (Chodziły później mętne gadki, że sam chciał się potem zabić).

Dlaczego?! Człowiek z karabinem! Niekontrolowane prawo jednego człowieka do rozporządzania życiem i śmiercią innego!

A wygodne to zajęcie. Zwierzchność zawsze jest po twojej stronie. Mord nie pociąga za sobą żadnej kary. Na odwrót, czeka cię jeszcze pochwała, nagroda — a im wcześniej go rąbnąłeś, choćby w połowie pierwszego kroku — tym lepszy dałeś dowód czujności, tym wyższa premia! Miesięczny żołd. Miesięczny urlop. (Zresztą — spójrzcie na to oczyma dowództwa: jeśli dywizjon nie ma na swoim koncie dowodów czujności, to co to za dywizjon?, kto nim dowodzi? Albo może więźniowie tak spokornieli, że można zredukować straż, co? System dozoru, raz wprowadzony w życie, *żąda ofiar, trupów]).*

Wśród strzelców rodzi się nawet duch współzawodnictwa: masz na rozkładzie faceta — i kupiłeś sobie śmietankowego masła. Więc ja też kogoś rąbnę — i też sobie kupię. Chce się skoczyć do domu, pomacać swoją dziewuchę? — trzaśnij jednego z tych burych typów i już możesz jechać na miesiąc.

Wszystko to dobrze znaliśmy z ITŁ. Ale w Specobozach pojawiły się

202

nowinki: strzelanie do kolumny, w kupę, jak to zrobił kolega tego Uzbeka. Albo — jak w Ozierłagu — z wartowni 8 września 1952 roku. Albo z wieżyczek, w głąb żony.

To znaczy — że tak ich nauczono. To robota politruków.

W maju 1953 w Kengirze chłopaki z pepeszami przejechali się nagle i bez powodu serią z automatów po kolumnie, która wróciła z pracy i czekała na rewizję przy wejściu do żony. Było 16 rannych, ale żeby tylko — rannych! Strzelali kulami dum-dum, których użycia dawno już zabroniły wszystkie kapitalistyczne i socjalistyczne traktaty. Punkty wylotu przypominały krwawe leje, pociski szarpały wnętrzności, druzgotały szczęki, kruszyły kończyny.

Czemuż to właśnie w kule *dum-dum* zaopatrzona jest straż Specobozów? *Kto* ten rozkaz wydał i zatwierdził? Nigdy się tego nie dowiemy...

A jednak — jakież to oburzenie zawrzało w szeregach straży — gdy konwojenci dowiedzieli się z mojej noweli*, że więźniowie nazywają ich „papugami" i że teraz cały świat się o tej hańbie dowie! Nie, więźniowie powinni byli ich miłować i nadać im miano aniołów-stróży!

Ale jeden z tych chłopaków — co prawda, z tych lepszych — nie obraził się, tylko postanowił bronić swojej prawdy: Władilen Zadornyj, rocznik 1933, żołnierz oddziałów ochronnych MWD w Nyrobłagu od osiemnastego do dwudziestego roku życia. Napisał mi kilka listów:

„Chłopcy nie wybierali z własnej woli tych oddziałów, przysyłała ich komenda uzupełnień. Komenda przekazywała ich do MWD. Chłopców uczono strzelać i stać na warcie. Chłopcy marzli i płakali całymi nocami — na diabła im te wszystkie Nyrobłagi z całą ich zawartością! Tych chłopców nie trzeba winić — byli żołnierzami w służbie Ojczyzny i chociaż w tej bzdurnej i strasznej służbie nie wszystko było dla nich zrozumiałe *(a co — było* zrozumiałe? Albo wszystko, albo nic — A.S.) — ale przecież składali przysięgę i ta służba nie była wcale łatwa".

Szczerze, uczciwie. To daje do myślenia. Ogrodzili tych chłopaków przysięgą jak ostrokołem! Służba dla Ojczyzny!, jesteś żołnierzem!

Ale widać słabe w nich były ogólnoludzkie fundamenta albo i żadnych nie było — skoro nie wytrzymały nacisku przysiąg i szkolenia ideologicznego. Nie z każdego pokolenia i nie z każdego narodu da się ulepić takich chłopaczków.

Czy to nie główny problem XX wieku: — wolno czy nie wolno wykonywać każdy rozkaz, innym oddając w pacht własne sumienie? Czy wolno nie mieć własnych poglądów na to, co dobre, a co — złe i czerpać je z druko-

*Jeden dzień Iwana Denisowicza.*

203

wanych instrukcji oraz ustnych zleceń zwierzchności? Przysięga! Te solenne zaklęcia, wymawiane drżącym głosem po to, by okazać gotowość do obrony ludu przed łotrami! Jak łatwo obrócić je przeciw ludowi, a na pożytek
łotrom!

Przypomnijmy, co chciał powiedzieć Wasyli Własow swemu dręczycielowi jeszcze w 1937 roku: ty, tylko ty jesteś winien, że morduje się ludzi! Moja śmierć ciebie jednego obciąża — i teraz żyj z tą myślą! Gdyby nie było katów — nie byłoby

kaźni!

Gdyby nie było oddziałów strażniczych — nie byłoby też obozów.

Oczywiście, ani współcześni, ani historia nie zignorują hierarchii win. Oczywiście, wszyscy rozumieją, że oficerowie tych oddziałów ponoszą większą winę; ich pełnomocnicy operacyjni — jeszcze większą; ci, co pisali instrukcje i rozkazy — znowu większą; a ci, co kazali je pisać — największą '.

Ale strzelali, ale dozorowali — ale trzymali wycelowane pepesze jednak nie *tamci,* tylko ci chłopaczkowie. Ale kopali leżących po głowie — jednak ci chłopcy!

A pisze mi jeszcze Władilen:

„Wbijano nam do głów i kazano nam wkuwać na blachę USO-4399 — regulamin oddziałów strażniczych z 43. roku, ściśle tajny, regulamin okrutny i groźny. I ta przysięga. I czujne oczy operów i zastępców dowódcy do spraw politycznych. Zausznictwo, donosy, teczki zakładane na każdego żołnierza. Rozdzieleni częstokołem i drutem kolczastym ludzie w fufajkach i ludzie w szynelach byli takimi samymi skazanymi — jedni na dwadzieścia pięć lat, drudzy na trzy lata".

Mocno powiedziane — że strzelcy też *byli skazańcami,* tylko nie z wyroku trybunału wojskowego, lecz komendy uzupełnień. Ale nie *takimi samymi,* co to, to nie! — bo ludzie w szynelach spokojniutko pruli z automatów do ludzi w fufajkach, ba, nawet do tłumu, jak to wkrótce zobaczymy, y Władilen wyjaśnia:

„Chłopcy byli rozmaici. Byli wśród nich ograniczeni zupacy, nienawidzący ślepo zeków. Nawiasem — bardzo gorliwi byli rekruci wywodzący się z mniejszości riarodowych — Baszkirzy, Buriaci, Jakuci. Dalej szli ci, którym było wszystko jedno, tych była większość. Starali się odbębnić swoją służbę spokojnie i bez sprzeciwu. Najbardziej lubili kalendarz z odrywanymi kartkami i godzinę nadejścia poczty. I wreszcie — byli porządni

To nie znaczy, że pójdą pod sąd. Ale warto by sprawdzić, czy zadowoleni są ze swoich rent i dacz.

204

chłopcy, mający współczucie dla zeków jako ludzi, którym przytrafiło się nieszczęście. A większość rozumiała, że nasza służba nie budzi wśród ludzi sympatii. Gdy jechaliśmy na urlop — to bez munduru".

Ale najlepiej poglądów Władilena broni jego własna biografia. Chociaż takich jak on były liczone jednostki.

Dostał się do oddziałów strażniczych przez niedopatrzenie leniwego spec-wydziału. Jego ojczym, stary działacz związkowy, został aresztowany w 1937 roku, matkę wyrzucono za to z partii. Ojciec zaś, kombryg Czeki, członek partii od 1917 roku postarał się czym prędzej odciąć się — tak od byłej żony, jak od syna (dzięki tej operacji zachował legitymację partyjną, ale romb[2] NKWD przecież stracił[3]. Matka zmywała plamę własną krwią: była podczas wojny krwiodawczynią. (Nie szkodzi, jej krew przydawała się i partyjnym, i bezpartyjnym). Chłopiec nienawidził od dziecka

błękitnych kaszkietów, a tu mu taki sam nasadzono na łeb... Zbyt mocno utrwaliła się w pamięci dziecka straszna noc, gdy ludzie w ojcowskich mundurach bez-ceremonialnie gmerali w dziecinnej pościeli.

„Nie byłem dobrym konwojentem: pozwalałem sobie na rozmowy z ze-kami, spełniałem ich prośby. Zostawiałem karabin przy ognisku i chodziłem do kiosku, by im coś kupić albo wrzucałem ich listy do skrzynki. Myślę, że w podobozach Promieżutocznaja, Mysakort, Parma długo wspominali strzelca Wołodię. Więzieri-brygadzista poradził mi kiedyś: 'Przyjrzyj się ludziom, posłuchaj ich skarg, to dopiero zrozumiesz...'. A ja i tak w każdym politycznym widziałem własnego dziadka, wujka, ciotkę... Swoich dowódców po prostu nie znosiłem. Sarkałem, wściekałem się, mówiłem kolegom — 'to są prawdziwi wrogowie ludu!'. Właśnie za to, za otwarte nieposłuszeństwo ('sabotaż'), za kontakty z zekami — wszczęto przeciw mnie dochodzenie... Ten długosz Samutin... bił mnie po twarzy, walił przyciskiem po palcach — za to, że nie podpisałem zeznania o listach zeków. Leżałby martwym bykiem, bo jestem bokserem, mam drugą kategorię, umiałem przeżegnać się dwupudowym gwichtem — ale dwóch nadzorców trzymało mnie za ręce... Tylko że mieli większe kłopoty, niż robienie dochodzenia w mojej sprawie: w 53. roku w MWD rozpoczęła się taka hara-tanina! Nie zostałem skazany, tylko mi dali wilczy bilet — artykuł 47-g:

[2] Dopiero podczas wojny wprowadzono epolety i gwiazdki. Przedtem noszono dystynkcje wojskowe na kołnierzu: od dowódcy brygady wzwyż były to romby.

[1] Chociaż dawno nic już nas nie dziwi, ale czasem człowiek się zastanawia: aresztowano drugiego męża porzuconej żony — a pierwszy mąż musi wyrzec się czteroletniego syna? I to jeszcze — kombryg NKWD?

205

'usunięty z organów MWD za rażący brak dyscypliny i poważne wykroczenia przeciw regulaminowi MWD'. I prosto z odwachu dywizjonu — a byłem pobity i przemarznięty — wyrzucili na stację, żebym wynosił się do domu... Brygadzista Arsen, właśnie wypuszczony na wolność, opiekował się mną podczas drogi".

Wyobraźmy sobie teraz, że *oficer* konwoju zapragnąłby okazać więźniom pobłażliwość. Mógłby przecież zrobić to tylko w obecności szeregowych i za ich pośrednictwem. W tej naładowanej wrogością atmosferze nawet by tego nie mógł — byłoby mu jakoś niesporo.

Zresztą — zaraz by ktoś na niego zrobił donos.

Taki to system!

X

## GRUNT SIĘ PALI POD NOGAMI

Nie, wcale nie temu trzeba się dziwić, że w obozach nie było buntów i

powstań, lecz temu, że jednak się zdarzały.

Podobnie jak wszystkie niepożądane składniki naszych dziejów, to znaczy — ze trzy ćwierci tego, co naprawdę się działo, również te bunty tak dokładnie są wydrapane, załatane i zalizane, ich uczestnicy — tak starannie wytrzebieni, świadkowie — tak nastraszeni, raporty ich tłumicieli tak pracowicie spalone lub ukryte za dwudziestu pancernymi ścianami, że powstania te dzisiaj stały się mitem, chociaż minęło od ich czasu tylko piętnaście, a od niektórych — nawet dziesięć lat. (I dziwić się tu twierdzeniom, że ani Chrystusa nie było, ani Buddy, ani Mahometa. Tam minęły tysiąclecia...).

Gdy już to nikogo z żyjących nie wzruszy, historycy zostaną dopuszczeni do strzępków papierzysk, archeolodzy pokopią trochę, w laboratoriach coś tam postawi się na ogniu — i wyjdą na jaw daty, miejsca i kontury tych powstań oraz nazwiska ich prowodyrów.

Odnajdą się wtedy ślady najwcześniejszych wybuchów — jak bunt Re-tiunina w styczniu 1942 w Osz-Kurii, opodal Ust'Usy. Podobno Retiunin był wolnym pracownikiem, omal czy nie szefem tej filii obozowej. Zwołał Pięćdziesiątkę Ósemkę i społecznie szkodliwych (art. 7-35), zebrał paruset ochotników, rozbroił konwój złożony z pospolitaków przyjętych do samoobrony, zabrał konie i poszedł z ludźmi do lasu, na partyzancki chleb. Stopniowo zostali wybici do nogi. Jeszcze wiosną 1945 pakowano ludzi „za Retiunina", nieraz zupełnie postronnych.

Może do tego czasu dowiemy się — nie, my już nigdy — o legendarnym powstaniu na budowie 501 w 1948 roku; była to budowa linii kolejowej

207

Siwa-Maska-Salechard. Legendarne jest ono dlatego, że we wszystkich obozach mówi się o nim na ucho, ale nikt dobrze nie wie, jak tam było. Legendarne także dlatego, że wybuchło nie w Specobozach, gdzie był odpowiedni grunt i takież nastroje, lecz w obozie ITŁ, gdzie donosicielstwo ludzi dzieli, knajacy gnębią, gdzie oplute jest nawet prawo do miana *politycznych*, gdzie nikomu na myśl nie przyjdzie, że bunt więźniów jest możliwy.

Podobno wszystko urządzili eks-(świeżej daty!) wojskowi. Inaczej zresztą być nie mogło. Bez nich — Pięćdziesiątka Ósemka byłaby tylko trzodą wykrwawioną i pozbawioną woli. Ale ci ludzie (prawie nikt z nich nie przekroczył trzydziestki) oficerowie i żołnierze naszej bojowej armii albo tacy sami — tylko w skórze byłych jeńców — albo tacyż jeńcy, tylko mający jeszcze za sobą późniejszą służbę u Własowa, u Krasnowa czy w oddziałach narodowych; tam — walczący jeden przeciw drugiemu, a tu złączeni tym samym jarzmem; ta młodzież, która poznała wszystkie fronty wojny światowej, doskonale znająca taktykę współczesnej walki w polu, sztukę maskowania się i napadania na posterunki — otóż ta młodzież, tam gdzie nie uległa zupełnemu rozproszeniu, zachowała jeszcze w 1948 roku cały impet wojenny i wiarę we własne siły. Nie mieściło jej się w głowie, żeby tacy chłopcy, całe bataliony, miały pokornie zdychać. Nawet ucieczka wydawała im się nędznym półśrodkiem, akcją godną dezerterów, którzy rejterują pojedynczo, zamiast całą kupą

wydać bitwę.

Wszystko zostało zaplanowane i rozpoczęło się w jakiejś brygadzie. Powiadają, że na czele stanął eks-pułkownik Woronin (czy Woronow), jednooki. Wymienia się jeszcze starszego lejtnanta wojsk pancernych Sakurenko. Brygada zabiła swoich konwojentów (a konwojentami byli wtedy akurat nie prawdziwi żołnierze, tylko rezerwiści). Następnie ruszyli, by uwolnić drugą brygadę, za nią — trzecią. Napadli na osiedle straży i na własny obóz — z zewnątrz; zdjęli wartowników z wieżyczek i otwarli wrota żony. (Tu zaraz zaczęła się zwykła historia: brama stała otworem, ale większość zeków wcale nie kwapiła się do wyjścia. Byli wśród nich krótkoterminowi, którzy wcale nie zamierzali się buntować. Byli też ludzie z dzisięcioletnimi a nawet piętnastoletnimi wyrokami z dekretów „siedem-ósmych" i „cztery-szóste", którym wcale nie zależało na nowym wyroku z artykułu 58. Była też Pięćdziesiątka Ósemka, ale taka, co to wolała wiernopoddariczo zdychać na kolanach, byle nie wstawać z klęczek. A ci, co wyskoczyli za wrota, wcale niekoniecznie szli na pomoc powstańcom: knajacy też chętnie uciekali poza żonę, aby grabić osiedla wolnych).

Zaopatrzywszy się w broń kosztem strażników (pochowanych później na cmentarzu w Koczmasie), powstańcy ruszyli teraz na sąsiedni podobóz

208

i zdobyli go. Wspólnymi siłami postanowili -wziąć z kolei miasto — Wor-kutę! — było do niej wszystkiego 60 kilometrów. Ale to im się nie udało. Desant spadochronowy odciął ich od Workuty. Powstańców wystrzelały i rozproszyły samoloty szturmowe z lotu koszącego.

Później zaczęły się sądy i egzekucje; reszcie dano kary po 25 i 10 lat. (Przy okazji „odświeżono" wyroki niejednemu, co został w żonie, nie biorąc w akcji udziału).

Z wojskowego punktu widzenia bezsensowność tej imprezy była oczywista. Ale kto powie, że więcej sensu miało powolne konanie?

Wkrótce potem utworzono Specobozy i większa część Pięćdziesiątki Ósemki znalazła się w tym niewodzie. No i cóż?

W 1949 roku w Berłagu, w podobozie Niżnij Aturiach zaczęło się mniej więcej tak samo: rozbroili konwojentów, zdobyli 6-8 automatów, napadli od zewnątrz na obóz, wybili strażników, przecięli druty telefoniczne, otwarli wrota obozu. Teraz w obozie byli już tylko ludzie z numerami, napiętnowani, strąceni na dno, bez żadnych szans.

I cóż?

Więźniowie nie wyszli przez otwartą bramę...

Ci zaś, którzy wszystko zaczęli i nie mieli już nic do stracenia, musieli przekształcić bunt w ucieczkę: całą grupą poszli w stronę Myłgi. Na El-genie-Toskanie przecięły im drogę oddziały wojska z tankietkami. (Operacją kierował generał Siemionow).

Zginęli wszyscy co do jednego'.

Oto znana zagadka: co jest najszybsze na świecie? Oto odpowiedź: myśl!

Otóż to prawda — i zarazem nieprawda! Myśl bywa również opieszała, ach, jak opieszała! Z trudem i zbyt późno człowiek, społeczeństwo, ludzie uświadamiają sobie, co

właściwie z nimi się stało, jaka jest ich sytuacja rzeczywista.

Zaganiając Pięćdziesiątkę Ósemkę do Specobozów Stalin niemal bawił się swoją potęgą. Nawet bez tego ci ludzie trzymani byli w aż zbyt solidnym zamknięciu — ale Wódz postanowił samego siebie prześcignąć i wymyślić coś jeszcze lepszego. Myślał, że tak będzie jeszcze straszniej. Tymczasem wszystko obróciło się na opak.

Cały system represji za jego czasów oparty był na zasadzie rozwarstwienia niewolników; chodziło o to, by nie mogli spojrzeć sobie w oczy i policzyć — ilu ich jest; trzeba było wmówić zarówno im, jak wszystkim niezadowolonym, że żadnych niezadowolonych nie ma, że są tylko izolowani, rozjątrzeni, pojedynczy straceńcy z pustką w duszy.

' Nie twierdzę, że odtwarzam tu ściśle historię tych powstań. Wdzięczny będę każdemu, kto zwróci mi uwagę na pomyłki.

209

Ale w Specobozach spotkały się tysiączne tłumy niezadowolonych. I zdali sobie sprawę — ilu ich jest. I zorientowali się, że mają w duszach nie pustkę bynajmniej, lecz pojęcie o życiu — znacznie wyższej próby, niż wszyscy ich oprawcy, szpicle i teoretycy, tłumaczący dlaczego to oni *powinni* gnić w łagrze.

Z początku ta nowa cecha Specobozów nie rzucała się w oczy prawie nikomu. Wydawało się, że to zwykła kontynuacja ITŁ. Tyle że szybko zmiękła rura szemranym, podporze reżymu obozowego, faworytom władzy. Ale mogło się też zdawać, że bezwzględność strażników i zwiększona pojemność BUR-ów zrównoważą tę stratę.

Jednakże — skoro tylko knajakom rura zmiękła, skończyły się kradzieże w obozach. Okazało się, że można w szafce zostawić porcję chleba. Na noc nie trzeba już kłaść butów pod głowę, można rzucić je na podłogę — i rano znaleźć je na miejscu. Można woreczek z machorką zostawić na noc w szafce, a nie trzeć jej w kieszeni pod bokiem.

Myślicie, że to głupstwo? Nie, to wielka rzecz! Skończyły się złodziejstwa i ludzie zaczęli patrzeć na swoich sąsiadów bez podejrzliwości, z sympatią. Słuchajcie, chłopaki, a może z nas rzeczywiście ci, jak tam..: *polityczni?*

Skoro zaś polityczni — to można trochę swobodniej pogadać — między dwiema wagonetkami, czy przy ogniku brygady. No, rozejrzeć się naprzód, kto stoi obok, to jasne. Ale w końcu — bierz go licho, niech tam te buty szyją, ćwiarę już człowiek ma, co mi jeszcze mogą zrobić?

Zaczyna się uwiąd całej dawnej psychologii obozowej: ty dziś zdychasz, ale ja jutro!; wszystko jedno, sprawiedliwości nigdy się nie doczekasz; tak zawsze było, tak zawsze będzie... A dlaczego — nie doczekasz się?... A dlaczego — tak zawsze ma być?...

Zaczynają się w brygadzie ciche pogaduszki, nie o pajce, nie o kaszy; mówi się o takich sprawach, że na wolności też nie usłyszysz — i coraz swobodniej!, coraz swobodniej!, coraz swobodniej! — i brygadzista traci nagle poczucie wszechmocy

swojej pięści. Jedni brygadziści w ogóle już tej pięści nie podnoszą, inni — coraz rzadziej. Brygadzista już nosa nie zadziera, przysiada się, żeby posłuchać, pogadać. I członkowie brygady zaczynają patrzeć na niego, jak na towarzysza; to też w końcu jeden z *naszych.*

Brygadziści chodzą do wydziału produkcji, do księgowości w dziesiątkach drobnych spraw — komu obciąć przydział, komu nie, kogo gdzie posłać — i p r y d u r k i też od nich nabierają smaku do tej nowej atmosfery, zaczynają dostrzegać tę mgiełkę powagi, odpowiedzialności, cień jakiegoś nowego sensu.

I prydurki — tymczasem tylko niektórzy — zaczynają się tym zarażać.

210

Jechali tu z gorącym pragnieniem zdobycia funkcji, zdobyli je — **i dlaczego** właśnie nie mieliby teraz żyć tu tak samo dostatnio jak w ITŁ; miec swoją kabinkę, smażyć kartofle na słonince, zadawać się tylko ze swoimi, separując się od roboli? Otóż nie! Okazuje się, że to nie najważniejsze. Jak to, a co? Nie uchodzi tutaj pysznienie się pozycją pijawki, jak to było w ITŁ, nie wypada chełpić się, że żyjesz cudzym kosztem. I prydurki szukają sobie przyjaciół wśród roboli i rozpostarłszy na ziemi swoje nowiutkie watówki obok ich, lepkich od brudu, chętnie całe niedziele wylegują się razem z tamtymi i gadają o tym i owym.

I zasadnicze podziały wśród ludzie nie przebiegają tak schematycznie jak w ITŁ: prydurki — robole, pospolitacy — Pięćdziesiątka Ósemka, tylko o wiele zawiłej i ciekawiej: ziomkostwa, grupy religijne, ludzie bywali, fachowcy i uczeni.

Naczelnicy jeszcze długo niczego nie rozumieją i nie zauważają. Ale kierownicy robót już nie chodzą z pałami i nie wrzeszczą jak dawniej. Dają zlecenia brygadzistom *przyjaznym* tonem: wiesz, Konow, czas już poprowadzić ich do roboty (nie żaden tam „duchowy przełom" — tylko że jest coś nowego i niepokojącego w powietrzu).

Ale to wszystko idzie opieszale. Miesiące, całe miesiące schodzą na te zmiany. Są to zmiany nie sezonowe, ale powolne. I chodzi nie o wszystkich brygadzistów, nie wszystkich prydurków — lecz o tych jedynie, u których na dnie duszy, pod warstwą popiołu zostało jeszcze trochę sumienia i braterskich uczuć. A kto woli być draniem — ten dalej nim jest — i to z powodzeniem. Prawdziwego przełomu, wstrząsającego, heroicznego — jeszcze nie widać. I obóz jest po dawnemu obozem, i dalej jesteśmy gnębieni, bezradni, a gdyby ktoś z nas przeczołgał się pod drutami i zaczął uciekać, to znów by go szczuto psami i polewano ogniem z automatów.

I oto śmiała myśl, myśl desperacka, myśl — stopień ku wyzwoleniu: a gdyby tak postarać się, aby to *oni uciekali przed nami, a nie my — przed nimi?*

Dość zadać sobie takie pytanie, dosyć, by pewna liczba ludzi wpadła na tę myśl, dość by inni usłyszeli — i już skończyła się w obozie epoka ucieczek. A zaczęła — epoka buntów.

Ale jak tu zacząć? Od czego?! Toż jesteśmy skuci, opleceni mackami, pozbawieni swobody ruchów — od czego tu zacząć?

Najprostsze rzeczy w życiu — wcale nie są takie proste. Zdaje się, że już w ITŁ niektórzy wpadli na myśl — że szpiclów trzeba wytępić. Nawet tam potrafili tak się urządzić, że pieniek staczał się nagle ze stosu i kapuś wpadał do głębokiej wody. Zdawało się, że tu też nie trudno będzie odgad-

211

nąć, które macki nasamprzód trzeba odrąbać. Wszyscy niby to rozumieli. A w istocie — nikt nie rozumiał.

I nagle — samobójstwo. W reżymce — „barak dwa" znaleziono wisielca. (Uwaga! Wszystkie stadia procesu opisuję zaczynając od Ekibastuza. Ale NB! — w innych Specobozach proces przechodził przez te same etapy!). Władze nie bardzo się przejęły — odcięto go od sznura i zawieziono do trupiarni.

Ale w brygadzie ktoś bąknął, że to przecież był kapuś. Nie sam się powiesił. *Powieszono go.*

Przestroga.

Wielu w obozie jest łajdaków, ale najgrubszy, najbezczelniejszy i najbardziej nażarty z nich wszystkich — to szef stołówki Timofiej S...[2]. Ma własną gwardię z upasionych, sytych kucharzy, podkarmia jeszcze całą czeladź swoich pachołków i dyżurnych. I on sam i jego pachołki biją zeków pięściami i pałami. Któregoś dnia, zupełnie bez powodu uderzył małego, czarniawego chłopaka. A ten chłopak w naszej sytuacji, w Specobozie — to nie zwykły sobie smarkacz, tylko *mahometanin.* A mahometan w obozie sporo. To nie jakaś knajacka szumowina, o nie. Przed zmierzchem można zobaczyć, jak w zachodniej części żony ( w ITŁ tylko śmiech by wzbudzili, u nas — nie) modlą się oni zbiorowo, podnosząc w górę ręce i przyciskając do ziemi czoła. Mają swoich starszych, jakąś swoją radę. I oto ich decyzja — zemsta!

W niedzielę rano pobity chłopak w towarzystwie dorosłego Ingusza prześlizguje się do baraku prydurków, wylegujących się jeszcze pod kocami, wchodzą do izdebki S... i błyskawicznie zarzynają w dwa noże sześcio-pudowego prominenta.

Ale i l e w tym jeszcze amatorszczyzny! — nie próbują nawet ukryć swoich twarzy — ani uciec cichcem. Zaraz po tym mordzie, z okrwawio-nymi nożami w ręku, spokojni, bo w poczuciu spełnionego obowiązku, idą na odwach i oddają się w ręce nadzorców. Pójdą pod sąd.

Wszystko to są jeszcze próby po omacku. Wszystko to mogło jeszcze zdarzyć się w ITŁ. Ale myśl kolektywna pracuje dalej: a może to jest główne ogniwo? Czy nie w tym punkcie trzeba łańcuch rwać?

„Zabij szpicla!" — tak, to jest ogniwo główne! Nóż w serce szpiclowi! Robić noże i rżnąć szpicli — to jest to!

Dzisiaj, gdy piszę ten rozdział, rzędy humanitarnych książek z wysokości półek mojej biblioteki zerkają na mnie z wyrzutem: ich połyskujące matowo, starte grzbiety świecą jak gwiazdy przez zasłonę chmur: niczego

[2] Nie ukrywam nazwiska, tylko go nie pamiętam.

212
w świecie nie wolno zdobywać przemocą! Kto wziął do rąk miecz, nóż, strzelbę — ten szybko zrówna się z własnymi oprawcami i ciemięzcami. I nigdy nie będzie temu kresu... •

Nie będzie kresu... Tu, przy stole, gdzie ciepło i czysto, całkowicie się z tym zgadzam.

Ale trzeba być skazanym na dwadzieścia pięć lat za bezdurno, mieć na sobie cztery numerowane łaty, trzymać ręce zawsze za plecami, rano i wieczorem dawać się obmacywać przy rewizji, za byle donos trafiać do bunkra, czuć, że wdeptują cię coraz głębiej w ziemię — aby stamtąd, z dna tego dołu, usłyszeć we wskazaniach wielkich humanistów tylko czczą gadaninę sytych *frajerów.*

Nie będzie kresu!... — ale czy kiedykolwiek będzie *początek?* Czy doczekamy się w naszym życiu jakiegoś przebłysku?

Uciśnieni ludzie doszli do wniosku: *dobrocią przeciw złości nie poradzi.*

Szpicle — to też ludzie?... Nadzorcy chodzą od baraku do baraku i odczytują — aby nam strachu napędzić — rozporządzenie dowództwa obozu Piesczanyj: w jednym z żeńskich podobozów dziewczyny (z dat urodzenia widać, jak młodziutkie) prowadziły rozmowy antysowieckie. Trybunał w składzie... Rozstrzelać!

Na te dziewczyny, szepczące ze sobą na wagonetce, skazane już na dziesięć lat tego chomąta każda — też jakaś ścierwa musiała donieść! —"też więźniarka! I szpile — to też mają być ludzie?!

Nie było wątpliwości. A jednak pierwsze ciosy nie przyszły łatwo.

Nie wiem, jak gdzie indziej (bo rzeź szpicli rozpoczęła się we wszystkich Specobozach, nawet w inwalidzkim Spassku) ale u nas zaczęło się to od przyjazdu transportu z Dubowki — składającego się w zasadzie z Zachodnich Ukraińców, OUN-owców. Dla całego tego ruchu zrobili oni wszędzie bardzo dużo, to oni ruszyli wóz z miejsca. Etap z Dubowki przywiózł do nas bakcyla buntu.

Młodzi, silni chłopcy, wzięci prosto z partyzantki, rozejrzeli się po Du-bowce, przejęła ich grozą ta śpiączka, to rabstwo — i chwycili za noże.

W Dubowce szybko skończyło się to buntem, pożarem i rozpędzeniem obozu na cztery wiatry. Ale gospodarze obozowi, w swoim ślepym zarozumialstwie (przez trzydzieści lat nie spotykali się z żadnym oporem, odzwyczaili się od niego) — nie zatroszczyli się nawet o to, by przywiezionych buntowników trzymać z dala od nas. Rozesłano ich po całym obozie, poprzydzielano do różnych brygad. Był to sposób rodem z ITŁ: rozproszenie służyło tam do wyciszania protestów. Ale w naszym oczyszczającym się już środowisku, ten chwyt przyśpieszył tylko szerzenie się ognia.

Nowo przybyli chodzili w składzie brygad do pracy, ale nawet się do niej

213
nie zabierali albo odwalali ją na lipę. Leżeli sobie na słoneczku (bo też było lato!) i gadali ze sobą po cichu. Patrząc na nich z boku można było pomyśleć, że to złodzieje z *ferajny,* tym bardziej, że też byli młodzi, dobrze odżywieni, barczyści.

To była ferajna: miała swoje prawa, ale nowe i nieznane wśród nas, na przykład

takie: „kto ma nieczyste sumienie — musi zginąć tejże nocy!".

Teraz zabójstwa zdarzały się częściej niż ucieczki za czasów największego ich rozkwitu. Dokonywano ich w sposób bezwzględy i anonimowy: nikt już nie szedł do władz z okrwawionym nożem: i siebie, i nóż woleli oszczędzić — do następnej okazji. O wybranej godzinie — o piątej rano, gdy samotni nadzorcy otwierali z klucza barak i szli do następnego, a prawie wszyscy więźniowie jeszcze spali — zamaskowani mściciele cicho wkradali się do z góry oznaczonej sekcji, podchodzili do określonej wagonetki i bez wahania zarzynali obudzonego już i dziko wrzeszczącego albo jeszcze śpiącego zdrajcę. Sprawdzali, czy aby umarł na dobre i wychodzili spokojnie.

Nosili rodzaj masek a numerów ich nie było widać — były sprute albo zasłonięte. Ale jeśli sąsiedzi zamordowanego rozpoznali nawet ich sylwetki, to nie spieszyli się wcale z przekazaniem tej informacji; nawet w czasie przesłuchań, nawet obsypywani przez *kumów* groźbami — nie ustępowali teraz i powtarzali: nie, nie, nie wiem nic, nie widziałem! I przyczyną nie była tym razem stara prawda, znana wszystkim uciśnionym „kto nie wie, ten śpi na poduchach, kto coś wie — tego wiodą w łańcuchach" — tu chodziło o ratowanie własnego gardła! Dlatego, że ten, co *poznał i wymienił* — ginął nazajutrz o piątej rano i nic by mu nie pomogła łaska opera.

I oto zabójstwa (chociaż, jak dotąd, nie było ich więcej niż dziesięć) stały się *normą,* powszednim zjawiskiem. Więźniowie w umywalni, przy pobieraniu dziennych porcji pytali — zabito dziś kogoś? W tym okrutnym sporcie uszy zeków słyszały głos podziemnego gongu sprawiedliwości.

Robione to było w zupełnej tajemnicy. Ktoś tam (uznany za autorytet) gdzieś tam komuś innemu wskazywał kogoś trzeciego: o, *tego!* Nie troszczył się, kto będzie wykonawcą wyroku, kiedy to się stanie, skąd wezmą nóż. A *bojowcy,* którzy właśnie o to się troszczyli, nie znali sędziego, którego wyrok właśnie mieli wykonać.

I przyznać trzeba — przy braku dokumentów, stwierdzających winę szpiclów! — że niekonstytucyjny, nielegalny i niewidzialny ten sąd sądził o wiele trafniej, z o wiele mniejszą liczbą omyłek, niż wszystkie znane nam trybunały, trójki, kolegia wojskowe i OSO.

S z a t k o w a n i e, bo tak to u nas nazywano, okazało się zajęciem tak trudnym do wykrycia, że zaczęto je uprawiać nawet we dnie; stało się niemal publiczne. Pewnego malutkiego, piegowatego starostę baraku, by-

214

łego wybitnego enkawudzistę z Rostowa, znaną gnidę, zabito w niedzielę, za dnia, w barakowym wychodku. Obyczaje tak tu stały się już dzikie, że ludzie rzucili się tam tłumnie, aby przyjrzeć się okrwawionemu trupowi.

A to znów — ścigając zdrajcę, który wydał podkop w baraku nr 8 (władze spostrzegły się i zapędziły tam prowodyrów z Dubowki, ale szatkowanie nawet bez nich szło już jak po maśle) — mściciele z nożami w biały dzień pobiegli środkiem żony, bo kapuś uciekał przed nimi do baraku sztabowego; wbiegł tam — a oni za nim; on — do gabinetu naczelnika podobozu, opasłego majora Maksymienki, a oni za

nim. A major siedział właśnie na swoim fotelu i obozowy balwierz golił mu brodę. Major — jak każe regulamin obozowy — był bez broni, do żony nie wolno jej wnosić, tak bezpieczniej. Widząc rezunów z nożami, przerażony major zerwał się spod brzytwy i jął błagać o litość, pewien że to jego chcą tu zarżnąć. Z ulgą stwierdził po chwili, że zarzynają na jego oczach szpicla. (Majora nikt nie chciał tknąć. Zasadą ruchu było, aby likwidować tylko szpiclów, nadzorcom zaś i naczelnikom nie robić żadnej krzywdy). Major mimo to wyskoczył przez okno, nie dogo-lony, w białym prześcieradle i ruszył w stronę wartowni, krzycząc rozpaczliwie: „Wieża, ognia! Wieża, ognia!". Ale strażnik z wieżyczki nie strzelał...

Zdarzyło się raz, że pewnego szpicla nie dorżnięto i udało mu się uciec do szpitala. Tam operowano go i opatrzono mu rany. Ale jeśli sam major przestraszył się noży, to czy mógł szpital uratować donosiciela? Po dwóch czy trzech dniach został zabity w łóżku.

Na pięć tysięcy ludzi zabito w ten sposób jakiś tuzin, ale każdy cios noża sprawiał, że po kolei odpadały lepkie macki, które dotąd nas oplatały. Niezwykły wiatr tu powiał! Na oko — byliśmy dalej tymi samymi zekami zamkniętymi w odrutowanej żonie, ale w istocie staliśmy się ludźmi *wolnymi* — bo po raz pierwszy w calutkim naszym życiu zaczęliśmy na głos wypowiadać to wszystko, co nam do głowy przychodziło. Kto nie przeżył podobnej chwili, ten nie może sobie wyobrazić, co to znaczy!

A kapusie —już nie kapali...

Aż do tej chwili wydział operacyjny mógł kazać każdemu zostać w żonie i zmuszać do wielogodzinnych rozmówek — kolekcjonując donosy, próbując udzielać zleceń, wydobywając z ludzi nazwiska współwięźniów, wyróżniających się czymkolwiek, nic jeszcze nie mających na sumieniu, ale potencjalnie niebezpiecznych, podejrzewanych, że mogą stać się przywódcami przyszłych rebelii.

A wieczorem brygada wracała z roboty i brała kolegę na spytki: po coś był wzywany? Odpowiedź była zawsze ta sama, niezależnie czy więzień mówił prawdę, czy kłamał bezczelnie: „A pokazywali mi fotografie...".

Rzeczywiście, w okresie powojennym wielu więźniom pokazywano foto-

215

grafie osób, które mogli byli widzieć podczas wojny. Ale nie można było pokazywać ich *wszystkim,* nie było powodu. A tymczasem powoływali się na to wszyscy — i swoi, i zdrajcy. Nieufność zagnieździła się wśród nas rychło, każdy zamknął się w sobie. Teraz zaś atmosfera oczyściła się, znikły powody do podejrzeń. Jeśli teraz operczekiści kazali komuś wyjść z szeregu i zostać w żonie — ten ***nie*** *wypełniał rozkazu!* Nie do wiary! Rzecz niebywała w całej historii Czeka - GPU - MWD! — wezwany nie wlókł się do urzędu z nierówno bijącym sercem, nie biegł truchcikiem z przypochlebnym uśmiechem, ale dumnie (przecież cała brygada patrzy!) odmawiał pójścia! Niewidzialne szale ważyły się w powietrzu nad placem apelowym. Na jednej szali leżały wszystkie znane koszmary: izby przesłuchań, ciosy pięści i pałek, stanie bez snu, wąskie boksy, zimne i mokre karcery, pluskwy i trybunały,

drugie i trzecie wyroki. Ale to wszystko były sprawy przewlekłe, to był młyn do kruszenia kości, nie mogący jednak pochłonąć wszystkich naraz i przepuścić ich przez tryby jednego i tego samego dnia. I przecież ludzie, którzy poszli na przemiał, jednak zostawali przy życiu — wszyscy, co tu byli, przeszli przez te tryby.

A na drugiej szali leżał tylko nóż, nic więcej — ale ten nóż by! przeznaczony dla ciebie — jeślibyś załamał się i ustąpił. Przeznaczony był tylko dla ciebie, wymierzony był tylko w twoją pierś — i to nie kiedyś tam, ale już jutro o świcie, i wszystkie moce CzKGB nie były w stanie cię ocalić! Nie był nawet przesadnie długi, ot, w sam raz, żeby dobrze wejść pod piąte żebro. Nawet rączki nie miał, jak należy — jakiś kawałek taśmy izolacyjnej, którą owijało się trzonek klingi — ale to wystarczało, by się nie wyśliznął z ręki, tarcie było w sam raz.

I oto — okazywało się, że ta groźna, lecz ożywcza perspektywa bierze górę, że ta szala przeważa! Wszyscy słabi znajdowali nagle siły, by oderwać od ciała pijawki i wymaszerować razem z całą brygadą. (Mieli teraz dobre usprawiedliwienie: my byśmy zostali w żonie, obywatelu naczelniku, ale baliśmy się noża!... Warn nic nie grozi, wy sobie nawet nie możecie wyobrazić...).

Nie dość na tym. Ludzie nie tylko przestali chodzić na wyprzódki do pełnomocników operacyjnych i innych obozowych władz, ale wystrzegali się nawet wrzucania listów i karteluszków do skrzynek pocztowych wiszących w żonie albo do skrzynek próśb i zażaleń do wysokich instancji. Nim decydowali się sami wrzucić list albo podanie, prosili kogoś z kolegów, „popatrz no, to nie donos. Chodźmy razem, wrzućmy do skrzynki".

I teraz dopiero władze ogłuchły i oślepły! Brzuchaty major i jego zastępcy, kapitan Prokofiew, też brzuchaty, wszyscy nadzorcy — dalej chodzili po żonie, gdzie nic im nie groziło, z taką samą swobodą, co dawniej, mijając nas, przyglądając się nam — i nic nie widząc! Bo bez donosicieli

216

nic nie może zobaczyć ani usłyszeć człowiek w mundurze: nim podejdzie bliżej, ludzie już milkną, odwracają się, chowają się, odchodzą na bok... Gdzieś obok wierni informatorzy dręczyli się pragnieniem *sypnięcia* towarzyszy — ale żaden z nich nie próbował nawet porozumieć się z władzą choćby umownym gestem.

Odmówił więc współpracy ten aparat informacyjny, na którym trzymała się i dzięki któremu całe dziesięciolecia rosła sława wszechmocnych i wszechwiedzących *Organów.*

Niby te same brygady chodziły na te same obiekty (zresztą — zmówiliśmy się, by eskorcie też stawać okoniem — i udało się! Bo gdy znikli donosiciele, również chłopaki z pepeszami poczuli się mniej pewnie). Pracowaliśmy — żeby nie czepiano się wykonania planu. Wracaliśmy — i pozwalaliśmy nadzorcom obmacywać się, jak dawniej (a noży — nigdy nie znajdowano!). Ale w istocie rzeczy już całkiem inne grupy spontaniczne, przede wszystkim — narodowe, były teraz komórkami życia społecznego. Narodziły się i okrzepły ośrodki narodowe, dla szpiclów nieprzeniknione: ukraiński, ogólnomahometański, estoński, litewski. Nikt

tam przywódców nie wybierał, ale uformowały się one w sposób tak sprawiedliwy na zasadzie starszeństwa, mądrości, przebytych cierpień, że nikt w kręgu ziomków nie negował ich autorytetu. Przypuszczalnie istniał też jakiś nadrzędny organ, coś w rodzaju „Rady Narodowości"[3].

Brygady dalej były brygadami, liczba ich też nie uległa zmianie, ale patrzcie no: w obozie zaczęło brakować kandydatów na brygadzistów! — zjawisko w GUŁagu niespotykane. Z początku zmniejszenie się ich liczby miało naturalne przyczyny: jeden był w szpitalu, drugi poszedł do gospodarstwa pomocniczego, jeszcze inny doczekał się końca kary. Ale dotąd zawsze czekał na ich stanowiska rozżarty tłum poszukiwaczy szczęścia: za

[3] Tu już koniecznie trzeba wyjaśnić, że nie wszystko szło tak składnie i gładko, jak by to mogło wynikać z zarysu głównych tendencji. Istniały współzawodniczące grupy „umiarkowanych" i „skrajnych". Zakradły się też, rzecz jasna, osobiste sympatie i antypatie, odgrywały też swoją rolę samolubne ambicje aspirantów do „wodzowstwa". Młode byczki z grupy „rezunów" nie odznaczały się głębią świadomości politycznej; niektórzy z nich skłonni byli do żądania za swoją „robotę" lepszych przydziałów żywności i w tym celu potrafili grozić śmiercią kucharzowi lazaretu, to znaczy — domagać się, aby ich dokarmiał kosztem chorych, bo jak nie — to mogą go uchechłać, bez sankcji moralnej jakiegoś tam domorosłego sędziego; już są przyzwyczajeni, maski i noże mają w zanadrzu. Jednym słowem, w tym zdrowym świecie już się zaczynała pojawiać zgnilizna —jest to niezmienna, nie nowa, odwieczna cecha wszystkich ruchów rewolucyjnych.

A pewnego razu zaszła omyłka. Chytry kapuś namówił poczciwego robociarza do zamiany miejsc na narach — i rano robociarz już był zarżnięty.

Ale — nie bacząc na te odchylenia, kierunek ogólny był bardzo jasno wytyczony, trudno było zgubić drogę. I skutki społeczne były właśnie takie, jak należy.

217

kawał słoniny, za sweter można było kupić sobie funkcję brygadzisty. Teraz **natomiast nie** tylko że kandydaci zniknęli, ale byli nawet brygadziści, którzy codziennie wycierali ławki w administracji, prosząc o co rychlejsze zwolnienie ich ze stanowiska.

Takie czasy nastały, że stara metoda — wpychanie robociarza w drewniany kaftanik — zupełnie zawiodła, a nową mało kto potrafił wymyśleć. I wkrótce taki brak brygadzistów zapanował, że kierownik robót wpadał do izby, żeby zapalić skręta, pogawędzić — i kończyło się na otwartych prośbach: „Chłopaki, no przecież to nie idzie tak bez brygadzisty, co za bałagan! No, wybierzcie sobie sami kogoś, my go zaraz zatwierdzimy!".

Jęły się takie sceny powtarzać zwłaszcza wtedy, gdy brygadziści zaczęli uciekać do BUR-a — szukać schronienia w kamiennym więzieniu! Nie tylko oni, ale także majstrowie — krwiopijcy jak Adaskin; kapusie, którym groziło zdemaskowanie, przeczuwający już, że teraz ich kolej, nagle zadrżeli i rzucili się do *ucieczki*. Jeszcze

poprzedniego dnia zadawali szyku, jeszcze wczoraj zachowywali się i przemawiali tak, jakby pochwalali wszystko, co teraz w obozie się działo (spróbowałbyś mówić dziś z zekami innym tonem!), jeszcze ubiegłej nocy spali w baraku ogólnym (spali czy może raczej czuwali w napięciu, gotowi do ostatniej walki, zaklinając się w duchu, że to ostatnia taka noc) — a dzisiaj już ich nie ma! I dyżurny dostaje zlecenie: rzeczy takiego a takiego odnieść do BUR-a.

Była to nowa, wesoła i straszna epoka w życiu Specobozu! W końcu — to nie my daliśmy nogę — tylko *oni uciekli,* uwalniając nas od swego towarzystwa. Niebywały, nieznany dotąd światu czas: człowiek o nieczystym sumieniu nie może zasnąć spokojnie! Odwet przychodzi nie na tamtym świecie, nie sąd historii feruje wyrok, tylko widomy, konkretny odwet podnosi o brzasku nóż nad twoją głową. To mogło się zdarzyć tylko w bajce: ziemia żony pod nogami ludzi uczciwych jest miękka i ciepła, pod nogami zdrajców — kole stopy i płonie! Można by życzyć tego samego wszystkim obszarom leżącym *poza* żoną, całemu naszemu w o l n e m u k r a j o w i , gdzie nigdy nic podobnego się nie zdarzyło — i nic takiego może się nie zdarzy.

Mroczny, kamienny BUR, od dawna już rozbudowany, z małymi okienkami opatrzonymi w blince, wilgotny, zimny i ciemny, otoczony mocnym i ścisłym płotem z czterocalowych belek — ten BUR, tak pieczołowicie przygotowany przez panów gospodarzy dla zbiegów, dla odmawiających pracy, dla uparciuchów, dla protestujących, dla wszystkich śmiałków — nagle stał się schroniskiem dla szpiclów, pijawek i dzierżymordów!

Nie sposób odmówić bystrego dowcipu temu, kto pierwszy wpadł na pomysł, by w nagrodę za wierną i długą służbę zażądać od czekistów schronienia przed gniewem mas — w tym kamiennym worku. Żeby agenci

218

władzy sami prosili o zamknięcie ich w najlepiej strzeżonej celi, żeby nie z więzienia uciekali, ale do więzienia, żeby dobrowolnie rezygnowali z czystego powietrza i słonecznego nieba — nie, historia chyba nie zna takiego wypadku!

Naczelnicy i pełnomocnicy ulitowali się nad pierwszymi w kolejce, przytulili ich!, w końcu to swoi ludzie. Wydzielili dla nich najlepszą celę w BUR-ze (obozowi dowcipnisie przezwali ją *przechowalnią),* wyposażyli ją w materace, kazali lepiej palić w piecu, wyznaczyli im godzinne spacery.

Ale śladem pierwszych spryciarzy poszli następni, nie tak dowcipni, ale tak samo gorąco pragnący żyć (niektórzy chcieli przy tym zachować twarz — a nuż się przyda, może jeszcze trzeba będzie wrócić i żyć w otoczeniu zeków? Archidiakon Rudczuk przemyślnie wyreżyserował swoją ucieczkę do BUR-a: po apelu przyszli do baraku nadzorcy, rozegrali scenę brutalnej rewizji z wytrząsaniem materaca włącznie, „aresztowali" Rudczuka i zabrali precz. Ale wkrótce cały obóz dowiedział się, że dumny archidiakon, miłośnik pędzla i gitary siedzi w tej samej, przepełnionej „przechowalni"! Już ich tam było dziesięciu, piętnastu, dwudziestu z górą! („Brygada Ma-czechowskiego" — tak ich nazwano, od nazwiska naczelnika wydziału dyscypliny). Już zabrano się do urządzania następnej celi, kosztem powierzchni

użytkowej BUR-a.

Donosiciele są wszelako potrzebni i pożyteczni tylko tak długo, jak długo myszkują wśród więźniarskiej masy i nie są jeszcze zdemaskowani. Zdemaskowany zaś szpicel nic nie jest wart i w danym obozie nie ma już z niego żadnego pożytku. I jeszcze trzeba go karmić za darmo w BUR-ze, bo nie pracuje na obiekcie, nie zarabia na siebie. Nie, nawet filantropia musi mieć w MWD jakieś granice!

Dlatego zatamowano potok próśb o ratunek. Kto się spóźnił — musiał dalej nosić owczą skórę i czekać noża.

Donosiciel — jak przewoźnik: potrzebny na dwa pacierze, a później niech czart go bierze.

Władze zaś gorączkowo myślały o kontrataku, o tym, jak zahamować groźny ruch i jak go złamać. Pierwszą jednak rzeczą, za którą się z przyzwyczajenia wzięły — było pisanie rozporządzeń.

Czego panowie naszych ciał i dusz najbardziej nie chcieli uznać — to faktu, że ruch nasz był ruchem politycznym. W groźnych ich rozkazach (nadzorcy chodzili od baraku do baraku i odczytywali je nam na głos) wszystko, co się u nas zaczynało dziać, nazywane było *bandytyzmem.* Tak było prościej, zrozumiałej i jakoś bardziej od serca. Jeszcze niedawno przysyłano do nas bandytów jako „politycznych". I oto teraz polityczni — po raz pierwszy uznani za takich! — stali się „bandytami". W rozkazach tych mówiło się — bez wyraźnego przekonania — że bandyci ci będą ziden-

219

tyfikowani (chwilowo nie mieli ani jednego) i (z jeszcze mniejszą pewnością s|ebie) _ że zostaną rozstrzelani. Ponadto rozkazy wzywały masy więźniarskie do *potępienia* owych bandytów i *do walki* z nimi!...

Więźniowie wysłuchiwali obwieszczeń i rozchodzili się, tłumiąc śmiech. To że oficerowie działu dyscypliny bali się nazywać zjawisko polityczne po imieniu (chociaż już od trzydziestu lat cały proceder śledczy polegał na wmawianiu ludziom politycznych motywów) — odczuwaliśmy jako ich słabość.

Bo też to była słabość! Nazywanie polityki bandytyzmem — był to ich wybieg: administracja obozu nie ponosiła w takim wypadku najcięższej odpowiedzialności — za dopuszczenie do pojawienia się wśród więźniów ruchu *politycznego.* Ten sam awantaż i ta sama konieczność odczuwane były także na wyższych stopniach organizacji: w obozowych i okręgowych delegaturach MWD, w GUŁagu, w samym ministerstwie. System lękający się informacji o faktach lubi oszukiwać sam siebie. Gdyby zabijano nadzorców i oficerów, wówczas trudno byłoby nie stosować artykułu 58-8, mówiącego o terroryzmie, co zresztą pozwalało na łatwą aplikację rozstrzelania jako kary. Teraz zaś władze postanowiły wykorzystać ponętną możliwość sprowadzenia ruchu w Specobozach do wspólnego mianownika tzw. *suczej wojny,* która w tym samym okresie szalała w ITŁ, a wybuchła i podsycana była za sprawą samego Kierownictwa GUŁagu[4].

[4] „Sucza wojna" godna byłaby osobnego omówienia w tej książce, ale wymagałoby

to zebrania mnóstwa dodatkowego materiału. Odsyłamy czytelnika do studium Warłama Szała-mowa *Szkice z dziejów świata przestępczego*, chociaż tam też nie wszystko jest powiedziane.

A więc pokrótce: „Sucza wojna" wybuchła gdzieś w 1949 roku (nie licząc sporadycznych, acz regularnie powtarzających się wypadków harataniny między złodziejami a „sukami"). W 19511 1952 roku ta wojna już szalała na dobre. Świat knajacki podzieli! się na liczne frakcje: oprócz *fetniaków i suk* w ścisłym sensie, byli jeszcze „bespredielniki" (złodzieje absolutni), „machnowcy"; „uporowcy" (naciskacze); „piwowarowcy" (od nazwiska prowodyra Piwowarowa, a może — ci, co mogą nawarzyć piwa; „czerwone kapturki"; „fuli nam!" (a ch... nam do tego); „łomem podpasani" — i wiele jeszcze innych grup.

W tym okresie Kierownictwo GUŁagu przestało już wierzyć w nieomylność teorii o możliwości wychowania knajaków i zapewne postanowiło uwolnić się od tego balastu, prowokując wewnętrzne podziały, popierając to jedną, to drugą grupę i jej nożami eliminując inne. Rzeź miała charakter otwarty, masowy.

Potem szemrani mordercy udoskonalili swoje metody: starali się zabijać nie własnymi rękoma albo zmuszali innych, by brali na siebie winę. W ten sposób młodzi pospolitacy albo byli żołnierze i oficerowie musieli pod gardłem odpowiadać na cudze przestępstwa, obrywali 25 lat z bandyckiego artykułu 59-3 i siedzą dotychczas. A fetniacy — wodzowie „grup" — wyszli na wolność ponad śnieg bielsi w 1953, gdy ogłoszono amnestię „woro-szyłowską" (ale pocieszmy się: od tego czasu nieraz już znowu wpadli).

Kiedy w naszej prasie znów zaczęła się sentymentalna moda opowieści o cudownych metamorfozach knajaków, wychynęła na lamy gazet również garść informacji — oczywiście możliwie najbardziej bałamutnych i kłamliwych — o epidemii morderstw w obozach, przy czym celowo splątano (aby zbić z tropu historyków) „suczą wojnę" z naszym „szatkowaniem" w Specobozach; zresztą — w ogóle nie wiadomo było o jakie to nożownicze

220

W ten sposób starali się oni ocalić twarz. Ale pozbawiali się też prawa do rozstrzeliwania morderców obozowych, to znaczy — nie mieli do dyspozycji konkretnych środków zaradczych. I nie mogli przeciwdziałać rosnącemu ruchowi.

Rozkazy nie pomogły. Więźniarskie masy nie zamierzały — na zew swoich władców — *potępiać i zwalczać*. Następnym krokiem było więc wprowadzenie w całym obozie karnego reżymu. Znaczyło to, że przez cały czas, prócz godzin spędzanych przy pracy, zarówno w tygodniu, jak w niedziele powinniśmy siedzieć pod kluczem, jak w celi, korzystać tylko z kibla i nawet żarcie pobierać we własnym zamkniętym baraku. Bałandę i kaszę zaczęto roznosić po barakach w wielkich beczkach, a stołówka opustoszała.

Ciężki to był reżym, ale nie utrzymał się długo. Na obiektach posadziliśmy robotę na żółwia i zjednoczenie węglowe podniosło krzyk. A co najważniejsze — na dozorców i strażników spadł poczwórny ciężar: musieli latać z kluczami z jednego

krańca obozu na drugi, to wpuszczać, to wypuszczać dyżurnych z kiblami, to karmić ludzi, to znów konwojować całe grupy do ambulatorium i z powrotem.

Celem władzy było, aby nam te dolegliwości dokuczyły, nastawiły przeciw zabójcom i skłoniły do ich wydania. Ale my wszyscy gotowiśmy byli raczej cierpieć, iść na udry — bo też było warto! Chcieli także, aby każdy

historie chodzi. Temat obozów wszystkich interesuje, takie artykuły ludzie czytają chciwie, ale zrozumieć z nich niczego nie sposób (i po to właśnie są pisane). Na przykład — dziennikarz Galicz opublikował w 1959 roku w „Izwiestiach" jakąś podejrzaną „dokumentalną" opowieść o niejakim Kosych, który ponoć rozrzewnił cały Sowiet Najwyższy 80-stronicowym listem z łagru, pisanym na maszynie. (1. Czyja to maszyna? Pełnomocnika operacyjnego? 2. Kto by tam czytał 80 stronic, skoro w tej instytucji już po pierwszej ziewają?). Ten Kosych oberwał 25 lat, drugi wyrok, za wewnętrznoobozową historię. Co to za historia, za co te 25 lat — w tym punkcie Galicz, co w ogóle jest typowe dla naszych dziennikarzy, od razu utracił zdolność do jasnego i zrozumiałego wyrażania się. Nie można się zorientować, czy Kosych popełni! zabójstwo „sucze", czy też polityczne, to znaczy, czy zabił szpicla. Ale właśnie to jest charakterystyczne: z historycznej perspektywy wszystko ma wyglądać jednakowo i wszystko ma nosić miano bandytyzmu. Oto jak ten proces próbuje naukowo naświetlić centralne pismo: „Poplecznicy Berii (zwalaj jak na garbusa, jemu i tak wszystko jedno!) panoszyli się wtedy (a *przedtem? A obecnie?)* w obozach. Samowola poszczególnych jednostek zastąpiła surowy mechanizm praw (jak to? wbrew obowiązującym instrukcjom? A któż by się ośmielił?), choć właśnie te jednostki miały go strzec. Jednostki te na w s z e l k i s p o s ó b p o d s y c a ł y w r o g i e n a s t r o j e (podkreślenie moje. To akurat prawda — A. S.) między rozmaitymi grupami ze-ka. (Korzystanie z usług donosicieli też daje się objąć tym sformułowaniem...). Była to dzika, bezlitosna, sztucznie podsycana nienawiść".

Nie udało się zahamować epidemii obozowych mordów wyrokami po 25 lat, jakie morderccy już mieli na koncie. I oto w 1961 roku wydany został dekret o karze śmierci przez rozstrzelanie za mord w obozie — również za zabicie szpicla, to jasne. Tylko tego chruszczowskiego dekretu brak było jeszcze stalinowskim Specobozom.

221

barak był zamknięty, co uniemożliwiałoby wejście mieszkańcom innych baraków, a miejscowych zawsze przecież łatwiej znaleźć. Ale znów zdarzyła się egzekucja szpicla — i znów jakoś nikogo nie złapano za rękę — znów nikt ,nic nie widział" i „nikogo nie poznał". A potem na obiekcie komuś łeb rozbito jak orzech — i tu już nic nie pomogło zamykanie baraków.

Odwołano więc karny reżym. Zamiast tego zaczęto budować „wielki mur chiński". Był to mur grubości dwóch samanowycłf bloków, czteromet-rowej wysokości, który ciągnął się środkiem obozu, mając dzielić go w poprzek. Chwilowo pozostawiono w nim przejście. (Pomysł ten zrealizowano we wszystkich

Specobozach. Takie dzielenie wielkich zon na mniejsze pola zastosowano już we wielu innych łagrach). Ponieważ zjednoczenie opłacać tych robót nie mogło, w planie budowy też to nie było przewidziane, bo pozbawione sensu — więc cały ciężar tej nowej pracy: lepienie i strychowa-nie bloków z samanu, i obracanie ich przy suszeniu, i noszenie na plac budowy, i samo układanie — spadł na nas samych, kosztem naszych niedziel i wieczornych (letnich, jasnych) godzin po powrocie z właściwej roboty. Bardzo nam ten mur dopiekł, jasne było, że władze knują jakąś nową podłość, ale budować trzeba było. Wolności wywojowaliśmy sobie bardzo jeszcze niewiele — tyle co dla głów i języków, a ręce ciągle jeszcze więzły w błocku niewoli.

Wszystkie te akcje — groźne rozporządzenia, karny reżym, mur chiński —były brutalne, utrzymane w klasycznym więziennym stylu i duchu. Ale cóż to? Ni stąd, ni zowąd jedna, druga, trzecia brygada zostaje wezwana do izby fotografa — i tam fotografuje się ludzi po kolei, ale bardzo grzecz nie, bez obroży z numerem na szyi, nie zmuszając do obracania głowy w specjalny sposób; nie — siadaj, jak ci najwygodniej, patrz tam, gdzie masz ochotę. I dzięki „nieostrożności" naczelnika działu KO robociarz dowiaduje się, że to „zdjęcia do dokumentów".

Do jakich dokumentów? Jakie dokumenty może mieć więzień?... Wśród łatwowiernych rośnie podniecenie: a może szykują przepustki, żeby chodzić bez konwoju? A może... A może?...

A to znów nadzorca wrócił z* urlopu i głośno opowiada koledze (w obecności zeków!), że po drodze widział całe pociągi amnestionowanych —umajone transparentami i zielenią. Że jadą do domu!

Boże, jak się serce tłucze! Toć już dawno'najwyższy czas! Toć od tego właśnie trzeba było zacząć po wojnie! Rety, więc już się zaczęło?

Podobno ktoś dostał list z domu: jego ziomkowie już na wolności, już w domu!

I nagle jedną ze sfotografowanych brygad wzywają na komisję. Prosimy, pojedynczo, jeden po drugim. Przy stole pokrytym czerwonym płótnem,

222

pod portretem Stalina siedzi nasza góra obozowa, ale nie tylko oni: jeszcze jacyś dwaj nieznajomi, jeden Kazach, drugi Rosjanin, nikt ich nigdy u nas nie widział. Ich zachowanie cechuje rzeczowość, ale z iskierką pogody; wypełniają kwestionariusze: nazwisko, imię, imię ojca, rocznik, miejsce urodzenia, a dalej, zamiast zwykłych pytań o artykuł, wyrok, datę końca kary — pytają o sytuację rodzinną, szczegółowo, o żonę, rodziców, czy są dzieci, jakie duże, gdzie mieszkają — razem czy osobno. I wszystko to zostaje zapisane!... (To jeden, to drugi członek komisji upomina protokolanta: to też zapisz! i to też!).

Dziwne, bolesne i słodkie pytania! Najbardziej zatwardziały z nas, słysząc je czuje przypływ ciepła, chce mu się nawet płakać! Całe lata słyszał tylko to urywane ujadanie: artykuł?, wyrok?, instancja? — i nagle widzi zupełnie nie zawziętych i złych, ale poważnych i ludzkich oficerów, którzy bez pośpiechu, ze współczuciem,

tak jest, ze współczuciem, wypytują go
0 rzeczy ukrywane tak głęboko że samemu nieraz strach ich dotknąć,
czasem powie człowiek sąsiadowi z nar dwa słowa, ale najczęściej milczy...
1 ci oficerowie (już zapomniałeś albo wybaczasz nawet, że ten właśnie
starszy lejtnant w zeszłym roku przed rocznicą rewolucji znalazł u ciebie,
odebrał i podarł fotografię żony z dziećmi) — otóż ci oficerowie, słysząc,
że twoja żona wyszła za innego, a ojciec bardzo słabuje i że nie spodziewa
się już zobaczyć synka — tylko cmokają wargami ze smutkiem, patrzą na
siebie wymownie i kiwają głowami.

Ależ oni w gruncie rzeczy dobrzy, też ludzie, tyle, że ta psia służba... I gdy już wszystko jest zapisane, zadają każdemu takie oto ostatnie pytanie:

- No, a gdzie chciałbyś mieszkać?... Przy rodzinie, czy tam, gdzie ostat nio?
- Jak? — zek bałuszy oczy. — Ja... mieszkam w siódmym baraku...
- To wiemy! — śmieją się oficerowie. — My cię pytamy: gdzie chciał byś mieszkać *w ogóle,* gdybyśmy mieli cię, powiedzmy wypuścić — to na jaką miejscowość wypisywać ci dokumenty?

I cały świat wiruje w oczach więźnia, drzazgi słoneczne, koła tęczowe... Rozumem dobrze pojmuje, że to tylko sen, bajka, że to nie może być prawda, że wyrok opiewa na dwadzieścia pięć albo dziesięć, że nic się nie zmieniło, że cały jest upaćkany gliną i jutro znów będzie się w niej babrać — ale przecież ci oficerowie, dwóch nawet w randze majora! — siedzą przed nim i bez pośpiechu ze współczuciem wypytują go:

— Więc dokąd, dokąd chciałbyś jechać? Powiedz!

I z tłukącym się sercem czując, że oblewa go warem fala ciepła i wdzięczności, jak chłopiec, który cały w pąsach wypowiada imię ukochanej — tak nasz zek wydusza ze siebie najgłębszą tajemnicę i mówi, gdzie chciałby

223

spokojnie spędzić resztę swoich dni, gdyby nie był wyklętym katorżnikiem, napiętnowanym czterema numerami.

A tamci — zapisują! I proszą, by wezwał następnego. Więc ten pierwszy, półprzytomny wybiega na korytarz i opowiada towarzyszom, co tam było.

Członkowie brygady wchodzą po kolei i odpowiadają na pytania życzliwie usposobionych oficerów. I na pół setki" więźniów jeden przypada, który powie z uśmiechem:

— Na Syberii wszystko mi się podoba, tylko klimat jakiś za gorący. Jak już, to może za Koło Podbiegunowe.

Albo:

— Zapiszcie, proszę: urodziłem się w obozie i w obozie odwalę kitę, bo to najlepsze miejsce.

Pogawędzili tak z dwoma, trzema brygadami (a w obozie jest ich dwieście). Przez kilka dni panowało w obozie miłe podniecenie, było

0 czym pogadać — chociaż połowa z nas od początku nie bardzo wierzyła, minęły, minęły te czasy! Ale komisja jakoś więcej się nie zbierała. Foto grafowanie drogo ich nie kosztowało — pstrykali bez kliszy. Ale na takie siedzenia całą kupą i serdeczne rozmówki z tymi łajdakami — nie, na to nie starczyło im cierpliwości. No, a skoro nie starczyło, to cała bezwstydna komedia skończyła się swędem.

(Ale trzeba przyznać — że to był jednak sukces! W 1949 roku zostają zorganizowane — oczywiście na wieczne czasy — obozy z żelaznym reżymem. I już w 1951 roku ich gospodarze urządzać muszą to sentymentalne przedstawienie. Gdzie lepszy dowód naszej wygranej? Dlaczego w ITŁ nigdy nie musieli tak się zgrywać?).

I znów błysnęły noże.

I wtedy gospodarze postanowili — brać! Bez donosicieli nie wiedzieli dobrze kogo brać, ale jakieś tam swoje podejrzenia i kalkulacje mieli (a może ktoś zdołał potajemnie odbudować sieć i system łączności).

Przychodzą więc nadzorcy do baraku — po robocie, jakby nigdy nic
1 powiadają: „Zbieraj się, pójdziesz z nami".

A zek ogląda się na sąsiadów i mówi:

— A ja nie pójdę!

I rzeczywiście — w tym zwykłym, prostym akcie b r a n i a , aresztowania, któremu nikt z nas nigdy się nie sprzeciwił, które uznawaliśmy z przyzwyczajenia za wyrok losu, jest przecież założona alternatywa: a nie pójdę! Nasze wyzwolone głowy teraz to już rozumiały!

— Jak to — nie pójdziesz? — zjeżyli się nadzorcy.

- A tak to! Nie pójdę! — stanowczo odparł zek. -- Tu też mi nie najgorzej.

224

— A dokąd go chcecie brać? A dlaczego? My go nie damy! Nie damy!... Wynoście się! — zakrzyczeli więźniowie ze wszystkich stron.

Nadzorcy podreptali w miejscu i wyszli.

Spróbowali w sąsiednim baraku — i tak samo się nacięli.

I zrozumieli wilcy, że już z nas nie te same barany. Że brać nas teraz można tylko podstępem albo na wartowni, albo — całą hurmą na jednego. A z tłumu — nikogo się nie da wyrwać.

I my, oczyszczeni z plugastwa, wolni od ich podsłuchu i podpatrywania, przyjrzeliśmy się sobie i zobaczyliśmy, że — nas tysiące!, że jesteśmy — *polityczni!,* że możemy już *stawiać opór!*

Jak dobrze, jak trafnie wybrane zostało to ogniwo, za które należało uchwycić łańcuch, by go porwać — szpicle!, zausznicy i zdrajcy! To nasi bracia, towarzysze niewoli nie pozwalali nam żyć. Jak na starożytnym ołtarzu — ich krew musiała zostać przelana, aby całą resztę uwolnić od ciężaru przekleństwa.

Rewolucja narastała. Jej powiew, który już zdawał się ucichać, teraz wdarł się w nasze płuca z siłą huraganu!

## XIRWIEMY WIĘZY PO OMACKU

Teraz, gdy od naszych strażników dzieliła nas już nie byle fosa, tylko głęboko zaklęśnięta rozpadlina — stanęliśmy na jej dwóch skarpach i zastanawialiśmy się: no i co dalej?

To tylko taki obraz, że „stanęliśmy". *Chodziliśmy* dalej do pracy z naszymi nowymi brygadzistami (wybranymi w sekrecie i skłonnymi do poświęceń dla wspólnego dobra) albo nawet z tymi starymi, tylko zmienionymi nie do poznania, troskliwymi, życzliwymi, serdecznymi. Nie spóźnialiśmy się na apel, nie zwalaliśmy roboty na kolegów, osiągaliśmy na obiektach niezłe wyniki — i zdawało się, że gospodarze obozu mogą być z nas zupełnie zadowoleni. My też mogliśmy być zadowoleni z nich: oduczyli się wrzasków i pogróżek, nie posyłali już do karceru za byle głupstwo i nie chcieli widzieć, że czapek na ich widok już nie zdejmujemy. Major Mak-symienko poranny apel i rozprowadzenie brygad zwykle przesypiał, ale za to wieczorem lubił witać powracające kolumny przed wartownią i — podczas gdy ciżba tłoczyła się u wrót — pozwalał sobie na dobrotliwe żarty. Patrzył na nas z sytą obojętnością, jak gospodarz futoru gdzieś, na południu Ukrainy patrzył na wracające z głębi stepów niezliczone swoje trzody. Nawet filmy zaczęto nam czasem wyświetlać przy niedzieli. I tylko budową „wielkiego muru chińskiego" dokuczano nam jak dawniej.

A jednak — zarówno nas, jak ich cały czas dręczyła jedna i ta sama myśl: co dalej? Ten stan nie mógł trwać długo; nie zadowalał ani nas, ani ich. Ktoś musiał zadać pierwszy cios.

Ale — jakie właściwie mogliśmy wysunąć żądania? *Mówiliśmy* teraz głośno i bez żadnych obaw wszystko, co nam do głowy przyszło, o wszys-

226

tkim, co nas bolało od lat (cieszyć się wolnością słowa nawet tylko wśród drutów żony, nawet tak późno w życiu — jakże było słodko!). Ale czy mogliśmy mieć nadzieję, że tę wolność uda nam się zaprowadzić poza żoną, że zdołamy tam ją przerzucić? Pewno, że nie. Jakież jeszcze inne żądania *polityczne* mogliśmy wysunąć? Nawet wyobrazić ich sobie nie było można! Nie dość, że byłoby to bezcelowe, beznadziejne — ale było niewyobrażalne! W naszym obozie nie mogliśmy przecież żądać, by cały kraj się zmienił, ani
—by wyrzekł się obozów; zaraz by nas bombami z samolotów zasypano. Naturalnym byłoby żądanie rewizji naszych *spraw,* anulowania niespra wiedliwych, niezawinionych kar. Ale to też wyglądało beznadziejnie. W gę stniejącym nad całym krajem smrodzie terroru większość naszych spraw i naszych wyroków wydawała się sędziom czymś bezwzględnie uzasadnio nym — ba, wydaje się, że nas samych zdołali oni o tym przekonać! I wresz cie — rewizja spraw — to jakaś abstrakcja nieuchwytna dla nas, przy tym z okazji rewizji najłatwiej nas byłoby oszukać: obiecywać, zwłóczyć, przy[J] jeżdżąc na nowe dochodzenia, to można ciągnąć latami. A gdyby kogoś nagle uznano za uniewinnionego i zabrano z obozu — to skąd moglibyśmy wiedzieć, czy to nie na egzekucję, nie do innego więzienia, żeby tam od siedział nowy wyrok?

Zresztą — czy komedia Wysokiej Komisji już nas nie nauczyła, jak to wszystko można zainscenizować? Toć bez żadnych superrewizji już — już chciano nas posłać do domu...

Ale co do jednego wszyscy byliśmy zgodni i tu nie było wątpliwości
—zlikwidować trzeba szykany najbardziej poniżające: niech nas na noc nie zamyka się w barakach i niech z nich zabiorą sobie kible; niech już nie będzie numerów; nie chcemy harować zupełnie za bezdurno; niech nam wolno będzie pisać 12 listów rocznie (ale to wszystko, to wszystko — i na wet nie 12, tylko 24 listy rocznie już mieliśmy w ITŁ — a czy tam można było żyć?).

A nawet co do tego, czy walczyć o 8-godzinny dzień pracy — nie było wśród nas zgody... Takeśmy odzwyczaili się od wolności, że nas do niej jakby wcale nie ciągnęło...

Rozważaliśmy też różne *sposoby:* jak wystąpić z tymi żądaniami? Co robić? Było jasne — że nasze gołe ręce nic nie znaczą przeciw nowoczesnej armii i dlatego naszym środkiem działania ma być nie powstanie zbrojne, lecz strajk. Podczas strajku można, dajmy na to, zerwać z siebie numery.

Ale krew płynęła w nas wciąż jeszcze niewolnicza, rabska. Jednomyślne sprucie psich numerów wydawało się czynem tak śmiałym, takim zuchwałym i nieodwracalnym, jak — powiedzmy — wyjście z cekaemami na ulice. A słowo

„strajk" brzmiało w naszych uszach tak świętokradczo, że

227

szukaliśmy dlań oparcia w głodówce: jeśli strajk zacząć jednocześnie z głodówką, to zyskają na tym niejako nasze moralne prawa do samego strajku. Dogłodówki mamy jakby jakieś prawo — ale do strajku? Kilka pokoleń z rzędu wychowało się u nas w przekonaniu, że superniebezpieczne i_ rzecz jasna — kontrrewolucyjne słowo „strajk" stoi w jednym szeregu ze słowami „Ententa, Denikin, kułak, sabotaż, Hitler".

W ten sposób, godząc się na zupełnie zbędną głodówkę, zgadzaliśmy się z góry na dobrowolne osłabienie naszych fizycznych sił, niezbędnych do walki. (Na szczęście — nikt już później w innych obozach nie powtórzył tego ekibastuzkiego błędu).

Debatowaliśmy także nad szczegółami takiej ewentualnej strajko-głodówki. Zastosowany u nas niedawno ogólnoobozowy reżym karny nauczył nas, że w odwet za strajk zamkną nas w barakach. Jak wtedy mamy się ze sobą komunikować? Jak wymieniać między sobą decyzje dotyczące dalszych losów strajku? Ktoś musiał wymyśleć i uzgodnić z innymi system sygnałów i ustalić z jakiego okna baraku będą nadawane i w jakim innym oknie drugiego baraku — ma się je odbierać.

O tym wszystkim mówiło się to tu, to tam, w jednej grupie, potem w innej. Wydawało się, że chodzi o rzecz nieuniknioną i pożądaną — a zarazem niemożliwą, bo nigdy dotąd niebywałą. Nie sposób było wyobrazić sobie tego dnia, kiedy zbierzemy się wreszcie, dogadamy się, podejmiemy decyzję i...

Ale nasi dozorcy, ujęci w karby jawnej organizacji wojskowej, przyzwyczajeni do działania i nauczeni, że akcja jest mniejszym ryzykiem od bezczynności — otóż nasi dozorcy uderzyli pierwsi.

A dalszy ciąg przyszedł już sam...

Cichutko i błogo powitaliśmy na naszych wagonetkach i w składzie starych naszych brygad, w starych barakach, sekcjach i kątach nowy rok 1952. A w niedzielę 6 stycznia, w prawosławną Wilię, kiedy to Ukraińcy-Haliczanie sposobili się do uroczystego święta, gdy chcieli warzyć kutię, pościć aż do pierwszej gwiazdki i później śpiewać kolędy — otóż tego dnia rankiem po apelu zamknięto nas w barakach i już więcej ich nie odmykano.

Tego nikt się nie spodziewał! Przygotowane to było w sekrecie, bardzo sprytnie! Przez okna zobaczyliśmy, że z sąsiedniego baraku jakąś secinę zeków ze wszystkimi rzeczami prowadzą w stronę odwachu.

Etap?

A teraz idą po nas. Oficerowie z aktami. I wywołują według listy. Wychodzić z rzeczami! I z siennikami, jak leci, nabitymi słomą.

Ach, więc o to chodzi! Chcą nas przetasować! U przełazu w chińskim

228

murze stoi straż. Jutro przełaz zamurują. Nas zaś wyprowadzają przez wartownię z żony setkami i pędzą — z workami i siennikami, niby jakichś pogorzelców —

dookoła obozu i przez drugą wartownię wprowadzają do drugiej części żony. A z tamtej żony — prowadzą innych zeków w odwrotnym kierunku.

Wszyscy kalkulują gorączkowo: kogo przenieśli?, kogo zostawili?, jaki jest sens tej translokacji? Dość prędko wyjaśnia się, o co chodziło gospodarzom: w jednej połowie (podobóz nr 2) zostali tylko mołojcy z Ukrainy, jakieś dwa tysiące ludzi. Tam zaś, gdzie nas przeniesiono będzie podobóz nr 1 na trzy tysiące pozostałych — dla Rosjan, Tatarów, Gruzinów, Ormian, górali z Kaukazu, Polaków, Mołdawian, Niemców i rozmaitych innych, zagarniętych na obszarach Europy i Azji. Jednym słowem — całe „jednolite i niepodzielne" Imperium. (Ciekawe. Myśl taktyczna MWD, której szlaki winien był wytyczać promień teorii socjalistycznej i ponadnarodowej — podreptała jednak starą ścieżką: grunt to porozdzielać ludzi według pochodzenia).

Stare brygady rozkruszyły się, formuje się nowe; pójdą na nowe obiekty, zabawa w komórki do wynajęcia! — Będzie tego tasowania nie na jedną niedzielę, tylko na cały tydzień. Porwano mnóstwo nici, przemieszano ludzi
—i strajk, już wiszący niemal w powietrzu, został udaremniony... Sprycia
rze!

W ukraińskim podobozie został cały sanitariat, stołówka i świetlica. U nas zaś jest BUR. Ukraińców, banderowców, najniebezpieczniejszych rebeliantów — postanowiono więc trzymać jak najdalej od BUR-a. Czemu to tak?

Wkrótce mamy już odpowiedź: obóz obiega bardzo godna wiary pogłoska (przynieśli ją tragarze, noszący do BUR-a beczki z sałamachą), że kapusie w swojej „przechowalni" znowu podnieśli łby: do ich celi pakują podejrzanych (wzięto dwóch-trzech to z tej, to z owej brygady) i że szpicle znęcają się nad nimi w tej celi, duszą, biją, zmuszają do zeznań, żądają nazwisk! *Kto zarzyna?!* Teraz dopiero jasno widać, gdzie jest sedno sprawy
—*torturują!* Torturuje nie sama psia sfora (zapewne nie mają urzędowej
sankcji i mogliby napytać sobie kłopotów), poruczyli tę robótkę kapusiom:
znajdźcie sami tych, co was mordują! Gorliwości nie trzeba ich uczyć.
I w ten sposób nie będą żreć chleba darmo, nygusy. A banderowców dla
tego trzyma się z dala od BUR-a, żeby go nie zaatakowali. Na nas można
przecież liczyć: ludzie z nas potulni, przy tym — różnych narodowości,
o zmowę trudniej. A buntownicy — zostali po drugiej stronie. I mur ma
cztery metry.

Ileż to mądrych ksiąg napisali badacze historii, iluż tych badaczy było

229
—a żaden z nich nie nauczył nas przewidywać zawczasu, ba, nikt nie
potrafił nawet objaśnić w następstwie — jak wybucha tajemniczy płomień
w ludzkich duszach, jak zapala się pierwsza iskra społecznych wybuchów.

Czasem pcha się płonące pakuły pod polano, pcha się i pcha — a suche drewno zapalić się nie chce. Czasem zaś jedna iskra wyfrunie z komina
—i cała wieś pójdzie z dymem.

Te nasze trzy tysiące niczego właściwie nie knuły, do niczego nie były gotowe, ale

gdy tego dnia ludzie przyszli z roboty — nagle w baraku, co sąsiadował z BUR-em, zaczęli rozbierać swoje wagonetki, brać się za dłużyce, za poprzeczki i w półmroku (ten kąt koło BUR-a zawsze był ciemny) biec, aby łomotać tymi dechami w mocny parkan ciągnący się wokół obozowego więzienia. Ani toporka, ani łomu nie miał nikt, bo w żonie ich nie znajdzie; no, może tam kto przyniósł jakie narzędzie z działu gospodarczego.

Łomot był taki, jakby ciesielska brygada zgodnie wzięła się do roboty. Pierwsze deski ustąpiły, zaczęto więc je oddzierać — i skrzyp czterocalo-wych gwoździ słychać było w całej żonie. Zdawało się, że to nie pora na ciesiołkę, ale te odgłosy tak się ze zwykłą pracą kojarzyły, że nie zwrócili na nie z początku uwagi ani wartownicy na wieżyczkach, ani nadzorcy, ani robociarze z innych baraków. Wieczór obozowy toczył się zwykłym torem: jedne brygady szły do stołówki, inne z niej się wlokły, ten spieszył do lazaretu, ów do magazynu, inny jeszcze po odbiór paczki z domu.

Ale w końcu nadzorcy zaniepokoili się i poszli sprawdzić, co się dzieje koło BUR-a, co tam kipi od tej ciemnej strony. Sparzyli się — i uciekli w stronę baraku sztabowego. Ktoś tam rzucił się za nimi z kijem. Ktoś inny
—do kompletu, żeby już wszystko grało — zaczął kamieniami czy kijem
tłuc szyby w baraku sztabu. Brzęk pękających szyb był dziwaczny, wesoły,
groźny!

Czego chcieli w końcu? — nie żadnego powstania, nie chcieli nawet brać więzienia szturmem, to niełatwe. Cały zamiar do tego się sprowadzał, aby chlusnąć szpiclom benzyny przez okno, podrzucić ogień — niby, że czuwamy i żeby nie stawiali się za bardzo. Jakiś tuzin z wiary przedarł się w końcu przez dziurę wyłamaną w parkanie. Zaczęli szastać się bez ładu, szukając która to cela, czy to właściwe okno, chcieli strącić z okna kaganiec, jęli podsadzać się nawzajem, podawać z rąk do rąk wiadro — ale tu zagrały cekaemy z wieżyczek i do podpalenia nie doszło.

Nadzorcy, którzy uciekli poza żonę i naczelnik od dyscypliny Maczecho-wski' (gonił go już ktoś z nożem, ale Maczechowski uciekł przez dziedzi-

' Jego też w końcu zarąbali, ale nie nasi, tylko knajacy, którzy w 1954 roku przyszli na nasze miejsce do Ekibastuza. Był brutalny, ale nie można odmówić mu odwagi.

230

nieć gospodarczy w stronę narożnej wieżyczki krzycząc: „Wieża! Nie strzelać! Swoi!" i w końcu zwiał przez druty i pas ochronny) — dali już znać do dywizjonu. A z dywizjonu (jak i gdzie dowiedzieć się teraz nazwisk tych dowódców?) przyszedł telefoniczny rozkaz, aby narożne wieżyczki otworzyły ogień z karabinów maszynowych do trzech tysięcy ludzi, nie mających pojęcia o tym, co się pod BUR-em dzieje. (Nasza brygada, na przykład — była w stołówce i tam usłyszeliśmy strzelaninę, nie wiedząc wcale
0 co chodzi).

Ironia losu sprawiła, że działo się to 22 stycznia według nowego kalendarza; wedle

starego zaś — był to 9 stycznia; data, która jeszcze tamtego roku widniała w kalendarzach jako *krwawa niedziela,* uroczysta rocznica rzezi na placu przed Pałacem Zimowym w 1905 roku. U nas zaś był to krwawy wtorek i oprawcy większe mieli pole do popisu, niż niegdyś w Petersburgu: nie plac, tylko step — i żadnych świadków, dziennikarzy, ani cudzoziemców[2].

W ciemnościach szyli z cekaemów na oślep, po całej żonie. Co prawda, strzelali tylko chwilę, większa część pocisków poszła pewno górą, ale wystarczająco wiele poszło dołem, a czy wiele ołowiu na człowieka trzeba? Kule przebijały cienkie ściany baraków i poraniły, jak to zwykle, nie tych, co szturmowali więzienie, tylko zupełnie postronnych, a ci musieli teraz *ukrywać* swoje rany; nie mogli iść do lazaretu, niech tam goi się, jak na psie: kto był ranny, tego zaraz uznano by za uczestnika buntu — toż trzeba kogoś wyłowić z tej ciżby! W 9 baraku zginął od kuli na własnej pryczy cichy starzec, który odsiedział niemal do końca swoją karę: za miesiąc miał wyjść z obozu; jego dorośli synowie służyli w tej samej armii, która prała do nas z cekaemów.

Ci, co napadli na więzienie, uciekli spod BUR-a i rozbiegli się do swoich baraków (musieli jeszcze prędko zbić do kupy swoje wagonetki, żeby nie było śladu). Wielu uznało strzelaninę za powód do siedzenia w baraku. Ale inni — wyszli właśnie na zewnątrz, kręcąc się w podnieceniu po żonie

1 próbując dowiedzieć się, co to było i dlaczego.

W tym momencie nie było już w żonie ani jednego nadzorcy. Barak sztabowy opustoszał, ponuro ziejąc wybitymi szybami. Wieżyczki milczały. Po żonie wałęsali się gapie i poszukiwacze prawdy.

1 wtedy otwarły się na całą szerokość wrota naszego podobozu i pluton konwojentów w pełnym rynsztunku wkroczył do żony, siekąc na oślep z automatów. Szli wachlarzem, za nimi ciągnęli rozjuszeni nadzorcy, uzbrojeni w rury żelazne, pały, w co tylko mieli pod ręką.

**[2] Jakoś w tych właśnie latach znikła z kalendarzy „krwawa niedziela" — jako wydarze**
**nie w końcu banalne i niewarte wspominania.**

231

Nacierali falami na wszystkie baraki, przeczesując żonę. Potem automaty milkły, strzelcy przystawali, a nadzorcy wybiegali naprzód, polowali na ukrywających się zeków — rannych czy jeszcze całych i bili ich niemiłosiernie.

To wszystko wyjaśniło się dopiero później, a tymczasem słyszeliśmy tylko gęstą palbę; w półmroku nie mogliśmy niczego zobaczyć ani się zorientować.

W drzwiach naszego baraku powstał morderczy tłok: wszyscy chcieli schronić się czym prędzej we wnętrzu i dlatego nikt nie mógł wejść (ściana z cienkich deszczułek nie była osłoną, ale kto był w środku, ten przestawał być buntownikiem). Ja też znalazłem się na ganku. Pamiętam dobrze mój ówczesny stan ducha: mdląca obojętność, niech się dzieje co chce, wszystko jedno, czy to ostatnia moja chwila, czy jeszcze nie ostatnia. Niech was ziemia pochłonie, przeklęci, czego jeszcze od nas

chcecie? Dlaczego zawsze, aż do śmierci ma ciążyć na nas jakaś wina, dlaczego musieliśmy urodzić się na tej nieszczęsnej ziemi i wiecznie siedzieć w waszych więzieniach? Ohyda tej kategorii wypełniła mi pierś zimnym obrzydzeniem.

Opuściła mnie nawet obawa o los poematu i sztuki, które nosiłem w pamięci. W obliczu śmierci, która maszerowała ku nam w szynelach, wcale nie cisnąłem się ku drzwiom baraku. Oto był stan, do którego nas na tej katordze doprowadzono.

Tłok zelżał, weszliśmy do baraku jako ostatni. I zaraz huknęły strzały, zwielokrotnione przez echo w izbie. Trzy kule posłali za nami, utkwiły rządkiem we framudze. A czwarta zgórowała i zostawiła w górnej, oszklonej części drzwi krągły, mały otwór otoczony promienistym nimbem.

Prześladowcy nie wdarli się w ślad za nami do baraku. Zamknęli nas w nim na klucz. Wyłapywali i bili tych, którzy nie zdążyli schronić się w barakach. Rannych i zabitych było ze dwudziestu; część dała nura, ukrywając rany, inni zaś trafili chwilowo do lazaretu, by doczekać się później więzienia i śledztwa za udział w buncie.

Ale dowiedzieliśmy się tego później. Tej nocy baraki były zamknięte, a następnego ranka, 23 stycznia nie pozwolono nam spotkać się z innymi w stołówce i podzielić wiadomościami. Tak więc, niektóre zdezorientowane baraki — te, w których nie było ofiar i gdzie nic się nie wiedziało o zabitych — wyszły do roboty. Nasz barak był również w ich liczbie.

Wyszliśmy, ale w ślad za nami nikogo nie wyprowadzono z obozowej bramy: plac był pusty, żadnej odprawy brygad. Zostaliśmy oszukani!

Szpetnie czuliśmy się tego dnia przy robocie w naszych warsztatach mechanicznych. Wiara snuła się od maszyny do maszyny albo siedziała, roztrząsając wczorajsze wydarzenia. Jak długo jeszcze będziemy tak tyrać i potulnie znosić to wszystko. A bo to można inaczej? — odpowiadali im starzy łagrowcy, raz na zawsze zgięci w barani róg. — A bo to znacie takiego, co

232

się nie dał? Wszystkim dadzą radę, zawsze tak było! (To była filozofia tych z 37. roku).

Gdy o zmroku wróciliśmy z roboty, żona naszego podobozu dalej była bezludna. Ale posłaliśmy gońców pod okna innych baraków. Okazało się, że Dziewiąty, w którym było dwóch zabitych i trzech rannych, a także sąsiadujące z nimi baraki już dziś do roboty nie poszły. Gospodarze stawiali im nas za przykład i mieli nadzieję, że nazajutrz tamci też pójdą do pracy. Ale teraz wszystko było jasne — my też jutrzejszego ranka do roboty nie idziemy.

Przerzuciliśmy przez mur kilka karteluszków, żeby Ukraińcy wiedzieli, co się stało, i żeby nas poparli.

Strajk głodowy, nie przygotowany należycie, nawet nie przemyślany do końca — zaczął się teraz znienacka, bez ośrodka kierowniczego, bez systemu sygnalizacji.

Później, w innych obozach, zaczynano od zajęcia magazynów żywnościowych i sił na harówkę nie marnowano; było to na pewno mądrzejsze. U nas zaś — choć

niemądrze, ale nader okazale: trzy tysiące ludzi odrzuciło za jednym zamachem i chleb, i robotę.

Rano ani jedna brygada nie posłała ludzi do krajalni chleba. Ani jedna nie poszła też do stołówki, gdzie dymiły już kotły z bałandą i z kaszą. Nadzorcy nic nie rozumieli: dziarskim krokiem wchodzili do baraków wołając nas raz, drugi i trzeci — później próbowali nas wypędzić pogróżkami, potem znów nas grzecznie zapraszali — i tylko do stołówki, a o robocie i odprawie mowy nie było.

Ale nikt się nie zbierał. Wszyscy leżeli — w butach i ubraniach — i milczeli. Tylko my, brygadziści (w tym właśnie gorącym okresie zostałem brygadzistą) musieliśmy ruszać gębą, bo nadzorcy zwracali się tylko do nas. Leżeliśmy, jak inni i rzucaliśmy półgębkiem z naszych legowisk:

— Nic się nie da zrobić, panie naczelniku...

I ten bierny, ale powszechny opór wobec władzy — tej władzy, która nigdy nikomu nie wybaczała, opór nieustępliwy, długotrwały — wydawał się czymś groźniejszym niż bieganina i krzyki pod gradem kul.

W końcu namowom przyszedł kres i baraki zamknięto.

W ciągu najbliższych dni z baraków wychodzili tylko dyżurni: wynosili kible, wnosili wodę do picia i węgiel. Tylko tym, co leżeli w lazarecie wolno było nie brać udziału w głodówce, tak postanowił ogół. I tylko lekarze oraz sanitariusze mieli prawo pracować. Kuchnia nawarzyła sałamachy raz i drugi, musiała ją wylać i zaprzestała gotowania strawy. Prydurki pierwszego dnia ponoć zgłosili się do władz, aby wyjaśnić, że żadną miarą nie mogą się wyłamać — i poszli.

233

I już panowie gospodarze nie mogli ani nas zobaczyć, ani zajrzeć nam w dusze. Głęboki jar rozdzielił dozorców i niewolników.

Nikt, kto był temu przytomny, nie zapomni tych trzech dni i nocy naszego życia. Nie widzieliśmy naszych towarzyszy z innych baraków, nie widzieliśmy nie pogrzebanych zwłok, które tam leżały. Ale przez opustoszałą żonę obozową biegły stalowe nici, które nas łączyły.

Głodówkę proklamowali nie syci ludzie z warstwą tłuszczu pod skórą, tylko zgraja żylastych, wyczerpanych istot, przez wiele lat z rzędu cierpiących głód, z trudem balansujących na krawędzi wycieńczenia i tracących ów cień równowagi fizycznej, gdy tylko odbierano im sto gramów z porcji. Strawa, której wyrzekliśmy się, ta strawa, która zawsze tak była dla nas skąpa
—dziś, w gorączkowych snach wydawała się godna najobfitszej uczty.

Głodówkę ogłosili ludzie przez całe lata uczeni wilczego prawa: „moja
kolej jutro, ale ty zdychaj dziś!". I oto — nastąpiła w nich odmiana, wydobyli się ze swojego cuchnącego buy mi, przekonani, że lepiej im wszystkim zginąć dziś, niż tak żyć jutro, jak dotąd żyli.

W izdebkach baraków ustaliły się między ludźmi stosunki solenne i serdeczne. Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś kęsy, zwłaszcza ci, co dostawali paczki
—znosił teraz te okruchy na rozpostartą szmatkę; dzieliło się je — wedle

postanowienia całej sekcji — na to, co można zjeść dzisiaj — i na zapas na jutro. (W przechowalni osobistych rzeczy posiadacze paczek mogli mieć jeszcze sporo zapasów, ale — po pierwsze — do składziku nie było przejścia przez żonę, a po drugie — nie każdy chciałby przynosić tu swoją żelazną porcję: przecież miał nadzieję, że to ona wróci mu siły po zakończeniu głodówki. Oto czemu głodówka była nierówną próbą, jak zresztą każde przejście więzienne. Prawdziwe męstwo okazali ci, którzy nie mieli żadnych zapasów i żadnej nadziei, że jeszcze zdołają się odkuć). Jeśli zaś kto miał trochę kaszy, to gotował ją w palenisku pieca i rozdawał po łyżce. Żeby podsycić ogień — odłamywano deski z wagonetek. Co tam żałować więziennej pryczy, skoro własnemu życiu jutro może nadejść kres.

Nikt nie mógł przewidzieć, jaki będzie następny krok gospodarzy. Obawiano się, że lada chwila znów zaczną palić z wieżyczek do naszych baraków. Nikt nie spodziewał się ustępstw. Nigdy, póki naszej pamięci, nikomu nie udało się niczego u nich wywojować — i nasz strajk miał gorzki smak beznadziei.

Ale ta beznadzieja miała też jakiś odcień satysfakcji. Nasze przedsięwzięcie jest desperackie, bezcelowe, to nie może dobrze się skończyć?, no i cóż, doskonale! Głód hulał nam w kałdunach, serca nam się ściskały —ale inne, wyższe dążenie już je drążyło. W ciągu tych długich, głodnych dni, wieczorów, nocy — trzy tysiące ludzi rozmyślało o sobie samych,

234

o trzech tysiącach swoich wyroków, o swoich trzech tysiącach rodzin albo o samotności, o tym, co z każdym się stało, i co się stanie — i chociaż w tej gromadzie serc rozmaite panować musiały uczucia, chociaż ten i ów czuł tylko żal albo rozpacz — to jednak większa część myślała tak samo: a niech tam!, a na złość!, jest źle? — to i dobrze, że źle!

Jest takie niezbadane prawo — prawo wspólnego wzlotu uczuciowego, ogarniającego całe masy wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Sam czułem powiew tego wzlotu. Został mi tylko rok do końca kary. Wyglądało na to, że powinienem pluć sobie w brodę i dręczyć się wewnętrznie — że dałem się wplątać w tę awanturę, z której trudno się będzie wykręcić bez nowego wyroku. A tymczasem — nic podobnego, niczego mi nie było żal. Pies wam mordy lizał, możecie mi nawet nowy wyrok wrzepić!...

Następnego dnia zobaczyliśmy przez okna, że grupa oficerów wchodzi do wszystkich po kolei baraków. Patrol nadzorców otworzył drzwi, przemaszerował korytarzem i zaglądając do naszych izdebek wzywał (ale nowym, łagodnym tonem, nie jak po dawnemu): „Brygadziści! Wychodzić!".

Zaczęły się wśród nas narady. Decyzja należała nie do brygadzistów, lecz do samych brygad. Chodziliśmy od sekcji do sekcji, zasięgaliśmy języka. Sytuacja nasza była dwuznaczna, kapusiów niby się pozbyliśmy, ale niektórych jeszcze mieliśmy w podejrzeniu, a co do paru — można było mieć pewność — przykładem Misza Gienierałow — śliski i czelny brygadzista od remontu samochodów. Zresztą samo

życie uczyło, że wielu dzisiejszych strajkowiczów — głodujących w imię wolności, jutro może pęknąć, skapitulować w imię spokojnego rabstwa. Dlatego prowodyrzy strajku (byli tacy naturalnie) nie ujawniali się, nie wychodzili z konspiracji. Nie sięgali otwarcie po władzę, brygadziści zaś — otwarcie się swojej wyrzekli. Dlatego wydawało się, że strajk jest żywiołowy i pozbawiony kierownictwa.

Wreszcie gdzieś tam cichcem wykluła się decyzja. My, brygadziści, a było nas sześciu czy siedmiu — wyszliśmy do sieni, gdzie cierpliwie czekali na nas gospodarze (była to sień tego samego baraku nr 2, niedawnej reżymki, w którym wykopano owe „obozowe metro" i właz do niego znajdował się o parę kroków od miejsca naszego spotkania). Podparliśmy ścianę, opuściliśmy oczy i zastygliśmy jak kamienie. Wbiliśmy wzrok w ziemię, aby nie patrzeć gospodarzom w oczy z przymilną uległością, patrzeć zaś z wyzwaniem — byłoby szczytem nierozsądku. Staliśmy tak, jak zajadłe łobu-ziaki, wezwane na radę pedagogiczną — w niedbałych pozach, z rękoma w kieszeniach, z głowami odwróconymi w bok — niepoprawni, beznadziejnie głusi.

Za to z obu korytarzy wypełz w stronę sieni tłum zeków; chowając się

235

za plecami stojących z przodu, tylne szeregi wykrzykiwały wszystko, co chciały nasze żądania i nasze odpowiedzi.

Oficerowie zaś z błękitnymi wyłogami (prócz znajomych byli też nowi, nie znani nam dotąd) formalnie widzieli tylko brygadzistów i tylko do nich się zwracali. Mówili z rezerwą, spokojnie. Już nie odgrażali się, ale nie traktowali nas jeszcze jak równych. Twierdzili, że przerwanie głodówki i strajku leży ponoć w naszym własnym interesie. Jeśli zgodzimy się — dostaniemy nie tylko nasz dzisiejszy przydział, ale rzecz w GUŁagu niebywała! — zaległy, wczorajszy. (Jak też przyzwyczaili się do myśli, że głodnego zawsze można kupić!). Nie było mowy ani o karach, ani o naszych nowych żądaniach, jakby ich w ogóle nie było.

Strażnicy stali z boków, trzymając prawe ręce w kieszeniach.

Z korytarzy dochodziły krzyki:

- Sprawców strzelaniny pod sąd!
- Zdjąć kłódki z baraków!
- Zdjąć z nas numery!

W innych barakach żądano także rewizji wyroków OSO przez sądy publiczne.

A my staliśmy jak chuligani przed dyrektorem, czekając aż się wreszcie odczepi.

Gospodarze poszli sobie, barak znów zaryglowano.

Chociaż głód wielu już zmorzył, a w głowach czuliśmy zamęt i ciężar — ale w całym baraku nie znalazł się ani jeden zwolennik ustępstw. Nikt głośno nie żałował straconej okazji.

Spieraliśmy się — jak też wysoko zajdzie wieść o naszym buncie? W ministerstwie spraw wewnętrznych już wiedzą, to jasne, albo dziś się dowiedzą. Ale Wąsal? Przecież ten rzeźnik ani chwili się nie zawaha, może kazać rozstrzelać nas wszystkich, całe pięć tysięcy.

Pod wieczór usłyszeliśmy gdzieś niedaleko warkot samolotu, chociaż pogoda była niesprzyjająca — chmury stały nisko. Zapewne przyleciał ktoś ważny.

Bywały zek, nieodrodny syn GUŁagu, Mikołaj Chlebunow, zaprzyjaźniony z naszymi brygadami, a dziś, po dziewiętnastu latach odsiadki, zamelinowany gdzieś w kuchni, łaził tego dnia po żonie i zdołał z całą odwagą podrzucić nam przez okno półpudowy woreczek jaglanej kaszy. Rozdzieliliśmy ją na siedem brygad i uwarzyliśmy w nocy, żeby nadzorcy nie przyłapali.

Chlebunow przyniósł nam gorzką wiadomość: siedzący za chińskim murem Ukraińcy z drugiego podobozu nie poparli nas. I wczoraj, i dziś Ukraińcy wyszli do pracy, jakby nigdy nic. Nie ulegało wątpliwości, że dostali nasze grypsy, że słyszą od dwóch dni, jak cicho jest u nas, że z żurawia na

236

budowie widzą dwudniowe nasze bezludzie po nocnej strzelaninie, że nie spotykają w polu naszych kolumn. Niemniej — nie poparli nas!.... (Jak dowiedzieliśmy się później, ich przywódcy, młode chłopaki, politycznie nie bardzo jeszcze otrzaskani, orzekli, że Ukraina musi iść własną drogą, jak najdalej od Moskali. Zaczęli z fajerem, a teraz wypięli się na nas). Było nas zatem trzy tysiące a nie pięć.

Drugiej nocy, trzeciego ranka i trzeciego dnia głód rwał nam już trzewia pazurami.

Ale gdy czekiści, w jeszcze większej liczbie, trzeciego ranka znów wezwali brygadzistów do sieni, a my znów podparliśmy ściany — niechętni, nieprzystępni, patrzący gdzieś w bok — nie było dwóch zdań, tylko jedno: nie ustępować! Już się w nas pojawiła inercja walki.

A gospodarze tylko dodawali nam sił. Nowo przybyły wyż powiedział:

— Kierownictwo obozu Pieszczanyj *prosi więźniów o przerwanie głodówki.* Kierownictwo przyjmie wszystkie zażalenia, rozpatrzy i usunie przyczyny *konfliktu* między administracją a więźniami.

Czy słuch nas nie myli? *Proszą* nas, abyśmy jedli! — a o pracy ani słowa. Szturmowaliśmy więzienie, tłukliśmy szyby i latarnie, z nożami w ręku uganialiśmy się za nadzorcami — ale to, jak się okazuje, wcale nie był bunt — tylko *konflikt między!* — między równymi stronami — administracją a więźniami!

Wystarczyło, że zapanowała wśród nas jedność zaledwie na dwa dni i dwie noce — a jak spuścili z tonu panowie naszych dusz! Nigdy w całym naszym życiu, nie tylko jako więźniowie, ale także na wolności, choćby jako członkowie związku zawodowego — nie słyszeliśmy od panów gospodarzy tak słodkich słówek!

Jednakże — rozeszliśmy się w milczeniu — bo przecież *tutaj* nikt nie mógł podjąć decyzji. Ani nawet obiecać, że jakaś decyzja w ogóle będzie. Brygadziści odeszli nie podnosząc głów, ani nie oglądając się za siebie, chociaż komendant obozu wołał za nami po nazwisku.

Taka była nasza odpowiedź.

I barak znów zaryglowano.

Z zewnątrz wydawało się gospodarzom, że dalej jest tak samo niemy i

nieustępliwy. Ale wewnątrz zaczęły się burzliwe dysputy w każdej sekcji. Pokusa była zbyt silna! Łagodny ton uderzył niewymagających zeków mocniej niż wszelkie pogróżki. Rozległy się nawoływania do ustępstw. Bo i prawda — czy mogliśmy w ogóle osiągnąć więcej?...

Byliśmy wyczerpani! Chcieliśmy jeść! Ten dziwny poryw, który połączył nasze uczucia i niósł nas wzwyż — teraz zatrzepotał skrzydłami i jął opadać.

237

Ale otwarły się także takie usta, które zatrzaśnięte były całymi dziesiątkami lat, które milczały całe życie — i milczałyby dalej aż do śmierci. Przysłuchiwali się im — rzecz jasna — także nie dobici szpicle. Te wezwania — odmilkłych na kilka minut, odzyskujących dźwięczność głosów (w naszej izbie głos Dymitra Panina) miały później być okupione nowym wyrokiem albo strykiem, dławiącym gardło, co zadrżało w przeczuciu wolności. Co tam, te struny głosowe pierwszy raz użyte zostały w tym celu, dla jakiego zostały stworzone.

Teraz ustąpić? — to by znaczyło poddać się na słowo honoru. Czyje słowo honoru? — kluczników, obozowej sfory. Czy dotrzymali oni danego słowa chociaż raz od chwili powstania więzień i obozów?

Dawno opadły osad cierpień, krzywd, naigrawari, podniósł się teraz z dna naszych dusz. Po raz pierwszy weszliśmy na dobrą drogę — i mamy się poddać czym prędzej? Wesoły i gniewny wicherek owiewał nam głowy, przejmował dreszczem: dalej tak! dalej! Jeszcze grzeczniej będą z nami gadać, zobaczycie! Zmięknie im rura! (Ale *kiedy* będzie można im wierzyć i *co* ma być kamieniem probierczym? To dalej nie było jasne. Oto los uciśnionych: muszą kiedyś *dać wiarę* i ustąpić...).

I zdawało się, że znów orzeł machnął skrzydłami — ów orzeł naszego zbiorowego, dwustukrotnego porywu! I że znów poszybował.

Więc leżeliśmy na pryczach, aby zachować siły, starając się nie wykonywać zbędnych ruchów i nie gadać o byle czym. Dosyć zachodu mieliśmy z myśleniem.

Już dawno zjedliśmy ostatnie okruchy. Nikt już niczego nie gotował, nie dzielił. W ciszy i bezruchu słychać było tylko głosy młodych obserwatorów, tkwiących przy oknach: mówili nam o każdym ruchu w żonie. Z radością patrzyliśmy na tę dwudziestoletnią młodzież, na jej żarliwość i czysty zapał, na jej determinację, by raczej umrzeć na progu nie zaczętego jeszcze życia, niż skapitulować! Z zawiścią i żalem myśleliśmy, że oto nasze głowy prawda nawiedziła tak późno i że zgięty kręgosłup już skostniał i rozprostować się nie da.

Myślę, że wolno mi już teraz wymienić Janka Baranowskiego, Wołodię Trofimowa i ślusarza Bogdana.

I nagle — u samego schyłku trzeciego dnia, kiedy na otartym z chmur niebie zachodu pokazało się niskie słońce — obserwatorzy krzyknęli z desperacją:

— Dziewiąty barak!... Dziewiąty się poddał... Dziewiąty idzie do stołówki!

Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Ludzie przybiegli do nas z izb po drugiej stronie korytarza. Przez kraty, z dolnych i górnych nar, na czwo-

238

rakach i zza cudzych pleców patrzyliśmy ze zgrozą na ten żałosny orszak.

Dwieście pięćdziesiąt nieszczęsnych postaci — i tak już czarnych a jeszcze czarniejszych, gdy patrzyło się na nie pod słońce — wlokło się przez żonę długim, pokornym korowodem. Szli poniżeni, słońce migało między nierównymi ogniwami tego łańcucha tak rozciągniętego, jakby ostatni z szeregu żałowali, że ci pierwsi poszli — i nie chcieli podążać za nimi. Niektórych, najbardziej osłabionych, towarzysze prowadzili pod ramię albo za rękę i — jako że wszyscy szli niepewnym krokiem — wyglądało to na pochód ślepców z przewodnikami. A jeszcze wielu trzymało w ręku menażki albo garnuszki — i te mizerne obozowe statki, niesione w nadziei na porcję strawy zbyt obfitej, by pomieścić ją mógł ściśnięty żołądek, te naczynia trzymane w wyciągniętej jak po jałmużnę dłoni, były dla nas szczególnie poniżającym symbolem rabstwa i szczególnie gorzkim powodem do współczucia.

Poczułem, że płaczę. Rozejrzałem się ocierając łzy i zobaczyłem, że inni też mają je w oczach.

Decyzja dziewiątego baraku była dla nas rozstrzygająca. To u nich już czwartą dobę, od wtorkowego wieczoru, leżeli zabici.

Dziewiątka szła do stołówki i wychodziło na to, że za chleb i kaszę postanowili przebaczyć mordercom.

Dziewiątka była barakiem zagłodzonym. Mieszkali tam wyłącznie robo-ciarze niefachowi i mało kto z nich dostawał paczki. Było tam wielu d o-chodiagów. Może skapitulowali po to, aby trupów im nie przybyło?

Odeszliśmy od okien w milczeniu.

I tu zrozumiałem, co to jest polska duma — i na czym polegał sekret polskich powstań, tak pełnych zapamiętania. Polak, inżynier Jerzy Węgierski był teraz w naszej brygadzie. Odsiadywał ostatni, dziesiąty rok swojej kary. Nawet gdy był kierownikiem robót, nikt nie słyszał od niego ostrego słowa. Był zawsze cichy, uprzejmy, wyrozumiały.

A teraz — twarz mu się zmieniła. Z gniewem, pogardą i męką odwrócił oczy od tego żebraczego orszaku, wyprostował się i krzyknął ze złością, donośnie:

— Brygadzisto! Mnie proszę na kolację nie budzić! Ja nie pójdę!

Wdrapał się na górne nary, odwrócił się do ściany — i nie wstał. Myśmy w nocy poszli jeść — a ten nie wstał! Nie dostawał paczek, był zupełnie sam, nigdy nie bywał syty — a nie wstał. Para unosząca się nad gorącą kaszą nie mogła mu przesłonić obrazu bezcielesnej Wolności.

Gdybyśmy wszyscy byli tak dumni i nieustępliwi — to jaki tyran by się ostał?

239

Następnego dnia, 27 stycznia, była niedziela. Nie posłano nas do pracy, żeby odrabiać zaległości (chociaż naczelnikom plan spać nie dawał) tylko karmiono, wydawano chleb za dni poprzednie i pozwalano włóczyć się po żonie. Wszyscy też chodzili po cudzych barakach, opowiadali, jak kto przeżył te dni, a nastrój panował

świąteczny, jakbyśmy zwyciężyli, a nie — ponieśli porażkę. A uprzejmi gospodarze jeszcze raz obiecali, że wszystkie *zasadne* prośby (tylko że kto wiedział i mógł określić, co jest zasadne?...) zostaną uwzględnione.

A tymczasem zdarzył się wypadek drobny, ale fatalny: Wołodka Pono-mariow, suka, który wśród nas spędził cały okres strajku, słyszał wiele i widział wiele — *uciekł na wartownię.* To znaczy — uciekł, aby nas zdradzić i ratować się od noża poza obrębem żony.

W tej ucieczce Ponomariowa wyraziła się dla mnie najistotniejsza cecha knajackiego świata. Ich pozorna wielkoduszność sprowadza się do wewnęt-rzno-kastowej lojalności wobec kolegów po fachu. Ale znalazłszy się wśród wirów rewolucji — zrobią świństwo jak dwa razy dwa. Bo nie uznają żadnych zasad — tylko siłę.

Można było się domyśleć, że gospodarze szykują się do wyłapywania prowodyrów i podżegaczy. Ale oznajmiono nam, że nic podobnego, że właśnie przyjechały komisje z Karagandy, z Ałma-Aty. z Moskwy i że będą rozpatrywać całą sprawę. Istotnie, pewnego dnia, pod niebem skutym mrozem i sinym postawiono na placu pośrodku obozu stół, siadły przy nim jakieś szarże w białych półkożuszkach i walonkach, po czym zaproponowano nam, byśmy zgłaszali skargi. Wielu podeszło i powiedziało swoje.

A we wtorek, po fajrancie zwołano brygadzistów — ,,dla składania zażaleń'". W istocie to zebranie było jeszcze jednym łajdackim wybiegiem, formą śledztwa: wiedzieli, ile gniewu zebrało się w duszach zeków i pozwalali nam się wyładować, aby potem tym pewniej przeprowadzać areszty.

Był to mój ostatni dzień w skórze brygadzisty: szybko rozrastał mi się zaniedbany nowotwór, od dawna już odkładałem operację na chwilę „naj-sposobniejszą" z obozowego punktu widzenia. W styczniu, a zwłaszcza w kluczowym momencie, w dniach głodówki — nowotwór sam za mnie zadecydował, że trzeba właśnie teraz: zaczął róść z godziny na godzinę. Skoro tylko odryglowano baraki, zgłosiłem się do lekarzy i od razu wyznaczono mi dzień operacji. Teraz powlokłem się na to ostatnie zebranie.

Zwołano je w przedsionku łaźni, była to spora izba. Wzdłuż rzędu krzeseł fryzjerskich postawiono długi stół prezydialny. Siadł przy nim pułkownik MWD, kilku podpułkowników, jakieś niższe szarże z centrali; nasi obozowi naczelnicy tkwili z tyłu — za ich plecami. Tam też siedzieli pro-

240

tokolanci i przez cały czas zebrania notowali spiesznie, a z pierwszego rzędu powtarzano im na głos nazwiska mówców.

Wśród gości wyróżniał się pewien podpułkownik ze Specwydziału albo z Organów — bardzo żwawy, inteligentny, zaczepny łotrzyk o wysokiej, wąskiej czaszce — z tą swoją drapieżnością i pociągłą twarzą sprawiał wrażenie, że wcale nie należy do tej tępej, czynowniczej zgrai.

Brygadziści zabierali głos niechętnie, trzeba ich było niemal na siłę wyciągać z

tłumu. Ledwie zaczynali mówić o czymś, co im leżało na sercu —już im tamci przerywali, wypytując: za co właściwie zarzyna się *ludzi?*, jakie cele miał strajk? I jeśli niefortunny brygadzista próbował jakoś od powiedzieć na te pytania — za co się zarzyna i jakie były żądania — zaraz rzucali się na niego całą sforą: a *skąd* właściwie o tym wiecie?, jesteście więc *związani* z bandytami?, no to podajcie ich nazwiska!

Tak oto — szlachetnie i na zasadzie równości — wyjaśnili nam oni „zasadność" naszych żądań...

Zbijać z tropu naszych mówców starał się szczególnie ów wysokogłowy łotr — podpułkownik; był bardzo wyszczekany i tę miał wyższość nad nami, że żadna kara mu nie groziła. Gasił przemawiających swoimi ostrymi pytankami i atmosfera już była teraz taka, że to my musieliśmy się usprawiedliwiać i tylko o naszych winach była już mowa.

Już się we mnie gotowało, miałem coraz większą chęć, aby popsuć mu tę zabawę. Poprosiłem o głos, przedstawiłem się z nazwiska (jªk echo powtórzyli je dla protokolantów). Podnosząc się z ławy zdawałem sobie sprawę, że tutaj nikt chyba prędzej ode mnie nie wydusi z siebie prawidłowego gramatycznie zdania. Jednego tylko nie wiedziałem jeszcze

- o czym właściwie mam mówić? Przecież mówić z nimi o tym, co zapi sane jest tu, na tych stronicach, co przeżyliśmy i przeżywamy w trakcie wszystkich lat katorgi i wszystkich dni głodówki — to tak, jakbyś przema wiał do orangutanów. Wciąż jeszcze zaliczali się do Rosjan i potrafili zro zumieć łatwiejsze rosyjskie zwroty, jak na przykład „czy mogę wejść?", „melduję posłusznie". Ale gdy tak siedzieli przy długim stole w jednym rzędzie, wystawiając na pokaz swoje jednakowe, bezmyślne, białe, spasione i zadowolone fizjonomie — stawało się oczywiste, że dawno już ulegli zwyrodnieniu i stali się przedstawicielami nowego gatunku biologicznego, a ostatnia możliwość porozumienia między nami, kontaktu z pomocą słów, beznadziejnie się urywa i jeden już tylko kontakt nawiązać możemy
- za pośrednictwem kul.

Tylko ten wysokogłowy nie stał się jeszcze orangutanem; wszystko słyszał i rozumiał doskonale. Spróbował zacukać mnie od razu na wstępie.

241

Podczas gdy reszta słuchała z napiętą uwagą, zaczął się fechtunek na błyskawiczne repliki:

— A gdzie pracujecie?

(Co za różnica, nie wszystko jedno, gdzie?).

- W warsztatach mechanicznych! — rzucam mu przez ramię i staram się czym prędzej sformułować zasadniczą myśl.
- Tam, gdzie robią *noże* — bije mnie sztychem.
- Nie — tnę na odlew — tam gdzie remontują *kroczące grobokoparki*

(sam nie wiem, skąd mi to tak szybko do łba strzeliło).

I mówię dalej, żeby nauczyli się przede wszystkim milczeć i słuchać. Ale ten chart przysiadł za stołem do skoku i jak na mnie nie wsiądzie:

- Was tu delegowali *bandyci?*
- Nie, to *wyście* mnie zaprosili! — rżnę z rozmachu, czuję że dostał

i ciągnę dalej.

Jeszcze jakieś dwa razy usiłuje wyskoczyć i ostatecznie milknie pokonany. Zwyciężyłem.

Zwyciężyłem. Ale co z tego? Jeden rok! Jeden rok mi został i to dławi gardło. I język mój nie ośmiela się powiedzieć im tego, na co zasłużyli. Mógłbym tu dziś wygłosić nieśmiertelną mowę — ale jutro by mnie rozstrzelano. Wygłosiłbym ją i tak — ale gdybym wiedział, że transmitowana będzie na cały świat! Nie, audytorium tu zbyt małe.

Więc nie mówię im, że nasze obozy przypominają zupełnie faszystowskie, a w niejednym są od nich gorsze. Ograniczam się do tego, że przed ich psimi, węszącymi nosami przeciągam smugę nafty dla odwiatru. Dowiedziałem się, że siedzi tu komendant oddziałów konwoju — więc załamuję ręce nad niegodnym postępowaniem konwojentów, którzy tak bardzo oddalili się od *ideału sowieckiego żołnierza,* bo przykładają ręce do szabru na obiektach przemysłowych, a przy tym są grubianinami, a ponadto — zabójcami. Następnie opisuję nadzorców obozu jako szajkę chciwców, którzy skłaniają zeków, by kradli dla nich materiały budowlane (tak jest właśnie, tylko zacząć by trzeba od siedzących tu oficerów). I jakże demoralizujący ma to wpływ na więźniów, dążących do poprawy!

To przemówienie mnie samemu się nie podoba, pożytek z niego tylko ten, że zyskaliśmy na czasie.

W narzuconej im teraz ciszy wstaje z ławy brygadzista T. i powoli, bełkocząc i zacinając się ze zdenerwowania, a może dlatego, że taki już się urodził — powiada:

— Dawniej to nie sprzeciwiałem się... kiedym słyszał, że inni więźnio wie... gadają, że żyjemy tu., jak te psy.

Brytan w prezydium zjeżył się. T. mnie czapkę w ręku — strzyżony

242

katorżnik, brzydki, o rysach zgrubiałych, surowych, niekształtnych; jak trodno znaleźć mu właściwe słowa...

...ale teraz widzę, że nie miałem racji.

Brytanowi twarz się rozjaśnia.

_ Żyjemy _wiele gorzej niż psy — z mocą i już bez stękania wyrzuca z siebie T. i wszyscy siedzący tu brygadziści zastygają w napięciu. — Pies ma jeden numer na obroży, a my cztery. Psa karmi się mięsem, a nas rybimi ośćmi. Psa do karceru się nie wsadza! Do psa z wieży się nie strzela! Psu nie można wlepić ć w i a r y !

Niech mu teraz przerywa, kto chce — on już najważniejsze powiedział.

Wstaje Czernogorow, przedstawia się jako były Bohater Związku Sowieckiego.

Wstaje jeszcze jakiś brygadzista, mówi, powtarzają ich nazwiska.

Może to wszystko nam na pohybel, chłopaki... A może tylko od takiego walenia łbem runie ta przeklęta ściana.

Narada kończy się nierozegraną.

Kilka dni trwa cisza. Komisji nie widać, więcej i w naszym podobozie wszystko tak spokojnie się toczy, jakby nic się nie zdarzyło.

Idę pod konwojem do szpitala na terenie ukraińskiego podobozu. Jestem pierwszym — którego prowadzą tam po głodówce, przynoszę pierwsze wieści. Chirurg Janczenko, który ma mnie operować, wzywa mnie na badanie, ale jego pytania i moje odpowiedzi nie nowotworu dotyczą. Nie zważa na mój guz — a ja cieszę się, że będę w rękach takiego właśnie lekarza. Jego pytaniom nie ma końca. Twarz mu pociemniała od naszych wspólnych przejść.

O, jak różny jest nasz stosunek do tej samej sprawy — zależnie od tego, co jest treścią naszego życia — i *które* to życie z kolei! Ot, ten guz, zapewne rak, cóż to za cios byłby na wolności, ile zgryzot, ile łez wylaliby najbliżsi. A tu, kiedy głowy z taką łatwością spadają z karków — ten sam guz jest tylko powodem do pobytu w szpitalu, niewiele nawet o nim myślę.

Leżę w szpitalu wśród rannych i pokaleczonych tamtej krwawej nocy. Są tu ludzie zbici przez nadzorców na krwawą miazgę — nie mają *na czym* leżeć, skóra w strzępach. Szczególnie pastwił się pewien rosły nadzorca (pamięć, pamięć! — gdyby przypomnieć sobie to nazwisko!). Ktoś już umarł z ran.

A nowiny gonią jedna drugą: w „rosyjskiej" żonie podobno zaczęto już rozprawiać się z buntownikami. Aresztowano czterdzieści osób. Obawiając się nowego buntu, zrobiono to w taki sposób: do ostatniego dnia wszystko po dawnemu pławiło się w dobroduszności, można było sądzić, że gospodarze badają, kto z nich samych jest winien temu, co zaszło. Dopiero owego dnia, brygady idące do pracy przez wrota, zorientowały się, że czeka

243

na nie zdwojona i potrojona eskorta. Plan polegał na tym, żeby aresztować upatrzonych tak, by ani oni sami nie mogli sobie wzajem pomóc, ani

żeby nie dały im ochrony ściany baraków czy budowanych obiektów.

Wyprowadziwszy brygady w step, rozciągnąwszy je w marszu, daleko jeszcze przed celem, naczelnicy konwoju zakomenderowali: „Stać! Gotuj broń! Ładuj broń! Więźniowie — siadł Liczę do trzech, potem otwieram ogień! Siadać! Siadać wszyscy!".

I znów, jak przed rokiem na Trzech Króli, bezradne i oszukane raby siedzą w śniegu, skuci. I wtedy oficer rozwija papier i wyczytuje nazwiska oraz numery tych, którzy mają wstać i wyjść z bezbronnego stada. Tę grupkę buntowników pod osobną eskortą odprowadzono z powrotem do obozu — albo przyjechała po nią więzienna karetka. A stado — uwolnione od siewców fermentu — podniosło się z ziemi i popędzono je dalej — do roboty.

Tak oto nasi wychowawcy wyjaśnili nam, czy można im kiedykolwiek i w

czymkolwiek zaufać.

Zabierali ludzi do paki także z żony, gdy większość poszła już na obiekty. Także przez ten czterometrowy mur, którego nie mógł nasz strajk przesadzić, epidemia aresztowań przefrunęła z łatwością i zaczęła zbierać ofiary w ukraińskim podobozie. Akurat w przededniu mojej operacji aresztowano chirurga Janczenkę i także zabrano go do więzienia.

Aresztowania — albo selekcja przed etapem, to trudno było rozróżnić — były kontynuowane już bez pierwotnych środków ostrożności. Wysyłano dokądś malutkie etapy, po dwudziestu-trzydziestu ludzi. I nagle 19 lutego zaczęto kompletować ogromny transport — jakichś siedmiuset ludzi. Zaaplikowano im reżym specjalny: przy wyjściu z obozu wszystkich siedmiuset zakuto w kajdany. Zemsta losu! Ukraińców, co tak stronili od zbuntowanych Moskali, było w tym transporcie jeszcze więcej niż naszych.

Co prawda, przed swoim odjazdem, uczcili salwą honorową nasz rozbity strajk. W nowiutkich zakładach obróbki drzewa, licho wie czemu — też całych drewnianych (i to w Kazachstanie, gdzie brak drzewa, a kamienia mnóstwo!) z nieznanych przyczyn (wiedziałem dobrze, że zostały podpalone) — wybuchł pożar w kilku punktach naraz — i w ciągu kilku godzin spłonęły trzy miliony rubli. Dla tych, których wieziono na rozstrzelanie, to było jak pogrzeb wikinga; pradawny obyczaj skandynawski kazał, aby razem z zabitym bohaterem szła na stos także jego łódź.

Leżę w dziale pooperacyjnym. Jestem w izbie sam: zamęt taki, że nikogo się nie kładzie, szpital zamarł. Tuż za moją salką, ostatnią w baraku, jest izdebka kostnicy i w niej, już któryś tam dzień, leży zabity doktor Korn-feld; nie ma nikogo, kto by zajął się jego pochówkiem, zresztą czasu brak.

244

(Rano i wieczorem nadzorca kończąc kontrolę, zatrzymuje się przed moją izbą i żeby uprościć rachunek, jednym ruchem ręki ogarnia kostnicę i mój pokój: „i tu też dwóch". 1 zapisuje na tabliczce).

Paweł Boroniuk, też wzięty już do wielkiego transportu, przedziera się przez wszystkie kordony i przychodzi, by uściskać mnie na pożegnanie. Wydaje się nam, że burza szarpie i przewraca do góry dnem nie tylko nasz obóz, ale cały wszechświat. Tarmosi nami ten wicher — i nie mieści się nam we łbach, że poza żoną — panuje zastój i cisza, jak dawniej. Wydaje nam się że niesie nas wielka fala, że to co mamy pod nogami, lada chwila rozpadnie się i zniknie w odmętach i że jeśli kiedykolwiek jeszcze się zoba-

czymy — to w innym, odmienionym już kraju. A na wszelki wypadek — żegnaj, przyjacielu! Żegnajcie, druhowie!

Poczłapał więc przed siebie ten dręczący, tępy rok — ostatni mój rok w Ekibastuzie i ostatni stalinowski rok na Archipelagu. Wrócili do żony tylko nieliczni z osadzonych w więzieniu — ci, przeciw którym nie znaleziono poszlak. A

bardzo liczni, których w tych latach poznaliśmy i polubiliśmy, zostali wywiezieni: jedni na nowe śledztwo i pod sąd; inni — do izolatorów, z dożywotnim haczykiem w aktach (choćby więzień przemienił się tymczasem w istnego anioła); jeszcze inni — do dżezkazgańskich rud; a był nawer etap „upośledzonych psychicznie'" — wpakowali tam także kpiarza Kiszkina; dzięki lekarzom znalazł się w nim młodziutki Wołodia Gerszuni.

Na miejsce tych, co wyjechali, wypełzli teraz szpicle z „przechowalni", jeden po drugim, z początku bojaźliwie, spoglądając na boki, później coraz bezczelniej. Wrócił do żony Wołodka Ponomariow, „suka sprzedajna", z prostego tokarza awansował na kierownika paczkami. Doręczenie drogocennych okruszyn, zebranych przez nieszczęsne rodziny — stary czekista Maksymienko powierzy! zdeklarowanemu złodziejowi!

Pełnomocnicy operacyjni znów wzywali do swoich gabinetów, kogo tylko chcieli. Duszna to była wiosna. Komu wyrosły za bardzo rogi albo nawet uszy, starał się schować je i giął kark tym bardziej. Już nie wróciłem na stanowisko brygadzisty (kandydatów znowu było dość), tylko zostałem pomocnikiem hutniczym w odlewni. Tego roku trzeba było pracować sporo, miało to swoje powody. Jako jedyne ustępstwo po ruinie wszystkich naszych nadziei, zlekceważeniu próśb, kierownictwo obozu dało nam *rozrachunek własny,* to znaczy taki system, przy którym nasz pot nie ściekał Po prostu do nienasyconej paszczęki GUŁagu, ale podlegał wycenie i 45%

\ 245

ustalonej wartości tej pracy uważane było za nasz *zarobek* (reszta przypadała państwu). Z tego „zarobku" 70% zagarniał obóz na koszta utrzymania konwoju, psów, drutu kolczastego, BUR-a, operów, oficerów od dyscypliny, od cenzury i od pracy wychowawczej — tj. wszystkiego, co było nam wręcz niezbędne do życia; za to pozostała część — od 30 do 10%, wpisywana była na rachunek osobisty więźnia. Nie całość, ale przynajmniej część tych pieniędzy (jeśli facet niczym nie zgrzeszył, nie spóźniał się do pracy, zachowywał się grzecznie i nie zawiódł oczekiwań zwierzchności) można było — raz na miesiąc składając odpowiednie podanie — wymieniać na nową walutę obozową, czyli *bony* — i bony te wydawać. Rzecz była zorganizowana w ten sposób, że im więcej człowiek przelewał potu i krwi, tym bardziej zbliżał się do pułapu 30%, jeśji zaś harował z niewystarczającą gorliwością, to cała jego praca szła na rachunek obozu, a facet dostawał figę.

I większość — o, ta *większość* naszych dziejów, zwłaszcza gdy uprzednia selekcja odpowiednio ją ukształtuje! — większość była niebotycznie uszczęśliwiona tym *ustępstwem* gospodarzy i teraz traciła zdrowie przy robocie, byleby kupić w kiosku mleka skondensowanego, margaryny, nędznych cukierków albo w „komercyjnej" stołówce dokupić sobie drugie danie. A jako że „rozliczenie" dotyczyło nie jednostek, lecz brygad, przeto ten, co nie chciał oddawać zdrowia za margarynę, też musiał je tracić, żeby towarzysze mogli sobie zarobić.

Znacznie częściej zaczęto teraz przywozić do żony filmy. I jak to zawsze w obozach, na wsi, w głuchych osadach — za nic sobie mając widzów, nie podawano

im zawczasu do wiadomości tytułu; świni też się przecież nie mówi, co znajdzie w korycie. Mimo to, więźniowie — czy nie ci sami, którzy zimą tak heroicznie głodowali?! — tłoczyli się teraz pod drzwiami, zdobywając szturmem miejsca godzinę przed zasłonięciem okien, ani dbając, czy film jest tego wart.

Chleba i widowisk!... Takie to stare, że aż wstyd powtarzać...

Nie wolno było mieć za złe ludziom, że po tylu latach głodu chcą teraz się nasycić. Ale — podczas gdy myśmy tutaj szukali sytości, tych naszych towarzyszy, którzy pierwsi pomyśleli o walce, albo tych, co w styczniu krzyczeli w barakach, „nie poddajmy się!", czy nawet takich co wcale nie byli zamieszani — teraz gdzieś sądzą, rozstrzeliwują, czy wożą na nowe lata do głuchych izolatorów, zadręczają nowymi i nowymi dochodzeniami, pakują dla przestrogi do celi, gdzie ściany upstrzone są krzyżami skazanych na śmierć — i jakiś major — bazyliszek, wchodząc do takiej celi mówi z obiecującym uśmiechem: „A, Panin! Pamiętam, pamiętam! Figurujecie w tej sprawie, figurujecie! Postaramy się was załatwić!".

246

Doskonałe słowo — *załatwić!* Załatwić można wyrok śmierci i dobę karceru; wydanie pary starych portek też można załatwić. Ale drzwi celi już się zatrzasnęły, bazyliszek wyszedł z zagadkowym uśmieszkiem, a ty zgaduj, nie śpij przez miesiąc, wal cały miesiąc łbem o ścianę — jak mianowicie chcą cię załatwić?...

Pisać o tym nietrudno, ale tylko pisać.

I nagle zebrano w Ekibastuzie nieduży transporcik, jakieś dwadzieścia osób. Dziwny jakiś transporcik. Zbierano ich bez pośpiechu, bez szykan, bez izolacji, niemal tak, jak się zbiera tych, co mają być wypuszczeni na wolność. Ale żaden z nich nie kończył jeszcze kary. I nie było wśród nich żadnego zaprzysięgłego zeka, takiego, co to go gospodarze dręczą karcerami i reżymkami, nie — to byli sami *porządni* więźniowie, dobrze widziani przez panów naczelników: tenże śliski i pewny siebie brygadzista od remontu samochodów, Misza Gienierałow, i brygadzista narzędziowców, chło-pek-roztropek Biełousow, i inżynier-technołog Gultiajew i bardzo solidny moskiewski konstruktor Leonid Rojkow, o prezencji działacza państwowego, postać nader pozytywna, i arcysympatyczny „chłopak w dechę", to-karz, Żeńka Milukow, z gębusią tak gładką, jak pączek; i jeszcze jeden tokarz, Gruzin Kokki Koczerawa, wielki prawdziej, walczący zawsze
0sprawiedliwość, ilekroć miał słuchaczy.

Dokąd ich wiozą? Ze składu grupy widać, że na pewno nie do jeszcze gorszego obozu. „Na pewno do jakiegoś fajnego miejsca! Na pewno zwolnią was spod konwoju!" — mówili im wszyscy. Ale żaden z nich nie miał wesołej miny. Kiwali tylko głowami z rezygnacją, zbierali rzeczy bez zapału, nieomal jakby gotowi byli zostawić je tu. Wygląd mieli przegrany, całkiem parszywy. Czyżby tak pokochali niespokojny Ekibastuz? Żegnali się odrętwiałymi wargami, ton tych pożegnań był sztuczny.

Zabrano ich.

Ale nie pozwolono nam o nich zapomnieć. Minęły ledwie trzy tygodnie

1rozeszła się plotka, że przywieziono ich z powrotem. Z powrotem? Tak jest. — Wszystkich? Owszem... Tylko że siedzą w baraku sztabowym i wca le nie chcą wracać na swoje stare prycze.

Tylko tego sztychu brakowało, aby uzupełnić dzieje strajku trzech tysięcy więźniów Ekibastuza. Brak było jeszcze tylko strajku szpiclów! *Sypiąc* naszych przyjaciół w gabinetach śledczych i podpisując odpowiednie protokoły, spodziewali się oni, że wszystko utonie w klasztornej ciszy. Przecież ta tradycja od dziesięcioleci jest u nas święta: donos polityczny uważany jest za dokument nie podlegający dyskusji i z gęby donosiciela nigdy nie zrywa się maski. Ale coś było w mechanizmie naszego strajku — może chodziło o konieczność usprawiedliwienia się przed wyższymi władzami?

247

co zmusiło naszych gospodarzy do przeprowadzenia w Karagandzie wielkiego procesu sądowego. Więc *tych* właśnie wezwano pewnego dnia — i spojrzawszy sobie głęboko w rozbiegane oczy, dowiedzieli się o sobie samych i o innych, że jadą na ten proces jako świadkowie oskarżenia. Ale mniejsza nawet o proces; znali przecież zasadę, wprowadzoną po wojnie w całym GUŁagu: więzień, wezwany na jakiś czas dokądkolwiek, musi wrócić do swojego rodzinnego obozu. Owszem, obiecano im, że w drodze wyjątku zostaną w Karagandzie. Owszem, jakieś dyspozycje wpisano im do dokumentów przejazdowych, ale nie tak jak należy, nie patataj — i Karaganda odmówiła przyjęcia.

W rezultacie — podróżowali przez trzy tygodnie. Przepędzano ich ze stołypinek do zborniaków, z więzień etapowych do stołypinek, komenderowano: „Na ziemię siad!", rewidowano ich, odbierano im rzeczy, prowadzono do łaźni, karmiono śledziami i nie dawano pić — tak właśnie, jak maltretuje się zeków zwykłych, nie zaś wiernopoddanych. Później — pod konwojem wprowadzono ich na salę sądową i jeszcze musieli spojrzeć w oczy tym, na których donieśli; wbili tam ostatni gwóźdź do ich trumien, zawiesili kłody na ich celach-pojedynkach, domotali jeszcze kilometry lat do ich s z p u l — i znów przez wszystkie zborniaki wrócili tą samą drogą, by znaleźć się na śmietniku w dawnym obozie, zdemaskowani i niepotrzebni.

Bo nie są więcej potrzebni. Donosiciel — to tak, jak przewoźnik...

No i jakże — czy obóz nie jest spacyfikowany? Czy nie wywieziono stąd prawie tysiąca ludzi? Czy im ktoś teraz przeszkodzi, gdy zechcą skoczyć do kuma na rozmówkę? A tymczasem — ani stąpią nogą za próg sztabowego baraku! Zastraj kowali — i nie chcą do żony! Jeden tylko Koczerawa decyduje się z całą bezczelnością nie wypadać z roli dawnego prawdzieja; idzie do swojej brygady i oznajmia:

— Nie wiem po co mnie wozili! Wozili, wozili i w końcu odwieźli z powrotem...

Ale starcza mu tej czelności tylko na jedną noc i na jeden świt. Rano jest już znowu w sztabie, wśród swoich.

Ee, a więc nie na darmo było to, co było i nie na próżno padli albo siedzą teraz nasi towarzysze! Obozowe powietrze nie da się już sprężyć tak, by po dawnemu zapierało dech. Przeprowadzono restaurację podłości, ale w sposób bardzo

nietrwały. O polityce, gada się w barakach zupełnie bez skrupułów. I ani jeden kierownik robót, ani brygadzista nie ośmieli się kopnąć zeka, czy podnieść na niego ręki. Przecież teraz wszyscy dowiedzieli się, jak łatwo robi się noże i jak łatwo wbić nóż pod żebro.

Nasza wysepka zadrżała w posadach — i oderwała się od Archipelagu...

248

Ale to czuło się w Ekibastuzie. W Karagandzie — już ledwo, ledwo. A w Moskwie — ani, ani. Zaczął się rozkład systemu Specobozów — w jednym, drugim, trzecim punkcie — Ojciec zaś i Nauczyciel nie miał o tym pojęcia, nikt mu o tym, rzecz jasna, nie meldował (zresztą — nie potrafił się wyrzec niczego, katorgi też by się nie wyrzekł, póki fotel pod nim nie zacząłby się tlić). Wręcz przeciwnie, zaplanował — chyba szykując się do nowej wojny — na 1953 rok nową, wielką falę aresztowań i dlatego to w 1952 roku rozszerzył sieć Specobozów. Obóz w Ekibastuzie — z filii Stepłagu czy Pies-czanłagu — postanowiono awansować do rangi centrali nowego, wielkiego Specobozu, leżącego w dorzeczu Irtyszu i noszącego tymczasową nazwę Dal-łagu. I oto — prócz starych naszych plantatorów — zjawił się w Ekibastuzie nowy kontyngent pasibrzuchów w postaci szarż całego nowego Zjednoczenia obozów; wszystkich ich mieliśmy utrzymywać naszą pracą.

Ponoć niedługo też mieliśmy czekać na nowe kontyngenty więźniów.

A zaraza wolności tymczasem szerzyła się —jak można było wykorzenić ją z gruntu Archipelagu? Niegdyś przywieźli ją mołojcy z Dubowki do nas, teraz nasi zawlekli ją dalej. Tej wiosny we wszystkich wychodkach kazachstańskich więzień etapowych wypisano, wyskrobano, wyrżnięto na ścianach: „Pozdrawiamy bojowników Ekibastuza!".

Koło czterdziestu ludzi, wziętych w charakterze „czołowych wichrzycieli" przy pierwszej selekcji, oraz dwustu pięćdziesięciu „najzacieklejszych" z wielkiego lutowego etapu, zawieziono do Kengiru (osada zwała się Ken-gir, ale stacja — Dżezkazgan) — czyli 3. filii Stepłagu, a znajdował się tam zarząd Stepłagu i miał swoje miejsce postoju sam brzuchaty pułkownik Czeczew. Pozostałych ukaranych z Ekibastuza rozmieszczono po równo w 1. i 2. filii Stepłagu (Rudnik).

W celu zastraszenia ośmiu tysięcy kengirskich zeków oznajmiono, że przywiezieni zostali *bandyci*. Od samej stacji do nowego gmachu kengirs-kiego więzienia prowadzono ich w kajdanach. Jako żywa, lecz zakuta w żelaza legenda przeniknął nasz ruch do pogrążonego jeszcze w rabstwie Kengiru, aby go rozbudzić. Podobnie jak w Ekibastuzie przed rokiem, panowały tu jeszcze — pięść i donos.

Aż do kwietnia tych dwustu pięćdziesięciu naszych siedziało w więzieniu; wreszcie naczelnik kengirskiej filii obozu, podpułkownik Fiedotow doszedł do wniosku, że skruszeli już wystarczająco i że czas prowadzić ich do roboty. Z centrali dostarczono swego czasu 125 par nowiutkich niklowanych kajdan ostatniego faszystowskiego modelu. Skuwając ludzi parami

249

można było obsłużyć akurat 250 ludzi (ten szczegół techniczny zadecydował chyba o liczebności przyjętego przez Kengir kontyngentu).

Jedna ręka wolna! No, to można jeszcze żyć! W kolumnie było sporo ludzi z więziennym doświadczeniem, zdobytym już w obozowych bunkrach, byli też kuci na cztery nogi zbiegowie (także Tenno, dołączony do przybyłego etapu), a więc znający wszystkie techniczne cechy szczególnie kajdan — i oni to wyjaśnili sąsiadom z kolumny, że mając jedną rękę wolną można bez trudu zdjąć kajdany — z pomocą igły albo nawet bez niej.

Gdy podeszli do miejsca pracy, nadzorcy zaczęli zdejmować więźniom kajdany w kilku naraz miejscach kolumny, aby mogli zabrać się do pracy bez zwłoki. Właśnie w tym momencie nasi majsterkowie zaczęli zręcznie zrywać kajdany i zdejmować je z kolegów, chowając je pod połą: „A nam już zdjął inny strażnik!". Dozorowi nie wpadło nawet na myśl, aby policzyć kajdany przed wpuszczeniem kolumny na obiekt, a przy tej okazji nigdy więźniów już się nie rewiduje.

W ten sposób, już pierwszego ranka, nasi chłopcy zwędzili 23 pary kajdanków z owych 125 par! Tu, w żonie roboczej, zabrali się do rozbijania ich kamieniami i młotkami, ale wkrótce znaleźli coś lepszego: jęli zawijać je w przetłuszczony papier, aby na dłużej się zachowały — i wmurowali w ściany i fundamenty domów, budowanych tego dnia (Osiedle mieszkalne Nr 20, naprzeciw Pałacu Kultury w Kengirze), dodając do tego bardzo niedojrzałe ideologiczne notki: „Potomkowie! Te domy budowali sowieccy niewolnicy! Oto kajdany, jakie nosili!".

Dozór klął na czym świat stoi, wyzywał od *bandytów,* a na drogę powrotną przyniósł partię starych, zardzewiałych. Ale mimo wszystkich środków ostrożności — przy wyjściu z żony chłopaki rąbnęły jeszcze sześć par. W ciągu dwóch następnych dni — jeszcze kilka. A każda para kosztowała 93 ruble.

I w końcu kengirscy gospodarze zrezygnowali z prowadzenia do robót więźniów w kajdankach.

*...A walka jedynie zapewni ci prawa!*

W maju zaczęto nowo przybyłych przenosić stopniowo z więzienia do żony ogólnej.

Teraz nadszedł czas, aby to i owo podpowiedzieć miejscowym towarzyszom niedoli. Na początek przeprowadzili akcję pokazową: pewien prydu-rek, wykorzystując swoje prawa, chciał coś kupić w kiosku bez kolejki, więc omal nie został zatłamszony. Wystarczyło, by hyr poszedł po obozie: zaczyna się coś nowego!, przyjechali faceci z ikrą, nie tacy jak my! (Nie można powiedzieć, aby w ośrodku Dżezkazgańskim nikt dotąd szpiclów

250

nie tępił, ale nie był to jeszcze *kierunek natarcia.* W 1951 roku w więzieniu obozu Rudnik wyrwano któregoś dnia klucze strażnikowi, otwarto celę i zarżnięto w niej niejakiego Kozlauskasa).

Teraz powstawały również w Kengirze podziemne *Ośrodki* — ukraiński i ogólnorosyjski. Przygotowane zostały noże oraz maski do „szatkowania"
— i cała historia zaczęła się od początku.

„Powiesił się" w celi na kratach Wojniłowicz. Zabity został brygadzista Biełokopyt i prawomyślny kapuś Lifszyc, niegdyś — w czasie wojny domowej członek Rewwojensowietu armii walczącej z Dutowem. (Lifszyc prosperował jako bibliotekarz KO w obozie Rudnik, ale prawdziwa jego rola znana była tak szeroko, że zarżnięty został pierwszego dnia po przybyciu do Kengiru). Intendent — Węgier zarąbany został toporami obok łaźni. A potem, inaugurując tym samym szlak do „przechowalni", schronił się tam jako pierwszy Sauer, były minister sowieckiej Estonii.

Ale gospodarze obozu też już wiedzieli, co robić. Mury między czterema podobozami wzniesiono tu już dawno. Teraz zaś zaczęli otaczać murem każdy barak i osiem tysięcy ludzi jęło temu zajęciu poświęcać wolne od pracy chwile. Każdy zaś barak podzielono na cztery izolowane sekcje. Wszystkie te małe żonki i każda sekcja ryglowana była na noc. W ideale należałoby jednak cały świat podzielić na pojedyncze cele!

Starszy sierżant, szef więzienia kengirskiego, był zawodowym bokserem. Więźniowie służyli mu za gruszki bokserskie do zaprawy. To w jego ansz-talcie wynaleziono sposób bicia młotem przez dyktę, żeby nie zostawić śladów. *(Praktycy* w MWD dobrze wiedzieli, że bez bicia i mordowania ich praca wychowawcza nie ma perspektyw: i każdy *praktyczny* prokurator był tego samego zdania. Ale mógł przecież zwalić się na głowę jakiś teoretyk!
— właśnie na wszelki, choć mało prawdopodobny wypadek, trzeba było podkładać tę dyktę. Pewien Ukrainiec spod Lwowa, zadręczony torturami, powiesił się w obawie, że w końcu wyda towarzyszy. Inni zachowali się gorzej. I oba ośrodki uległy likwidacji).

Ponadto — pośród „bojowców" znaleźli się chciwi nicponie, myślący nie tyle o przyszłości ruchu, co o prywatnym zysku. Zażądali, aby kuchnia wydawała im dodatkowe porcje i domagali się jeszcze procentu od paczek[3]. Także to przyczyniło się do oczernienia i stłumienia całego ruchu.

[3] Jest to chyba zjawisko nieuniknione wśród tych, którzy wybrali przemoc. Myślę, że banda Karno, przekazując — zdobyte przy napadach na tyfliskie banki — pieniądze do bolszewickiej kasy partyjnej, coś niecoś zostawiała we własnych kieszeniach. I żeby ich naczelny szef Koba nie miał mieć pieniędzy na wino? Toż gdy w okresie komunizmu wojennego w całej sowieckiej Rosji wprowadzono prohibicję, tenże Stalin miał na Kremlu swoją piwniczkę i wcale się tego nie wstydził.

251

No i chyba udało go się stłumić. Ale szpicle też przysiedli na zadach po pierwszym ostrzeżeniu. Atmosfera w Kengirze jednak się oczyściła.

To był siew. Jednakże ozimina wzeszła nie od razu — i w inny sposób, niż się spodziewano.

Chociaż wciąż nam tłumaczą, że jednostka żadnej roli w historii nie gra, zwłaszcze jeśli działa na przekór postępowi, niemniej — przez ćwierć wreku taka jednostka zginała nas wedle woli w barani róg, a myśmy nawet pisnąć nie śmieli. Teraz nam powiadają: nikt nic nie wiedział i nie rozumiał, ani awangarda, ani ariergarda; tylko stara gwardia wiedziała, co się święci, ale wolała truć się w kąciku, strzelać sobie w łeb w sypialni, wegetować na rencie — byle nie wykrzyczeć nam wszystkiego — z trybuny.

I dlatego taki los wypadł nam, że tylko my, robaczki nędzne, mieliśmy bawić się w wyzwolicieli. W takim Ekibastuzie — podparliśmy w pięć tysięcy ramion sklepienie lochu — i jednak mała szczelinka powstała. Mała, ledwie widoczna, owszem; sami większą szkodę ponieśliśmy — też racja
—ale dzięki takim szczelinom zapadają się pieczary.

Bunty były nie tylko u nas, nie tylko w Specobozach, ale cala ta krwawa przeszłość tak jest zaklajstrowana, zalizana, zapucowana gałganami, że nie miałem możności sporządzenia najskromniejszej choćby listy obozowych rozruchów. Ot, przypadkiem dowiedziałem się, że w 1951 roku w obozie ITŁ Wachruszewo na Sachalinie miała miejsce 5-dniowa głodówka pięciuset więźniów, przy akompaniamencie ogólnego wzburzenia; spowodowało je zadzganie bagnetami na wartowni trzech schwytanych zbiegów. Konsekwencją głodówki były liczne aresztowania. Znany jest fakt rozruchów w Ozierłagu, gdy wartownik przy odwachu zabił więźnia stojącego w szeregu; miało to miejsce 8 września 1952 roku.

Przypuszczalnie na początku lat 50. zaczął się kryzys całego stalinowskiego systemu łagrów ■*- i było to szczególnie dobrze widoczne w Specobozach. Jeszcze za życia Wszechmocnego, tubylcy Archipelagu zaczęli rwać krępujące ich więzy.

Trudno przewidzieć, co by się stało, gdyby pożył dłużej. Ale raptem
—nie dbając o prawa ekonomii ani rozwoju społecznego — zatrzymała się
stara, opieszała, brudna krew w żyłach tej przysadzistej, dziobatej *jedno*
*stki.*

I chociaż — zgodnie z Przodującą Doktryną — absolutnie nic nie powinno było z tego powodu ulec zmianie, chociaż wcale zmian nie obawiały się błękitne kaszkiety, mimo że łzy lały na posterunkach 5 marca, chociaż nie

252

śmiały żywić żadnych nadziei czarne fufaje, mimo że brzdąkały na bałałajkach, gdy dowiedziały się (poza żonę ich tego dnia nie wypuszczono), że nadają przez radio marsze żałobne i że opuszczono flagi do pół masztu — a jednak coś tam zaczęło się pod ziemią ruszać i przewalać.

Co prawda, amnestia z końca marca 1953, przezwana w obozach „wo-roszyłowską" była z ducha zupełnie w guście nieboszczyka: grunt to hołubić złodziei, a tępić

politycznych. Szukając popularności wśród szumowin, twórcy tej amnestii rozpuścili szczurze nasienie po całym kraju, narażając uczciwych ludzi na cierpienia, każąc im opatrywać wolne okna w kraty, milicji zaś — uganiać się za dopiero co wypuszczonymi i pakować ich znów do więzień. Pięćdziesiątka Ósemka skorzystała zaś z amnestii w zwykłej proporcji: w drugim podobozie Kengiru na trzy tysiące ludzi wypuszczono... trzech.

Taka amnestia mogła wbić katorżnikom do głów tylko jedno: śmierć Stalina nic nie zmienia. Nie mogli liczyć na litość — i nie będą mogli dalej. Jeśli więc chcą jeszcze żyć, to muszą walczyć!

W roku 1953 rozruchy w obozach powtarzały się w rozmaitych miejscowościach — miały miejsce drobne zamieszki, np. w 12. podobozie Kar-łagu; ale również spore powstanie w Gorłagu (Norylsk), któremu trzeba by tu poświęcić osobny rozdział, gdybyśmy mieli jakiekolwiek materiały. Ale nie mamy w ręku nic.

Jednakże śmierć tyrana miała swoje skutki. Nie wiadomo jak i czemu, ale w głębi trwały dalej skryte ruchy tektoniczne — i nagle z blaszanym łoskotem, jak pusty kubeł, zleciała jeszcze jedna *jednostka* — z samego szczytu drabiny aż na dno gnojówki.

I teraz — zarówno awangarda, jak ariergarda, ba, nawet nędzni tubylcy Archipelagu zrozumieli, że nadeszły inne czasy.

Tu, na Archipelagu, upadek Berii odezwał się najbardziej gromkim echem: to przecież był najwyższy Patron i Namiestnik! Oficerowie MWD byli zaskoczeni, zakłopotani, zbici z pantałyku. Gdy już wieść nadana została przez radio, gdy nie sposób było wepchnąć go z powrotem głośnikom do gardła, gdy trzeba było zdecydować się na zdjęcie portretów tego najmilszego i łaskawego Protektora ze ścian zarządu Stepłagu — pułkownik Czeczew wyszeptał drżącymi wargami: „Wszystko skończone". Ale mylił się. Myślał chyba, że już jutro wszystkich ich poślą na ławę oskarżonych[4]. Dezorientacja i konfuzja wśród oficerów i nadzorców natychmiast zostały zauważone przez zeków. Naczelnik wydziału dyscypliny 3. kengirskiego

[4] Jak to zauważył Kluczewski na d r u g i d z i e ń po zniesieniu poddaństwa szlachty (ukaz o przyznaniu swobód, 18.11.1762 roku) zniesiono poddaństwo chłopów (19.11. 1862) — tyle że po upływie 99 lat!

253

podobozu, od którego więźniowie nie usłyszeli nigdy dobrego słowa, nagle przyszedł na teren robót brygady *karnej,* siadł wśród zeków i poczęstował ich papierosami. (Musiał przecież zorientować się, jakie to iskry przebiegają w głębi tego mętnego żywiołu i jakich niebezpieczeństw winien się strzec). „No cóż — padło drwiące pytanie — wasz szef okazał się wrogiem ludu?". — „A tak, jakoś tak wyszło" — wyznał z żalem oficer. — „Ależ był prawą ręką Stalina!" — kpili rozmówcy — „to znaczy, że Stalin się pomylił?!". — „Zdarza się" — bąknął oficer i dodał życzliwym tonem: — „No cóż, chłopaki, może zaczną was wypuszczać, poczekajcie trochę...".

Beria odwalił kitę i wiernym Organom zostawił w spadku plamę b e - r i o w s z c z y z n y. Jeśli do tej chwili nikt z więźniów i żaden *wolny* nie śmiał pod gardłem nawet w myśli podać w wątpliwość kryształowej czystości jakiegokolwiek oficera MWD, to teraz dość było okrzyknąć gada „beriowcem" — a już był bezbronny!

W Rieczłagu (Workuta) w czerwcu 1953 roku zbiegły się dwa wydarzenia: poruszenie wywołane upadkiem Berii i przyjazd do Karagandy i Taj-szetu eszelonów z buntownikami (po większej części — Ukraińcami z zachodnich okręgów). W tym okresie Workuta była jeszcze pogrążona w rabskiej pokorze i nowo przybyli więźniowie zaimponowali miejscowym swoją nieustępliwością i zadziorną śmiałością.

I cała ta droga, którą przebyliśmy krok po kroku w ciągu długich miesięcy — tu wymagała tylko jednego miesiąca. 22 lipca zastrajkowała cementownia, budowa TEC-2, kopalnie: 7, 29, 6. Z jednego obiektu widać było, jak na innych ustaje praca i ruch, jak przestają kręcić się koła nad kopalnianymi szybami: tu już nie powtórzono naszego błędu, — nikt nie głodował. Dozór z zon uciekł w komplecie, z punktu, jednaj — *oddaj naszą pajkę, panie komendantuniu!* — co dzień przywożono żywność i zwalano ją z wozów we wrotach. (Myślę, że to sprawił szok po upadku Berii, bo inaczej staraliby się ich zamorzyć głodem). W żonach powstały komitety strajkowe, zaprowadzono „rewolucyjny porządek", personel stołówki od razu przestał kraść i — przy tych samych przydziałach — wikt poprawił się znacznie. W 7. kopalni wywieszono czerwony sztandar, w 29., od strony torów kolejowych... portrety członków Politbiura. A co mieli wywiesić?... Czego żądać?... Żądali usunięcia krat, numerów, rygli — ale sami ich nie usunęli, nie zerwali. Żądali też prawa korespondencji, widzeń, rewizji wyroków.

Gadano ze strajkującymi tylko pierwszego dnia. Później przez cały tydzień nikt się nie zjawił, ale na wieżach ustawiono cekaemy i strajkujące żony otoczono kordonem straży. Przypuszczalnie szarże cyrkulowały przez ten czas między Workuta a Moskwą, bo w danej sytuacji niełatwo było

254

ustalić co trzeba robić, a czego nie trzeba. Po tygodniu odwiedził wszystkie po kolei żony generał Masliennikow, naczelnik Rieczłagu — generał Die-riewianko, generalny prokurator Rudienko w towarzystwie całej hurmy (koło czterdziestu) oficerów. Na spotkanie z tą świetną świtą zwoływano na plac apelowy cały obóz. Więźniowie siedzieli na ziemi, generałowie stali i besztali ich za sabotaż i „burdy". Ale dodawali zarazem, że niektóre żądania mają pewne podstawy" („numery możecie zdjąć", co do krat „wydano już rozporządzenie"), ale — musicie natychmiast wrócić do pracy: „krajowi potrzebny jest węgiel!". W 7. kopalni ktoś z tylnych rzędów krzyknął: „a nam potrzebna jest wolność, idźże ty na ch..!" — więźniowie zaczęli podnosić się z ziemi, rozeszli się i generalicja została sama na placu[5].

Zaraz zerwali z siebie numery i zabrali się do wyłamywania krat. Wszelako — już tutaj zaznaczył się rozłam i bojowy nastrój znikł: może dosyć tego dobrego? Toć więcej nie wywojujemy. — Nocna zmiana już częściowo wyszła z pracy, poranna -*-

w całości. Zawirowały koła wyciągów nad szybami — i oglądając się na sąsiadów obiekty wznowiły pracę.

A 29. kopalnia jest za górą i nie widać stamtąd innych. Obwieszczono im — że wszyscy inni wrócili już do pracy, ale 29. nie dała wiary i strajkowała nadal. Naturalnie — można było jej delegatów zawieźć na inne obiekty, nic łatwiejszego. Ale to byłoby poniżające: cackać się tam z zeka-mi? Zresztą, generałowie łaknęli krwi: co to za zwycięstwo bez krwi?, co to za nauczka dla tych bękartów?

1 sierpnia 11 ciężarówek ze strzelcami zajechało przed wrota 29. kopalni. Więźniów zwołano na plac przed wrotami. Z drugiej ich strony czarno było od żołnierzy: „Wychodzić do roboty — albo zastosowane zostaną surowe sankcje!".

Nie powiedziano im — jakie to sankcje. Spójrzcie tylko na pepesze. Milczenie. Ruch ludzkich molekuł w tłumie. Po co ginąć? Zwłaszcza, jak ma się mały wyrok... Komu został rok-dwa ten pcha się do przodu. Ale jeszcze bardziej stanowczo przepychają się inni — i oto w przednim rzędzie staje dobrowolna straż, splata ręce i nie puszcza łamistrajków. Tłum faluje, miotany sprzecznymi emocjami. Jakiś oficer próbuje przełamać łańcuch, zostaje uderzony żelaznym prętem. Generał Dieriewianko odchodzi na bok i komenderuje: „Ognia!". W tłum.

Trzy salwy poparte seriami z cekaemów. Zabito 66 ludzi. (Kim byli zabici? — ci z pierwszych rzędów: najodważniejsi i najbardziej chwiejni. Ta

[5] **Według innej relacji wywiesili gdzieś taki transparent: „Nam — wolność, krajowi — węgiel!". Bo wszak hasło „chcemy wolności!" — to już bunt, więc szybko trzeba dodać, że za to dadzą krajowi węgla.**

255

prawidłowość występuje powszechnie, nawet przysłowia o tym świadczą). Pozostali salwują się ucieczką. Straż z pałkami i prętami rzuca się za nimi, bije zeków i wygania ich z żony.

Trzy dni (1-3 sierpnia) — trwają aresztowania we wszystkich strajkujących podobozach. Ale co z tymi ludźmi robić? Skapcaniały Organy po śmierci swego Dobroczyńcy, nie stać ich na rozmach śledczy. Więc znów
—eszelony, znów ich dokądś wiozą, zaraza rozprzestrzenia się. Archipelag
staje się za ciasny.

Dla tych, co zostali — karny reżym.

Na dachach baraków 29. kopalni pojawiło się sporo łat z deszczułek
—to załatano dziury od pocisków, wystrzelonych ponad głowami tłumu.
Bezimienni żołnierze, którzy nie chcieli stać się mordercami...

Ale wystarczyło takich, co strzelali jak do tarczy.

Obok hałdy 29. kopalni za czasów Chruszczowa postawił ktoś nad brac-ką mogiłą krzyż, wysoki, jak słup telegraficzny. Krzyż ten parę razy obalano. Ale ktoś znów go stawiał.

Nie wiem czy dotąd tam stoi. Chyba nie.

## XIICZTERDZIEŚCI DNI KENGIRU

Ale upadek Berii brzemienny był dla Specobozów w inne jeszcze skutki: dał katorżnikom nadzieję i tym samym zbił ich z tropu, zdezorientował i osłabił. Zazieleniły się owe nadzieje na bliskie przemiany i jakoś przywiędła wśród katorżników chęć do uganiania się za szpiclami, siedzenia za to po więzieniach, strajkowania i buntowania się. Złość minęła. Zdawało się, że wszystko i tak zmierza ku lepszemu i trzeba tylko trochę poczekać.

Sprawa miała jeszcze jeden aspekt: epolety z błękitną wypustką (ale bez lotniczego ptaszka) do tej chwili najbardziej czczone, najbardziej godne zaufania w całych siłach zbrojnych — raptem naznaczone zostały niejako piętnem grzechu i to nie tylko w oczach więźniów albo ich rodzin (a pies ich trącał) — ale omal czy,nie w oczach rządu?

Tego fatalnego 1953 roku oficerowie MWD zostali pozbawieni drugiej gaży („za gwiazdki"), to znaczy, że wypłacano im odtąd tylko jedną pensję — oczywiście z dodatkami za wysługę lat, za służbę na Dalekiej Północy i ze wszystkimi premiami. Był to znaczny cios dla ich kieszeni, ale jeszcze . silniejszy z punktu widzenia perspektyw na przyszłość: a więc zaczynamy być *niepotrzebni?*

Właśnie dlatego, że Beria został utrącony, policyjne ministerstwo musiało jak najszybciej i jak najbardziej ostentacyjnie wykazać swoje oddanie i niezbędność. Ale jak 'to zrobić?

Te bunty, które dotąd faceci z defensywy uważali za tak niebezpieczne, teraz zalśniły im nagle jak jutrzenka zbawienia: oby jak najwięcej było rozruchów i zamieszek, bo to pozwoli *stosować sankcje.* I nie dojdzie do redukcji etatów ani gaż.

Archipelag Gułag

257

W ciągu niespełna roku konwojenci w Kengirze kilkakrotnie strzelali do Bogu ducha winnych ludzi. Działo się tak raz za razem: nie mogło to być robione bez premedytacji[1].

Zastrzelona została dziewczyna — Lida z mieszalni zaprawy murarskiej

co to powiesiła przed drutami żony pończochy do suszenia.

Postrzelony został stary Chińczyk — w Kengirze nie znano jego nazwiska, nie umiał prawie po rosyjsku, ale wszyscy znali jego kaczy chód, jego fajkę i jego twarz starego skrzata leśnego. Konwojent zawołał go pod wieżyczkę, rzucił mu paczkę machorki pod same druty, a kiedy Chińczyk schylił się, żeby ją podnieść — strzelił i zranił go.

Innym razem konwojent rzucił z wieżyczki garść naboi, kazał je zebrać więźniowi i zastrzelił go.

Dodajmy znany wypadek strzelania kulami dum-dum do kolumny, wracającej z zakładu wzbogacania rudy, kiedy to wniesiono do obozu 16 rannych. (A jeszcze ze

dwudziestu ukryło swoje lżejsze rany bojąc się rejestracji i możliwych kar).

Tego już więźniowie nie znieśli w milczeniu. Powtórzyła się ta sama historia, co w Ekibastuzie: trzeci podobóz kengirski przez trzy dni nie chodził do pracy (nie uciekając się jednak do głodówki) i żądał sądu nad winowajcami.

Przyjechała komisja i obiecała, że winni pójdą pod sąd (tak, jakby kto mógł zaprosić zeków na świadków i dać wiarę ich zeznaniom!...). Podjęli więc pracę na nowo.

Ale w lutym 1954 roku w tartaku zastrzelony został jeszcze jeden — „e-wangelista", jak zwał go i pamiętał cały Kengir (zdaje się, że nazywał się Aleksander Sysojew). Człowiek ten odsiedział ze swoich dziesięciu lat już 9 lat i 9 miesięcy. Zadaniem jego było smarowanie elektrod do spawania. Robił to w budce stojącej niedaleko drutów. Wyszedł z budki za potrzebą i został natychmiast zastrzelony z wieżyczki. Z odwachu przybiegli duchem konwojenci i zaczęli ciągnąć zabitego bliżej do drutów, aby się wydawało, że przekroczył linię ochronną. Więźniowie nie wytrzymali, chwycili za rydle i łopaty — i odpędzili morderców od zabitego. (Przeć cały ten czas obok żony tartacznej stał osiodłany koń opera Bielajewa — „Brodawki" — zwanego tak, bo miał brodawkę na lewym policzku. Kapitan Bielajew należał do sadystów energicznych i reżyseria tego mordu była zupełnie w jego stylu).

Wzburzenie ogarnęło całą żonę tartaczną. Więźniowie oznajmili, że zabitego zaniosą do obozu na barkach. Oficerowie nie pozwolili im na to.

' Wolno sądzić, że takie samo sztuczne przyśpieszanie biegu zdarzeń zastosowało kierownictwo obozów również w innych punktach, na przykład w Norylsku.

258

„Za coście go zabili?" — krzyczano. Gospodarze mieli już w zanadrzu objaśnienie: zabity sam był winien — pierwszy zaczął rzucać kamieniami w wieżyczkę. (Czy przynajmniej zdążyli przeczytać kartę rejestracyjną zabitego? — że zostały mu tylko trzy miesiące i że był głosicielem ewangelii?...).

Powrót do żony był posępny; stało się jasne, że to nie żarty.

To tu, to tam leżeli w śniegu strzelcy z cekaemami gotowymi do strzału (kengirskim zekom wiadomo już było, że gotowymi — aż nadto...). Ceka-emy ustawione były również na dachach osady konwojentów.

Wszystko to zdarzyło się znów w tym samym trzecim podobozie, gdzie poraniono 16 ludzi za jednym zamachem. I chociaż tym razem zginął tylko jeden człowiek, ale spotęgowało się uczucie bezbronności, bezwyjściowości, nieuchronności zagłady: już prawie rok minął od śmierci Stalina, a jego psy wcale się nie zmieniły. I nic się w ogóle nie zmieniło.

Po wieczornym posiłku, w każdej sekcji na dany znak wyłączano światło, ktoś niewidzialny stawał w otwartych drzwiach i tak mówił: „Bracia! Jak długo jeszcze będziemy harować na budowie i dostawać kułe w nagrodę? Jutro nie idziemy do roboty!". Sekcja za sekcją, barak za barakiem.

Przerzucono przez mur gryps do drugiego podobozu. Doświadczenie już mieli, nieraz już dawniej o tym myślano, więc również tam potrafili wszystkich

zawiadomić. W drugim podobozie siedzieli ludzie różnych narodowości, przeważały wyroki dziesięcioletnie i wielu tam odsiadywało ostatnie miesiące kary, jednakże przyłączyli się wszyscy.

Rano męskie podobozy — trzeci i drugi — nie wyszły do pracy.

Zasada: strajkować, ale wcale się nie wyrzekać obozowej bałandy i chleba — znajdowała coraz większe uznanie wśród aresztantów i coraz mniejsze wśród gospodarzy. Wymyślili taką metodę: nadzorcy i konwojenci weszli bez broni na teren strajkujących podobozów, wkroczyli do baraków i biorąc się po dwóch za jednego zeka wypychali go, wyrzucali z baraku. (Metoda ta jest zbyt humanitarna, tak wolno cackać się ze złodziejami a nie z wrogami ludu. Ale gdy już Beria zapłacił głową, nikt z generałów i pułkowników nie ośmielił się wydać komendy, by zaczęto ostrzeliwać żonę z karabinów maszynowych). Wysiłek ten nie przyniósł jednak oczekiwanych rezultatów. Wyrzuceni więźniowie szli sobie do wychodka i snuli się po żonie, byleby tylko nie iść do pracy.

Trzymali się tak dwa dni.

Prosta myśl — aby ukarać tego konwojenta, który zabił ewangelistę, wcale nie wydawała się ani prostą, ani słuszną. Zamiast tego — nocą z drugiego na trzeci dzień strajku chodził po barakach — pewien swojego bezpieczeństwa, bezceremonialnie budzący wszystkich — pułkownik z Ka-ragandy w otoczeniu sporej świty, wołając: „długo jeszcze chcecie *mącić*

259

*wodę?*[2]". I na chybił trafił, bo nikogo tu nie znał, wyciągał wskazujący palec: „Ej, ty! — wychodzić!... Ty — też wyjdź!... Ty — też wyjdź!". Tych przypadkowych ludzi ów dzielny i dynamiczny rozkazodawca kazał pakować do więzienia, widząc w tym najlepszy sposób na „*mąciwodów*". Will Rozen-berg — Łotysz, widząc to bezmyślne naigrawanie się, oznajmił: „Ja też pójdę!". — „A idź!" — chętnie zgodził się pułkownik. Nie zrozumiał chyba nawet, że to był protest, bo przeciw czemu tu można było protestować?

Tejże nocy obwieszczono więźniom, że nadszedł kres tej całej demokracji z dokarmianiem i że kto nie pójdzie do roboty, ten dostanie tylko karną pajkę. Drugi podobóz rano poszedł do pracy, trzeci strajkował również trzeciego ranka. Zastosowano więc wobec nich tę samą taktykę wypychania, ale już zwiększonymi siłami: zmobilizowani zostali wszyscy oficerowie, którzy służyli w Kengirze albo przyjechali tam na pomoc i w składzie różnych komisji. Oficerowie całą hurmą wchodzili do danego baraku oślepiając aresztantów wspaniałością swoich papach i blaskiem epoletów, przeciskali się zgięci w kabłąk między wagonetkami i — wcale się nie brzydząc — siadali czystymi swoimi zadkami na brudnych, więźniarskich poduszkach wiórowych: „Ano posuń się, posuń, nie widzisz, że jestem podpułkownikiem!". W ten sposób, robiąc łokciami i przesiadając się, wypychali zeka do przejścia, tam chwytali go za rękaw nadzorcy, ciągnęli na plac apelowy, a tych, którzy tu jeszcze próbowali się opierać — do więzienia (ograniczona pojemność obu kengirskich więzień ogromnie krępowała dowódców — w więzieniach było miejsce

jedynie na pięciuset ludzi).

Tak oto strajk został złamany dzięki poświęceniu oficerów, którzy nie szczędzili ani swego honoru, ani przywilejów. Chwila była nader dwuznaczna i dlatego wymagała takich ofiar. Nie wiadomo było, co właściwie trzeba robić — a omyłki mogły mieć groźne następstwa. Kto przesadził w gorliwości i kazał strzelać do tłumu, mógł łatwo być uznany za pachołka Berii. Kto jednak za mało się starał i z całą energią nie zmusił ludzi do pracy — ten również mógł okazać się jego pachołkiem[3].

[2] Wyrażenie „mącić wodę" zrobiło karierę w oficjalnym języku po berlińskich rozru
chach, w czerwcu 1953 roku. Jeśli prości ludzie, powiedzmy w Belgii, domagają się pod
wyższenia zarobków — to mamy do czynienia ze „słusznym gniewem ludu". Jeśli zaś
prości ludzie u nas domagają się czarnego chleba — jest to „mącenie wody".

[3] Na przykład pułkownik Czeczew nie dal sobie rady z tą łamigłówką. Po wydarzeniach
lutowych wziął sobie urlop i dalej ślad jego ginie. Ginie aż do chwili, gdy udaje się nam
odnaleźć go w Karagandzie w charakterze zasłużonego rencisty. — Nie wiemy kiedy po
szedł z Ozierlagu na rentę jego komendant, pułkownik Jewstigniew. „Znakomity organi
zator... pełen skromności towarzysz" zosta) zastępcą dyrektora bratskiej hydroelektrowni.
(Jewtuszenko nie znalazł w swoim poemacie o tej wielkiej socjalistycznej budowie słów, by
opisać jego przeszłość).

260

Ponadto — przez liczny i masowy swój udział w tłumieniu strajku oficerowie MWD wykazali w sposób dotąd niespotykany - - i niezbędność swoich gwiazdek dla obrony świętego porządku, i konieczność uznania etatów za nietykalne, i osobistą odwagę.

Zastosowano również wszystkie wypróbowane poprzednio sposoby. W marcu i kwietniu wysłano kilka transportów do innych obozów. (Zaraza rozpełzła się jeszcze szerzej!). Koło 70 ludzi (wśród nich był również Tenno) wysłano później do zamkniętych zakładów karnych z klasycznym wiatykiem: „wszystkie nadzieje na poprawę zawiodły, wpływa demoralizująco na innych więźniów, nie nadaje się do trzymania w obozie". Spisy wysyłanych do tych więzień wywieszone zostały na postrach w obozie. A po to, aby *rozrachunek własny*, niczym obozowy NEP, prędzej uznany został przez więźniów za erzatz wolności i sprawiedliwości — do kiosków, dotąd słabo zaopatrzonych, zwieziono szeroki asortyment towarów.. I nawet — aż

nie chce się wierzyć! — wydano więźniom *zaliczkę,* aby mogli te towary kupować. (GUŁag udzielił tubylcom kredytu, coś niebywałego!).

Tak oto po raz drugi, to, co nabrzmiewało w Kengirze, rozeszło się po kościach, nim zdążyło dojrzeć.

Ale tu właśnie gospodarze przesolili. Sięgnęli po najcięższą swoją pałę przeciw Pięćdziesiątce Ósemce — odwołali się do knajaków! (No bo faktycznie! po co paćkać sobie ręce i epolety, kiedy są socjalne pociotki?).

Sami przekreślili więc własną doktrynę Specobozów, sami przyznali, że niemożliwą jest rzeczą trzymanie politycznych osobno i pozwalanie, aby domyślili się, kim są — i tuż przed świętem pierwszomajowym panowie gospodarze przywieźli do trzeciego, buntowniczego podobozu i rozmieścili w nim 650 złodziei, częściowo także pospolitaków (w tej liczbie wielu małoletnich). „Przyjeżdża tu *zdrowy kontyngent"* ze złośliwą satysfakcją oznajmili Pięćdziesiątce Ósemce. „Teraz nie będziecie mogli nawet piknąć". A zwiezionym tu złodziejom powiedzieli: „To wy tu zrobicie porządek!".

Gospodarze bardzo dobrze rozumieli od czego trzeba zacząć, aby mieć *ów porządek:* żeby rozpoczęły się kradzieże, żeby jeden żył kosztem drugiego, żeby ludzi podzielić i skrócić. I uśmiechali się panowie naczelnicy dobrotliwie, tak jak potrafią uśmiechać się tylko do złodziei, gdy ci ostatni, dowiedziawszy się, że tuż obok jest także kobiecy podobóz, zaczęli się napraszać ze zwykłą swoją poufałością: „Pokaż no nam te babki, komen-dantuniu kochany!".

Ale ludzkie emocje i ruchy społeczne rozwijają się w sposób nieprzewidziany — i tu jeszcze raz to się potwierdziło! Po zastrzyknięciu końskiej dozy tego wypróbowanego, trupiego jadu w organizm trzeciego kengirs-

261

kiego podobozu — gospodarze doczekali się nie uspokojenia, lecz największego powstania w historii Archipelagu!

Choćby wysepki Archipelagu nie wiem jak były izolowane i pozornie odległe jedna od drugiej — dzięki więzieniom etapowym krążą w nich te same soki i oddycha się tym samym powietrzem. Dlatego też rzeź szpiclów, głodówki, strajki i rozruchy w Specobozach nie były dla złodziei rzeczą nieznaną. I oto gdzieś koło 1954 roku w zborniakach dało się ponoć zauważyć, że złodzieje *zaczęli szanować katorżników.*

Skoro to prawda — to cóż przeszkadzało nam wcześniej, aby zyskać wśród złodziei ten „mir"? Przez wszystkie dwudzieste, trzydzieste i czterdzieste lata my, Kopry Pomidorowicze i Fan Fanycze, tak trzęsący się nad własną zagrożoną, a niezbędną dla świata wartością, i nad zawartością własnego *sidora,* i nad swoimi — nie ukradzionymi jeszcze trzewikami czy spodniami — otóż myśmy zachowywali się w stosunku do złodziei jak postacie z komedii: gdy złodzieje ograbiali naszych sąsiadów, takich samych intelektualistów światowej sławy — patrzyliśmy wstydliwie w bok i kuliliśmy się w swoim kątku; a kiedy ci podludzie przechodzili z

kolei do porachunków z nami — ma się rozumieć, że nie oczekiwaliśmy od sąsiadów pomocy, tylko usłużnie oddawaliśmy tym szkaradom wszystko, byleby tylko nie odgryźli nam łebków. Ależ tak, przecież nasze umysły nie tym były zaprzątnięte i nasze serca nie na to były nastawione! Nie spodziewaliśmy się spotkania z tym okrutnym i nędznym wrogiem! Nękały nas wiry i załamania rosyjskiej historii, a jeżeli śmierć — to niechże będzie publiczna, piękna, żeby cały świat widział — i tylko dla ratowania całej ludzkości. A może zamiast tych wszystkich mądrości dość było podejść do sprawy jak najprościej? Być może już przy pierwszych krokach w pierwszej celi pierwszego zborniaka powinniśmy byli przygotować się na wszystko to, co nas tu miało spotkać, dostać nożem między żebra i paść w zaplutym kącie, na ziemię pokrytą mazią z kibla, po nędznej bójce z tym szczurzym nasieniem, któremu Błękitni rzucili nas na pożarcie? Może wtedy cała nasza warstwa poniosłaby o wiele mniej strat i szybciej stanęłaby na nogi, wyżej podniosłaby głowę — i może nawet z tymi złodziejami do kupy rozwaliła na drzazgi stalinowskie obozy? Bo istotnie — za co ci złodzieje mieli nas *szanować?...*

A więc sprowadzeni do Kengiru złodzieje już słyszeli to i owo, już domyślali się, że na katordze panuje duch bojowy. I zanim jeszcze zdążyli skumać się i zwąchać się ze zwierzchnością — odwiedzili ich *pachanów*

262

powściągliwi, barczyści chłopcy, przysiedli się, żeby *pogwarzyć* o życiu i powiedzieli im co następuje: „my jesteśmy *delegaci.* Jakie tu w Specobozach idzie *szatkowanie,* toście chyba słyszeli, a jak nie słyszeliście — to warn opowiemy. Potrafimy już teraz robić noże nie gorzej niż wy. Jest was sześciuset, a nas dwa tysiące sześciuset. Możecie pomyśleć chwilę i wybierać. Jeśli będziecie nas przypierać — to was wyrżniemy".

To był właśnie rozsądny krok — i to dawno potrzebny! — pokazać knajakom kły!, uznać ich za *głównych wrogów!*

Naturalnie błękitni chcieli, żeby zaczęła się właśnie taka haratanina. Ale złodzieje prędko sobie wy kalkulowali, że nie warto zadzierać z tą rozzuchwaloną Pięćdziesiątką Ósemką przy stosunku sił jeden do czterech. Protektorzy są jednak poza żoną, zresztą — co tam tacy protektorzy! Bo to złodzieje ich kiedykolwiek naprawdę szanowali? A sojusz, który zaproponowali im ukraińscy chłopcy — był niebywałą i zabawną awanturą, a ponadto, zdawał się otwierać drogę do żony kobiecej za murem.

Złodzieje dali zatem taką odpowiedź: „Nie, myśmy też zmądrzeli. Będziemy trzymać sztamę z *kmiotkami!"*.

Oficjalna historia nie wspomina o tej konferencji, imiona jej uczestników nie zostały uwiecznione w protokołach. A szkoda. Były to niegłupie chłopaki.

Jeszcze w czasie kwarantanny, w pierwszych swoich barakach *zdrowy kontyngent* uczcił dzień przybycia do obozu w ten sposób, że z szafek i wagonetek zrobił stos i rozpalił ognisko na cementowej podłodze; kłęby dymu waliły przez okna. Swoje veto zaś przeciw zamykaniu na noc baraków knajacy wyrazili przez zabijanie

dziurek w zamkach kołkami.

Przez dwa tygodnie złodzieje zachowywali się jak na uzdrowisku: nie wychodzili do roboty, ale spędzali czas na opalaniu się, ani myśląc o pracy. Zwierzchność z kolei wcale nie myślała o karnej pajce, ale — nawet spodziewając się spełnienia wszystkich pokładanych w nich nadziei — też nie było z czego wypłacać im zarobków. Niemniej — w rękach złodziei pojawiły się *bony*, chodzili też do kantyny na zakupy. Ucieszyło to zwierzchność, przekonaną, że *zdrowy element* zaczął jednak kraść. Ale zwierzchność myliła się, brak jej było ścisłych informacji: polityczni przeprowadzili zbiórkę na rzecz złodziei (to też zapewne przewidziane było w konwencji, inaczej złodzieje nie widzieliby żadnej korzyści) i stąd te bony! Była to kombinacja zbyt niepowszednia, aby gospodarze mogli ją przewidzieć.

Zapewne niezwykły i nowy charakter całej zabawy był swoistą atrakcją dla knajaków, zwłaszcza małoletnich: ni stąd, ni zowąd odnosić się grzecznie do „faszystów", nie wchodzić bez pozwolenia do ich sekcji, nie siadać bez zaproszenia na wagonetkach.

263

Ponieważ w Paryżu w minionym wieku gwardia miejska — *garde mobile* składała się w znacznej mierze z szemranych (jak się zdaje — mieli ich niemało), więc ówczesnych knajaków nazywano często *mobilami*. Bardzo trafna nazwa! Jest to element tak mobilny, że rozsadza tkankę codziennego, ospałego życia i za żadne skarby nie potrafi w nią spokojnie wrosnąć. Ustalone było, że się nie kradnie, nie było rzeczą etyczną zwalać na innych roboty — ale coś przecież trzeba było robić. Złodziejskie latoroślą zabawiały się w ten sposób, że zrywały nadzorcom czapki z głów, podczas wieczornych apeli hasały po dachach baraków albo przeskakiwały wysoki mur między trzecim a drugim podobozem, plątały rachunki, gwizdały i pohukiwały, strasząc nocami wartowników na wieżyczkach. Przebiliby się w ten sposób dalej, aż do kobiecego podobozu, ale po drodze był dobrze strzeżony teren działu gospodarczego.

Kiedy oficerowie z wydziału dyscypliny albo wychowawcy, albo pełnomocnicy operacyjni wpadali na przyjacielską pogawędkę do baraku knajaków, małoletnie złodziejaszki, raniąc ich najczystsze uczucia, wyciągały im z kieszeni notatniki, portmonetki albo — leżąc na górnych narach — raptem przekręcały kumowi czapkę daszkiem do tyłu. Zachowanie się zupełnie niesłychane jak na GUŁag!, ale też stosunki były teraz bez prece densu! Złodzieje dawniej też uważali swoich gułagowskich ojcaszkow za durniów i tym bardziej nimi gardzili, im więcej te indory wierzyły w suk cesy swojej *pracy wychowawczej*. Ryczeli wewnętrznie ze śmiechu, gdy ka zano im wychodzić na trybunę albo przez mikrofon opowiadać o przemia nie, o nowym życiu z taczką w ręku. Ale aż do tej chwili — nie warto było zadzierać. Teraz zaś umowa, zawarta z politycznymi, pozwoliła knajakom skierować całą niewyżytą energię przeciw gospodarzom.

Tak oto — kierując się przyziemnym, administracyjnym rozsądkiem

— a w pogardzie mając wyższe racje ludzkie — władze GUŁagu same doprowadziły do kengirskiego wybuchu. Najprzód przez bezmyślne strzelanie do ludzi, a później przez dodanie złodziejskiej oliwy do tlącego się ognia.

Bieg wypadków był nieodwracalny. Polityczni *musieli* zaproponować złodziejom wybór: albo wojna, albo sojusz. Knajacy *nie mogli* odrzucić sojuszu. A zawarty już sojusz *nie mógł* zasklepić się w bierności — bo zacząłby się rozpad i wewnętrzna walka.

Trzeba było *zaczynać* byle co, ale trzeba było zacząć! A ponieważ inspiratorów i podżegaczy — jeśli są z Pięćdziesiątki Ósemki — wiesza się potem na konopnym stryku, jeśli zaś są złodziejami — tylko beszta trochę przy szkoleniu ideologicznym, więc złodzieje zaproponowali: my zrobimy początek, a wy nas poprzecie! Zauważmy, że cały obóz kengirski miał

264

kształt wielkiego prostokąta otoczonego wspólną żoną zewnętrzną. Prostokąt podzielony był na żony wewnętrzne murami prostopadłymi do dłuższego boku: pierwsza — był to podobóz 1., kobiecy, dalej — teren działu gospodarczego (o jego przemysłowym znaczeniu już mówiliśmy) dalej — podobóz 2., za nim 3. i wreszcie — żona więzienna, gdzie mieściły się dwa więzienia, stare i nowe; pakowano do nich nie tylko więźniów z obozu, lecz również wolnych mieszkańców osady.

Z natury rzeczy należało przede wszystkim opanować teren działu gospodarczego, gdzie znajdowały się także wszystkie magazyny żywnościowe obozu. Operację rozpoczęto we dnie — była to niedziela 16 maja 1954 roku. Najprzód wszyscy mobile powłazili na dachy swoich baraków i obsiedli mur między trzecim a drugim podobozem. Następnie — na komendę swoich pachanów, którzy zostali na dachach — cała wiara z pałkami w ręku zeskoczyła na teren drugiego podobozu, tam ustawiła się szeregiem i tak właśnie, całą kolumną ruszyła główną drogą. Główna zaś droga biegła środkiem drugiego podobozu aż do żelaznych wrót gospodarstwa.

Wszystkie te zupełnie jawne działania trwały jakiś czas — i czas ten został przez nadzorców wykorzystany dla przegrupowania i otrzymania instrukcji. I oto — punkt nader interesujący! Nadzorcy zaczęli biegać od baraku do baraku Pięćdziesiątki Ósemki, apelując do tych właśnie ludzi, tępionych od 35 lat jak robactwo: „chłopaki, patrzcie tylko! Złodzieje chcą się włamać do żony kobiecej!, chcą gwałcić wasze żony i córki!, chodźcie na pomoc!, trzeba ich odeprzeć!". Ale umowa była umową i jeśli ktoś poderwał się, nic nie wiedząc o niej, został przez innych zatrzymany i pouczony. Chociaż wcale nie było wykluczone, że na widok kotletów koty zapomną o konwencji — dozór nie znalazł sojuszników wśród Pięćdziesiątki Ósemki.

Nie wiadomo, jak by tam dozór bronił kobiecej żony przed swoimi faworytami, ale przede wszystkim musiał bronić przed nimi magazynów w żonie gospodarczej. Żelazne wrota rozwarły się więc i na spotkanie nacierających wyszedł pluton żołnierzy bez broni. Trzymając się z tyłu — dowodził nimi Brodawka-Bielajew, który znalazł się tej niedzieli w żonie już to z nadmiaru gorliwości, już to że miał dyżur.

Żołnierze zabrali się do wypychania mobili, przełamując ich front. Nie puszczając w ruch swoich drągów, złodzieje wycofali się w stronę trzeciego podobozu i zaczęli gramolić się na mur, podczas gdy ich oddział rezerwowy ciskał w żołnierzy kamieniami i samanowymi cegłami, ubezpieczając w ten sposób cofające się siły.

Ma się rozumieć, że żadnych aresztowań wśród złodziei potem nie było. Wciąż jeszcze widząc w tym jedynie niewinny przejaw swawoli, zwierzch-

265

ność pozwoliła, aby obozowa niedziela spokojnie toczyła się dalej aż do wieczornego apelu. Obeszło się bez niespodzianek przy rozdawaniu obiadu, zaś po zmierzchu obok stołówki drugiego podobozu zaczęto, zupełnie jak w letnim kinoteatrze, projekcję filmu ,,Rimskij Korsakow".

Ale nim jeszcze dzielny kompozytor zdołał wyrwać się z kazamatów konserwatorium protestując przeciw brakowi wolności — już prysnęły latarnie żony pod gradem kamieni: mobile walili do nich z proc i żona pogrążyła się w mroku. Wylegli rojem między baraki drugiego podobozu i rozbójnicze ich, przenikliwe gwizdy cięły powietrze, wdarli się tam i z kolei wybili szyną przejście do żony kobiecej (było wśród nich również trochę młodzieży z Pięćdziesiątki Ósemki).

W blasku rakiet bojowych wystrzelonych z wieżyczek, tenże oper — kapitan Bielajew wdarł się do żony gospodarczej z zewnątrz, przez wartownię, z całym plutonem fizylierów i — po raz pierwszy w historii GUŁagu otworzył ogień do socjalnych pociotków! Byli zabici i kilkudziesięciu rannych. Z tyłu zaś biegli strzelcy z bagnetami na karabinach,, aby rannych dobijać. W ariergardzie, jak to przewidział podział pracy, wypróbowany w Ekibastuzie, w Norylsku i na Workucie, szli nadzorcy z żelaznymi łomami w ręku, aby nimi wykańczać rannych, jeszcze pozostałych przy życiu (tej nocy w szpitalu 2. podobozu zapłonęły lampy w sali operacyjnej i chi-rurg-zek, Hiszpan nazwiskiem Fuster, zabrał się do operowania ofiar).

Żona gospodarcza opanowana była teraz całkowicie przez strzelców, ustawiono w niej karabiny maszynowe. Drugi zaś podobóz (mobile odegrali już swoją uwerturę, teraz przystąpili do walki polityczni) wybudował barykadę naprzeciw żelaznych wrót. W murze między drugim a trzecim podobozem wybito dziurę, oba podobozy się połączyły i nie było już w nich ani jednego nadzorcy, nie było śladu władzy MWD.

Ale co stało się z tymi, którzy zdołali wedrzeć się na teren obozu kobiecego i zostali odcięci? Wypadki zadały kłam tej chutliwej pogardzie, z którą knajacy odnoszą się do *bab.* Gdy w żonie gospodarczej zabrzmiały wystrzały — ci, którzy wdarli się tutaj, do kobiet, z pożądliwych zdobywców przekształcili się od razu w towarzyszy niedoli. Kobiety ich poukrywały. Aby ich szukać — przyszli żołnierze — nasamprzód bez broni, później uzbrojeni. Kobiety przeszkadzały w tym polowaniu skacząc im wręcz do oczu. Żołnierze bili kobiety pięściami i kolbami, ciągnęli je do więzienia (w żonie kobiecej urządzono przezornie BUR), a do niektórych mężczyzn strzelali.

W obawie, że sił własnych może im nie starczyć, dowództwo wprowadziło do żony

kobiecej „czarne pagony" — żołnierzy batalionu roboczego (strojbat) stacjonującego w Kengirze. Jednakże żołnierze strojbatu *odmówili wykonania* nieżołnierskiej roboty! i trzeba było ich wycofać z obozu.

266

Skądinąd właśnie tu, w żonie kobiecej, dowództwo obozu mogło znaleźć element niezbędny dla wytłumaczenia się przed wyższymi władzami, gdyby zaszła taka potrzeba. Nie byli wcale tacy głupi: wyczytali to gdzieś albo sami ten chwyt wymyślili, dość że w poniedziałek wpuścili do żony kobiecej fotografów i dwóch-trzech drabów przebranych za więźniów. Nasłane draby zabrały się do kobiet, a fotografowie jęli robić zdjęcia. Oto dlaczego kapitan Bielajew zmuszony był do otwarcia ognia — chodziło o ratowanie słabych kobiet przed przemocą.

W poniedziałek rano wzrosło napięcie między barykadą a wyłamanymi wrotami żony gospodarczej. W żonie walały się nie pochowane trupy. Strzelcy leżeli przy zamkach karabinów maszynowych mierząc w rozwarte wrota. W wolnych teraz męskich żonach ludzie rozbierali wagonetki na deski i pały, klecili tarcze z dech i z materaców. Krzyczeli na katów poprzez barykadę, tamci im odpowiadali. Coś musiało się stać, sytuacja była zbyt chwiejna. Więźniowie na barykadzie gotowi już byli sami iść do ataku. Kilku chudzielców zerwało koszule z grzbietów, stanęli na barykadzie i pokazując cekaemistom swoje wpadłe piersi i wystające żebra krzyczeli: „No, strzelajcie! Strzelajcie do swoich ojców!, dobijajcie!". I nagle do oficera dowodzącego w żonie gospodarczej podbiegł łącznik z karteluszkiem. Oficer wydał rozkaz zabrania zwłok i czerwone pagony wycofały się z żony gospodarczej, unosząc ze sobą zabitych zeków.

Przez jakieś pięć minut barykada milczała nie wierząc własnym oczom. Potem pierwsi śmiałkowie ostrożnie weszli przez żelazne wrota. Żona gospodarcza była pusta. Tylko tam i sam walały się czarne obozowe mycki zabitych z naszytymi łatami *numerów*.

(Dowiedzieli się później, że rozkaz wycofania się z żony wydał minister spraw wewnętrznych Kazachstanu, który dopiero co przyleciał z Ałma-Aty. Zwłoki zabitych więźniów odwieziono w step i zakopano, aby ewentualna ekspertyza nie miała czego szukać).

Rozległo się „hurra!... hurraaa..." i już wdarli się do żony gospodarczej i dalej — do kobiecej. Poszerzyli przejście w murze. Rozbili zamki kobiecego więzienia — i teraz wszyscy byli razem! Cała główna żona wolna — z wyjątkiem czwartego podobozu, który dalej był więzieniem.

Na każdej wieżyczce stało po *czterach* strzelców z czerwonymi naramiennikami — mieli więc komu przemówić do słuchu! Pod wieżyczkami zebrali się tłumnie krzycząc (a kobiety — rzecz jasna — najgłośniej): „Jesteście gorsi od faszystów!... Krwiopijcy!... Mordercy!...".

Znalazł się naturalnie w obozie duchowny i to nie jeden; już zaczęło się w kostnicy nabożeństwo żałobne za dusze zabitych i zmarłych z ran.

Jak opisać uczucia, które kipią w piersiach ośmiu tysięcy ludzi — przez

267
całe życie i dawniej, i dziś — będących tylko cierpiącymi w samotności rabami — a oto teraz zjednoczonych i wolnych, może nie w pełnym sensie tego słowa, ale choćby tylko wśród tych murów prostokątnych, w obliczu tych sterczących czwórkami konwojentów?! Nasze czuwanie o głodzie na barakowych pryczach w Ekibastuzie — już dało nam przedsmak wolności! Ątu — toż to wprost rewolucja lutowa! Tu doszło do głosu ludzkie braterstwo, choć tyle lat je deptali! I teraz kochamy knajaków! A knajacy nas kochają! (Nic nie poradzi, przelana krew łączy! Toć oni przecież swojego knajackiego prawa się zarzekli!). A jeszcze bardziej, to jasne, kochamy kobiety, które znów są teraz z nami, jak to powinno być wśród normalnych ludzi, bo to są nasze siostry i wspólny jest nasz los!

W stołówce wisi transparent: „Każda broń jest dobra, uderz pierwszy na wojsko!". Na skrawkach gazet (innego papieru nie ma) czarnymi albo kolorowymi literami najbardziej zapalczywi wypisali już pośpiesznie swoje hasła: „Chłopcy, bijcie czekistów!", „Śmierć szpiclom, fagasom czekistów!". W jednym-drugim-trzecim punkcie obozu (i bądź tu mądry, żeby wszędzie nadążyć) — wiece, przemówienia! I każdy wykłada własne propozycje! Pomyśl — bo wolno ci teraz *myśleć* — z kim właściwie trzymasz? Jakie wysunąć żądania? Czego chcemy? Bielajewa pod sąd — to jasne! Morderców pod sąd? — to też jasne. A co dalej?... Nie zamykać baraków, zlikwidować numery! no, a co dalej?...

A dalej — najstraszniejsze pytanie: po cośmy to wszystko zaczęli i czego właściwie chcemy? Chcemy, oczywiście, wolności, wolności i nic więcej!, ale któż ją nam podaruje? Te sądy, co nas skazały — są w Moskwie. I póki mamy na pieńku ze Stepłagiem albo Karaganda, jeszcze się z nami rozmawia. Ale jeżeli powiemy, że mamy pretensje do Moskwy... to nas wszystkich w tym stepie pochowają.

A skoro tak — to czego chcemy? Rozbijać mury? Rozbiec się po pustyni?...

Godziny wolności! Całe pudy oków spadają z naszych rąk i ramion! Nie, wszystko jedno, żałować nie ma czego! — ten jeden dzień jest wszystkiego wart!

A w poniedziałek pod wieczór do kipiącego podnieceniem obozu przychodzi delegacja dowództwa. Delegacja nastawiona jest nader życzliwie, nie patrzą wilkiem, przyszli bez pepesz, bo też trzeba pamiętać, że to nie żadne pachołki krwawego Berii. Dowiadujemy się, że z Moskwy przylecieli generałowie — Boczków z GUŁagu oraz zastępca prokuratora generalnego Wawiłow. (Służyli również za czasów Berii, ale po co rozdrapywać stare rany?). Otóż generałowie są zdania, że nasze żądania są *całkowicie uzasadnione!* (Nie posiadamy się sami ze zdziwienia: jak to — uzasadnione?

268
Więc nie jesteśmy już buntownikami? Ależ nie, nie, *zupełnie* uzasadnione!). „Ci, którzy wydali rozkaz strzelania, będą pociągnięci do odpowiedzialności!". — „A za co poturbowano kobiety?". — „Poturbowano kobiety?"
— dziwi się z kolei delegacja. — „To niemożliwe". Ania Michalewicz

sprowadza całą gromadę pobitych kobiet. Komisja jest bardzo wzruszona: „Rozpatrzymy tę sprawę, rozpatrzymy!". — „Bestie!" — krzyczy Luba Berszadzka generałowi prosto w oczy. Słychać jeszcze okrzyki: „Nie zamy kać baraków!". — „Nie będziemy już zamykać". — „Zdjąć z nas nume ry!". — „Bezwarunkowo będą zdjęte" — zapewnia generał, którego nikt z nas dotąd nie widział na oczy (i nigdy już nie zobaczy). — „Przejścia między żonami mają zostać otwarte" — stajemy się już bezczelni. — „Mu simy komunikować się ze sobą!". — „Zgoda, komunikujcie się" — od powiada generał. — „Przejścia mogą zostać". Kochani, to czego nam jesz cze trzeba? Toć to zwycięstwo!! Jeden dzień pobrykaliśmy, nacieszyliśmy się, wyszumieliśmy się — i już zwycięstwo! I chociaż niektórzy z nas kiwają głowami i mówią — fałsz, oszustwo! — my wierzymy!, wierzymy naszemu

- w końcu całkiem nie najgorszemu — dowództwu! Wierzymy dlatego, że to jest najłatwiejsze wyjście z sytuacji... A cóż pozostaje uciśnionym, jeśli nie wiara? Dać się oszukać — i znowu wierzyć. I znów dać się oszukać

- i jeszcze raz dać wiarę.

I we wtorek 18 maja wszystkie kengirskie podobozy wyszły do pracy kładąc krzyżyk na swoich zabitych.

I jeszcze tego ranka wszystko mogło rozejść się po kościach! Ale wysokie szarże, które zjechały do Kengiru uznałyby taki koniec zabawy za swoją porażkę. Nie mogli przecież serio przyznać racji więźniom! Nie mogli przecież serio zabrać się do karania swoich ludzi z MWD! Ich przyziemny rozsądek kazał im tylko jeden wyciągnąć wniosek z całej tej historii: mury między żonami były nie dość dobrze umocnione! Trzeba tam pozakładać zapory *ogniowe!*

I tego dnia gorliwe dowództwo zaprzęgło do roboty tych, którzy przez całe lata i dziesięciolecia od niej się odzwyczajali: oficerowie i nadzorcy przywdzieli fartuchy; kto wiedział, co z tym fantem robić — brał się za kielnię; żołnierze nie pełniący służby na wieżyczkach pchali taczki, dźwigali nosze, inwalidzi, którzy zostali w żonach znosili i podawali samanowe cegły. I gdy nadszedł wieczór przejścia w ścianach były zamurowane, rozbite latarnie znów się paliły, wzdłuż ścian wewnętrznych wytyczono pasy ochronne i na krańcach murów wewnętrznych stali wartownicy. Wydano im rozkaz, aby w razie czego otwarli natychmiast ogień! A gdy wieczorem kolumny zeków, którzy cały dzień trudzili się dla państwa, wchodziły znów do obozu, zaraz kierowane były na wieczorny posiłek do stołówki — kłu-

269

sem, żeby nie mieli czasu się rozejrzeć, żeby czym prędzej móc ich zamknąć. Generałowie zadysponowali, że trzeba wygrać ten pierwszy wieczór — zanim wyjdzie na jaw oszustwo zbyt oczywiste w stosunku do wczorajszych obietnic. Jeśli dziś wygra się na czasie, to później jakoś się przyzwyczają i wejdą w koleinę.

Ale jeszcze przed zapadnięciem zmroku rozległy się te same przeciągłe, rozbójnicze gwizdy, które słychać było w niedzielę; to przerzucała się nimi trzecia i druga żona jak na wielkiej, chuligańskiej zabawie (te gwizdy były jeszcze jednym cennym

wkładem knajaków we wspólne przedsięwzięcie). Nadzorcy nie dotrzymali placu, nie skończyli swojej roboty i uciekli z zon. Jeden tylko oficer miał pecha (starszy lejtnant z intendentury, Miedwie-diew), miał jakieś swoje sprawy, za długo marudził, wzięty został do niewoli i aż do rana był jeńcem.

Obóz był w rękach zeków, ale dalej byli rozdzieleni murami. Gdy kto do murów podchodził — z wieżyczek zaczynały palić karabiny maszynowe. Kilku więźniów padło trupem, kilku innych odniosło rany. Proce znów poszły w ruch i latarnie zostały rozbite co do jednej, ale z wieżyczek oświetlono teren rakietami. Tu właśnie przydał się drugiej żonie wzięty do niewoli oficer-indendent: przywiązano go do końca stołu tak jak stał, z jednym oderwanym pagonem, stół wysunięto w stronę drutów i oficer krzyczał do swoich: „Nie strzelać! Jestem tutaj! Jestem tu — nie strzelajcie!".

Długimi stołami więźniowie starali się przebić zasieki i walili nimi w dopiero co wkopane słupy pasów ochronnych, ale pod ogniem nie sposób było ani rozwalić muru, ani przeleźć przezeń — a więc trzeba było budować podkopy. Jak zwykle w żonie nie było innych łopat prócz pożarniczych. Poszły więc w ruch kuchenne noże i miski. W ciągu tej jednej nocy z 18 na 19 maja podkopali się pod wszystkie mury i znów połączyli w jedną całość wszystkie podobozy oraz żonę gospodarczą. Teraz zaprzestano strzelania z wieżyczek, a w dziale gospodarczym znalazło się dość narzędzi. Całodzienna praca murarzy z pagonami poszła na marne. W nocnych ciemnościach pocięto druty pasów ochronnych wzdłuż wewnętrznych murów, rozbito je i rozszerzono przejścia tak, aby nie stały się pułapką (w ciągu następnych dni poszerzono je do dwudziestu metrów).

Tejże nocy przebito się przez mur na teren czwartego podobozu, więziennego. Pilnujący więzienia nadzorcy pouciekali — jedni w stronę wartowni, inni w stronę wieżyczek, spuszczano im stamtąd drabiny. Więźniowie wdarli się do gabinetów śledczych i rozbijali w nich, co mogli. Zostali teraz wypuszczeni z więzienia na wolność ci, którzy mieli stanąć jutro na czele powstania: eks-pułkownik Armii Czerwonej, Kapitan Kuzniecow (absolwent akademii imienia Frunzego, już niemłody; po wojnie dowodził pułkiem w Niemczech i ktoś z jego podwładnych uciekł na Zachód, za to też wtrącono go do obozu; w obozowym więzieniu siedział zaś za „szkalowanie obozowej rzeczywistości" — w listach, które usiłował przesyłać z pomocą wolniaków); eks-starszy lejtnant Armii Czerwonej Gleb Słuczenkow (był w niemieckiej niewoli, a jak twierdzą — również u Własowa).

W „nowym" więzieniu siedzieli mieszkańcy osady Kengir, skazani za przestępstwa pospolite. Z początku byli przekonani, że w kraju wybuchła rewolucja i z entuzjazmem przyjęli ofiarowaną im, a całkiem niespodziewaną wolność. Ale zorientowawszy się szybko, że rewolucja ta ma charakter nieco zbyt lokalny, pospolitacy lojalnie *wrócili* do swojego kamiennego worka i bez żadnej straży siedzieli tam rzetelnie przez cały okres powstania, wychodząc tylko po jedzenie do

stołówki zbuntowanych zeków.

Zbuntowanych zeków! — którzy już po trzykroć starali się odsunąć od siebie i ten bunt, i wolność jaką przynosił. Nie wiedzieli co robić z tymi darami i bardziej ich się bali, niż pragnęli. Ale z uporem morskiego przy-boju coś pchało ich i pchało do tego buntu.

Cóż im zostało? Wierzyć obietnicom? Znowu ich oszukają, właściciele niewolników doskonale wykazali to wczoraj, a także wcześniej i to po wielekroć. Więc paść na klęczki? Ale przez wiele lat żyli na kolanach i nie wymodlili sobie zmiłowania. Prosić o wymierzenie kary dzisiaj, od razu? — ale czy spadnie na nich kara dziś, czy po miesiącu wolnego życia — to wszystko jedno, będzie jednako surowa, sędziowie pracują mechanicznie: jeśli po ćwiarze — to wszystkim po ćwiarze, bez różnic.

Przecież zbiegowie uciekają, żeby przez jeden dzień choćby nacieszyć się wolnym życiem. Tak też tych osiem tysięcy ludzi nie tyle podniosło bunt, co *uciekło w wolność,* bodaj tylko na krótko! Osiem tysięcy ludzi nagle z niewolników stało się wolnymi ludźmi i dane im było żyć. Zacięte zazwyczaj twarze rozjaśnił nagłe ciepły uśmiech[4]. Kobiety zobaczyły z bliska mężczyzn i mężczyźni wzięli je za ręce. Ci, którzy korespondowali ze sobą skomplikowanymi sposobami i nigdy nie widzieli się nawzajem — teraz mogli się poznać! Te Litwinki, którym księża przez mur udzielali sakramentu małżeństwa — teraz zobaczyły swoich wybranych, zaślubionych w majestacie religii — ich małżeństwo zeszło z nieba na ziemię! Członkom sekt i wierzącym pierwszy raz w ciągu całego życia nikt nie przeszkadzał zbierać się i odprawiać modłów. Rozproszeni po różnych żonach samotni cudzoziemcy teraz odnaleźli się i mówili w swoim języku o tej dziwnej azjatyckiej rewolucji. Wszystkie zapasy żywnościowe obozu znalazły się w rękach więźniów. Nikt nie pędził ich na apel ani do 11-godzinnej harówki.

Zauważy! to nawet niechętny więźniom Makiejew.

271

Nad bezsennym, rozgorączkowanym obozem, który zerwał z siebie psie numery wstało słońce 18 maja. Na drutach wisiały porozbijane lampy. Więźniowie spokojnie przechodzili z żony do żony okopami albo i obok nich. Wielu przywdziało swoją cywilną odzież, odebraną z magazynu. Niektórzy chłopcy nałożyli swoje papachy i kubanki (wkrótce pojawią się także wyszywane koszule, Azjaci — wdzieją kolorowe chałaty i turbany, szaro-czarny obóz rozkwitnie).

Od baraku do baraku chodzili porządkowi i zwoływali ludzi do dużej stołówki na wybory *Komisji* — komisji dla rozmów z dowództwem i dla spraw samorządu (tak skromnie, tak bojaźliwie sama się nazwała).

Wybierali ją sądząc może, że to tylko na kilka godzin, ale przez czterdzieści dni miała ona być rządem obozu kengirskiego.

Gdyby to wszystko zdarzyło się dwa lata wcześniej, to z samej tylko obawy — aby On się o tym nie dowiedział, gospodarze Stepłagu nie pozwoliliby sobie na zwłokę; padłaby znana komenda — „Nie żałować nabojów!" i z wieżyczek wystrzelano by do nogi ten cały kłębiący się wśród murów tłum. I czy musiano by położyć pokotem całe osiem tysięcy, czy tylko cztery tysiące — nic by to ich nie wzruszało, byli to bowiem właśnie ludzie niewzruszeni.

Ale sytuacja w roku 1954 tak była zawiła, że musieli się zawahać. Wa-wiłow i Boczków wyczuli w Moskwie jakieś nowe powiewy. Zresztą dość się już tu nastrzelano i teraz trzeba było się zastanowić, jak nadać legalny charakter temu, co zostało zrobione. W ten sposób powstały warunki dla zwłoki, a to znaczy, że buntownicy mieli czas, aby rozpocząć swoje nowe, niezawisłe życie.

Trzeba było z punktu dać się wyklarować linii politycznej powstania. To było bowiem — być albo nie być. Czy powstanie powinno było pójść jedynie po linii tych szczerych odręcznie pisanych na szpaltach gazet sloganów: „Chłopcy, bijcie czekistów"?

Ledwie wypuszczony z więzienia — i od razu (zmuszony do tego przez okoliczności czy na mocy odruchu starego dowódcy, może kierując się radami przyjaciół albo odpowiadając na jakiś zew wewnętrzny) stanąwszy na czele buntowników, Kapitan Iwanowicz Kuzniecow natychmiast, jak się zdaje, przyjął punkt widzenia nielicznych ortodoksów siedzących w Ke-ngirze: „Przeciwstawić się tym bzdurom (slogany), przeciwstawić się an-tysowieckim kontrrewolucyjnym tendencjom tych, którzy chcą *wykorzystać* nasze ciężkie przejścia!". (Te formuły cytuję według notatek innego

272

członka komisji A. F. Makiejewa, który zreferował rozmowy prowadzone przez szczupłe grono wtajemniczonych w magazynie odzieżowym u Piotra Akojewa. Ortodoksi dawali Kuzniecowowi wyraźnie do zrozumienia, co następuje: „Ależ za takie slogany *nam* wszystkim mogą wsypać nowe wyroki").

Już od pierwszego momentu, jeszcze w nocy, gdy obchodził barak 'po baraku i przemawiał aż do zachrypnięcia, a także później, na porannym wiecu w stołówce, a potem jeszcze nieraz — pułkownik Kuzniecow spotykając ludzi o tendencjach bardzo skrajnych, ludzi w których złość się zapiekła, ludzi tak sponiewieranych, że zdawało się. iż nic już nie mają do stracenia, powtarzał bez ustanku:

„Linia antysowiecka — to byłby nasz koniec. Jeśli wysuniemy teraz antysowieckie hasła — to natychmiast nas zgniotą. Przecież tylko czekają na pretekst, aby nas rozdeptać. Takie ulotki i slogany posłużą im tylko jako usprawiedliwienie, jeśli zechcą nas wszystkich powystrzelać. Jedyny nasz ratunek — to lojalność. Powinniśmy rozmawiać z przedstawicielami Moskwy tak, jak *przystało na prawdziwych sowieckich obywateli!"*.

A potem —jeszcze głośniej: „Nie pozwolimy, aby pewne jednostki narzucały nam tu ten prowokacyjny sposób działania!". (Zresztą, w czasie tych jego przemówień w najlepsze całowano się na wagonetkach. Nie bardzo zważano na sens nawoływań).

Gdyby pociąg powiózł nas nie tam, dokąd chcemy i gdybyśmy zdecydowali się wyskoczyć z niego — musielibyśmy skakać w kierunku ruchu, a nie przeciw ruchowi. Na tym polega też inercja wypadków historycznych. Bynajmniej nie wszyscy tak myśleli, ale rozsądny charakter tego programu został przez wszystkich od razu zauważony i ta linia zwyciężyła. Wkrótce w całym obozie wisiały już wielkie transparenty, dobrze widoczne ze strony wieżyczek i posterunków wartowniczych:

„Niech żyje Sowiecka Konstytucja!".

„Niech żyje Prezydium KC!",

„Niech żyje władza sowiecka!",

„Domagamy się przyjazdu przedstawiciela KC i rewizji naszych wyroków!",

„Precz z mordercami — beriowcami!",

„Żony oficerów Stepłagu! Czy warn nie wstyd mieć morderców za mężów?".

Chociaż większość rebeliantów z Kengiru doskonale wiedziała, że te liczone na miliony mordy i gwałty, dawne i niedawne, dalekie i bliskie dokonane zostały pod bagiennym słońcem *tej* właśnie konstytucji i że zostały zaaprobowane przez Biuro Polityczne w *tym* właśnie składzie, jednak-



że nic innego im nie pozostawało, jak pisanie haseł na cześć *tej* konstytucji i *tego* Politbiura. Ale też czytając sobie te hasła — zbuntowani więźniowie dotknęli nogą twardego gruntu prawa i poczuli się nieco spokojniej: ich ruch nie jest całkiem beznadziejny.

Nad stołówką zaś, gdzie dopiero co odbyły się wybory, pojawiła się flaga, dobrze widoczna aż hen, w osadzie. Wisiała potem długo: białe pole z czarnym obrzeżem i czerwonym, sanitarnym krzyżem pośrodku. W międzynarodowym kodzie morskim flaga ta znaczyła:

„Jesteśmy w niebezpieczeństwie! — Na pokładzie są kobiety i dzieci!".

Do komisji wybrano 12 łudzi i Kuzniecowem na czele. Od razu rozdzielono funkcje i stworzono następujące wydziały:

- agitacji i propagandy (stanął na jego czele Litwin Knopkus, przenie

siony karnie z Norylska po stłumieniu tam powstania),

- spraw gospodarczych i bytowych,
- zaopatrzenia,

—: bezpieczeństwa wewnętrznego (Gleb Słuczenkow),

- wojskowy i
- techniczny, zapewne najbardziej oryginalny w tym obozowym rzą

dzie.

Byłemu majorowi Michejewowi powierzono utrzymywanie kontaktów z dowództwem obozu. W skład komisji wchodził jeden z knajackich pa-chanów, kierował nawet jakimś wydziałem. Były także kobiety (jak się zdaje: Szachnowskaja, ekonomistka, partyjna, już siwa; Suprun, stara nauczycielka z Podkarpacia; Luba Berszadzka).

Czy w skład komisji weszli prawdziwi i najważniejsi inspiratorzy powstania? Zapewne nie. *Ośrodki*, zwłaszcza ukraiński (w całym obozie Rosjanie stanowili zaledwie czwartą część więźniów) jak się zdaje, trzymały się na uboczu. Michał Keller, ukraiński partyzant od 1941 roku walczący to z Niemcami, to z oddziałami sowieckimi, ten sam Keller, który w Kengirze publicznie zarąbał szpicla, bywał na posiedzeniach komisji wyłącznie w charakterze milczącego obserwatora z ramienia *tamtego* sztabu.

Komisja całkiem jawnie zasiadła w kancelarii kobiecego podobozu, ale wydział wojskowy przeniósł swój punkt dowodzenia (sztab polowy) do łaźni drugiego podobozu. Wydziały zabrały się do roboty. Pierwsze dni były szczególnie gorące: wszystko trzeba było obmyśleć i ustalić od nowa.

Przede wszystkim należało zbudować umocnienia. (Michejew, przekonany, że interwencja wojska jest nieunikniona, był przeciwnikiem planowania jakiejkolwiek obrony. Przeważyło zdanie Słuczenkowa i Knopkusa). Do dyspozycji było sporo samanowych cegieł — po przebiciu szerokich przejść w murach wewnętrznych. Z tego samego samanu wystawiono barykady

274

naprzeciw wszystkich wartowni, to jest wyjść i wejść do obozu, które zostały w ręku strażników; w każdej chwili mogły przejść przez nie oddziały pacyfikatorów. W żonie gospodarczej pod dostatkiem było drutu kolczastego. Z drutu tego robiono i ustawiano na drodze ewentualnego ataku zapory spiralne. Nie zapomniano też o tym, aby gdzieniegdzie wetknąć w grunt tabliczki z napisem: „Ostrożnie! Miny!".

Był to jeden z pierwszych konceptów wydziału technicznego. Cała jego praca odbywała się w wielkim sekrecie. W zdobytej żonie gospodarczej oddział techniczny stworzył sobie sieć tajnych pomieszczeń. Na ich drzwiach widniała trupia czaszka, skrzyżowane piszczele i napis: „Napięcie 100.000 Volt". Wejść tam mogli tylko nieliczni, bezpośrednio zatrudnieni. Nawet więźniowie nie zdawali więc sobie sprawy czym w istocie wydział techniczny się trudni. Bardzo szybko zaczęto powtarzać, że pracuje się tam nad konstrukcją *tajnej broni* chemicznej. Ponieważ i więźniowie, i gospodarze doskonale wiedzieli, ilu siedzi w obozie świetnych inżynierów, łatwo więc wytworzyło się zabobonne przekonanie, że potrafią oni *wszystko*, a więc zdolni są również do wynalezienia takiej broni, jakiej nawet w Moskwie nikt nie wymyślił. A już co do wyrobu jakichś mizernych min — bo przecież w żonie gospodarczej były przeróżne chemikalia — nikt nie miał wątpliwości. Dlatego też deszczułki z napisem: „Miny" brane były całkiem na serio.

Trzymano w pogotowiu jeszcze inny rodzaj broni: skrzynie z tłuczonym szkłem

przed wejściem do każdego baraku (aby sypać nim w oczy strzelcom z pepeszami).

Brygady zachowano, ale otrzymały one nazwę plutonów, baraki zaś — oddziałów. Wyznaczono dowódców tych oddziałów, którzy podlegali wydziałowi wojskowemu. Michał Keller został dowódcą służby wartowniczej. Posterunki, czyli *pikiety* zajmowały stanowiska według ściśle opracowanego planu; w nocy ich skład był wzmocniony. Biorąc pod uwagę ten rys psychologii męskiej, który sprawia, że w obecności kobiety mężczyzna nie chce okazać się tchórzem i w ogóle zachowuje się odważniej, pikietom nadano charakter mieszany. Okazało się też, że w Kengirze dużo jest kobiet nie tylko wyszczekanych, lecz również śmiałych, zwłaszcza — wśród młodych Ukrainek, których w kobiecym podobozie było najwięcej.

Nie czekając już teraz na pańską łaskę, więźniowie sami pozrywali kraty z okien baraków. Przez pierwsze dwa dni, kiedy jeszcze gospodarze nie
aby wyłączyć w obozie prąd, pracowały warsztaty w żonie gospodarczej i z dawnych krat zrobiono mnóstwo pik, szlifując końce prętów. W ogóle kuźnia i warsztaty mechanicze przez te pierwsze dni bez chwili przerwy wyrabiały broń: noże, siekiery-halabardy oraz szable, któ-

275

**rych** noszenie szczególnie sobie upodobali knajacy (przy gardach wieszali kutasy z kolorowych rzemyków). Niektórzy mieli też czekany i kiścienie.

Z pikami na ramieniu warty obejmowały swoje nocne posterunki. Również plutony kobiece, kierując się na noc do męskiej żony, aby w razie alarmu też jej bronić (istniało naiwne przekonanie, że oprawcy zawahają się widząc kobiety i nie zechcą do nich strzelać), szły do wyznaczonych im sekcji z takimi samymi pikami na ramieniu.

Wszystko to byłoby nierealne i nietrwałe, rozsypałoby się zaraz pod gradem szyderstw albo rozsadzone przez rozpustę, gdyby nie było owiane surowym i czystym powietrzem buntu. Piki i szable były bronią jak na nasz wiek dziecinną, śmieszną, ale wcale nie śmieszną rzeczą były dla tych ludzi więzienia: te, w których siedzieli i te, w których mieli jeszcze posiedzieć. Piki były śmieszne, ale dzięki niech będą losowi, że je posłał — było to pierwsze narzędzie obrony własnej wolności. W purytańskiej atmosferze początków rewolucji, kiedy obecność kobiety na barykadzie pomnaża niejako środki obronne — mężczyźni i kobiety zachowywali się odpowiednio i z godnością nosili swoje piki na ramieniu.

Jeśli w trakcie tych dni ktoś tam rejestrował nieuniknione wybuchy zmysłowości, to chyba — gospodarze z błękitnymi wyłogami, tam, za żoną. Liczyli na to, że, pozostawieni samym sobie na cały tydzień więźniowie, zatoną w tak zwanych odmętach lubieży. Tak właśnie wyobrażali sobie i tak to tłumaczyli mieszkańcom miasteczka wojskowego — że więźniowie zbuntowali się wyłącznie dla rozpusty. (No pewno, bo czego jeszcze brakowało więźniom przy ich dostatnim i spokojnym życiu[5]?!).

Głównie zaś liczyli panowie dowódcy na to, że knajacy zabiorą się do gwałcenia kobiet, polityczni wystąpią w ich obronie i w rezultacie rozpocznie się wzajemna

rzeź. Ale również tu psychologowie z MWD pomylili się! — i to też zasługuje na podziw z naszej strony. Wszyscy świadczą zgodnie, że złodzieje zachowywali sję *jak ludzie,* ale nie w tradycyjnym, używanym przez nich, znaczeniu tego słowa, tylko tak, jak my to rozumiemy. Z kolei - także polityczni i same kobiety odnosili się do nich z wyraźną życzliwością, okazywali im zaufanie. Co tam było pod spodem — to już nie nasza sprawa. Być może złodzieje przez cały czas nie tracili z oczu krwawych ofiar, jakie ponieśli pierwszej niedzieli.

Jeśli kengirskie powstanie miało w sobie jakąś siłę, była to siła jedności.

Złodzieje nie czynili również prób rabowania magazynów żywnościo-

[5] Po stłumieniu powstania panowie gospodarze wcale się nie powstydzili i poddali wszystkie kobiety badaniom ginekologicznym. Gdy wykryto wśród nich wiele... dziewic, nie mogli wyjść z podziwu; jak to, na co czekałaś! Tyle dni razem?... Przykładali do wypadków własną miarę.

276

wych, co nie mniejsze powinno budzić zdziwienie wśród doświadczonych ludzi. Chociaż w magazynie były zapasy na wiele miesięcy, komisja uradziła, że należy zachować w mocy wszystkie dawne normy przydziału chleba oraz innych artykułów. Wiernopoddaricza obawa, by nie zjeść za dużo przydziałowych ochłapów i nie odpowiadać później za manko! Tak, jakby państwo nic nie było dłużne więźniom za tyle lat głodu! Wręcz przeciwnie (mówi o tym Michejew) — poza żoną brak było jakichś produktów i zaopatrzeniowcy z zarządu prosili, aby wydano im je z magazynów obozu. Były tam owoce, wchodzące w skład lepszych racji (dla wolnych) i więźniowie zgodzili się na ich wydanie.

Księgowość obozowa wypisywała całą żywność według poprzednio ustalonych norm, kuchnia ją pobierała, gotowała, ale w nowej, rewolucyjnej atmosferze kradzieże ustały i nie przychodzili posłańcy od grup knajackich z żądaniami dodatkowych porcji *dla ludzi,* a prydurkom też nie wlewano dodatkowej chochli. I wtedy okazało się raptem, że przy tych samych normach —jedzenia zrobiło się wyraźnie więcej!

Chociaż knajacy handlowali rzeczami (to znaczy sprzedawali to, co gdzie indziej ukradli), ale zerwali już ze starym obyczajem, aby natychmiast odbierać je temu, co kupił. „Inne czasy nastały" — powiadali.

Nawet kioski, wystawione swego czasu przez terenowy wydział handlu, dalej prowadziły swą działalność w żonach. Sztab zagwarantował bezpieczeństwo wolnej inkasentce. Bez eskorty nadzorców, jedynie w towarzystwie dwóch dziewcząt z obozu, chodziła od kiosku do kiosku i odbierała od sprzedawców dzienny utarg, oczywiście w postaci bonów. Ale bony wkrótce się skończyły, a gospodarze nie pozwalali wwozić do żony nowych towarów.

W rękach gospodarzy pozostał również dopływ prądu, wody i lekarstw. Dopływ świeżego powietrza, jak wiadomo, nie od nich zależał. Co zaś do lekarstw — to w ciągu 40 dni nie dostarczyli ani jednego proszka, *ani kropli jodyny.* Elektryczność odcięli po dwóch trzech dniach. Wodociągów nie ruszali.

Wydział techniczny rozpoczął batalię o światło. Z początku zarzucali cienki drut z haczykiem na końcu na przewody linii wysokiego napięcia biegnącej za murem obozu i w ten sposób przez kilka dni kradli sobie energię elektryczną, ale wkrótce druty zostały wykryte i odcięte. W ciągu tego czasu wydział techniczny zdołał zbudować wiatrak, ale zrezygnował z tego źródła energii i zabrał się w żonie gospodarczej (w miejscu niewidocznym ani z wieżyczek, ani z latających nisko samolotów patrolowych typu U-2) do montowania elektrowni wodnej, napędzanej... wodą z kranu. Silnik, znaleziony w tejże żonie, przekształcono w generator i dzięki temu

277

zaczęła funkcjonować wewnętrzna sieć telefoniczna, zapaliło się światło w sztabie i można było puścić w ruch... nadajnik radiowy! W barakach zaś płonęły łuczywa... Ta jedyna w swoim rodzaju elektrownia wodna funkcjonowała do ostatniego dnia powstania.

W pierwszych dniach buntu generałowie przychodzili do żony, jakby tu byli gospodarzami. Co prawda Kuzniecow też znalazł się godnie: na pierwszą naradę rozkazał wynieść z kostnicy zabitych i głośno zakomenderował: „Czapki zdjąć!". Więźniowie zdjęli swoje mycki z głów — i generałowie także musieli zdjąć kaszkiety przed swoimi ofiarami. Ale w końcu inicjatywę przejął generał z GUŁagu Boczków, uznawszy wybranie komisji za fakt pozytywny („nie można przecież gadać ze wszystkimi naraz") i zażądał, aby deputaci, zabierając głos na naradach, nasamprzód referowali, za co zostali skazani (i Kuzniecow zaczął obszernie — i zapewne z satysfakcją — mówić o swojej sprawie); jak również, aby więźniowie przemawiali na stojąco. Kiedy ktoś oznajmił: „Więźniowie żądają..." Boczków przerwał mu z naciskiem i przejęciem: „Ależ więźniowie mogą tylko *prosić,* a nie żądać!". I ta formuła — „Więźniowie proszą" — już się przyjęła na stale. W odpowiedzi na *prośby* więźniów Boczków wygłosił wykład o budowie socjalizmu, o niebywałym rozwoju gospodarki narodowej i o sukcesach rewolucji chińskiej. Zaczęło się tokowanie, wkręcanie krzywej śruby w mózg, to wszystko, co tak nam odbiera siły i mowę... Przyszedł do żony właściwie po to, aby wyjaśnić dlaczego użycie broni było uzasadnione (wkrótce ci faceci oświadczą, że w ogóle żadnego strzelania w żonie nie było, że to wymysł bandytów, ba, że żadnego bicia też nie było). Zdziwił się niewymownie, że ktoś w ogóle może proponować mu pogwałcenie „instrukcji o separacji więźniów według płci" (tak mówił o swoich instrukcjach, jakby to były prawa odwieczne albo i przedwieczne).

Wkrótce przylecieli Douglasami jeszcze inni i jeszcze ważniejsi generałowie: Dołgich (podobno sam ówczesny szef GUŁagu) i Jegorow (wiceminister MWD ZSSR). Zwołano zebranie w stołówce, przyszły ze dwa tysiące więźniów. Kuzniecow zaś zakomenderował: „Uwaga! Wszyscy wstać! Baczność!" i z całym szacunkiem zaprosił generałów do prezydium, sam zaś służbiście stanął z boku. (Inaczej zachował się Słuczenkow. Gdy komuś z generałów wyrwało się słówko na temat siedzących w obozie *wrogów,* Słuczenkow krzyknął im z punktu: „A kto z was nie

okazał się w końcu wrogiem? Jagoda — wróg, Jeżów — wróg, Abakumow — wróg, Beria — wróg. Skąd mamy wiedzieć, czy Krugłow jest lepszy?".

Makiejew, jak świadczą jego notatki, sporządził projekt umowy, która przewidywała, że władze obiecują nikogo nie wysyłać na etap, nie represjonować i otworzyć śledztwo w sprawie zajść — więźniowie zaś obowiązują

278

się za to natychmiast przystąpić do pracy. Jednakże — gdy Makiejew ze swoimi stronnikami zaczął odwiedzać baraki prosząc o poparcie projektu, zeki jęli wymyślać im od łysych komsomolców, „pełnomocników od skupu" i „czekistowskich fagasów", szczególnie wrogo potraktowano ich w kobiecej żonie. Najbardziej niechętnie odnosili się teraz ludzie do możliwości ponownego rozdzielania żony męskiej i żeńskiej. Rozsierdzony Makiejew odszczekiwał się swoim oponentom: „A ty potrzymałeś Kasin cycek i już myślisz, że przyszła kryska na sowiecką władzę? Sowiecka władza swojego nie popuści, wszystko jedno!".

Dni mijały. Nie spuszczając żony z oka — każąc ją wciąż obserwować z wieżyczek i żołnierzom i nadzorcom (bo nadzorcy, znający zeków osobiście, powinni byli zgodnie z rozkazem identyfikować ich i notować, co kto robi), a także z samolotów (robiono może nawet zdjęcia lotnicze)
—generałowie musieli z przykrością dojść do wniosku, że w żonie nie ma ani wewnętrznych walk i rzezi, ani pogromów, ani gwałtów, że obóz sam przez się ani myśli się rozkładać i że nie ma powodu, aby wprowadzać tam wojsko w celu pacyfikacji.

Obóz *trzymał się* i rozmowy dwustronne zmieniły charakter. Panowie ze złotymi epoletami dalej przychodzili w rozmaitym składzie do żony, tocząc rozmowy i ćwicząc się w sztuce perswazji. Wpuszczano ich wszystkich, ale musieli za każdym razem brać do ręki białą flagę i poddawać się rewizji między wartownią żony gospodarczej (gdzie było teraz główne wejście do obozu) a barykadą. Jakaś tam ukraińska *diwczyna* w fufajce obmacywała generalskie kieszenie — czy nie ma w nich pistoletu albo granatów. Za to sztab buntowników *gwarantował* im osobiście bezpieczeństwo!...

Generałów prowadzali wszędzie tam, gdzie było można (oczywiście nie wpuszczając ich do *tajnej* części żony gospodarczej), pozwalali im rozmawiać z zekami i zwoływali dla nich wielkie wiece w poszczególnych żonach. Błyskając epoletami gospodarze także tu zasiadali w prezydium — jak dawniej, jakby nigdy nic.

Więźniowie wysuwali swoich oratorów. Ale jak trudno było im mówić!
—nie tylko dlatego, że każdy prokurował sobie tym przemówieniem nowy wyrok, lecz także dlatego, że nazbyt szeroko już były otwarte nożyce po glądów na życie i na prawdę tych szarych z jednej — i tych błękitnych z drugiej strony. Bo też już prawie niczym nie sposób było wstrząsnąć i oświecić tych dorodnych, nażartych ciał i tych lśniących od tłuszczu, rozdętych jak tykwy głów. Jak się zdaje, doprowadził ich do wielkiego

gniewu stary leningradzki robotnik, komunista, uczestnik rewolucji. Pytał ich — co to będzie za komunizm, jeśli oficerowie nabiją sobie kałduny na rachunek obozowego gospodarstwa, jeżeli z ołowiu, kradzionego w zakła-

279

dzie wzbogacania rudy, każą odlewać sobie loftki dla kłusowniczych polowań, jeżeli warzywniki przekopują im więźniowie, jeżeli w łaźni rozściela się dywany i grać musi orkiestra — kiedy kąpie się tam komendant obozu.

Aby położyć kres takiemu bezsensownemu krzykactwu, narady te przybrały również formę bezpośrednich rokowań wedle najlepszych dyplomatycznych wzorów; któregoś czerwcowego dnia postawiono w kobiecej żonie długi stół kuchenny. Z jednej jego strony rozsiedli się na ławie panowie ze złotymi pagonami; za ich plecami stanęli strzelcy z pepeszami, dopuszczeni z tej okazji do narady. Z drugiej strony stołu zasiedli członkowie komisji — również w towarzystwie ochrony: nader poważnie stała ona za ławą ze swoimi szablami, pikami i procami. Dopiero z tyłu tłoczyli się więźniowie — chcąc posłuchać tej gadaniny i coś tam krzyknąć od czasu do czasu. (I stół nie był pusty! — z cieplarni znajdującej się w żonie gospodarczej, przyniesiono świeże ogórki, a z kuchni — kwas. Złote pagony gryzły ogórki wcale się nie krępując...).

Żądania-prośby powstańców uchwalone były już w trakcie pierwszych dwóch dni, a teraz wielokrotnie je powtarzano:

- ukarać mordercę ewangelisty;
- ukarać wszystkich sprawców morderstw dokonanych nocą z niedzieli na poniedziałek w żonie gospodarczej;
- ukarać tych, co bili kobiety;
- niech wrócą do obozu ci towarzysze, którzy za udział w strajku bez prawnie zostali posłani do więzień;
- skasować noszenie numerów, nie zakładać krat w barakach, nie za mykać baraków;
- nie odbudowywać wewnętrznych murów między podobpzami;
- ośmiogodzinny dzień roboczy jak u wolnych;
- podwyżka płac (tu już nie było mowy o zrównaniu zeków z wol nymi);
- wolność korespondencji z rodziną i od czasu do czasu — widzenia;
- rewizja procesów i wyroków.

I chociaż ani jedno żądanie nie groziło podkopaniem zrębów i nie było w sprzeczności z konstytucją (a niejedno z nich było tylko prośbą o przywrócenie dawnych przepisów) — jednakże gospodarze nie mogli zaakceptować najskromniejszej choćby z tych próśb, ponieważ te podgolone, tłuste karki, te łysiny i kaszkiety dawno już oduczyły się sztuki uznawania własnych omyłek czy win i nie potrafili rozpoznać prawdy albo odwracali się od niej ze wstrętem, jeśli głosiły ją nie tajne instrukcje wyższych instancji, lecz prosty, czarny lud.

Skądinąd jednak owo przedłużające się oblężenie ośmiu tysięcy więźniów

280

plamiło reputację generałów, mogło wpłynąć ujemnie na ich sytuację służbową — i dlatego udzielili obietnic. Owiadczyli, że żądania te są prawie wszystkie do przyjęcia, tylko że (aby wyglądało prawdopodobniej) trudno będzie skończyć z izolacją żony kobiecej, że tego nie ma w przepisach (tak, jakby w obozach ITŁ przez dwadzieścia lat tego nie było, ale że można będzie wykombinować, jakby tu urządzić *dni spotkań*. A co do rozpoczęcia w żonie prac komisji śledczej (w sprawie strzelaniny) — generałowie raptem udzielili zgody. (Ale Słiiczenkow wywąchał pismo nosem i zażądał gwarancji, aby nie doszło czasem do takiej sytuacji, w której pod pozorem składania zeznań szpicle będą mogli *kapać* na wszystko, co dzieje się w żonie). Rewizja wyroków? Cóż — będą zrewidowane, rzecz jasna, tylko *trzeba trochę poczekać*. Ale jest rzecz, która nie cierpi zwłoki: trzeba wychodzić do pracy! do pracy! do pracy!

A to już więźniowie znali: rozdzielą ich na kolumny, każą paść na ziemię pod groźbą użycia broni, wyaresztują inicjatorów.

Nie — krzyczeli przez szerokość stołu i z trybuny. Nie! — ryczał tłum. Dowództwo Stepłagu zachowało się prowokacyjnie! Nie wierzymy dowódcom Stepłagu! Nie wierzymy MWD!

— *Nawet* do MWD nie macie zaufania? — dziwił się zastępca ministra, wycierając czoło; to ci dopiero bunt! — Ależ kto wpoił wam tyle nienawiści do MWD?

Zagadka.

- Niech przyjedzie ktoś z prezydium KC! Ktoś z prezydium KC! Wte dy uwierzymy! — krzyczał tłum zeków.
- Uważajcie! — grozili generałowie. — Bo będzie gorzej!

Ale wtedy Kuzniecow podnosił się z ławy. Mówił dorzecznie, ze swadą i zachowywał się bardzo godnie.

— Jeśli wejdziecie do żony z bronią, — ostrzegał — nie zapominajcie, że połowa tych ludzi — to zdobywcy Berlina. Potrafią obrócić przeciw wam waszą własną broń!

Kapitan Kuzniecow! Dopiero jakiś przyszły historyk kengirskiego powstania wyjaśni nam sprawę tego człowieka. Jak widział on i jak przeżył swoje aresztowanie? Jaki miał pogląd na charakter swojej sprawy sądowej? Kiedy złożył podanie o rewizją procesu, jeżeli właśnie w trakcie powstania nadeszła z Moskwy decyzja o jego *ułaskawieniu* (bodajże z rehabilitacją)? Czy jego duma, że taki *porządek* zdołał zaprowadzić w zbuntowanym obozie, była jedynie dumą zawodowego oficera? Czy stanął na czele ruchu dlatego, że ruch ten go porwał? (Odrzucam to przypuszczenie). Czy raczej — znając swoje talenty dowódcze — po to, aby utrzymać go w ryzach, uregulować jego bieg i okiełznany już nurt skierować dowództwu pod bu-

281

ty? (Tak myślę). Podczas spotkań, rokowań i przez cichych pośredników Kuzniecow miał możliwość przekazać poskromicielom wszystko, co chciał _i dowiedzieć się o ich wymaganiach. Na przykład zdarzyło się w czerw cu, że wysłano poza żonę spryciarza Markosjana z poruczeniami Komisji. Czy Kuzniecow korzystał z takich okazji? Załóżmy, że nie. Duma kazała mu zapewne działać samodzielnie.

Dwóch przybocznych gwardzistów — dwóch ukraińskich chłopców olbrzymiego wzrostu ani na chwilę nie odstępowało Kuzniecowa. Mieli zawsze noże za pasem.

Aby go bronić? Czy aby zemścić się, gdyby skrewił?

(Makiejew twierdzi, że podczas powstania Kuzniecow miał nawet tymczasową żonę — również Ukrainkę od Bandery).

Gleb Słuczenkow miał trzydzieści lat. Znaczy to, że w niemieckiej niewoli znalazł się, gdy miał lat dziewiętnaście. Teraz, podobnie jak Kuzniecow, nosił swój dawny, wojskowy mundur, wzięty z magazynu, akcentując i podkreślając na każdym kroku wojskową postawę. Utykał trochę na nogę, ale znaczna ruchliwość wynagradzała ten brak.

W czasie rokowań zajmował stanowisko bardzo określone i bardzo skrajne. Dowództwo wpadło na pomysł, aby wywabić z żony „byłych małoletnich" — aresztowanych przed osiągnięciem 18 roku życia (dziś niektórzy mieli 20, 21 lat), ponoć po to, aby wypuścić ich na wolność. Nie było to chyba oszustwo, właśnie w tym czasie najmłodszych wszędzie wypuszczano albo skracano im terminy kary. Słuczenkow odpowiedział: „A pytaliście tych ludzi — czy chcą przejść z jednej żony do drugiej i porzucić towarzyszy w ciężkiej chwili?". (A na posiedzeniu Komisji powtarzał: „Małolatki

- to nasza gwardia, nie możemy ich oddać!". Ale także o to chodziło generałom, gdy chcieli wypuścić tych młodych ludzi właśnie w czasie po wstania w Kengirze. Nie wiemy zresztą, czy nie powpychaliby ich do kar cerów zaraz po zabraniu z żony?). Lojalny wobec prawa Makiejew zaczął jednakże zbierać wszystkich małoletnich, by mogli pojechać na „rozprawę ułaskawienia" i oto jego świadectwo: z *czterechset dziewięciu,* mogących liczyć na zwolnienie, udało mu się zebrać zaledwie trzynastu kandydatów do opuszczenia obozu. Biorąc pod uwagę sympatie Makiejewa dla władzy i jego niechęć do powstania, nie możemy oprzeć się podziwowi na wieść, że czterystu młodych chłopców, stojących u progu życia, w większości
- nawet niepolitycznych — *wyrzekło się nie tylko wolności, lecz nawet szansy ratunku!* i zostało, aby brać udział w skazanym na zagładę powsta niu...

Słysząc groźby, że wojsko zdławi powstanie, Słuczenkow tak odpowiadał generałom: „A przysyłajcie!, przysyłajcie do żony jak najwięcej facetów

282

z pepeszami!, zasypiemy im oczy tłuczonym szkłem!, odbierzemy im pepesze!, rozpieprzymy wasz kengirski garnizon!, będziemy gnać waszych krzy-wonogich

oficerów aż do Karagandy i na ich karkach wjedziemy do miasta!, a tam — pełno takich jak my!".

Można jednak dać wiarę również innym opowieściom o Słuczenkowie. „Kto będzie uciekał — tego prosto w serce!" — i błyskał w powietrzu fińskim nożem. W którymś baraku oznajmił: „Kto nie stanie do obrony
— ten posmakuje noża!". Nieunikniona konsekwencja wszelkiej władzy
wojskowej i stanu wojennego...

Nowo narodzony rząd obozowy, jak zresztą każdy rząd, nie mógł istnieć bez służby bezpieczeństwa i Słuczenkow stanął na jej czele. (Zajął gabinet opera w kobiecej żonie). Ponieważ o zwycięstwie nad oblegającymi nie mogło być mowy — Słuczenkow dobrze wiedział, że objęcie tej funkcji oznaczało dla niego nieuchronną kaźń. W trakcie buntu zwierzył się komuś w obozie, że dostał od gospodarzy tajną propozycję — aby sprowokować w obozie walkę między poszczególnymi narodowościami (złote pagony bardzo na to liczyły) i tym samym łatwy pretekst dla interwencji wojskowej. Gospodarze mieli za to obiecać mu życie. Słuczenkow odrzucił tę propozycję (a komu i co proponowali ponadto? Zwierzeń na ten temat nie było). Co więcej, kiedy obóz obiegła pogłoska, że przygotowuje się pogrom Żydów, Słuczenkow uprzedził, że plotkarzy podda publicznej *chłoście.* Pogłoska zamarła.

Starcie Słuczenkowa z prawowiernymi było rzeczą nieuchronną. W końcu do tego starcia doszło. Trzeba podkreślić, że w ciągu całego tego okresu we wszystkich obozach katorżniczych nasi ortodoksi — nawet się nie zmawiając — potępiali jednomyślnie akcję likwidowania szpiclów i w ogóle wszelką walkę więźniów o własne prawa. Nie trzeba sądzić, że działo się to z niskich pobudek (chociaż wielu ortodoksów współpracowało z *kumami),* wystarczająco tłumaczą to ich poglądy teoretyczne. Aprobowali wszelkie formy ucisku i likwidacji, również gdy chodziło o likwidację masową — ale tylko, gdy inicjatywa przychodziła z *góry,* w trybie sprawowania dyktatury proletariatu. Takie same akcje — a jeszcze spontaniczne, bezplanowe, nadto inicjowane z *dołu* — były dla nich *bandytyzmem,* na dobitkę „banderów-skim" (wśród prawomyślnych nie było nigdy ani jednego, który by uznawał prawo Ukrainy do oderwania się od Związku, bo to byłby przecież burżuazyjny nacjonalizm). Gdy katorżnicy odmówili niewolniczej pracy, gdy zbuntowali się przeciw kratom i strzelaniu do nich jak do kaczek
—bardzo to zgnębiło i przestraszyło potulnych obozowych komunistów.

Również w Kengirze cała grupa prawomyślnych (Genkin, Apfelzweig,
Tałałajewski, być może również — Akojew, innych nazwisk nie znamy;

283

następnie — pewien symulant, który całymi latami leżał w szpitalu utrzymując, że dokucza mu „wędrująca noga" — taki inteligentny sposób walki prawomyślni aprobowali; w samej komisji — i to zupełnie jawnie Makie-jew) — od samego początku powtarzała, że „nie trzeba było zaczynać"; a gdy przejścia w murze zostały zamurowane — że „nie trzeba było robić podkopów"; że to wszystko jest

dziełem „banderowskich szumowin" i że teraz trzeba jak najszybciej iść na ustępstwa. (Tych szesnastu zabitych — to byli ludzie nie z ich podobozu, a żałować jakiegoś ewangelisty — to w ogóle śmieszna rzecz). W notatkach Makiejewa znalazło odbicie całe ich sek-ciarskie, zrzędliwe rozdrażnienie. Wszystko wokół idzie na opak, wszyscy dranie i ze wszystkich stron pełno niebezpieczeństw: od zwierzchności można dostać nowy wyrok, od banderowców — nóż w plecy. „Chcą wszystkich sterroryzować majchrami i zmusić, żeby z nimi poginęli". Kengirskie powstanie Makiejew ze złością nazywa „krwawą zabawą", „fałszywą kartą", „amatorskim teatrem banderowców", a najczęściej „psim weseliskiem". Utrzymuje, że przywódcom buntu chodziło o rozpustę, o wykręcenie się od pracy i odroczenie dnia zapłaty za grzechy. (Ową wyczekiwaną „zapłatę" uważa za zupełnie usprawiedliwioną).

W tych poglądach znajduje bardzo ścisłe odbicie ogólny stosunek pra-womyślnych do całego ruchu wyzwoleńczego w obozach w latach pięćdziesiątych. Ale Makiejew był bardzo ostrożny, wchodził nawet w skład kierowniczej grupy powstania — natomiast Tałałajewski te zarzuty powtarzał na prawo i lewo — i służba bezpieczeństwa Słuczenkowa wpakowała go do celi kengirskiego więzienia za antypowstańczą agitację.

Tak jest, tak właśnie było. Zbuntowani aresztanci po wyłamaniu bram więzienia zakładali teraz własną turmę. Odwieczna ironia losu. Co prawda, wpakowano z różnych powodów (kontakty z gospodarzami) wszystkiego czterech ludzi i żaden z nich nie został rozstrzelany (na odwrót — w oczach Kierownictwa otrzymał najlepsze alibi).

W ogóle zaś więzienie, zwłaszcza t5 stare, ponure, zbudowane w latach trzydziestych, pokazywano chętnie i szeroko: jego cele-pojedynki bez okien z małym otworem wentylacyjnym w suficie; prycze bez nóżek, to znaczy zwyczajne drewniane płyty rzucone na cementową podłogę, gdzie jeszcze zimniej jest i wilgotniej, niż w całej nie opalanej celi; obok pryczy, także na podłodze, prymitywna gliniana miska jak dla psa.

Wydział agitacji organizował wycieczki do więzienia dla kolegów, którzy nie mieli w nim jeszcze okazji siedzieć i może już nie będą jej mieli. Prowadzono tam także wizytujących obóz generałów (ten widok, jak się zdaje, nie bardzo ich dziwił). Poprosili, aby przysłano również wycieczkę wolnych mieszkańców osady — bo przecież bez więźniów i tak robota na obiektach

284

stoi. Istotnie, generałowie przysłali taką grupę wycieczkową — oczywiście nie ze zwykłych robotników złożoną, lecz z dobranego personelu; warunki więzienne nie zgorszyły bynajmniej wycieczkowiczów.

Na zasadzie wzajemności gospodarze zaproponowali zawiezienie wycieczki więźniów do Rudnika (pierwsza i druga filia Stepłagu), gdzie — jak mówiono w obozie — również wybuchnął bunt (nawiasem mówiąc, tego słowa *bunt* albo jeszcze gorszego — *powstanie* unikali zarówno niewolnicy, jak plantatorzy, każdy z innych

powodów, zastępując je wstydliwym eufemizmem *sabantuj*, czyli awantura, rozróba). Delegaci pojechali i przekonali się, że wszystko tam idzie po staremu, że chodzą do pracy.

Wiele nadziei wiązano z szerzeniem się podobnych strajków! Teraz wycieczka delegatów przywiozła z podróży ziarno przygnębienia.

(A zawieźli ich w odpowiedniej chwili! W Rudniku, naturalnie, panowało podniecenie, nasłuchali się od wolnych rozmaitych rzeczy o kengirskim buncie i akurat w ciągu czerwca wielu więźniów naraz otrzymało tam odmowy na złożone dawno prośby o rewizję wyroku. A ponadto jakiś nie całkiem normalny chłopak został postrzelony na terenie pasa ochronnego. I też zaczął się tam strajk, wyłamano wrota między podobozami i kupa więźniów wyszła na plac apelowy. Na wieżyczkach zjawiły się karabiny maszynowe. Ktoś wywiesił plakat z hasłami antysowieckimi i wielkim napisem: „Wolność albo śmierć". Ale szybko go zdjęto, zastąpiono plakatem z *legalnymi* żądaniami, dodając zobowiązanie, że straty powstałe na skutek przestoju zostaną w całości odpracowane, gdy tylko dowództwo uczyni zadość żądaniom więźniów. Gdy przyjechały ciężarówki po mąkę ze składu— więźniowie jej nie wydali. Strajk trwał koło tygodnia, ale nie mamy o nim żadnych danych, słyszało się o nim tylko z trzecich ust i wieści są zapewne przesadzone).

Były w ogóle całe tygodnie, w czasie których ta wojna sprowadzała się tylko do agitacji. Rządowe radio nie milkło ani na chwilę: kilka megafonów ustawionych dookoła obozu nadawało na przemian apele do więźniów, audycje informujące i dezinformujące oraz jedną czy dwie piosenki z płyt, zgranych, uprzykrzonych i szarpiących już nerwy.

*Tam po polu dziewczę kroczy, Kocham sploty*
*jej warkoczy.*

(A przecież — aby zasłużyć sobie na ten niewielki honor — mowa o muzyce z płyt — trzeba było aż powstania! Póki staliśmy na kolanach, to nawet tego śmiecia nam nie grano). Te płyty miały także inną funkcję, zgodną z duchem czasu — służyły do zagłuszania audycji nadawanych z obozu i przeznaczonych dla uszu żołnierzy z konwoju.

285

Rządowe radio obrzucało błotem cały ruch, utrzymując, że bunt zaczęto tylko po to, aby gwałcić kobiety i narabować się do syta (w samym obozie więźniowie śmieli się z tego, ale przecież megafony postawiono także po to, aby słuchali ich wolni mieszkańcy osady. Zresztą żadnego innego wyjaśnienia plantatorzy nie potrafiliby nawet wymyśleć — ich koncept nie wznosił się aż do takich wyżyn, by pojąć i przyznać, że ta czerń może szukać sprawiedliwości!). To znów starali się rozpowszechnić jakąś podłą plotkę o członkach Komisji (nawet o pewnym opachanie: że niby w czasie morskiego etapu z Kołymy otworzył on kingstony na dnie krypy, przez co utonęło trzystu więźniów razem z całą łajbą. Starali się przy tym wmówić, że utopił właśnie biednych więźniów i to omal że nie samą Pięćdziesiątkę ósemkę, nie

zaś konwojentów; niejasne było tylko, jak sam się przy tym uratował). To znów szarpali nerwy Kuzniecowowi, że dostał już ułaskawienie, ale teraz mu je cofnięto. I znowu apele: pracować! pracować!, dlaczego Ojczyzna ma was właściwie karmić i poić? Nie chodząc do roboty narażacie państwo na ogromne straty! (Ten zarzut powinien był przeszyć bólem serca ludzi skazanych na wieczną katorgę!). Całe pociągi z węglem czekają, kto je rozładuje?! (A niech czekają! — śmiali się więźniowie — prędzej warn rura zmięknie! Ale nawet zekom nie przychodziło do głowy, że złote pagony mogłyby same zabrać się do rozładowywania, skoro panów generałów tak bardzo serce o to boli).

Jednakże wydział techniczny nie został im dłużny. W żonie gospodarczej znalazły się dwie przenośne aparatury kinowe w komplecie. Wzmacniaczy użyto więc dla konstrukcji megafonów, oczywiście o wiele słabszych niż rządowe. Prąd do wzmacniaczy pobierano z tajnej hydroelektrowni! (Bardzo to dziwiło i niepokoiło gospodarzy, że buntownicy mają swój własny prąd i radio. Obawiali się, by powstańcy nie wprowadzili do akcji radiostacji i nie zaczęli nadawać za granicę wiadomości o powstaniu. Ktoś rozpuszczał już takie pogłoski w obozie).

Obóz miał swoich własnych speakerów (znana była zwłaszcza Sława Jarimowskaja). Nadawano ostatnie wiadomości, radiogazetę (istniała prócz tego codzienna gazetka ścienna z karykaturami). „Krokodyle łzy" był to tytuł audycji satyrycznej o strażnikach, którzy dziś załamują ręce nad losem kobiet, jakie sami przedtem pobili. Były specjalne audycje dla konwojentów. Prócz tego nocami więźniowie podchodzili pod same wieżyczki i przez tuby kładli w uszy wartownikom, co należało.

Ale moc radiostacji nie była wystarczająca, aby komunikaty powstańców dotarły do jedynych w Kengirze możliwych sympatyków ruchu — wolnych mieszkańców osady — najczęściej będących zesłańcami. A właśnie ich, już nie przez radio, tylko gdzieś tam, bezpośrednio, w sposób dla

286

zeków nieosiągalny, władze miejscowe faszerowały bajędami, że w obozie rej wodzą krwiożerczy bandyci i rozpustne prostytutki (ten wariant znajdował szczególny posłuch u kobiet[6]); że w obozie pastwią się nad niewinnymi i żywcem palą ich w piecach (nie sposób zrozumieć dlaczego Kierownictwo nie interweniuje!).

I jak tu krzyknąć im przez mury, tak żeby było słychać o kilometr, dwa, trzy!: „Bracia, chcemy tylko sprawiedliwości! Nas mordowano za byle co, traktowano nas gorzej niż psy! Oto nasze żądania..." —

Pomysłowość wydziału technicznego, nie mając możliwości wykorzystania osiągnięć współczesnej nauki, odwołała się do osiągnięć naukowych minionych wieków. Z bibułki do papierosów (w żonie gospodarczej było mnóstwo najrozmaitszych rzeczy, pisaliśmy już o tym[7] i przez wiele lat tutejsze przedsiębiorstwa zastępowały dżezkazgańskim oficerom zarówno stołeczne szwalnie, jak wszelkie rodzaje warsztatów rzemieślniczych), sklejono ogromny balon, idąc śladem braci Montgolfier. Przyczepiono do niego paczkę ulotek i zawieszono pod

nim otwarte naczynie z żarzącym się węglem. Struga gorącego powietrza napełniała balon przez otwór w jego dolnej części. Ku ogromnej uciesze zgromadzonych tłumnie więźniów (więźniowie jeśli już się z czegoś cieszą, to cieszą się jak dzieci) ten niezwykły przyrząd latający wzbił się w górę i poleciał. Ale niestety! — szybkość wiatru była tak duża, że nim balon nabrał wysokości — patelnia z żarem zawadziła o druty, pozbawiony dopływu ciepłego powietrza balon spadł na ziemię i spłonął razem z ulotkami.

Po tym niepowodzeniu zaczęto napełniać balony dymem. Balony te, jeśli wiatr był pomyślny, latały nawet całkiem zgrabnie i cała osada mogła podziwiać wielkie napisy na nich:

- Ratujcie kobiety i starców przed masakrą!
- Żądamy przyjazdu członka Prezydium KC!

Strażnicy zaczęli zestrzeliwać te balony.

I wtedy zgłosili się do wydziału technicznego więźniowie-Czeczeńcy i zaproponowali, żeby robić latawce (znają się na ich wyrobie). Zaczęto je więc robić i puszczać daleko aż nad osadę. Do latawca przyczepiony był nieduży detonator. Gdy latawiec znajdował się w odpowiedniej pozycji, detonator wybuchał i paczka ulotek rozsypywała się w powietrzu. Ci od latawców

[6] Kiedy już wszystko się skończyło i gdy kolumnę więźniarek poprowadzono przez osadę do roboty, zamężne ruskie baby stanęły wzdłuż drogi i tak krzyczały do przechodzących: „Kurwy! Zdziry! Zachciało warn się...!?" i nawet jeszcze dobitniej. Drugiego dnia powtórzyło się to, ale zeczki wyszły z żony z kamieniami w zanadrzu i obrzuciły nimi krzyczące baby. Konwój śmiał się.

[7] Część III, rozdz. 22.

287

siedzieli na dachu baraku i obserwowali, co też dalej się stanie. Jeśli ulotki spadały niedaleko od obozu, to w pogoń za nimi puszczali się piesi nadzorcy. Jeśli daleko — to pędzili w tę stronę motocykliści i jeźdźcy na koniach. W każdym wypadku starano się jednak, aby wolni obywatele nie mieli możliwości dowiedzenia się prawdy (każda ulotka kończyła się prośbą, aby ten, kto ją znajdzie, przesłał ją do KC).

Do latawców także strzelali, ale nie były one tak wrażliwe na strzały, jak balony. Przeciwnik wkrótce doszedł do wniosku, że zamiast puszczać w pogoń całą sforę nadzorców, taniej będzie kleić samemu kontrlatawce, starać się z ich pomocą plątać sznurki i ściągać na ziemię wrogie komunikaty.

Wojna latawców w drugiej połowie XX wieku! — i wszystko z powodu paru słów prawdy...

(Może warto dla wygody czytelników zestawić i przypomnieć, co działo się w świecie w czasie kengirskiego buntu? Obradowała genewska konferencja do sprawy Indochin. Pierre Cot otrzymał stalinowską nagrodę pokoju. Inny postępowy Francuz — - pisarz Sartre — przybył do Moskwy, aby włączyć się w nurt naszego postępowego życia. Szumnie i okazale świętowano 300-lecie zjednoczenia Ukrainy i Rosji[8].

31 maja miała miejsce świetna defilada na Placu Czerwonym. Republika Ukraińska i Rosyjska Republika Federacyjna odznaczone zostały orderami Lenina. 6 czerwca odsłonięto w Moskwie pomnik Jurija Dołgorukowa. 8 czerwca rozpoczął się zjazd Związków Zawodowych, ale o Kengirze nic na nim nie mówiono. 10 czerwca rozpisano nową pożyczkę. 20 — było Święto Lotnictwa i odbyła się piękna defilada w Tuszynie. Te miesiące były też okresem mocnego natarcia na, jak to u nas mówią, literackim froncie: Surkow, Koczetow i Jermiłow opublikowali artykuły, w których surowo przywoływali pisarzy do porządku. Koczetow zadał nawet pytanie: „A cóż to za *takie czasy nastały?".* I nikt mu nie odpowiedział: .,*Czasy powstań w obozach!".* Wiele *niesłusznych* sztuk i książek poddano w tym okresie ostrej krytyce. A w Gwatemali imperialistyczne Stany Zjednoczone dostały dobrze po łapach).

W osadzie mieszkali Czeczeńscy zesłańcy, ale *tamte* latawce chyba nie były ich dziełem. Nikt nie może zarzucić Czeczericom, by kiedykolwiek służyli ciemiężycielom. Sens buntu kengirskiego zrozumieli oni doskonale i pewnego dnia przywieźli pod mur żony całą ciężarówkę chleba ze świeżego wypieku. Rzecz jasna, wojsko ich odpędziło.

(Spójrzcie tylko na tych Czeczericów! Sąsiadom trudno z nimi wytrzymać, przynajmniej w Kazachstanie, bywają brutalni i zuchwali, Rosjan nie

[8] Kengirscy Ukraińcy uznali tę datę za dzień żałoby.

288

znoszą i wcale tego nie ukrywają. Ale gdy tylko ludzie z Kengiru wykazali się męstwem i niezależnością — od razu pozyskali sympatię Czeczeńców! Gdy nam się wydaje, że ludzie za mało nas *szanują,* sprawdźmy przede wszystkim, czy sami zachowujemy się, jak należy).

Tymczasem wydział techniczny pracował nad sławetną tajną bronią. Był to taki pomysł: aluminiowe, puste wewnątrz krawężniki do poideł dla krów, znalezione wśród starych remanentów, napełniano fosforem zapałczanym z domieszką węglanu wapnia (wszystkie skrzynki z zapałkami zgromadzone zostały za drzwiami z napisem „100.000 volt"). Wystarczyło podpalić fosfor i rzucić taki krawężnik, a z sykiem wybuchał, rozrywając się na kawałki. Ale nie ci nieszczęśni wynalazcy i nie sztab **polowy,** urzędujący w łaźni, miał wybrać godzinę, miejsce i formę natarcia. Po upływie jakichś dwóch tygodni od początku buntu, którejś — ciemnej, choć oko wykol — nocy rozległy się głuche uderzenia w zewnętrzny mur obozu i to we wielu miejscach naraz. Jednakże tym razem to nie zbiegowie ani buntownicy rąbali mur — burzyły go

same oddziały konwoju! W obozie zaczęła się bieganina z pikami i szablami w ręku, nikt nie mógł zrozumieć, co się dzieje, wszyscy spodziewali się ataku. Ale wojsko nie uderzyło na obóz.

Rano okazało się, że w różnych punktach muru, niezależnie od istniejących już i zabarykadowanych wrót, przeciwnik wybił koło dziewięciu przejść. (Z tamtej strony wyłomów stały gniazda karabinów maszynowych, aby więźniowie nie mogli się wyrwać[9]). Było to przygotowanie terenu do zbliżającego się ataku i w obozowym mrowisku zawrzało; rozpoczęto prace obronne. Sztab powstania podjął decyzję: rozebrać mury wewnętrzne, rozbierać różne przybudówki z samanu i budować własną, drugą ścianę okrężną, wzmocnić ją specjalnie nasypami z samanu tam, gdzie w zewnętrznym murze były wyłomy — aby dawała ochronę przed ogniem cekaemów.

Co za przemiana! — konwojenci rozbijają mury, a więźniowie odbudowują je; złodzieje biorą w tej pracy udział z czystym sumieniem, bo to nie przeczy ich *prawu.*

Teraz trzeba było postawić dodatkowe posterunki naprzeciw wyłomów; każdemu plutonowi wyznaczono też wyłom, do którego powinien był biec w nocy, gdy tylko rozlegnie się sygnał alarmowy. Ustalono, że sygnałem alarmu będzie bicie w bufor od wagonu kolejowego i knajackie przeciągłe gwizdy.

Więźniowie wcale nie na żarty szykowali się do walki na piki — przeciw

[9] Podobno zastosowano tu doświadczenie, zdobyte przy tłumieniu powstania w Noryl-sku: tam też przebito wyłomy w murze, aby mogli przez nie uciec ci, co stchórzyli. Wyłomy służyły też naszczutym fetniakom, którzy wtargnęli do obozu, a następnie wprowadzono przez nie wojsko pod pretekstem przywrócenia porządku.

289

karabinom maszynowym. Kto nie był na to gotów — musiał przyzwyczaić się do tej myśli.

Kto powiedział A, ten musi powiedzieć B.

Zdarzyło się również natarcie we dnie. Przez jeden z wyłomów — akurat naprzeciw balkonu zarządu Stepłagu, na którym to balkonie tłumnie stanęły szarże ze złotymi pagonami — szerokimi, jakie nosiło się w służbie liniowej i prokuratorskimi, wąskimi, z aparatami filmowymi i fotograficznymi w ręku — otóż przez ten wyłom weszli strzelcy z pepeszami. Wcale nie wbiegli, weszli spokojnie i tylko na taką głębokość, aby oblężeni podnieśli alarm. W stronę wyłomu zbiegły się wyznaczone plutony, potrząsając pikami i trzymając w rękach kamienie i cegły. Zajęły stanowiska na barykadzie — i wtedy na balkonie zaterkotały kamery i rozległ się trzask migawek — ale wszystko tak, aby nie objąć obiektywami stojących na dole żołnierzy. Oficerowie, prokuratorzy i komisarze polityczni, wszyscy którzy tam byli, wszyscy należący do partii — to naturalne — ryczeli ze śmiechu na widok tych dzikusów z pikami, ogarniętych świętym zapałem. Syci, wyzuci ze wstydu, ze swoich niebotycznych wyżyn, z tego balkonu — natrząsali się i szydzili ze swoich głodnych, oszukanych współobywateli i w ogóle było im *bardzo wesoło*[10].

Do wyłomów podkradali się także nadzorcy i — zupełnie jakby mieli do czynienia z dzikimi zwierzętami albo Yeti — próbowali zarzucać lassa z hakami na końcu, by w ten sposób złowić *języka*.

Ale raczej już liczyli teraz na odstępców, na takich, co sami przyjdą, bo zwątpili. Ich radio ryczało: „Opamiętajcie się! Wychodźcie z żony przez wyłomy! W tych punktach nie otwieramy ognia! Kto teraz przyjdzie, tego nie będziemy sądzić za bunt!".

Przez radio obozowe Komisja odpowiedziała tak: kto chce się ratować — niech zwiewa choćby przez główną wartownię — nikogo nie zatrzymujemy siłą!

Tak właśnie postąpił... członek tejże Komisji, były major Makiejew. Poszedł do wartowni jakby mając tam coś do załatwienia. *(Jakby* — nie dlatego, że inaczej by go ktoś zatrzymał albo że obawiał się kuli w plecy — tylko dlatego, że prawie niemożliwością było okazać się zdrajcą w przytomności towarzyszy, co nie cierpieli tchórzy". Przez trzy tygodnie musiał

[10] Te fotografie są przecież na pewno wklejone teraz do sprawozdań z akcji represyjnej. I być może ktoś nie będzie miał tyle rozumu, aby zniszczyć je, nim potomni zobaczą...

" Nawet po upływie dziesięciu lat tak mu wstyd, że w swoich wspomnieniach, które zaczął pisać zapewne po to, by się usprawiedliwić, Makiejew pisze, że tylko przypadkiem wyjrzał przez wartownię za mur, ale tam — żołnierze od razu rzucili się na niego i skrępowali mu ręce...

290

udawać — i dopiero teraz mógł dać ujście swojej woli klęski i swojej złości — a zły był na zbuntowanych za to, że chcą oni tej wolności, której on, major Makiejew, wcale nie chce. Teraz, starając, się okupić swoje grzechy wobec gospodarzy, namawiał przez radio powstańców do kapitulacji i szkalował tych, którzy twierdzili, że trzeba dalej stawiać opór. Oto cytaty z jego własnego, pisemnego streszczenia tej audycji: „Ktoś doszedł do wniosku, że wolność można sobie wywalczyć szabelkami i pikami... chcą oddać na pastwę kul tych, którzy tego żelastwa nie biorą do rąk... A nam obiecują wszak rewizję wyroków. Generałowie cierpliwie rokują z nami, zaś Słuczenkow widzi w tym dowód ich słabości. Komisja jest tylko parawanem dla bandyckiego rozpasania... Prowadźcie rokowania w sposób godny więźniów politycznych, a nie (!!) szykujcie się do bezsensownej obrony".

Wyłomy stały otworem długo, przez większą część okresu powstania. I przez wszystkie te długie tygodnie uciekło poza żonę zaledwie koło tuzina zeków.

Dlaczego? Czyżby wierzyli w zwycięstwo? Nie. A może nie gnębiła ich myśl o grożących im karach? Owszem, gnębiła. Czy ci ludzie nie chcieli dla siebie ratunku choćby ze względu na rodziny? Bardzo chcieli. Być może tysiące myślały w udręce o tej możliwości. A „byłych małoletnich" rzeczywiście miano zamiar wypuścić i to na podstawie obowiązującego rozporządzenia. Ale na tym skrawku ziemi temperatura społeczna podniosła się do takich granic, że jeśli nawet dusze ludzkie się nie

przemieniły, to przynajmniej — oczyściły się w tym ogniu i owe przyziemne prawa, wedle których „żyje się tylko raz" i „byt określa świadomość", i „tchórzostwo to rzecz brzydka — ale pożyteczna" nie miały zastosowania w ciągu tego krótkiego czasu i na tej ograniczonej przestrzeni. Prawo przetrwania i rozsądku kazało ludziom poddać się razem albo uciekać na wsze strony, a tymczasem ci ludzie nie poddawali się i nie uciekali! Wznieśli się na tę wyżynę moralną, z której można już powiedzieć katom:

— A róbcie, co chcecie, niech was ziemia pochłonie! Żryjcie nas, bestie! Kąsajcie!

I tak pięknie pomyślana operacja, oparta na założeniu, że więźniowie pouciekają przez wyłomy jak szczury i że zostaną najbardziej zawzięci, których trzeba i można będzie zmiażdżyć — otóż operacja ta nie udała się dlatego, że obmyślili ją tchórzliwi łajdacy.

W ściennej gazetce powstańców obok rysunku kobiety pokazującej dziecku kajdany leżące pod szklanym kloszem i mówiącej: „Patrz, twojego ojca trzymali w takich okowach" — pojawiła się karykatura: „Ostatni renegat" (czarny kot, uciekający przez wyłom).

291

Ale karykatury są śmieszne, natomiast ludzie w żonie nie mieli szczególnych powodów do wesołości... Mijał drugi, trzeci, czwarty, piai\ lydzieri... To, co wedle praw GUŁagu nie powinno trwać nawet godzim istniało i ciągnęło się nieprawdopodobnie długo aż do męki: od połowy maja, przez cały prawie czerwiec. Z początku ludzie byli jak pijani — zwycięstwem, wolnością, możliwością spotkań i mnóstwem nowych pomysłów. Później wierzyli, że zaczęło się powstanie w Rudniku — może zaraz zbuntuje się Czurbąj-Nura, Spassk, cały Stepłag! A za nim, tylko patrzeć, Karaganda! a potem cały Archipelag wybuchnie i rpzsypie się na cztery wiatry! Ale Rudnik — z rękoma założonymi na plecach i opuszczoną głową — chodził jak dawniej do roboty, aby przez jedenaście godzin zarabiać na pylicę i nic go nie obchodził ani los Kengiru, ani nawet własny.

Nikt nie poparł sprawy kengirskiej wyspy. Już nie można było wyrwać się na pustynię: wojska przybyło, biwakowało na stepie, w namiotach. Cały obóz otoczony był z zewnątrz podwójnym kręgiem zasieków z drutu kolczastego. Jeden był tylko jaśniejszy punkt: przyjedzie jaśnie pan (spodziewali się Malenkowa) i ten nas rozsądzi. Przyjedzie dobry, zacny, jęknie ze zgrozy i załamie ręce: ależ jak oni tu mogli żyć? Jak wyście ich tutaj traktowali? Morderców pod sąd! Zaraz mi tu rozstrzelać Czeczewa i Bielajewa! Reszta — won ze stanowisk... Ale był to tylko jeden punkcik, a nadto — zbyt już różowy.

Na łaskę nie było co czekać. Trzeba było nacieszyć się ostatnimi dzionkami wolności i czekać, aż się zarząd Stepłagu MWD z ludźmi rozprawi.

Zawsze są dusze, które wytrzymać nie mogą napięcia; ktoś tam już poddał się wewnętrznie i tylko to go dręczyło, że nieuniknione represje tak długo każą na siebie czekać. A ktoś inny — po cichu sobie kalkulował, że przecież właściwie w nic się nie dał dotąd wplątać i jeżeli dalej zachowa ostrożność — to aż do końca tak będzie. A ktoś tam jeszcze był młodożeńcem (i to nawet po prawdziwym religijnym

ślubie; przecież Ukrainka z Zachodu też inaczej za mąż nie wyjdzie, a dzięki staraniom GUŁagu byli tu duchowni wszystkich wyznań). Dla tych młodożeńców gorycz i słodycz nawarstwiły tu się w taki sposób, jakiego nie znają inni ludzie, unoszeni prądem opieszałych wydarzeń. Co rano mówili sobie, że to już ostatni dzień i — jako że odwet kazał na siebie czekać — każdy nowy ranek był dla nich darem niebios.

A wierzący — modlili się i powierzywszy Panu Bogu troskę o wynik kengirskich tumultów, jak zawsze zachowywali się najspokojniej. W wielkiej stołówce odbywały się w ściśle przestrzeganej kolejności nabożeństwa wszystkich obrządków. Świadkowie Jehowy pozostali wierni swoim zasadom i odmówili wzięcia do rąk broni, kopania umocnień i stania na warcie.

292

Siedzieli godzinami z pochylonymi głowami, w milczeniu (kazano im myć naczynia). Łaził po obozie jakiś prorok (szczerze przekonany, czy może szalbierz); rysował krzyże na wagonetkach i przepowiadał koniec świata. Dodał mu autorytetu nagły ziąb, jaki zdarza się w Kazachstanie niekiedy nawet latem. Otaczające go staruszki, przyodziane byle jak, siedziały na zimnej ziemi, dygotały i wyciągały ręce do nieba. A skąd jeszcze miały wyglądać pomocy!...

A byli też tacy, co wiedzieli, że wplątani są już bezpowrotnie i że żyć będzie można tylko dopóty, dopóki wojska nie wejdą. Tymczasem trzeba coś robić i myśleć, jak tu utrzymać się najdłużej. I nie ci ludzie byli jeszcze najnieszczęśliwsi. (Najnieszczęśliwsi byli ci, którzy nie byli *wplątani* i modlili się o szybki koniec).

Ale kiedy wszyscy ci ludzie przychodzili na wiec, aby zadecydować czy poddać się, czy też trzymać się dalej — znów ogarniała ich wspólna gorączka, w której ich osobiste opinie topiły się jak wosk, przestawały istnieć nawet dla nich samych. Albo też bali się drwin — bardziej niż grożącej im śmierci.

— Towarzysze! — postawny Kuzniecow mówił z taką pewnością siebie, jakby znał wiele tajemnic i wszystkie te tajemnice wspierały sprawę więźniów. — Mamy przecież do obrony własne środki ogniowe i przeciwnik poniesie straty równe co najmniej połowie naszych strat!

I tak jeszcze mówił:

— Nawet nasza zagłada nie okaże się bezcelowa! (I tu miał zupełną rację. Na niego też działała ta wspólna gorączka).

I gdy głosowali — czy stawiać opór dalej? — większość głosowała *za.* A Słuczenkow dodawał znacząco:

— No, teraz uważajcie! Kto pozostaje w naszych szeregach i zechce się potem poddać, z tym się załatwimy pięć minut przed kapitulacją!

Pewnego dnia rządowe radio nadało „Rozkaz dla GUŁagu": za odmowę pójścia do pracy, za sabotaż, za... za... za... kengirska filia Stepłagu zostaje zlikwidowana, a siedzący w niej więźniowie mają być przeniesieni do Magadanu na Kołymie. (GUŁagowi wyraźnie brak już było miejsca na planecie. A ci, których bez żadnych buntów posłano do Magadanu — za co tych tak trzepnęli?). Ostatni termin wyjścia

do roboty...

Ale minął już również ten ostatni termin i nic się nie zmieniło.

Nic się nie zmieniło i cała fantastyczna niepowszedniość, cały widmowy charakter tego nierealnego, niebywałego, zawieszonego w próżni życia ośmiu tysięcy ludzi jeszcze bardziej uderzał na tle uregulowanego bytu codziennego obozu: jedzenie trzy razy dziennie; systematyczne chodzenie do łaźni; pralnia, zmiana bielizny; fryzjer; warsztat krawiecki i szewski.

293

Nawet sądy rozjemcze dla rozstrzygnięcia sporów i nawet... możliwość wyjścia na wolność! Owszem. Przez radio rządowe wzywano czasem ludzi, którym kończyła się kara. Byli to —już to cudzoziemcy, obywatele takiego kraju, który zasłużył sobie na łaskę i mógł ściągnąć do ojczyzny rodaków, już to' tacy więźniowie, którym kara kończyła się (a może nie kończyła się wcale?...). Być może w ten sposób Zarząd brał „języka" — i to bez nadzorczego lassa z hakiem? Komisja obradowała, ale nie mogła sprawdzić każdego i dlatego wszystkim dawała zezwolenia.

Dlaczego to wszystko tak długo trwało? Na co liczyli gospodarze? Że skończą się zapasy? Ale wiedzieli przecież, że jest ich dość, więc bunt potrwa długo. Liczyli się może ze zdaniem ludzi z osady? Nie mieli wcale potrzeby. Opracowywali plan zmiażdżenia buntu? Można było zrobić to szybciej. (Co prawda później ludzie się dowiedzieli, że w tym okresie wezwano spod Kujbyszewa pułk do „zadań specjalnych", to jest — przeznaczony do akcji represyjnych. Przecież nie każdy to potrafi). Uzgadniali może z wyższymi władzami tryb zdruzgotania buntu? Jeśli tak — to jak wysoko trzeba było sięgnąć? Nie dowiemy się jakiego dnia i jaka mianowicie instancja podjęła tę decyzję.

Cały zwiad obrońców obozu — byli to obserwatorzy na dachach baraków. I podstawą do przewidywań było tylko to, co można było zobaczyć z takiego dachu przez płot.

W połowie czerwca pojawiło się w osadzie mnóstwo ciągników. Pracowały, czy może coś przeciągały tuż obok żony. Turkotały nawet nocami. Ta nocna praca traktorów była rzeczą zupełnie niezrozumiałą. Na wszelki wypadek zaczęto kopać jeszcze dodatkowe doły między wyłomami w murze a barykadami. (Zresztą U-2 wszystko to sfotografował albo naszkicował).

Ten złowróżbny turkot sprawił, że ciemności bardziej jeszcze zgęstniały.

I oto nagle — sceptycy musieli uznać ze wstydem, że się mylili!, to samo — zdesperowani!, a również wszyscy, którzy mówili, że nie będzie pardonu i że nie ma o co prosić. Tylko ortodoksi mogli teraz tryumfować. 22 czerwca rządowe radio nadało komunikat: dezyderaty więźniów zostały przyjęte! Do Kengiru zjechać ma członek Prezydium KC!

Różowy punkcik przekształcił się w różowe słońce. Całe niebo zaróżo-wiało! A więc można coś uzyskać! A więc *jest* w naszym kraju sprawiedliwość. W jakichś kwestiach ustąpią oni, w jakichś innych — my. Koniec końców można pochodzić jeszcze z tymi numerami, i kraty na oknach właściwie nie przeszkadzają, przecież

nikt przez okna nie wchodzi! Że oszukają nas znów? Ależ nie żądają, abyśmy *przedtem* poszli do pracy!

Podobnie jak dotknięcie metalowego pręcika rozładowuje elektroskop,

294

a pod jego wpływem z ulgą opadają w dół dwa napięte listki, tak samo ów komunikat rządowego radia rozładował ciężki nastrój panujący w ciągu ostatniego tygodnia.

I nawet te wstrętne traktory, popracowawszy trochę wieczorem 24 czerwca — teraz zamilkły.

Spokojnie spało się ludziom czterdziestej nocy powstania. Na pewno jutro przyjedzie *On,* może już przyjechał[12]!? Ach, te krótkie czerwcowe noce, kiedy człowiek nie zdąży się wyspać, kiedy śpi się tak mocno o świcie! Jak trzynaście lat temu.

O wczesnym brzasku 25 czerwca, w piątek, zabłysły w niebie rakiety na spadochronach, rakiety wzbiły się również z wieżyczek — i obserwatorzy na dachach baraków nie zdążyli nawet piknąć, trafieni kulami strzelców wyborowych. Huknęły armaty! Samoloty przeleciały nad obozem lotem koszącym, siejąc panikę. Okryte sławą czołgi T-34, które zajęły pozycje wyjściowe niepostrzeżenie, bo turkot traktorów zagłuszał ich ruchy — ruszyły teraz ze wszech stron przez wyłomy w murze. (Któryś z nich jednak utkwił w rowie). Niektóre z tych czołgów ciągnęły długie zwoje drutu kolczastego na kozłach, aby od razu rozgrodzić żonę. Za innymi biegły śladem oddziały szturmowe w hełmach i z pepeszami. (I strzelcy, i czołgiści dostali przedtem wódki. Chociaż były to s p e c o d d z i a ł y, a jednak miażdżyć bezbronnych jakoś łatwiej po pijanemu). Wśród nacierających tyralierą strzelców byli również radiowcy z nadajnikami polowymi. Generałowie stali na wieżyczkach i stamtąd (a rakiety oświetlały teren *a giornó)* wydawali komendy: „Brać taki a taki barak!... Kuzniecow jest tam a tam!...". Nie chowali się wcale, jak to zwykle bywa na punkcie obserwacyjnym, bo żadne kule im nie groziły[13]. Niemniej, jedną z wieżyczek podpalili więźniowie swoimi krawężnikami; płonęła jasno.

Obóz zerwał się ze snu — i oszalał. Jedni nie wychodzili z baraków, kładli się na podłodze, myśląc, że tak się uratują i że nie ma co się bronić. Inni nawoływali ich do wyjścia, do walki. Jeszcze inni wybiegali pod kule — żeby bić się albo może szukać prędkiej śmierci.

Walczył Trzeci podobóz — ten sam, który zaczął powstanie (składał się ze skazanych na dwadzieścia pięć lat, w większości — banderowców). Rzu-

[12] A może naprawdę przyjechał? Może to właśnie on wydal ten rozkaz?

[13] Tylko przed okiem historii zdołali się ukryć. Kim byli ci przemyślni dowódcy? Dla
czego cały kraj nie uczcił salwą honorową ich wspaniałego, kengirskiego zwycięstwa?
Z wielkim trudem dowiadujemy się teraz nazwisk i to wcale nie najważniejszych, ale też

nie najmniej ważnych: naczelnik oddziału operacyjnego Steplagu, pułkownik Riazanow;
naczelnik oddziału politycznego Steplagu — Siomuszkin... Hej! Niech tam kto pomoże!
Spis wymaga uzupełnienia!

295

cali... kamieniami w strzelców i nadzorców, a może i sławetnymi krawężnikami w pancerne wozy... O tłuczonym szkle jakoś nikt nie pamiętał. Jakiś barak dwa razy szedł do kontrataku z krzykiem „Hurra"... Czołgi miażdżyły wszystkich, którzy się napatoczyli (kijowiance, Alle Presman, czołg przejechał gąsienicą po brzuchu). Czołgi wjeżdżały na ganki baraków i gniotły stojących tam ludzi (tak zginęły Estonki — Ingrid Kiwi i Mach-lapa[14]). Czołgi najeżdżały na ściany baraków, starając się rozgnieść tych, co czepiali się belek, szukając ratunku przed gąsienicami. Siemion Rak, we wspólnym uścisku ze swoją dziewczyną, rzucił się pod czołg — oboje zginęli. Czołgi najeżdżały na drewniane ściany baraków i waliły nawet do wnętrza z dział załadowanych ślepymi pociskami. Opowiada Fina Epsz-tein: cały -węgieł baraku zniknął jak we śnie i na ukos, po żywych ciałach leżących w kącie, przejechał czołg; kobiety uciekały, miotały się; za czołgiem jechała ciężarówka, na którą wrzucano półnagie dziewczyny.

Z armat strzelano ślepymi nabojami, ale z pepesz — ostrymi i bagnety też były ostre. Kobiety własnymi ciałami osłaniały mężczyzn — otóż również te kobiety dźgano bagnetami! Oper Bielajew tego ranka własnoręcznie zastrzelił koło dwudziestu ludzi. Widziano, jak już po walce wkładał zabitym do ręki noże; fotograf robił zdjęcia *zabitych bandytów*. Członkini Komisji, babcia Suprun, skonała od postrzału w płuca. Niektórzy szukali ratunku w wychodkach i tam serie z pepesz dziurawiły ich jak rzeszota[15].

Kuzniecow został aresztowany w łaźni, na swoim punkcie dowodzenia i rzucony na kolana. Słuczenkowa ze skrępowanymi rękoma rzucano do góry — i o ziemię (stary knajacki sposób).

Wreszcie palba ucichła. Zaczęły się wrzaski: „Wychodzić z baraków! Nie będziemy strzelać!". I rzeczywiście — teraz już tylko bili kolbami.

Każdą kolejną grupę jeńców wyprowadzano przez wyłomy w murze, przez kordon zewnętrzny żołnierzy konwoju, rewidowano — i daleko, w stepie kazano kłaść się na wznak z rękoma wyciągniętymi nad głową. Między rzędami leżących przechadzali się lotnicy z MWD i nadzorcy, wybierając tych, których przedtem zauważyli z samolotów albo z wieżyczek.

(Przy takiej masie roboty nikt nie miał chyba czasu, aby zajrzeć do „Prawdy" z tego dnia. A cały numer poświęcony był jednej sprawie: miał za temat — dzień powszedni naszej *Ojczyzny*. Sukcesy metalowców. Nadać rozmach mechanizacji robót żniwnych! Historykowi nie trudno będzie

[14] W jednym % czołgów siedziała pijana Nagibina, lekarka obozowa. Nie po

to, aby
nieść pomoc, lecz tylko, żeby popatrzeć, bo ciekawe.

[5] Ahoj, szanowni panowie z „Trybunału przestępstw wojennych" Jean Paul Sartre'a!
Hej, filozofie! Spójrzcie, co za material! Czemu nie zwołujecie waszej sesji?... Jakoś nie
słychać...

296

stwierdzić, jakie było oblicze naszej Ojczyzny, jaka była jej panorama *tego dnia).*

Oficerowie mogli teraz zaspokoić swoją ciekawość i zbadać tajemnice żony gospodarczej: skąd brał się prąd i co to była za „tajna broń".

Zwycięscy generałowie zeszli wreszcie i poszli na śniadanko. Nie znając żadnego z nich twierdzę jednak z całym przekonaniem, że apetyt tego czerwcowego ranka im dopisywał i że nieźle sobie podpili. Wypity trunek nie mącił jednak zupełnej ideologicznej harmonii w ich głowach. A o tym, co mieli w sercu — mówiły ordery na piersiach.

Zabitych i rannych naliczono: wedle ustnych przekazów — około sześciuset, zgodnie zaś z danymi działu planowania i produkcji kengirskiej filii Stepłagu, przedstawionymi po upływie kilku miesięcy — ponad *siedmiuset*^. Ranni zapełnili lazaret obozowy i trzeba ich było wozić również do miejskiego szpitala. (Wolnym zaś wyjaśniono, że wojsko strzelało tylko ślepymi nabojami, a więźniowie sami pozabijali się nawzajem).

Aż się prosiło, aby zmusić pozostałych przy życiu do kopania grobów dla zabitych, ale w końcu zrobiło to wojsko, by rzecz zachować w tajemnicy: trzystu zabitych zakopano w kącie żony, pozostałych zaś hen, w stepie.

Przez cały dzień 25 czerwca więźniowie leżeli na płask pod stepowym słońcem (upał w tych dniach był bezlitosny), a w obozie przez ten czas wszystko rewidowano, rozbijano i przewracano do góry dnem. Dopiero pod wieczór przywieziono leżącym w polu wody i chleba. Oficerowie mieli już w ręku spisy. Wywoływali ludzi po nazwisku. Stawiali ptaszka, że ten a ten — żyje, wydawali pajkę i dzielili ludzi według listy na grupy.

Członkowie Komisji oraz inni podejrzani osadzeni zostali w obozowym więzieniu, które w ten sposób przestało być celem wycieczek. Ponad tysiąc ludzi włączono do transportu; jednych czekały więzienia, innych — Koły-ma. (Jak zwykle, spisy te były zestawione przynajmniej w połowie na ślepo i znalazło się w nich wielu, którzy w niczym udziału nie brali).

Niechaj ten opis poskromienia buntu napełni spokojem dusze tych, którym poprzednie rozdziały zagrały na nerwach. A kysz!, a kysz! — nikt już nie będzie musiał szukać schronienia w „przechowalni", a pogromcom buntu żaden odwet nie zagrozi!

26 czerwca przez cały dzień więźniowie musieli rozbierać barykady i zakładać cegłami wyłomy.

[16] 9 stycznia 1905 roku padło pod kulami carskiej policji około 100 ofiar. W 1912 roku w czasie słynnych rozruchów w kopalniach nad Leną, w rezultacie represji, które wstrząsnęły całą Rosją, zastrzelono 270 ludzi, a rannych było — 250.

297

27 czerwca wyprowadzono ich do roboty. Nareszcie znużone przestojem transporty kolejowe doczekały się roboczych rąk.

Czołgi, które zmiażdżyły Kengir, pojechały pod Rudnik i tam pokręciły się po stepie przed oczyma zeków. Niech sobie zakonotują...

Prowodyrów sądzono jesienią 1955 roku, rzecz jasna, przy drzwiach zamkniętych i nawet na ten temat nie mamy żadnych dokładnych danych... Podobno Kuzniecow przejawił dużą pewność siebie; utrzymywał, że zachował się bez zarzutu i że w danych warunkach jego linia postępowania była najsłuszniejsza. Nie wiemy, jakie wyroki zapadły. Słuczenkow, Michał Keller i Knopkus zostali prawdopodobnie rozstrzelani. To znaczy — rozstrzelano by ich na pewno, gdyby nie to, że mieliśmy już rok 1955 i może to wpłynęło na złagodzenie wyroku.

A w Kengirze znów zawrzało pracowite, uczciwe życie. Nie zaniedbano utworzenia *szturmowych* brygad z niedawnych buntowników. Rozkwitał system *rozrachunku własnego.* Funkcjonowały kioski, pokazywano filmowe śmiecie. Nadzorcy i oficerowie znów stali się bywalcami żony gospodarczej, aby zamawiać tam rozmaite drobiazgi dla swoich ognisk domowych

- szkatułki, spinningi, zameczki do torebek damskich. Buntowniczy maj-

sterkowie, szewcy i krawcy (Litwini i Ukraińcy spod Lwowa) szyli im lekkie, obcisłe buty i wykańczali suknie dla ich żon. I tak jak dawniej

- zmuszali zeków z zakładów wzbogacania rudy do zdzierania z kabli

warstwy ołowiu i wnoszenia go do obozu, gdzie podlegał przeróbce na śrut, aby towarzysze oficerowie mogli polować na suhaki.

Zamęt, jaki zapanował na całym Archipelagu dotarł jednak w tym okresie również do Kengiru. Przestano zakładać kraty w oknach i zamykać baraki na noc. Wprowadzono warunkowe zwolnienia przedterminowe po odbyciu dwóch-trzecich kary i nawet — rzecz dotychczas niesłychana —zaczęto spisywać na straty Pięćdziesiątkę Ósemkę — to znaczy, że półmartwych puszczano już na wolność.

Na grobach zielona trawka rośnie bujnie i gęsto.

A w 1956 roku cała ta żona uległa likwidacji; wówczas to mieszkańcy tych okolic — byli zesłańcy, którzy już tam woleli zostać — dowiedzieli się jednak, gdzie zostali pochowani t a m c i — i naznosili im stepowych tulipanów.

> *B u n t ó w zwycięskich nie ma, nigdy ich nie widziano, Bo jeśli bunt zwycięży —przybiera inne miano.*
>
> (Robert Burns)

298

Ilekroć przechodzić będziecie w Moskwie obok posągu Dołgorukiego przypomnijcie sobie: został odsłonięty podczas powstania kengirskiego i dlatego jest jakby pomnikiem ku *jego* czci wzniesionym.

*Koniec części piątej*

# CZĘŚĆ SZÓSTA ZESŁANIE

## I

## ZESŁANIE W PIERWSZYCH DNIACH WOLNOŚCI

Ludzie z pewnością wcześniej wymyślili zesłanie niż więzienie. Wszak wygnanie z obozowiska szczepowego też już było zesłaniem. Wcześnie zorientowano się, jak trudno przetrwać jest człowiekowi wyrwanemu ze zwykłego środowiska i zmuszonemu do życia w innej okolicy. Wszystko jest obce, wszystko idzie na opak, wszystko jest tymczasowe i nieautentyczne
—nawet, jeśli ma się wokół zieleń, nie zaś wieczne lody.

W imperium rosyjskim kwestią zesłań zajęto się bez szczególnej zwłoki: w ramy prawne ujęta została już za czasów Aleksego Michajłowieza *(So-bornoje Ułożenije* z 1648 roku). Ale już wcześniej, w końcu XVI wieku deportowano ludzi bez żadnych ustaw i Soborów: dotkniętych niełaską mieszkańców Kargopola; dalej — obywateli Uglicza, świadków zamordowania carewicza Dymitra. Obszar państwa na to pozwalał — Syberia była już nasza. W 1645 roku było już w sumie półtora tysiąca zesłańców. A Piotr zsyłał ludzi mnogimi setkami. Już wspominaliśmy, że Elżbieta Piotrowna zamiast kary śmierci wprowadziła dożywotnie zesłanie na Syberię. Ale tu nastąpiło jakieś przesunięcie semantyczne i termin „zesłanie" zaczął oznaczać nie tylko przesiedlenie bez więziennych rygorów, lecz również katorgę, roboty przymusowe, a to już nie zesłanie. Ustawa o ze-słaniach cara Aleksandra I w 1822 roku usankcjonowała tę zmianę. Dlatego należy chyba zakładać, że cyfry, odnoszące się do ilości zesłanych w XIX wieku obejmują również skazanych na ciężkie roboty. W początkach wieku XIX rokrocznie szło na zesłanie od 2 do 6 tysięcy ludzi. Poczynając od 1820 zaczęto deportować również włóczęgów (po naszemu
—pasożytów) i w ten sposób osiągano niekiedy cyfrę 10.000 rocznie.

303

W 1863 roku zaszczycono życzliwą uwagą i przysposobiono do tych celów izolowaną od kontynentu i pustynną wyspę Sachalin, dzięki czemu możliwości jeszcze się zwiększyły. W ciągu całego XIX wieku zesłano *pól miliona* osób, a w końcu stulecia

zesłańców było razem 300.000'.

U schyłku XIX wieku pojęcie zesłania uległo detalizacji i zróżnicowaniu. Pojawiły się lżejsze jego rodzaje: „wysłanie do trzeciej guberni", a nawet „wysiedlenie za granicę"[2] (nie było to uważane za karę tak bezlitosną, jak u nas po Październiku). Coraz częściej stosowane było też zesłanie *w trybie administracyjnym,* jako bardzo praktyczne uzupełnienie zesłań z wyroku sądu. Wszelako — terminy zesłania oznaczane były w sposób jasny i ścisły, cyframi — i nawet zesłanie dożywotnie naprawdę dożywotnim nie było. Czechów pisze w swoim *Sachalinie,* że po 10 latach zesłania (a jeśli „zachowywał się w sposób zupełnie godny uznania" — kryterium dowolne, ale jak świadczy sam Czechów interpretowane bardzo szeroko — to nawet po upływie 6 lat) zesłaniec zaliczany był urzędowo do stanu włościańskiego i mógł jechać, gdzie chciał, z wyjątkiem miejsca ostatniego swego zamieszkania.

Milcząco zakładaną, dla wszystkich wtedy — zupełnie naturalną, a dziś, dla nas — najbardziej zadziwiającą cechą zesłania- w ostatnim carskim stuleciu był jego charakter *indywidualny:* czy z wyroku sądowego, czy na rozkaz administracji — każdy skazywany był na zesłanie osobno, indywidualnie, nigdy zaś dlatego, że należał do jakiejś grupy ludności.

Z dziesięciolecia na dziesięciolecie zmieniały się warunki zesłania, stopień dolegliwości z nim związanych — i rozmaite generacje zesłańców zostawiły nam rozmaite świadectwa. Ciężkie były etapy, którymi maszerowali na Syberię partie zesłańców, jednakże dowiadujemy się od P.F. Jakubowicza[2] i od Lwa Tołstoja, że polityczni transportowani byli w warunkach całkiem znośnych. Feliks Kon dodaje, że — gdy polityczni stanowili większość etapu — wtedy konwojenci *nawet* kryminalistów traktowali lepiej, dzięki czemu kryminaliści bardzo sobie cenili towarzystwo politycznych. Przez wiele dziesięcioleci rdzenni Sybiracy wrogo odnosili się do zesłańców: wydzielano im najgorsze grunta pod uprawę, proponowano im prace najcięższe i najgorzej płatne, chłopi nie wydawali za nich swoich córek. Wysadzeni

[1] Wszystkie te dane wzięte są z XVI tomu *(Syberia Zachodnia)* znanego dzieła *Rosja*
Siemionowa Tian-Szańskiego. Nie tylko sam ten znakomity geograf, lecz również jego
bracia byli przekonanymi i ofiarnymi działaczami liberalnymi i bardzo się przyczynili do
rozpowszechnienia i rektyfikacji idei wolnościowych w naszym kraju. Podczas rewolucji
cała ta rodzina została rozgromiona, jednego z braci rozstrzelano w ich zacisznym mają-
teczku nad rzeką Ranową, majątek spalono, poszedł pod topór duży sad owocowy, aleje
lipowe i topolowe.

[2] P.F. Jakubowicz — *W świecie wydziedziczonych.*

z siodła, obdarci, napiętnowani, głodni — tworzyli szajki, zajmowali się rabunkiem, co sprawiało, że ludność miejscowa odnosiła się jednakże do politycznych, których liczba zaczęła się zwiększać poczynając od lat 70. Tenże Feliks Kon pisze, że Jakuci witali politycznych z radością, z nadzieją — jako swoich lekarzy, nauczycieli i doradców prawnych, jako obrońców przed samowolą władzy. Polityczni mieli na zesłaniu w każdym razie takie warunki, że z ich to grona wyszło wielu badaczy (którzy stali się ludźmi nauki dopiero na zesłaniu!) — krajoznawców, etnografów, językoznawców[3], przyrodników, a także publicystów i beletrystów. Czechów na Sachalinie nie spotkał politycznych i nie opisał ich nam[4], ale np. F. Kon, zesłany do Irkucka, otrzymał pracę w redakcji postępowego pisma ,,Wo-stocznoje Obozrenije", z którym współpracowali narodnicy, narodowolcy i marksiści (Krasin). Irkuck nie był zwykłym syberyjskim miasteczkiem, tylko siedzibą generałgubernatora i zgodnie ze Statutem nie wolno tam było w ogóle dopuszczać politycznych — a jednak pracowali tam oni w bankach, przedsiębiorstwach handlowych, uczyli w szkołach i bywali na ,,żur-fiksach" w kręgu miejscowej inteligencji. A w omskim piśmie „Stiepnoj Kraj" zesłańcy przemycali takie artykuły, których w Rosji europejskiej żadna cenzura by nie tolerowała. Ba, gdy w Złatouście na Uralu wybuchł słynny strajk, wysyłali robotnikom swoją gazetę. Dzięki zesłańcom także Krasnojarsk stał się radykalnym ośrodkiem. A w Minusińsku, wokół muzeum Martianowa, zgromadziła się grupa deportowanych działaczy, ciesząca się takim szacunkiem i natykająca się na tak nikłe przeszkody administracyjne, że była w stanie bez trudu zorganizować wszechrosyjską sieć kryjówek i schronisk dla zbiegów (zresztą — pisaliśmy już, jak łatwo było wówczas uciekać), a nawet kierowała po cichu działalnością oficjalnego komitetu „wittowskiego" w Minusińsku[5]. I jeśli o sachalińskim reżymie dla osiedleńców kryminalnych Czechów pisze z oburzeniem, że sprowadzał się on ,,w sposób najbardziej wulgarny do pańszczyzny i poddaństwa", to nie można tego powiedzieć o rosyjskim zesłaniu dla politycznych i to od najdawniejszych czasów aż do przedostatnich. W początkach XX wieku zesłanie administracyjne dla politycznych stało się w Rosji już nie karą, ale formalnym, pustym „przestarzałym zabiegiem, którego nieprzydatność jest oczywista" (Guczkow). Stołypin w 1906 roku projektował zupełne zniesienie kary zesłania.

[3] Tan-Bogoraz, W.I. Jochelson, L.J. Szternberg.

[4] Czechów jednak jadąc na Sachalin nie miał żadnej delegacji służbowej, a mimo to
dopuszczono go do archiwów więziennych. Spróbujcie pojechać do obozu NKWD bez
skierowania!

[5] Feliks Kon: *Pięćdziesiąt lat* — tom 2 — *Na osiedleniu.*

A na czym polegało zesłanie Radiszczewa? W osadzie Ust -Ilimskij Ostrów kupił on piętrowy dom *(nota-bene* — za 10 rubli) i zamieszkał w nim z młodszymi swoimi dziećmi i szwagierką, która zastąpiła mu żonę. Do pracy nikt nie zamierzał nawet go zmuszać, żył sobie, jak uważał za stosowne, i miał prawo swobodnego poruszania się po całym okręgu Ilimskim. Czym było zesłanie Puszkina do majątku Michajłowskoje — dziś już wie każdy, kto był tam z wycieczką. Podobnie wyglądało zesłanie wielu innych pisarzy i działaczy: Turgieniewa — do majątku Spasskoje-Łutowino, Ak-sakowa — do majątku Warwarino (wedle jego wyboru). Z Trubeckim

- jeszcze w celi na nerczyńskiej katordze — mieszkała żona (urodził im się synek), gdy zaś po kilku latach przesiedlono go na zesłanie pod Irkuck
- mieli tam dużą willę, własny powóz, lokajów, francuskich guwernerów dla dzieci (ówczesna myśl prawnicza nie dojrzała jeszcze do pojęć — „wróg ludu" i „konfiskata całego dobytku"). Zesłany zaś do Nowgorodu Herzen, dzięki stanowisku zajmowanemu w urzędzie gubernialnym, przyjmował raporty od policmajstra.

Tak łagodne zesłanie było przywilejem nie tylko bogatych i wybitnych ludzi. Przekonali się o tym w XX wieku liczni rewolucjoniści i opozycjoniści, zwłaszcza — bolszewicy; ich zresztą nie obawiano się zbytnio. Stalin, mając już na koncie 4 ucieczki, został po raz 5 zesłany na pobyt aż do... Wołogdy. Wadim Podbielski za ostre, antypaństwowe wystąpienia w prasie wysiedlony został z Tambowa... do Saratowa! Co za surowość! Rozumie się też, że nikt go nie zmuszał do niewolniczej pracy[6].

Ale nawet takie zesłanie, według naszych dzisiejszych pojęć — łagodne przesiedlenie bez groźby śmierci głodowej, było dla wielu zesłańców doświadczeniem bardzo ciężkim. **Iluż** rewolucjonistów podkreśla we wspomnieniach, jak bolesny był dla nich przeskok z więzienia — w którym mieli chleb, opał, dach nad głową, czas na zajęcia akademickie i połajanki partyjne — na zesłanie, gdzie trzeba było — często w samotności — szukać sobie chleba i przytułku. A gdy nie trzeba ich było szukać, to — jak piszą (F. Kon) — bywało jeszcze gorzej: „tortura bezczynności... Najstraszniej-sze jest to, że ludzie skazani są na bezczynność" — i oto niektórzy grzęzną w książkach, inni — w handlu, w zabiegach koło zysku, a niejeden wpada z desperacji w pijaństwo.

Ale — dlaczego właściwie „bezczynność"? Przecież miejscowa ludność nie skarży się na brak zajęć, ludzie ci pod wieczór z trudem prostują znużone grzbiety. Jeśli spojrzeć głębiej — to przyczyną desperacji jest zmiana

[6] Ten rewolucjonista, którego imię noszą byle ulice Pocztowe wielu rosyjskich miast, widocznie tak mało przyzwyczajony by) do pracy, że podczas pierwszego leninowskiego „subotnika" obtarł sobie rękę — i od tego w końcu... umarł.

306
gleby, wytrącenie ze starej koleiny, odcięcie od korzeni, utrata kontaktów z ludźmi.

Zaledwie dwóch lat zesłania wystarczyło, aby publicysta Mikołaj Nadie-żdin zapomniał o wolnościowych ciągotach i zmienił się w wiernego służkę tronu. Popędliwy i rozpasany Mienszykow, zesłany w 1727 roku do Bie-riozowa, wybudował tam cerkiew, rozprawiał z miejscowymi prostaczkami
0 marności świata tego, zapuścił brodę, chadzał w siermiędze i po dwóch
latach oddał ducha. Czym tak dokuczyło, dlaczego tak było nieznośne,
zapytajmy, owo wygodne zesłanie dla Radiszczewa? — a jednak, gdy po
powrocie zaczęła mu grozić ponowna deportacja, Radiszczew tak się jej
przeraził, że popełnił samobójstwo. A Puszkin — z sioła Michajłowskoje,
z tego raju na ziemi, gdzie ponoć żyłby człowiek, a **żył,** gdyby tylko Bóg
pozwolić raczył — w październiku 1824 roku pisał do Żukowskiego: „Ratuj
mnie, lepsza już twierdza, a choćby klasztor Sołowiecki!". I nie był to frazes,
bo także do gubernatora pisał z prośbą o zmianę zesłania na twierdzę.

Nas, wiedzących już, czym były Solówki, dzisiaj to aż zdumiewa: jakaż to furia, jaka desperacja i zaślepienie zmusiły zaszczutego poetę, by wzgardził Michajłowskiem i błagał o Sołowieckie Wyspy'?...

W tym właśnie jest potęga zesłania — owego zwykłego przesiedlenia
1 zostawienia na miejscu ze spętanymi nogami — którą odkryli już staroży
tni władcy, której doświadczył na sobie jeszcze Owidiusz.

Pustka. Zagubienie. Życie do życia niepodobne...

W spisie narzędzi ucisku, które raz na zawsze miała odrzucić promienna nasza rewolucja, na jakimś czwartym miejscu figurowało, oczywiście, zesłanie.

Zaledwie jednak rewolucja zrobiła pierwszych parę kroków swoimi koślawiejącymi nóżętami, nim jeszcze zmężniała jak należy —już zrozumiała: bez zesłania ani rusz! Może tam nie było w Rosji zesłań przez jakiś rok, no, najwyżej trzy lata. I zaraz znów zaczęły się deportacje — tj. wywózki elementów niepożądanych. Oto własne wyznanie bohatera ludowego, a później marszałka, o wydarzeniach, które miały miejsce w 1921 roku w tam-bowskiej guberni: „Postanowiono zorganizować *szeroką deportację* bandyckich (czytaj — „partyzanckich" — A.S.) rodzin. Zostały zorganizowane *rozległe obozy koncentracyjne,* w których te rodziny tymczasowo trzymane były pod strażą[7] (kursywa moja — A.S.).

Tuchaczewski: *Walka z kontrrewolucją i powstaniami* — czasopismo „ *Wojna i rewolucja"*, 1926 r., Nr 7/8, str. 10.

307
Tylko fakt, że o wiele wygodniej było rozstrzeliwać na miejscu zamiast wieźć dokądś tam, a w drodze pilnować i żywić, a potem lokować ich gdzieś i znowu pilnować — otóż tylko ten fakt przeszkodził we wprowadzeniu zesłania jako

regularnego zabiegu jeszcze przed końcem epoki komunizmu wojennego. Ale już 16 października 1922 roku przy NKWD utworzono stałą „Komisję ds. deportacji elementów społecznie groźnych i działaczy partii antysowieckich", to znaczy wszystkich, prócz bolszewickiej; średni okres deportacji określony został na 3 lata[8]. W ten sposób — już na samym początku lat dwudziestych deportacja była stosowana jako norma i reguła.

Co prawda, nie deportowano już kryminalistów, jak to było dawniej: zostały wszak wprowadzone obozy pracy poprawczej, one to wchłonęły ten kontyngent. Ale za to zesłanie polityczne stało się instytucją łatwiejszą w zastosowaniu niż kiedykolwiek przedtem: wobec braku gazet opozycyjnych zesłanie odbywało się w ciszy, bez echa, a tym, którzy stali obok, którzy znali zesłanych z bliska, po egzekucjach okresu komunizmu wojennego ta łagodna, niespieszna, trzyletnia deportacja wydawała się lirycznym zabiegiem wychowawczym.

Jednakże — z tego poczciwego sanitarnego zesłania ludzie nie wracali w rodzinne strony, jeśli zaś zdążyli powrócić, to wkrótce znów ich zabierano. Usidlani — zaczynali swoje krążenie po Archipelagu i ostatni, niepełny łuk tej krętej drogi prowadził niezmiennie do jamy.

Powszechna niefrasobliwość sprawiła, że zamiary władzy nieprędko stały się jasne dla wszystkich: po prostu władza nie okrzepła jeszcze tak, by pozwolić sobie na wytrzebienie wszystkich niepożądanych elementów za jednym zamachem. I dlatego upatrzonych usuwano tymczasem nie z grona żyjących, tylko z pola widzenia i z pamięci bliźnich.

Tym łatwiej było zrekonstruować cały system deportacji, że nie zarosły jeszcze, nie zapadły gościńce, którymi szły etapy, a same okolice Syberia, ziemia archangielska czy wołogodska — wszak się nie zmieniły i nicze: mu nie dziwiły. *(Notabene* myśl państwowa nie zatrzyma się na tym, . czyjś palec powędruje jeszcze po mapie jednej szóstej wszystkich lądów — i rozległy Kazachstan, dopiero co przyłączony do Związku Republik, zaofiaruje sprawie zesłania swoje przestrzenie, a w samej Syberii ileż to nowych miejsc odkryją w głuszy!).

Ale tradycja zesłari zobowiązywała również do przestrzegania pewnego przykrego obyczaju; chodziło mianowicie o pasożytnicze przeświadczenie zesłańców, że państwo powinno ich żywić. Carski rząd n i e ś m i a ł

[8] Zbiór ustaw RSFSR, 1922, Nr 65, str. 844.

308

zmuszać zesłanych do pomnażania produktu narodowego. I zawodowi rewolucjoniści uważali, że praca byłaby dla nich hańbą. W Jakucji zesłaniec-osiedleniec miał prawo do 15 dziesięcin ziemi (65 razy więcej niż dzisiejszy kołchoźnik). Rewolucjoniści nie tak bardzo znów palili się do uprawiania tej ziemi — za to Jakutom bardzo na niej zależało. Płacili więc rewolucjonistom „odstępne" czy dzierżawę, uiszczając należność w naturze — żywnością, końmi. Przyjeżdżając z gołymi rękoma, rewolucjonista od razu stawał się wierzycielem miejscowych[9].

Ponadto — rząd carski płacił pieniądze swoim przeciwnikom politycznym: 12 rubli miesięcznie strawnego i 22 ruble rocznie — na odzież. Lepieszynski pisze[10], że również Lenin na zesłaniu w Szuszenskoje otrzymywał i przyjmował te 12 rubli, sam Lepieszynski zaś 16, bo nie był zwykłym zesłańcem, lecz zesłanym czynownikiem. F. Kon twierdził później, że to było bardzo mało. Wiadomo jednak, że syberyjskie ceny były 2-3 razy niższe od rosyjskich i dlatego zesłaniec, utrzymywany przez państwo, miał aż nadto tego, co do życia jest niezbędne. Na przykład Lenin — dzięki tej dotacji miał możność przez całe trzy lata bez żadnych trosk materialnych studiować teorię rewolucji, nie zawracając sobie głowy — skąd wziąć na utrzymanie. Martow zaś pisze, że 5 rubli miesięcznie płacił gospodarzowi za mieszkanie z pełnym utrzymaniem, pozostałe zaś pieniądze wydawał na książki i odkładał na ucieczkę. Anarchista A.P. Uła-nowski powiada, że dopiero na zesłaniu (w kraju Turuchańskim, gdzie przebywał razem ze Stalinem) po raz pierwszy w życiu miał pieniądze do dyspozycji; posyłał je pewnej wolnej dzieweczce i mógł wreszcie kupić sobie kakao, którego nigdy przedtem nie kosztował. Jeleninę i sterlety kupić tam można było za grosze, dobry, solidny dom kosztował 12 rubli (miesięczna zapomoga!). Nikt z politycznych nie cierpiał niedostatku, subwencję pieniężną otrzymywali w s z y s c y zesłani w trybie administracyjnym. I odziani byli też niezgorzej (zresztą — już tak tu przyjeżdżali).

Co prawda, zesłani na dożywotnie osiedlenie za przestępstwa pospolite (po naszemu — „pospolitacy) nie dostawali pieniędzy do ręki, ale otrzymywali bezpłatnie od władz zimowe szuby, całą odzież i obuwie. Na Sa-chalinie zaś, jak świadczy Czechów, wszyscy zesłani mężczyźni przez 2-3 lata, kobiety zaś — przez cały okres zesłania otrzymywały państwową dotację w naturze: w jej skład wchodziło 40 zołotników (a więc 200 gramów) mięsa dziennie, chleba zaś — 3 funty (tj. „kilo dwieście", tyle właśnie, ile wynosiła premiowa porcja stachanowska w naszych workuc-kich kopalniach za 150% normy). Co prawda, Czechów twierdzi, że chleb ten był nie dopieczony i z pośledniej mąki — ale przecież w obozach też

[9] F. Kon, *op. cit.*

[10] Lepieszynski, *Na przełomie,*

309

nie lepszy! Rokrocznie dostawali półkożuszki, kaftan i kilka par obuwia. Stosowano też taki sposób: carski urząd płacił zesłańcom specjalnie wysokie ceny za ich wyroby, aby zachęcić ich do produkcji. (Czechów doszedł do wniosku, że nie Sachalin, więc kolonia, daje Rosji korzyści, tylko że Rosja utrzymuje tę kolonię).

Rozumie się, że nasze, sowieckie, polityczne deportacje nie mogły być oparte na tak niezdrowych podstawach. W 1928 roku Wszechrosyjski Zjazd Pracowników Administracji uznał obowiązujący system wysiedlania za niezadowalający i wniósł o „organizację zesłania w taki sposób, by tworzyć *kolonie* w odległych, odciętych od świata miejscowościach wprowadzając jednocześnie system *kar o nieokreślonym pułapie*[11] (tzn. bezterminowych). Od 1929 roku zaczęto pracować nad połączeniem kary zesłania z *robotami przymusowymi*[12].

„Kto nie pracuje, ten nie je" — oto zasada przyjęta przez socjalizm. I tylko tą zasadą mogło rządzić się sowieckie zesłanie. Ale właśnie socjaliści przyzwyczaili się do bezpłatnego utrzymania na zesłaniu! Nie ośmielając się od razu pogwałcić tej tradycji, również sowiecki skarb zaczął płacić strawne swoim zesłańcom politycznym — ale nie wszystkim, naturalnie! Z pewnością nie *kaerom,* lecz tylko *politom,* wprowadzając tu także zróżnicowanie: na przykład w Czymkencie w 1927 roku eserowcom i esdekom wypłacano po 6 rubli miesięcznie, a trockistom — po 30 (mimo wszystko — to swoi, bolszewicy). Tyle, że były to już nie carskie ruble, za najskromniejszą izdebkę trzeba było płacić 10 rubli miesięcznie, a za 20 kopiejek dziennie bardzo trudno było wyżyć. Im dalej — tym srożej. W 1933 roku „politom" wypłacano 6 rubli 25 kopiejek miesięcznie. A w roku tym, sam to doskonale pamiętam, kilogram żytniego, nawilgłego „komercyjngo" (tj. bezkart-kowego) chleba kosztował 3 ruble. Tak więc, nie mogli już socjaliści uczyć się języków i pisać rozpraw teoretycznych, socjaliści musieli urabiać sobie ręce po łokcie. Kto zaś podejmował się pracy zarobkowej, temu GPU natychmiast odbierało nędzną zapomogę.

Wszelako — nawet gdy zesłaniec chciał pracować — wcale nie było mu łatwo znaleźć posadę! Wszak wiadomo, że w końcu lat 20. bezrobocie u nas osiągnęło znaczne rozmiary i otrzymanie pracy było przywilejem ludzi z nienaganną ankietą oraz członków związków zawodowych. Zesłańcy nie byli w stanie z nimi konkurować, nawet gdy mogli pochwalić się swoim wykształceniem i doświadczeniem. Ponadto — bez zezwolenia komendantury żadne przedsiębiorstwo nie ośmieliłoby się przyjąć do pracy

" Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej — zbiór 4042, fascykul 38, teka 8, arkusz 34-35.

[12] Op. cit. — zbiór 393, fascykuł 84, teka 4, arkusz 97.

310

zesłańca. (Nawet *były* zesłaniec niewielkie miał szansę na dobrą pracę: na przeszkodzie stał specjalny stempel w paszporcie).

W 1934 roku, w Kazaniu, jak wspomina P.S-wa, grupa zdesperowanych zesłańców-inteligentów wynajęła się do brukowania ulic. W komendanturze robiono im wymówki: po co te demonstracje? Ale innej pracy nie było i Grzegorz B. wygarnął operowi: „A nie szykujecie czasem jakiegoś *proce-siku!* Bo ostatecznie możemy zgodzić się za wynajętych świadków!".

Trzeba było trząść się nad każdą kruszyną.

Tak nisko upadło rosyjskie polityczne zesłanie! Nie starczało już czasu na spory i pisanie protokołów przeciw cudzym „credo". I już nie turbowali się, co to począć ze zmorą bezczynności. Mieli inną troskę — jak nie zdechnąć z głodu. I żeby nie stoczyć się do roli szpicla.

W pierwszych od razu latach, w kraju, wyzwolonym wreszcie z odwiecznej niewoli, honor i niezawisłość, które cechowały zawsze polityczne zesłanie, sflaczały jak przekłuty balon. Wyszło na jaw, jak iluzoryczna była ta siła, która kazała dawnej

władzy tak się lękać politycznych zesłańców. Okazało się", że źródłem i fundamentem tej siły była jedynie *opinia publiczna.* Zaledwie jednak owa opinia publiczna zastąpiona została przez *opinię zorganizowaną* — zesłańcy — ze wszystkimi swoimi prawami i uroczystymi protestami — stali się bezbronnym łupem tępych, zaplutych czekistów i bezlitosnych instrukcji tajnych (do pierwszych takich instrukcji zdążył przyłożyć rękę i talent komisarz spraw wewnętrznych Dzierżyński). Krzyknąć coś o sobie, żeby na wolności usłyszano, żeby choć jeden jęk ochrypły tam dotarł — nie, teraz to było niemożliwe. Gdy zesłany robotnik posyłał list do fabryki, gdzie pracował, to inny robotnik, który ten list odczytał kolegom (Leningrad, Wasyli Kiriłłowicz Jeroszyn) sam jechał natychmiast na zesłanie. Zesłańcy utracili nie tylko zapomogi i środki materialne, lecz w ogóle wszelkie prawa: aresztowanie zesłańca, wtrącenie do więzienia, wysłanie na etap — wszystko to było dla GPU jeszcze łatwiejsze niż wtedy, gdy ci ludzie uważani byli za wolnych; nic teraz organów ścigania nie krępowało, jakby chodziło o manekiny z gutaperki, a nie o ludzi[13]. Bez trudu mogli im tak dać po łbie, jak np. w Czymkencie: nagle obwieszczono tam, że miasto — i to w ciągu j e d n e j d o b y — traci status miejsca przymusowego osiedlenia. W ciągu doby trzeba było więc: przekazać nie załatwione sprawy w miejscu pracy, opuścić mieszkanie, sprzedać meble

[13] Ci zachodni specjaliści, jak Dawid Meyer, którzy dopiero w 1967 roku doszli do wniosku, że to „wstyd być socjalistami, gdy ZSSR *również* mieni się państwem socjalistycznym", mogli byli chyba dojść do tego wniosku jakieś 40-45 lat wcześniej. Przecież rosyjscy komuniści już wtedy wycinali w pień rosyjskich socjalistów. Ale najlżejsza choroba — to wrzód w cudzym uchu.

311

i statki, spakować się — i ruszyć wyznaczoną marszrutą. Niewiele się to różni od wyruszenia z więzienia na etap! I przyszłość dla zesłańca nie bardziej jest pewna!

Ale tu grało rolę nie tylko milczenie społeczeństwa i nacisk GPU; kim byli sami zesłańcy?, ci rzekomi członkowie nie istniejących partii? Nie mówimy o konstytucyjnych demokratach — kadetów już nie było, wytrzebiono ich ze szczętem — ale co to znaczyło, że ktoś w 1927 albo 1930 roku był uważany za eserowca albo mienszewika? Nigdzie, w całym kraju nie było już ani jednej czynnej grupy, której profil odpowiadałby tej nazwie. Dawno już, od czasów rewolucji, w ciągu wszystkich tych burzliwych lat ich programy polityczne nie ulegały renowacji i zmianom; nawet, gdyby te partie raptem zmartwychwstały — nie wiadomo byłoby, jaki mają mieć stosunek do bieżących wydarzeń i co właściwie mają do zaproponowania? Cała prasa pisała o nich — i to od dawna — tylko w czasie przeszłym — a ocaleli ich członkowie żyli sobie po maleriku ze swoimi rodzinami, pracowali zawodowo i już całkiem zapomnieli o swoich partiach. Ale co raz zapisano na kamiennych tablicach GPU, tego nic nie zmaże. I znienacka — na dany którejś nocy znak — brano te roztargnione króliki za uszy i szlakiem więziennych etapów przerzucano, dajmy na to. do Buchary.

Przyjechał tam w 1930 roku I.W. Stolarow i spotkał ściągniętych ze wszystkich krańców kraju, siwiejących już esdeków i eserowców. Wybici z powszedniej swojej koleiny, cóż innego robić mogli, jeśli nie znów zacząć spory, bawić się w oceny sytuacji politycznej, wysuwać swoje kontrpropozycje — i wróżyć z fusów, jak też potoczyłyby się wypadki, gdyby... gdy-by...

W ten właśnie sposób robiono z tej gromadki — już nie partię, tylko tarczę do przyszłego strzelania.

Do liczniejszych grup należeli na zesłaniu gruzińscy socjaldemokraci i ormiańscy dasznacy (partia „Dasznakeutiuri"), deportowani masowo po zagarnięciu ich republik przez sowieckich komunistów.

Zesłańcy z lat 20. twierdzą, że żywą i bojową partią była w tych czasach żydowska partia syjonistów-socjalistów* ze swoją energiczną przybudówką młodzieżową „Haszomer Hacair" i legalna organizacja „Hechaluc", która utworzyła żydowskie komuny rolnicze na Krymie. W 1926 roku wyaresz-towano całe KC Poale-Syjon, a w 1927 roku niczym nie zrażonych chłopców i dziewczyny 15-16-letnich — zgarnięto z Krymu na zesłanie. Wyekspediowano ich do Turtkula i do innych bardzo niemiłych okolic. To była rzeczywiście partia, co się zowie: solidarna, wytrzymała, przekonana o słu-

Poalej-Syjon Lewica.

,312

szności swoich celów. Tyle, że walczyła ona nie o cele ogólne, tylko swoje, partykularne; żeby żyć, jak żyją inne narody, żyć swoją Palestyną. Jasne, że partia Komunistyczna, dobrowolnie odrzucając ideę *ojczyzny*, nie mogła u innych tolerować wąskiego nacjonalizmu[14]...

Aż po pierwsze lata trzydzieste zachowała się jeszcze wśród zesłańców instytucja pomocy wzajemnej (tak na przykład — eserowcy, esdecy i anarchiści, zesłani do Czymkentu, gdzie o pracę było łatwo, stworzyli tajną kasę samopomocową dla swoich — ale tylko swoich — bezrobotnych towarzyszy zesłanych na północ). Tu i ówdzie organizowano też wspólne gotowanie obiadów czy opiekę nad dziećmi, co naturalnie było powodem do spotkań i wzajemnych odwiedzin. Zesłańcy obchodzili też wspólnie święto 1 maja (demonstracyjnie ignorując rocznicę Października). Ożywiła się też walka o „status politwięźnia" (przez cały okres sowiecki socjaliści jakoś nie mogli zrozumieć, że nie godzi się walczyć o prawa tylko dla siebie i dla swoich — nie zaś dla całego więźniarskiego ludu). Ale w zenicie lat 30. to wszystko też się skończy — nad każdą grupą zesłańców zamruga sępie oko Sektora Operacyjnego. Zesłańcy będą teraz unikać się wzajemnie, aby NKWD nie posądziło ich o zbrodnię „organizacji" i nie zaczęło wrabiać ich na nowo. (A właśnie ten los i tak ich wszystkich czeka). Tak oto — wewnątrz murów zesłania przymusowego — opaszą się oni jeszcze jednym murem dobrowolnego zesłania, skazując się na samotność. (A Stalinowi chwilowo tylko tego od nich trzeba).

Ludność miejscowa też trzymała się z dala, co bardzo osłabiało pozycję zesłańców: każdy kontakt z zesłańcem był pretekstem do prześladowań. Kto utrzymywał z zesłańcami stosunki, sam szedł na zesłanie, a młodzież wyrzucano z komsomołu.

Innym źródłem słabości były nieprzyjazne stosunki między poszczególnymi partiami; ustaliły się te stosunki już po rewolucji i szczególnie zaostrzyły się w połowie lat 20., gdy wśród zesłańców pojawili się w znacznej liczbie trockiści: nikogo poza sobą nie uważali oni za politycznych.

No, ale przecież nie tylko socjaliści szli na zesłanie w latach 20., przeciwnie, większość (i to z każdym rokiem liczniejsza) to wcale nie byli socjaliści.

[14] Zdawało się, że — tak naturalne i szlachetne dążenie syjonistów do odbudowania ojczyzny swoich przodków, odrodzenia wiary i powrotu na swoją ziemię z trzechtysiąclet-niej diaspory, powinno było doczekać się zgodnego poparcia i pomocy przynajmniej ze strony narodów Europy. Co prawda — Krym zamiast Palestyny — to nie całkiem było zgodne z czystą ideą syjonizmu, ale czy Stalin nie naigrawał się, proponując temu śródziemnomorskiemu ludowi, by szukał sobie drugiej Palestyny w tajgach Birobidżanu? A może ten wytrawny znawca sztuki wieloletniego ukrywania swoich zamiarów — swoją dobrotliwą propozycją traktował jako pierwszą przymiarkę masowej deportacji Żydów, zaplanowanej na rok 1953?

313

Napływali zwykli bezpartyjni inteligenci — ci duchowo niezależni ludzie, którzy przeszkadzali w okrzepnięciu nowego reżymu.

I_ *byli ludzie,* niedorżnięci w czasie wojny domowej.

I nawet — młodzi chłopcy „za fokstroty". I spirytyści. I okultyści. I duchowni, zachowujący jeszcze w pierwszych latach prawo do odprawiania nabożeństw. I po prostu ludzie wierzący, zwyczajni chrześcijanie, czyli k r e s t i a n i e, jak wiele wieków temu zaczęto na Rusi zwać gmin wiejski.

I wszystkich miał odtąd na oku tenże Opersektor, wszyscy sta wali. się łupem izolacji i skostnienia.

Obezwładnieni obojętnością społeczeństwa zesłańcy stracili również ochotę do ucieczek. W czasach caratu ucieczki były dla zesłańców wesołym sportem: pięć razy uciekał Stalin, sześć razy Nogin, a groziła im za to nie kula, nie katorga, tylko zwyczajny powrót ciupasem do miejsca zesłania po zajmującej podróży. Ale gnuśniejące, nieruchawe GPU w połowie lat 20. obarczyło zesłańców ciężarem partyjnej odpowiedzialności zbiorowej: wszyscy członkowie danej grupy partyjnej odpowiadają za zbiegłego towarzysza! I tak już brak było tchu, już taki dławiący był ucisk, że socjaliści, niegdyś honorowi i nieustępliwi, udzielili teraz tej poręki! Teraz *sami,* na mocy własnej uchwały partyjnej *zabraniali samym sobie ucieczek]*

Zresztą — dokąd uciekać? Do kogo? Gdzie ten 1 u d, który przy-hołubi zbiega?...

Kuci fachowcy od teoretycznych uzasadnień szybko znaleźli formułę: *nie czas na ucieczki, lepiej zaczekać.* I w ogóle nie *czas na walkę,* też lepiej zaczekać. Nadieżda

Mandelsztam już w pierwszych latach 30. obserwuje wśród czerdyriskich zesłańców — socjalistów, objawy zupełnej rezygnacji z wszelkiego oporu. Więcej — są przeświadczeni, że zagłada jest nieunikniona. I na jedno tylko mają nadzieję: że gdy *wlepią im nowy wyrok*, to obejdzie się przynajmniej bez nowego aresztowania, że pozwolą im *podpisać orzeczenie* tu, na miejscu, że nie zrujnuje to tych skromnych warunków bytowych, jakie udało im się stworzyć. I jedno tylko zadanie moralne sobie stawiają: zachować aż do końca ludzką godność.

Nam, po naszej katordze, gdzie z rozproszonych i rozdeptanych na płask jednostek staliśmy się zwartą całością — dziwne się to wydaje, że socjaliści — z istniejącej już całości, która dowiodła swojej spójności w akcji, przekształcili się w zbiór bezsilnych jednostek. Ale w naszej dzisiejszej epoce życie społeczne wzbiera, dąży do pełni (wdech), podczas gdy za tamtych czasów kurczyło się. podlegało zaciskowi (wydech).

Nie przystoi więc naszej epoce sądzić tamtej.

A ponadto — istniały różne zesłania, co również było źródłern słabości 314
i rozwarstwienia zesłańców. Obowiązywały rozmaite terminy obowiązkowej wymiany dowodów osobistych (dla niektórych — co miesiąc i to z męczącymi procedurami). Starając się nie spaść do niższej kategorii, każdy przestrzegał gorliwie przepisów.

Aż do początku lat 30. zachowała się najłagodniejsza forma: nie zesłanie, lecz minus. Represjonowanemu nie wyznaczano w takim wypadku określonego miejsca pobytu, mógł wybrać sobie, jakie chciał — m i n u s takie to a takie miasta. Ale skoro raz wybrał, już musiał mieszkać tam przez trzy lata. M i n u s o w i e c nie musiał meldować się regularnie w GPU, ale wyjeżdżać z miejsca pobytu — też nie miał prawa. W okresie bezrobocia „giełda pracy" nie dawała „minusowcowi" żadnego zajęcia; jeśli zaś wykombinował sobie jakąś posadę, wywierano nacisk na administrację, by go wydaliła.

*Minus* był rodzajem szpilki: przygważdżało się nią szkodliwe insekty, aby czekały pokornie póki przyjdzie kolej na prawdziwe aresztowanie.

A ponadto — bytowała jeszcze wśród tych ludzi wiara w ten postępowy ustrój, który nie może i nie będzie wiecznie uciekać się do zesłania! Wiara w amnestię, zwłaszcza — w związku ze zbliżającą się promienną, 10 rocznicą Października!

I amnestia nadeszła, amnestia przyszła z hukiem. Czwartą część kary (z trzech lat — 9 miesięcy) darowano zesłańcom, ale też nie wszystkim. Ale jako że dalej rozkładano Wielki Pasjans i że po trzech latach zesłania posyłano facetów na dalsze trzy lata do politizolatorów, a później — szły znowu trzy łata zesłania, więc przyspieszenie tego procesu o 9 miesięcy wcale nie dodawało życiu uroku.

I wreszcie — znowu szło się pod sąd. Anarchista Dymitr Wenediktow, gdy skończyło się jego trzyletnie tobolskie zesłanie (w 1937 roku) aresztowany został na podstawie nie podlegającego dyskusji i bardzo określonego oskarżenia o „rozpowszechnianie pogłosek, że rozpisana będzie nowa pożyczka" (cóż to za p o g ł o s k i, skoro nowa pożyczka zjawia się rokrocznie z regularnością majowych bzów?!...) — „i niezadowolenia z władzy sowieckiej" (przecież

zesłaniec powinien być bardzo zadowolony ze swego losu!). I jak kara spotkała go za tak ohydne przestępstwa? Rozstrzelanie w terminie 72 godzin, przy czym wyrok nie podlegał apelacji! (Jego osierocona córka, Halina, już przewinęła się przez stronice tej książki).

Tak wyglądała instytucja zesłania w pierwszych dniach odzyskanej wolności i takie były perspektywy zupełnego skasowania tego rodzaju kary.

Zesłanie było zabiegiem wstępnym: zganiano w ten sposób owce, które miały iść pod nóż. Zesłańcy w pierwszych dziesięcioleciach sowieckiej his-

315

torii nie byli obywatelami, tylko petentami, czekającymi na wezwanie — w ł a ś n i e tam.

(Zdarzali się mądrale — z kategorii b y ł y c h l u d z i , ale również zwykli chłopi, którzy już w latach 20. przewidzieli wszystko, co później miało się stać. I po odbyciu pierwszej, trzyletniej kary zesłania — woleli na wszelki wypadek zostać na miejscu, na przykład w Archangielsku Czasem udawało im się w ten sposób uniknąć przyszłych obław).

Oto w co się dla nas obróciło zaciszne szuszeńskie zesłanie a także turuchanskie, to z piciem kakao.

Oto czym doprawiono u nas owidiuszową gorycz.

II

## M UŻYCKI POMÓR

W tym rozdziale będzie mowa o drobnostce. O piętnastu milionach dusz.

0 piętnastu milionach istnień.

Oczywiście, chodzi o ludzi niewykształconych. Nie umiejących grać na skrzypcach. Nie mających pojęcia, kim byl Meyerhold. nie wiedzących, jak interesujące jest studiowanie fizyki jądrowej.

W ciągu całej pierwszej wojny światowej straciliśmy trzy miliony ludzi. W rezultacie całej drugiej wojny — dwadzieścia milionów. (Jeśli wierzyć Chruszczowowi. Bo Stalin naliczył tylko siedem milionów. Czy to Nikita był taki szczodry? Czy może Józef nie wiedział, ile mu zostało w kieszeni?). Jakież to ody napisano! Ile obelisków, zniczów! Powieści i poematów! — toć od ćwierćwiecza cała rosyjska literatura wciąż tylko tą krwią się poi.

A o tej milczącej, podstępnej zarazie, która skosiła nam piętnaście milionów muzyków i to biorąc pod uwagę tylko dane *minimalne* pochodzące sprzed 1932 roku! * — i to nie bez wyboru, tylko sam kwiat, sam trzon rosyjskiego ludu o tym Powietrzu Morowym, żadnych książek nie ma. A o 6 milionach zamorzonych wówczas na śmierć — na skutek sztucznie wywołanego przez bolszewików głodu — o tym głucho i w naszej ojczyźnie,

1 w tak bliskiej przecież Europie. Na żyznej Połtawszczyźnie, w siołach, na

drogach i na polach poniewierały się nie pogrzebane trupy. Zarośli obok

* Jest to cyfra pomniejszona, sądząc z mowy Stalina na I Zjeździe Przodujących Kołchoźników. Wykalkulowal on, że na każde 100 chłopskich zagród 4—5 były to gospodarstwa kułackie, a 8—10 należało do wiejskich bogaczy. Sumując te cyfry przekonamy się, że na zniszczenie skazano 12—15% gospodarstw. W 1929 zagród chłopskich w ogóle było jakieś 26 milionów, chłopska zaś rodzina miała wtedy średnio 5 członków, co bogatsza zaś liczyła 6 dusz.

317

stacji kolejowych nie sposób było rozchylić, by nie zemdliło człowieka od woni rozkładających się zwłok, a były wśród nich także niemowlęta. „Puchlina bezproteinowa" — taką diagnozę stawiano tym, którym udało się skonać na progu szpitala. Na Kubaniu było może nawet gorzej. W niejednej białoruskiej miejscowości zmarłych musiały zbierać specjalne kolumny ruchome, bo nie było już we wsi sąsiadów. I żadne fanfary nie grają, abyśmy je z drżeniem wspomnieli. I na rozstajach traktów, tam gdzie skrzypiały tabory, co wiozły ich ku zagładzie — nikt nawet trzech kamieni na pamiątkę nie rzuci. I nasi najznakomitsi humaniści, tak czuli dzisiaj na wszelką niesprawiedliwość, w tamtych latach kiwali tylko głowami z aprobatą: bardzo słusznie!, dobrze im tak!

I działo się to wszystko tak skrycie, i tak to wyskrobano do czysta, i tak dobrze każdy szept zagłuszono, że teraz ja sam, bronić się już musząc przed nawałem relacji od kolegów z obozu: „już dosyć, kochani, już mam całe sterty tych opowieści, już się przelewa!" — o tym chłopskim wygnaniu ani słowa znikąd nie mogę wydobyć. Bo też i kto mógłby nam dziś o tym opowiedzieć?

Tak, wiem ja dobrze, że tu nie jednego rozdziału potrzeba, ani jakiejś tam książki przez jednego człowieka napisanej. A tymczasem tego jednego rozdziału nie mogę opracować tak, jakby to się należało.

Ale zaczynam, mimo wszystko. Stawiam te litery jak pierwszy karb, odwalam jak pierwszą skibę, rzucam jak te pierwsze kamienie — żeby tylko oznaczyć miejsce, na którym będzie przecież kiedyś odbudowana nowa świątynia Zbawiciela.

Od czego to wszystko się zaczęło? Czy na początku był dogmat, wedle którego chłopstwo — to *drobnomieszczaństwcf!* (A któż u nich nie należy do „drobnomieszczaństwa"? Wedle ich schematu, tak wspaniale przejrzystego, prócz robotników fabrycznych, też zresztą — tylko niewykwalifikowanych oraz prócz wielkich przedsiębiorstw — wszyscy pozostali, cały właściwie naród, bo i chłopi, i urzędnicy, i artyści, i lotnicy, i profesorowie, i studenci, i lekarze, słowem wszyscy należą właśnie do „drobnomieszczaństwa"). Czy może u źródła była rozbójnicza rachuba władzy: jednych ograbić, a innych zastraszyć? Z ostatnich listów Korolenki do Gorkiego z 1921 roku, kiedy to ten pierwszy jeszcze wegetował, a ten drugi jeszcze nie wyemigrował, dowiadujemy się, że ta bandycka operacja wymierzona w chłopstwo zaczęła się już *wtedy* i realizowana była w ten sam prawie sposób co w 1930 roku. (Z biegiem lat coraz więcej o tym wiemy).

Ale jeszcze wtedy ręce były za krótkie — i trzeba było cofnąć się, ustąpić.

Jednakże plan zawsze tkwił w pamięci i przez całe lata dwudzieste roz-

318

legały się szyderstwa, wyrzuty i wyzwiska: kułak! kułak! kułak! Mieszkańcy miast przyzwyczaili się do myśli, że nie sposób żyć z „kułakiem" w jednym kraju.

Morderczy pomór chłopski, istna dżuma, zaczął się, jeśli wolno sądzić, w listopadzie 1928 roku. Sekretarz północnokaukazkiego krajkomu, And-rejew wygłosił referat, po którym KC WKP(b) zakazał kołchozom przyjmowania bogatych chłopów („kułaków") — i w ten sposób zostali oni już odseparowani i wytypowani do likwidacji. Decyzja ta potwierdzona została uchwałą z lipca 1929 roku. Już wtedy sporządzono śmiercionośne listy, rozpoczęły się konfiskaty i wysiedlenia. Ale dopiero na początku 1930 roku, to co już się działo (i co przeszło przez stadium prób oraz docierania) zostało usankcjonowane publicznie — mowa o uchwale KC WKP(b) z 5 stycznia (partia ma „wszelkie podstawy do przejścia w swojej działalności praktycznej od polityki hamowania i ograniczania eksploatatorskich tendencji kułactwa — do polityki likwidacji kułactwa jako klasy". 1 od razu też *zakazano* przyjmowania kułaków do kołchozów. Kto dziś potrafi wyjaśnić logicznie — dlaczego właściwie?).

Nie pozostał w tyle za KC również posłuszny i zawsze zgodliwy CIK oraz Sownarkom — i 1 lutego 1930 roku wola partii stała się formalnie obowiązującym prawem. Obwodowym i okręgowym komitetom wykonawczym zlecono „wprowadzenie w życie wszystkich niezbędnych sankcji dla walki z kułactwem, aż do (a tylko to maksimum wchodziło w grę) całkowitej konfiskaty dobytku kułaków oraz wysiedlenia ich poza obszar danego rejonu czy okręgu".

Dopiero w ostatnich słowach tej formułki widać, że naszemu Rzeźnikowi coś w rodzaju wstydu nie pozwalało wyrażać się zbyt jasno. *Z jakich obszarów* — to powiedział. Ale nie powiedział — *do jakich.* Jakiś naiwniak mógłby pomyśleć, że wysiedlić ich mają o trzydzieści wiorst, do sąsiedniego powiatu...

W Przodującej Doktrynie nie było jakoś mowy o tak zwanych *podkuła-cznikach.* Ale z samego rozmachu kosy widać było, że nie obejdzie się bez wprowadzenia tej postaci. Już mówiliśmy — czym to słowo pachniało. Kiedy na przykład ogłaszano „zbiórkę tary" i smarkaci pionierzy chodzili od jednej chłopskiej chaty do drugiej, aby zbierać worki na potrzeby ubogiego naszego państwa, a ktoś nie oddał, bo żal się zrobiło ostatniego wora (w sklepie ich przecież nie ma) — od razu ów ktoś zostawał podkułacz-nikiem. I jazda na zesłanie.

I rozeszły się echem te przezwiska po całej Sowieckiej Rusi, której nozdrza nie ostygły jeszcze od krwawych oparów wojny domowej! Spuszczono ze smyczy te słowa, które nic nie wyjaśniały ale były zrozumiałe, dawały

319

rzeczom miano tak proste, że już wcale nie trzeba było się zastanawiać. Znów nabrało mocy dzikie (a moim zdaniem wcale nawet nie rosyjskie: bo i gdzie przykłady w rosyjskiej historii?) prawo wojny domowej: dziesięciu za jednego!, stu

za jednego! Za jednego zabitego w obronie własnej *aktywistę* (przy tym najczęściej — nieroba, pyskacza. A.J. Oleniew, zresztą nie on jeden, stwierdza we wspomnieniach: akcji odkułaczania przewodzili złodzieje i pijacy) spotykała zagłada setki najbardziej pracowitych, gospodarnych, roztropnych chłopów, tych właśnie, którzy byli ostoją rosyjskiego narodu.

Co? Co znowu?! — słyszę krzyki. A *wiejscy bogacze?* Lichwiarze i wyzyskiwacze własnych sąsiadów? „Masz tu pożyczkę, a jak nie oddasz, to siódmą skórę zedrę"?!

Owszem pewną drobną część tej masy stanowili również tacy chłopi (czy aby wszyscy?). Zapytajmy tylko: czy byli wyzyskiwaczami z urodzenia, z natury? Czy taka i tylko taka była ich istotą? Czy raczej dlatego, że jest w naturze wszelkiego bogactwa (i wszelkiej władzy), że naturę ludzką psuje? O, gdyby tak prostą rzeczą było czyszczenie z brudu ludzkości albo jakiejś jej warstwy! Ale skoro żelaznym, gęstym grzebieniem tak dokładnie o c z y s z c z o n o chłopstwo z tych bogaczy bez serca, nie żałując całych piętnastu milionów, to skąd w naszej współczesnej wsi ci wszyscy niedobrzy, brzuchaci faceci o czerwonych pyskach, sprawujący w niej (i w komitetach rejonowych) władzę? Ci niemiłosierni ciemiężyciele samotnych staruch i wszystkich w ogóle, którzy nie mają poparcia? Jak to się stało, że przy ,,rozkułaczaniu" nie wykarczowano chciwych korzeni tych ziółek? Rety, czy aby nie jest to potomstwo owych „aktywistów"?...

Ten, kto miał za sobą szkołę grabienia banków, nie mógł myśleć o chłopach tak, jak myśli brat czy gospodarz. Dał tylko znak zbójeckim gwizdem — i jego ludzie zapędzili w tajgę i tundry miliony strudzonych *chleborobów,* o zgrubiałych od pracy rękach, tych, którzy ustanowili władzę sowiecką po to właśnie, aby dostać ziemię, a gdy ją dostali — szybko chcieli wrosnąć w nią obiema nogami („Ziemia należy do tych, którzy na niej pracują").

Jak można mleć ozorem o jakichś „bogaczach wiejskich" jeśli stanice kubańskie, na przykład — Urupińską — wysiedlono caluteńką bez wyjątku, od starców do noworodków (osiedlając na jej terenach zdemobilizowanych żołnierzy)? Tu widać dopiero „zasadę klasową" w całej okazałości, prawda? (Przypomnijmy, że właśnie Kubań prawie wcale nie poparł białych podczas wojny domowej, że pierwszy rozpoczął dywersję na tyłach Denikina, szukając porozumienia z czerwonymi.* I nagle — „kubański

* Trzon Pierwszej Konnej Armii Siemiona Budionnego, opisanej przez Babla, stanowili właśnie Kubańscy Kozacy.

320

sabotaż"?). A znane, jak Archipelag długi i szeroki, sioło Dolinka, kwitnący ośrodek rolniczy, skąd się wzięło? W 1929 roku w s z y s c y jego mieszkańcy (Niemcy) zostali „rozkułaczeni" i wywiezieni. Kto tam kogo eksploatował — nikt nie potrafi zrozumieć.

„Odkułaczanie" jako zasada nabiera szczególnej wyrazistości, jeśli przyjrzeć się, jak wpływa na losy dziecka. Przykładem Szurka Dmitrijew ze wsi Maslieno (Seliszczeńskie Kasarnie pod Wołchowem). W 1925 roku, po śmierci swojego ojca

Fiodora, został sam jeden na gospodarstwie. Miał 13 lat, reszta rodzeństwa to były dziewczynki. Któż miał podjąć się gospodarowania, jeśli nie on? Więc się podjął. I siostrzyczki, i matka uznały go za głowę rodziny. Teraz, jako pracujący chłop, witał się na ulicy z dorosłymi jak równy z równymi. Dał sobie radę i poszedł śladem ojca tak, że w 1929 roku miał sąsieki pełne ziarna. No i uznano go za kułaka! Całą rodzinę deportowano!...

Adamowa-Sliozberg przytacza wzruszającą opowieść o swoim spotkaniu z dziewczynką imieniem Motia, którą wpakowano w 1935 roku do więzienia za to, że bez pozwolenia przemaszerowała piechotką *dwa tysiące kilometrów]* — toż za to należy się medal olimpijski! — z miejsca zesłania na Uralu do swojej wsi rodzinnej Swietłowidowo, pod Tarusą. Chodziła jeszcze do szkoły powszechnej, gdy w 1929 roku zesłano ją razem z rodzicami, co na zawsze odebrało jej możliwości dalszej nauki. Nauczycielka pieszczotliwie nazywała ją Motia-Edisonik: dziewczynka nie tylko doskonale się uczyła, lecz nadto miała zdolności wynalazcze, sporządziła jakąś turbinkę nad strumyczkiem i wymyśliła wiele innych przyrządów do gabinetu szkolnego. Po siedmiu latach zesłania poczuła przemożną chęć, aby zerknąć choćby na drewniane ściany tej niedościgłej szkoły — i dali jej za to więzienie i obóz.

Pokażcie mi w XIX wieku przykład takich losów dziecka!

Ofiarą odkułaczania stawał się obowiązkowo każdy *młynarz* — a kim byli młynarze i kowale, jeśli nie głównymi technikami rosyjskiej wsi? Ot, weźmy młynarza Prokopa Iwanowicza Łaktiunkina z Pieńków pod Riaza-niem. Ledwie tylko został „rozkułaczony" — gdy w jego starym młynie nowi rządcy zacisnęli za mocno żarna i młyn spłonął. Po wojnie, gdy już mu jego grzechy darowano, wrócił on do wsi rodzinnej i w żaden sposób nie mógł pogodzić się z brakiem młyna. Łaktiunkin po długich prośbach uzyskał zgodę, sam odlał żarna i na tym samym (koniecznie na tym samym!) miejscu zbudował młyn — wcale nie dla jakichś swoich korzyści, tylko dla kołchozu, a może bardziej jeszcze — po to, aby rodzinną wieś przyozdobić.

A tu mamy wiejskiego *kowala*, zaraz zobaczymy co to za kułak. Albo

321

lepiej _nasamprzód parę słów o jego ojcu, jak to lubią robić w oddziale kadr Ojciec jego, Gordiej Wasiliewicz, 25 lat służył w warszawskiej cytadeli i wysłużył sobie, jak powiadają, tylko tyle srebra, ile na guzikach: żołnierz, który szedł do szeregów na ćwierć wieku tracił prawo do swojej części ojcowskiego gruntu. W czasie służby pojął za żonę żołnierską córkę, po przejściu do cywila przyjechał zatem do żoninej wsi rodzinnej, Barsuki, w powiecie Kraśnieńskim. Przy powitaniu nowi sąsiedzi go spili i połową swoich sołdackich oszczędności zapłacił on za całą wieś zaległe podatki. Za drugą połowę wziął w dzierżawę młyn u dziedzica, ale szybko stracił na tej transakcji również pozostałe pieniądze. I całą długą starość spędził jako pastuch i stróż nocny. Miał sześć córek i wszystkie powydawał za biednych chłopaków. Miał też jedynego syna imieniem Trifon (a po nazwisku wołali go Twardowski). Chłopiec oddany został do terminu, usługiwał w sklepie galanteryjnym, ale uciekł do Barsuków i zgodził się do kowalów Mołcza-nowów —

na rok za bezpłatnego parobka, a na cztery lata za terminatora. Po tych czterech latach został majstrem i postawił sobie chatę we wsi Zagorie, gdzie też się ożenił. Miał siedmioro dzieci (wśród nich — poetę Aleksandra), ale kuźnia majątku nie daje. Pomagał ojcu starszy syn, Konstanty. Od świtu do nocy kuli i topili żelazo — i potrafili dziennie wykuć pięć znakomitych toporów, ale kowale z Rosławla mieli prasy, najemnych robotników i psuli im ceny. Kuźnia Twardowskich była więc do samego 1929 roku drewniana, konia mieli jednego, czasem stała w oborze krowa z cieliczką, czasem — ani krowy, ani cieliczki, a jeszcze mieli osiem jabłonek. Tacy z nich byli bogacze wiejscy i krwiopijcy. Bank Ziemski sprzedawał chłopom na raty zastawione grunta. Trifon Twardowski kupił jedenaście dziesięcin nieużytków, całych zarosłych kierzem i tę właśnie jałową ziemię karczowali oni własnymi siłami aż do samego roku Pomoru. Pięć dziesięcin zdążyli wykarczować, resztę zostawili — całą jeszcze w zaroślach. Przy odkułaczaniu padł wybór na nich — w całej wsi piętnaście gospodarstw — a kogoś przecież trzeba! Wymierzono im niesłychany domiar przez tę kuźnię, obłożono podatkami ponad siły, a gdy nie dali rady zapłacić w terminie — to ruszaj w drogę, precz stąd kułackie nasienie!

Kto miał dom murowany, kiedy dokoła stały drewniane, albo piętrowy wśród parterowych — ten zaraz był kułakiem. Zbieraj się, łajdaku, masz godzinę czasu! Na rosyjskiej wsi nie powinno być murowanych domów, nie trzeba nam piętrowych! Z powrotem do jaskini! Do kurnej chaty! To nasza wspaniała koncepcja przemiany, niczego podobnego jeszcze nie było w całych dziejach.

Ale najważniejsza tajemnica jeszcze nie na tym polega. Czasem nawet ten, co był od innych bogatszy, mógł zostać, jeśli szybko zdołał wstąpić do

322

kołchozu, ale uparty mizerota, który nie złożył podania — podlegał deportacji.

To bardzo ważne, to właśnie najważniejsze! Nie chodziło o żadne „od-kułaczanie", tylko o wpychanie ludzi przemocą do kołchozów. Nie sposób było inaczej, niż pod presją śmiertelnego strachu wyrwać chłopom ziemię, którą dała im rewolucja — i przypisać ich do tej samej ziemi jako pańszczyźnianych.

To była druga wojna domowa — tym razem przeciw chłopom. To był Wielki Przełom, tylko nikt nie mówi — *co* przełamano?

Przełamano Rosji kręgosłup. Przetrącono go.

Nie, oczerniliśmy niesłusznie literaturę socrealizmu, zgrzeszyliśmy wobec niej — opisane jest w niej odkułaczanie, oj, opisane, bardzo gładko opisane — i z wielką sympatią, jako polowanie na wilki o wyszczerzonych kłach.

Tylko nikt tam nie opisuje długiej wsi — ulicówki, w której wszystkie okna po kolei zabite są deskami. Albo — jak idziesz przez wieś i widzisz na ganku martwą kobietę z martwym dzieckiem na kolanach. Albo siedzącego pod płotem starca, co prosi o kawałek chleba, a gdy wracasz tą samą drogą, widzisz, że leży już martwy.

I takiego obrazka też w tych książkach nie znajdziemy: przewodniczący rady wiejskiej z nauczycielką, co ma być za świadka, wchodzi do chaty, gdzie na

zapiecku leży starzec ze staruszką (ten stary podawał dawniej podróżnym herbatę z samowara — no, czy to nie krwiopijca?, bo i komu potrzebna gorąca herbata?) i potrząsa naganem: „Złazić mi tu zaraz, ty wilku tambowski!". Starucha w płacz, więc przewodniczący, żeby popamiętali, strzela w powałę (jak w chacie, to huk bywa spory). W drodze oboje tych starych umarło.

Tym bardziej nie znajdziemy opisu takiego oto sposobu odkułaczenia: wszystkich Kozaków (w stanicy nad Donem) zwoływano „na zebranie", gdy przychodzili — otaczano ich (cekaemy były w pogotowiu), wszystkich zabierano i wysyłano precz. A z wysiedlaniem bab — już później żadnego zachodu nie było.

Chętnie nam opiszą i nawet w kinie pokażą całe spichrze albo doły pełne ziarna, ukrytego przez wiejskich krwiopijców. Nie pokażą nam tylko tej garści dobytku, tego co własne i bliższe ciału niż koszula — bydełka, podwórka, kuchennych statków — wszystkiego, co kazano zostawić płaczącej babie*. (Gdy ktoś z rodziny ocaleje i uda mu się wszcząć starania, i Mos-

* Jedyny taki opis dal Izaak Babel w opowiadaniu *Koływuszka* z 1931 roku, patrz: *Utwory odnalezione,* Czytelnik, Warszawa 1971. (przyp. tłum.).

323

kwa w końcu ^uzna" rodzinę za średniacką — to już po powrocie nie znajdą oni tego swojego średniackiego dobytku: wszystko już rozkradzione przez *aktywistów* i aktywne ich baby).

Nie pokażą nam tylko tych mizernych tobołków, z którymi pozwalają rodzinie wleźć na wóz, co go przysłały władze. Nie dowiemy się, że w domu Twardowskich w tej ciężkiej chwili nie było ani kawałka słoniny, ani nawet chleba i że uratował ich sąsiad, Kuźnia, też niebogaty, też obarczony liczną rodziną — co im przyniósł parę kęsów na drogę.

Kto zdążył — ten uciekł przed pomorem do miasta. Czasem nawet z koniem — ale nie sposób było znaleźć wtedy kupca na konia: również ten konik chłopski stał się jak zaraza — typowym kułackim znamieniem. Więc w końcu na końskim rynku gospodarz przywiązywał szkapę, klepał po chrapach ostatni raz — i odchodził szybko, póki kto nie zauważył.

Uważa się powszechnie, że to Morowe Powietrze przypadło na lata 1929-1930. Ale trupi cuch długo jeszcze unosił się nad wsią..Na Kubaniu w 1932 roku wymłócone ziarno — aż do ostatniej szczypty, natychmiast spod cepów odwożono do państwowych spichrzy, a kołchoźnicy żywieni byli tylko tak długo, jak długo trwały żniwa i młocka. Gdy młocka się skończyła — przestano im dowozić gorącą strawę w pole, a za dniówki nie dawano ani ziarenka. Gdy baby podniosły krzyk — jaki był na nie najlepszy sposób? — Kogośmy tu jeszcze przeoczyli? *Kto tu kułaki* Kogo tu jeszcze zesłać? (Jaka była sytuacja uwolnionej od kułaków wsi, gdy kołchozy stawiały pierwsze kroki — dowiadujemy się od Skrypnikowej: w roku 1930, w jej przytomności niektóre chłopki posyłały z *Wysp Solawieckich* paczki żywnościowe z czarnymi sucharami do swojej wsi rodzinnej!).

Oto historia Timofieja Pawłowicza Owczynnikowa. urodzonego w 1886 roku we wsi Kiszkino, okręgu Michniewskiego (ręką podać do Górek Leninowskich, przy tym samym gościńcu). Wojował przez całą wojnę niemiecką, wojował podczas domowej. Wojna się skończyła, wrócił na wieś, dostał ziemię z dekretu, ożenił się. Zmyślny, piśmienny, bywały, złote ręce. Znał się trochę na weterynarii, bo samouk, znany z uczynności w całej okolicy. Pracując bez ustanku pobudował sobie przyzwoity dom, założył ogród, wyhodował od źrebięcia pięknego konia. Ale NEP zawrócił mu w głowie, coś go skusiło, żeby uwierzyć w ten NEP, jak uwierzył był w dekret o ziemi — i do spółki z jeszcze jednym chłopem założył malutką, chałupniczą wytwórnię tanich kiełbas. (Teraz, kiedy wieś czterdzieści już lat nie widziała kiełbasy, człowiek tylko w głowę się drapie: i co w tym było złego?). Wyrabiali te kiszki sami, bez żadnych parobków, co więcej, sprzedawali je też przez sieć spółdzielczą. Pracowali tak całej parady dwa lata,

324

od 1925 do 1927 roku. Tu zaczęły się nieznośne domiary, obliczane według rzekomych szalonych zarobków (cyfry brali z sufitu inspektorzy z wydziału finansowego, taka to służba, ale jeszcze pełne uszy podpowiadali im wiejscy zawistnicy, nygusy na nic niezdatne, chyba na to żeby zostać *aktywistami*. Więc nasi wspólnicy zamknęli swoją kiełbasiarnię. W 1929 roku Timofiej wstąpił jako jeden z pierwszych do kołchozu, przyprowadził tam swojego dobrego konia, swoją krowę, oddał cały inwentarz. Całą duszą oddany pracy dla kołchozu, zdołał jeszcze wyhodować dwa rozpłodowe byczki dla wspólnego gospodarstwa. Kołchoz jednak rozlatywał się i wielu kołchoźników już z niego pouciekało — ale Timofiej miał pięcioro dzieci, nie tak . łatwo ruszyć się z miejsca. W pamiętliwym wydziale finansowym wciąż jednak zapisany był jako bogacz wiejski (również za tę pomoc, którą ludziom świadczył jako konował), więc choć był już kołchoźnikiem, wciąż go gnębili nieznośnymi podatkami. Nie miał czym płacić, tedy zajęli mu wszystko, co miał w domu; trzy ostatnie owieczki jedenastoletni synek zdołał któregoś razu cichcem wyprowadzić komornikowi sprzed nosa, ale następnym razem zabrano je także. Gdy przyszli, żeby zrobić ostatnie zajęcie — niczego już nie było w podupadłym domu, więc bezwstydni inspektorzy zajęli fikusy w doniczkach. Tego Timofiej nie mógł już znieść — więc zrąbał te fikusy siekierką w obecności komorników. Aha, tu cię mamy, patrzaj, cóżeś zrobił: 1) zniszczyłeś dobytek należący już nie do ciebie, ale do państwa; 2) uprawiałeś tą siekierką agitację przeciw władzy sowieckiej; 3) dyskredytowałeś system kołchozów.

A system kołchozów we wsi Kiszkino już cały trzeszczał, nikt już nie chciał pracować, nie wierzył, że to coś da, połowa ludzi uciekła, więc koniecznie trzeba było kogoś przykładnie ukarać! Zaciekły nepman, Timofiej Owczynnikow, który wtrynił się do kołchozu tylko po to, by go rozsadzić, został teraz nareszcie rozkułaczony decyzją przewodniczącego rady wiejskiej Szokołowa. Był już rok 1932, deportacje masowe już się skończyły, więc żony z sześciorgiem dzieci (jedno

przy piersi) nie zesłano, lecz tylko wyrzucono na ulicę ze skonfiskowanego domu. (Na własny już rachunek cały rok wędrowali do ojca, do Archangielska'. W rodzinie Owczynniko-

[1] Może to nie temat, ale rzuci trochę światła na epokę: po jakimś czasie również w Ar-changielsku Timofiej dostał pracę w s p e c j a l n e j wytwórni kiełbas. Też tam pracowało się we dwójkę, ale nad głową mieli pana kierownika. Własną kiełbasiarnię Timofieja *zamknięto* — jako przynoszącą szkodę ludowi pracującemu. Drzwi zaś tej kiełbasiarni były *zamknięte* dla ludu pracującego, żeby się kto nie dowiedział, że wyrabiają tam drogie gatunki kiełbas na stoły wielkorządców tego północnego kraju. Nieraz Timofiej sam odnosił wyroby do willi — otoczonej wysokim parkanem — sekretarza komitetu okręgowego, towarzysza Austrina (róg Liebknechta i Czumbarowa-Łuczynskiego) oraz do mieszkania naczelnika delegatury okręgowej NKWD, towarzysza Szejrona.

325

wów wszyscy żyli po osiemdziesiąt lat, ale Timofiej po takim życiu wyciągnął nogi, gdy mu stuknął 53. rok).

Jeszcze w 1935 roku podczas Wielkiejnocy po zrujnowanej wsi chodzi pijana góra kołchozowa i żąda pieniędzy na wódkę od i n d y w i d u a l n y c h gospodarzy. „A jak nie dasz — to na zesłanie pojedziesz!". I pojedziesz! Siedzisz przecież na swoim, nie w kołchozie. Na tym polega Wielki Przełom.

A samej drogi, owej drogi krzyżowej — tego już socrealiści w ogóle nie opisują. Załadowali, krzyż na drogę — i koniec pieśni, i trzy gwiazdki na zakończenie epizodu.

A ładowano ich tak: dobrze, jeśli pora była letnia, to na fury, a jak nie — to na sanie w trzaskające mrozy — z niemowlętami przy piersi, z całym drobiazgiem i niedorosłymi dziećmi. Przez wieś Koczeniewo (okręg nowosybirski) w lutym 1931 roku, kiedy mrozy i śnieżne zawieje ani na chwilę nie ustępowały — ciągnęły, ciągnęły i ciągnęły te nieskończone tabory w otoczeniu zbrojnego konwoju, wynurzając się ze śnieżycy i ginąc w śnieżnej dali. Żeby wejść do chaty i ogrzać się — na to trzeba było zezwolenia konwojentów, dawano je tylko na krótką chwilę, aby nie zatrzymywać karawany. (Ci konwojenci z GPU — przecież żyją dotąd, przecież są na rencie! Przecież mają czas na wspominki! A może nic nie pamiętają...).

Ciągnęli wszyscy w stronę narymskich bagien — i w bezdennych tych bagnach wszyscy zostali. Ale przedtem, jeszcze w czasie tej strasznej drogi, wymierały dzieci.

Na tym polegało całe zamierzenie, żeby to mużyckie nasienie wyginęło razem z dorosłymi. Gdy nie stało już Heroda — dopiero Przodująca Doktryna potrafiła nam pokazać, jak to się robi, żeby wytrzebić wszystkich, aż do noworodków włącznie. Hitler był tylko terminatorem w tym rzemiośle, ale miał szczęście: jego komory gazowe zostały tak opisane, że zna je cały świat, nasze zaś — niczyjej ciekawości nie budzą.

Chłopi wiedzieli co ich czeka. I jeśli taki fart im się zdarzył, że wieziono ich eszelonami przez okolice zamieszkane, to swoje małe dzieci, ale już umiejące

chodzić, wyrzucali przez okienka na przystankach: idźcie w świat o zebranym chlebie! Proście jałmużny — bylebyście razem z nami nie wyginęły.

(W Archangielsku w głodowych latach 1932-33 cierpiącym nędzę dzieciom specprzesiedlericów nie wydawano bezpłatnych szkolnych śniadań ani talonów na odzież, podczas gdy inni byli dożywiani).

W tym eszelonie znad Donu, którym jechały kobiety oddzielone od Kozaków wziętych „na zebraniu", pewna baba urodziła w drodze dziecko.

326

Dawano im po szklance wody dziennie i po trzysta gramów chleba, ale to już nie każdego dnia. Felczer? — ani mowy. Matce zabrakło mleka i dziecko umarło w drodze. Gdzież tu je pochować? Dwaj konwojenci wsiedli do tego wagonu między jednym przystankiem a drugim i wyrzucili trupka.

(Ten transport przywieziono na Wielką Budowę, do Magnitogorska. Mężów też tam przywieźli; kop ziemiankę. Kozacze! Poczynając od Magnitogorska nasi bardowie już zabrali się do o d z w i e r c i e d l a n i a ) .

Rodzinę Twardowskich wieziono podwodami tylko do Jelni. Na szczęście był już kwiecień. Tam załadowano ich do wagonów towarowych. Wagony zaryglowano, a kubłów do chodzenia za potrzebą nie-dano i żadnych dziur w podłodze nie było. Ryzykując karę albo nawet wyrok za próbę ucieczki, Konstanty Trifonowicz wyciął kuchennym nożem otwór w podłodze — w czasie biegu pociągu, żeby hałas nie zwrócił uwagi. Raz na trzy dni, na stacjach węzłowych przynoszono zupę w wiadrach; to było wszystko, co im dawano do jedzenia. Co prawda wieziono ich (do stacji Lala na północnym Uralu) wszystkiego dziesięć dni. A tam — zima była jeszcze na dworze; na spotkanie eszelonu przyjechały setki sań i po zamarzłej rzece zawiozły ich w głąb lasu. Stał tam barak dla flisaków na jakichś dwadziestu ludzi. Przywieziono zaś ponad pół tysiąca i wieczór już zapadł. Po śniegu uwijał się komendant, komsomolec z Permu, Sorokin i pokazywał, gdzie wbijać kołki: o, tu będzie ulica, tu zbuduje się domy. Tak założono osadę Parcza.

Aż trudno uwierzyć w takie okrucieństwo: żeby zimowym wieczorem powiedziano ludziom zwiezionym do tajgi: tu macie żyć! Jak może c z ł o w i e k zrobić coś podobnego? Ale przecież wieźli ci ich przez cały dzień, no to przyjechali pod wieczór — i tyle. Setki i setki tysięcy właśnie tak zwożono i zostawiano na łasce losu — ze starcami, kobietami i dziećmi włącznie. A na półwyspie Kola (Apatyty) przez całą zimową noc polarną, wiele miesięcy ludzie gnieździli się w zwyczajnych namiotach przysypanych śniegiem. Ale czy bardziej miłosiernie postąpiono przywożąc Niemców znad Wołgi latem 1931 roku (31., nie 41., to nie omyłka!) kolejowymi eszelonami w samo serce bezwodnego stepu za Karaganda — każąc im kopać ziemię i budować domy, a wodę wydając po garnuszku? Zresztą, tam też w końcu nadeszła zima. (Na wiosnę 1932 roku starcy i dzieci z tego transportu już wymarły — biegunka, **dystrofia).** W samej Karagandzie, jak w Magnitogorsku — budowano długie, niskie ziemianki na hotele robotnicze — podobne do magazynów na ogrodowiznę. Nad Kanałem Biało-morskim kazano mieszkać osiedleńcom w

opustoszałych już barakach obozowych. A na budowę kanału Wołga-Moskwa — tuż obok stolicy, w Chi-rnkach! zwożono ich jeszcze p r z e d założeniem obozu, zaledwie tylko

327

skończono pomiary hydrograficzne. Wyrzucano ich z wagonów na gołą ziemię, kazano kuć grunt oskardami i wozić taczki (w gazetach czytaliśmy: „Na budowę kanału przywieziono maszyny"). Chleba nie było; kopać dla siebie ziemianki mieszkalne wolno było tylko po fajrancie. (Teraz miesz kańcy Moskwy jeżdżą tam na wycieczki spacerowymi statkami. Kości na dnie, kości — w ziemi, kości — w betonie).

Gdy nadeszła Mużycka Dżuma w 1929 roku, w Archangielsku zamknięto wszystkie cerkwie: bo też i tak miano je zamknąć, a tu okazało się, że jest realna przyczyna: trzeba gdzieś ulokować „rozkułaczonych". Zesłane chłopstwo płynęło przez Archangielsk wielkimi falami i na jakiś czas cale miasto stało się niejako jednym ogromnym zborniakiem. W cerkwiach wybudowano wielopiętrowe nary, tylko nie było żadnego ogrzewania. Na dworcu opróżniano jeden bydlęcy eszelon po drugim i wśród psiego ujadania szły zastępy posępnych muzyków w łykowych łapciach na te swoje cerkiewne posłania. (Chłopiec Sz. zapamiętał sobie pewnego muzyka, który szedł z chomątem na karku: w pośpiechu, przed nagłym odjazdem, zabrał to, co mu się wydawało najważniejsze. Ktoś inny niósł gramofon z tubą. Operatorzy filmowi — to jest temat!...). W cerkwi Wniebowstąpienia oś-miopiętrowe nary nie umocowane do ścian runęły w nocy pod ciężarem ciał i wiele było ofiar wśród leżących tam rodzin. Gdy rozległy się krzyki bólu i strachu — ściągnięto pod cerkiew wojsko.

Tak oto żyli oni tej zimy pomoru. Nie myli się. Ciała ropiały. Zaczął się dur plamisty. Marli gromadnie. Ale obywatelom Archangielska rozkazano surowo: nie wolno okazywać pomocy *specprzesiedleńcom,* bo tak nazywano oficjalnie zesłanych! Ledwie żywi chłopi snuli się po mieście, ale nie wolno było wpuścić do domu żadnego z nich ani nakarmić, ani nawet wynieść mu przed bramę szklanki herbaty: za takie wykroczenia zabierała miejscowych obywateli milicja i odbierała im paszporty. Kuśtyka głodny chłop przez ulicę, potknął się, upadł — i już nie żyje. Ale nawet takich nie wolno było podnosić (smyrgali po mieście agenci wypatrując, kto zesłanym okazuje litość). W tym samym czasie podmiejskich ogrodników i hodowców także wysyłano spod Archangielska c a ł y m i w s i a m i, jak zgrzebłem wyczesał (znów zapytajmy: kto tam kogo wyzyskiwał?) i obywatele miejscy drżeli już, aby ich też nie zesłano. Bali się nawet zatrzymać i pochylić nad trupem (jeden leżał obok GPU, więc nikt go nie zabrał). Bo chowano ich w sposób *zorganizowany,* robiło to przedsiębiorstwo miejskie. Rzecz jasna, chowani byli bez trumien, w grobach masowych, obok starego cmentarza miejskiego na ulicy Wołogodzkiej — już w otwartym polu. I żadnych nagrobków tam nie postawiono.

A wszystko to było dla naszych rolników dopiero etapem.

328

Za wsią Tałagi był jeszcze dla nich wielki obóz i niektórych brano stam-, tąd do ładowania drewna. Aż któryś wpadł na pomysł, aby napisać na belce list za granicę (no i ucz tu chłopów pisania!) — więc już ich do tej roboty nie brali. Szlak ich prowadził znacznie dalej — na Onegę, na Piniegę i w górę rzeki Dźwiny Północnej.

Żartowaliśmy sobie w obozie, że dalej niż na słońce nie poślą. Jednakże tych chłopów posyłano jeszcze dalej, tam gdzie długo nie będzie nawet dachu, pod którym można by zapalić łuczywo.

Od wszystkich poprzednich i wszystkich następnych sowieckich deportacji masowe zesłanie chłopów tym się różniło, że wysyłano ich nie do żadnego miejsca zamieszkanego, a choćby odwiedzanego przez ludzi — tylko między dzikie zwierzęta, w puszczę, tam gdzie trzeba było wracać do warunków prehistorycznych. Nawet gorzej. W okresie pierwotnym nasi przodkowie wybierali sobie miejsca na osadę przynajmniej jak najbliżej wody. Jak długo ludzkość istnieje — nikt jeszcze nie budował inaczej. Ale dla *specosiedli* czekiści wybierali miejsca (a sami chłopi nie mieli prawa wyboru!) położone na kamiennych zboczach (na przykład nad rzeką Pinie-gą, sto metrów nad lustrem wody, gdzie nie można dokopać się do żadnych źródeł i nic na tej glebie wyrosnąć nie może). Trzy-cztery kilometry stamtąd było dobre miejsce z ujęciem wody — ale skąd, instrukcje nie pozwalały zakładać tu osady! Łąki dla sianokosów wyznaczano o dziesiątki kilometrów od osady i siano trzeba było przywozić czółnami. Czasami *zabraniali siać zboże,* dosłownie. (Profil gospodarstwa też określany był z góry przez czekistów!). My, mieszczuchy, jeszcze jednej rzeczy nie rozumiemy: co to znaczy żyć od wieków w towarzystwie własnej trzody; dla chłopa nie ma życia bez bydełka — i oto przez wiele lat ci ludzie nie mieli słyszeć ani rżenia, ani ryku, ani beku; nie mieli siodłać, ani doić, ani zadawać paszy.

Nad rzeką Czułym na Syberii specosadę kubańskich Kozaków otoczyli po prostu zasiekami z drutu kolczastego i wystawili wieżyczki jak w obozie.

Zdaje się, że wszystko uczyniono, aby to znienawidzone, mrówcze plemię wymarło jak najszybciej, uwalniając nasz kraj i od swojej obecności i od nadmiaru chleba. I rzeczywiście — wiele takich specosiedli wymarło do nogi. I teraz na tych terenach jacyś przypadkowi włóczędzy stopniowo puszczają z dymem resztki baraków, trącając nogą zetlałe czerepy.

Żaden Dżyngis-chan nie wytrzebił tylu ruskich chłopów, co przesławne nasze Organy pod kierownictwem Partii.

Oto — Tragedia Wasjugańska. W 1930 roku dziesięć tysięcy rodzin (a więc sześćdziesiąt-siedemdziesiąt tysięcy ludzi wedle ówczesnych proporcji) przeciągnęło przez Tomsk. Dalej popędzono ich na piechotę, a była zima: z początku w dół rzeki Tom, potem — wzdłuż Obu, następnie — w górę

329

Wasjuganu — i to wszystko po białej stopie. (Mieszkańców przydrożnych wsi zmuszano potem do zbierania zostawionych na szlaku zwłok dorosłych i dzieci). W górnym biegu rzeki, na dziale wodnym Wasjuganu i Tary porzucono ich samych

wśród bagien usianych kępami. *Nie zostawiono im ani zapasów, ani narzędzi pracy.* Przyszła odwilż i odcięła cały ten obszar od świata zewnętrznego. Zostały tylko dwie ścieżki: jedna — na Tobolsk i druga — w stronę Obu. Na obu tych szlakach wystawiono czaty z karabinami maszynowymi; czaty nikogo nie przepuszczały. Zaczął się pomór. Chłopi podchodzili w desperacji pod same czaty — błagali, aby ich wypuścić witano ich kulami. Poniewczasie, gdy znikła już kra na rzekach, tomski Integrałsojuz (Związek Spółdzielni Spożywców) otrzymał zlecenie wysłania im mąki i soli, ale ładowne krypy nie mogły dotrzeć w górę rzeki; Wasjugan jest bystry. (Prowadził tę wyprawę pełnomocnik Integrałsojuza Stanisławow i dzięki niemu stało się to wiadome).

Wymarli wszyscy.

Podobno wszczęto jednak śledztwo w tej sprawie i ponoć nawet jakiegoś tam jednego rozstrzelano. Nie bardzo w to wierzę. Ale jeśli nawet tak było — to proporcja jest bardzo piękna!, proporcja znana z czasów wojny domowej: za jednego naszego — tysiąc waszych! Za 60.000 waszych — jednego naszego!

Bo przecież bez tego nie da się zbudować Nowego Społeczeństwa.

A mimo wszystko — zesłańcy żyli! Gdy się zna warunki tego życia — nie sposób w to uwierzyć. A jednak żyli.

W osiedlu Parcza dzień zaczynał się od pałki dziesiętnika. Dziesiętnikami byli miejscowi Komi-Zyranie. Przez całe swoje życie nasi chłopi zaczynali dzień sami, teraz zaś pędzono ich pałkami na wyrąb lasu i do spławu drzewa. Przez całe miesiące nie pozwalając im wysuszyć odzieży, redukując normę mąki, wymagano od nich wykonania planu. Później, wieczorkiem, można było zabierać się również do budowania własnej chaty. Cała ich odzież poszła w.strzępy, więc baby nosiły spódnice z worków i szyły z nich chłopom portki. Gdyby wszyscy zaraz powymierali, nie byłoby dziś wielu naszych miast —- choćby nawet takiej Igarki nad Oceanem Lodowatym. Przecież Igarkę budował od 1929 roku i zbudował w końcu — kto? Może Polarny Trust Drzewny osobiście? A czy aby nie rozkułaczeni chłopi? Mieszkali w namiotach przy 50-stopniowym mrozie, ale już w roku 30. wypłynął z Igarki pierwszy transport eskportowego drewna.

W swoich ***specosadach*** mieszkali rozkułaczeni tak. jak więźniowie w obo-

330

zach o zaostrzonym reżymie. Chociaż nie było żony i zasieków, ale zwykle w osadzie stał na kwaterze żołnierz — i był gospodarzem, od którego zależały wszystkie zakazy i zezwolenia. Miał też prawo bez żadnych dyskusji zastrzelić kogo chciał za byle objaw nieposłuszeństwa.

Ale to był lud krzepki; temu i owemu udawało się uciec z tych posiołków. Halina Osipowna Riabokoń spod Kupiańska — wyprowadziła z takiej osady w rejonie Wołogdy garstkę chłopów (szła na przedzie nucąc piosenki, że niby wyszła na jagody). Przyjechała do Charkowa, do kuzynki, która tam była służącą. Dobrzy

państwo naraili ją jakiemuś dygnitarzowi: może wam potrzebna dobra niańka? Pryncypał załatwił jej dokumenty, przyjął pod swój dach, wszyscy byli zadowoleni i dziewczyna żyła sobie jak u Pana Boga za piecem. Ale w 1937 aresztowano także tę rodzinę. Halina nie mogła się powstrzymać i uciekła do rodzinnej wsi, co gorsza, w chromowych bucikach i wełnianej chusteczce, żeby przynajmniej zadać szyku. Rzecz jasna, zaraz ją przyskrzynili i zesłali drugi raz. Ale uciekła również z drugiego zesłania!

Ranga społeczna specosiedli i pokrewieństwo ich z naszym Archipelagiem znajdują wytłumaczenie w prawie naczyń połączonych: gdy na Wor-kucie dawał się odczuć brak rąk do pracy, przerzucano tam (bez żadnych nowych spraw sądowych!, nie zmieniając też ich prawnego statusu!) spec-przesiedleńców z ich osad — wprost do zon obozowych. I najspokojniej w świecie musieli żyć w żonach, chodzić do pracy w żonie i jeść obozową sałamachę, tyle że *płacili* za nią (jak również za miejsce w baraku i straż) ze swojej pensji. I nikt się niczemu nie dziwił.

Również z osady do osady — nie dbając o więzy rodzinne — przesyłano *specmużyków* — podobnie jak zeków przesyła się z jednego obozu do drugiego.

Nader chwiejne są czasem kroki naszego prawa: 3 lipca 1931 roku CIK ZSSR wydał zarządzenie, na mocy którego wolno było przywracać roz-kułaczonym chłopom prawa obywatelskie po upływie pięciu lat „jeśli przez ten czas zajmowali się (w karnym osiedlu!) pracą społecznie pożyteczną i wykazali się lojalnością wobec władzy sowieckiej". (No powiedzmy —jeśli pomagali strażnikowi, komendantowi albo operowi). Jednakże było to bałamuctwo, chwilowy kaprys. Zresztą — owe sakramentalne pięciolecie kończyło się właśnie w latach, gdy Archipelag *zaczął* krzepnąć na kamień.

Bo zaczęły się takie lata, że mowy przecież nie było, aby złagodzić reżym: a to zabicie Kirowa; a to — rok 37. i 38.; a to znów w 39. zaczęła się wojna na Zachodzie, u nas zaś — w 41. To już lepiej było zrobić całkiem co innego: poczynając od 37. roku zaczęto wielu tychże nieszczęsnych kułaków oraz ich synów wyciągać ze specosiedli, wlepiać im artykuł Pięćdziesiąt Osiem i — posyłać do obozów.

331

Co prawda, podczas wojny, gdy frontowi zaczęło brakować już zamaszystej, ruskiej siły, odwołano się również do *kułaków:* powinno było przecież w nich odezwać się rosyjskie sumienie i zagłuszyć kułacki charakter. To tu to ówdzie proponowano im, aby ze swoich karnych specosiedli albo z obozów szli na front — bronić ojczyzny.

I cóż, szli...

A jednak — nie zawsze. N. Ch-owi, synowi „kułaka" (jego biografię we wcześniej napisanej książce wykorzystałem dla życiorysu Tiurina*, a później — nie mogłem się zdecydować, aby ją w całości opowiedzieć) — zaproponowano w obozie to, czego odmawiano trockistom i byłym komunistom, choćby nie wiem jak prosili: żeby poszedł bronić ojczyzny. Ch-w ani chwili się nie wahał i z punktu wygarnął w obozowej komendzie: „Waszej ojczyzny sami sobie brońcie — gównojady! *A*

*proletariat nie ma ojczyz-ny\r*.

Wydaje się, że było to całkiem zgodne z Marksem — i faktycznie — każdy łagrowiec jest jeszcze biedniejszy, gorzej traktowany i bardziej wyzuty z praw niż klasyczny proletariusz — ale obozowe kolegium orzekające nie wzięło tego wcale pod uwagę i skazało Ch-wa na rozstrzelanie. Ze dwa tygodnie przesiedział sobie z tą c z a p ą i wcale nie prosił o łaskę, taki był na nich zły. Ale sami przynieśli mu w zębach zmianę wyroku na drugą *dychę.*

Zdawało się czasem, że wywożono muzyków do tajgi albo w tundry, tam ich puszczano — i już o nich zapominano: wieziono ich przecież na pewną śmierć, po cholerę więc rachować? Nie zostawiano przy nich nawet żołnierza — bo i po co w takiej głuszy, w takiej dali? I nareszcie — puszczone samopas, bez nadzoru mądrego naszego kierownictwa — ale też bez konia i bez pługa, bez sieci rybackich i bez fuzji — to pracowite, uparte plemię, mając tam może parę siekier i łopat, zaczynało beznadziejną walkę o byt w warunkach niewiele lżejszych niż w erze kamienia łupanego. I na przekór ekonomicznym prawom socjalizmu, osiedla te nie tylko żyły dalej, ale potrafiły okrzepnąć i dorobić się.

W takiej właśnie osadzie, gdzieś nad Obem, ale nie nad głównym nurtem, gdzie statki płyną, tylko nad boczną odnogą, wyrósł Burow; znalazł się tam jeszcze jako dziecko. Opowiada, że pewnego dnia przed samą wojną, przepływała tamtędy łódź motorowa i na widok ich sioła przybiła do brzegu. Jak się okazało — jechała łodzią cała góra powiatowa. Jęli się wypytywać — skąd ta wieś, co za ludzie, od jakiego czasu? Zdumiała się Zwierzchność widząc taki dobrobyt i dostatek, jakiego nie znała w swoich

* Patrz *Jeden dzień Iwana Denisowicza.*

332

kołchozach. Łódź ruszyła dalej. A po kilku dniach przyjechali pełnomocnicy NKWD z oddziałem strzelców i znów, jak w roku Zarazy, kazano im w ciągu jednej godziny porzucić wszystko, czego się dorobili, całe ich przytulne sioło i prawie gołych, z tobołkami wyprawiono dalej w głąb tundry.

Czy nie dosyć tej jednej opowieści, aby zrozumieć sens takich pojęć jak „kułak" i „odkułaczenie"?

Czego można by dokonać z takim ludem, gdyby pozwolić mu tylko żyć spokojnie i dać mu się swobodnie rozwijać!!!

Starowiercy! — wiecznie prześladowani, wieczni zesłańcy! Oto kto —już przed trzema wiekami — odgadł, na czym polega przeklęty sekret naszej Władzy! W roku 1950 jakiś samolot przelatywał nad ogromnymi pustociami w dorzeczu Podkamiennej Tunguski. Po wojnie zaś sztuka latania bardzo się u nas udoskonaliła i sumienny lotnik dostrzegł to, czego nikt w ciągu dwudziestu lat nie widział: jakiś zamieszkany punkt w głuchej tajdze. Zaznaczył to na swojej mapie. Zameldował. Było to w głuszy, daleko, ale dla MWD nie ma rzeczy niemożliwych - - i po upływie sześciu zaledwie miesięcy dotarli również tam. Okazało się, że to starowiercy z okolic Jarujewa. Kiedy

zaczęła się wielka i wytęskniona Zaraza, to jest — kolektywizacja, starowiercy zawczasu uciekli sami w głąb tajgi, jak najdalej od tych błogosławieństw. I mieszkali tam sobie nie wysuwając nosa z puszczy; tylko swojego starostę posyłali do Jarujewa po sól, po metalowe wichajstry, potrzebne rybakom i myśliwym, po wyroby żelazne i narzędzia, wszystko zaś pozostałe robili sami. Zamiast pieniędzy starosta zabierał zapewne ze sobą zwierzęce skórki. Po załatwieniu zakupów — znikał z rynku, rozglądając się na boki jak tropiony zbój. I w ten sposób starowiercy z Jarujewa wygrali dwadzieścia lat życia. Dwadzieścia lat wolnego i ludzkiego życia wśród dzikich zwierząt, zamiast dwudziestu lat udręki w kołchozie. Wszyscy nosili szatki z samodziału i ciżmy własnej roboty, wszyscy też byli silni i słusznego wzrostu.

Tych ohydnych dezerterów z frontu kolektywizacji natychmiast wzięto do paki i wlepiono im artykuł... no, jak myślicie, który?... Kontakty z międzynarodową burżuazją?, szkodnictwo?, nie, 58-10 — za antysowiecką *agitację* (!?!?) oraz 58-11 — za działanie w zorganizowanej grupie. (Wielu z nich trafiło później do dżezkazgańskiej filii Stepłagu i stąd o nich wiemy).

A w 1946 roku innych jeszcze starowierców z jakiegoś zapomnianego w głuszy klasztoru dzielne nasze wojska wybiły szturmem (z użyciem miotaczy min, bo trzeba wszak wykorzystać doświadczenia Wojny Narodowej). Potem wieziono ich tratwami w dół Jeniseju. Niepokorni jeńcy — którzy nic się nie zmienili od Piotra do Stalina — skakali z tratew w nurty Jeniseju i nasi chłopcy z pepeszami tam ich dostrzeliwali.

Żołnierze Armii Sowieckiej! — dbajcie o wasze wyszkolenie Bojowe!

333

Nie, nie dało się wytrzebić tego skazanego na zagładę plemienia! A na zesłaniu rodziły im się jednak dzieci — i bywały przypisywane dziedzicznie do gleby tego samego specosiedla. („Syn nie odpowiada za czyny ojca", pamiętacie?). Jeśli jakaś dziewczyna z innej okolicy i środowiska wychodziła za mąż za specosadnika — to stawała się członkinią tego pańszczyźnianego stanu, traciła swoje prawa obywatelskie. Jeśli zaś chłopak żenił się z jedną z *takich*, to sam stawał się zesłańcem. Jeśli córka przyjeżdżała do zesłanego ojca w odwiedziny — ją też włączano do spisu specprzesiedleri-ców, aby naprawić przeoczenie. Dzięki tym wszystkim uzupełnieniom, znajdowali się następcy dla tych, których przeniesiono do obozów.

W Karagandzie i okolicy wszędzie było pełno specprzesiedleńców; przysłano ich tu mnóstwo. Podobnie jak ich przodkowie pracujący w manufakturach na Uralu i Ałtaju — byli oni *na wieczne czasy* przypisani do fabryk Karagandy. Gospodarz kopalni bez żadnej krępacji mógł sam decydować ile mają pracować, a ile zarabiać. Podobno bardzo zazdrościli oni więźniom, zatrudnionym w rolniczych filiach miejscowych obozów.

Aż do lat 50., a gdzieniegdzie aż do śmierci Stalina specprzesiedlericy nie mieli paszportów. Dopiero podczas wojny zaczęto przesiedleńcom w Igarce wypłacać „podbiegunowy" dodatek do pensji.

No, ale teraz — ci, co przeżyli dwadzieścia lat zesłariczej zarazy, wolni już od nadzoru komendantury, obdarzeni wreszcie pięknymi naszymi paszportami — kim są teraz oni wewnętrznie i zewnętrznie? Ba — toć to typowi nasi obywatele! Są tacy sami, jak ci, co obok nich w tym samym czasie ukształtowali się w robotniczych osiedlach, na zebraniach związkowych, ci, których urobiła służba w armii sowieckiej. Tak samo wyładowują remanenty swojego zawadiactwa przy grze w domino, waląc w blat kostkami. Taką samą aprobatą kwitują każdy błysk w telewizorze. W odpowiedniej chwili z takim samym gniewem piętnują południowoafrykańskich rasistów i wysupłują swoje grosze na pomoc dla Kuby.

Skłońmy się więc w pokorze przed Wielkim Rzeźnikiem, pochylmy głowy, zegnijmy karki przed otchłanią zagadki tego intelektu: a więc miał rację On — znawca serc, gdy rozczynił tę krwawą bryję i potem mieszał ją rok po roku?

W aspekcie moralnym — miał rację: bo kto dziś ma mu co za złe! Jak głosi ludowe porzekadło: „Za Stalina człek był syty, bardziej niźli za Niki-ty"; bo przecież na *prima aprilis,* właśnie 1 kwietnia, papierosy taniały o kopiejkę, a wyroby galenteryjne o całe 10 kopiejek. Aż do samej śmierci słyszał pochwały i hymny na swoją cześć i jeszcze dziś nie wolno nam ferować przeciw niemu zarzutów; nie tylko każdy cenzor zatrzyma w roz-

334

pędzie nasze pióro, ale byle sąsiad z ogonka w sklepie czy pasażer w kolejce podmiejskiej zamknie nam oszczercze usta.

Bo przecież my szanujemy Wielkich Zbrodniarzy. Bo czcimy Wielkich Morderców.

I tym bardziej miał rację — w aspekcie państwowym: tą krwią zdołał zespawać posłuszne kołchozy. Mniejsza, że później w ciągu ćwierćwiecza wieś zubożeje do ostatka i że naród zwyrodnieje duchowo. Za to rakiety będą latać w głąb kosmosu i płaszczyć się będzie przed naszą potęgą państwową postępowy, oświecony Zachód.

III

## ROBI S I Ę TŁOCZNO

Z taką srogością, do okolic takich dzikich — i z tak jawnym zamiarem wygubienia ofiar do szczętu, jak to uczyniono z chłopami — nikogo już nie deportowano ani przedtem, ani potem. Ale swoją drogą robił się tak czy owak tłok na zesłaniu: deportowało się więcej ludzi, ich siedlisk stawało się coraz więcej i rygory na zesłaniu były coraz ostrzejsze.

Można by z grubsza wprowadzić taką periodyzację. W latach 20. zesłanie było niejako stanem przejściowym, etapem wstępnym przed osadzeniem w obozie: bardzo rzadko sprawa kończyła się tylko zesłaniem, wszystkich prawie wsadzono później do obozu.

Poczynając jednak od połowy lat 30., zwłaszcza od czasów Berii — być może dlatego, że tak wielkie masy **już** deportowano (iluż to wysłano z samego tylko

Leningradu!) — zesłanie zyskało całkowicie samodzielne znaczenie jako zupełnie wystarczający rodzaj izolacji i represji. W latach wojny i w okresie powojennym coraz bardziej poszerzał się zakres tej restrykcji i zyskiwała na znaczeniu jej pozycja — idąc już w paragon z rolą obozów: nie trzeba było w tym wypadku tracić ani grosza na budowę baraków i zon, ani na straż, a jednocześnie tym zabiegiem karnym objąć można było bardzo znaczne kontyngenty, zwłaszcza —jeśli chodzi o kobiety i dzieci. (We wszystkich większych więzieniach etapowych wydzielone były stałe cele dla deportowanych kobiet z dziećmi — i nigdy nie bywały one puste[1]).

[1] Jeśli mężowie tych kobiet podlegali deportacji, to nigdy nie jechali razem z rodziną: istniała instrukcja, aby członków represjonowanych rodzin wysyłać do rozmaitych miejscowości. Tak na przykład, gdy kiszyniowski adwokat I.Ch. Górnik został zesłany za syjonizm do Kraju Krasnojarskiego — rodzinę jego posłano do Salechardu.

336

Zesłanie pozwalało na oczyszczenie z niepożądanych elementów każdego ważnego regionu centralnej części państwa w sposób zupełnie pewny i nieodwracalny, a przy tym w terminie bardzo krótkim. Instytucja zesłania rozrosła się do tego stopnia, że poczynając od 1948 roku zyskała jeszcze jedną, nową funkcję o znaczeniu ogólnoparistwowym — stała się w y s y-p i s k i e m ś m i e c i albo rezerwuarem, do którego wyrzucano odpadki z Archipelagu, aby nigdy już więcej nie mogły zanieczyścić metropolii. Wiosną 1948 wystosowano do obozów następującą instrukcję: Pięćdziesiątkę Ósemkę po upływie terminu kary wypuszczać, z obozów jedynie na zesłanie. To znaczy — nie pozwalać lekkomyślnie tym osobnikom szwendać się po kraju, do którego żadnych praw nie mają, tylko każdego z nich pod konwojem ekspediować — od wartowni obozowej aż do komendantury w miejscu osiedlenia, czyli od jednego okólnika do drugiego. A jako że ludzi deportowało się do ściśle wyznaczonych regionów — więc wszystkie one razem składały się na jakiś osobny (chociaż rozrzucony po całym Związku) kraj buforowy leżący między ZSSR a Archipelagiem, nie tyle czyściec, ile raczej śmietnisko, z którego można było przekoczować na Archipelag, ale nie do metropolii.

Lata 1944-45 przyczyniły się do nadzwyczajnego zwiększenia gęstości zaludnienia na terenie tego śmietniska kosztem terenów wyzwolonych i okupowanych, a lata 1947-49 — kosztem ludności zachodnich republik. I wszystkie te fale razem wzięte, nawet nie licząc deportacji chłopów, dawały cyfrę wiele, wiele, wiele razy większą, niż owe pół miliona zesłańców, jakich deportowała w ciągu całego wieku XIX Rosja carska, więzienie narodów.

Za jakież to przestępstwa obywatel naszego kraju w latach 30. i 40. narażał się na karę zesłania albo wysiedlenia? (ze szczególnym upodobaniem do administracyjnych subtelności ta różnica w nomenklaturze przez wszystkie owe lata jeśli nawet nie była przestrzegana, to przynajmniej — często wspominana. Prześladowany za

uprawianie praktyk religijnych M.I. Bordowski wyraził zdziwienie, że został deportowany bez żadnego sądu; podpułkownik Iwanów wyjaśnił mu bardzo uprzejmie: „Sądu nie było dlatego, że to wcale nie *zesłanie* tylko *wysiedlenie.* Nie uważamy pana wcale za sądownie karanego; nie został pan nawet pozbawiony praw wyborczych". To znaczy — najważniejszego składnika swobód obywatelskich!...).

Oto najczęściej inkryminowane czyny; wymienić je bardzo łatwo: 1) przynależność do przestępczej grupy narodowej (mowa o tym w następnym rozdziale);



2) odcierpiana już kara obozu;
3) przebywanie w środowisku przestępczym (buntowniczy Leningrad; jakiś rejon, gdzie ruch partyzancki przybrał duże rozmiary — jak na przykład Zachodnia Ukraina albo kraje nadbałtyckie).

A zatem — wiele z tych fal czy potoków, które wyliczyliśmy na samym początku książki, spływało nie tylko do obozów, lecz również na zesłanie, jakaś ich część przez cały czas tam przeciekała. Kto do tej części należał? Na ogół biorąc i najczęściej — rodziny tych, których skazano na obóz. Ale wcale nie zawsze zsyłano rodziny i wcale nie tylko krewni podlegali deportacji. Podobnie, jak badanie i objaśnienie ruchów ciał płynnych wymaga dobrej znajomości hydrodynamiki — bo inaczej trzeba zrezygnować z badań i tylko obserwować bezmyślnie ryczącą, wirującą ciecz, tak samo i tutaj: nie możemy zbadać i opisać tych wszystkich nader zróżnicowanych przyczyn, które sprawiły, że w rozmaitych latach rozmaici ludzie nagle kierowani byli nie do obozu, lecz na zesłanie. Możemy tylko obserwować jak pstra była ta mieszanina: przesiedleńcy z Mandżurii, jacyś pojedynczy cudzoziemcy, którym nawet na zesłaniu sowieckie prawo nie pozwalało żenić się z żadną deportowaną, ale przecież sowiecką poddaną; jacyś zesłańcy z Kaukazu i z Azji Środkowej, którym za pójście do niewoli niemieckiej wlepiono nie po 10 lat obozu, lecz tylko po 6 lat wysiedlenia; i nawet byli jeńcy — Sybiracy, którym pozwolono wrócić do ojczystego powiatu; mieszkali tam jako wolni ludzie, nie musieli nawet meldować się w komendanturze, jednakże nie mieli prawa wyjeżdżać ze swojego rejonu.

Nie jesteśmy tu w stanie zbadać i opisać wszystkich etapów i wypadków zesłania, ponieważ to, co o tym wiemy, pochodzi jedynie z przypadkowo zebranych opowiadań albo listów. Gdyby A.M. Ar-w nie napisał swego listu, nigdy by czytelnik nie usłyszał takiej oto opowieści. W 1943 roku do pewnej wioski pod Wiatką nadeszła wieść, że członka ich kołchozu, Kożu-rina, szeregowca piechoty, ponoć posłano do karnej kompanii — czy może nawet w ogóle rozstrzelano. 1 natychmiast żonę jego z sześciorgiem dzieci (najstarsza dziewczynka miała 10 lat, najmłodszy synek — 6 miesięcy, a nadto mieszkały z nią jeszcze dwie siostry, stare panny pod pięćdziesiątkę) — odwiedzili *wykonawcy* (czytelnik rozumie już co znaczy to słowo, że to eufemistyczna forma słowa k a t). Nie dając czasu na odsprzedanie czegokolwiek (chata, krowa, siano, drzewo — wszystko trzeba było zostawić złodziejom na łup) — rzucono ich z byle tobołkami na sanie, wszystkich dziewięcioro i zawieziono a mróz był siarczysty — do miasta Wiatka (Kirów)

odległego o 60 kilometrów. Bóg raczy wiedzieć, jak nie zamarzli wszyscy w drodze. Półtora miesiąca trzymano ich w kirowskim więzieniu etapowym, a później zesłano do pracy w garncami pod Uchtą.

338

Tam obie stare panny zaczęły grzebać w śmietnikach, obie oszalały i obie umarły. Matka zaś z dziećmi utrzymywała się przy życiu tylko dzięki pomocy (bezideowej, niepatriotycznej, chyba nawet anysowieckiej) jakichś tamecznych ludzi. Gdy synowie podrośli, poszli do wojska i — jak to się powiada — „byli przodownikami wyszkolenia wojskowego i politycznego". W 1960 roku matka wróciła do wsi rodzinnej — i nie znalazła ani jednej drzazgi, ani jednego kafelka tam, gdzie stała niegdyś jej chata.

Czy taki temacik nie dałby się pięknie wpleść do wianuszka Wielkiego Zwycięstwa? Nikt go jednak nie podejmie, nietypowy.

A do jakiego wieńca wpleść, do jakiego typu represji zaliczyć *zesłanie kalek*, inwalidów naszej Wielkiej Wojny Narodowej? Nie udało się nam zebrać danych na ten temat (zresztą, mało kto wie o tym). Ale przypomnijcie sobie tylko — ileż tych kalek, przy tym nawet niestarych, kręciło się pod koniec wojny po naszych rynkach koło herbaciarni, a także w kolejkach dojazdowych? I jak to szybko, jak niepostrzeżenie liczba ich zmalała. To także była fala, też była to kampania. Zesłano ich na jakąś wyspę na Dalekiej Północy, a *za to* zesłano, że dla dobra ojczyzny i ku jej chwale pozwolili okaleczyć się i oszpecić na wojnie. A *po to* ich zesłano, by odkazić naród, tyle tryumfów odnoszący we wszystkich rodzajach zawodów atlety-cznych i gier sportowych. Tam, na bezimiennej wyspie trzyma się tych pechowych bohaterów wojny — rzecz jasna — bez prawa korespondencji z Wielką Ziemią. (Czasem jakiś list się przebije, stąd wiadomo). I — natu-Kalnie — na marnym wikcie, nie mogą bowiem swoją pracą uzasadnić przydziałów obfitszych racji.

Zdaje się, że po dziś dzień tam wegetują.

Na terenie Wielkiego śmietniska, kraju zesłania, leżącego między Archipelagiem a ZSSR, leżą i wielkie miasta, i miasteczka, i obszary zupełnej pustki. Zesłańcy starali się o skierowanie do miast, słusznie przypuszczając, że tam jednak o wszystko łatwiej, zwłaszcza o pracę. I że w ogóle — życie tam bardziej zbliżone jest do normalnego żywota.

Nieomal stolicą, a w każdym razie jedną z pereł kraju zesłańców była Karaganda. Ujrzałem ją przed samym końcem zesłania, w 1955 roku (komendantura pozwalała mi na krótkoterminowe wyjazdy z miejsca osiedlenia: miałem wtedy zamiar żenić się; moja wybranka też była deportowaną). Było to wtedy miasto zagłodzone. Tramwaj nie podjeżdżał blisko do zapluskwionego baraku dworca kolejowego, aby nie zapaść się pod ziemię: tuż pod powierzchnią gruntu przebiegały chodniki kopalniane. Przy pętli tramwajowej stał symboliczny dom, składający się tylko z frontowej ściany ceglanej, podpartej drewnianymi palami, aby nie runęła. W samym cent-

339

rum Nowego Miasta wykuty był na kamiennym murze napis: „ *Węgiel — to chleb"* (dla przemysłu). I rzeczywiście, czarny chleb codziennie sprzedawany był w sklepach — i na tym polegała główna zaleta miejskiego zesłania. Czarna robota — zresztą, nie tylko czarna, też tu zawsze czekała na ludzi. Ale poza tym — sklepy spożywcze były pustawe. Rynkowe zaś stragany

zupełnie niedostępne z powodu szalonych cen. Jeśli nie trzy czwarte, to przynajmniej dwie trzecie mieszkańców nie miało dowodów osobistych i musiało *meldować się* regularnie w komendanturach; na ulicy co i rusz ktoś mnie poznawał i wołał: znów były zek, najczęściej z Ekibastuza. I cóż to za życie było na tym zesłaniu? W miejscu pracy — sytuacja upokarzająca, pensja też obniżona, bo nie każdy może po katastrofie aresztu — więzienia

- obozu dowieść, że ma odpowiednie wykształcenie, a wykazać się stażem
- tym bardziej mu trudno. Albo po prostu — traktują jak murzyna, nie

płacą tyle co białemu i już; najwyżej może się nie najmować. Za to bardzo źle z mieszkaniami; zesłańcy gnieździli się kątem w cudzych korytarzach, w ciemnych komórkach, w szopach — i za to wszystko jeszcze musieli płacić w dwójnasób, bo tylko prywatnie. Niemłode już kobiety, zniszczone przez obóz, z metalowymi zębami, śniły nocami o jednej „niedzielnej" bluzce z krepdeszyny, o jednej parze „niedzielnych" pantofli.

A nadto Karanganda jest rozległa, wielu ludzi ma bardzo daleko z mieszkania do pracy. Tramwaj od centrum do robotniczego przedmieścia zgrzytał po szynach bitą godzinę. W tramwaju naprzeciw mnie siedziała młoda kobieta w brudnej sukni, w podartych sandałach na bosą nogę. Trzymała na ręku dziecko w bardzo brudnych powijakach, cały czas sen ją morzył i dziecko z osłabłych ramion wciąż osuwało jej się na kolana; gdy już spadało, ktoś krzyczał: „uważaj!", kobieta w ostatniej chwili zdążyła je zawsze złapać, ale wkrótce znów zasypiała. Pracowała w stacji wodociągów na nocnej zmianie: cały dzień spędziła na rozjazdach po mieście, by kupić parę butów — i nie znalazła ich nigdzie.

Tak oto żyło się na zesłaniu w Karagandzie.

O ile wiem, znacznie lżej było w mieście Dżambuł: żyzne południe Kazachstanu, żywność bardzo tania. Ale im mniejsze miasto, tym trudniej było o pracę.

Na przykład — miasto Jenisejsk. W 1948 roku G.S. Mitrowicz jechał etapem z krasnojarskiego zborniaka do tego miasta. Dziarski lejtnant z konwoju tak odpowiadał na pytania zesłanych: — „A robotę dostaniemy?". — „Dostaniecie!". — „A mieszkanie?". — „Dostaniecie!". — Od-meldował się w komendanturze, zostawił podopiecznych i odmaszerował z ulgą. A nowo przybyli musieli spać na brzegu rzeki pod łodziami, przewróconymi do góry dnem, albo pod okapami straganów na bazarze. Nie

340

mogli kupić chleba: sprzedawano go tylko według listy lokatorów poszczególnych

domów, a nie byli nigdzie zameldowani. Żeby mieć dach nad głową, trzeba wynająć prywatną kwaterę. Mitrowicz, inwalida, prosił o pracę w swoim zawodzie: był zootechnikiem. Komendant poszedł po rozum do głowy i zadzwonił do wydziału rolnictwa: — „Słuchaj no, jak masz dla mnie pół litra — to dam ci zootechnika".

Było to takie zesłanie, że z pogróżki: „za sabotaż wlepimy ci 58-14, pójdziesz z powrotem do łagru!" — nikt tu sobie nic nie robił. Mam relację z 1952 roku odnoszącą się do tegoż Jenisejska. Stawiwszy się do kolejnej kontroli w komendanturze, zrozpaczeni zesłańcy zażądali, aby aresztowano ich wreszcie i odesłano z powrotem do obozu. Dorośli mężczyźni — a nie mogli tu zdobyć sobie chleba! Komendant ich przepędził: „MWD to nie urząd pośrednictwa[2]!".

Albo jeszcze dalej w las — oto osada Tasjejewo w Kraju Krasnojarskim, 250 km od Kańska. Przesiedlano tam Niemców, Czeczeno-Inguszów i byłych zeków. Jest to osiedle nienowe, nie z kaprysu powstałe, niedaleko stamtąd do wsi Chandały, gdzie niegdyś przekuwano kajdany* ciągnącym w głąb Syberii skazańcom. Ale nową rzeczą jest tu całe miasto składające się z ziemianek, z klepiskami zamiast podłóg. W 1949 roku przywieziono tu grupę *repelentów.* Przybyli pod wieczór, ulokowano ich w szkole. Późną nocą zebrała się komisja ds. dystrybucji siły roboczej: naczelnik rejonowej delegatury MWD, przedstawiciel przedsiębiorstwa robót leśnych, przewodniczący kołchozów. Przed obliczem komisji stanęli w kolejce chorzy, starcy, weterani obozowych dych, a przy tym w większości — kobiety; oto kogo przemądra władza pousuwała z wielkich miast i posyłała w teren, do tych surowych okolic, dla zagospodarowania tajgi. Nikt nie życzył sobie takiej „siły roboczej", ale MWD żadnych sprzeciwów nie uznawało. Najbardziej niedołężnych d o c h o d i a g ó w wtrynili warzelni soli. Warzelnia znajduje się w siole Troickoje nad rzeką Usołką (to też dawne miejsce zesłań, jeszcze za cara Aleksego Michajłowicza wysyłano tu starowierów). W połowie XX wieku stosowano tu taką technologię: z pomocą kieratu konnego pompowało się roztwór soli do płytkich kadzi, aby potem podgrzewać je aż do wyparowania wody. Palono drzewem. Do jego wyrębu w lesie skierowano stare kobiety. Pewien wybitny i znany budowniczy okrętów znalazł się również w tej partii; dano mu pracę możliwie najbardziej odpowiadającą jego kwalifikacjom: pakował sól do skrzynek.

Przecież jego to nie obowiązuje, a więźniowie nie mogą znać praw obowiązujących w kraju Sowietów; weźmy choćby kodeks karny, jego punkt 35: „zesłańcy powinni otrzymać przydział gruntu do uprawy albo też należy zapewnić im płatną pracę". * Po rosyjsku — „kandały".

341

Do Tasjejewa trafił też 60-letni robotnik z Kołomny Kniazjew. Nie mógł już pracować i stał się nędzarzem. Czasem pozwolił mu ktoś przenocować pod dachem, czasem spał na ulicy. W domu inwalidów nie znalazło się miejsca dla niego, a w szpitalu nie mogli go za długo trzymać. Pewnego zimowego wieczoru poszukał schronienia na ganku rejkomu partii, partii klasy robotniczej — i tam zamarzł w

nocy.

Przenosząc się z obozu na zesłanie w tajdze (a przenosiny to były takie: mróz 20-stopniowy, otwarte ciężarówki, odzież — nędzna, taka w jakfej ich wypuszczono, buty ze sztucznej skóry ostatniego sortu, konwojenci zaś —w półkożuszkach i filcowych walonkach) więźniowie nie bardzo mogli sobie zdać sprawy — na czym właściwie polega ta *wolności* W obozie były przynajmniej opalane baraki — a tu ziemianka dla drwali, nie zamieszkała od zeszłej zimy, wyziębiona. Tam ryczały piły mechaniczne — tu też zaryczą. I tylko tą piłą można było zarobić i tu i tam na kromkę wilgotnego chleba.

Dlatego ci nowi zesłańcy często się mylili. Gdy (w 1953 roku) przyjechał (Kuzjejewo, rejon Suchobuzimski nad Jenisejem) wicedyrektor przedsiębiorstwa robót leśnych Lejbowicz, przystojny, czyściutki - - patrząc na jego skórzane palto, na sytą, białą twarz i nisko się kłaniając, zesłańcy witali go grzecznie:

— Dzień dobry, *obvwatelu naćzelniku*

A Lejbowicz kiwał głową z wyrzutem i mówił:

— Ależ nie, jaki tam znowu „obywatel"! Mówicie mi „towarzyszu", już nie jesteście przecież więźniami!

Zwołano zebranie do dużej ziemianki i przy migotliwym, niepewnym świetle naftowego kaganka towarzysz wicedyrektor prawił im tak, jakby gwoździe wbijał do trumny: — Nie myślcie, że przyjechaliście tu tymczasowo. Będziecie naprawdę musieli żyć tu już zawsze. Dlatego więc —bierzcie się czym prędzej do roboty! Jeśli macie rodzinę — postarajcie się ją tu ściągnąć, jeśli nie — to żeńcie się między sobą i to nie czekając długo. Budujcie sobie domy. Zadbajcie o dzieci. Na dom i na krowę do staniecie pożyczkę. Do pracy, do pracy, towarzysze! Kraj czeka na drewno!

I „towarzysz" odjechał pięknym autem.

I to dobre, że pozwalali się żenić. W ubogich osadach na Kołymie, na przykład — pod Jagodnem (relacja Retca) były również kobiety, których nie puszczono na Wielką Ziemię, ale MWD zabraniało ożenków: bo jak jest rodzina, to trzeba dawać mieszkanie.

Że nie dawali się ludziom żenić — to jednak też mogło być ulgą, bo w Północnym Kazachstanie w latach 1950-52 niektóre komendantury (aby zesłańca mocniej przykuć do miejsca) stawiały mu warunek: masz się oże-

342

nić w ciągu dwóch tygodni — a jak nie, to ześlemy cię do najgorszego zadupia, w puszczę.

Charakterystyczne, że w wielu miejscach zesłania zupełnie bez żenady i na serio stosowano typowy termin obozowy — „roboty ogólne". Bo też nie różniły się niczym od tamtych: były to te same nieznośne, najcięższe roboty, wysysające wszystkie siły i nie zapewniające żadnego minimum. I jeśli nawet, jako *wolni* już ludzie — zesłańcy mogli teraz pracować krócej — to dwie godziny marszu do pracy

(do kopalni albo do lasu) i dwie godziny drogi do domu sprawiały, że dzień roboczy zbliżał się do normy obozowej.

Stary robotnik Bieriezowski. w latach 20. przywódca związkowy, w 1938 roku zesłany na 10 lat, a w 1949 skazany na 10 lat obozów, w mojej obecności całował z rozrzewnieniem obozową kromkę chleba, mówiąc z radością, że tu, w obozie — już nie zginie, że tu ma chleb zapewniony. Na zesłaniu zaś możesz do sklepu przyjść nawet z pieniędzmi w kieszeni, zobaczyć bochenek na półce i usłyszeć, jak ci bezczelnie mówią prosto w oczy, że chleba nie ma! 1 sprzedają go zaraz jakiemuś miejscowemu. To samo z opałem.

Prawie to samo mówił również stary robotnik z Pitra, Cywilko, (też niezbyt delikatnego charakteru). Powiadał (1951 rok), że po zesłaniu czuje się w katorżniczym specobozie jak człowiek: od bębnił przy robocie swoje dwanaście godzin — i spokojnie wraca do żony. A na zesłaniu byle wol-niaczek mógł go zmusić (pracował jako księgowy) do bezpłatnej nadprogramowej roboty — i wieczorem, i w niedzielę, na cudzy rachunek, a zesłaniec nie śmiał się wymówić, bo ryzykował, że jutro wyrzucą go z pracy. Niewesołe było życie zesłańca, nawet gdy udało mu się zostać ,.prydur-kiem" na zesłaniu. Przeniesiony do miejscowości Kok-Terek, w okręgu Dżambulskim, Mitrowicz otrzymał stanowisko zootechnika w rejpnowym wydziale rolnictwa (jego pobyt tutaj zaczął się zresztą tak, że przydzielono mu oślą stajnię, aby w niej zamieszkał z jeszcze jednym zesłańcem. Stajenka nie miała okien i pełna była nawozu. Odgarnęli nawóz od ściany, podesłali suchego piołunu i położyli się spać). Na nowym stanowisku próbował *rzetelnie pracować* — i od razu stał się solą w oku miejscowego kierownictwa partyjnego. Z trzody należącej do kołchozów miejscowi drobni wodzireje zabierali do swoich obór młode cielne krowy, zastępując je swoimi jałówkami — i żądali, aby Mitrowicz wpisywał do ewidencji krowy dwu-letnie jako czteroletnie. Po starannej kontroli Mitrowicz stwierdził, że całe stada pasą się na polach kołchozowych i obsługiwane są przez kołchoźników, ale wcale do kołchozów nie należą. Okazało się, że stada te były *osobistą* własnością pierwszego sekretarza rejkomu, przewodniczącego re-

343

jonowego komitetu wykonawczego, naczelnika finansowego i komendanta milicji. (Takim to zmyślnym sposobem wkroczył Kazachstan w epokę socjalizmu!). „Masz tego nie zapisywać!" — tak mu kazano. Ale zapisał. Z dziwnym u eks-więźnia i zesłańca przywiązaniem do sowieckiej legalności Mitrowicz ośmielił się jeszcze protestować, gdy przewodniczący komitetu wykonawczego zabrał sobie siwego karakułowego baranka — po czym został wyrzucony z pracy. (I to był dopiero początek wojny).

Ale centrum rejonowe — to jeszcze nie najgorsze miejsce dla zesłańca. Najgorsze strony zesłania poznać można tam, gdzie nie ma nawet cienia wolnego osiedla, nawet śladu cywilizacji.

Wspomniany już A. Cywilko opowiada o kołchozie „Żana Turmys" („Nowe Życie") w okręgu Zachodniokazachstanskim, gdzie był na zesłaniu poczynając od

1937 roku. Jeszcze przed przyjazdem zesłańców wydział polityczny Ośrodka Maszyn Rolniczych zmobilizował się i oświecił miejscową ludność: „Przywiozą tu trockistów, kontrrewolucjonistów". Nastraszeni kołchoźnicy nie chcieli pożyczyć nowo przybyłym nawet *szczypty soli,* obawiając się oskarżenia o kontakty z wrogami ludu! Podczas wojny zesłańcy nie dostawali tam kartek na chleb. W kuźni kołchozu Cywilko przepracował osiem miesięcy i dostał za to pud prosa... Proso to trzeba było samemu zemleć na żarnach zrobionych z rozpiłowanego na kawałki starego kazachskiego nagrobka. Więc zesłańcy poszli do NKWD: albo wsadźcie nas do więzienia, albo pozwólcie przenieść się do rejonowego miasteczka! (Ktoś zapyta może: a jak radzili sobie miejscowi? A tak jakoś... przyzwyczaili się... no i — jak się ma jedną czy drugą owieczkę, kozę, krowę, jurtę, statki — to jakoś łatwiej).

Los zesłańca w kołchozie jest wszędzie taki sam — ani państwowych sortów, ani obozowej pajki. Kołchoz — to najgorsze miejsce zesłania. Takie zesłanie — to swoisty klucz do zagadki: gdzie właściwie jest ciężej: w obozie — czy w kołchozie?

Oto scena *wyprzedaży* nowych zesłańców (pośród nich — jest również S.A. Lifszyc) w krasnojarskim zborniaku. *Kupcy* żądają cieśli, dyrekcja zborniaka odpowiada: jak weźmiecie sobie jeszcze prawnika i chemika (właśnie Lifszyca), to warn damy również cieślę. Przy transakcjach wiązanych dają na dokładkę stare, chore kobiety. Następnie — przy niedużym, bo 25-stopniowym mrozie, otwartymi ciężarówkami wiozą ich do zupełnej głuszy, wioseczki, gdzie jest nie więcej niż 30 zagród. Co tu ma do roboty prawnik i chemik? Chwilowo dostaje zaliczkę: worek kartofli, cebulę i mąkę (to bardzo dobra zaliczka!). A pieniądze dostaniecie w przyszłym roku, jeżeli je zarobicie! Tymczasem macie robotę — zbieranie konopi przywalonych śniegiem. Nie ma nawet worka, żeby nabić sobie siennik słomą. Pier-

344

wszy odruch — to błaganie, żeby puścili cię z tego kołchozu. Ale gdzie tam, nie da rady: za każdą głowę kołchoz zapłacił zarządowi więziennictwa po 120 rubli (rok 1952).

Jak by tu znowu wrócić do łagru?...

Ale pobłądzi czytelnik, który sobie wyobrazi, że zesłańcom w sowchozie lepiej jest niż w kołchozie. Weźmy na przykład sowchoz w rejonie Sucho-buzimskim (wieś Minderła). Stoją baraki, co prawda — nie ma żony, wygląda toto na obóz dla zwolnionych spod straży. Chociaż to sowchoz, ale pieniądz nie jest tu w użyciu, nie ma pieniędzy w obiegu. Wypisują tylko cyferki: 9 rubli (stalinowskich, sprzed wymiany) za dzień pracy. I jeszcze piszą — ile dany człowiek zjadł kaszy, ile mu się odlicza za fufajkę i za dach nad głową. Wszystko odlicza się, odlicza — i patrzcie tylko — gdy dochodzi do rozrachunku, okazuje się, że zesłaniec nic nie zarobił i że nawet jest dłużnikiem sowchozu. W tym właśnie sowchozie, według świadectwa A. Stotika, dwóch zesłańców powiesiło się z desperacji.

(Ów Stotik, człowiek o żywej wyobraźni, zupełnie nie wziął sobie do serca niefortunnego doświadczenia z nauką języka angielskiego w Stepła-gu[3]. Po przybyciu

na zesłanie rozejrzał się trochę i doszedł do wniosku, że warto starać się o wykorzystanie konstytucyjnego prawa obywatela ZSSR do... wykształcenia. Złożył więc podanie z prośbą o zezwolenie na wyjazd do Krasnojarska — na uczelnię! Na bezczelnym tym podaniu, bez precedensu może w dziejach instytucji zesłania, dyrektor sowchozu (były sekretarz rejkomu partii) własną ręką napisał decyzję nie po prostu odmowną, lecz wręcz deklaratywną: „Nikt i nigdy nie pozwoli Stotikowi na naukę!".

• Dopomógł jednak przypadek: krasnojarski zborniak szukał w terenie cieśli-zesłańców. Stotik, wcale nie cieśla, zgłosił się i pojechał, w Krasnojarsku mieszkał w hotelu robotniczym wśród pijaków i złodziei, ucząc się jednocześnie do egzaminu konkursowego na medycynę. Zdał ów egzamin z bardzo wysoką notą. Aż do posiedzenia komisji przyjęć nikt nie przyjrzał się uważniej jego dokumentom. Dialog na posiedzeniu komisji: „Byłem na froncie... później wróciłem do domu..." — i zaschło w gardle. „No a później?". — „A później... mnie... aresztowano..." — wymamrotał Stotik • i cała komisja nagle zesztywniała. — *„Ale odsiedziałem już karę! Wypuszczono mnie na wolność!* Zdałem na celująco!" — upierał się Stotik. Nic nie pomogło. A był to już rok upadku Berii!).

Im dalej w teren — tym gorzej, im dalej — tym bezprawniej. A.F. Makie-jew, w cytowanych już wspomnieniach z Kengiru, przytacza opowieść „tur-gajskiego niewolnika" Aleksandra Władimirowicza Polakowa o pobycie na

Patrz część V, rozdział 5.

345

zesłaniu między dwoma odsiadkami w obozie. Zesłany został na pustynię Turgajską, na teren letnich wypasów bydła. Cala władza znajdowała się tam w ręku przewodniczącego kołchozu — Kazacha. Nie zaglądał tam nawet nikt z komendantury. Polaków zamieszkać musiał w chlewiku z owcami, spał razem z nimi na słomie. Jego obowiązki sprowadzały się do tego, że został niewolnikiem czterech żon przewodniczącego, używanym do posług w domu i do wynoszenia nocników. I co miał robić? Wyjechać, aby się poskarżyć? Nie dość, że nie miał czym, ale to by oznaczało próbę ucieczki — czyli 20 lat katorgi. Żadnego zaś Rosjanina na tych wypasach nie było. Minęło kilka miesięcy, nim przyjechał inspektor podatkowy, Rosjanin. Nie mógł wyjść ze zdumienia słuchając opowieści Polakowa i podjął się przekazania jego skargi władzom rejonowym. Za tę właśnie skargę — jako za ohydną potwarz rzuconą na władzę sowiecką — Polaków znowu dostał się do obozu i w latach 50. spokojnie odsiadywał karę w Ken-girze. Miał tam wrażenie, że rozkoszuje się wolnością...

I wcale nie jesteśmy pewni, czy „turgajski rab" był najnieszczęśliwszym z zesłańców.

Twierdzić, że zesłanie jest lepsze od obozu, bo człowiek ma na nim jednak pewność jutra, poczucie pewnego zadomowienia (gorzej ci, czy lepiej — ale w

końcu żyjesz sobie tutaj i będziesz tu żyć i nie boisz się żadnych etapów) — też nie można bez szeregu zastrzeżeń. Etap to etap, ale zawsze może wpaść do głowy komendantowi, aby przerzucić zesłańca gdzie indziej, a osada, czy cały rejon mogą nagle utracić status miejsc zesłania. Zdarzały się takie wypadki w różnych okresach i okolicach. Szczególnie podczas wojny — sprawa czujności! — wszyscy zesłańcy z rejonu Tajpak otrzymali rozkaz wyjazdu w ciągu 12 godzin i — hajda do Dżambetinu! I cały twój nieszczęsny byt codzienny i dobytek — żałosny, a tak przecież potrzebny, i ten dach dziurawy, a może nawet już załatany — wszystko musisz porzucić, zostawić i marsz w drogę, hołoto bosa! Jak cię diabli nie wezmą — to znowu się dorobisz!...

I w ogóle, nie bacząc na pozory nadzwyczajnej swobody na zesłaniu (nie chodzi się w szeregu, tylko każdy w swoją stronę, nie ma apelów przed pójściem do pracy, nie każdemu trzeba czapkować, nie zamyka się ludzi na noc od zewnątrz) — zesłanie ma swoje rygory. Tu — łagodniejsze, ówdzie — surowsze, ale istniały one zawsze i dawały się odczuć przed 1953 rokiem, w którym wszędzie zaczęło się robić luźniej.

Na przykład — w niejednej miejscowości zesłańcy pozbawieni byli prawa składania skarg do różnych sowieckich urzędów — chyba, że robili to za pośrednictwem komendantury. Tylko komendantura decydowała, czy skardze należy nadać bieg, czy też schować ją pod sukno na miejscu.

346

Zesłaniec musiał natychmiast zjawiać się na każde wezwanie oficera komendantury, choćby miał najpilniejszą robotę do wykonania. Kto zna życie, ten sam sobie odpowie, czy zesłaniec mógł nie spełnić jakiejkolwiek osobistej (także — nie bezinteresownej) prośby takiego oficera.

Oficerowie komendantury chyba nic nie mieli do pozazdroszczenia szarżom obozowym, jeśli chodzi o prawa i pozycję. Skądinąd zaś — mieli wiele mniej kłopotów: ani żony, ani rontów, ani pogoni za zbiegami, ani wyprowadzania zeków do roboty, ani kwestii związanych z żywieniem ubieraniem tej hałastry. Wystarczało dwa razy na miesiąc odfajkować na liście, że facet się zjawił i czasami, zgodnie z Prawem, otwierać akta nowej sprawy, jeśli facet coś przeskrobał. Były to leniwe, spanoszone, spasione (młodszy lejtnant z komendantury dostawał 2 000 rubli miesięcznie), a dla tego — przeważnie bardzo złe istoty.

U c i e c z e k w ścisłym sensie niewiele było: przeliczony na sumę swobód obywatelskich — zysk był niewielki, nawet jeżeli ucieczka się udała. Bo przecież dookoła miejsca zesłania wolni żyli prawie w tych samych warunkach, co zesłaniec, i z niewiele większych praw korzystali. Nie były to przy tym carskie czasy, kiedy ucieczka z zesłania w bardzo prosty sposób przekształciła się w emigrację. Kara zaś za ucieczkę groziła poważna. Organem sprawiedliwości było w tym wypadku OSO. Przed 1937 rokiem dawało za ucieczkę maksymalną swoją cyfrę, to jest 5 lat obozu, po 37. — 10. Po wojnie natomiast, choć nigdzie to nie było opublikowane — wszyscy wiedzieli, że nieodmiennie stosuje się tu nowe prawo: za ucieczkę z miejsca

zesłania — *20 lat katorgil* Surowość, zdawałoby się, nieproporcjonalna.

Miejscowa komendantura sama decydowała, co należy uważać za ucieczkę, a co nie wchodzi w zakres tego pojęcia, gdzie znajduje się owa linia graniczna, której zesłaniec nie może przekroczyć — i czy wolno mu udać się do lasu po drzewo albo na grzyby. Na przykład w Chakassji, w osadzie kopalnianej „Ordżonikidzewski" istniała taka zasada: pójście w góry — to tylko wykroczenie przeciw regulaminowi, czyli 5 lat obozu, gdy kto jednak pójdzie samowolnie w drugą stronę, w stronę linii kolejowej — jest to już ucieczka, czyli 20 lat katorgi. I do tego stopnia rozpanoszyła się już tam karygodna wada pobłażliwości, że gdy grupa zesłanych Ormian, doprowadzona do desperacji samowolą zarządu kopalni poszła ze skargą do centrum rejonowego — a zezwolenia komendantury na tę wycieczkę naturalnie nie mieli — to dostali za tę *ucieczkę* jedynie po 6 lat obozu.

Takie to nieporozumienia najczęściej kwalifikowano jako ucieczki, tak samo jakieś naiwne postępki starych ludzi, którzy w żaden sposób nie potrafili zrozumieć i wziąć pod uwagę ludożerczych cech naszego systemu.

347

Pewna Greczynka, już ponad 80-letnia, zesłana była podczas wojny z Symferopola na Ural. Gdy wojna się skończyła i jej syn powrócił do Symferopola, staruszka — oczywiście przyjechała do niego i po cichu zamieszkała w swoim domu. W roku 1949, mając już 87 lat (!) została schwytana, skazana na 20 lat ciężkich robót (87 + 20 = ?) i posłana ciupasem do Ozier-łagu. W okręgu Dżambulskim dobrze znano przypadek innej starej Greczy-nki. Kiedy Greków deportowano z Kubania, została ona zabrana razem z dwiema dorosłymi córkami, trzecia zaś córka — jako że miała męża Rosjanina — została na Kubaniu. Starucha spędziła sobie parę lat na zesłaniu i w końcu postanowiła wrócić do córki na Kubań, aby tam dokonać żywota. „Ucieczka", katorga, 20 lat! — W Kok-Tereku mieszkał wśród nas fizjolog Aleksy Iwanowicz Bogosłowski. Zastosowano w jego przypadku „adenaue-rowską" amnestię (w 1955 roku), ale nie w pełni: zamiast wypuścić go na wolność, przeniesiono go z obozu na zesłanie. Zaczął więc pisać skargi i podania, ale wszystko to długo trwało, a tymczasem w Permie czekała na niego matka. Traciła już wzrok, nie widziała go przez 14 lat, przez cały ten czas, gdy walczył na froncie i siedział w niewoli — i chciała go jeszcze zobaczyć, póki w ogóle widziała cokolwiek. Ryzykując katorgę Bogosłowski postanowił wymknąć się na tydzień, aby pojechać do matki i wrócić. Skombinował sobie delegację służbową na odległe wypasy bydła w pustyni, sam zaś pojechał pociągiem do Nowosybirska. W Kok-Tereku nie zauważono nawet, że go nie ma, ale w Nowosybirsku czujny taksówkarz zwrócił na niego uwagę enkawudystom, ci podeszli, aby skontrolować dokumenty. Bogosłowski ich nie miał, więc musiał powiedzieć prawdę. Przywieziono go do naszego glinianego więzienia i zaczęło się śledztwo. Nagle nadeszło wyjaśnienie, że Bogosłowski w ogóle nie podlega karze zesłania. Gdy go wypuszczono — natychmiast pojechał do matki. Ale już było za późno.

Bardzo zubożylibyśmy panoramę ogólną sowieckiego zesłania, gdybyśmy nie

podkreślili, że w każdym rejonie zesłań czuwał niestrudzony OPER-CZEKWYDZIAŁ, który wzywał do siebie zesłańców na rozmówki, prowadził werbunek konfidentów, kolekcjonował donosy i wykorzystywał je dla preparowania nowych spraw i wyroków. Należało przecież od czasu do czasu urozmaicić bezruch i monotonię zesłania, zastępując je żwawą ruchliwością zatłoczonego obozu. *Drugi magiel* — nowe śledztwo i nowy wyrok, były dla wielu naturalnym finałem zesłania.

Trzebaż było, aby Piotr Wiksne w 1922 roku zdezertował z reakcyjnej, burżuazyjnej łotewskiej armii, uciekł do wolnego kraju Sowietów, tu w 1934 roku za korespondencyjne kontakty z pozostałą rodziną (a rodzina na Łotwie bynajmniej za to nie ucierpiała) — zesłany został do Kazachstanu, aby tu też nie upadł na duchu, lecz jako niestrudzony, choć repres-

348

jonowany maszynista w parowozowni Ajaguza został stachanowcem! 3 grudnia 1937 roku zawisł w parowozowni wielki transparent: „Bierzcie przykład z towarzysza Wiksne!". Zaś już 4 grudnia towarzysza Wiksne zabrano do drugiego magla — z którego nigdy już nie miał wrócić.

R e p e t y na zesłaniu, podobnie jak w obozach, dawano ludziom stale, aby pokazać górze, jak czujni są operczekiści. Jak wszędzie, stosowano tu również *metody nacisku,* dzięki którym aresztant szybciej pojmował sens swojego losu i łatwiej rezygnował z oporu (przypadek Cywilki w Uralsku, w 1937 roku: 32 doby karceru i sześć wybitych zębów). Ale zdarzały się również okresy, jak na przykład rok 1948 — kiedy zarzucano gęsty włók i wyławiano dla potrzeb obozów wszystkich zesłańców pod rząd, jak na Workucie („Workuta staje się ważnym centrum przemysłu, towarzysz Stalin polecił więc ją oczyścić"), albo przynajmniej wszystkich mężczyzn, jak to bywało w innych okolicach.

Ale również dla tych, którzy nie szli do magla po raz wtóry, koniec zesłania był nader mglisty. Tak więc — na Kołymie, gdzie „zwolnienie" z obozu sprowadzało się tylko do przechadzki od wartowni do speckomen-dantury — właściwie zesłanie wcale się nie kończyło, bo z Kołymy nie sposób było wyjechać. A jeśli komuś udało się nawet wyrwać na „Wielką Ziemię" z tej pseudowyspy, co zdarzało się w czasie krótkich okresów pewnego luzu — ten chyba nieraz jeszcze przeklinał swój los: bo wszyscy zwolnieni oberwali na „Wielkiej Ziemi" nowe kary obozu.

Cień wydziału operacyjnego wciąż zasnuwal niebo zesłania, na którym i tak nie brakowało chmur. Pod okiem opera, na łasce donosicieli, zapracowani, wciąż zatroskani o chleb dla dzieci — zesłańcy żyli w ciągłym strachu, odizolowani, odseparowani od siebie nawzajem. Nie było na zesłaniu długich więzienno-obozowych rozmów, zwierzeń i wspominków.

Dlatego trudno zebrać relację o zesłariczym życiu.

Trudno też o fotografię; jeśli fotograf był, to robił jedynie zdjęcia do dokumentów dla wydziałów kadr i specoddziałów. Załóżmy, że grupa zesłańców chciałaby sobie zrobić zdjęcie pamiątkowe. Co by to było, co by znaczyło? Zaraz poszedłby donos do bezpieki: proszę, tu jest ta cała podziemna, antysowiecka organizacja, tu ją macie. I

na podstawie zdjęcia wszystkich wybraliby jak raki z saka.

Nie, nikt u nas nie przywiózł z zesłania tych grupowych i dość pogodnych zdjęć, które przecież znacie: trzeci z lewej to Uljanow, drugi z prawej — Krzyżanowski. A wszyscy syci, przyzwoicie ubrani, nie widać śladów ciężkiej pracy i niedostatku, jeśli bródka — to pięknie przystrzyżona, jeśli czapka — to z dobrego futra.

Bardzo ponure to były czasy, drogie dzieci...

## IVWYWÓZKA NARODÓW

Może jakiś historyk nas skoryguje, ale w zwykłej ludzkiej pamięci nie utrwalił się żaden przykład masowej, przymusowej deportacji całych narodów ani w dziejach wieku XIX, ani XVIII, ani nawet XVII. Było wiele wypadków ujarzmienia i zaboru typu kolonialnego na dalekich wyspach, w Afryce, w Azji, na Kaukazie, zwycięzcy uzurpowali sobie władzę nad ludnością rdzenną, ale jakoś nie przychodziło owym kolonizatorom do zacofanych głów, aby odrywać całą tę ludność od jej ziemi i wypędzać z domów, co je pradziadowie budowali. Być może tylko wywózki Murzynów z Afryki do Ameryki na plantacje — są jakimś precedensem, ale tam nie działał jeszcze dojrzały system na miarę państwową: byli tam tylko poszczególni chrześcijanie zajmujący się handlem niewolnikami; w piersi owych- chrześcijan świętym ogniem zapłonęła nagła chęć zysku i każdy z nich na własną rękę rzucił się, aby chwytać w dyby, oszukiwać i kupować Murzynów — pojedynczo i grupami.

Dopiero gdy nadszedł wiek XX, w którym miały się spełnić nadzieje cywilizowanej ludzkości, dopiero gdy na podstawie Jedynej Słusznej Teorii i z najwyższego natchnienia Kwestia Narodowa dojrzała i zyskała właściwą interpretację — otóż dopiero wówczas najwybitniejszy specjalista od tej kwestii opatentował najlepszy sposób kompletnej likwidacji całych narodów drogą ich wywózki w ciągu 48 czy 24 godzin — a nawet w przeciągu półtorej godziny.

Rzecz oczywista, nawet dla Niego Samego ta kwestia nie od początku była zupełnie jasna. Pewnego razu napisał nawet nieostrożnie: „Nie zdarzało się i nie może nigdy się zdarzyć, aby ktokolwiek w ZSSR był przed-

350

miotem prześladowań z powodu swojego pochodzenia narodowego"[1]. W latach 20. nadzwyczaj popierano rozwój wszelkich języków narodowych, a co do Krymu — to tak często bębniono, iż jest on tatarski, tatarski, że nawet wprowadzono tam alfabet arabski i wszystkie napisy były w języku tatarskim.

Ale okazało się, że to była omyłka...

Nawet po przeprowadzeniu wielkiej wywózki chłopów, nie zaraz potrafił docenić Wielki Sternik łatwość, z jaką ten zabieg da się zastosować do całych narodów. Doświadczenia mocarnego braciszka — Hitlera z likwidacją Żydów i Cyganów przeprowadzone były później już po rozpoczęciu drugiej wojny światowej. Ojczulek Stalin ważył w myśli ten problem już znacznie wcześniej.

Wyjąwszy tylko Mużycki Pomór — aż do samej ery wywózki narodów — nasze sowieckie deportacje, chociaż przedmiotem ich były całe setki tysięcy, nie szły

jednak w paragon z obozami, nie były tak masywne i głośne, aby zaważyć mogły na biegu dziejów. Byli *zesłańcy-przesiedleńcy* (skazani przez sąd), byli również *zesłani administracyjnie* (to znaczy — bez sądu), ale i ci, i tamci stanowili masę jednostek, z których każda miała rodzinę, urodziła się w określonym roku, opatrzona była w akcie oskarżenia odpowiednim paragrafem, zdjęta *en face* i z profilu — i jedynie mądre, cierpliwe, nie wiedzące co to wstręt Organy potrafiły z tych ziarenek piasku ukręcić bicz, a z tych porozbijanych rodzin stworzyć całe monolity zesłariczych regionów.

Jakiegoż jednak znaczenia i rozpędu nabrał proces zesłania, od kiedy zabrano się do wywózki *specprzesiedleńcówl* Dwie wyżej wspomniane kategorie otrzymały swoje nazwy jeszcze od carów, ten ostatni termin jest już sowiecki, wyłącznie nasz. Czy od tego przedrostka *spec* nie zaczynają się nasze najulubierisze, najintymniejsze wyrazy (specwydział, speczadanie, specłączność, secprzydział, specsanatorium)? W roku Wielkiego Przełomu ochrzczono nazwą specprzesiedleńców wszystkich „rozkułaczonych" — i była to nazwa o wiele właściwsza, elastyczniejsza, tu nie było się czego czepiać, dlatego że procesowi „rozkułaczenia" podlegali wcale nie tylko kułacy, a do terminu „specprzesiedleniec" nikt nic mieć nie może.

I oto rozkazał Wielki Ojciec zastosować ten termin do deportowanych narodów.

Nawet On nie od razu wpadł na ten pomysł. Pierwsza próba była nader nieśmiała: w 1937 roku ileś tam dziesiątków tysięcy bardzo podejrzanych Koreańczyków — bo też jak można ufać tym skośnookim czarnuchom,

Stalin, *Dzielą,* Moskwa, 1951, t. XIII, str. 258.

351

gdy za chwilę ma zacząć się bitwa nad Chałchyn-Gołem i gdy japoński imperializm grozi agresją? — przerzucono z Dalekiego Wschodu do Kazachstanu, a wszystko po cichu i szybko, bez wyjątku — od trzęsących się starców do rozbeczanych niemowląt, pozwalając zabrać im część nędznego dobytku. Tak szybko to przeprowadzono, że pierwszą zimę mieszkać musieli w samanowych lepiankach bez okien (bo i skąd tu wziąć tyle szyb!) i tak po cichu to się odbyło, że nikt, oprócz nowych sąsiadów — Kazachów, nie dowiedział się o tyirrprzesiedleniu, nikt w całym kraju o tym się nie zająknął i żaden korespondent zagraniczny — nawet nie pisnął. (Oto dlaczego cała prasa powinna być w ręku proletariatu).

Spodobało mu się to. Zapamiętał to sobie. I w roku 1940 ten sam zabieg przeprowadzono w okolicach Leningradu, kolebki rewolucji. Tym razem zesłańców wypędzano nie w nocy i nie pod bagnetami, nazywało się, że to „uroczyste fetowanie odjeżdżających" do Karelo-Fińskiej (dopiero co zdobytej zbrojnie) Republiki. W samo południe, wśród trzepotu czerwonych sztandarów i ryku miedzianych trąb, wysłano na nowe ojczyste obszary Finów i Estończyków mieszkających dotąd pod Leningradem. Gdy odwieziono ich już nieco dalej, gdzie ludzi było już nieco mniej (o losach partii złożonej z 600 ludzi opowiadał mi W. A. M.) odebrano wszystkim

paszporty, otoczono transport tyralierą wojska i powieziono dalej — na-samprzód czerwonymi, bydlęcymi wagonami, a następnie — na krypach. Z końcowej przystani w głębi Karelii zaczęto ich rozsyłać „dla zasilenia kadry kołchozowej" i uroczyście fetowani przy wyjeździe a zupełnie wolni obywatele, podporządkowali się. Jedynie 26 buntowników, wśród których był autor relacji, odmówili dalszej jazdy, a nawet gorzej, bo nie oddali paszportów! „Ktoś tu dzisiaj zginie!" — uprzedził ich przedstawiciel władzy sowieckiej — mianowicie Sownarkomu Karelo-Fińskiej Republiki. „Puścicie w ruch karabiny maszynowe?" — krzyknęli tamci. Ale głupi, na diabła tu zaraz karabiny maszynowe? Siedzieli przecież małą gromadką, zewsząd otoczeni, więc tu starczyłoby jakiejś jednej lufy i nikt by o tych *dwudziestu sześciu* Finach poematów nie napisał*. Ale dziwna jakaś tolerancja, opieszałość i brak operatywności przeszkodziły w zastosowaniu tej rozsądnej sankcji. Próbowano ich rozdzielić, wzywano pojedynczo do opera, ale tych 26 chodziło wszędzie razem. I ten ich upór, ta bezmyślna odwaga — wzięła górę! Zostawiono im paszporty i ściągnięto posterunki, które ich pilnowały. W ten sposób nie spadli oni do poziomu

* Aluzja do 26 bolszewickich komisarzy z Baku, którzy zostali w czasie wojny domowej wywiezieni przez interwentów i rozstrzelani w Turkiestanie. Poemat o nich napisał — między innymi — Sergiusz Jesienin.

352

kołchoźników albo zesłańców, ale był to wypadek wyjątkowy. Olbrzymia większość paszporty oddała.

Wszystko to były jedynie próby. Dopiero w lipcu 1941 roku można było zastosować tę metodę na większą skalę: trzeba było całą autonomiczną — i naturalnie przeniewierczą — republikę Niemców Nadwołżańskich (z oboma jej stolicami — Engels i Marxstadt) wygarnąć i przerzucić w ciągu kilku dni na Wschód, możliwie jak najdalej. Tutaj po raz pierwszy dynamiczny system wywózki całych narodów zastosowany był w czystej swojej postaci. O ileż łatwiejsze, bardziej celowe i owocne okazało się stosowanie jednego tylko klucza — kryterium pochodzenia narodowego — od prowadzenia wszystkich tych spraw śledczych i ferowania oddzielnych wyroków. I gdy łapano któregoś z tych Niemców w innych okolicach Rosji (a postarano się wyłapać ich wszystkich), to nie trzeba było miejscowemu NKWD żadnych studiów wyższych, aby zorientować się czy to wróg, czy nie wróg. Wystarczyło, że miał nazwisko niemieckie i już wiadomo było, że trzeba go brać.

System przeszedł kolaudację, został należycie podkręcony i odtąd już miał w sposób zupełnie niezawodny brać w obroty każdy wybrany z góry, wyznaczony i skazany na zagładę za zdradzieckie swoje postępowanie naród — przy tym za każdym razem owe obroty były coraz żwawsze. W ten sposób dobrano się do Czeczericów; Inguszów; Karaczajewców; Bałkarców; Kałmuków; Kurdów; Tatarów krymskich; a wreszcie — kaukaskich Greków. System ten ma tę dynamiczną zaletę, że decyzja Ojca Narodów komunikowana jest tu delikwentom nie w trybie rozpaplanego procesu sądowego, lecz w postaci operacji bojowej jednostek

nowoczesnej piechoty zmotoryzowanej: należycie wyekwipowane dywizje wkraczają nocą na terytorium zamieszkane przez oznaczoną grupę narodową i zajmują kluczowe pozycje. Występna grupa narodowa budzi się rano i widzi dokoła każdego osiedla pierścień karabinów maszynowych i automatów. Daje się więc 12 godzin czasu (ale to było zbyt wiele, bo środki zmotoryzowane rejestrują z tej przyczyny przestój — i na Krymie dawano już tylko dwie, a nawet półtorej godziny) aby każdy mógł wziąć to, co potrafi unieść w ręku. Każdy potem siada, całkiem jak aresztant, po turecku, w pudle ciężarówki (staruszki, karmiące matki: — Siadać, słyszałaś rozkaz!) i ciężarówki te z odpowiednią obstawą udają się na stację kolejową. Stamtąd — bydlęcymi wagonami aż do oznaczonego punktu. A zdarza się, że trzeba jechać jeszcze dalej (krymscy Tatarzy musieli płynąć po rzece Unży, akurat dla nich te północne moczary!), na przykład — ciągnąć jak burłacy tratwy pod prąd 150-200 kilometrów przez dziewicze lasy (od Kołogrywu w górę), podczas gdy na tratwach leżą nieruchomo siwobrodzi starcy.

15 Archipelag Gulag 353

Na pewno z samolotu albo z wysokich gór wyglądało to bardzo majestatycznie: zagrały jednocześnie silniki jak długi i szeroki cały półwysep Krymski (dopiero co wyzwolony - kwiecień 1944 roku) — i setki samochodowych kolumn popełzły jak węże po jego krętych i prostych drogach. Przekwitały właśnie drzewa owocowe. Tatarki wynosiły z cieplarni na ogrodowe grządki rozsadę słodkiej cebuli. Zaczynało się sadzenie tytoniu. (I tu się skończyło. I na wiele lat zniknął tytoń z Krymu). Zmotoryzowane kolumny nie podjeżdżały do samych wsi, zatrzymywały się na skrzyżowaniach dróg, auły otaczane zaś były przez piechotę ze specoddziałów. Rozkaz głosił, że mieszkańcom daje się półtorej godziny na spakowanie rzeczy, ale instruktorzy skracali ten termin nawet do 40 minut — żeby się wykazać, żeby nie spóźnić się na punkt zborny — i żeby w aule więcej zostało dobytku dla *zonderkomanda,* wydzielonego ze specoddziału. Szczególnie zatwardziałe auły, na przykład Ozenbasz nad jeziorem Bijuk, trzeba było palić do fundamentów. Kolumny samochodów wiozły Tatarów na stacje kolejowe i tam, już w wagonach, musieli czekać jeszcze całymi dobami, lamentując i śpiewając żałosne pieśni pożegnalne[2].

Prostota, przejrzystość, jednolitość! — oto prerogatywy systemu wywózki całych narodów! Żadnych wypadków szczególnych! Żadnych wyjątków i protestów poszczególnych jednostek. Wszyscy jadą posłusznie, bo jadą wszyscy — i ty, i on, i ja. Jadą nie tylko ludzie każdego wieku i płci obojga, jadą również ci, którzy są jeszcze w łonie matki — też już są zesłańcami na mocy tego Dekretu, jadą również jeszcze niepoczęci: poczęci bowiem będą pod skrzydłem tegoż Dekretu i od samych narodzin, w sprzeczności z przestarzałym, uprzykrzonym artykułem 35 KK („Karą zesłania nie mogą być dotknięte osoby, które nie osiągnęły jeszcze 16 roku życia") ledwie tylko wytkną nos na świat boży — już będą specprzesiedleńcami, już będą dożywotnio zesłani. A ich pełnoletność, owe sakramentalne szesnaste urodziny, uczczone będą tylko w ten sposób, że odtąd będą musieli regularnie meldować się w komendanturze.

A to, co tam zostało — otwarte na oścież, nie ostygłe jeszcze domy i rozbebeszone sprzęty, całe gospodarstwo, owoce pracy dziesięciu i dwudziestu pokoleń — również w sposób z góry ustalony znajdzie się w ręku pracowników operacyjnych naszych organów ścigania, część przypadnie państwu, a część sąsiadom — członkom szczęśliwszych grup narodowych — i nikt nie będzie pisał skarg w sprawie jakiejś krowy, mebli czy statków.

[2] W 60. latach XIX wieku ziemianie i administracja guberni Taurydzkiej wnieśli petycję o wysiedlenie wszystkich krymskich Tatarów do Turcji. Aleksander II odmówił. W 1943 roku taki sam wniosek złożył gauleiter Krymu; Hitler odmówił.

354

Jednolity i przejrzysty charakter zabiegu spotęgowany byl i podkreślony jeszcze przez to, że tajny Dekret nie szczędził nawet członków partii komunistycznej, wywodzących się z tych niecnych narodów. A więc nie trzeba już sprawdzać nawet legitymacji partyjnych, jeszcze jedno ułatwienie. A od tych członków partii można potem na zesłaniu wymagać, żeby tyrali dwa razy pilniej niż inni — i dopiero wszystko będzie w porządku[3].

Pewna szczelina w tym jednolitym systemie zaznaczała się tylko z winy mieszanych małżeństw (nie daremnie nasze socjalistyczne państwo zawsze odnosiło się do nich z niechęcią). Przy wywózce Niemców, a później Greków takim małżeństwom oszczędzono deportacji. Ale wprowadzało to porządne zamieszanie i w okolicach już szczęśliwie oczyszczonych zostawiało ogniska zarazy. (Przypomnijcie sobie choćby te stare Greczynki, które wracały do dzieci, aby umrzeć w swoim domu).

Dokąd wywożono te narody? Najchętniej i najczęściej do Kazachstanu tak, iż tutaj, razem ze zwykłymi zesłańcami, stanowią teraz dobrą połowę ludności tej republiki, która mogłaby z powodzeniem zmienić nazwę na KaZEKstan. Ale nie pokrzywdzono również Azji Środkowej ani Syberii (masa Kałmuków wymarła na wygnaniu nad Jenisejem), ani Północnego Uralu i całej Północy Rosji europejskiej.

Czy można zaliczyć do wywózki narodów deportacje z krajów nadbył-tyckich? Warunków formalnych ten rodzaj wywózek nie spełniał: deportowano nie wszystkich jak leci, a narody te mieszkają dalej tam, gdzie mieszkały (trochę za blisko Zachodu, a szkoda, bo tak swędzi ręka!). Wygląda na to, że zostały na miejscu, ale przetrzebiono je na medal.

Wyczesywać naszym zgrzebłem zaczęto je bardzo wcześnie: jeszcze w 1940 roku, natychmiast po wkroczeniu naszych wojsk, zanim jeszcze te uszczęśliwione narody jednomyślnie przegłosowały rezolucję o przystąpieniu do Związku Sowieckiego Republik. Selekcja zaczęła się od oficerów. Trzeba zrozumieć, czym było dla tych młodych organizmów państwowych ich pierwsze (i ostatnie) pokolenie własnych oficerów: byli to nie pyszał-kowaci paniczykowie, tylko wcielona powaga, odpowiedzialność i energia

[3] Nawet Wielki Sternik nie mógł przewidzieć wszystkich komplikacji. W 1929 roku wygnano z Krymu tatarskich książąt i starszyznę'. Postępowano przy tym oględniej niż w Rosji: nie podlegali oni aresztowaniu, tylko sami przenosili się do Azji Środkowej. Tutaj, w otoczeniu pobratymczej ludności muzułmańskiej, stopniowo zdołali zdobyć sobie pozycję i wrośli w teren. I oto — po upływie 15 lat — na ten sam teren przywieziono wszystkich Tatarów z warstw pracujących, co do jednego! Starzy znajomi znów się spotkali. Tylko teraz członkowie warstw pracujących byli zdrajcami i zesłańcami, zaś eks-arystokraci zajmowali przyzwoite stanowiska w aparacie administracyjnym, a wielu — nawet w partii.

355

narodu. Jeszcze jako gimnazjaliści w śniegach nad Narwą uczyli się bronić nieokrzepłej ojczyzny własną, nieokrzepłą piersią. Teraz ten koncentrat doświadczenia i energii ścięto jednym machnięciem kosy i na tym polegał najważniejszy manewr przygotowawczy przed plebiscytem. Była to recepta wypróbowana — czy nie tak samo postąpiono niegdyś w samym naszym Związku? Po cichu i szybko likwiduje się tych, którzy mogą stanąć na czele ruchu oporu, a także tych, którzy mogą podżegać innych swoimi myślami, przemówieniami, książkami — i proszę, wygląda na to, że naród jest dalej tam, gdzie był, a tymczasem — nie ma już narodu. Martwy ząb przez czas jakiś przypomina z pozoru ząb żywy.

Ale to, co w 1940 roku zaszło w krajach nadbałtyckich — to nie były deportacje, tylko fala aresztowań do obozów, a dla wielu — rozstrzelanie na kamiennym więziennym podwórku. Również w 1941 roku, w czasie odwrotu łapano, ilu tylko było można ludzi zamożnych, wybitnych, znanych — i wywożono, zagarniano ich ze sobą, jak cenną zdobycz, aby potem wyrzucić jak nawóz na stężałą ziemię Archipelagu (zabierano ich tylko w nocy, 100 kilogramów bagażu na całą rodzinę, a głowy tych rodzin już przy załadunku lokowano osobno, aby później zlikwidować bądź wtrącić do więzień). Następnie przez całą wojnę leningradzkie radio nadawało dla krajów nadbałtyckich audycje pełne pogróżek, zapowiadając surową zemstę. W roku 1944, gdy wrócili tu nasi, pogróżki te wprowadzili w życie, pakowano ludzi do więzień gęsto, masami. Ale nawet to nie mogło być jeszcze uznane za wywózkę całego narodu.

Największa wywózka miała miejsce w 1948 roku (niepokorni Litwini), w 1949 (ze wszystkich trzech krajów) i w 1951 (jeszcze raz Litwini). W tych samych latach, równolegle zgrzeblono także Zachodnią Ukrainę i ostatnia wywózka masowa odbyła się tam w 1951 roku.

Kogóż to chciał Generalissimus wywieźć w 1953 roku? Czy Żydów? Czy jeszcze kogoś oprócz nich? A może całą Ukrainę Prawobrzeżną? Nigdy już nie poznamy tego wielkiego planu. Co do mnie, podejrzewam na przykład, że Stalin miał niezwałczoną chęć zesłania całej Finlandii na pustynne tereny graniczące z Chinami, ale nie udało mu się to ani w 40., ani w 47. (próba przewrotu Leino). Znalazłby na pewno miejsce za Uralem także dla Serbów albo i dla Greków z Peloponezu.

Gdyby ta Czwarta Kolumna Przodującej Teorii postała jeszcze jakieś 10 lat — nie poznalibyśmy etnicznej mapy Eurazji, doszłoby do wielkiej Wędrówki Ludów w odwrotnym kierunku.

356

Ile tych narodów wywieziono — tyle też kiedyś powstanie poematów epickich — o rozłące z ziemią ojczystą i o sybirskiej zagładzie. Tylko oni sami zdołają zgłębić uczuciem wszystko to, co przeszli, i nie naszą jest rzeczą mówić im o tym, ani zabiegać im drogę.

Ale po to, by czytelnik mógł sobie uświadomić, że chodzi tu wciąż o ten sam kraj zesłania, który już poznał, o to samo śmietnisko u brzegów tegoż Archipelagu — przyjrzyjmy się przez chwilę dziejom wywózki Bałtów.

Wywożono Baltów nie gwałcąc wcale woli ludu, przeciwnie — jedynie i wyłącznie w zupełnej z nią zgodzie. W każdej z trzech republik nadbałtyckich miejscowa Rada Ministrów powzięła w sposób zupełnie spontaniczny uchwałę (w Estonii — 25 listopada 1948 roku) przewidującą zesłanie określonych kategorii swoich rodaków na daleką, obcą Syberię, a przy tym na w i e c z n e c z a s y, tak aby nigdy nie powrócili już na ziemię ojczystą. (W tym geście znajduje wyraz i zupełna niezależność nadbałtyckich rządów, i skrajny stopień rozdrażnienia, do jakiego rządy te zostały doprowadzone przez nikczemnych i nędznych swoich rodaków). Oto te kategorie: a) rodziny osób już skazanych (nie dość, że ojcowie wydają ostatnie tchnienie w obozach, należało również wypalić żywym ogniem całe ich nasienie); b) bogaci chłopi (ten zabieg bardzo przyśpieszał kolektywizację, której potrzeba w krajach nadbałtyckich już dojrzała) i wszyscy członkowie ich rodzin (studentów w Rydze zgarniano tej samej nocy, której rodzice ich zabierani byli z ojczystego futoru); c) wybitniejsi działacze zajmujący niezależną pozycję, którzy zdołali jednak przemknąć się przez oka sieci w 1940, 41. albo 44. roku; d) osoby (wraz z rodzinami) po prostu nastawione wrogo, które nie zdążyły uciec do Skandynawii, albo takie, którym miejscowi aktywiści mieli coś do zarzucenia.

Aby godność naszej wspólnej Wielkiej Ojczyzny nie poniosła uszczerbku, a także po to, aby nie dać żeru *wrogom* z Zachodu — uchwały tej nie opublikowano w gazetach, nie podano jej do wiadomości publicznej i nie zakomunikowano nawet samym zesłanym w momencie wywózki. Dowiedzieli się o niej dopiero na miejscu, w syberyjskich komendanturach.

Organizacja samej wywózki tak bardzo się udoskonaliła od czasów operacji koreańskiej, czy nawet krymsko-tatarskiej, cenne doświadczenie zostało już tak upowszechnione i przyswojone — że jednostkami rachuby czasu były teraz nie doby czy godziny, ale minuty. Ustalono i wykazano praktycznie, że nie musi minąć więcej niż 20-30 minut od pierwszego, nocnego pukania do drzwi aż do wyjścia ostatniego z członków rodzin z progów domostwa w głąb nocy na czekającą ciężarówkę. W ciągu tych 20-30 minut wyrwana ze snu rodzina zdążyła ubrać się,

uświadomić sobie, że wywożą ją na wieczne czasy, podpisać papier ze zobowiązaniem do

357

wyrzeczenia się wszelkich roszczeń materialnych, zebrać swoje staruchy i dzieci oraz tobołki i na rozkaz opuścić dom. (Co do pozostawionych rzeczy ___nie było z nimi żadnego kłopotu. Po wyjściu konwoju przycho dzili przedstawiciele urzędu finansowego dla sporządzenia spisu przed miotów skonfiskowanych. Sprzedawano je później w sklepach komisowych na rzecz skarbu państwa. Nie mamy prawa zarzucać inspektorom, że przy okazji chowali sobie coś za pazuchę albo wywozili to i owo „na lewo". Nie bardzo to było potrzebne, bo wystarczało wypisanie jeszcze jednego po kwitowania — tym razem z komisu — i każdy z przedstawicieli władzy ludowej mógł kupioną za bezcen rzecz zabrać sobie legalnie do domu).

Co tu było począć w ciągu 20-30 minut? Jak wybrać to, co najważniejsze? Lejtnant kierujący wywózką pewnej rodziny (babka — 75-letnia, matka 50-letnia, córka lat 18, i syn lat 20) poradził: „Koniecznie zabierzcie maszynę do szycia!". Kto mógł się domyśleć? Tymczasem ta maszyna do szycia była potem jedyną żywicielką całej rodziny[4].

Zresztą szybkość tej całej operacji czasami wychodziła samym skazańcom na korzyść. Wicher przeleciał — i już go nie ma. Nawet najlepsza miotła zawsze trochę śmiecia zostawi. Jeżeli jakaś kobieta potrafiła przeczekać ze trzy doby nie nocując w domu — mogła przyjść do wydziału finansowego, poprosić o zdjęcie pieczęci z mieszkania i, wyobraźcie sobie, pieczęcie zdejmowano. Bierz cię diabli, mieszkaj sobie do następnego Dekretu.

Do tych małych, bydlęcych wagonów towarowych, do których zwykle ładuje się 8 koni albo 32 żołnierzy, albo 40 więźniów — pakowano po pięćdziesięciu a nawet więcej deportowanych mieszkańców Tallina. W pośpiechu nie zdążono niczego w wagonach zainstalować i nie od razu pozwolono pasażerom wyrąbać odpowiednie dziury. Kibel — stare wiadro — wkrótce wypełnił się po brzegi, zawartość przelewała się chlapała na rzeczy. Już w pierwszym momencie zmuszono tych dwunogich ssaków do zapomnienia, że kobieta i mężczyzna należą do różnych płci. Przez półtora dnia byli zamknięci bez kropli wody i bez jedzenia. Jakieś dziecko umarło. (A przecież o tym wszystkim niedawno czytaliśmy, prawda? Dwa rozdziały wstecz, 20 lat minęło — a wciąż to samo...). Długo stali na stacji Julemiste, a po peronach biegali ludzie, pukali w dechy wagonów, pytali o nazwiska, daremnie starając się dać na drogę żywność i rzeczy. Zostali odpędzeni. A ludzie w wagonach byli głodni. Nie mieli odzieży, a czekała ich Syberia.

[4] Czy ci konwojenci rozumieli co robią i jak to rozumieli? Gdy deportowano Marię Sumberg, wśród konwojentów byl miedzy innymi Sybirak znad rzeki Czułym. Wkrótce poszedł do cywila, przyjechał do domu, tam spotkał zesłaną i powitał ją radosnym, szczerym uśmiechem: „Paniusiu! — czy paniusia mnie pamięta?..."

358

W drodze zaczęto wydawać im chleb, a na niektórych stacjach — zupę. Wszystkich wywiezionych czekała daleka droga: do okręgu nowosybirskiego, do irkuckiego, do Kraju Krasnojarskiego. Do samego tylko Bara-biriska przywieziono 52 wagony Estończyków. Do Achyńska — transport jechał 14 dni i nocy.

Co podtrzymuje ludzi na duchu w czasie tak strasznej drogi? Dodać im ducha może tylko nadzieja, która nie bierze się z wiary, lecz z nienawiści: „Niedługo ich szlak trafi! Już w tym roku będzie wojna i jesienią wrócimy do domu".

Nikt z ludzi żyjących w normalnych warunkach na Zachodzie, czy na Wschodzie nie potrafi dziś zrozumieć, uznać za słuszne, ani nawet wybaczyć ówczesnych nastrojów, jakim ulegaliśmy za kratami. Pisałem już, że takie właśnie nadzieje i pragnienia wypełniały nam dusze w 49. czy w 50. roku. Właśnie w tych latach nieprawość i nikczemność tego systemu, tych wszystkich 25-letnich wyroków, tych powtórnych zesłań na Archipelag — tak już wezbrała, że doszła do stanu wybuchowego, już otwarcie nieznośnego, takiego, że żadna ochrona nie mogła gwarantować jego dalszego trwania. (Pozwólmy sobie zresztą na pewne stwierdzenie ogólne: jeśli reżym jest niemoralny — poddani wolni są od wszelkich zobowiązań wobec niego). Jak potworne muszą być warunki życia, aby tysiące tysięcy ludzi w celach, w karetkach więziennych i w bydlęcych wagonach modliły się
0 niszczycielską wojnę atomową, widząc w niej jedyne wyjście?!...

Ale nikt nie płakał. Nienawiść osusza łzy.

Estończycy w czasie tej drogi myśleli również o innej rzeczy: zastanawiali się, jak powitają ich mieszkańcy Syberii? Wiedzieli, że w 40. roku Sybiracy obdzierali zesłanych Bałtów, wyzuwali ich z przywiezionego dobytku, za futro dawali pół wiadra kartofli. (Takeśmy wtedy sami byli goli, że Bał-towie rzeczywiście prezentowali się przy nas jak burżuje).

Teraz, w 49. roku nagadano Sybirakom, że wiozą do nich zatwardziałych kułaków. Ale ci kułacy wychodzili z wagonów zupełnie już zadręczeni
1 obdarci. Przy kontroli sanitarnej rosyjskie pielęgniarki dziwowały się,
jakie te kobiety chude i obdarte, jak brak im nawet czystej szmatki dla
dziecka. Przybyłych posłano do wyludnionych kołchozów i tam, w tajem
nicy przed władzą, syberyjskie kołchoźnice przynosiły im to, co same w do
mu miały: pół litra mleka czy trochę podpłomyków z buraka albo z bardzo
marnej mąki.

I dopiero teraz — Estonki zapłakały.

Ale był jeszcze przecież aktyw komsomolski!, Ci właśnie uwierzyli chętnie, że przyjechał tu faszystowski pomiot („Kamień na szyję i do wody! Tak by z wami trzeba!" — wrzeszczeli), co to jeszcze pracować nie chce

359

dla dobra kraju, który wyzwolił tych łotrów z burżuazyjnej niewoli. Ci komsomolcy zostali nadzorcami zesłańców, poganiając ich do roboty. Uprzedzono ich też, że na

pierwszy dany znak mają organizować obławy.

Na stacji Aczyrisk zdarzyła się zabawna pomyłka: władze rejonu birilus-skiego k u p i ł y od konwoju dziesięć wagonów zesłańców, 500 ludzi do swoich kołchozów nad rzeką Czułym i zdołały sprytnie chyłkiem przerzucić te wagony 150 kilometrów na północ od Aczyriska. Tymczasem powinny one były (ale zesłańcy o tym przecież nie wiedzieli) pojechać do Chakassji, do dyspozycji zarządu kopalń w Saralińsku. Czekali tam na ten *kontyngent;* tymczasem kontyngent znalazł się w kołchozach, które wypłacały poprzedniego roku po 200 gramów ziarna na dniówkę. Tej wiosny nie miały już ani ziarna, ani kartofli i krowi ryk unosił się nad siołami: głodne krowy rzucały się jak dzikie na półzgniłą słomę. Nowo przybyłym kołchoz wydawał po kilogramie mąki tygodniowo na głowę — i nie był to wcale dowód wrogości ani surowości — była to zupełnie przyzwoita zaliczka, dorównująca niemal całej przyszłej tygodniówce! Estoriczycy tylko za głowę się wzięli — przypomnieli sobie warunki w swoim kraju... (Co prawda, w miejscowości Polewoj, całkiem niedaleko od nich, stały wielkie spichrze pełne ziarna: przybywało go z roku na rok, ponieważ władze nie dawały sobie rady z wywózką. Ale to ziarno należało już do państwa i kołchoz nie mógł nim rozporządzać. Dookoła ludzie zdychali z głodu, ale nie dawano im ani ziarenka z tych spichrzy — było państwowe. Przewodniczący kołchozu Paszkow pewnego razu wydał z własnej inicjatywy po pięć kilo ziarna na każdego jeszcze żywego kołchoźnika — i poszedł za to do obozu. Państwo miało swój chleb — a kołchoz swoje kłopoty i nie to jest tematem tej książki).

Estończycy biedowali nad tą rzeką Czułym przez trzy miesiące, ze zdumieniem obserwując działanie nowego dla nich prawa — *jak nie chcesz zdechnąć — to kradnij!* I już myśleli, że zostaną tu na wieczne czasy, aż nagle wygarnęli ich wszystkich i zawieźli do rejonu Saraliriskiego w Chakassji (bo gospodarze nareszcie znaleźli swój kontyngent). Chakasów jakoś wcale tam nie było widać, każda osada pełna była zesłańców i w każdej była komendantura. Dookoła — kopalnie złota, a więc wiercenie, a więc pylica. (Wielkie te przestrzenie nosiły tylko nazwę Chakassji czy Kraju Krasnojarskiego, były to raczej włości przedsiębiorstw Chakzołoto albo Jenisejstroj i władzę na nich sprawowały nie rady rejonowe i nawet nie rejkomy partii, tylko generałowie wojsk MWD, sekretarze rejkomów kłaniali się zaś w pas rejonowym komendantom). Pół biedy, jeśli kogoś posłali prosto do kopalni. Najgorzej było tym, których skierowano do artelu poszukiwaczy złota. Poszukiwacz złota! Jakże ponętnie to brzmi, samo to

360

słowo mieni się jak złoty piasek. Jednakże w naszym kraju potrafią wypaczyć sens każdego ludzkiego pojęcia. Do „arielów" tych zapędzano spec-przesiedleńców tylko dlatego, że nikt z nich nie odważyłby się na sprzeciw. Kazano im eksploatować kopalnie uznane przez państwo za niewydajne i dlatego już zamknięte. W kopalniach takich nie było żadnych urządzeń zabezpieczających i woda lała się strugami. Nie sposób było w tych warunkach wykonać normy i zapracować na chleb; półżywych ludzi posyłano tam jedynie po to, aby wylizać resztki złota, bo nawet

resztek państwu było szkoda. Artele podlegały „sekcji poszukiwań" zarządu kopalni, a zarząd wiedział tylko o jednym: wyznaczać plan i żądać jego wykonania, żadnych innych obowiązków nie miał. Artele były „wolne" — ale nie w stosunku do państwa, lecz jedynie — wobec prawa o ochronie pracy: członkom artelu nie należał się płatny urlop, pracowali nieraz w niedziele (jak normalni więźniowie), a mogli nagle dowiedzieć się, że w najbliższym miesiącu żadnych niedziel nie będzie, bo to miesiąc „stachanowski". Ale państwo dalej czuwało: za jedną bumelkę — szło się pod sąd. Dwa razy miesięcznie zjeżdżał się sąd na sesje i bardzo wielu skazywał na 25% potrącenia z pensji; powody zawsze się znalazły. Zarabiali ci „poszukiwacze" miesięcznie 3-4 „złote" ruble — 150-200 rubli sprzed wymiany).

W niektórych kopalniach pod Kopiewem zesłańcy dostawali pensję nie gotówką, lecz bonami: bo i rzeczywiście — na co im normalne pieniądze, skoro i tak nie wolno im ruszać się z miejsca, a w kopalnianej kantynie przyjmują również bony.

W tej książce próbowałem już porównać szczegółowo los więźniów z losem chłopów pańszczyźnianych. Zważmy jednak, że — jak z historii Rosji wiadomo — najcięższy był nie los pańszczyźnianych chłopów, lecz robotników pańszczyźnianych manufaktur. Te bony nadające się do zakupów tylko w kantynie przywodzą natychmiast na pamięć warunki życia w ałtaj-skich fabrykach i kopalniach. Przypisani do nich robotnicy w XVIII i XIX wieku dopuszczali się celowo przestępstw tylko po to, aby znaleźć się na katordze, gdzie życie było *trochę lżejsze*. W kopalniach złota na Ałtaju, nawet w końcu zeszłego wieku, „robotnicy nie mieli prawa wymówić się od pracy nawet w niedzielę (!), płacili kary (porównaj z naszymi potrąceniami), a ponadto były tam sklepiki, które sprzedawały produkty najgorszego gatunku, a robotników spijano w nich i oszukiwano. „Właśnie te sklepiki, nie zaś źle zorganizowane wydobycie złota, były głównym źródłem dochodów" właścicieli złotodajnych terenów[3] czyli po naszemu — trustu.

[5] Siemionow Tiań-Szański, *Rossija*, Tom XVI.

361

A cóż to takiego! to już nie ma nic oryginalnego na naszym Archipelagu?

W 1952 roku drobniutka i krucha Ch. S. w czasie silnych mrozów nie poszła do pracy, ponieważ nie miała walonek. Za tę zbrodnię kierownik artelu obróbki drzewa posłał ją na trzy miesiące na wyrąb lasu — oczywiście — bez walonek. — Ta sama kobieta parę miesięcy przed porodem prosiła o skierowanie do lżejszej pracy, gdzie nie musiałaby przynajmniej dźwigać pni, ale w odpowiedzi usłyszała tylko: jak ci się nie podoba — to spróbuj dostać zwolnienie. Lekarka-ignorantka zbadała ją i pomyliła się o cały miesiąc w prognozie połogu; w rezultacie dała jej ustawowe zwolnienie dopiero na dwa czy trzy dni przed porodem. Tam, we włościach MWD, w głębi tajgi, nie ma miejsca na dyskusje.

Ale wszystko to jeszcze nie było prawdziwą katastrofą życiową. Co to jest katastrofa życiowa, dowiadywali się jedynie ci przesiedleńcy, których posłano do kołchozów. Wciąż jeszcze trwają spory (i nie bez przyczyny): czy biorąc ogólnie — w kołchozie

lżej jest niż w obozie? A co by dopiero było, gdyby dokonać skrzyżowania kołchozu z obozem? Otóż w takiej właśnie sytuacji znaleźli się specprzesiedleńcy w kołchozach. Z jednej strony podobnie jak w kołchozie — nie wydawano im pajki; tylko w czasie kampanii siewnej przydzielano 700 gramów chleba dziennie, zresztą — ze zgniłego na poły ziarna, koloru ziemi, piaszczystego (zamiatano widać podłogi w spichrzach). Z drugiej strony — podobnie jak w obozie, pakują człowieka do bunkra: wystarczy, że brygadzista poskarży się w zarządzie na swojego pra-cownika-zesłarica, że z zarządu zadzwonią do komendantury, a już komendant pakuje człowieka do kozy. Co zaś do zarobków, to w ogóle nie można się zorientować, na jakiej zasadzie je obliczano: w ciągu pierwszego roku pracy w kołchozie Maria Sumberg otrzymała za każdą dniówkę *20 gramów ziarna* (byle ptaszyna boża więcej sobie nadziobie na wiejskiej drodze!) i 15 stalinowskich kopiejek (czyli 1,5 kopiejki chruszczowowskiej). Całoroczny zarobek wystarczył jej na kupno... aluminiowej miski.

Jak więc utrzymywali się przy życiu?! A dzięki paczkom żywnościowym z kraju. Przecież nie cały ich naród został zesłany.

A kto posyłał paczki Kałmukom? A krymskim Tatarom?... Przejdźcie się po cmentarzu, zapytajcie.

Z łaski ojczystej, nadbałtyckiej Rady Ministrów albo dzięki miejscowej już, syberyjskiej konsekwencji w postępowaniu — do bałtyckich specprze-siedlericów aż po sam rok 1953, póki Ojciec żył jeszcze — stosowano zasadę: zaprzęgać wyłącznie do najcięższych robót! Kilof, łopata i piła, nic więcej! *„Tu macie się nauczyć, jak być ludźmi!"*. I jeśli przedsiębiorstwo kogoś z nich awansowało, komendantura wtrącała się i sama przenosiła faceta na *ogólne*. Nie pozwalano specprzesiedleńcom nawet na przekopy-

362

wanie ziemi w ogrodzie przy domu wczasowym zarządu kopalni — aby nie ubliżyć tym stachanowcom, którzy w owym domu odpoczywali. Komendant nie pozwolił Marii Sumberg pracować nawet w oborze przy cielętach: „Nie przysłano was tu na letnisko, idźcie do grabienia siana!". Z trudem udało się przewodniczącemu ją wybronić. (Maria uratowała mu cielęta od brucellozy. Polubiła syberyjskie bydło, twierdziła, że jest łagodniejsze od estońskiego; nie przyzwyczajone do ludzkiej dobroci krowy lizały jej ręce).

Trzeba było któregoś dnia szybko załadować ziarno na krypę — i spec-przesiedleńcy bezpłatnie i bez słowa podziękowania pracować musieli przez 36 godzin z rzędu (działo się to nad rzeką Czułym). W ciągu całego tego czasu mieli dwie przerwy na jedzenie po 20 minut i jedną trzygodzinną przerwę na wypoczynek. „Jak się wam nie podoba — to poślemy was jeszcze dalej na północ!". Gdy jakiś starzec upadł pod ciężarem worka — nadzorcy-komsorriolcy skopali go nogami.

Co tydzień trzeba chodzić do komendantury. Że kilka kilometrów?, że starucha ma już 80 lat?, to znajdźcie konia i przywieźcie ją! — Za każdym razem komendant przypomina: za ucieczkę — 20 lat ciężkich robót.

Tuż obok — gabinet pełnomocnika operacyjnego. Tam też ludzi wzywają. Proponują lżejszą pracę — na przynętę. I zagrożą przy okazji, że jedyną córkę poślą za koło podbiegunowe, daleko od matki i ojca.

A czy to nie jest w ich mocy? Czy odruch sumienia powstrzymał kiedykolwiek ich rękę?...

A oto poruczenia: śledzić takiego a takiego. Zbierać materiały obciążające przeciw takiemu to a takiemu.

Gdy do poczekalni wejdzie byle sierżant, wszyscy specprzesiedleńcy, nawet stare kobiety, powinni wstać; bez pozwolenia siadać im nie wolno.

A może czytelnik doszedł do wniosku, że specprzesiedleńcy pozbawieni zostali praw obywatelskich?

Ależ nie, bynajmniej! Swoje prawa obywatelskie zachowywali w całej pełni! Nie odbierano im paszportów. Nie pozbawiono ich prawa do udziału w powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim głosowaniu. Nikt nie odebrał im tego najwyższego, wzniosłego przywileju — aby z kilkuosobowej listy kandydatów wykreślić wszystkie nazwiska prócz jednego, prócz imienia ich wybrańca. Do tego dalej mieli święte prawo. I nikt nie zabraniał im w dalszym ciągu subskrybować państwowych pożyczek (przypomnijmy sobie tylko męki komunisty Diakowa w obozie!); podczas gdy *wolni* kołchoźnicy z gderaniem i ze skrzypem dawali na pożyczkę po 50 rubli, z Estończyków wyciskano po 400: „Toć jesteście bogaci. A jak kto się nie podpisze — nie pozwolimy mu przysyłać paczek i ześlemy jeszcze dalej na północ".

A ześlą — dlaczego nie?...

363

O, co za udręka! Znowu i znowu to samo! Toć wydawało się, że tę część książki zaczęliśmy jakby z innej beczki: nie obozy już, tylko zesłanie. Także ten rozdział miał mieć, zdawało się, jakiś inny temat: nie zesłańcy, tylko specprzesiedleńcy.

A sprowadza się wszystko do tego samego.

I czy w ogóle to ważne — i długoż to mamy jeszcze, i jeszcze, i jeszcze mówić o takich i owakich, i jeszcze jakichś innych zesłańczych sprawach i krajach? O innych by okolicach, nie o tych. O innych latach. I nie o tych narodach.

A o jakich niby?...

Przemieszane, przetasowane, wystawione innym na pokaz — zesłane narodowości chcąc nie chcąc ujawniły teraz swoje cechy charakterystyczne. Łatwiej można było przyjrzeć się ich sposobowi bycia, ich tradycyjnym zamiłowaniom i skłonnościom.

Największą pracowitością wyróżniali się Niemcy. Odcięli swoje dawne życie jak toporem, bez szemrania godząc się z losem jeszcze prędzej niż inni (bo też czy były ich ojczyzną te obszary nad Wołgą albo nad Manyczem?). Jak niegdyś w te żyzne ziemie, hojnie nadane im przez Katarzynę — wrośli dzisiaj w nowy grunt — bezpłodny, surowy, nadany przez Stalina. I ofiarowali samych siebie tej ziemi, jako ostatniej już przystani. Jęli się zagospodarowywać — nie do pierwszej amnestii, nie

do pierwszej carskiej łaski, tylko na zawsze. Zesłani w 1941 roku, z pustymi rękoma, ale zapamiętali w pracy, niestrudzeni — nie upadli na duchu, tylko wzięli się również tutaj do roboty metodycznie i rozumnie. Czy jest na ziemi taka pustynia, której Niemcy nie potrafiliby przekształcić w kwitnący kraj? Niedaremnie powiadano w dawnej Rosji: Niemiec — jak ta wierzba — gdzie go wetkniesz, tam zapuści korzenie. W kopalniach, w ośrodkach maszyn rolniczych, w sowchozach — naczelnicy nie mogli się wprost Niemców nachwalić, bo też lepszych pracowników nie miewali. Na początku lat 50. mieli już Niemcy — w porównaniu z innymi zesłańcami, a często nawet z miejscowymi — najsolidniejsze, największe i najczystsze domy; najlepiej upasione tuczniki; najbardziej mleczne krowy. Narzeczone z niemieckich domów były najbardziej rozchwytywane, nie tylko z uwagi na zamożność rodziców, lecz dla swojej czystości i surowości obyczajów, tak niezwykłej w tym rozbestwionym świecie przyobozowym.

Również Grecy zakasali rękawy po łokcie. Co prawda, nie porzucili rojeń o powrocie na Kubań, ale tu też nie szczędzili sił. Mieszkali w więk-

364

szej ciasnocie niż Niemcy, ale ich ogrody i krowy wcale nie były gorsze. Na bazarach Kazachstanu najlepszy twaróg, masło i warzywa można było dostać u Greków.

W Kazachstanie najlepiej chyba powodziło się Koreańczykom — ale byli, też zesłani wcześniej, a w latach 50. już niemal całkiem zwolnieni z poddaństwa. Nie musieli się już meldować w komendanturze, bez przeszkód przejeżdżali z okręgu do okręgu i nie wolno im było jeszcze tylko opuszczać granic Kazachstanu. Darzyło im **się;** ale nie stan ich domów i gospodarstw był tego miernikiem (domy ich były nieprzytulne i nawet prymitywne, a zmieniło się to dopiero wtedy, gdy młodzież zaczęła żyć po europejsku). Rzecz w tym, iż okazali się narodem nadzwyczaj zdolnym i szkoły oraz zakłady naukowe Kazachstanu zapełniły się szybko Koreańczykami (już w latach wojny nikt im w tym nie czynił przeszkód), którzy też stali się zwornikiem miejscowej inteligencji fachowej.

Inne grupy narodowe, marząc w głębi ducha o powrocie, niepewne własnych dążeń, trawiły życie w rozterce. Na ogół jednak biernie aprobowały swoją sytuację i nie sprawiały większych kłopotów komendanturom.

Kałmucy nie potrafili temu życiu stawić czoła. Wymierali w posępnej ciszy. (Zresztą — nie miałem z nimi kontaktu).

Był jednak pewien naród, który nie uznawał żadnych ustępstw wobec psychologii pokory. Chodzi przy tym nie o buntownicze jednostki, mowa o całym narodzie. Byli to Czeczeńcy.

Widzieliśmy już jaki był ich stosunek do zbiegów z obozu. Oni też jedni spośród zesłańców mieszkających pod Dżezkazganem usiłowali nieść pomoc kengirskim powstańcom. Powiedziałbym, że wśród wszystkich spec-przesiedleńców jedynie Czeczeńcy byli zekami z ducha. W nic już nie chcieli wierzyć od chwili, gdy ich zdradziecko wypędzono z ich własnego kraju. Pobudowali sobie sakle — niskie,

ciemne, nędzne; zdawało się, że można je rozwalić jednym kopniakiem. Takie same też były całe ich gospodarstwa. Wszystko jakby na jeden dzień, na miesiąc, najwyżej na rok, zupełnie prowizoryczne, bez zapasów, planów, dalszych projektów. Tyle że jedli i pili, a młodzi jeszcze starali się trochę przyodziać. Mijały lata i wciąż tak samo niewiele mieli w dobytku, jak na początku. Żaden Czeczeniec nigdy nie starał się panom gospodarzom — ich stosunek do zwierzchności cechowała natomiast wyniosłość i otwarta wrogość. Nic sobie nie robiąc z obowiązku szkolnego i wszelkich szkolnych mądrości, nie puszczali swoich dziewczynek do powszechniaka, żeby ich tam nie zepsuto. Zresztą, chłopców też nie zawsze. Swoim kobietom nie pozwalali należeć do kołchozu. Sami też
Najchętniej brali się za szoferkę: praca przy silniku nie poniża, a jeździeckie namiętności tych dży-

365
gitów znajdowały ujście w czasie stałych rozjazdów. Zawód kierowcy dawał również szerokie pole do popisu ich złodziejskim namiętnościom. A zresztą, tę ostatnią namiętność potrafili zaspokajać również bezpośrednio. To oni przynieśli do spokojnego, pogrążonego w drzemce i uczciwego Kazachstanu takie pojęcia, jak „zwędzić", „ograbić do ostatniej nitki". Potrafili uprowadzić bydło, okraść dom, a czasem po prostu odebrać siłą, co chcieli. Tym samym łokciem mierzyli zarówno rdzennych mieszkańców, jak tych zesłańców, którzy pokornie słuchali władz. Szanowali tylko buntowników.

I — dziw nad dziwy — wszyscy ich się bali. Nikt nie potrafił wpłynąć na zmianę ich sposobu bycia. I władza, która już od lat trzydziestu sprawowała rządy w tym kraju, w żaden sposób nie mogła ich zmusić do szacunku dla pisanych praw.

Jak to być mogło?

Oto przypadek, który, jak sądzę, potrafi wyjaśnić istotę sprawy.

Gdy byłem nauczycielem w Kok-Tereku, w 9 klasie tej samej szkoły uczył się młody Czeczeniec Abduł Chudajew. Nie budził w nikim sympatii i wcale nie starał jej się budzić, tak jakby go poniżało staranie się o czyjeś względy. Był zawsze ostentacyjnie powściągliwy, bardzo wyniosły, a zdradzał też skłonność do okrucieństwa. Ale równocześnie trudno było nie docenić jego zdolności: był to umysł jasny i bystry. Miał wiele więcej wiadomości z dziedziny matematyki i fizyki niż jego rówieśnicy; starał się zgłębić omawiane problemy, a pytania, które zadawał, świadczyły o niestrudzonym dążeniu do poznania prawdziwej istoty każdej rzeczy. Podobnie jak wszystkie dzieci przesiedleńców, Abduł również został wciągnięty — było to nieuchronne — do tak zwanej w szkole *pracy społecznej*. W zakres owej działalności wchodziły zabiegi organizacji pionierskiej, później komsomolskiej, rozmaite komitety uczniowskie, gazetki ścienne, lekcje wychowania obywatelskiego, pogadanki — wszystko to było haraczem duchowym za prawo do nauki, który Czeczeńcy płacili tak niechętnie.

Abduł mieszkał z matką staruszką. Nikt z ich bliskich krewnych nie ocalał, prócz starszego brata. Był to osobnik dawno sknajaczony, nie pierwszy już raz

siedział w obozie za kradzież i morderstwo, ale zawsze wychodził stamtąd przedterminowo — dzięki amestii albo podwójnemu zaliczaniu dni roboczych. Pewnego razu zjawił się w Kok-Tereku, pił bez przerwy dwa dni i noce, posprzeczał się z jakimś miejscowym Czeczericem, porwał nóż i rzucił się na niego. Zagrodziła mu drogę jakaś obca, stara Czeczenka: rozkrzyżowała ręce, chcąc go zatrzymać. Gdyby Chudajew pamiętał o czeczeriskich prawach, rzuciłby natychmiast nóż i zrezygnował z dalszej pogoni. Ale więcej już w nim było ze złodzieja niż z Czeczeńca —

366

więc podniósł nóż i zadźgał niewinną staruchę. Tu dopiero zaświtało mu w pijanym łbie, co go za to zgodnie z czeczeriską tradycją czeka. Pobiegł jak oparzony do MWD, przyznał się do zabójstwa i zaraz otwarły się przed nim gościnne bramy więzienia.

Starszy brat znalazł kryjówkę, ale został przecież jeszcze Abduł, jego matka i pewien stary Czeczeniec z ich rodu. Wieść o morderstwie obiegła natychmiast wszystkie czeczeriskie zagrody w Kok-Tereku i wszyscy troje ostatni członkowie rodu Chudajewów zebrali się w domu Abduła, porobili zapasy żywności i wody, zatrzasnęli okiennice, zabili gwoździami drzwi od środka i zamknęli się jak w twierdzy. Czeczeńcy z rodziny zabitej staruszki musieli teraz koniecznie wziąć odwet na kimś z rodu Chudajewów. Dopóki krew Chudajewów się nie przeleje — nikt ich nie będzie uważał za godnych miana człowieka.

Zaczęło się więc oblężenie zagrody. Abduł nie chodził do szkoły, a cały Kok-Terek i cała szkoła wiedziały dlaczego. Uczniowi przedostatniej klasy naszej szkoły, komsomolcowi, przodownikowi nauki — w każdej chwili groziły nóż i śmierć, może właśnie teraz, gdy wszyscy po dzwonku siadają w ławkach, albo teraz, kiedy wykładowca literatury mówi o humanizmie socjalistycznym. Wszyscy to wiedzieli, pamiętali o tym wszyscy, na pauzach tylko o tym rozmawiali — i wszyscy udawali ślepych. Ani partyjna, ani komsomolska organizacja szkoły, ani wychowawcy, ani dyrektor, ani wydział oświaty — nikt nie poszedł, by ratować Chudajewa. Nikt nie zbliżał się nawet do jego oblężonego domu w całej tej czeczeńskiej okolicy, huczącej głucho jak ul. Gdybyż tylko oni! Ale czując dech krwawej zemsty, tak samo tchórzliwie stuliły uszy groźne dla nas dotąd instytucje — rejkom partii, rada narodowa, MWD z komendanturą i milicją, chowając się za swoje gliniane mury. Barbarzyńskie, dzikie, prastare prawo dało znać o sobie jednym tylko tchnieniem — i od razu okazało się, że nie ma w Kok-Tereku żadnej władzy sowieckiej i jej opiekuńcza dłoń nie bardzo potrafiła sięgnąć aż tu, z okręgowego centrum, z Dżambułu, bowiem minęły już trzy dni, a nie przyleciał stamtąd żaden samolot z wojskiem i nie przybyła żadna zbawcza instrukcja — nie licząc rozkazu, by bronić więzienia siłami miejscowego posterunku.

W ten sposób zarówno dla Czeczeńców, jak dla wszystkich innych stało się zupełnie jasne, co na tym świecie jest siłą, a co tylko jej pozorem.

I tylko czeczeriską starszyzna przejawiała rozsądek! Starcy z Kaukazu zjawili się w

MWD z prośbą o wydanie im starszego Chudajewa, by móc się z nim rozprawić. MWD ograniczyło się do lękliwej odmowy. Przyszli zatem do MWD po raz wtóry z prośbą, aby sądzić publicznie Chudajewa i rozstrzelać go w ich obecności. Jeśli tak się stanie, to poniechają wobec

367

rodu Chudajewów dalszej zemsty. Tak obiecali. Trudno o rozsądniejszy kompromis. Ale jak to — żeby sąd publiczny? I żeby z góry obiecywać egzekucję, też publiczną? Przecież to nie polityczny, to złodziej, to bliski socjalnie element! Można deptać prawa Pięćdziesiątki Ósemki, ale nie — wielokrotnego mordercy. Zwrócono się jednak do okręgu — i ten odmówił. „No, to za godzinę młodszy Chudajew zginie" — oświadczyli starcy. Szarże w MWD wzruszyły tylko ramionami — to ich już nie obchodziło. Nie mogli brać pod uwagę przestępstwa, które jeszcze nie zostało popełnione.

Ale mimo wszystko jakieś tchnienie dwudziestego wieku musnęło... nie MWD!, skąd znowu! — ale stare, twarde czeczeńskie serca! Mimo wszystko — mściciele nie dostali rozkazu, by dokonać zemsty niezwłocznie. Cze-czeńscy posłali telegram do Ałma-Aty. Przyjechali stamtąd bardzo prędko jacyś inni jeszcze starcy, pewno najbardziej przez cały naród szanowani. Zwołano naradę starszyzny. Starszego Chudajewa obłożono klątwą i skazano na śmierć: czeczeński nóż miał dosięgnąć go wszędzie, gdziekolwiek by się skrył. Resztę Chudajewów wezwano przed oblicze starców i oznajmiono im: „Żyjcie sobie. Nikt wam krzywdy nie zrobi".

Abduł wziął swoje książki i przyszedł do szkoły. Partorg i komsorg powitali go tam z fałszywymi uśmiechami na gębach. Na lekcjach i pogadankach znów usłyszał pienia o świadomości komunistycznej, a nikt nawet nie wspomniał o przykrym incydencie. Ani jeden muskuł nie drgnął na pociemniałej twarzy Abduła. Zrozumiał, że największą siłą na świecie jest p r a w o  k r w a w e j  z e m s t y, p r a w o o d w e t u.

My, Europejczycy, w naszych szkołach i w naszych książkach znajdujemy i powtarzamy jedynie słowa pogardy, potępiając z wysoka to dzikie prawo, tę bezmyślną i okrutną rzeź wzajemną. Ale to straszliwe wyrzynanie się nie jest może aż tak bezmyślne: nie zdołało ono wytrzebić narodów górskich, przeciwnie, jakoś je umacnia. Nie tak wiele w końcu ofiar pociąga za sobą krwawa zemsta, ale jakim strachem mrozi całe otoczenie! Jakiż góral — pamiętając o tym prawie — ośmieli się zelżyć innego o t, t a k  s o b i e, tak jak my lżymy jeden drugiego — po pijanemu, ze swawoli, z kaprysu? A tym bardziej — jaki n i e-Czeczeniec ośmieli się zaczepić Czeczerica — powiedzieć mu, że jest złodziejem albo grubianinem, albo że pcha się bez kolejki? Przecież w odpowiedzi nie jakiś wyraz może usłyszeć, nie przekleństwo — tylko dostać nożem w bok! I nawet, jeśli sam chwycisz za nóż (ale przecież nie nosisz go przy sobie, jesteś człowiekiem cywilizowanym) — to nie odpowiesz ciosem na cios, bo potem cała twoja rodzina stanie się ofiarą noża! Czeczericy snują się więc po kazachskiej ziemi, czel-

368

nie patrząc ludziom w oczy, rozpychając się łokciami, a „gospodarze kraju" i niegospodarze, wszyscy zresztą — rozstępują się przed nimi z szacunkiem. Krwawa zemsta wytwarza dookoła siebie pole strachu — i w ten sposób daje siłę przetrwania maleńkiemu, górskiemu narodowi.

„Bij swoich, to się obcy będą bali!". Przodkowie tych górali w pradawnej przeszłości nie mogli znaleźć doskonalszej wspólnej więzi.

A co zaofiarowało im w zamian socjalistyczne państwo?

## V PO ODSIADCE

W ciągu całych ośmiu lat spędzonych w więzieniach i obozach — nie usłyszałem od ludzi, którzy byli już na zesłaniu, ani jednego dobrego słowa o tym rodzaju represji. A tymczasem — już w pierwszych celkach więzień śledczych i etapowych — bo trudno znieść nacisk tych sześciu kamiennych płaszczyzn, co cię osaczają — zapala ci się w duszy nieśmiała myśl o zesłaniu, miraż mieniący się drżącym blaskiem — i słychać jak na ciemnych narach wychudłe aresztanckie piersi dygocą od westchnień:

— Ach, zesłanie! Gdybyż to skazano mnie na zesłanie!

Mnie też ten los nie ominął, ba, marzenie o zesłaniu owładnęło mną szczególnie mocno. W Nowym Jerusalimie, na gliniankach, przysłuchiwałem się pianiu kogutów w sąsiedniej wsi — i marzyłem o zesłaniu. Patrząc na zwartą masę domów i ulic obcej mi stolicy z dachu budowy na rogatce Kałuskiej — zaklinałem przeznaczenie: jak najdalej stąd, niech mnie ześlą na kraj świata! Posłałem nawet naiwne podanie do Rady Najwyższej, prosząc by 8 lat obozu zamieniono mi na dożywotnie zesłanie w największej głuszy (nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że dożywotnie zesłanie nigdzie mi nie ucieknie, że przypadkiem nie *zamiast* obozu, lecz *po* nim).

W 1952 roku z „rosyjskiego" podobozu w Ekibastuzie, gdzie nas siedziało trzy tysiące, „wypuszczono" dziesięciu więźniów. Bardzo to dziwnie wtedy wyglądało: Pięćdziesiątka Ósemka — a jednak wyjść mają z obozu! Trzy lata istniał już Ekibastuz, a nie wypuszczono stamtąd nikogo, zresztą zdawało się, że nikomu nie kończy się jeszcze kara. A tymczasem dobiegały właśnie końca pierwsze wojenne *dychy* i owych dziesięciu należało do niedobitków tej grupy skazanych.

370

Z niecierpliwością czekaliśmy na listy od nich. Kilka listów nadeszło bezpośrednio albo przez trzecie ręce. I dowiedzieliśmy się, że prawie wszystkich odwieziono wprost z obozu na zesłanie, chociaż w sentencjach ich wyroków o żadnym zesłaniu nie było mowy. Ale nikogo to nie zdziwiło! I dla naszych dozorców, i dla nas jasne było, że nie chodzi wcale o prawo, sentencję czy jakieś papierki — rzecz natomiast w tym — że skoro raz uznano nas za wrogów — władza będzie nas prawem silniejszego deptać, dławić i dusić aż do samej naszej śmierci. I tylko taki porządek rzeczy wydawał się normalny zarówno władzy, jak nam, bo już przyzwyczailiśmy się, już się z tym zżyliśmy.

W ostatnich latach stalinowskiej ery obawy budził nie los zesłanych, tylko

rzekomo *zwolnionych* z obozu: tych, których wypuszczono za wrota bez eskorty, tych, którzy — jak się mogło zdawać — wychodzili na świat boży spod opiekuńczego, szarego skrzydła MWD. Zesłanie zaś, które nie-domyślna władza uważała za dodatkową karę, było tylko dalszym ciągiem biernej, obojętnej wegetacji, do której człowiek już się wdrożył, potwierdzeniem tego fatalizmu, który daje więźniowi siłę przetrwania. Fakt zesłania uwalniał nas od obowiązku samodzielnego wyboru miejsca zamieszkania, a więc — od wszystkich ciężkich wahań i błędów. Tylko to miejsce było pewne, do którego nas zsyłano. Tylko w tym jednym punkcie całego Związku nikt nie mógł dźgnąć nas pytaniem — po coście tu w ogóle przyjechali? Tylko tu mieliśmy bezwarunkowe i niezbywalne prawo do naszych trzech łokci kwadratowych ziemi. A jeżeli ktoś wychodził z obozu samotny, jak ja, jeżeli nikt i nigdzie na niego nie czekał — to zdawało się, że tylko na zesłaniu mógł znaleźć jakąś bratnią duszę.

Do aresztowań bardzo u nas są skorzy, ze zwolnieniem się nie spieszą. Gdyby jakiegoś nieszczęsnego demokratę greckiego albo tureckiego socjalistę władze zatrzymały za kratami o jeden dzień dłużej — to dzienniki
0 światowym zasięgu zachłysnęłyby się oburzeniem. Ja zaś rad byłem już
z tego, że po zakończeniu kary zatrzymano mnie w obozie wszystkiego
kilka dni, a potem... puszczono na wolność? Gdzie tam, posłano na etap.
1 jeszcze cały miesiąc wożono — już na mój *własny* rachunek.

Mimo wszystko, wychodząc z obozu pod konwojem, staraliśmy się być wierni więziennym zabobonom: za nic w świecie nie spojrzeć wstecz na ostatnie więzienie (bo inaczej wróci się do niego), załatwić jak należy sprawę łyżki. Ale jak właściwie należy? — jedni radzili wziąć ją ze sobą, żeby po nią nie wracać; inni — cisnąć ją więzieniu w pysk, żeby więzienie jej u ciebie już nie szukało. (Moją łyżkę sam sobie zmajstrowałem w odlewni, więc ją zabrałem ze sobą).

371

I znów zaczęły migać zborniaki — Pawlodar, Omsk, Nowosybirsk. Chociaż już odsiedzieliśmy swoje, dalej nas rewidowano, konfiskowano nam rzeczy, upychano w ciasnych celach, w karetkach, w stołypinkach, zaszczycano towarzystwem knajaków — i tak samo szczekały na nas psy policyjne, i tak samo wrzeszczeli strażnicy: „Czego się oglądasz?!".

Ale w omskim więzieniu etapowym dobroduszny stary klucznik wywołując według listy zapytał nas, piątkę z Ekibastuza: „Jacy bogowie modlili się za was?". — „A bo co?, a dokąd?" — od razu nastawiliśmy uszu, domyślając się, że widać kierują nas do jakiegoś dobrego miejsca. — „A bo jedziecie na południe" — powiedział ze zdumieniem.

I rzeczywiście, od Nowosybirska skręciliśmy na południe. Jedziemy do ciepłych krajów! Tam, gdzie ryż, gdzie jabłka rosną! Co się dzieje? Czyżby towarzysz Beria nie mógł znaleźć dla nas gorszego kąta w całym Związku Sowieckim? Czy to w ogóle jest na świecie takie zesłanie? (Już się wewnętrznie nastawiłem na cały cykl wierszy

pod tytułem *Wiersze o cud-zesłaniu').*

Na stacji Dżambuł wyprowadzono nas ze stołypinki z tymi samymi rygorami, co zawsze: do ciężarówki szło się przez żywy korytarz konwojentów; kazano nam usiąść na dechach tak, jakbyśmy mogli myśleć o ucieczce właśnie teraz, po odsiedzeniu kary. Noc głęboka, księżyc w kwadrze i tylko on oświetlał słabym blaskiem ciemną aleję, którą nas wieziono — ale to była właśnie aleja, topolowa aleja! To jest dopiero zesłanie! Czyśmy to aby nie na Krymie? Koniec lutego, u nas, nad Irtyszem ziąb — a tu wiosenny, lekki wietrzyk wieje!

Przywieźli nas do więzienia, przyjęli nas od razu, bez powitalnej rewizji i bez wizytki w łaźni. Zmalały jakby te przeklęte mury! Z workami i walizkami wmeldowaliśmy się więc do celi. Rankiem oddziałowy otworzył drzwi i westchnął: „Wyłaźcie ze wszystkimi manelami".

Rozwierały się czarcie pazury...

Wiosenny, szkarłatny brzask zastał nas na dziedzińcu. Ceglane ściany więzienia pocieplały od blasku jutrzenki. Na środku dziedzińca stała ciężarówka i w jej pudle siedziało już dwóch zeków, których dołączono do naszej grupy. Na dobrą sprawę — trzeba by teraz tylko wdychać to powietrze, rozglądać się, napawać się niepowtarzalnością chwili — ale nie wolno było przepuścić okazji: nowi znajomi! Jeden z tych nowych — szczuplutki, siwy staruszek o łzawiących się, jasnych oczach, siedział na swoich zmiętych szmatkach wyprostowany tak dumnie jak car, który za chwilę ma przyjąć obcych posłów. Można było pomyśleć, że to głuchy albo może jakiś cudzoziemiec i że trudno będzie znaleźć z nim wspólny język. Ledwiem się

* Aluzja do cyklu Aleksandra Bloka *Stichi o priekrasnoj damie.*

372

wgramolił, spróbowałem jednak zacząć z nim rozmowę, a ten w odpowiedzi — głosem wcale nie drżącym, a przy tym czysto po rosyjsku — przedstawił się:

— Włodzimierz Aleksandrowicz Wasiliew.

I od razu — jakby iskra intymnego porozumienia przeskoczyła między nami! Można odróżnić sercem duszę przyjazną od wrogiej. A to — na pewno przyjaciel. W więzieniu trzeba szybko zawierać znajomości, bo nie wiadomo, czy za chwilę was nie rozdzielą. No tak, nie jesteśmy już niby w więzieniu, ale wszystko jedno... I przekrzykując warkot silnika, zaczynam go indagować, nie wiedząc nawet, że wóz toczy się już nie po więziennym asfalcie, tylko po miejskim bruku, zapominając z punktu, że nie wolno oglądać się wstecz, na ostatnie więzienie (ileż ich jeszcze będzie, tych ostatnich!), nie patrząc nawet na mały kawałek w o l n o ś c i , który mijamy pędem, i oto już znowu jesteśmy na szerokim wewnętrznym dziedzińcu delegatury MWD, skąd dalej nie wolno nam wychodzić do miasta.

Wasiliewowi można było w pierwszej chwili dać dziewięćdziesiąt lat, patrząc na te oczy — już bez wieku, na ostre rysy twarzy i na siwiutki czub na głowie. A miał tymczasem — siedemdziesiąt trzy. Okazało się, że był starym rosyjskim inżynierem, jednym z najwybitniejszych hydrotechników i hydrografów w Stowarzyszeniu

Inżynierów Rosyjskich (a co to takiego? Słyszę pierwszy raz o tej organizacji. Była to zaś mocna ostoja naszej myśli techniczej jedna z tych społecznych odskoczni do rzutu w przyszłość, skoku o cały wiek, których kilka udało się Rosji dokonać w latach 10. i 20.; wszystkie one zostały stłamszone) — otóż w tym stowarzyszeniu Wasiliew był jednym z czołowych działaczy; dotąd jeszcze z niezmienną satysfakcją mówi o tych czasach i sprawach: „Nie chcieliśmy uczestniczyć w stwarzaniu pozorów, że daktyle można hodować na suchych pałkach".

Właśnie za to zostali rozpędzeni, to jasne.

Cały ten kraj, Siedmiorzecze, do którego przyjechaliśmy teraz, Wasiliew przemierzył wzdłuż i wszerz pieszo i konno już przed półwieczem. Jeszcze przed pierwszą wojną sporządził projekty techniczne — irygacji doliny Czujskiej, zużytkowania wodospadu Narynskiego, tunelu przez łańcuch górski Czu-Ili i zabrał się do ich realizacji nim tamta wojna wybuchła. Sześć koparek elektrycznych (wszystkie sześć przeżyły rewolucję i w latach 30. pokazywano je na budowie zapory Czyrczyk jako sowiecką nowość), które sprowadził jeszcze w roku 1912, już tu pracowało. Teraz zaś, po odsiedzeniu 15 lat za „szkodnictwo" (z czego trzy ostatnie spędził w Gór-nouralskim „izolatorze"), wyżebrał sobie tylko jedną łaskę — aby pozwolono mu pojechać na zesłanie do Siedmiorzecza i umrzeć tu, gdzie był niegdyś inicjatorem wielkich zmian. (Ale nawet tej łaski nigdy by się nie

373

doczekał, gdyby nie fakt, że Beria go pamiętał: w latach 20. inżynier Wa-siliew dzielił wody trzech republik zakaukaskich).

Oto dlaczego siedział tak zadumany w sfinksowej pozie na swoim worku, na platformie ciężarówki: był to dla niego nie tylko pierwszy dzień wolności, lecz również — powrotu do kraju młodości, kraju natchnień. Nie ludzkie życie nie tak już jest krótkie, jeśli na jego szlaku człowiek buduje obeliski.

Całkiem niedawno córka Włodzimierza Aleksandrowicza zatrzymała się na Arbacie przed witryną gazety „Trud". Autor tromtadrackiego reportażu, nie żałując dobrze opłacanych słów, dziarskim tonem opisywał swoją podróż po Czujskiej dolinie, gdzie dzięki wysiłkom mas i bolszewickiej energii naszych specjalistów pojawiła się woda i życie; pisał też o wodospadzie Narynskim, o cudach hydrotechniki, o szczęśliwych kołchoźnikach. I nagle — któż mu to podpowiedział? — tak zakończył: „ale niewielu tylko wie, że wszystkie te wielkie przemiany są spełnieniem rojeń wybitnego rosyjskiego inżyniera Wasiliewa, którego projekty nie znalazły poparcia w przedrewolucyjnej, biurokratycznej Rosji[1]. Jaka szkoda, że młody entuzjasta nie dożył do dnia tryumfu swoich szlachetnych idei!". Linijki korespondencji zasnuła nagle jakaś mgła, córka Wasiliewa zerwała gazetę, przycisnęła arkusz do piersi i uciekła, bo już rozległ się milicyjny gwizdek.

*Miody entuzjasta* siedział zaś właśnie w wilgotnej celi Górnouralskiego izolatora. Reumatyzm — czy też jakaś choroba kostna — skrzywił starcowi kręgosłup, tak że nie mógł się rozgiąć. Dobrze, że siedział w tej samej celi pewien Szwed, który wyleczył go masażem.

Szwedzi nie są zbyt częstymi gośćmi sowieckich więzień. Przypominam sobie, że ja też siedziałem z pewnym Szwedem. Zwał się Eryk...

— ...Arwid Andersen? — pyta z ożywieniem Wasiliew (ma w ogóle bardzo żywe ruchy i mówi z wigorem).

Co za przypadek! Więc to Arwid wyleczył go masażem! Ależ jestem ciasny! — zdaje się mówić nam Archipelag na pożegnanie. A zatem Arwida wieziono przed dwoma laty do uralskiego izolatora! I nie bardzo ujął się za nim papcio-miliarder i cały Pakt Atlantycki[2].

[1] Pod koniec 1917 roku Wasiliew stanął *de facto* na czele departamentu melioracji.

[1] Paweł Wiesiolow (Sztokholm) badający obecnie sprawę porywania szwedzkich obywateli przez sowieckie organy, przeanalizował to, co E.A. Andersen opowiedział na swój temat i wysunął,następującą hipotezę: wygląd zewnętrzny i nazwisko E.A. świadczą, że to raczej Norweg, który z jakichś tam powodów wolat podać się za Szweda. Norwegowie, którzy uciekli spod niemieckiej okupacji po 1940 roku, służyli w angielskiej armii nieporównanie częściej niż Szwedzi; ci byli bardzo nieliczni (bo Szwecja zachowała neutralność). E.A. mógł wśród swoich krewnych — Anglików — mieć jakiegoś Robertsona, ale pokrewieństwo z generałem Robertsonem mógł zmyślić, aby dodać sobie blasku

374

A tymczasem zaczęto nas jednego po drugim wzywać do Komendantury Okręgowej — zaraz obok, w podwórcu okręgowego MWD; jest tam pułkownik, major i mnóstwo lejtnantów, a wszyscy do kupy rządzą zesłańcami dżambulskiego okręgu. Do pułkownika nas zresztą nie dopuszczają, major przesuwa tylko wzrokiem po naszych twarzach, jak po nagłówkach gazet, natomiast załatwiają nas lejtnanci, bardzo mocni w kaligrafii.

Obozowe doświadczenie zaraz daje mi sójkę w bok: uważaj! w ciągu tych paru krótkich minut rozstrzyga się cały twój przyszły los! Nie trać czasu! Żądaj, nalegaj, protestuj! Zwijaj się, wytęż się, wymyśl coś, żeby im wmówić, że koniecznie powinieneś zostać w mieście okręgowym albo przynajmniej w jakimś najbliższym, najbardziej atrakcyjnym rejonie! (A mam nawet powód, tylko sam go jeszcze nie znam: już drugi rok rosną we mnie przerzuty raka po nie zakończonej, obozowej operacji).

Ale nie, już nie jestem ten sam... Nie jestem już tym człowiekiem, który zaczynał odsiadkę. Spłynęła na mnie z wysoka jakaś obojętność — i miło mi pławić się w niej. Nie chcę wcale korzystać z mego obozowego doświadczenia — i to właśnie daje mi satysfakcję. Wzdragam się przed zmyślaniem jakichś żałosnych wybiegów. Nikt przecież nie wie, co go jutro czeka. Najgorsze nieszczęście spotkać może człowieka w miejscu najbardziej łakomym, a fortuna odnaleźć go może w zakazanym kącie. Nie zdążyłem przy tym dowiedzieć się i wypytać, które tu rejony i okręgi są dobre, a które złe — bo zaabsorbowany byłem historią starego inyżniera.

Na jego aktach ktoś napisał widać jakąś ochronną rezolucję, bo pozwalają mu samemu wyjść pieszo do miasta, aż do Wydziału Gospodarki Wodnej i zapytać, jakie tam budowy prowadzą. A wszyscy pozostali otrzymują takie samo skierowanie — do rejonu Kok-Terek. Jest to kawał pustyni na północy okręgu, gdzie zaczyna się bezludny i jałowy obszar Bet-Pat-Dała, zajmujący całe centrum Kazachstanu. No i masz ci winogrona!...

Nazwisko każdego z nas kaligraficznie wypisują na chropowatym, rudym blankiecie, datują go i każą podpisać.

Gdzie już miałem do czynienia z czymś podobnym? Ach, kiedy wręczano mi decyzję OSO. Wtedy też wymagano ode mnie tylko wzięcia pióra i pod-

w oczach MWD. Niewykluczone, że w Zachodnim Berlinie po wojnie służyl on w alianckim wywiadzie wojskowym, czym MWD mogło się zainteresować. Zapewne przyjeżdżał do Moskwy w składzie angielskiej albo norweskiej, a nie szwedzkiej delegacji (zdaje się, że taka nie przyjeżdżała), ale był w niej figurą trzeciorzędną. Być może MGB zaproponowało mu przystąpienie do współpracy w charakterze podwójnego agenta — i oberwał swoje 20 lat za odmowę. Ojciec Eryka mógł być przemysłowcem, ale nie na taką skalę. Eryk mógł przesadzać nawet na temat znajomości swego ojca z Gromyką (dlatego gebiści pokazywali go Gromyce) w celu zainteresowania MGB możliwością wykupu, co pozwoliłoby mu równocześnie zawiadomić Zachód o swoim istnieniu i losie.

375

pisania się. Tylko że wtedy papier był moskiewski, gładki. Pióro i atrament nie zmieniły się zresztą, takie same nędzne.

Cóż więc komunikuje mi się „dnia dzisiejszego"? Że taki a taki zesłany zostaje *na zawsze* do takiego to a takiego rejonu pod nadzór jawny (stara, carska terminologia) rejonowego MGB i w wypadku samowolnego oddalenia się poza obszar rejonu sądzony będzie w myśl przepisów Dekretu Prezydium Rady Najwyższej, przewidującego karę 20 (dwudziestu) lat ciężkich robót.

No cóż, wszystko zgodnie z prawem. Nic nas nie dziwi. Podpisujemy więc chętnie[3]. W mojej głowie kłuje się epigramat, co prawda trochę przydługi:

*Pogrzebać mnie chcą pod tym świstkiem:*
*Zostałem zesłany na wieki,*
*Oddany na zawsze, ze wszystkiem*
*Pod nadzór miejscowej bezpieki.*
*Kwituję ten wyrok spokojnie,*
*Ba, dumę poczułem od razu,*
*Bo mam już wieczności rękojmię*
*Na mocy groźnego rozkazu.*
*Już tak nieśmiertelny się czuję,*
*Jak skala czy gwiazda daleka.*
*Lecz któż mi dziś zagwarantuje,*

*Że wieczna jest również bezpieka?*

Włodzimierz Aleksandrowicz wraca z miasta, recytuję mu epigramat —śmiejemy się obaj jak dzieci, jak prawdziwi więźniowie, jak ludzie bez grzeszni. Wasiliew śmieje się niefrasobliwie, tak śmiał się K.I. Strachowicz. Jest między nimi jakieś głębokie podobieństwo: obaj tak są zaabsorbowani

[3] Wiele lat później miałem wreszcie zdobyć kodeks karny RSFSR. Z satysfakcją przeczytałem tam art. 35: kara zesłania wymierzona jest na okres trzech do dziesięciu lat, jeśli zaś jest dodatkiem do wymierzonej już kary więzienia, to nie może przekraczać lat pięciu. (Jest przedmiotem dumy prawników sowieckich, że — poczynając od postanowień KK z 1922 roku, sowieckie prawo nie przewiduje kar bezterminowych i w ogóle — bezterminowych represji, wyjąwszy najsurowszą z nich — dożywotnie wygnanie z granic ZSSR. I na tym polega „ważna i pryncypialna różnica między prawem sowieckim a bur-żuazyjnym" (Dzieło zbiorowe — *Od więzień...).* Tak jest istotnie, owszem, ale zasada racjonalizacji pracy obowiązuje również w MWD: prościej przecież jest napisać z punktu — na zawsze — niż zawracać sobie głowę wypisywaniem nowej sentencji po upływie poprzedniej kary.

Artykuł 35 stwierdza również, że kara zesłania wymierzona może być tylko przez sąd. No, powiedzmy, także przez OSO. Ale tu nawet nie OSO, tylko dyżurny lejtnant wypisał nam skierowanie na dożywotnie zesłanie.

376

pracą własnego intelektu, że cierpienia cielesne nie potrafią naruszyć ich równowagi duchowej.

Skądinąd zaś — Wasiliew niewiele mą powodów do radości. Zesłano go, jasna rzecz, nie tam gdzie trzeba; pomylili się, co jest zresztą naturalne. Tylko we Frunze, stolicy sąsiedniej Kirgizji, mogli mu dać skierowanie do Czujskiej doliny, gdzie niegdyś pracował. Tutaj zaś wydział gospodarki wodnej zajmuje się tylko arykami*. Zarozumiały ćwierćinteligent, Kazach, naczelnik wydziału, pozwolił twórcy Systemu Czujskiego postać trochę na progu gabinetu, zadzwonił do komitetu partii i zgodził się przyjąć go na stanowisko młodszego hydrotechnika — jak dziewczynkę po technikum. A Frunze? Nie wolno, bo to już inna republika.

Jak streścić w jednym zdaniu całe rosyjskie dzieje? Kraj zatłamszonych możliwości.

Ale mimo wszystko staruszek zaciera ręce: specjaliści go znają, może go ściągną. Też zostawia pokwitowanie, że zesłany jest na zawsze i że w razie samowolnego wyjazdu — pójdzie na katorgę aż do 93 roku życia. Niosę jego rzeczy aż do wrót, dalej iść mi nie wolno. Wasiliew chce teraz wynająć sobie kąt u jakichś porządnych ludzi i myśli nawet o wezwaniu swojej żony-staruszki z Moskwy. Dzieci?... Dzieci nie przyjadą. Bo nie mogą przecież porzucić swoich moskiewskich mieszkań. Czy ma jeszcze innych krewnych? Ma brata. Ale bratu przypadł iście okrutny los: jest historykiem, nie zrozumiał znaczenia rewolucji Październikowej, opuścił kraj i teraz,

biedak, jest kierownikiem katedry dziejów Bizancjum na uniwersytecie Columbia. Znowu się śmiejemy, żal nam tego brata — i obejmujemy się na pożegnanie. Jeszcze jeden niezwykły człowiek mignął mi przed oczyma i na zawsze z nich zginął.

A nas, pozostałych trzymają jeszcze przez całe doby w kozie, gdzie musimy spać pokotem, w ciasnocie, na pełnej szczelin podłodze, ledwie mogąc wyciągnąć nogi. Przypomina mi to karcer, od którego zacząłem przed ośmiu laty moją odsiadkę. Nas, już *zwolnionych z więzienia,* zamyka się na noc na zamek, dając łaskawie kibel do dyspozycji. Od więzienia różni się to siedzenie tym tylko, że już nie dają nam bezpłatnie jeść; za nasze własne pieniądze przynoszą nam coś tam z bazaru.

Trzeciego dnia przychodzi najprawdziwszy konwój z karabinami, każą nam podpisać papierek, że dostajemy pieniądze na bilety i strawne, pieniądze te natychmiast zabiera nam konwój (rzekomo — na zakup biletów, a w istocie — nastraszą konduktora, pojadą z nami bezpłatnie i pieniądze sobie zabiorą — to ich zysk, ustawiają nas dwuszeregiem i z rzeczami na

Kanaliki nawadniające pola uprawne i ogrody.

377

ramieniu prowadzą na dworzec, tą samą topolową aleją. Śpiewają ptaki, wiosna aż szumi — a to dopiero przecież drugi marca? Mamy na sobie waciaki, gorąc, ale szczęśliwi jesteśmy, że to południe. Komu jak komu, ale więźniowi najbardziej daje się we znaki mróz.

Cały dzień wleczemy się powolnym pociągiem tą samą drogą, którą tu przybyliśmy, -tylko w odwrotnym kierunku, później — od stacji Czu

- dziesięć kilometrów na piechotę. Dobrze pocimy się pod ciężarem na

szych tobołków i walizek, idziemy zgięci wpół. potykamy się, ale dźwigamy uparcie: każda szmatka przeniesiona przez obozowe wartownie, przyda się jeszcze nieraz naszemu wynędzniałemu ciału. A ja mam nadto na grzbiecie dwie fufajki (bo jedną udało mi się ukryć przy inwentaryzacji), a z wierzchu

- mój wysłużony szynel wojskowy, dobrze uszargany i na froncie, i w obo

zie. Jakże go teraz porzucić, choć tak porudział i uwalał się!

Nadchodzi wieczór — a jeszcześmy nie dojechali. To znaczy — że znów musimy nocować w więzieniu, w Nowotroickim. Już tak dawno nas wypuszczono, a tu wciąż więzienia, więzienia, więzienia! Cela, goła podłoga, judasz, do wychodka, ręce do tyłu, wrzątek — i tylko chleba już dla nas nie ma, bośmy *wolni.*

Rano sprowadzają ciężarówkę, przychodzi po nas ten sam konwój; nocowali na kwaterach. Jeszcze 60 km w głąb stepu. Wóz więźnie w kałużach, zeskakujemy (dawniej, jako więźniom, nie pozwolono by nam na to) i pchamy, wyciągamy z błota, żeby czym prędzej skończyły się te rozrywki i wojaże, żeby już prędzej zaczęło się dożywotnie zesłanie. A konwój stoi półkolem i pilnuje nas.

Migają stepowe kilometry. Jak okiem sięgnąć, z lewa i z prawa — ostra, szara trawa, niejadalna nawet dla bydląt. Rzadko, bardzo rzadko widać kazachski ubogi auł, z kępą drzew. I wreszcie przed nami, zza grzbietu stepowego pagórka wyłaniają

się wierzchołki nielicznych topoli. (Kok-Te-rek — „zielona topola").

Przyjechaliśmy! Ciężarówka pędzi między dwoma rzędami czeczeriskich i kazachskich lepianek z samanu, wlecze za sobą chmurę pyłu — a za nią stado psów, głośno wyrażających swoje oburzenie. Ustępują jej z drogi miłe osiołki zaprzężone do malutkich bryczek, z jakiegoś podwórca wychyla głowę wielbłąd i odwraca ją powoli, z pogardą. Są również ludzie, ale widzimy wśród nich tylko kobiety, te istoty niezwykłe i już zapomniane. O, na progu stoi jakaś czarnulka i patrzy w ślad za naszym samochodem spod daszka dłoni. O, jeszcze jakieś trzy idą, noszą jaskrawe, czerwone suknie. Żadna z nich nie jest Rosjanką. „Fajno, znajdą się jeszcze narzeczone dla nas!" — huknął mi dziarsko na ucho 40-letni kapitan dalekomorskiej żeg-

378

lugi W.I. Wasilenko, który w Ekibastuzie prosperował sobie gładko jako szef pralni, a teraz jedzie na wolność, aby rozwinąć skrzydła i szuka odpowiedniego dla siebie okrętu.

Mijamy duży sklep, herbaciarnię, ambulatorium, pocztę, radę rejonową, dom rejkomu partii kryty łupkową dachówką, dom kultury z trzcinowym poszyciem — i wreszcie — nasz wóz zatrzymuje się koło budynku MWD-MGB. Jesteśmy cali zakurzeni. Zeskakujemy, wchodzimy na oparkaniony dziedziniec i — wcale nie krępując się, że obok biegnie centralna ulica, myjemy się do pasa.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw MGB stoi parterowy, ale wysoki budynek nader dziwnego kształtu: cztery kolumny doryckie całkiem serio zwieńczone są fałszywym architrawem, u ich stóp — dwa szerokie stopnie licowane kamieniem, a wszystko to nakryte jest z wierzchu strzechą z pociemniałej słomy. Czuję, że serce mimowolnie bije mi — to szkoła, dziesię-ciolatka. Uspokój się głupie serce: ten dom nie dla ciebie.

Właśnie przecina główną ulicę i wchodzi w te wymarzone szkolne wrota dziewczyna z loczkami na głowie, czyściutka, w żakieciku, ściągnięta w talii jak osa. Idzie — czy też szybuje nad ziemią ledwie muskając ją stopkami? To *nauczycielka]* Jest tak młodziutka, że nie mogła jeszcze skończyć instytutu pedagogicznego. To znaczy, że ma za sobą powszechniak i nauczycielskie seminarium. Jak jej zazdroszczę! Jaka przepaść leży między nią a mną, czarnoroboczym! Należymy do różnych stanów i nigdy nie ośmieliłbym się przejść z nią pod rękę ulicą.

A tymczasem zaczęto wzywać nowo przybyłych po kolei do pewnego cichego gabinetu, w którym urzęduje... a któżby? oczywiście, że kum, pełnomocnik operacyjny! Na zesłaniu też jest kum i to on gra tu pierwsze skrzypce!

Pierwsze spotkanie jest bardzo ważne: przecież z nim to mamy grać w kotka i myszkę nie przez miesiąc, ale po wieczne czasy. Zaraz ja też przekroczę próg jego pokoju i będziemy przyglądać się sobie spod oka. Jest to całkiem młody Kazach; przybrał minę powściągliwą i grzeczną, ja udaję chamowatego prostaczka. Oboje zaś rozumiemy, że nasze obojętne bąknięcia, na przykład — „proszę, tu jest papier", „czy

mogę wziąć to pióro?" — to już pojedynek. Ale najważniejsze dla mnie — to przekonać go, że nawet się tego nie domyślam. Już taki widać jestem — szczery, otwarty, niezdolny do podstępów. Nuże, bożku brązowy, zakonotuj sobie: ten facet nie wymaga specjalnie czujnego nadzoru, przyjechał tu żeby pożyć sobie spokojnie, więzienie wyszło mu na zdrowie.

Co tu mam wypełnić? Ankietę personalną, to jasne, i napisać życiorys własny. W ten sposób zainaugurowana zostanie moja nowa teczka, o, już ją przygotował na biurku. Później znajdą się w niej donosy na mnie i cha-

379

rakterystyki pisane przez moją zwierzchność. I gdy tylko zaznaczą się kontury mojej nowej ***sprawy*** a z centrum nadejdzie sygnał, żeby znów ludzi *pakować,* zostanę wpakowany (na tylnym podwórzu jest tu już więzienie z bloków samanowych) i wlepią mi nową dychę.

Wręczam mu zatem te pierwsze papierki, oper czyta je i wkłada do skoroszytu.

A czy mogę wiedzieć, gdzie tutaj rejonowy wydział oświaty? — py tam grzecznie i od niechcenia.

Wyjaśnia równie uprzejmie. Nie podnosi brwi ze zdziwieniem. Wyciągam stąd wniosek, że mogę próbować szczęścia, MGB nie zgłasza sprzeciwu. Oczywiście, jak przystało na starego zeka, nie zblamowałem się, nie zapytałem go wprost: czy wolno mi starać się o pracę w resorcie oświaty?

— Przepraszam, a kiedy będę mógł pójść tam bez konwoju?

Wzrusza ramionami.

— W ogóle to dzisiaj, póki ja was tu... nie powinniście raczej opuszczać budynku, ale w sprawie służbowej — możecie ostatecznie iść.

I oto i d ę. Czy rozumiecie wszyscy to wspaniałe, tętniące wolnością słowo? Idę, s a m idę! Ani z boków, ani z tyłu nie dźgają mnie pepesze. Oglądam się wstecz — nie ma za mną nikogo! Jeśli zechcę — pójdę sobie prawą stroną, wzdłuż płotu szkolnego, gdzie tapla się w kałuży ogromna świnia. Jeśli zechcę zaś — to pójdę lewą stroną, gdzie łażą kury i grzebią w piasku przed samym budynkiem wydziału oświaty.

Na przestrzeni tych 200 metrów drogi do wydziału oświaty mój wiecznie zgięty grzbiet już się zdążył odrobinkę rozprostować, a maniery stały się ociupinkę swobodniejsze. Nim przeszedłem owe 200 metrów — już awansowałem do innej warstwy społecznej.

Wchodzę więc w mojej starej wełnianej bluzie frontowej, w starych, prastarych moich bryczesach z diagonalu. A buty mam na nogach obozowe, ze świńskiej skóry i wyglądają z nich sterczące uszy onuc.

Za biurkami siedzi dwóch tęgich Kazachów. Zgodnie z tabliczką na drzwiach — są to inspektorzy wydziału oświaty.

— Chciałbym zaangażować się do pracy w szkole — powiadam ze wzra stającą pewnością siebie, a nawet niefrasobliwością, zupełnie jakbym pytał, gdzie tu stoi u nich karafka z wodą.

Zesztywnieli. Mimo wszystko nie co każde pół godziny przychodzi tu nowy nauczyciel, aby prosić o pracę w pustynnym aule. I chociaż rejon Kok-Terek jest większy od Belgii, jednakże wszystkich facetów ze średnim wykształceniem każdy zna tu osobiście.

— A do jakiej szkoły chodziliście? — pytają mnie. Ich rusczyzna jest dość czysta.

380

— Skończyłem uniwersytet, wydział fizyczno-matematyczny.

Aż się wzdrygnęli. Wymienili spojrzenia. Przerzucili się kilkoma szybkimi zdaniami po kazachsku.

— A... Skąd właściwie wzięliście się tutaj?

Jakby to samo przez się nie było jasne, jakbym musiał sam im wszystko na stół wykładać. Jaki bałwan przyszedłby tutaj prosić o pracę, a przy tym w marcu?

— Przed godziną przyjechałem na zesłanie.

Robią znaczące miny i znikają jeden po drugim w gabinecie kierownika. Gdy wyszli — czuję na sobie spojrzenie maszynistki. Ma koło 50, jest Rosjanką. Wystarczy jedno zerknięcie, jak iskra — i już wiem, że jesteśmy z tej samej parafii: też z Archipelagu! Skąd, za co, ile lat? Jest to Nadieżda Nikołajewna Grekowa, pochodzi z kozackiej rodziny, spod Nowoczerkas-ka, została aresztowana w 37., była zwykłą maszynistką i Organy z pomocą całego arsenału swoich środków dowiodły jej, że należała do jakiejś fantastycznej organizacji terrorystycznej. 10 lat, a potem drugi wyrok i dożywotnie zesłanie.

Zniżając głos i oglądając się na przymknięte drzwi gabinetu dyrekcji informuje mnie rzeczowo: dwie dziesięciolatki, kilka siedmiolatek, brak w rejonie matematyków, potrzeba ich na gwałt, ani jednego z wyższym wykształceniem, a żywego fizyka nigdy tu nie widziano. Dzwonek z gabinetu. Nie bacząc na pewną tuszę, maszynistka zrywa się, biegnie żwawo i służbiście, wraca i woła mnie do gabinetu oficjalnym tonem.

Stół pokryty czerwonym obrusem. Kanapa — siedzą na niej bardzo wygodnie dwaj opaśli inspektorzy. W wielkim fotelu pod portretem Stalina —kierowniczka: drobniutka, zgrabna, pociągająca Kazaszka, o manierach kotki i żmii. Stalin uśmiecha się do mnie z portretu złowróżbnie.

Każą mi usiąść pod drzwiami, z daleka, jakby to znowu było śledztwo. Zaczyna się pusta, nużąca rozmowa, bardzo długa już dlatego, że po każdych kilku zdaniach jakie zamieniają ze mną po rosyjsku — przez dziesięć minut gadają między sobą po kazachsku, a ja siedzę jak na tureckim kazaniu. Wypytują mnie szczegółowo, gdzie i kiedy pracowałem w szkole. Nie ukrywają wątpliwości, czy aby nie zapomniałem swego przedmiotu albo metodyki. Następnie, po długiej serii dwuznacznych min, pauz i westchnień na temat notorycznego braku miejsc i że szkoły w rejonie pełne są matematyków i fizyków, i że trudno w rejonie wykroić nawet pół etatu, i że wychowanie młodzieży godne naszej epoki — to zadanie odpowiedzialne —przechodzą w końcu do najważniejszej sprawy: *za co* siedziałem?, co to

była za zbrodnia? Koto-żmija mruży chytrze ślepka, jakby szkarłatna łuna mojego przestępstwa już parzyła jej partyjną buźkę a ja patrzę nad jej

381

głową na złowieszczy portret szatana, który zrujnował mi życie. Co mogę opowiedzieć im o naszych wzajemnych stosunkach?

Postanawiam nastraszyć trochę tych rycerzy oświecenia przy pomocy starego chwytu aresztanckiego: rzeczy, o które mnie pytają są tajemnicą państwową, opowiadać o nich nie mam prawa. A mówiąc krótko — chcę wiedzieć, czy przyjmą mnie do pracy, czy też nie.

I znów zaczynają trajkotać między sobą po kazachsku. Któż jest tak odważny, aby na własną odpowiedzialność przyjąć do pracy zbrodniarza stanu? Ale mają wyjście; każą mi pisać życiorys, a potem wypełnić kwestionariusz w dwóch egzemplarzach. Dobrze to znam. Papier jest cierpliwy. Czy przed godziną nie robiłem tego samego. Wypełniam więc jeszcze raz ankietę i wracam do MGB.

Z dużym zainteresowaniem zwiedzam dziedziniec tej instytucji, obchodzę ich wewnętrzne więzienie domowej roboty. Udając dorosłych, ci też bez wszelkiej potrzeby przebili w glinianym ogrodzeniu okienko, przez które podaje się więźniom paczki, chociaż ogrodzenie jest tak niskie, że można koszyk podać górą. Bo co to za MGB bez okienka? Pałętam się po dziedzińcu i dochodzę do wniosku, że jakoś mi się tutaj lżej oddycha niż w zatęchłym wydziale oświaty: z perspektywy wydziału MGB wydaje się instytucją zagadkową i na samą myśl o nim inspektorów przebiega zimny dreszcz. A tymczasem — to przecież nasze *rodzone ministerstwo.* Oto trzy łebki w gabinecie komendanta (dwaj — to oficerowie) — ich najzupełniej oczywistym zadaniem jest pilnowanie nas, przecież my — to ich chleb. I żadnych zagadek.

Okazuje się, że z komendantami można się dogadać, pozwalają nam spędzić noc nie w zamkniętej izbie — tylko na dziedzińcu, na sianie. Noc pod gołym niebem! Zapomnieliśmy już co to znaczy!... Zawsze zamki, zawsze kraty, zawsze ściany i sufit. Kto by tam spał! Chodzę, chodzę i chodzę po dziedzińcu zalanym miękką poświatą księżycową. Furmanka, studnia, koryto dla koni, kupka siana, czarne cienie końskie pod szopą — wszystko to takie jest ciche i swojskie, jakby od wieków już trwało, jakby nie nosiło na sobie surowej pieczęci MWD. 3 marca — noc, a wcale nie zrobiło się chłodniej, w powietrzu czuje się lato, prawie tak samo jak we dnie. Z odległych peryferii Kok-Tereku dochodzi ryk osłów, długi, namiętny, raz po raz donoszą oślicom o swojej miłości, o nadmiarze nowych, wiosennych sił — i zapewne oślice odpowiadają im tym samym tonem. Nie bardzo rozróżniam te głosy, o, ten niski, potężny ryk — to może wielbłąd? Wydaje mi się, że gdybym był przy głosie, to też bym zawył teraz do księżyca: będę tu oddychał tym powietrzem!, będę chodził po tych ulicach!

382

To niemożliwe, aby nie udało mi się przebić tej papierowej kurtyny ankiet! Tej pełnej ryku nocy czuję jasno, że jestem mocniejszy od tchórzliwych urzędników.

Uczyć w szkole! znów poczuć, że jest się człowiekiem!, wejść szybkim krokiem do klasy i gorącym spojrzeniem ogarnąć dziecięce twarze!, wskazać palcem na wykres — i wszystkie oddechy zamarły!, wyjaśnić zagadkę dwumianu Newtona — i wszyscy odetchną z ulgą.

Nie mogę spać! Łażę, łażę, łażę w blasku księżyca. Śpiewają iszaki, śpiewają wielbłądy i we mnie wszystko śpiewa: wolny! wolny!

Padam wreszcie na siano w szopie obok moich towarzyszy. O dwa kroki od nas konie stoją przy swoich żłobach i przez całą noc spokojnie żują siano. I wydaje się, że trudno znaleźć w całym wszechświecie odgłos, który piękniej by akompaniował naszej pierwszej, półwolnej nocy.

Żujcie, poczciwiny! Żujcie, koniki!...

Następnego dnia pozwalają nam wyjść, aby szukać mieszkania. Stosownie do moich środków, znajduję sobie domek — kurnik z jednym ślepa-wym okienkiem, a tak niski, że nawet tam, gdzie dach jest najwyższy — też nie mogę się wyprostować. ,,Niechby najniższa nawet chatka..." — tak pisałem kiedyś w więzieniu, marząc o zesłaniu. A jednak — nie bardzo to miłe, że nie mogę podnieść głowy. Za to budyneczek stoi zupełnie osobno! Nie ma podłogi, więc rzucam na ziemię obozową watówkę i już mam pościel! Ale pewien inżynier-zesłaniec, wykładowca instytutu im. Baumana, Aleksander Klimentiewicz Zdaniukiewicz pożycza mi kilka drewnianych skrzynek — i mam komfort. Nie mam za to jeszcze lampy naftowej (bo nic nie mam! — każdą potrzebną rzecz trzeba będzie znaleźć i kupić zupełnie tak, jakbym pierwszy raz znalazł się na tej planecie) — ale właściwie nie żałuję braku tej lampy. W ciągu wszystkich minionych lat, w celach i w barakach ostre światło żgało duszę człowiekowi, więc teraz napawam się ciemnością. Nawet ciemność może stać się składnikiem wolności! W ciemności i w ciszy (mogłoby mi dokuczać radio, bo jest megafon na placu, ale już trzeci dzień milczy jakoś) leżę sobie po prostu na moich skrzynkach — i rozkoszuję się tym!

Czego jeszcze można wymagać?...

Jednakże to, co stało się rankiem 6 marca przeszło wszelkie możliwe oczekiwania! Moja gospodyni, babcia Czadowa, wywieziona z Nowgoro-du, powiada mi szeptem, jakby nie śmiejąc mówić głośno:

— Idź no, posłuchaj radia. Powiedzieli mi ludzie coś takiego, że aż się boję powtórzyć.

383

Rzeczywiście, radio odzyskało mowę. Idę na plac centralny. Jakichś dwustu ludzi, spory tłum jak na Kok-Terek, stłoczyło się pod chmurnym niebem dookoła słupa, na którym wisi megafon. W tłumie — sporo Kazachów, przeważnie starych. Pozdejmowali z łysych głów wspaniałe rude czapy z piżmowców i trzymają je w ręku. Są bardzo markotni. Młodzi

me okazują takiego wzruszenia. Dwaj-trzej traktorzyści nie zdjęli nawet

swoich cyklistówek... Oczywiście, ja też nfe zdejmę. Nie pojąłem jeszcze dobrze słów speakera (głos mu się łamie, mówi z dramatyczną emfazą) — ale już mnie tknęło przeczucie.

To ta chwila, której nadejścia wyglądaliśmy z przyjaciółmi jeszcze za studenckich czasów! Chwila, o którą modlą się wszyscy więźniowie GUŁa-gu (prócz ortodoksów)! Umarł azjatycki dyktator! Wyzionął ducha, niegodziwiec! O, co za radość teraz u nas w specobozie! A dookoła stoją nauczycielki, rosyjskie dziewczęta i łkają głośno: „Co teraz z nami będzie?...". Straciły ojca rodzonego... Krzyknąłby im teraz człowiek na cały plac: „Co będzie? Nie rozstrzelają warn rodziców! Nie wsadzą za kraty narzeczonych! I nie będziecie zesłane!".

Ma się chęć wrzeszczeć na cały głos pod tym megafonem, ba, zatańczyć, jak barbarzyńca! Ale cóż, rzeki historii leniwie płyną. I moja twarz, co przeszła już nielichą zaprawę, przybiera minę bolesnego napięcia. Chwilowo — trzeba udawać dalej, udawać jak dawniej.

A jednak pod szczęśliwą gwiazdą zaczęło się moje zesłanie!

Cały ten dzień zbiega mi na pisaniu wiersza pod tytułem *Piąty marca.*

Upływa jeszcze dziesięć dni i w walce o teki, a także bojąc się jeden drugiego — królewięta postanawiają skasować zupełnie MGB! A więc miałem rację, gdym pytał, czy MGB istnieć będzie wiecznie[4]?

Bo i cóż na ziemi jest wiecznego, prócz niesprawiedliwości, nierówności i niewoli?...

[4] Co prawda, nim pól roku minie — wróci w postaci KGB, kadra została ta sama.

## VIWYGNANIE DO RAJU

1. Śprychy rowerowe — \ kilo
2. But — 5 i \ pary
3. Pszecieradło — 2 sztuki
4. Śklanki — 10 sztuk
5. Piurnik ucznioski — 1 sztuka
6. Glopus — 1 sztuka
7. Draski — 50 paczek
8. Lampa Niedopyrz — 2 sztuki
9. Paszcza do zembów — 8 tupek

10. Piernik — 34 kilo
11. Wutka — 156 pułliterków.

Był to protokół inwentaryzacji i przeceny wszystkich towarów w aule Ajdarły. Inspektorzy i towaroznawcy rejonowego wydziału handlu w Kok-Tereku sporządzili ten protokół, ja zaś teraz kręciłem rączką arytmometru i obniżałem ceny. Jedne towary miały kosztować o 7,5 % mniej, inne

- o 1,5. Ceny spadały katastrofalnie i można było mieć nadzieję, że z po
czątkiem roku szkolnego zarówno p i u r n i k , jak g l o p u s zostaną jed
nak sprzedane, a ś p r y c h y znajdą sobie miejsce w kołach .rowerów
- i tylko wielki zapas pierników, zapewne jeszcze przedwojennego chowu,
zdradzał wyraźny zamiar przejścia do kategorii bubli. Wódka zaś, gdyby
nawet zdrożała, i tak nie zostanie na półkach dłużej niż do 1 maja.

Obniżka cen, która — obyczajem ustalonym za Stalina — ogłoszona została 1 kwietnia i która dała masom pracującym tyle a tyle milionów zysku (zysk ten był zawczasu wyliczony i opublikowany) — była dla mnie sporym ciosem.

16 Archipelag Gułag 385

Już cały miesiąc przejadałem na moim zesłaniu pieniądze, jakie dzięki „rozrachunkowi własnemu" zarobiłem w obozowej odlewni — żyć na wolności z obozowych zarobków! — i wciąż chodziłem do wydziału oświaty, dopytując się, kiedy wreszcie dostanę pracę. Ale żmijowata kierowniczka przestała udzielać mi audiencji, dwóch spasionych inspektorów nigdy nie miało czasu, aby coś mi burknąć, a pod koniec miesiąca pokazano mi rezolucję obwodowego wydziału oświaty, z której wynikało, że wszystkie szkoły rejonu Kok-Terek roją się od matematyków i że znalezienie dla mnie jakiejkolwiek pracy jest niemożliwe.

Tymczasem jednak pisałem sztukę *(Diekabrysty bez diekabria)* nie musząc codziennie poddawać się porannym i wieczornym rewizjom. Dlatego też uciekałem się do niszczenia napisanych już stronic nie tak często jak dawniej. Nie miałem żadnych innych zajęć i po obozie ten tryb życia bardzo mi odpowiadał. Raz na dzień chodziłem do herbaciarni i tam za dwa ruble brałem sobie talerz gorącej polewki — takiej samej, jaką w tejże instytucji posyłano w kuble do więzienia, dla aresztantów. A czarny chleb można było kupić w sklepie bez przeszkód. Kupiłem też sobie kartofli, a nawet — kawał słoniny. Sam przywiozłem na iszaku trochę chrustu, mogłem palić w piecu. Była to już niemal pełnia szczęścia — i tak sobie myślałem: nie dają mi pracy? — to i dobrze, póki mam jeszcze parę groszy — będę sobie pisać sztukę, kiedyż to miałem tyle swobody!

Aż tu pewnego dnia jeden z komendantów spotkał mnie na ulicy i przywołał kiwnięciem palca. Zaprowadził mnie do wydziału handlu, do gabinetu naczelnika, Kazacha objętości bomby lotniczej i powiedział znaczącym tonem:

— Matematyk.

Cud nad cudami!, nikt mnie nie pytał, za co siedziałem, nikt nie kazał wypełniać

ankiety i pisać życiorysów — sekretarka, deportowana Greczyn-ka, dzieweczka o urodzie gwiazdy filmowej, wystukała natychmiast jednym palcem na maszynie nominację na stanowisko planisty-ekonomisty z pensją 450 rubli miesięcznie. Tego samego dnia, z tą samą łatwością, bez żadnych ankiet dostali pracę za pośrednictwem tego samego wydziału dwaj inni bezrobotni zesłańcy: kapitan oceanicznej żeglugi Wasilenko i pewien bardzo tajemniczy, nie znany mi bliżej jegomość — Grigorij Samojłowicz M-z. Wasilenko hołubił już projekt pogłębiania rzeki Czu (latem krowy przechodziły ją w bród), aby uczynić ją spławną i puścić po niej parostatki transportowe; złożył już do komendantury wniosek o wydanie mu delegacji służbowej celem zbadania koryta tej rzeki na całej jego długości. Jego



kolega ze szkoły morskiej, z którym pływał razem na brygu żaglowym „Towariszcz", kapitan Mann, właśnie w tych dniach ekwipował statek „Ob" przed podróżą na Antarktydę — Wasilenkę zaś wetknął wydział handlu do jakiegoś składu w charakterze magazyniera.

Ale nie pozwolono nam pracować ani w składzie, ani przy układaniu planu, ani w księgowości — ogłoszono alarm i całą naszą trójkę wezwano na pokład, do akcji przeceny towarów. Co roku w nocy z 31 marca na 1 kwietnia zaczynała się agonia wydziału handlu i nigdy nie starczało — bo też nie mogło starczyć — ludzi, aby go uratować. Trzeba było zinwentaryzować wszystkie towary, a przy okazji wykryć sprzedawców-złodziei (lecz bynajmniej nie po to, aby oddać ich pod sąd) i dokonać przeceny

- żeby następnego ranka sprzedawać owe towary już po nowych cenach, nadzwyczaj dogodnych dla mas pracujących. Sieć dróg żelaznych i bitych na całej ogromnej pustyni naszego rejonu miała długości 0,0 kilometrów. W terenowych sklepach owe nadzwyczaj dogodne dla mas pracujących ceny można było wprowadzić nie wcześniej niż 1 maja; przez cały miesiąc sklepy te w ogóle nie prowadziły sprzedaży czekając, aż w rejonowym wydziale handlu zakończy się sprawdzanie i zatwierdzanie protokołów
- i aż się je dostarczy wielbłądzią trakcją. Ale przynajmniej w samej stolicy rejonu trzeba było przecież otworzyć sklepy i nie zawalić planów sprzedaży przed świętem 1-maj owym.

Nim zjawiliśmy się w wydziale handlu, już tam dulczyło jakichś piętnastu ludzi — etatowych i specjalnie do przeceny zaangażowanych. Płachty rozliczeń naskrobanych na marnym papierze leżały na wszystkich biurkach i słychać było jedynie postukiwanie liczydeł, na których doświadczeni księgowi potrafili również mnożyć i dzielić, oraz robocze połajanki. Z miejsca zaprzągnięto nas do roboty. Dzielenie i mnożenie na papierku szybko mi się znudziło, więc poprosiłem o arytmometr. W wydziale handlu nie było ani jednego, zresztą nikt nie potrafił posługiwać się nim, ale ktoś przypomniał sobie, że widział w szafie rejonowego urzędu statystycznego

jakąś maszynkę z cyferkami, tylko że tam również nikt z niej nie korzystał. Zadzwonili, posłali kogoś i przynieśli maszynę. Pokręciłem korbką i zaczęły sypać się kolumny cyfr, a główni księgowi jęli patrzeć na mnie wilkiem: konkurent się zjawił?

Kręcąc korbką myślałem sobie: jak szybko zek hardzieje albo — wyrażając się po literacku — jak szybko rosną potrzeby ludzkie! Już mi się nie podoba, że oderwano mnie od sztuki, którą piszę w mojej ciemnej norze; już mi się nie podoba, że nie przyjęto mnie do pracy w szkole, nie podoba mi się, że mi *kazano...* Co?: kuć oskardem ścięty mrozem grunt? miesić nogami saman w lodowatej wodzie? Nie, posadzono mnie przemocą przy

387

czystym stole i rozkazano kręcić rączką maszyny rachunkowej oraz wypisywać kolumny cyfr. Ależ gdyby na początku obozowej mojej odsiadki kazano mi ślęczeć bezpłatnie przy tej rajskiej robocie po dwanaście godzin dziennie, aż po sam kres mojej kary — nie posiadałbym się ze szczęścia! Tu płacą mi za tę pracę 450 rubli, będę sobie teraz mógł dokupywać litr mleka dziennie, a ja kręcę nosem! Wszystkiego mi za mało!

Na cały tydzień wydział handlu ugrzązł w akcji przeceny (trzeba było tu dokładnie oznaczyć dla każdego artykułu współczynnik obniżki, a jednocześnie — wyliczyć koeficjent narzutu dla sprzedaży w sklepach wiejskich) — i ani jeden sklep w żaden sposób nie mógł tymczasem otworzyć podwoi. Wtedy to kierownik-bomba, sam — nierób nad nierobami — zwołał nas wszystkich do swojego wspaniałego gabinetu i tak zagaił:

— Ja warn powiem jedną rzecz. Ostatni zdobycz medycyna: człowiek wcale niepotrzebny sen osiem godzin, absolutnie dosyć cztery! Dlatego tu jest rozkaz! Początek pracy — siódma rano, koniec — druga w nocy, przerwa na obiad — godzina, i na kolację — godzina.

Jak się zdaje nikt z nas nie znalazł w tej ogłaszającej tyradzie nic śmiesznego, przeciwnie. Wszyscy milczeli w ponurym napięciu i w końcu ktoś ośmielił się wszcząć dyskusję na temat początku owej godzinnej przerwy na kolację.

Tak, to jest los zesłanych, już o tym wiedziałem; ten los utkany jest z takich rozporządzeń. Wszyscy tu obecni są zesłańcami i drżą o swoją posadę. Jeśli ją stracą — to długo nie znajdą sobie w Kok-Tereku żadnej innej. I w końcu — robić się to będzie nie dla pana dyrektora, tylko dla kraju, to przecież *konieczne.* I ostatnia zdobycz medycyny wydaje im się ostatecznie czymś znośnym.

Ach, wstać by teraz i wyśmiać tego zadufanego knura! Chociaż raz dać sobie folgę! Ale to natychmiast byłoby zakwalifikowane jako „agitacja antysowiecka" — jako podżeganie do sabotażu nadzwyczaj ważnego zarządzenia. Oto całe twoje życie — jesteś po kolei uczniem, studentem, obywatelem, żołnierzem, więźniem, zesłańcem — a zawsze siła jest w ręku zwierzchności, ty zaś musisz zgiąć kark i milczeć.

Gdyby powiedział — do dziesiątej wieczór — to siedziałbym z innymi. Ale zaproponował nam rozstrzelanie na raty; dla mnie osobiście to znaczło: zaprzestać

pisania właśnie tu, kiedy jestem już na wolności! O nie! Szlak niech cię trafi i tę całą zniżkę cen razem z tobą. Obóz podpowiedział mi sposób postępowania: nie sprzeciwiać się głośno, tylko w milczeniu — za to czynnie. Wraz z innymi wysłuchałem pokornie rozkazu, ale o piątej wieczór podniosłem się z mego krzesła i wyszedłem. Wróciłem dopiero o dziesiątej rano. Moi koledzy wszyscy już byli na miejscu, rachując albo

388

udając, że rachują. M-z aprobował w głębi ducha moje postępowanie, ale sam się nie zdecydował na nic podobnego; szepnął mi, że wczoraj wieczorem dyrektor stanął przy moim pustym biurku i zaczął krzyczeć, iż zapędzi mnie w głąb pustyni, o sto kilometrów stąd.

Przyznam, że strach mnie obleciał: oczywiście, MWD mogło zrobić ze mną wszystko, co chciało. I posłaliby mnie na pustynię! I z odległości 100 kilometrów figę bym widział, a nie rejonowe miasto. Ale miałem szczęście: trafiłem na Archipelag już po zakończeniu wojny, czyli że nie zaznałem na nim już najgorszego; a na zesłanie przyjechałem już po śmierci Stalina. W ciągu miesiąca coś zdążyło się przesączyć nawet tutaj — aż do naszej komendantury.

Niepostrzeżenie zaczynała się nowa epoka — trzy lata największego odprężenia w dziejach Archipelagu.

Dyrektor nie wezwał mnie do siebie i nie przyszedł gromić mnie osobiście. Przepracowałem cały dzień, jedyny trzeźwy wśród tłumu zamroczonych snem — i znów zdecydowałem się na wyjście o piątej po południu. Niech będzie co chce, byle prędzej.

Który to już raz zdałem sobie sprawę, że poświęcić można wiele, ale nie to co najważniejsze. Nie chciałem rezygnować z pisania tej stuki, którą układałem w pamięci jeszcze w katorżniczym specobozie — i wygrałem. Wszyscy pracowali nocami przez cały tydzień — i przyzwyczaili się, że moje biurko jest puste. A dyrektor, mijając mnie na korytarzu, odwracał głowę.

Ale nie było mi pisane uporządkowanie rachunkowości wiejskiego handlu w KaZEKstanie. Do naszego wydziału wpadł któregoś dnia niespodziewanie młody Kazach, wicedyrektor szkoły. Aż do mego przyjazdu był w Kok-Tereku jedynym absolwentem uniwersytetu i bardzo tym się chlubił. Moje pojawienie się nie wzbudziło w nim jednak zawiści. Szkoła była nowa, w tym roku mieli ją opuścić pierwsi absolwenci i może zależało mu na tym, aby wzmocnić skład ciała pedagogicznego. Może też chciał dosolić żmijowatej kierowniczce wydziału oświaty, dość, że kazał mi szybko przynieść z domu dyplom. Pobiegłem jak uczniak i przyniosłem dyplom natychmiast. Schował go do kieszeni i pojechał do Dżambułu na konferencję związków zawodowych. Po trzech dniach odwiedził nas znowu i położył mi na biurku wyciąg z rozporządzenia obwodowego wydziału oświaty. Na rozporządzeniu widniał ten sam bezwstydny podpis, który znalazłem w marcu na papierku stwierdzającym, że w ani jednej szkole całego rejonu nie ma wolnego miejsca dla matematyka — teraz zaś otrzymałem nominację na wykładowcę i

matematyki, i fizyki w obu równoległych ostatnich klasach szkoły — i to na trzy tygodnie przed egzaminami końcowymi! (Dla

389

wicedyrektora to jednak było ryzyko. Nie tyle nawet polityczne; po prostu miał podstawy do obaw, czy aby nie zapomniałem w obozie całej mojej matematyki. W dniu egzaminów piśmiennych z geometrii i trygonometrii nie pozwolił mi otworzyć koperty z tematami w klasie, lecz zaprowadził do gabinetu dyrektora i tam, w obecności wszystkich kolegów-nauczycieli musiałem najprzód sam rozwiązać zadanie; przez cały czas stał za moimi plecami. Gdy okazało się, że rozwiązanie jest właściwe — świąteczny nastrój ogarnął wszystkich matematyków, a zwłaszcza mego wicedyrektora. Jak łatwo było tu zdobyć sławę Kartezjusza! Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że co roku podczas egzaminów końcowych w siódmych klasach — szkoły terenowe wciąż telefonują do rejonu: zadanie nie wychodzi, temat podano nam błędnie! Bo też ci nauczyciele sami ukończyli nie więcej niż siedem klas...).

Jak opisać tę chwilę szczęścia — gdy wszedłem do klasy i wziąłem kredę do ręki? To był dopiero mój pierwszy dzień wolności, tego dnia odzyskałem prawa obywatelskie. Inne elementy zesłańczego losu już od tej chwili uchodziły mojej uwagi.

Gdy byłem w Ekibastuzie kolumnę naszą często prowadzono drogą, przy której stała szkoła. Jak na raj niedościgły patrzyłem na bieganinę dzieci za płotem, na jasne suknie nauczycielek, a dochodzący z ganku terkot dzwonka ranił mnie. Tak zadręczyły mnie te więzienne, beznadziejne lata, te obozowe roboty *ogólne]* Takim szczęściem niebotycznym, rozpierającym serce wydawało się — móc w tej samej jałowej dziurze, w tym Ekibastuzie mieszkać na zesłaniu, na dźwięk tego samego dzwonka wchodzić z dziennikiem do klasy i z tajemniczą miną rozpoczynać lekcje tak, jakbym miał za chwilę odsłonić przed dziećmi najbardziej niezwykłe zagadki. (W tym pragnieniu przejawiało się zapewne moje wrodzone nauczycielskie powołanie, ale było też sporo zarozumialstwa i zadufania — prawem kontrastu po tylu aktach rabskich upokorzeń i marnotrawienia zdolności).

Ale — zapatrzony w losy Archipelagu i naszego państwa — przeoczyłem rzecz najprostszą, elementarną: że w ciągu lat wojny i później nasza szkoła — umarła, że nie ma już jej, że została tylko powłoczka, cymbał brzmiący. Szkoła umarła — i w stolicach, i w stanicach. Kiedy marazm duchowy rozpełza się po całym kraju, jak trujący gaz, któż ma się pierwszy zatchnąć, jeśli nie dzieci, jeśli nie szkoła?

Dowiedziałem się o tym jednak dopiero po kilku latach, gdy wróciłem z kraju zesłańczego do Rosji centralnej. A w Kok-Tereku nie mogłem się tego domyśleć: mordercze było całe to parcie ku ciemnocie, mordercza jej ofensywa, ale jeszcze żyły, jeszcze nie zatchnęły się dzieci zesłańców!

Były to dzieci osobliwe. Rosły świadome swej sytuacji, wiedząc, że należą

390

do upośledzonych. Na radzie pedagogicznej, czy na innych drętwych zebraniach mówiło się o nich i do nich, że są dziećmi sowieckimi, że rosną dla komunizmu i że

tylko chwilowo ograniczone jest ich prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce. To wszystko. Ale te dzieci, każde z nich — czuło obrożę na karku i to od wczesnego dzieciństwa, dokąd tylko sięgało pamięcią. Cały ciekawy, bogaty, tętniący życiem świat (znały go z pism ilustrowanych, z filmów) był dla nich niedostępny i nawet chłopcy w wieku poborowym nie mieli szans, aby go poznać. Bardzo niewielkie i bardzo rzadkie były szansę otrzymania od komendantury przepustki na wyjazd do miasta, gdzie można by stanąć do egzaminu — a jeszcze trzeba było go zdać, być przyjętym na wyższą uczelnię, a potem móc zakończyć ją bez przeszkód. Tak więc wszystko, czego mogli dowiedzieć się o wiecznym, nieogarnionym świecie, sprowadzało się do tego, co byli w stanie otrzymać na miejscu; ta szkoła długie lata jeszcze miała być dla nich pierwszym i ostatnim źródłem wykształcenia. Ponadto na tej jałowej pustyni nie mieli wcale w nadmiarze rozrywek i zabaw, które tak psują młodzież wielkich miast w XX wieku, od Londynu do Ałma-Aty. Tam, w metropoliach dzieci już odzwyczaiły się od nauki, straciły do niej chęć, uczyły się tylko z obowiązku, żeby robić coś, póki nie osiągną odpowiedniego wieku.

Dla naszych zaś zesłańczych dzieci — jeśli ktoś uczył je z oddaniem — nauka była najważniejszą sprawą w życiu, była wszystkim. Uczyły się zachłannie, czując, że w ten sposób wyrywają się z kręgu obywateli drugiej klasy i dorównują — przynajmniej na tym polu — dzieciom klasy pierwszej. Jedynie szkolna nauka zaspokajała ich życiowe ambicje.

(Nie, te ambicje miały inne jeszcze ujście: wybieralne funkcje w szkole; komsomoł; a od 16 roku życia — również udział w *wyborach powszechnych.* Tak pragnęli, biedacy, mieć chociaż iluzję równouprawnienia! Niejeden z tych młodych chlubił się szczerze tym, że wstąpił do komsomołu, ze świętym przekonaniem zabierając głos na pięciominutowych zebraniach politycznych przed lekcjami. Pewną młodziutką Niemeczkę, Wiktorię Nuss, której udało się wstąpić na dwuletnie kursy nauczycielskie, usiłowałem przekonać, że być zesłańcem — to powód do dumy, że to nie hańba. Gdzie tam! Spojrzała na mnie jak na szalonego. Owszem, byli tacy, co do komsomołu wcale się nie pchali — więc tych koledzy wciągali niemal siłą: jest pozwolenie, a ty nie chcesz wstąpić? Dlaczego właściwie? A w Kok-Tereku niektóre dziewczynki, Niemki, członkinie potajemnej sekty religijnej, musiały zapisywać się do komsomołu, żeby rodziny nie zesłano jeszcze dalej na pustynię. O, gorszyciele maluczkich! — lepiej by warn kamień młyński na szyi powiesić...).

391

Wszystko, co tu pisałem, dotyczy „rosyjskich" klas szkoły w Kok-Tere-ku (w istocie rzeczy nie było tam prawie Rosjan, tylko Niemcy, Grecy, Koreańczycy, trochę Kurdów i Czeczeńców, poza tym Ukraińcy, których dziadowie zostali tu przesiedleni w pierwszych latach tego stulecia, a ponadto Kazachowie, dzieci wyższych urzędników i działaczy partyjnych, którzy chcieli, aby ich latoroślą uczyły się po rosyjsku). Większość zaś dzieci kazachskich chodziła do „kazachskich klas". Były

to prawdziwe dzikusy. W większości (chyba że zepsuła je wiernopoddaricza atmosfera domowa) — chłopcy bardzo szczerzy, prawdomówni, dobrze wiedzący co złe, a co dobre — przynajmniej dopóty, dopóki nie zdołano tego zmienić — podsycające w nich pychę — wychowanie. Prawie zaś cała nauka szkolna prowadzona po kazachsku dla tych kazachskich dzieci była jedynie szerzeniem ignorancji: z początku starano się wszelkimi sposobami dociągnąć do dyplomu pierwsze pokolenie. Później te niedouki rozjeżdżały się, aby z wielkim zadęciem uczyć młodszych od siebie; dziewczyny-Kazaszki otrzymywały stopnie dostateczne, a później dyplomy szkól oraz seminariów nauczycielskich nawet, jeśli kompletnie nic nie umiały. Ale kiedy ci młodzi barbarzyńcy trafili nagle na normalną, dobrze przygotowaną lekcję, wchłaniali naukę nie tylko uszami i oczyma, ale ustami.

Mając do czynienia z takim stosunkiem dzieci do nauki szkolnej, oddałem się w Kol-Tereku cały tej sprawie i przez trzy lata (a mogło tych lat być zapewne więcej) już samo belfrowanie czyniło mnie szczęśliwym. Za mało mi było godzin lekcyjnych, aby naprawić i uzupełnić to, czego wcześniej tych dzieci nie nauczono, wyznaczałem im więc wieczorne zajęcia, organizując obserwacje astronomiczne; uczęszczały na nie gromadnie, a z takim zapałem, z jakim nie chodziły do kina. Zostałem także gospodarzem klasy, przy tym czysto kazachskiej, ale nawet to zajęcie niemalże mi się podobało.

Wszelako — wszystko, co w tym było miłego, kończyło się za drzwiami klasy, po dzwonku. W pokoju zaś nauczycielskim, u dyrektora i w moim rejonowym wydziale oświaty zaczynała się zwykła nasza wszechzwiązkowa mitręga, tym jeszcze obostrzona, że kraj to był zesłańczy. Wśród nauczycieli bywali tu już Niemcy i zesłani administracyjnie. Znajdowaliśmy się wszyscy w sytuacji upokarzającej: każda okazja była dobra, aby nam przypomnieć, że tylko z łaski dopuszczono nas do uczenia dzieci i że w każdej chwili możemy ten przywilej utracić. Nauczyciele-zesłańcy jeszcze bardziej niż inni (też zresztą zależni od byle kaprysu) drżeli, by nie rozsierdzić miejscowych notabli zbyt niską oceną postępów ich latorośli. Lękali się też gniewu dyrekcji w wypadku, gdyby średnia postępów całej klasy okazała się zbyt niska — i sztucznie podwyższali oceny; ta praktyka sprzyjała pro-

392

cesowi poszerzonej produkcji ignorantów typowej dla całego Kazachstanu. Prócz tego nauczyciele-zesłaricy (a także młodzi nauczyciele-Kazachowie) dźwigać musieli ciężar rozmaitych danin i potrąceń: co miesiąc potrącano im z poborów koło dwudziestu pięciu rubli, nie wiadomo na czyją rzecz; dyrektor (Berdenow) potrafił nagle obwieścić, że jego córeczka ma urodzin-ki i nauczyciele musieli wysupłać po 50 rubli na upominek; prócz tego — to jeden, to drugi wzywany był do dyrektora albo do kierowniczki wydziału oświaty, gdzie naciągano go na „pożyczkę" w wysokości 300-500 rubli. (Zresztą — były to cechy całego tamecznego stylu życia, czy systemu. Uczniów-Kazachów też zmuszano, aby składali się po baranie albo po pół barana, gdy zbliżał się bal na zakończenie roku szkolnego; tylko w ten sposób pewni mogli być dobrej cenzurki, nawet, jeśli nic a nic nie umieli; bal ów kończył się

gigantyczną pijatyką rejonowego partaktywu). A ponadto — wszyscy notable rejonowi studiowali na jakichś wydziałach zaocznych; do odrabiania ich kontrolnych zadań też zaprzęgano nauczycieli z naszej szkoły; robione to było w feudalnym stylu, przez dyrektora, a nauczyciele — murzyni nie mogli dostąpić zaszczytu poznania „swojego" podopiecznego.

Nie wiem, czy moja nieustępliwość, biorąca się z poczucia, że jestem „niezastąpiony" (taka opinia utrwaliła się szybko), czy też zbliżająca się stopniowo odwilż, czy może oba te czynniki naraz — pomogły mi nie wsuwać łba w te chomąta. Gdybym stawiał oceny niesprawiedliwe — dzieci zaraz przestałyby uczyć się u mnie dobrze; stawiałem więc sprawiedliwe stopnie, wcale nie licząc się z sekretarzami rejkomu. Nie płaciłem także danin i nie udzielałem zwierzchnikom „pożyczek" (żmijowata kierowniczka z całą czelnością poprosiła mnie o pożyczkę!) wystarczyło, że co roku w maju zbiedniałe państwo zdzierało z nas całomiesięczne pobory (był to przywilej wolnych do s u b s k r y b o w a n i a na pożyczki państwowe, przywilej którego pozbawiono nas w obozie, a udzielono znów na zesłaniu). Ale na tym kończyła się moja wierność zasadom.

W moim bezpośrednim sąsiedztwie nauczyciel biologii i chemii, Gieorgij Stiepanowicz Mitrowicz, który odsiedział na Kołymie swojego dziesiątaka, Serb, już niemłody i schorowany, toczył nieustanne boje o sprawiedliwość w Kok-Tereku. Wyrzucony z rejonowego wydziału rolnictwa, ale przyjęty do pracy w szkole, przeniósł się na ten nowy teren razem ze wszystkimi swoimi pasjami. Bo też w Kok-Tereku na każdym kroku spotykało się bezprawie, któremu towarzyszyły jeszcze ignorancja, barbarzyńskie zarozumialstwo i pozbawiony wszelkich skrupułów nepotyzm. Bezprawie i samowola były tu jak mur gliniany — głuchy, miękki, nie do przebicia; więzły w nim ręce. Ale Mitrowicz ofiarnie i bezinteresownie walczył z tym bez-

393

prawiem (co prawda — z Leninem na ustach), demaskował je na radzie pedagogicznej, na rejonowych zlotach nauczycieli, ścinał na egzaminach eksternów-hieuków na stanowiskach i absolwentów „za barana", słał skargi do urzędów obwodowych, do Ałma-Aty i depesze na ręce Chruszczowa (petycję w obronie'Mitrowicza podpisało 70 rodziców, ale nadać ją trzeba było z innego rejonu, u nas poczta by ją zatrzymała). Domagał się kontroli, przyjazdu inspektorów — ci przybywali i z miejsca zawierali sojusz z jego wrogami, więc znów pisał; rozpracowywali go na zebraniach specjalnych rady pedagogicznej, oskarżali o propagandę anty sowiecką wśród dzieci (to już — włos od aresztowania!) i — z taką samą powagą — o brutalny stosunek do kóz, niszczących grządki, uprawiane przez pionierów w szkolnym ogródku, wyrzucali go, znów go przyjmowali do pracy, Mit-rowicz żądał z kolei zapłaty za niezawinioną absencję w szkole, przenieśli go do innej szkoły, nie pojechał tam wcale, znów go próbowali wylać — słowem wojował dzielnie! I gdybym okazał mu pomoc — to razem dalibyśmy im niezłą wcirc.

Ale sęk w tym, że mu nie pomogłem. Zachowałem milczenie. Uchylałem się od

udziału w decydujących głosowaniach (żeby nie być zmuszonym do udziału w nagonce), wymykałem się na jakieś zebranie mego kółka, na konsultacje. Partyjnym eksternistom nie przeszkadzałem w kolekcjonowaniu trójek: należą sami do władz, niech więc sobie oszukują swoją władzę. Ukrywałem prawdziwe moje cele i zadania: wciąż pisałem, a pisałem. Szczędziłem się dla innej, późniejszej walki. Ale problem trzeba rozpatrzeć w szerszym aspekcie! Czy walka Mitrowicza była potrzebna?... czy była walką o słuszną sprawę?

Była to walka z góry skazana na przegraną; szkoda tę mąkę miesić, z niej i tak chleba nie będzie. Ale nawet gdyby Mitrowicz swoje boje wygrał, to i tak nie mogła poprawić ustroju, całego tego systemu. Jasna plamka przez chwilę błyszczałaby wątle i zaraz znów by ją zalało bure błocko. Całe jego ewentualne zwycięstwo nie równoważyło nowego aresztowania, jakie kroiło mu sie w odwet (jedynie dojście do władzy Chruszczowa uratowało Mitrowicza). Walka była beznadziejna, jednakże głęboko ludzki był jego gniew i bunt przeciw niesprawiedliwości, który wszczynał, ryzykując własną głowę. Była to walka z góry skazana na porażkę — ale nie sposób nazwać jej bezcelową, bezużyteczną — gdybyśmy nie wszyscy byli tak bardzo rozważni, gdybyśmy nie skomleli sobie nawzajem na ucho: „I tak nic nie pomoże, nie ma siły!" — całkiem inny byłby nasz kraj! Mitrowicz nie był pełnoprawnym obywatelem, lecz zeslańcem, a mimo to rejonowe władze bały się błysku jego okularów.

Bać to się bały, jednakże gdy następował promienny dzień *wyborów*

394

— wyborów do organów naszej ukochanej władzy — w jednym szeregu stawał niestrudzony rycerz prawdy Mitrowicz (i cóż warta była zatem jego walka?) ze mną, uchylającym się od współudziału i z jeszcze bardziej zamkniętym, a z pozoru najbardziej z nas potulnym GS. M-z: bo — ukrywając boleściwą naszą odrazę — wszyscyśmy szli sobie razem, aby wziąć udział w tym uroczystym błazeństwie. Prawie wszyscy zesłańcy otrzymywali prawo do brania udziału w wyborach, tak niewiele one znaczyły — i nawet pozbawieni praw obywatelskich ze zdziwieniem odnajdywali swoje nazwiska w spisach, ba, jeszcze ich popędzano. U nas, w Kok-Tereku, nie było nawet kabin do głosowania, gdzieś z boczku stała jakaś budka z rozsuniętymi sztorkami, ale nikomu tam nie było po drodze, nie bardzo nawet można było obracać się w jej stronę. Procedura wyborcza polegała na tym, że brało się drukowaną kartkę i szybkim krokiem zmierzało sie do urny, aby ją tam jak najprędzej wrzucić. Jeśli ktoś zatrzymywał się i uważniej przyglądał wypisanym na kartce nazwiskom kandydatów —już to budziło podejrzenia: czy to partyjne organy nie widzą kogo wysunąć, co ten facet sprawdza?... Po głosowaniu każdy miał swoje rzymskie prawo wypić kielicha, bowiem pobory albo zaliczkę zawsze wypłacano przed wyborami. Przyodziani w najlepsze swoje szatki, wszyscy (również zesłańcy), z całą powagą kłaniając się sobie na ulicach, składali znajomym życzenia z okazji *święta...*

Ileż to razy człowiek z rzewnością wspominał obóz, gdzie nie było żadnych

wyborów!

Pewnego razu Kok-Terek wybrał sobie sędziego ludowego, Kazacha; wybrano go jednogłośnie, rzecz jasna. Jak zwykle, ludzie składali sobie życzenia z okazji święta. Ale już po kilku miesiącach dowiedziano sie, że toczy się przeciw niemu dochodzenie karne w powiecie, gdzie przedtem sądził ludzi (i gdzie też był jednogłośnie wybrany). Wyjaśniło się przy okazji, że już u nas też zdążył chapnąć niemało łapówek od prywatnych petentów. Trzeba go było niestety odwołać i wyznaczyć w Kok-Tereku nowe wybory uzupełniające. Kandydatem był znów nie znany nikomu, zamiejscowy Kazach. I w niedzielę znowu wszyscy wdziali najlepsze garnitury, już z rana oddali jednomyślnie swoje głosy, a potem — na spacerze te same, bardzo szczęśliwe, lecz pozbawione poczucia humoru osoby składały sobie wzajem powinszowania z okazji... *święta]*

W katorżniczym obozie śmieliśmy się przynajmniej z całego tego cyrku otwarcie, ale na zesłaniu nie z każdym i nie bardzo szczerze można mówić: życie jest tu prawie takie *jak u wolnych;* zapożyczono od nich przede wszystkim najgorsze z ich przyzwyczajeń — skrytość. M-z był jednym z nielicznych, z którymi mogłem takie temaciki poruszać.

395

Przysłano go tu z Dżezkazganu, przy tym — bez jednej kopiejki, jego pieniądze utknęły gdzieś po drodze. Komendantury jednak wcale to nie obeszło — po prostu skreślono go z listy więziennego zaopatrzenia i wypuszczono na ulicę Kok-Tereku: możesz umierać, nam wszystko jedno. Właśnie wtedy pożyczyłem mu 10 rubli i zasłużyłem sobie tym na jego dozgonną wdzięczność; długo mi przypominał, jak to mu pomogłem. Pamiętał ludziom ich dobre uczynki — był to stały rys jego charakteru. Ale krzywdy pamiętał również. (Tak na przykład nie mógł wybaczyć pewnej podłości Chudajewowi — temu czeczeńskiemu chłopcu, który omal nie stał się ofiarą zemsty rodowej. Wszystko na tym świecie wywraca się na opak! — uratowany od śmierci Chudajew nagle — z całą nienawiścią, bez żadnej racji i bardzo okrutnie — rozprawił się z synkiem M-z).

Był zesłańcem i nie miał żadnego określonego zawodu. W tych warunkach trudno mu było znaleźć w Kok-Tereku przyzwoitą pracę. Został w końcu laborantem szkolnym, była to jeszcze najlepsza z możliwych posad i M-z bardzo ją sobie cenił. Aby to stanowisko zachować musiał jednak wysługiwać się wszystkim, nikogo nie drażnić i w ogóle nie *stawiać się*. Więc się nie stawiał, zachowywał się grzecznie, ale wewnętrznie był bardzo zamknięty i nikt nie wiedział o nim tak prostych rzeczy jak — dlaczego właściwie, mając już 50 lat, nie zdobył żadnego zawodu? My zaś zbliżyliśmy się z nim stopniowo; nigdy żadnych tarć, często jakaś pomoc, a ponadto jeszcze — te same obozowe odruchy, ten sam słownik. Długo *brał na zapartkę,* ale w końcu poznałem jego myśli i jego dzieje. Sądzę, że są pouczające.

Przed wojną był sekretarzem rejkomu partii w Ż. Gdy wojna wybuchła został naczelnikiem oddziału szyfrów w sztabie dywizji. Należał zawsze do elity, był ważną osobą, mało co wiedział o powszednich ludzkich nieszczęściach i troskach. Ale w

1942 roku zdarzyło się tak, że z winy oddziału szyfrów jeden z pułków dywizji nie otrzymał na czas rozkazu wycofania się. Trzeba to było naprawić, ale wszyscy podwładni M-z gdzieś się podzieli albo już zginęli, więc generał posłał samego M-z tam, na pierwszą linię, gdzie Niemcy już brali w cęgi osamotniony pułk. Trzeba dać im rozkaz odwrotu! Uratować ich! M-z pojechał konno niechętnie, z lękiem, i wkrótce znalazł się w takich opałach, że postanowił nie jechać dalej, nie wiedząc nawet, czy w ogóle uniesie głowę. Zatrzymał się więc zupełnie świadomie i tym samym wydał cały pułk na zgubę; zlazł z konia, objął drzewo rękoma (a może schował się za nim przed odłamkami) i... poprzysiągł Jehowie, że jeśli tylko uratuje się, to będzie już odtąd nabożnie i święcie przestrzegać wszystkich praw swojej religii. Skończyło się wszystko pomyślnie: pułk wyginął albo wzięty został do niewoli, a M-z uratował się;

396

dostał 10 lat obozu z art. 58, odsiedział karę — i oto był teraz razem ze mną w Kok-Tereku. Przysięgi swojej dotrzymywał święcie! — w jego głowie i w jego sercu nie zostało nawet śladu dawnej partyjności. Tylko podstępem mogła żona dać mu do zjedzenia coś trefnego, na przykład rybę bez łuski. Nie mógł opuszczać pracy w sobotę, ale starał się nic tego dnia nie robić. W domu zaś surowo trzymał się wszystkich przepisów religijnych i modlił się — z konieczności po kryjomu.

Zrozumiałe, że historię tę opowiedział bardzo, ale to bardzo nielicznym.

A dla mnie ta historia wcale nie jest taka prosta. Proste jest w niej tylko jedno — właśnie to, z czym najtrudniej u nas ludzie się godzą: że prawdziwym rdzeniem naszej duszy — jest świadomość religijna, a wcale nie — partyjno-ideologiczna.

Jakiż sąd wydać o tym człowieku? W świetle wszystkich zasad prawnych, przepisów wojskowych i praw honoru, patriotyzmu czy komunizmu — ten człowiek zasłużył na śmierć albo na pogardę: przecież cały pułk skazał na zgubę, aby ratować własne życie, nie mówiąc już, że nie starczyło mu nawet nienawiści do tego najstraszliwszego w dziejach wroga Żydów, którego miał właśnie przed sobą.

Ale — zgodnie z jakimiś jeszcze świętszymi prawami — M-z mógł przecież zawołać: a czy wszystkie wasze wojny nie są spowodowane przez głupotę waszych polityków? Czy Hitler wtargnął do Rosji nie przez głupotę swoją własną i Stalina, i Chamberlaina? A teraz posyłacie na śmierć mnie?, czy to wy daliście mi życie?

Usłyszałby w odpowiedzi: powinien był (ale powinni byli to zrobić również wszyscy żołnierze owego nieszczęsnego pułku) złożyć takie oświadczenie jeszcze w komendzie uzupełnień, fasując elegancki mundur, a nie tam — obejmując to drzewo! A zresztą nie mógłbym podjąć się obrony tego człowieka na gruncie logiki; logika kazałaby mi nienawidzieć go albo gardzić nim, czuć odrazę przy każdym podaniu mu ręki.

Ale sęk w tym, że nic podobnego ***nie*** *czułem!* Może dlatego, że nie służyłem w tym pułku i nie znałem całej sprawy z własnego doświadczenia? A może dlatego, iż domyślałem się, że los tego pułku musiał zależeć jeszcze od setki innych czynników, albo dlatego, że nigdy nie widziałem M-z w glorii i chwale, lecz w

poniżeniu? Codziennie wymienialiśmy szczery i mocny uścisk dłoni — i ani razu nie miałem wrażenia, że to rzecz sromotna i naganna.

Jak bardzo potrafi się zmienić człowiek w ciągu jednego życia! Jak innym, nowym, staje się zarówo dla siebie, jak dla otoczenia! I oto jednego z tych zupełnie różnych ludzi gotowi jesteśmy — na rozkaz, na mocy prawa, nagłego impulsu, czy w zaślepieniu — ukamienować z miłą chęcią.

397

Ale jeśli kamień wypadnie ci z ręki?... ale jeśli sam przeżyjesz głębokie nieszczęście — czy nie zmienią się wtedy twoje poglądy? Na problem winy, na winowajców. Na każdego z n i c h — i na siebie samego.

Na stronicach tej grubej książki znaleźliście już wiele słów przebaczenia. I oto słyszę głosy sprzeciwu, głosy pełne zdziwienia i oburzenia: musi być jakaś granica! nie wszystkim przecież wolno wybaczać!

A ja też nie wszystkim przebaczam. Tylko tym — co leżą w prochu. Dopóty, dopóki stoi jak bożyszcze na szczytach i marszcząc władczo brwi z całą obojętnością i butą łamie tysiącom ludzi życie — dajcie mi, proszę, kamień i to jak najcięższy! A no, weźmy się razem całą kupą za taran i strąćmy go z piedestału! — ale gdy tylko runął, gdy upadł i od zetknięcia z twardą ziemią pierwsza szczelinka otwarła się w jego zakrzepłej świadomości — precz z kamieniami!

On sam już wraca do ludzkiej gromady.

Nie zagradzajcie mu tej ścieżki, sam Bóg ją wytyczył.

Po tym wszystkim, co wyżej pisało się o zesłaniach, nasz pobyt w Kok-Tereku (jak zresztą — pobyt innych zesłańców w całym południowym Kazachstanie i Kirgizji) uznać należy za zesłanie *na ulgowych warunkach.* Osiedlano tu zesłańców w miejscowościach już zamieszkanych, a więc niedaleko wody i na gruntach nie takich znów jałowych (w dolinie Czu w rejonie kurdajskim — ziemia była nawet bardzo żyzna i szczodra) wielu z nich znalazło się w miastach Dżambuł, Czymkent, Tałass (a nawet Alma-Ata czy Frunze) i sytuacja owych pozbawionych praw ludzi nie bardzo się różniła od sytuacji pozostałych, pełnoprawnych obywateli. W tych miastach żywność była niedroga i łatwo było o pracę — zwłaszcza w osadach przemysłowych — bo też miejscowa ludność nie zdradzała zapału do pracy w przemyśle, do rzemiosł i zawodów wolnych. Ale nawet ci, którzy znaleźli się na wsi nie bywali zapędzani do kołchozów zbyt surowo, całą masą, bez wyjątku. W naszym Kok-Tereku mieszkały 4 tysiące ludzi, większość — byli to zesłańcy, ale w kołchozie pracowali tylko mieszkańcy kazachskiej dzielnicy. Wszystkim pozostałym udało się jakoś znaleźć pracę przy stacji maszyn rolniczych albo jakąkolwiek posadkę, choćby najgorzej płatną — bo środki do życia mieli dzięki 25 metrom kwadratowym warzywnika, dzięki krówce, świnkom, owieczkom. Charakterystyczne, że grupa Ukraińców z obwodów zachodnich (byli zesłani administracyjnie po pięcioletnim pobycie w obozach), ciężko pracujących w miejscowym przedsiębiorstwie budowlanym przy

konstrukcji samanowych lepianek — doszła do

398

wniosku, że życie na tutejszej gliniastej, wymagającej stałego nawadniania, ale za to niekołchozowej ziemi, o tyle jest swobodniejsze, mniej poddane rygorom od życia w kołchozie na ukochanej, kwitnącej Ukrainie, że gdy skończyła im się wreszcie kara zesłania, wszyscy zostali tu na zawsze.

Również oddział operacyjny odznaczał się w Kok-Tereku nierucha-wością — był to zbawczy dla nas przejaw miejscowy ogólnokazachskiego lenistwa. Byli wśród nas chyba jacyś szpicle, jednakże nie czuliśmy ich obecności i nikt jakoś nie ucierpiał.

Główną jednak przyczyną ich niemrawości i postępujących luzów — było nadejście epoki Chruszczowa. Jej impet, osłabiony przez liczne pośrednie bufory i kolejne wahnięcia — dawał się już odczuć nawet u nas.

Zaczęło się od zmiany pozornej — od iluzorycznej „woroszyłowskiej" amnestii (tak nazywano ją na Archipelagu, chociaż zadecydowała o niej pospołu regencyjna rada bojarska). Wszyscy zapomnieli już o stalinowskiej kpinie z politycznych, 7 lipca 1945 roku, gdy również ogłoszono amnestię. Podobnie jak w obozach, także na zesłaniu wciąż powtarzano szeptem gadki o amnestii. Ludzie mają niesłychaną skłonność do aktów ślepej wiary! Na przykład N. N. Grekowa po 15 latach poniewierki, *repetentka,* na glinianej ścianie swojej izdebki powiesiła portret jasnookiego Woroszyłowa i wierzyła, że to on sprawi cud. No i cóż, cud się zdarzył! — istotnie, podpis Woroszyłowa widniał pod kolejnym rządowym dowcipem z 27 marca 1953 roku.

Właściwie nie sposób było wyjaśnić z pomocą logicznych domysłów, dlaczego w marcu 1953 roku, gdy kraj był w żałobie, jego tonący w nieutulonym żalu władcy musieli wypuścić na wolność autentycznych przestępców — chyba tylko z poczucia znikomości spraw świata tego? Ale — jak świadczy Kotoszychin — na dawnej Rusi istniał również zwyczaj nakazujący, aby w dniu pogrzebu cara wypuszczać na wolność zbrodniarzy, co dawało z reguły początek rozbojowi i rabunkom („a ludkowie moskiewscy Boga się nie boją, odzierają tedy z szat i mężów, i niewiasty pośród ulicy, do śmierci ich przywodząc[1]"). Nie inaczej zdarzyło się teraz. Bojarzy pochowali Stalina i zaczęli szukać popularności. Zresztą, postarali się rzecz wytłumaczyć i to „w związku z zanikiem zjawiska przestępczości w naszym kraju" (ale któż wtedy siedzi?, to znaczy, że nie ma kogo puszczać na wolność). Wszelako, chodząc wciąż w stalinowskiej uprzęży i trzymając się dalej tych samych zasad postępowania — dali amnestię bandytom i rzezimieszkom, co zaś do Pięćdziesiątki Ósemki, to jedynie „skazanym na okres

[1] P. Plechanow, *Historia rosyjskiej myśli społecznej,* Moskwa, 1919, tom I, część 2, rozdział 9.

399

pozbawienia wolności do 5 lat włącznie". Ktoś obcy, myślący kategoriami

obowiązującymi w normalnym państwie, mógłby sądzić, że jeśli „do lat pięciu" — to trzy czwarte politycznych pójdzie teraz do domu. W istocie zaś tylko 1-2% tej kategorii miało tak dziecinne wyroki (za to złodzieje rzucili się jak szarańcza na spokojną ludność i dopiero po dłuższym czasie i ze skrzypem milicja wyłapała amnestionowanych bandytów).

U nas, na zesłaniu, amnestia miała echa dość interesujące. Właśnie tutaj — i to od dawna — znajdowali się tacy, którzy zdążyli już swego czasu odbębnić swój pięcioletni, dziecinny wyrok, ale nie byli puszczeni do domów, lecz bez żadnego sądu wywiezieni na zesłanie. W Kok-Tereku były takie samotne babki i dziadkowie z Ukrainy czy spod Nowgorodu — ludzie spokojni i bardzo nieszczęśliwi. Amnestia obudziła w nich wielkie nadzieje, wciąż czekali, że zostaną odesłani do domu. Ale po jakichś dwóch miesiącach nadeszło wyjaśnienie, jak to zwykle — najbardziej bezwzględne z możliwych: ponieważ skazani zostali na zesłanie (dodatkowe i bez sądu) nie na pięć lat, tylko dożywotnio, to ich poprzedni, opiewający na pięć lat wyrok, choć leżał u źródła całej sprawy, nie gra w niej jednak żadnej roli i dlatego amnestia tych ludzi wcale nie dotyczy... A Tonią Kazaczuk w ogóle nie była represjonowana, tylko przyjechała z Ukrainy dobrowolnie, do męża-zesłańca i tu wpisana została na listę zesłanych — po prostu dla porządku. Po dekrecie o amnestii pobiegła do komendantury, ale tam otrzymała bardzo rozsądną odpowiedź: przecież nikt cię nie skazał na pięć lat, jak męża, więc amnestia ciebie nie dotyczy.

Szlak by trafił Drakona, Solona i Justyniana ze wszystkimi ich kodeksami!...

W ten sposób nikt na amnestii nic nie zyskał. Ale w miarę upływu czasu, zwłaszcza — po upadku Berii, niepostrzeżenie, po cichu, ukradkiem zaczynały pojawiać się w krainie zesłania objawy istotnych zmian na lepsze. Więc puszczono do domu tych — co odsiedzieli pięć lat. I pozwolono dzieciom zesłańców wstępować na wyższe uczelnie w pobliskich miastach. I w miejscach pracy przestano zwracać się do zesłańców per „ty". Luzy były coraz większe. Zesłańców zaczęto wysuwać na bardziej odpowiedzialne stanowiska.

Również w komendanturze zrobiło się jakoś puściej. „A gdzie się podział ten komendant?". — „A już tu teraz nie pracuje". Zaczęła się silna kompresja etatów! Stosunek do petentów też był lepszy. Święty *meldunek* przestał już być taki święty. „Kto przed obiadem nie zdążył się stawić, dobra, następnym razem!". To jednej, to drugiej grupie narodowej przywracano teraz jakieś tam prawa. Można już było bez przeszkód rozjeżdżać po rejonie, łatwiejszy stawał się wyjazd do innego okręgu. Goraz częściej powta-

400
w

Pętaki-SSSSi dano rad, i zaczęły * dwa lata me$_{g}$o Cud-
Zes im tylko tym zaćmionego, tylko tej ofiary **wymagającego** -
Zesłania ty ko y bowiem takiej kobiety, której

męczyć nie nudziła. I każdego dnia zostawała mi godzinka na **pisanie** -Z wykorzystać tę godzinkę nie musiałem wprawiać stę w żaden specjalny na tró 1 dw$_{ie}$ siadłem, już słowa wyrywały mi się spod piorą same. A w nieLlę jeśli tylko nie posyłano nas do kopania buraków w koł-Izie pisa m bez przerwy przez cały dzień! Zacząłem tam ptsac pow.esc na któS w a"ze potożyly rękę $_{P}$o dziesięciu latach) i czułem w sobie doje $^{(}_{e}$nergrdoIłu$_{gl}$ch$^{P}$jeszcze$^{y}$iat takiego pisania. A drukować i tak mnie b$_{ę}$da

'TbTariTochę pieniędzy - i kup.łem sobie własna leżankę, zamó-$_{W1}$fem mocny stół do pisania, a spałem wciąż tak samo na pustych skrzyn-Tach NabyL jeszcze odbiornik krótkofalowy, wieczorami zasłaniałem okna' przykładałem ucho do samego głośnika i poprzez szum wodospadów Lglusz ma wyław,ałem **niedozwolone** u nas, a tak pożądane informacje,

401

kojarząc ze sobą te strzępki i uzupełniając domysłem to, czegom nie dosłyszał.

Znużyła nas, zadręczyła lawina kłamstw, powtarzanych przez całe dziesięciolecia, stęskniliśmy się za każdym strzępem prawdy, za każdym jej okruchem! — jednak, wydawało się, że to co słyszę, niewarte jest tego wysiłku i czasu: infantylny Zachód nie mógł przysporzyć nam, wychowań-com Archipelagu ani mądrości, ani siły wytrwania.

Mój domek znajdował się na samym skraju osiedla, od wschodniej strony. Za furtką płynął aryk, zaczynał się step i co ranka mogłem oglądać wschód słońca. Wystarczyło, że powiał wietrzyk stepowy — a już rozpierało mi płuca. O zmierzchu i czarnymi księżycowymi nocami wychodziłem na samotne przechadzki i wchłaniałem stepowe powietrze do zawrotu głowy. W promieniu stu metrów nie było żadnych zabudowań, ani z lewa, ani z prawa, ani z tyłu.

Pogodziłem się już całkowicie z myślą, że będę tu mieszkał — jeżeli nie

dozgonnie, to co najmniej jakieś dwadzieścia lat (nie wierzyłem, by wcześniej nastąpić mogła era powszechnej wolności — i myliłem się nie tak znów bardzo): Już mnie na dobrą sprawę nigdzie nie ciągnęło (chociaż serce mi zamierało nad mapą Rosji środkowej). Świat nie był już zbiorem rzeczy i zdarzeń istniejących poza mną, nieznanych jeszcze, wabiących mnie ku sobie, świat był już tylko we mnie, składał się ze spraw już poznanych i jedno mi tylko pozostało — mianowicie opisać je.

Czułem się nasycony przeżyciami.

Kutuzow, przyjaciel zesłańca Radiszczewa, taki oto list mu posłał: „Gorzko mi to rzec, przyjacielu, ale... sytuacja twoja ma swoje dobre strony. Oderwany siłą od wszystkich istot ludzkich, odarty z tych wszystkich przedmiotów, które blaskiem swoim wzrok nam mącą — z tym większym powodzeniem przedsięwziąć możesz wędrówkę... w głąb własnego jestestwa; możesz beznamiętnie przyjrzeć się sobie i dzięki temu — zyska na bezstronności twój sąd o sprawach, na które dawniej spozierałeś przez bielmo pychy i światowej złudy. Być może wiele *rzeczy* ujrzysz teraz w całkiem nowym świetle".

Tak jest właśnie. I ceniąc sobie nowe, wiele czystsze moje spojrzenie, całkiem świadomie i bardzo wysoko ceniłem sobie moje zesłanie.

A tymczasem kraj zesłańczy pełen był coraz większego ruchu i niepokoju. Komendantura stała się po prostu akademią dworskich manier i etaty w niej podlegały jeszcze większej redukcji. Za ucieczkę należało się już teraz zaledwie 5 lat obozu — i nawet tego nie dawano. Jedna, druga, a potem trzecia grupa narodowa zwalniana była z obowiązku meldowania się w komendanturze, a potem otrzymywała prawo do wyjazdu. Dreszcze radości i nadziei wstrząsały naszym zesłańczym, monotonnym życiem.

402

I nagle, zupełnie znienacka, nadeszła jeszcze jedna amnestia — „adenau-erowska" we wrześniu 1955 roku. Adenauer przyjechał był do Moskwy i otrzymał od Chruszczowa zgodę na zwolnienie wszystkich Niemców. Ni-kita kazał ich wypuścić, ale dopiero wtedy ktoś tam się spostrzegł, że doprowadziło to do nonsensownej sytuacji: Niemców wypuszczono, a ich rosyjskich pomocników dalej trzyma się, każąc im odsiadywać 25-letnie wyroki. Ale ponieważ byli to sami policaje, burmistrze i własowcy, to trąbić publicznie o tej amnestii też jakoś było niesporo. A zresztą działało zasadnicze prawo naszej informacji: wielkim głosem mówić o głupstwach, a ważne sprawy zbywać półszeptem. I oto wiadomość o najbardziej masowej ze wszystkich politycznych amnestii po Październiku ukazała się „byle jakiego" dnia 9 września, bez związku z jakimkolwiek świętem, przy tym
—w jednej tylko gazecie, w „Izwiestiach" i to na wewnętrznej kolumnie,
bez żadnych komentarzy i artykułów wyjaśniających.

Jak tu pozostać obojętnym? Czytam w gazecie: „O amnestii dla osób współpracujących z Niemcami". No dobrze, a gdzie amnestia dla mnie? Trzeba sądzić, że wiadomość do mnie się nie odnosi: służyłem przecież cały czas w Czerwonej

Armii. No i bierz was licho, może tak i lepiej. A tu mój przyjaciel, Lew Kopielew, też mi napisał z Moskwy: wymachując gazetą i powołując się na tę amnestię, wydębił w moskiewskiej milicji zezwolenie na czasowe prawo pobytu. Ale szybko wezwano go znowu: „Co wy nam tu chcecie wmówić? Przecież nie współpracowaliście z Niemcami?".

- „Nie współpracowałem". — „Więc służyliście w sowieckiej armii?".
- „Tak jest". — „No to żeby w ciągu 24 godzin śladu waszego w Moskwie

nie było!". Kopielew, rzecz jasna, został, ale pisał w liście: „Och strach mnie oblatuje po dziesiątej wieczór, przy każdym dzwonku do drzwi myślę, że to już idą po mnie!".

Więc cieszyłem się, że mi tu tak dobrze! Chowałem rękopis (co wieczór ukrywałem go z nawyku) — i spałem sobie jak aniołek. Z mojej czystej pustyni widziałem oczyma duszy rojną, pełną pustej krzątaniny i pychy stolicę; nie, wcale mnie tam nie ciągnęło.

Ale moi moskiewscy przyjaciele nie zaprzestali nalegań: „Co ty sobie myślisz, chcesz tam dalej siedzieć?... Żądaj rewizji sprawy! Teraz to już robią!".

No i po co?... Tu mogłem sobie patrzeć godzinami, jak mrówki najprzód drążą sobie dziurkę w glinianych fundamentach mojego domu, a potem — bez brygadzistów, bez nadzorców, bez komendantów obozu — dźwigają szeregiem swoją zdobycz — łupinki słonecznikowe — bo przygotowują zapasy na zimę. Któregoś dnia — nie zjawiły się jednak, chociaż nałus-kałem im przed progiem łupin. Okazuje się, że domyśliły się zawczasu, ba

403

*wiedzą* to dobrze, że dziś będzie deszcz, chociaż pogodne, słoneczne niebo wcale tego nie zwiastuje. A po deszczu — pełno tu jeszcze gęstych i czarnych chmur, ale mrówki już wyłażą i biorą się do pracy — wiedzą na pewno, że deszczu nie będzie.

Tu, w mojej zesłańczej ciszy wyrysował mi się z przedziwną jasnością prawdziwy szlak życiowy Puszkina: pierwszy uśmiech fortuny, to zesłanie na południe, drugi, najważniejszy — to zesłanie do majątku Michajłows-koje. Tam właśnie powinien był zostać, tam żyć, a żyć i nie wyrywać się stamtąd nigdzie. Jakie fatum pchnęło go do Petersburga?, jakie fatum kazało mu się żenić?...

Niełatwo jednak ludzkiemu sercu słuchać zakazów rozsądku. Trudno, aby drzazga nie płynęła tam, dokąd wszystkie wody płyną.

Rozpoczął się XX Zjazd. O przemówieniu Chruszczowa długo niceśmy nie wiedzieli. Gdy puszczono je w obieg w Kok-Tereku, to też w tajemnicy przed zesłańcami. My zaś dowiedzieliśmy się o nim z BBC. Ale nawet tego wystarczyło, com wyczytał ze słów Mikojana w zwykłej gazecie: „to jest pierwszy leninowski zjazd" po iluś tam latach. Zrozumiałem, że mój wróg Stalin został powalony, a to znaczyło, że ja teraz mam stanąć na nogi.

Napisałem więc podanie o ponowne rozpatrzenie sprawy.

A tej wiosny całej Pięćdziesiątce Ósemce anulowano karę zesłania.

Człowiek jest słaby; porzuciłem niezmącone moje zesłanie. I ruszyłem w mętny

świat.

To, co czuje były zek, jadąc ze wschodu na zachód przez Wołgę, a później cały dzień stukoczącym wagonem przez rosyjskie przylaski — nie jest przedmiotem opisu w tym rozdziale.

Latem, już w Moskwie, zadzwoniłem do prokuratury — co tam z moją skargą. Poprosili, abym zatelefonował jeszcze raz — i życzliwy, bezpretensjonalny głos, należący do funkcjonariusza śledczego, zaprosił mnie na pogawędkę do Łubianki. W sławetnym biurze przepustek na Kuznieckim Moście kazano mi czekać. Zakładając, że czyjeś oczy już mi się przypatrują, już studiują moją twarz — choć wewnętrzne napięcie we mnie rosło, przybrałem dobroduszną, znużoną minę i udawałem, że przyglądam się dziecku, które całkiem niewesoło bawiło się pośrodku poczekalni. Tak jest! — mój nowy śledczy w cywilu stał już z boku i obserwował mnie! Przekonawszy się widocznie, że nie wyglądam na zawziętego wroga, zbliżył się i nader uprzejmie zaprowadził mnie do gmachu Wielkiej Łubianki. Już po drodze dawał wyraz głębokiemu żalowi, że tak zrujnowano (kto???) mi życie, że pozbawiono mnie żony, dzieci. Ale w korytarzach Łubianki pa-

404

nował ten sam elektryczny upał, były one tak samo duszne, wyglądały tak samo, jak w tych czasach gdy wodzono mnie po nich z goloną głową, głodnego, pozbawionego snu, z rękoma do tyłu, bez sznurowadeł i guzików. — „Jak to się stało, że trafiliście na takiego okropnego faceta, jak śledczy Jezepow? Przypominam sobie, rzeczywiście, był tu taki, ale go teraz wydalono". (Na pewno siedzi w sąsiednim pokoju i tak samo wydziwia na mego rozmówcę...). „Ja na przykład służyłem w morskim kontrwywiadzie SMIERSZ, u nas to takich nie było!". (Z waszych szeregów wyszedł Riu-min. To u was służył Lewszyn, Libin). Ale potakuję prostodusznie: a pewno, pewno. On nawet śmieje się z moich dowcipów o Stalinie, tych z 44. roku: „Aleście to świetnie uchwycili!". Chwali moje opowiadania frontowe, wszyte do akt jako materiał obciążający: „Przecież nie ma w nich nic an ty sowieckiego. Jeśli chcecie, możecie je sobie wziąć, spróbujcie opublikować". Ale odmawiam głosem zbolałym, godnym umierającego: „Co też mówicie, dawno już zapomniałem o literaturze! Jeżeli uda mi się jeszcze przeżyć parę lat — to poświęcę je fizyce". (Duch czasu! Tylko tak będziemy teraz grać z wami, panowie).

Niech nie płacze bity, niech płacze ten, kogo nie bito jeszcze! Coś nam przecież dało to więzienie: wiemy przynajmniej, jak gadać z CzKGB.

## VIIZEKI NA SWOBODZIE

Był już w tej książce rozdział „Aresztowanie". Czy potrzebny jest teraz rodział „Wyjście na wolność"?

Przecież z tych, na których kiedyś spadła klęska (mówić tu będziemy tylko o Pięćdziesiątce Ósemce) zaledwie piąta część, ba, może tylko ósma, doczekała się

tego „wyjścia na wolność".

No i w ogóle — wolność! Kto nie zna tych opisów? Tyle razy o tym była mowa w literaturze, tyle razy pokazywano to w kinie: rozwierają się kraty! słoneczny dzień szalejące z radości tłumy, bohater tonie w objęciach swoich bliskich.

Ale pod szarym niebem Archipelagu nawet wyjście na swobodę staje się przekleństwem i otwierające się nad tobą niebiosa wyzwolenia mroczniejąą jeszcze bardziej. Od błyskawicy aresztowania wyjście na wolność różni się jedynie powolnością, marudnym charakterem procedury (bo też prawo już się nie spieszy), i długością rządku liter, składających się na sentencję. A poza tym — zwolnienie zupełnie przypomina aresztowanie, jest to jedynie przejście z jednego stanu udręki do drugiego, przejście łamiące ci żebra, całe życie i cały system pojęć.

Jeśli aresztowanie przypomina nagłe stanięcie lodów, to zwolnienie jest zaledwie chwilowym przejawem odwilży między dwoma przymrozkami.

Między dwoma aresztowaniami.

Bo w tym kraju po każdym zwolnieniu powinno kiedyś nadejść nowe więzienie.

Pauza między dwoma pobytami w więzieniu — oto czym była wolność byłego zeka przez całe czterdzieści lat przed erą Chruszczowa.

406

Koło ratunkowe między dwiema wyspami — ot, popluskaj się trochę między jedną żoną a drugą, człowiecze!...

Od dzwonka do dzwonka — to jest *wyrok.* Od żony do żony — to jest całe wyjście na *wolność.*

Twój brudnooliwkowy paszport, którego tak kazał innym z a-z d r o ś c i ć poeta — upaćkany jest czarnym tuszem 39. paragrafu ustawy o dowodach tożsamości. Kto ma taki stempel, tego nie zameldują w żadnym miasteczku, nie przyjmą na żadną porządną posadę. W obozie dawali za to pajkę, a tu — nie.

A jednocześnie ma się tę złudną swobodę ruchów...

To nie *zwolnieni* — tylko *odwołani z zesłania,* oto kim są ci nieszczęśnicy. Pozbawieni fatalnych, ale też dobroczynnych prerogatyw zesłania, nie potrafią zmusić się do wyjazdu w głąb krasnojarskiej tajgi albo kazachskiej pustyni, gdzie tylu mieliby wokół swoich towarzyszy, byłych zeków! Nie, muszą jechać w samo jądro zatłamszonej *wolności,* gdzie inni odsuwają się od nich ze strachem i gdzie stają się z góry wytypowanymi kandydatami do nowej odsiadki.

Natalia Iwanowna Stołarowa zwolniona została z Karłagu 27 kwietnia 1945 roku. Nie sposób wyjechać do razu — trzeba wyrabiać sobie dowód osobisty, kartki na chleb, starać się o jakieś mieszkanie, a jedyna praca jaką jej proponowano — to rąbanie drzewa. Gdy przejadła już kilka rubli, jakie przyjaciele z obozu dali jej na drogę — Stołarowa wróciła pod bramę obozu, zełgała strażnikom, że idzie po swoje rzeczy (stosunki panowały tam wręcz patriarchalne) i — dalejże do swego baraku! Ile było uciechy! Przyjaciółki ją otoczyły, przyniosły z kuchni bałandy (ale smaczna!), śmieją się i słuchają opowieści o tułaczej doli „na wolności"; nie, dajcie spokój, to już

u nas lżej! Apel. O jedną za dużo!... Dyżurny wyrżnął jej reprymendę, ale pozwolił aż do rana (a nazajutrz przypadał 1 maja) zostać w żonie, tylko żeby rano — śladu nie było!

Stołarowa w obozie cały czas tyrała jak wół (przyjechała z Paryża jako młodziutka dziewczyna, prawie zaraz ją wsadzono i właściwie bardzo chciała czym prądzej wyjść na wolność, aby rozejrzeć się po ojczystym kraju!). Za wydajną pracę — dostała zwolnienie typu iście wyjątkowego: bez ścisłego określenia miejsca zamieszkania. Ci, którzy mieli wyraźne skierowanie potrafili się jeszcze jakoś urządzić: milicja nie mogła już ich przepędzić z danej miejscowości. Ale Stołarowa ze swoim zaświadczeniem o „czystym" zwolnieniu, znalazła się w sytuacji bezdomnego psa. W Moskwie, w domach najlepszych przyjaciół, częstowano ją herbatą, ale nikt nie zapraszał jej na noc. Nocowała zatem na dworcach. (I nie o to nawet

407

chodzi, że budzą tam człowieka, spać nie dają, że przed świtem — wszystkich wypędza się na ulicę, żeby sprzątnąć salę; ale kto z byłych zeków, którzy znaleźli się w drodze z obozu na dużym dworcu, nie pamięta, jak serce mu zamierało na widok każdego milicjanta! Co za surowy wzrok! Bo czuje w tobie byłego zeka! Na pewno zaraz powie: „Poproszę o dokumenty!". Zabierze ci zaświadczenie o zwolnieniu z obozu — i znowu będziesz zekiem. Nieważne u nas są prawa, nieważne zasady, nieważni ludzie — ważny jest tylko dokument! Zabierze ci to zaświadczenie — i skończone... Tak to właśnie odczuwamy...). W Łudzę Stolarowa próbowała dostać pracę w warsztacie, gdzie robiono rękawiczki — nawet nie dla ludności, tylko dla jeńców niemieckich! Mało, że jej nie przyjęto, ale kierownik zawstydził ją przy wszystkich: „Chciała wśliznąć się do naszej instytucji! Znamy ich sposobiki! Czytaliśmy Szejnina!". (Że też ten spaśny Szejnin nie udławi się własną pisaniną!).

Błędne koło: do pracy nie przyjmą bez meldunku, nie zameldują jeśli nie masz pracy. A jeśli nie masz pracy — to kartek na chleb też nie dadzą. Eks-więźniowie nie znali przepisu, który zobowiązuje MWD do zapewnienia pracy zwolnionym. A jeśli który znał — to bał się żądać: jeszcze człowieka wsadzą...

Wyjdź tylko spoza krat, a już cię czeka bat.

Za moich studenckich czasów na uniwersytecie rostowskim wykładał profesor N.A. Trifonow, dziwak: przygarbiony, głowa jakby wciśnięta w barki, zawsze napięty, bojaźliwy, nie daj Boże zawołać go, gdy przechodził przez korytarz. Dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że *już siedział* — i gdy ktoś na niego wołał, zdawało mu się, że to znów oper-czekiści.

W rostowskim zaś instytucie medycznym po wojnie popełnił samobójstwo pewien lekarz, który odsiedział już swoje; przekonany był, że groziło mu ponowne uwięzienie. Kto spróbował już, jak smakuje obóz, kto *go już zna* — może taką decyzję podjąć łatwo; nie wiadomo co straszniejsze.

Biada tym, którzy wyszli na wolność *za wcześnie!* Awenir Borysow, doświadczył

tego w 1946 roku. Przyjechał nie do jakiegoś dużego miasta, tylko do rodzinnej osady. Wszyscy jego starzy towarzysze, koledzy z wojska — unikali go jak ognia, nie zatrzymując się nawet, gdy spotkali go na ulicy (a byli to przecież niedawni frontowcy, nieustraszeni żołnierze!) jeśli zaś w żaden sposób nie mogli uniknąć rozmowy — po kilku wymijających słowach starali się szybko odejść. *Nikt,* ale to nikt nie spytał go, jak przeżył te wszystkie lata (chociaż wiemy — jak się zdaje — o Archipelagu mniej niż o Afryce Centralnej! Czy potomni potrafią kiedykolwiek pojąć, jak

408

wytresowani byli nasi wolni obywatele?). Ale oto pewnien stary szkolny kolega zaprosił go jednak na herbatkę — wieczorem, kiedy już zapadła ciemność. Jakie to miłe! Ile w tym ciepła! A przecież trzeba trochę cichego ciepła, aby roztajał lód w duszy! Awenir poprosił o stare fotografie z ich wspólnej młodości. Przyjaciel wydobył albumy. Widać sam zapomniał — i dlatego zdziwił się, gdy Awenir nagle zerwał się i wyszedł, nie czekając na samowar. A co miał zrobić, skoro na wszystkich zdjęciach jego twarz zasmarowana była atramentem[1]?!

Awenir stanął później na nogi — został dyrektorem domu dziecka. Wychowywały się w nim sieroty po żołnierzach, którzy zginęli na froncie. Płakały w poczuciu krzywdy, gdy dzieci wpływowych rodziców wyśmiewały ich dyrektora, bo siedział w więzieniu.

A Kartel w 1943 roku, chociaż skazany z artykułu 58, spisany został z obozu *na straty,* ponieważ miał gruźlicę płuc.Dano mu wilczy paszport, w żadnym mieście nie mógł nawet marzyć o meldunku ani o pracy — więc tylko śmierć powolna i znikąd pomocy. I raptem — komisja poborowa: pracują w pośpiechu, potrzebne są uzupełnienia. Kartel miał otwartą formę gruźlicy, ale oświadczył, że jest zdrów: jak ginąć, to bez zwłoki — i jak równy wśród równych! I walczył niemal do samego końca wojny. Dopiero gdy leżał ranny w szpitalu, oko Trzeciego Oddziału wyszperało, że ten dzielny żołnierz — to wróg ludu. W 1949 już był na liście wyznaczonych na r e p e t ę, ale pomogli mu porządni chłopcy z komendy uzupełnień.

Za czasów Stalina za najlepszy sposób uchodziło — wyjście po zwolnieniu za wrota obozu — ale nie nazbyt daleko, parę kroków. Tych już znano w okolicznych przedsiębiorstwach — i przyjmowano do pracy. A enkawudziści, spotykając starego znajomka na ulicy, widzieli w nim kogoś, kto już przeszedł należną kontrolę.

No, nie zawsze tak było. W 1938 roku Prochorow-Pustowier został wy puszczony na wolność i zaangażował się do pracy z najmu, jako inżynier w tym samym Bamłagu. Naczelnik operoddziału Rozenblit oznajmił mu: „Jesteście na wolności, ale pamiętajcie, że chodzicie po linie. Najmniejszy błąd — i znów zostaniecie zekiem. W tym wypadku ***nie*** *będzie nawet po trzebny żaden sąd.* Tak więc — uważajcie i nie wyobrażajcie sobie, że jes teście wolnym obywatelem!". '

' Minęło 5 lat i przyjaciel zwali) wszystko na żonę: to ona zamazała. Minęło jeszcze dziesięć (1961 rok) i żona sama przyszła do Awenira, do komitetu związku zawodowego, by prosić go o skierowanie na wczasy do Soczi. Dal jej, oczywiście. Ona zaś nic — tylko trajkotała o dawnej ich przyjaźni.

409

Takich rozsądnych zeków, którzy dobrowolnie wybrali sobie więzienie jako odmianę wolności —jeszcze dzisiaj są setki tysięcy w głuchych kątach, w jakichś norylskich czy narymskich rejonach. Lżej im jakoś drugi raz iść za kratę, jakby co — to wszystko pod bokiem.

A na Kołymie nie bardzo było w czym wybierać — bo tam ludzi *trzymali*. Przy zwolnieniu zek podpisywał *dobrowolne* zobowiązanie do dalszej pracy w Dalstroju (przepustkę na „wielką ziemię" jeszcze trudniej było dostać na Kołymie niż zwolnienie). Oto przypadek N. W. Surow-cewej. Na swoje nieszczęście — doczekała się końca kary. Jeszcze wczoraj pracowała w żłobku — było jej ciepło i miała co jeść. Dziś już zapędzono ją do robót ziemnych, bo innych tu nie ma. Jeszcze wczoraj miała zagwarantowaną pryczę w baraku i pajkę — dziś nie ma ani pajki, ani dachu nad głową i musi gnieździć się w zrujnowanym domku z przegniłymi podłogami (na Kołymie!). Poczciwe przyjaciółki z przedszkola długo jeszcze podrzucają jej pajkę z obozu. „Ciężar przymusowej wolności" — oto jak nazwała ona swoje nowe jarzmo duchowe. Z czasem udaje jej się stopniowo stanąć na nogi i w końcu Surowcewa zostaje dumną właścicielką domu! — to znaczy chatynki, w której nie każdy pies zgodziłby się mieszkać.

Aby czytelnik nie sądził, że tak bywało tylko na przeklętej Kołymie, dodajmy, że na Workucie nie lepiej wyglądały typowe baraki, tak zwane TBC (Tymczasowe Budownictwo Cywilne), w których mieszkać muszą wolniacy, gdy im się powiedzie — oczywiście ci, którzy byli zekami.

W świetle tych faktów nie najgorszy jeszcze los przypadł M. P. Jakubo-wiczowi: pod Karaganda było więzienie, w którym siedział; przebudowano je, zamieniono na dom inwalidów (tzw. Dom Tichonowski) — i oto „po wyjściu na wolność" musiał w tym domu mieszkać pod nadzorem i bez prawa wyjazdu.

Rudkowski, nie mogąc nigdzie znaleźć pracy („przeżyłem nie mniej niż w obozach") pojechał pod Kustanaj, na ziemie dziewicze („można tam było spotkać dosłownie wszystkich"). — I. W. Szwed ogłuchł, bo musiał przetaczać w Norylsku wagony w trakcie najgorszych zamieci; później pracował jako palacz po 12 godzin na dobę. Ale żadnych zaświadczeń mu nie wydano! W opiece społecznej wzruszają tylko ramionami: „Przyprowadźcie świadków". Znajdziesz świadka jak rak świśnie... — I. S. Kar-punicz odbębnił 20 lat na Kołymie, jest chory i wycieńczony. Ma 60 lat, ale nie doliczono się u niego sakramentalnych „25 lat pracy najemnej" — więc również emerytury nie ma. Im dłużej siedział człowiek w obozie, tym więcej ma chorób — a jednocześnie tym mniej zalicza mu się do stażu, więc

nadzieje na rentę są proporcjonalnie mniejsze.

410

Nie ma przecież u nas, jak na przykład w Anglii „Towarzystwa opieki nad byłymi więźniami". Aż strach wyobrazić sobie możliwość takiej herezji[2].

Piszą mi w listach tak: „w obozie był jeden dzień Iwana Denisowicza, a na wolności — drugi".

Ale przepraszam! Przecież, jeśli się nie mylę, tymczasem zajaśniało nam słońce wolności? A ku pokrzywdzonym wyciągnęła się wszak czyjaś dłoń: *„To się już nigdy nie powtórzy!"*. A nawet — zdaje się że łzy kapały na zjazdowe trybuny?

Żuków (z Kowrowa): „Podniosłem się — nie na nogi wprawdzie, tylko na kolana, ale i to dobre". A przecież: „Nosimy na sobie znamię łagrowca i przy pierwszej redukcji — nas właśnie zwalniają z pracy". P. G. Tichonow: „Jestem zrehabilitowany, pracuję w instytucie naukowo-badawczym,a mimo to wciąż mi się zdaje, że obóz dalej trwa. Te same matoły, które komenderowały nami w obozach" — dalej mają nad nim władzę. G. F. Popów: „Nie bacząc na wszystko, co się mówi i co się pisze, wystarczy, aby moi koledzy dowiedzieli się, iż siedziałem, a już niby niechcący, pokazują mi plecy".

Nie, twarde diabeł ma rogi! Bo już taka jest nasza ojczyzna: żeby na cały sążeń pchnąć ją ku tyranii — dość brwi zmarszczyć albo kaszlnąć. Żeby na jeden cal zaś pociągnąć ją ku swobodzie — trzeba sto wołów zaprząc i każdego osobnym biczyskiem poganiać: „A gdzie zawracasz, a zasię! a ciągnijże równo!".

No, a *forma* rehabilitacji? Staruszka Cz-na dostała groźnie brzmiące wezwanie: „Zjawić się w milicji jutro, nie później niż o 10.00 rano". I nic ponadto. Jej córka pobiegła z wezwaniem w ręku (wieczorem tegoż dnia) do urzędu: „Boję się o jej zdrowie. O co chodzi? Jak ją mam przygotować?". — „Nic się nie bójcie, to *mila nowina,* chodzi o rehabilitację nieboszczyka męża". (A przecież można było domyślać się jakiejś — jeszcze gorszej — porcji piołunu? Dobroczyńcom to nawet do głowy nie przyszło).

Jeśli tak wygląda nasze *miłosierdzie* to łatwo się domyśleć, jaka jest nasza surowość!

Jakież rozmiary przybrała lawina rehabilitacji! — ale nawet ona nie nadwerężyła kamiennej czachy naszego bezgrzesznego społeczeństwa! —

[2] Również przestępców pospolitych spotka dzisiaj ten sam los. A. I. Burłaka doczeka) się w ananiewskim komitecie rejonowym partii takiej odpowiedzi: „Tu nie oddział kadr", a w prokuraturze: „To nie nasza sprawa", w radzie miejskiej: „Musicie zaczekać". Chodził bez pracy 5 miesięcy (1964 rok). T. K. Jegorowowi kazano w Noworosyjsku (1965) z miejsca podpisać zobowiązanie do wyjazdu w ciągu 24 godzin. Okazał w zarządzie miejskim dyplom otrzymany w obozie „za wydajną pracę" — wyśmiano go tylko. Sekretarz miejskiego komitetu partii po prostu wyrzucił go za drzwi. Poszedł więc, dał łapówkę, i został w Noworosyjsku.

411
przecież ta lawina nie tam spadła, gdzie wystarczy zmarszczyć łeb, lecz tam, gdzie tysiąc wołów trzeba zaprząc.

Rehabilitacja — to pic i lipa!" — mówią otwarcie partyjni bonzowie. *„Za dużo już tych zrehabilitowanych!"*.

Waldemar Zarin (Rostów nad Donem) odsiedział 15 lat i później jeszcze przez 8 lat potulnie milczał. Ale w 1960 zdecydował się opowiedzieć kolegom z pracy, jak źle było w obozie. Wytoczono mu śledztwo i pewien major KGB powiedział do Zarina: *„Zrehabilitowany — to jeszcze nie znaczy niewinny*, znaczy tylko tyle, że przestępstwo nie było zbyt groźne. Ale coś tam jest na rzeczy i *to już zostanie na zawsze!"*.

A w Rydze, w tym samym roku 1960 zgrany kolektyw pracowników pewnego przedsiębiorstwa przez trzy miesiące pod rząd prowadził nagonkę przeciw Pietropawłowskiemu za to, że zataił, iż jego ojciec został rozstrzelany... w 1937 roku!

A mój korespondent Komogor ani rusz nie może zrozumieć: kto dziś jest bezgrzeszny, a na kim ciąży wina? Gdzie chować oczy, kiedy jakaś chamska morda zaczyna mówić o równości i braterstwie?

Markiełow po rehabilitacji został wybrany na niezbyt eksponowane stanowisko przewodniczącego komitetu miejscowego spółdzielni. I oto przewodniczący spółdzielni nie pozwala temu delegatowi mas ani przez chwilę zostać samemu w gabinecie! Sekretarz zaś biura partyjnego, Bajew, jednocześnie — szef kadr spółdzielni — na wszelki wypadek każe skierować na swoje ręce całą korespondencję służbową przeznaczoną dla Markiełowa. „Czy przypadkiem nie do was trafił list w sprawie wyborów do komitetu miejscowego?". — „Zdaje się, że przyszło coś takiego przed miesiącem".

- „Przecież to mi jest potrzebne!". — „No, dobra, macie tu, czytajcie, tylko szybciej, bo dzień się już kończy!". — „Ale przecież list jest do mnie! Dajcie, odniosę wam jutro rano!". — „A nie, przepraszam, *to dokument"*.
- Spróbujcie sobie wyobrazić, że jesteście w skórze takiego Markiełowa, bądźcie zależni od takiego buca, jak Bajew i to tak, żeby całe wasze pobory i wasze prawo pobytu również od niego zależały — i wdychajcie sobie później pełną piersią powietrze ery wolności!

Nauczycielka Diejewa otrzymała zwolnienie z pracy „za rozkład moralny": wystawiła bowiem na szwank *prestiż zawodu* wychodząc za mąż za... eks-więźnia (którego nauczycielką była na kursach w obozie)!

To już nie za Stalina, tylko — za Chruszczowa.

I jeden tylko namacalny konkret został po wszystkich minionych przeżyciach — ZAŚWIADCZENIE. Ćwiartka papieru, o rozmiarach 12 na 18 centymetrów. Dla żywych — o rehabilitacji. Dla umarłych — o śmierci. Data zgonu — tego nie da się sprawdzić. Miejsce zgonu — przekreślone

412

wielką literą Zet. Diagnoza — możesz przewertować sto takich zaświadczeń i wszędzie znajdziesz to samo, jednakowe rozpoznanie[3]. Czasami — nazwiska świadków wzięte z sufitu.

Naoczni zaś świadkowie — wciąż milczą.

To znaczy, że — my milczymy.

I skąd przyszłe pokolenia dowiedzą się czegokolwiek? Wszystko ukryte, zabite na głucho, wyskrobane do czysta.

„Również młodzież — skarży się Wierbowski — patrzy na rehabilitowanych podejrzliwie i z pogardą".

No — co do młodzieży — to nie cała jednak. Większa część młodzieży ma po prostu w nosie czy nas zrehabilitowano, czy nie, czy *siedzi* dziś jeszcze 12 milionów, czy już nie siedzi; co ich to obchodzi, to dla nich nieważne. Byleby sami mogli pałętać się bez przeszkód razem ze swoimi magnetofonami i kudłatymi dziewczętami.

Ryba nie zwalcza przecież rybołówstwa, stara się tylko prześliznąć przez oczka sieci.

Podobnie, jak ta sama nagminna choroba ma rozmaity przebieg u rozmaitych ludzi — również akt wyjścia na wolność, jeśli przyjrzeć mu się z bliska, ma rozmaity wpływ na każdego z nas.

Więc nasamprzód — w aspekcie fizycznym. Jedni z nas zbyt wiele wysiłku włożyli, aby przetrzymać jakoś pobyt w obozie. Przeżyli ten okres w takim napięciu jakby z żelaza ich zrobiono: przez dziesięć lat nie mogli dać swemu ciału nawet małej części tego, co jest mu potrzebne, tyrali i harowali; potrafili kuć kamień na mrozie, półnadzy — i nawet nie przeziębili się nigdy. Ale oto nadszedł koniec kary, znikło gdzieś owe nieludzkie ciśnienie wewnętrzne i w rezultacie osłabło także wewnętrzne napięcie. Tych właśnie ludzi gubi taka nagła zmiana ciśnienia. Olbrzym Czulpieniew, który ani razu nie miał kataru w ciągu 7 lat pracy przy wyrębie lasu — po wyjściu z obozu zapadł na kilka chorób naraz. — G. A. Sorokin pisze: „Po rehabilitacji zaczęło w przyśpieszonym tempie opuszczać mnie to zdrowie duchowe, którego zazdrościli mi obozowi koledzy, zaczęły się neurozy, psychozy...". Igor Kaminow: „Na wolności osłabłem i oklapłem, i mam nawet wrażenie, że wszystko na wolności ciężej mi przychodzi".

[3] Córka Cz-na poprosiła niezbyt sprytną biuralistkę o pokazanie jej wszystkich czterdziestu zaświadczeń z pliku. Na wszystkich czterdziestu tym samym charakterem pisma wypisane było rozpoznanie tej samej choroby wątroby! A czasem bywa i tak: „Wasz małżonek (Aleksander Pietrowicz Malawko-Wysocki) zmarł przed rozprawą sądową i początkiem dochodzeń, dlatego też nie może zostać zrehabilitowany".

413

Jak to dawniej u nas powiadano: *w dzień powszednj walić góry dla mnie fraszka, a w*

*niedzielę to mnie zwali jedna flaszka.* Temu wszystkie zęby wypadły w ciągu roku. Tamten — od razu się postarzał. Ten znów — ledwie wrócił do domu, już osłabł, gorączka go zżarła i umarł.

Za to inni — dopiero na swobodzie odzyskali siły. Dopiero tu odmłod-nieli i rozprostowali się. (Ja na przykład, nawet teraz jeszcze wyglądam młodziej, niż na pierwszej fotografii z zesłania). Nagle człowiek widzi: jakież wszystko lekkie jest tu, na wolności! Tam, na Archipelagu, działa zupełnie inne siła ciężkości, tam — czujesz, że nogi masz słoniowe, a tu
—przebierasz nimi jak wróbelek. To, co dla wolniaka jest zadaniem ponad siły, my gotowiśmy wykonać w mig, jak z bicza trząsł. Mamy przecież taką swoją miarę rzeczy: „Już było gorzej!". Było gorzej, to znaczy, że teraz już jest całkiem łatwo. I jakoś wcale nam się nie nudzi wciąż powtarzać: by wało już gorzej! bywało już gorzej!

Ale jeszcze mocniej odbija się na dalszych, nowych losach człowieka ów duchowy przełom, który zachodzi w nim przy wyjściu na wolność. Bardzo różny bywa charakter tego przełomu. Dopiero na progu wartowni obozowej zaczynasz rozumieć, że zostawiasz za sobą swoją prawdziwą ojczyznę, -tę właśnie katorgę. Tu ukształtowałeś się duchowo i najbardziej własna część twojej duszy już tu na zawsze zostanie — podczas gdy nogi niosą cię gdzieś w milczące, bezechowe przestrzenie *wolnego* świata.

W obozie ujawniają się prawdziwe cechy, ludzkiego charakteru, ale przy wyjściu na swobodę ujawniają się również! Oto jak żegnała się ze specobo-zem w 1950 roku Wiera Aleksiejewna Korniejewa, z którą spotykaliśmy się już na stronicach tej książki: „Zatrzasnęły się za mną pięciometrowe wrota i sama sobie nie wierząc poczułam, że płaczę wychodząc na wolność. Co opłakiwałam właściwie?... A miałam takie uczucie, jakbym oddzierała od siebie coś, co mi było najbardziej drogie i miłe, jakbym odcinała się od towarzyszy niedoli. Wrota zatrzasnęły się — i wszystko się skończyło. Nigdy już nie zobaczę tych ludzi, żadna wieść od nich do mnie nie dotrze. *Zupełnie jakbym szła na tamten świat...".*

*Na tamten świat!...* Wolność jako odmiana śmierci. A bo to wyszliśmy na wolność? — nie, raczej umarliśmy, aby rozpocząć inne, całkiem nowe życie
—pozagrobowe. Życie widmowe nieco. Życie, w którym po omacku i ost rożnie dotykamy różnych przedmiotów, starając się poznać je w ten sposób.

Bo nasze wyjście na wolność, ów powrót na obszary tego świata wyobrażaliśmy sobie przecież zupełnie inaczej, a mianowicie widzieliśmy je, jako realizację puszkinowskiej wizji: ,,I bracia warn oddadzą miecz*".

Ostatnie słowa z wiersza do zesłanych dekabrystów *W głębinie syberyjskich rud* (1827), w tłumaczeniu Juliana Tuwima.

414

Ale takie szczęście jest udziałem tylko nielicznych generacji więźniów.

To było wyzwolenie kradzione, nie zaś autentyczne. I kto to zrozumiał — ten ze strzępkiem tej kradzionej wolności starał się jak najszybciej uciec w samotność.

Jeszcze w obozie „prawie każdy z nas — przynajmniej najbliżsi moi towarzysze i ja sam — myślał, że jeśli Bóg pozwoli dożyć nam chwili wyjścia na wolność — to zamieszkamy potem nie w mieście, nawet nie na wsi, tylko gdzieś w głębi lasu. Znajdziemy sobie tam pracę, będziemy leśnikami, gajowymi, pastuchami wreszcie, byle jak najdalej od ludzi, od polityki, od wszystkich marności tego świata" (W. W. Pospiełow). Na swobodzie przez pierwszy okres Awenir Borysow unikał ludzi i szukał pociechy w kontakcie z naturą. „Gotów byłem ściskać i całować każdą brzózkę, każdą topolę. Szelest opadłych liści (wyszedłem z obozu jesienią) wydawał mi się muzyką, która wyciskała mi łzy z oczu. Było mi wszystko jedno, że dostawałem tylko 500 gramów chleba, skoro mogłem godzinami słuchać ciszy, a do tego jeszcze czytać książki. Każda praca wydawała mi się teraz łatwa, prosta, doby mijały jak godziny, czułem nienasyconą wolę życia. Jeśli na świecie istnieje w ogóle szczęście, to na pewno czuje je każdy zek przez pierwszy rok swego życia na wolności!".

Ludzie tacy niczego nie chcą mieć na własność: dobrze pamiętają, że dobytek traci się tak łatwo, jakby go pożar pochłonął. Niemal zabobonnie unikają kupowania nowych rzeczy, starają się donosić stare, nie wyrzucają połamanych krzeseł. Pewien mój przyjciel ma takie meble, że wręcz nie ma na czym siąść, ani o co się oprzeć, bo wszystko się rozlatuje. „Cóż, tak żyjemy — śmieje się — od żony, do żony". Jego żona — też siedziała w więzieniu.

Lew Kopielew wrócił w 1955 roku do Moskwy i musiał stwierdzić: „Trudno wytrzymać z facetami, którym się powodzi! Widuję tylko tych z dawnych przyjaciół, którym się jakoś nie powiodło".

Bo też — patrząc na rzeczy po ludzku — tylko ci są naprawdę interesujący, którzy zrezygnowali z robienia kariery. A kto ją robi, z tym strasznie nudno.

Ale ludzie nie są jednakowi. I dla wielu wyjście na wolność oznaczało zupełnie coś innego (zwłaszcza w okresie, gdy zdawało się, że CzKGB przymknęło oko na to i owo): hurra! jestem wolny! Teraz jedno jest tylko ważne: teraz nigdy więcej nie dać się złapać! teraz — grunt to odkuć się!

Jedni odkuwają się na urzędach, innym bardziej zależy na tytułach (akademickich i wojskowych), innym znów — na zarobkach i książeczce oszczędnościowej (mówienie o tym jest u nas w złym tonie, ale liczenie po cichu — bynajmniej). Niektórzy starają się mieć jak najwięcej dzieci. Inni

415

odrabiają inne zaległości... na przykład Walenty M. zaklinał się w więzieniu, gdzie siedzieliśmy razem, że na wolności *odbije sobie* wszystko, co tu stracił w dziedzinie męsko-damskiej. I rzeczywiście: kilka lat z rzędu co dzień chodził do pracy, wieczory zaś, nawet w dni powszednie — spędzał w towarzystwie dam, wciąż je przy tym zmieniając; spał po cztery-pięć godzin, posunął się, postarzał. Jeszcze inni wetują sobie stracone okazje jedząc ile wlezie, kupując meble i odzież (zapomnieli już jak obcinano im

guziki, jak w łaźniach przy dezynfekcji marnowały się najlepsze rzeczy).
Zakupy znów się stają najmilszą rozrywką.

Jak tu mieć do nich pretensje, skoro tyle w życiu stracili, skoro tyle im z życia — amputowano?

Każdemu z tych dwóch sposobów pojmowania wolności odpowiadał pewien szczególny stosunek do przeszłości.

Przeżyłeś oto bardzo straszne lata. Nie jesteś chyba okrutnym mordercą ani brudnym oszustem — dlatego więc powinieneś czynić wisiłki, by zapomnieć więzienie i obóz? Czego właściwie się wstydzisz! Nie lepiej ci to myśleć, że pobyt w nich wzbogacił się? Czy nie słuszniejsza to rzecz — być dumnym z nich?

Ale iluż to jest takich (i to wcale nie głupich, wcale nie słabych, lecz takich, po których wcale się tego nie spodziewasz!) co starają się *zapomnieć!* Zapomnieć jak najprędzej! Zapomnieć wszystko! Zapomnieć tak, jakby to było tylko przywidzenie!

J. G. Wendelsztejn: „Zwykle człowiek stara się nawet tego nie wspominać; rodzaj reakcji obronnej". Pronman: „Powiem szczerze: unikałem spotkań z byłymi łagiernikami, żeby pozbyć się wspomnień". S. A. Lesowik: „Po powrocie z obozu starałam się zapomnieć o przeszłości. I proszę, prawie mi się to udało!" — (nim przeczytała nowelę *Jeden dzień...).* S. A. Bondarin (wiem od dawna, że w 1945 roku siedział w tej samej łubiariskiej celi co ja, tylko wcześniej; podejmuję się wymienić mu z nazwiska nie tylko naszych towarzyszy z tej samej celi, lecz także tych z którymi siedział, zanim go do niej przenieśli, ludzi, których nigdy nie znałem — piszę mu o tym i oto jak mi odpisuje): „Ja zaś postarałem się wyrzucić z pamięci wszystkich, z którymi tam siedziałem". (Po tym liście, rzecz jasna, przerwałem korespondencję).

Rozumiem, że ortodoksi unikają swoich starych znajomych z obozu: uprzykrzyło im się to stałe odgryzanie się stu naraz przeciwnikom, zbyt ciężkie to dla nich wspomnienia. A zresztą — co ich łączy z tą nieczystą, bezideową zgrają? Ponadto — jacyż byliby z nich prawowierni, gdyby nie

416

chcieli zapomnieć, wybaczyć i szybko wrócić do dawnej skóry? Przecież po to właśnie cztery razy do roku wysyłali swoje czołobitne prośby: dajcie mi wrócić! dajcie mi wrócić! przecież byłem grzeczny i będę grzeczny[4]! Na czym polegał dla nich *powrót?* Na tym przede wszystkim, że odzyskiwali swoją legitymację partyjną, swoje formularze, swój staż i swoje zasługi.

> *...I znów ciepło członkostwa owionie Głowę, której nikt*
> *już nie winuje...*

A przeżycia obozowe, to zaraza, której trzeba czym prędzej się pozbyć. Czy w całym tym doświadczeniu obozowym, jeśli nawet przesiać je i przemyć — znajdzie się jeden choćby okruch szlachetnego kruszcu?

Oto stary leningradzki bolszewik, Wasiliew. Odsiedział dwa razy po dziesiątaku (za

każdym razem dostając na dokładkę jeszcze pięć lat *kagańca).* Dostał za to rządową rentę personalną. „Nic mi nie brakuje. Sławię moją partię i mój naród". To wspaniałe! Przecież tylko biblijny Hiob potrafił tak sławić swojego Boga: za wrzody, za mór, za głód, za śmierć, za upokorzenia — chwała Ci, chwała Ci!). Ale ten Wasiliew nie jest nierobem, nie zalicza się do biernych konsumentów: „Jestem członkiem komisji do walki z pasożytnictwem". To znaczy, że w miarę starczych swoich sił przykłada łapkę do jednego z największych bezprawi naszej doby! Oto przykład prawdziwej prawomyślności!...

Zrozumiałe, dlaczego również kapusie nie życzą sobie żadnych wspomnień ani spotkań: boją się pretensji i niemiłych rewelacji.

No, ale wszyscy pozostali? Czy to aby nie znamię rabskiej mentalności? Albo dobrowolny ślub, uczyniony po to, aby odwrócić możliwość ponownego uwięzienia? „Zapomnieć, jak zły sen, zapomnieć, zapomnieć wszystkie widma z przeklętej, lagrowej przeszłości" — ściska głowę piąstkami Nastia B., którą wzięto do więzienia nie byle jak, tylko z raną postrzałową. Dlaczego filolog klasyczny A.D., którego zawód nauczył poddawać krytycznej ocenie dzieje starożytne — czemu również on samemu sobie każe „wszystko zapomnieć"? Cóż zrozumie on w ten sposób z całych ludzkich dziejów?

Eugenia D„ która w 1965 roku opowiadała mi jak w 1921, jeszcze przed zamążpójściem, zabrali ją na Łubiankę, dodała: „A nieboszczykowi mężowi nigdy o tym nie mówiłam, bo zapomniałam już". Zapomniała?? Najbliższemu człowiekowi, z którym przeżyła pół życia? To za mało nas jeszcze do więzień pakują!!

[4] Taki byl sens licznych ich deklaracji w 1956 roku: jakby kto zatęchły kufer otworzył; przynieśli z sobą atmosferę lat 30., chcąc kontynuować to wszystko, od czego oderwało ich aresztowanie.

17 Archipelag Gulag 417

A może wcale nie trzeba ludzi tak surowo sądzić? Być może — jest to rys charakterystyczny bardzo ludzkiej przeciętności? Przecież ktoś był modelem dla takich przysłów:

*Godzinę pożyłeś w wygodzie —już zapomniałeś o głodzie.*

*Krzywda trawą — ciało sadłem porasta.*

Ciało, co sadłem obrasta — oto czym jest człowiek!

Mój przyjaciel i współoskarżony Mikołaj Witkiewicz, z którym poszliśmy za kraty, wspólnym, nieco jeszcze dziecinnym wysiłkiem — uznał wszystko co przeżył za przeklętą fatalność, za haniebną porażkę głupiego pechowca. I pogrążył się w studiach, jako że nauka jest najbezpieczniejszym terenem do życiowej wspinaczki. W 1959 roku, gdy jeszcze żył Borys Pasternak, ale już go szczwacze obiegli — jąłem opowiadać mu o tym poecie. Nie chciał nawet słuchać: „po co gadać o tych starych kapciach? Posłuchaj lepiej jaką walką *ja* muszę toczyć na naszej katedrze!" (Wciąż z kimś walczy, aby otrzymać awans). A przecież trybunał dał mu 10 lat obozu. Więc tych batów nie wystarczyło?...

Również Grigorij M-z dostał prawo powrotu z zesłania, unieważniono jego wyrok sądowy, zrehabilitowano, oddano legitymację partyjną (nie pytają przecież przy tej okazji, czyś nie uwierzył tymczasem w Jehowę albo Mahometa? Przecież nie zastanawiają się, czy cokolwiek z twego dawnego światopoglądu ocalało). Wracając z Kazachstanu do swego Ż. przejeżdża przez moje miasto, więc idę na dworzec. Co mu też chodzi teraz po głowie,
0 czym myśli? Ejże, czy nie zamierza czasem wrócić do dawnych swoich
urzędów Tajnych, czy Specjalnych? Nasza rozmowa jakoś się nie klei.
1więcej już nie pisze mi on ani słowa...

A oto F. Retc. Jest dziś dyrektorem komunalnego biura remontów, a nadto należy do drużyn ochotniczych*. Z wielką powagą prawi o swoim obecnym życiu. I chociaż dawnych swoich przejść nie zapomniał — bo i jak tu zapomnieć 18 lat na Kołymie? — mówi o tej Kołymie jakby z rezerwą, z wewnętrznym zdumieniem: czy to naprawdę się zdarzyło? jak to było możliwe?... Przeszłość spłynęła po nim: jest dziś gładki i ze wszystkiego zadowolony.

Podobnie jak złodziej, który — za zgodą swoich sitwesów — zrywa ze światem przestępczym, tak samo *erzatz-polityczny* z a p o m i n a . Dla tych, którym się to udało, świat staje się znów wygodny, przytulny, nic ich już nie kole ani nie ciśnie. Jak dawniej wydawało się im, że *wszyscy siedzą,* tak dziś im się zdaje, że nikt nie siedzi. Zaczynają nagle znów rozumieć miły sens takich świąt jak 1 Maja i rocznica Października — bo nie są już

* Rodzaj ORMO.

418

to te surowe dni, gdy nas szczególnie złośliwie rewidowano na mrozie i gdy szczególnie pełne stawały się cele naszego obozowego więzienia. Zresztą, po co sięgać aż w te regiony? Jeśli głowa rodziny otrzyma we dnie, w biurze pochwałę od towarzysza dyrektora, to w domu przy obiedzie panuje świąteczna atmosfera i cała rodzina składa gratulacje.

Jedynie w gronie rodzinnym były męczennik pozwala sobie na utyskiwania. Tylko tutaj czasami *przypomina je sobie* — i to w tym celu, aby go bliscy jeszcze bardziej hołubili i cenili. A wychodząc za próg — już zapomina.

Nie bądźmy jednak tak wymagający i surowi. Przecież to ludzkie: po strasznych przejściach wrócić do swojego dawnego „ja", do swoich dawnych (niechby nawet nie najlepszych) przyzwyczajeń i właściwości. Na tym trzyma się nasza osobowość, to wpływ naszych genów. Być może człowiek nie mógłby inaczej być człowiekiem. Taras Szewczenko, którego pełne rozpaczy wiersze już tu były cytowane[5] po upływie 10 lat pisze z radością: „Ani jeden rys mojej wewnętrznej istoty nie uległ zmianie. Z całej duszy składam dzięki mojemu wszechmocnemu Stwórcy, że nie pozwolił On, aby straszliwe doświadczenie zostawiło ślady swoich żelaznych pazurów na moich przekonaniach".

Ale jak to się dzieje, że ludzie *zapominają?* Gdzie by się tego nauczyć?...

„Nie! — pisze M. I. Kalinina — niczego nie sposób zapomnieć i nic w życiu nie układa się gładko. Sama nie jestem rada, że taki mam charakter. Można mieć uznanie i sukcesy w pracy i w codziennym życiu też wszystko niby dobrze się składa — ale ćmi i ćmi w sercu, i wciąż czuje człowiek niezmierne znużenie. Mam nadzieję, iż nie napisze pan o ludziach, którzy wyszli z więzienia, że zdołali wszystko zapomnieć i że są szczęśliwi?".

Raisa Łazukina: „Lepiej nie wspominać tego co złe? A jeśli nic dobrego człowiek sobie przypomnieć nie może?".

Tamara Prytkowa: „Przesiedziałam 12 lat, jestem już na wolności od lat jedenastu (!), *a wciąż jeszcze nie wiem — po co właściwie żyję?* I nie wiem, gdzie sprawiedliwość?".

Od dwóch wieków toczą się w Europie rozhowory o *równości* — a jacyż jesteśmy różni! Co tu mówić o równości, gdy w tak różny sposób życie potrafi ryć bruzdy na naszych duszach! — jeden przez jedenaście lat nie potrafi niczego zapomnieć — drugi zaś potrafi wszystko zapomnieć już następnego dnia...

Iwan Dobriak: „Wszystko niby ta»u pozostało, a jednak — nie wszystko.

[s] Część Ul, rozdział 19.

419

Jestem zrehabilitowany, ale nie mam dalej spokoju. Rzadko mija tydzień, aby znów mi się żona nie przyśniła. Zrywa się człowiek z łóżka cały we łzach albo budzą cię bliscy, przerażeni twoim krzykiem".

Ans Bernstein nawet po jedenastu latach od wyjścia z obozu dalej miewał tylko obozowe sny. Ja również przez 5 lat z rzędu widziałem siebie samego we śnie tylko jako więźnia, nigdy — jako wolnego. Lew Kopielew rozchorował się 14 lat po zwolnieniu z obozu — i w majaczeniach mówił tylko o więzieniu. A język nasz dotychczas nie chce znać takich słów jak „kajuta" czy „pokój" — zawsze mówimy zamiast tego „cela".

Szawirin: „Na psa-owczarka po dziś dzień nie mogę spokojnie patrzeć".

Czulpieniew idzie sobie przez las; ale już nie potrafi zwyczajnie cieszyć się świeżym powietrzem ani zwyczajnie patrzeć: „Zerkam na sosny — owszem, nadaje się: sęków mało, jak się zrąbie, to niewiele trzasek trzeba będzie spalić, wszystko pójdzie na kopalniak...".

Jak tu zapomnieć, jeśli człowiek zamieszka w takiej wsi Milcewo, a tam — omalże połowa sąsiadów odsiedziała swoje w obozie, co prawda, po większej części — za złodziejskie sprawki. Idzie człowiek na dworzec w Riazaniu i widzi trzy wyłamane pręty w stacyjnym parkanie. Nikt tego nigdy nie naprawia, zupełnie, jakby tak być musiało. A musi, bo właśnie na wprost tej dziury zatrzymują się stołypinki — dziś też, dziś też się zatrzymują! — a pod dziurę podjeżdża tyłem karetka więzienna i w ten sposób zeków prosto z wagonu ładuje się do niej, unikając prowadzenia przez ludne perony. — Wszechzwiązkowe Towarzystwo Niewiedzy Powszechnej wypisuje ci zlecenia na odczyt (1957 rok) i okazuje się, że skierowano cię

do ITK-2 — do kobiecej kolonii pracy przy więzieniu. Przychodzisz na wartownię i przez okienko wysuwa się znajomy kaszkiecik. Idziesz sobie potem z obywatelem wychowawcą przez więzienny dziedziniec i zasępione kobiety w lichej odzieży witają się z wami przypochlebnie, na wyprzódki. Siedzisz sobie potem w gabinecie naczelnika działu politycznego i podczas gdy on tu sobie z tobą gawędzi, abyś się nie nudził — wiesz dobrze, że tam wypędzają je z cel, budzą przemocą te, które usnęły, że w Jcuchence wyrywają im z rąk menażki — dosyć tego, prędzej na odczyt, zwijać się! Już je spędzono do sali, już w niej pełno. W sali wilgoć, korytarze też wilgotne, a w celach na pewno całkiem mokro — i te nieszczęsne, zapracowane kobiety przez cały czas mojego odczytu krztuszą się zastarzałym, głębokim, huczącym albo suchym i rozdzierającym kaszlem. Poubierane są nie jak kobiety, tylko jakieś karykatury, młodsze z nich — są kościste, o kanciastych, starczych figurach, wszystkie są zadręczone i nie mogą doczekać się końca mojego odczytu. Czuję wstyd. Miałbym chęć zamienić się w dym i rozwiać w powietrzu. Zamiast prawić im tu o „Osiąg-

420

nięciach nauki i techniki" tak bym chciał krzyknąć: „Powiedzcie, czy długo jeszcze ma trwać to wszystko?...". Od razu spostrzegam w tłumie kilka lepiej wyglądających, lepiej ubranych, niektóre noszą nawet sweterki. To

- prydurki. Gdyby patrzeć tylko na nie i nie słuchać tego kaszlu, to
można by zupełnie gładko wygłosić cały odczyt. Nie odrywają ode mnie
oczu, słuchają, że aż ha!... Ale wiem dobrze, że nie słyszą moich słów, że
nie kosmos je interesuje — tylko że tak rzadko widują mężczyzn, więc chcą
się chociaż napatrzeć... I nagle opada mnie koszmar: zabiorą mi przepustkę
i już tu zostanę. I te mury, dzielące mnie od znanej mi ulicy, co biegnie
tuż-tuż, od przystanku trolejbusowego, odległego o kilka zaledwie metrów
- znowu przegrodzą całe moje życie, staną się nie murami, tylko kamien
nymi latami... Nie, nie za chwilę stąd wyjdę! Pojadę trolejbusem za 40
kopiejek do swojego domu, gdzie czeka na mnie smaczny obiad. Ale nie
wolno mi zapomnieć: one tu wszystkie zostaną. I będą tak samo kaszleć,
całymi latami.

W każdą rocznicę mojego aresztowania urządzam sobie „dzień zeka": odcinam rano 650 gramów chleba, wydzielam sobie dwie kostki cukru, nalewam wrzątku bez esencji, a na obiad — proszę, żeby ugotowano mi sałamachę i chochelkę rzadkiej kaszy. Jak szybko włażę w tę dawną skórę: pod koniec dnia zgarniam już ze stołu okruszyny i wylizuję miskę. Prędko budzą się we mnie te odczucia i odruchy!

Udało mi się też wywieźć moje stare łaty z numerami, przechowuję je. Czy ja jeden? W niejednym domu pokażą ci je jak relikwie.

Któregoś dnia idę sobie po Nowosłobodzkiej — a otóż i więzienie Butyr-skie! „Przyjmowanie paczek". Wchodzę do poczekalni — pełno kobiet, są również mężczyźni. Jedni oddają paczki, inni rozmawiają. Więc to tutaj składano przesyłki dla nas! Bardzo to ciekawe. Z najniewinniejszą miną podchodzę to tablicy, na której

wywieszono regulamin. Ale już mnie dostrzegł orlim wzrokiem, już zmierza szybko w moją stronę sierżant o ponurej gębie. „Czego tu szukacie, obywatelu?". Wyczuł, psiawiara, że nie o paczkę mi chodzi. Widać trącę dalej zekiem!

A odwiedzanie umarłych? Tych z twojej braci, co leżą tam, gdzie i ty powinienieś leżeć, przebity bagnetem dla kontroli. A.J. Oleniew, człowiek już sędziwy, pojechał w 1965 roku z plecakiem na grzbiecie i laseczką w ręku; dobrnął do dawnego lazaretu, a później na górkę (obok wioski Kierki), gdzie chowano więźniów. Górka pełna jest kości i czaszek, a mieszkańcy dziś nazywają ją po prostu Kościaną Górką.

W dalekim mieście na północy, gdzie noc trwa pół roku i dzień — pół roku, mieszka Gala B. Nie ma nikogo bliskiego na całym świecie, a to co nazywa domem jest szpetnym, gwarnym kątem. Oto jak spędza chwile

421

wypoczynku: idzie z książką do restauracji, zamawia wino, upije trochę, popali, potęskni chwilę „do Rosji". Jej jedynymi i najmilszymi przyjaciółmi są kelnerzy i portierzy. „Bardzo wielu, wracających *stamtąd*, ukrywa swoją przeszłość, a ja jestem dumna z mojego życiorysu".

To tu, to tam zbierają się raz do roku grupy byłych zeków, żeby trącić się kieliszkiem i podzielić wspomnieniami. „I dziwna rzecz — powiada W.P. Golicyn — że obrazy przeszłości w tych wspomnieniach mają nie tylko koloryt ciemny i ponury, przeciwnie, wiele rzeczy wspominamy ciepło i mile".

To też bardzo ludzka właściwość — i wcale nie najgorsza.

„Na moich obozowych łatach wypisana była litera „Y" — pisze mi z werwą W.L. Ginzburg — a paszport, jaki dostałem, ma serię „ZK"!

Przeczytasz parę takich listów — i od razu ciepło się robi. Nie, daję słowo — jak bardzo różnią się listy byłych zeków od wszystkich innych pism! Co za niezwykła żywotność! Jaka świadomość celu i jaki wigor! W naszych czasach — jeśli już trafi do twoich rąk list bez śladu melancholii i lamentów, naprawdę optymistyczny — to z pewnością wysłany został przez byłego zeka. Poznali to, co bywa w świecie najgorszego, więc teraz ich już byle co nie załamie.

Dumny jestem, że należę do tego potężnego szczepu! Nie byliśmy szczepem — to inni z nas szczep uczynili! Stworzono z nas całość tak zwartą, jakiej nigdy nie zdołaliśmy wykuć w naszym mroku, zdezorientowani i pozbawieni woli, a przy tym — obawiający się siebie wzajemnie. Tu, na wolności ortodoksi i szpicle jakoś automatycznie zostali wyłączeni z naszego grona. Nie musimy się zmawiać, aby okazywać sobie nawzajem pomoc. Nie musimy już wystawiać się na żadne próby. Wystarczy spotkać się, popatrzeć sobie w oczy, zamienić dwa słowa — i co tu więcej gadać? Zawsze gotowi jesteśmy nieść pomoc naszym towarzyszom. Wszędzie nas pełno — i są nas miliony.

Pobyt za kratą nauczył nas mierzyć nowym łokciem każdego człowieka. Z naszych oczu spadło bielmo, które zwykle przesłania wzrok tych, co jeszcze wstrząsu nie przeżyli. Jakie niezwykłe dzięki temu możemy wyciągać wnioski z naszych

obserwacji!

N. Stolarowa, która dobrowolnie przyjechała w 1934 roku z Paryża — wprost do potrzasku, co wyrwał jej najlepsze lata życia, nie tylko nie robi sobie wyrzutów i nie przeklina chwili swego przyjazdu, ale powiada: „Miałam rację, kiedy wbrew całemu mojemu środowisku i wbrew rozsądkowi pojechałam do Rosji! Zupełnie Rosji nie znając, intuicyjnie wyczuwałam prawdę o niej".

I.S. Karpunicz-Brawen, kombryg z czasów wojny domowej, człowiek

422

pełen ognia, popędliwy, faworyt fortuny niegdyś nie czytał nawet dokładnie spisów przynoszących mu przez naczelnika jego Specwydziału — i nie u góry arkusza, tylko u dołu, niedużymi literami, tylko niedbale, jednym pociągnięciem tępego ołówka, jakby to była błahostka, zapominając nawet o kropkach, pisał dwie literki: k s (znaczyło to — Kara Śmierci! dla wszystkich). Potem były generalskie romby, a potem dwadzieścia i pół roku Kołymy. I oto Karpunicz mieszka sobie pośród lasu, na samotnym futorze, podlewa swój ogródek, karmi kury, majstruje przy stolarskim warsztaciku, nie składa próśb o rehabilitację, klnie w żywy kamień Woroszyłowa i gniewnym piórem pisze w zeszycikach swoje komentarze, komentarze, komentarze do każdej audycji radiowej i każdego artykułu w gazetach. Ale minie jeszcze parę lat — i filozof z futoru przepisze sobie taki aforyzm z pewnej książki: „Nie dość kochać ludzkość — trzeba umieć jeszcze znieść towarzystwo ludzi".

A przed śmiercią — napisze własnymi słowami, ale takimi, że czytający zadrży — czy to nie mistyka? czy to nie stary Tołstoj się odezwał? —

„Żyłem i sądziłem innych podług siebie. Ale teraz jestem już innym człowiekiem i już innych podług siebie nie sądzę".

W.P. Tarnowski, człowiek zadziwiający, został na Kołymie po odsiedzeniu kary. Pisze wiersze, których nikomu nie posyła. Taki wniosek wyciągnął ze swoich rozmyślań:

*Ta mi oto przypadła kraina I chce Bóg bym w*
*milczeniu tu żył Za ten grzech, że widziałem Kaina*
*Ale zabić nie miałem go sił*[6].

Szkoda tylko, że stopniowo umrzemy wszyscy, nie dążąc niczego ważnego dokonać.

Byłych zeków oczekują jeszcze na wolno'ci — spotkania. Spotkania ojców — z synami, mężów — z żonami. Nieczęsto te spotkania dobrze się kończą. Chowając się bez nas przez 10, przez 15 łat — nie mogli synowie wyrosnąć na istoty nam bliskie: czasem po prostu stają się obcymi ludźmi, niekiedy — zamieniają się w naszych wrogów. I tylko niewiele kobiet do-

[6] Muszę później dodać gwoli sprawiedliwości: opuści! Kolymę, ożeni! się nieszczęśliwie — i bardzo podupadł duchowo, a przy tym nie wie jak wyrwać się z tej obroży.

423

czekuje się nagrody za dochowanie mężom wiary: zbyt długo żyło się osobno, człowiek zmienił się zupełnie, tyle że nosi to samo nazwisko. Nazbyt odmienne były ich doświadczenia — i niemożliwą jest rzeczą, aby zaczęli wspólne życie od nowa.

Tu starczy materiału na wiele filmów i powieści, niech się kto inny tym bawi, w tej książce na to miejsca nie ma.

Przytoczę tylko jedną opowieść; są to zwierzenia Marii Kadackiej:

„W ciągu pierwszych dziesięciu lat mąż napisał mi 600 listów. W ciągu następnych dziesięciu — dostałam tylko jeden, i to taki, że żyć się odechciało. Po dziewiętnastu latach pojechał na swój pierwszy urlop nie do nas, tylko do swoich krewnych; do mnie i do syna wpadł tylko na cztery dni, przejazdem. Pociąg, którym miał przyjechać, tego dnia wypadł z rozkładu. Po bezsennej nocy, spędzonej na czekaniu, położyłam się na chwilę. Wtem ktoś dzwoni. Słyszę nieznajomy głos: 'Chciałbym mówić z Marią Wenediktowną'. Otwieram drzwi. Wchodzi niemłody, tęgi mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Nic nie mówiąc — robi śmiało kilka kroków. Oczadziała jeszcze ze snu — zapomniałam jakby, że czekam na męża. Stoimy więc. 'Nie poznajesz?'. — 'Nie'. I myślę sobie — czy to aby nie ktoś z krewnych, a mam ich wielu i też ich wiele lat nie widziałam. Później spojrzałam na jego zaciskające się wargi — uprzytomniłam sobie, że czekam przecież na męża! — i straciłam przytomność. — Tu wszedł syn, akurat był chory. I tak we trójkę, nie wychodząc wcale z pokoju siedzieliśmy przez cztery dni z rzędu. I syn, i on mówili ze sobą niewiele, bardzo powściągliwie, ja też mało z nim się nagadałam, nie wykraczaliśmy w tej rozmowie poza ogólne tematy. Opowiadał o swoich przeżyciach i wcale się nie zainteresował, jak nam tu było bez niego. Jechał znowu na Syberię, a gdy się żegnał, nie patrzył mi w oczy. Powiedziałam mu, że miałam drugiego męża, ale zginął w Alpach (był we Włoszech, wyzwolili go alianci)".

Ale bywają też inne spotkania, weselsze.

Można na przykład spotkać swojego nadzorcę albo komendanta obozu. Jesteś na przykład w uzdrowisku Teberda, w domu turysty i widzisz, że instruktor sportowy Sławek — to nikt inny, tylko twój norylski klawisz. Albo taki Misza Bakst — stoi sobie w Leningradzie, w sklepie „Gastronom" i nagle Widzi jakąś znajomą twarz! tamten też go zauważył. Kapitan Gusak, komendant podobozu, teraz już w cywilu. „Słuchaj no, zaraz-za-raz! *Gdzieś ty u mnie siedział?* A, pamiętam, wstrzymaliśmy ci paczki, boś się wymigiwał od roboty!". (Przecież pamięta! I wciąż im się zdaje, że rządzić nami mają po wieczne czasy — a teraz mamy tylko krótką przerwę!).

424

Można też spotkać (Bielski) swojego dowódcę z wojska, pułkownika Rudyko,

który szybciutko udzielił zgody na twoje aresztowanie, byleby tylko samemu nie mieć przykrości. Też chodzi w cywilu i w bojarskiej czapeczce, wygląda na uczonego męża, od razu budzi szacunek!

Można również spotkać śledczego — tego właśnie, który cię lał albo posyłał do zapluskwionego karceru. Jest teraz na pięknej rencie, jak na przykład Chwat, śledczy i morderca wielkiego Wawiłowa; mieszka sobie na ulicy Gorkiego. Niech pan Bóg broni przed takimi spotkaniami, przecież to tobie serce się ściśnie, nie jemu.

A można też spotkać tego, co na ciebie doniósł; wsadził cię do więzienia i dobrze mu się wiedzie. I żaden piorun z nieba go nie strzeli! Ci, którzy wracają do rodzinnych miast, już na pewno muszą spotkać „swoich" donosicieli. „Słuchajże — namawiają ich co zapalczywsi przyjaciele. — Zaskarż go do sądu! Przynajmniej dla nauczki, żeby ludzie wiedzieli!". (Już nikt nie żąda więcej, już wszyscy wiedzą, że i tak...). „Lepiej nie... już niech tam..." — odpowiadają zrehabilitowani.

A to dlatego, że prawdy do tego sądu nawet wołami nie zaciągniesz.

„Niech ich samo życie ukarze!" — powiada Awenir Borysow.

Nic innnego nie pozostaje.

Kompozytor Ch. powiedział do Szostakowicza: „O, ta właśnie dama, pani L., członkini naszego związku, była sprawczynią mojego uwięzienia". — „Napiszcie natychmiast podanie — oświadczył Szostakowicz w chwilowym zapale — wyrzucimy ją ze związku?" (Akurat!). Ale Ch. zamachał tylko rękoma: „O nie, dziękuję, za tę brodę włóczyli mnie po ziemi, ani myślę' drugi raz próbować!".

Czy zresztą chodzi tu o zemstę? G. Polew tak się skarży: „Ten łajdak, przez którego wtedy mnie aresztowano, na pewno znów by na mnie doniósł po moim powrocie z obozu. Zrobiłby to jak pić dać, gdybym nie uciekł z rodzinnego miasta, zostawiając rodzinę na łasce losu".

O, to jest w naszym stylu! to brzmi po sowiecku!

I co tu jest senną marą, co jest ognikiem błotnym — czy dzień wczorajszy, czy może dzisiejszy?...

W 1955 roku badacz Efroimson zgłosił się do zastępcy naczelnego prokuratora ZSSR, Salina, i przyniósł mu cały tom niezbitych dowodów demaskujących przestępstwa Trofima Łysenki. Salin oznajmił mu: „Nie jesteśmy w tej sprawie kompetentni, zwróćcie się do KC".

Od kiedyż to uważają się za niekompetentnych? A jeśli już, to dlaczego trzydzieści lat temu nie uważali się za takich?

Doskonale się powodzi obu fałszywym świadkom, Łozowskiemu i Sie-rioginowi, przez których Czulpieniew wtrącony został do mongolskiej ja-

425

my. W towarzystwie wspólnego znajomego z tej samej jednostki Czulpie-niew odwiedził Sieriogina, pracującego w biurze usług komunalnych przy moskiewskiej radzie miejskiej: „Pozwólcie wam przedstawić kolegę: towarzysz broni znad Chałchyn-Gołu, przypominacie go sobie?". — „Nie, nie pamiętam". — „A nazwisko

Czulpieniew nic wam nie mówi?". — „Nie pamiętam, ta wojna ludzi tak rozsiała po świecie...". — „A wiecie może, jaki los go spotkał?". — „Nie mam pojęcia". — „No i patrzaj, co za łajdak z ciebie!".

I co tu więcej gadać? W rejkomie partii, gdzie Sieriogin jest na liście aktywu: „Nie może być! To taki sumienny pracownik".

Sumienny pracownik!...

Wszystko na swoim miejscu i wszyscy na tych samych, swoich miejscach. Zagrzmiało, ale burza przeszła bokiem. Z wielkiej chmury mały deszcz.

Wszystko zostało po dawnemu do tego stopnia, że gdy J.A. Krejnowicz, znawca języków narodów Północy[7] wrócił z zesłania — to w swoim instytucie, w tym samym zakładzie badawczym zastał tych wszystkich, którzy niegdyś go *sypnęli*, którzy *nakapali* na niego i dalej go nienawidzą. I oto musi wieszać palto na tym samym wieszaku, co ci faceci, i zasiadać dalej w ich gronie.

To trochę tak, jakby ofiary Oświęcimia, razem z byłymi esesowcami z tegoż obozu założyli do spółki firmę galanteryjną.

Również w świecie literackim są opergruppenszpicle. Iluż ludzi przywiódł do zguby J. Elsberg? Albo Lesiuczewski? Wszyscy ich znają — i nikt nie śmie tknąć ich nawet. Próbowali przepędzić ich ze związku literatów — daremny trud! A tym bardziej — wyrzucić z pracy. A już z partii — to nie ma co mówić.

Kiedy układano nasz kodeks (1926) uznano, że gdy narzędziem mordu jest oszczerstwo — to mamy do czynienia z przestępstwem pięciokrotnie lżejszym i bardziej wybaczalnym, niż wtedy gdy morderca użyje noża. (Zresztą nie sposób było przewidzieć, że w ustroju dyktatury proletariatu ktokolwiek będzie uciekał się do metod tak burżuazyjnych, jak kalumnia!). Zgodnie z artykułem 95 — świadomie fałszywe doniesienie czy zeznanie, połączone z — a) oskarżeniem o ciężkie przestępstwo; b) działaniem z chęci zysku; c) fałszowaniem i preparowaniem dowodów — winny podlega karze pozbawienia wolności na okres nie przekraczający... dwóch lat. Albo nawet sześciu miesięcy.

[7] Ktoś powiedział o nim celnie: jeśli narodowolcy niegdyś zostawali znakomitymi językoznawcami *dzięki* pobytowi na zesłaniu, to Krejnowicz pozostał językoznawcą, *mimo* pobytu w stalinowskim obozie: nawet na Kołymie starał się prowadzić badania nad językiem Jukagirów.

426

Artykuł ten jest dziełem albo zupełnych kretynów, albo osobników nader przewidujących.

Sądzę, że raczej tych drugich.

I od tego czasu nigdy nie zapominali włączyć tego artykuliku do spisu paragrafów objętych każdorazową amnestią (stalinowską w 45., „woroszy-łowską" — w 53.); troszczyli się o swój *aktyw*.

Jest też jeszcze problem *przedawnienia*. Jeśli zostałeś fałszywie oskarżony (z art. 58), to przedawnienie cię nie dotyczy. Jeśli zaś *ty* oskarżyłeś kogoś fałszywie — to

oczywiście twój czyn podlega przedawnieniu, nie damy ci zrobić krzywdy.

Cała sprawa rodziny Anny Czebotar-Tkacz oparta była na steku fałszywych zeznań. W 1944 roku i ona, i jej ojciec, i dwaj bracia zostali aresztowani za — rzekome — zabójstwo szwagierki; zabójstwo — rzekomo

- politycznego charakteru. Wszystkich trzech mężczyzn zatłuczono w wię

zieniu (bo nie chcieli się przyznać), Anna zaś odsiedziała 10 lat. Szwagierka natomiast okazała się w ogóle żywa i cała! Ale *jeszcze dziesięć lat* Anna straciła na daremne starania o rehabilitację. Nawet w 1964 roku prokura tura odpowiedziała jej: „zostaliście skazani zgodnie z prawem i nie ma żadnych podstaw do rewizji wyroku". Gdy zaś ją w końcu zrehabilitowano

- niezmordowana Skrypnikowa napisała w imieniu Anny zażalenie, do

magając się pociągnięcia fałszywych świadków do odpowiedzialności. Pro kurator ZSSR, G. Terechow[8] udzielił odpowiedzi: „Rzecz niewykonalna, bowiem czyn podlega p r z e d a w n i e n i u".

W latach dwudziestych odszukano, pociągnięto do odpowiedzialności i rozstrzelano ciemnych chłopów, którzy *czterdzieści* lat przedtem brali udział w egzekucji narodowolców, zarządzonej przez sąd carski. Ale ci chłopi — to nie byli nasi ludzie. A ci donosiciele — są nasi z krwi i kości.

Oto ta *wolność,* na którą wyszli byli więźniowie. Czy w całych dziejach można znaleźć okres, w którym tylu powszechnie znanych łotrów cieszyłoby się bezkarnością? I czegóż tu dobrego można oczekiwać? Co wyrosnąć może w tym smrodzie?

Jak sowicie się opłacił zbójecki koncept Archipelagu!

*Koniec części szóstej*

**[8] Ten sam, który już wkrótce miał być oskarżycielem na procesie Galanskowa i Ginz-burga.**

CZĘŚĆ SIÓDMA STALINA NIE STAŁO

*„ ... i nie pokutowali za mężobójstwa swoje,*
*ani za czary swoje, ani za poróbstwa swe,*
*ani za złodziejstwa swoje."*

Objawienie św. Jana Apostoła (9, 21).

## GDY NA TO SPOJRZEĆ PRZEZ RAMIĘ

To jasne — nie traciliśmy nadziei, że w końcu ktoś o nas opowie: przecież prawda o tym, co zdarzyło się w dziejach, wcześniej czy później wychodzi na jaw. Ale wydawało się, że nie prędko do tego dojdzie — dopiero po śmierci większości z nas. I w zupełnie odmiennych warunkach. Sam siebie uważałem za dziejopisa Archipelagu, pisałem o wszystkim; pisałem — a nie spodziewałem się, że ukaże się to za mojego życia.

Bieg historii jest zawsze zaskakujący, nawet dla najbardziej dalekowzrocznych. Nie byliśmy w stanie przewidzieć, że to się tak potoczy: że bez żadnej widocznej, ponaglającej przyczyny wszystko zatrzęsie się i ruszy z miejsca, i że na krótko, na trochę — otchłanie życia jakby się rozemkną i dwa, trzy ptaki prawdy zdążą wylecieć, zanim znów na długo zatrzaśnie się prześwit.

Iluż moich poprzedników nie dopisało kartki, nie uchroniło jej, nie do-pełzło, nie dogramoliło się! — a mnie to szczęście przypadło w udziale, aby przez szczelinę żelaznych wrót rzucić pierwszą garść prawdy.

1 jak materia w otoczce antymaterii — ta prawda natychmiast eksplodowała. Eksplodowała i pociągnęła za sobą lawinę listów — ale tego należało się spodziewać. A także zalew artykułów gazetowych — i pochwał, aż do mdłości urzędowych, wygłaszanych ze zgrzytaniem zębów, z nienawiścią i niechęcią.

Kiedy eks-zecy dowiedzieli się z grzmiących enuncjacji całego tego gaze-ciarskiego chóru, iż ukazała się jakaś powieść o łagrach i że żurnaliści chwalą ją na wyścigi — orzekli jednomyślnie: „jeszcze jedna brechta! nawet to udało im się przekręcić". O tym, żeby nasze gazety ze swoim zwykłym

431
nieumiarkowaniem nagle stały się skłonne do wychwalania prawdy

_przecież tego, mimo wszystko, nie można sobie było wyobrazić! Nie
którzy nie chcieli wziąć nawet do ręki mojego opowiadania.

Ale gdy zaczęli czytać — rozległ się jakby jeden wspólny jęk, jęk radości — i zarazem jęk bólu. I popłynęły listy.

Przechowuję je.

Nasi rodacy zbyt rzadko mogą wypowiadać się na tematy życia publicznego, a już tym bardziej — byli więźniowie. Już tyle razy tracili wiarę, już tyle razy oszukano ich — a tu uwierzyli, że nadeszła epoka prawdy, że można teraz śmiało mówić i pisać!

I pomylili się oczywiście, po raz nie wiadomo który...

„Prawda zatryumfowała, szkoda że tak późno!" — pisali oni.

Późno? —jeszcze o wiele później, bo wcale dotąd nie zatryumfowała...

No cóż, znaleźli się także roztropni, którzy nie podpisywali swoich listów („miłe mi zdrowie i chcę spokojnie spędzić resztę mojego życia"), albo pytali wprost, właśnie gdy dziennikarskie zachwyty sięgały szczytów: „Dziwię się, jak Wołkowoj pozwolił na druk twojej powieści? Odpowiedz mi, bo się boję, że już siedzisz w BUR-ze...", albo „Jak to jest, że jeszcze was z Twardowskim nie zamknęli?".

A to dlatego, że ich potrzask zaciął się, przestał działać. I cóż mieli począć Wołkowoj i kompania? Też musieli chwycić za pióro! Też zaczęli pisać listy. I sprostowania do gazet. Okazuje się, że też są całkiem piśmienni.

Z tej drugiej fali listów dowiadujemy się również, jak ich właściwie zwać, to znaczy, jak oni sami siebie nazywają. Ciągle szukaliśmy właściwego słowa — *gospodarze, oboźni* — otóż nie: *praktycy,* o! to jest właściwe słowo! „Czekiści" to już nie ścisłe, no więc są po prostu praktykami, takie sobie miano obrali.

Piszą zatem:

„Iwan Denisowicz — to lizus".
(W. W. Olejnik, Aktiubińsk).

„Szuchow nie wzbudza ani współczucia, ani szacunku".
(J. Matwiejew, Moskwa).

„Szuchowa słusznie skazano... *A co zek ma do roboty na wolności?".*
(W. I. Silin, Swierdłowsk).

„Tych osobników o nędznych duszyczkach sądzono jeszcze *zbyt łagodnie.* Wcale mi nie żal ciemnych typów z okresu wojny".
(E.A. Ignatowicz, miasto Kimowsk).

432

„Szuchow to — „wykwalifikowany, obrotny i bezlitosny szakal. Skończony egoista, myślący tylko o swoim kałdunie".
(W.D. Uspieńskij, Moskwa)[1].

„Zamiast tego aby dać obraz zagłady najbardziej oddanych sprawie ludzi 1937 roku, autor wybrał rok 1941, gdy do obozu trafiali przede wszystkim egoistyczni

nikczemnicy[2]. W 37. nie było Szuchowów[3], a ludzie szli na śmierć w posępnym milczeniu, z jedną tylko myślą: *komu to właściwie potrzebne?"*.
(P.A. Pankow, Kramatorsk).

O obozowych porządkach:

„A czemuż to dawać dużo jedzenia komuś, kto nie pracuje? Jego siły nie są przecież wykorzystane... Ze światem przestępczym jeszcze zbyt łagodnie się obchodzą".
(S.I. Gołowin, Akmolinsk).

„A co do norm wyżywienia, to warto sobie przypomnieć, że ci ludzie nie są w uzdrowiskach. Winni odkupić winy wyłącznie uczciwą pracą".
(starszy sierżant Bazunow z Ojmiakonu, 55 lat, zestarzał się na służbie w obozie).

„W obozie jest mniej nadużyć, niż w jakiejkolwiek innej sowieckiej instytucji (!!). Stwierdzam, że obecnie w obozach są *jeszcze surowsze porządki"*.
(W. Karachanow, okręg moskiewski).

„Opowieść ta ubliża żołnierzom, podoficerom i oficerom wojsk wewnętrznych. Lud jest twórcą historii, ale jak pokazany jest ten lud...? — w postaci „papug", „cymbałów" i „durni".
(Bazunow).

' Czy ten emeryt nie jest przypadkiem owym Uspieńskim, który swojego ojca, duchownego, zabił — i zrobi! obozową karierę?
[2] No tak, zwykli bezpartyjni i jeńcy wojenni.
[1] Jeszcze ilu!... Więcej, niż takich, jak wy!
[4] Cóż to za głębia intelektu! Nawiasem mówiąc nie w takim już milczeniu: z bezustannymi aktami skruchy i wołaniami o litość.

433

„My wykonawcy — też jesteśmy ludźmi, my także umieliśmy być bohaterami; nie zawsze dobijało się padających i tym samym narażało się na ■szwank własną karierę".
(Grig. Trofimowicz Żeleźniak[5]).

„W noweli opis dnia wypełniony jest przykładami karygodnego zachowania się więźniów, bez pokazania roli administracji... Ale traktowanie więźniów w obozie *nie przyczyniło się do okresu kultu jednostki,* tylko jest konsekwencją wyroku sądowego".
(A. I. Grigoriew).

„Ochrona nie wiedziała, kto za co siedzi[6]".
(Karachanow).

„Sołżenicyn tak opisuje całą *robotę* w obozie, jakby tam żadnego partyjnego kierownictwa nie było. A tymczasem i dawniej, *i dziś* istniały partyjne organizacje i kierowały *całą działalnością zgodnie z sumieniem.*

(Praktycy) „wypełniali tylko to, czego od nich wymagały ustawy, instrukcje, rozkazy. Przecież *ci sami ludzie, którzy pracowali wtedy, pracują i dziś (!!)*\ być może doszło jakieś 10%, a niejednokrotnie otrzymywali jednak dowody uznania za swoją wydajną pracę i bardzo są cenieni jako siły fachowe".

„Wszyscy pracownicy wojsk wewnętrznych pełni są gorącego i szczerego oburzenia... Aż dziw bierze skąd tyle żółci w tym utworze... On celowo szczuje naród na MWDL..I czemuż to nasze organy pozwalają na takie poniewieranie pracowników wojsk wewnętrznych?... To *niegodne!".*

(Anna Filipowna Zacharowa, Okręg Irkucki, w MWD od 1950, w partii od 1956 roku).

Słuchajcie, słuchajcie! To *niegodne!* — oto krzyk duszy! 45 lat gnębili tubylców — i to było godne, uczciwe. A jedno opowiadanie wydrukowano — i już „to niegodne"!

„Takiego świństwa nikt jeszcze nam nigdy nie kazał przełknąć. ...To nie tylko moje zdanie, jest nas wielu, a imię nasze — Legion[8]".

[5] Żeleźniak mnie osobiście też pamięta: „przybył z etapem kajdaniarzy, wyróżniał się
kłótliwym charakterem; później odesłano go do Dżezkazganu, gdzie stał razem z Kuz-
niecowem na czele powstania".

[6] My? — my „tylko spełnialiśmy rozkazy", „myśmy nie wiedzieli".

[7] Bardzo ważne świadectwo.

[8] Słusznie, co legion — to legion, słusznie. Tylko w pośpiechu nie sprawdzili cytatu
z Ewangelii. Mowa tam jest o legionie BIESÓW.

434

Albo jeszcze krócej: „Opowieść Sołżenicyna powinna być niezwłocznie usunięta ze wszystkich bibliotek i czytelni".
(A. Kuźmin, Orzeł).

Tak też i uczyniono. Tylko stopniowo.*

„Książki tej nie należało drukować, a materiały powinno się było przesłać do Organów KGB".
(Anonim[9] rówieśnik Października).

Rzecz przybrała obrót niemal taki, jak to przewidział nasz rówieśniczek.

A oto jeszcze jeden Anonim, tym razem poeta; *Czy słyszysz nas, Rosjo? Na naszym sumieniu Najmniejszej nie*

*znajdziesz plamki!*

I znów to „przeklęte incognito"! Dobrze byłoby się dowiedzieć, czy sam rozstrzeliwał, czy tylko posyłał pod mur, czy może to zwykły wyznawca partyjnej ortodoksji — ale masz ci los, anonim! Anonim bez najmniejszej plamki...

I wreszcie — szerokie filozoficzne spojrzenie:

*„Historia nigdy nie miała potrzeby gmerania w przeszłości (!!)* a już tym bardziej nie musi w niej gmerać historia socjalistycznej kultury".
(A. Kuźmin).

Historia może się obyć bez gmerania w przeszłości! — oto do czego doszli nasi Prawomyślni. A w czym ma gmerać? — może w przyszłości?... I tacy ludzie piszą historię!...

I cóż można teraz przeciwstawić wszystkim im, całej zjednoczonej potędze ciemnoty? Jak im teraz otworzyć oczy?...

Przecież prawda jest wstydliwa, milknie gdy kłamstwo zbyt bezczelnie się panoszy.

Długi brak swobodnej wymiany informacji wewnątrz kraju żłobi przepaść niezrozumienia między całymi grupami ludności, między milionami — a milionami.

Tajne rozporządzenie Głównego Zarządu Ochrony Tajemnicy Państwowej i Prasy z 14.11.1972 nakazało usunięcie z obiegu i zniszczenie wszystkich egzemplarzy *Iwana De-nisowicza, Zagrody Matriony* i innych opublikowanych legalnie opowiadań (podpisał je Romanów).

[9] Ten też się ukrywa, na wszelki wypadek: diabli wiedzą, skąd tu jeszcze wiatr powieje!...

435

Całkiem po prostu *przestajemy być jednym narodem,* mówimy bowiem istotnie różnymi językami.'

Wyłom — mimo wszystko — został dokonany! Tak była niewzruszona, tak niezawodna ściana kłamstwa, zdawało się, że przetrwa wieki — i wystarczyło szczelinki, by wiadomości przeciekły. Jeszcze wczoraj nie było u nas żadnych obozów, żadnego Archipelagu — a dziś cały naród i cały świat je zobaczył: obozy! i to faszystowskie!

Co teraz począć?? Mistrzowie w sztuce wywracania na nice! Pionierzy Chwalby! Czy zdołacie to ścierpieć? Bylibyście zdolni do strachu? Wy
—i kapitulacja?!

Ależ oczywiście, że nie! Mistrzowie przekręcania i wywracania na nice pierwsi rzucili się ku wyłomowi, jakby tylko na to czekali od lat, aby zasłonić ów wyłom własnymi szaroskrzydłymi ciałami i radosnym — a jakże — radosnym trzepotaniem skrzydeł starali się odwrócić od Archipelagu uwagę zdumionych widzów.

Ich pierwszym zawołaniem, natychmiast ukutym, instynktownym — było: *to się już więcej nie powtórzy!* Chwała Partii! — to się nie powtórzy!

Ach, spryciarze, ach co za mistrzowie klajstrowania! Przecież jeśli „już się nigdy nie powtórzy", to znaczy, *że już dziś* tego nie ma! W przyszłości —już się nie powtórzy, a dziś — już nie istnieje — to oczywiste!

Tak zręcznie łopotali skrzydłami uwijając się przed wyrwą, że ledwie majaczący zarys Archipelagu już stał się przywidzeniem: nie ma go, nie będzie, co najwyżej — był tam kiedyś... I kto tu winien — jeśli nie *kult jednostki!* (Niezły ten „kult jednostki"! — wymówiłeś to słówko — i już wszystko jest wyjaśnione). A co istnieje rzeczywiście, co zostało, co wypełnia wyrwę i co trwać będzie po wiek wieków — to „Chwała Partii!". Z początku chwała jakby za to, że „już się nigdy nie powtórzy", a potem —wychodzi na to, że chwała jakby również za sam Archipelag, bo to się łączy i trudno to wszak rozdzielić. Jeszcze nie mieli w ręku czasopisma z moją nowelą, a już zewsząd się niesie: „Chwała Partii!". Nie doczytali jeszcze do tego miejsca, gdzie leją nahajką, a już krzyczą wszyscy wokół: „Chwała Partii!".

W ten sposób aniołowie stróże kłamstwa, strażnicy Muru — znakomicie wybrnęli z pierwszych kłopotów.

Tylko, że wyrwa istniała nadal. I dlatego nie mogli zaprzestać swoich skrzydlatych wysiłków.

Dlatego ich druga praca herkulesowa polegała na magicznej zamianie.

436

Jak sztukmistrz — niemal bez pomocy chusteczki — przemienia kurę w pomarańczę, tak samo oni chcieli podmienić cały Archipelag i zamiast tego, jaki został w powieści przedstawiony — ukazać publiczności już zupełnie inny, znacznie szlachetniejszy. Z początku próby te wykonywano ostrożnie (przypuszczając, że autor stoi blisko tronu), wobec czego operację zamiany trzeba było prowadzić — wynosząc równocześnie nowelę pod niebiosy. Ale I. Czyczerow[10] poradził sobie z trudnym zadaniem i z miejsca wytyczył główny kierunek natarcia. Gdyż już nachwalił się do syta, przeszedł w recenzji do relacji o Archipelagu z punktu widzenia „naocznych świadków" — snując opowieść o komunistach w obozie, którzy co prawda —

„... nie zbierali partyjnych składek, ale nocami przeprowadzali tajne partyjne zebrania (?), omawiając na nich aktualne problemy polityczne... Za odśpiewanie szeptem „Międzynarodówki" gnili w karcerach, wydani przez donosicieli... Banderowcy i własowcy znęcali się nad prawdziwymi komunistami i do spółki (!) z obozowym kierownictwem niejednego z nich doprowadzili do kalectwa. Ale tego wszystkiego Sołżenicyn nam nie pokazał. Niektórych spraw nie zdołał jednak dostrzec w tym strasznym świecie".

A Czyczerow nie był nawet w obozie, ale — dostrzegł! To jest zręczność, co? Okazuje się, że obozy nie były dziełem władzy sowieckiej, ani dziełem partii! (I sądy też pewnie nie były sowieckie). W obozach panoszyli się własowcy i banderowcy *do*

*spółki* z kierownictwem. (Masz ci los! A myśmy uwierzyli Zacharowej, że komendanci obozów zawsze, a zawsze mieli partyjną legitymację w kieszeni!).

Ale nie każdy drukuje się w moskiewskich gazetach. Nasz riazariski luminarz, literat N. Szundik zaproponował w wywiadzie dla agencji Associated Press, przeznaczonym dla prasy zachodniej (tylko że go nie wydrukowali. Może również ta agencja do spółki...?) jeszcze taki wariant oceny Archipelagu:

„Przekleństwo międzynarodowemu imperializmowi, który sprowokował powstanie wszystkich tych obozów"!

To jest mądre! To jest świetnie powiedziane! Tylko, że nie poszło do druku...

Bo i w ogóle obozy były jakieś takie cudzoziemskie, obcego pochodzenia, nie z naszej parafii, ni to beriowskie, ni to własowskie, ni to niemieckie, diabli je wiedzą, a *nasi* ludzie — siedzieli tam tylko i męczyli się, zresztą ci „nasi" to też nie sami nasi; żeby wszystkich „naszych" wymienić, to by wszystkich gazet razem nie starczyło, *nasi* — to wyłącznie komuniści!

Czy czytelnik, który razem ze mną przedzierał się przez cały gąszcz Ar-

"„Moskowskaja Prawda", 8.XII.1962.

437

chipelagu, może mi teraz wymienić takie miejsce i taką chwilę, kiedy byłby czas na odśpiewanie „Międzynarodówki" szeptem? Wlokąc się z leśnej poręby — nie bardzo chce się człowiekowi śpiewać, prawda? Chyba więc tylko wtedy, gdy cały dzień przesiedziało się w przytulnym składziku... A jakiż był temat i cel tych nocnych zebrań partyjnych (odbywać też się mogły chyba tylko w składziku albo w lazarecie, a skoro tak, to już we dnie, bo i po co w nocy?...)? Wyrażenie votum nieufności Komitetowi Centralnemu? Sfiksowaliście, czy co! A więc — Berii? Ale w żadnym wypadku — toż to członek Biura Politycznego! To może naszemu KGB? Nie uchodzi — stworzył je sam Dzierżyński! Chcieli więc dać wyraz nieufności do naszych sowieckich sądów? Ależ to równa się nieufności wobec Partii, aż strach o tym mówić. (Przecież omyłka zaszła tylko w stosunku *do ciebie jednego,* więc towarzyszy też powinieneś ostrożniej sobie dobierać, bo przecież tamci skazani zostali zupełnie słusznie!).

Prosty szofer A.G. Zagorujko, którego trzepot tych skrzydełek widać nie przekonał, tak pisze do mnie:

„Nie wszyscy byli tacy jak Iwan Denisowicz? A jacy więc byli? Niepokorni, czy jak? Może w obozach działały 'grupy ruchu oporu' z komunistami na czele? No to z kim walczyły? Z Partią i rządem?".

A cóż to za buntownicze myśli! O jakich w ogóle „grupach ruchu oporu" mowa?... Ale skoro tak — to co było tematem tych zebrań? Sprawa zaległości w płaceniu składek członkowskich? Cóż, kiedy ich nie zbierali... Aktualna sytuacja polityczna? Czy do tego konieczne są zebrania? Zejdzie się jeden wierny z drugim wiernym (trzeba się jeszcze zastanowić, kto tu naprawdę wierny!) i — poszepczą sobie w kącie... Na dobrą sprawę tylko jeden mógł być temat zebrań partyjnych w obozach:

jakby tu zapewnić *naszym* ludziom wszystkie funkcje prydurków i ocaleć samemu, a *nie-na-szych*, niekomunistów zepchnąć w mroźne płomienisko leśnych wyrębów, niech tam zgorzeją, albo niech się duszą w gazowej komorze kopalni miedzi! I nic innego się nie wymyśli, to była jedyna praktyczna kwestia, o której mogli gadać. Tak oto już w 1962 roku, gdy nowela nie zdążyła jeszcze dotrzeć do czytelników — wytyczona została linia dalszego postępowania z podmianą Archipelagu. A w miarę jak upewniali się, że autor nie stoi wcale blisko tropu, że nikt go nie broni, że jest może tylko marą — mistrzowie od wywracania prawdy na nice nabierali kurażu.

Wzięli jeszcze raz opowieść do ręki — i czegośmy się tutaj tak zlękli? Co nam kazało piać te peany? (lokajski nawyk). „Postaci ludzkie (u Sołżeni-cyna) są nieudane... W głąb duszy człowieka... bał się jednak zajrzeć"".

" „Kazachstanskaja Prawda", 6.X.1964. List dyplomaty A. Gudzenko.

438

Przyjrzeli się bohaterowi — toż to „idealny antybohater!". Szuchow jest
- „odosobniony", „obcy narodowi", ten nędzny facet żyje tylko, aby jeść
- i nie walczy! Oto co ich wszystkich najbardziej oburzyło! — *dlaczego Szuchow nie walczy?* Ma może brać się do obalenia reżymu obozowego, albo chwytać za broń — o tym nie piszą, tylko powtarzają: *dlaczego nie walczyć??* (A miałem już gotowy scenariusz o kengirskim powstaniu, ale nie ośmieliłem się pokazać nawet rąbka rękopisu...).

Sami nie zdobyli się na choćby jeden erg walki, od nas zaś żądali tono-kilometrów!

I tak zawsze. Gdy skończony bój, odważnych jest rój.

„Prawdę mówiąc Szuchow ma bardzo przyziemne zainteresowania, a najstraszniejsza tragedia okresu kultu jednostki polegała na tym, że za drutami kolczastymi znaleźli się najlepsi ludzie sowieccy w całym tego słowa znaczeniu, przodujące jednostki, sól naszej ziemi, prawdziwi bohaterowie naszych czasów", którzy „też mieLby może chęć, by zaharapczyć dodatkową porcyjkę sałamachy... ale dostawali ją nie uciekając się do fa-gasowania[12]". (A w jaki sposób? Jak? — to dopiero ciekawe).

„Sołżenicyn wyakcentował niezmiernie ciężkie warunki życia codziennego w obozie. I dlatego *rozminął się z surową prawdą życia". A* prawda polegała na tym, że byli tam przecież „zahartowani w ogniu walki" ludzie, „wypiastowani przez leninowską partię", którzy... no co? walczyli? gdzie tam, *„głęboko wierzyli,* że kiedyś skończy się mroczna epoka samowoli".

„Niektórzy autorzy bardzo przekonywająco opisali mękę głodu. Ale kto śmie zaprzeczyć, iż *męka myśli* po stokroć być może gorszą od męki głodu[13]?" (Szczególnie jeśliś tego, bracie, nie zaznał). A oto jakie to były męki, jakie cierpienia duszne: co to z nami będzie? jak nam tu będzie? kiedy nas ułaskawią? kiedy nas znów powołają na kierownicze stanowiska?

Przecież cały XXII Zjazd był temu poświęcony: komu chciano wznieść pomnik? Rozstrzelanym komunistom! Czy rozstrzelanym Iwanom, po prostu? Nie. O tym nie było mowy, Iwanów wcale nie żal. (To był właśnie ukryty ładunek wybuchowy *Iwana Denisowicza:* podsunięto im zwykłego Iwana).

Tak oto trzepocząc skrzydełkami polatywali koło tej szczeliny już drugi roczek z rzędu.

A kto potrafił rzecz osnuć pajęczynką legendy, ten próbował. Na przykład takie „Izwiestia"[14] zabrały się do pouczania nas w jaki sposób nale-

[12] „Kazachstanskaja Prawda", 27.VII.1964.
[13] „Krasnojarskij Raboczyj", 27.IX.1964.
[14] Zdnia25.IV.1964.

439

żało walczyć: okazuje się, że trzeba było z obozu *uciekać!* Nasi zbiegowie nie znali adresu autora artykułu, N. Jermołowicza! Ten by im zapewnił schronienie!... (Ale tak w ogóle, to rada perfidna: toż ucieczka podkopuje autorytet MWD!). No dobra: uciekać — ale co potem?

Niejaki Aleksy, jak to powiadają nam „Izwiestia" (szkoda tylko, że nazwiska nie podają) uciekł ponoć wiosną 1944 roku z rybińskiego obozu na front — gdzie od razu wcielony został do szeregów i to *z otwartymi* ramionami przez pewnego majora od spraw politycznych („potrząsnął ostro głową odganiając wątpliwości"). Nazwiska majora też zresztą nie podano. I wcielono go nie byle gdzie, tylko do plutonu zwiadu pułkowego! I od razu posłano z zadaniem bojowym na tyły przeciwnika! (No, niech mi powie ten z was, kto był na froncie — to temu majorowi nie zależało na pagonach, na legitymacji partyjnej? W 41. jeszcze można było tak zaryzykować, ale w 44., kiedy sprawozdawczość już była tip-top, a SMIERSZ czuwał?). Bohaterski Aleksy dostał order Czerwonego Sztandaru (jak to załatwiono formalnie?), a po wojnie „postarał się szybko przejść do rezerwy".

Drugiego bohatera wymieniają już z imienia i nazwiska: niemiecki komunista Ksawery Schwartzmiiller uciekł od Hitlera do nas w 1933 roku, aresztowany został w 1941 jako Niemiec (to wszystko brzmi jeszcze prawdopodobnie). No, zaraz się dowiemy, jak powinien walczyć w obozie prawdziwy komunista. Oficjalne zaświadczenie głosi: zmarł w Czystopolu, 4.VI.1942 roku (zawinął się od razu, na samym początku pobytu w obozie, to bardzo prawdopodobne, zwłaszcza, że chodzi o cudzoziemca), pośmiertnie został zrehabilitowany w 1956 roku. No a gdzie ta walka? A otóż gdzie: ***wieść*** *niesie,* że w 1962 ktoś (jakaś baba) *miała go widzieć* w Rydze. *A więc to dowód, że uciekł!* Sprawdzono pośpiesznie „obozowe świadectwo zgonu" (nierówno oddarty świstek) — i wyobraźcie sobie — *brak na nim fotografii!* Słyszycie, coś niebywałego: nagle okazuje się, że zmarłemu *zapomniano zrobić w obozie zdjęcie!* Niebywałe rzeczy! No, teraz już wszystko jasne: uciekł i przez cały ten czas walczył! A jak walczył? Tajemnica. Z kim walczył? Tajemnica. A teraz czemu się nie ujawnia? Też nie wiadomo.

Takie bajędy prawi nam centralny organ prasowy rządu!

Taką pajęczynką legend chcą zasnuć przed naszym wzrokiem Archipelag, który na chwilę wyłonił się z mgieł!

Przytoczmy jeszcze jedną legendę z tych samych „Izwiestii": właśnie ostatnio pewien syn dowiedział się o pośmiertnej rehabilitacji swego ojca. Jaka była jego reakcja? Pewnie wściekłość, że mu ojca uchechłali bez żadnego powodu? Nie — *radość,* uczucie ulgi: cóż to za szczęście dowiedzieć się, że ojciec nic nie zawinił Partii!

Każdy wyciskał z siebie taką pajęczynkę, na jaką go było stać. Jedna

440

niteczka na drugą, jedna na drugą — i już cię to światło jakoś mniej razi, już nie tak dobrze ten Archipelag widać.

A podczas gdy tamci tak snuli i tkali swoje nici, podczas gdy trzepotali gorliwie skrzydełkami u tej szczeliny — z tyłu, po tamtej stronie muru wspinali się i windowali rusztowania naczelni murarze tej całej budowy. Bo trzeba wszak, aby to byli jednak pisarze, a poniekąd również — ofiary prześladowań, tacy, co to sami w obozie posiedzieli, bo inaczej to przecież żaden dureń nie uwierzy. Wspinali się tam Borys Diaków, Gieorgij Szelest, Galina Sieriebriakowa i Ałdan-Siemionow.

Nie brak im było zapału; mieli oni na oku tę wyrwę od samego początku, rwali się do niej z dołu, z własnej chęci, choć rusztowania jeszcze wtedy nie było, chlapali ci tą zaprawą, ale nie mogli dosięgnąć.

Sieriebriakowa — przyniosła nawet całą gotową płytę marmurową, by zatkać prześwit, zatkać go nawet z naddatkiem; przyniosła powieść o torturowaniu komunistów podczas śledztwa —jak im oczy wyrywano, jak ich kopano. Ale jej wyjaśniono, że tu o inny typ kamienia chodzi, że ta płyta nie przystaje, że z tego tylko nowa dziura będzie.

Szelest natomiast, były kombryg WCzK, jeszcze wcześniej proponował „Izwiestiom" swoją nowelę *Samorodek,* ale dopóki temat był na indeksie — po cholerę go było tykać? Teraz zaś, na 12 dni przed zarysowaniem się Muru, wiedząc już gdzie szczelina powstanie, przyłożyły „Izwiestia" szeles-towski plaster. Ale nie wstrzymał lawiny, przeszła jak przez bibułkę.

Jeszcze kurzyło się w wyrwie — gdy podskoczył Diaków, żeby zasypać ją swoimi *Notatkami prydurka.* Ale cegła recenzji Łakszyna zwaliła mu się na głowę; wykazano, że w obozie ratował tylko własną skórę, nic więcej.

Nie, tak to się nie uda. Trzeba jakoś gruntowniej. Zaczęli więc stawiać rusztowania.

Zeszło na to półtora roku. Do tego czasu przebiedowali jakoś, konten-tując się artykułami w gazetach i trzepotaniem błoniastych skrzydeł. A gdy już na rusztowania rzucono deski i podstawiono żurawia — budowa ruszyła na całym froncie: w lipcu 1964 roku — *To, cośmy przeżyli* — Diako-wa; *Płaskorzeźba na skale* Ałdana-Siemionowa, we wrześniu — *Notatki kolymskie.* W tym też roku, w Magadanie, pojawiła się książeczka Wiat-kina[15].

I to wszystko. I zamurowali. A na fasadzie, tam gdzie łata — wymalowali

zupełnie co innego: palmy, daktyle, tubylcy w kąpielowych kostiumach. Archipelag? Coś jakby Archipelag. Tylko już nie ten sam? Pewno, że nie ten sam.

[15] W. Wiatkin, *Człowiek rodzi się dwa razy.*

441

O tych wszystkich książkach już napomykałem mówiąc o prawomyśl-nych[16] i gdyby różnica zdań między nami ograniczała się tylko do spraw literackich, to nie miałbym powodu o nich tu mówić. Ale ponieważ podjęli się załgania całej sprawy Archipelagu, więc obowiązkiem moim jest wyjaśnienie, gdzie robią oni z niego dekorację. Chociaż czytelnik, który przebrnął przez całą tę moją księgę, sam się zapewne łatwo zorientuje.

Pierwsze i podstawowe ich kłamstwo na tym polega, że na i c h Archipelagu n i e s i e d z ą p r o ś c i l u d z i e, nasze Iwany. Mniejsza, jak doszli do tego odkrycia — pojedynczo, czy pospołu, ale kłamią zgodnie, dzieląc więźniów na: 1) uczciwych komunistów (z osobną podgrupą obejmującą bezpartyjnych, płomiennych bolszewików) i 2) białogwardzistów — własowców — policajów — banderowców (wszystkich do jednego worka).

A tymczasem wszyscy wymienieni, razem wzięci, nie stanowili więcej niż 10—15%. A cała reszta — 85% — to byli chłopi, inteligencja i robotnicy. Masa ta składała się właściwie tylko z Pięćdziesiątki Ósemki oraz wszystkich niezliczonych, nieszczęsnych ofiar „dekretów", siedzących za szpulkę nici i za garść kłosków, uniesionych w podołku. I właśnie o tych wcale nie ma mowy. Zapodziali się gdzieś. A dlatego się zapodziali, że autorzy tych książek *rzeczywiście nie dostrzegali swojego cierpiącego ludu* — i była to postawa zupełnie szczera! To bydło dla nich w ogóle nie istnieje, skoro wracając z leśnych robót nie śpiewa szeptem „Międzynarodówki". Szelest przebąkuje coś głucho o sekciarkach (nawet nie o sekciarzach — w męskim obozie ich nie zauważył!). Gdzieś tam przewija się u niego jakiś drobny *szkodnik* (przedstawiony właśnie jako szkodnik) i jeden mizerny pospoli-tak. To wszystko. Zniknęły też z ich książek wszelkie narodowości mieszkające na peryferiach kraju. Taki Diaków mógł zauważyć podczas swojej odsiadki przynajmniej Bałtów? Ale nie, ani śladu! (Ukryliby, gdyby mogli, nawet istnienie Zachodnich Ukraińców, tylko że ci zachowywali się już zbyt aktywnie).

Z całego widma świetlnego, na jakie składają się wszystkie grupy ludności tubylczej Archipelagu — zostały u tych pisarzy tylko dwie skrajne barwy! Ale przecież to właśnie potrzebne jest do *schematu,* bez tego schematu kupy się nie trzyma! A kto w brygadzie opisanej przez Ałdana-Siemionowa okazuje się jedynie sprzedajną duszą? — jedyny w powieści *chłop* — Die-wiatkin. U Szelesta w *Samorodku* — kto występuje w roli przygłupiego prostaczka — jedyny w opowieści chłop, Gołubow. Taki jest ich stosunek do ludu.

" Część trzecia, rozdział jedenasty.

442

Drugie ich kłamstwo na tym polega, że *obozowej pracy* albo wcale u nich n i e ma (ich bohaterowie to zwykle prydurki, zwolnieni od codziennej harówki i spędzający swoje dni bądź w magazynach, bądź za urzędniczym blatem, bądź w szpitalikach. U Sieriebriakowej — 12 osób naraz leży w szpitalnej izbie, zwanej „komunistyczną". A kto ich tam zgrupował? I czemuż to — sami komuniści? czy aby nie za protekcją umieszczono ich tam na odpoczynek?...) — albo też praca jest jakimś wcale niestrasznym, nie wyczerpującym, nie dobijającym człowieka papierowym zajęciem. A przecież dziesięcio- dwunastogodzinna harówa — to największy krwiopijca obozu. To ona jest główną treścią każdego dnia, wszystkich dni na Archipelagu.

Trzecie ich łgarstwo polega na tym, że w ich obozie n i e szczerzy zębów głód. Że nie zagryza każdego dnia całych dziesiątków ludzi chorych na pelagrę i dystrofię. Nikt nie grzebie w śmietnikach. Nikt właściwie nie musi zastanawiać się, *jak tu nie zdechnąć przed końcem dnia.* („ITŁ — to obóz o złagodzonym reżymie" — niedbale rzuca Diaków. Posiedziałbyś, bratku, w tym złagodzonym reżymie!).

Tych trzech łgarstw starczyło, aby zwichnąć wszystkie proporcje Archipelagu — już śladu nie ma z rzeczywistej rzeczywistości, już zniknęła prawdziwa, trójwymiarowa przestrzeń. I teraz — zgodnie z ogólnym światopoglądem autora i z własną jego fantazją można już swobodnie tworzyć, układając klocki, rysując, wyszywając i plotąc, co się żywnie podoba — bo w tym zmyślonym świecie wszystko jest dozwolone. Teraz można poświęcić długie stronice opisom wzniosłych rozmyślań bohaterów (kiedy skończy się ta samowola? kiedy pozwolą nam znowu rządzić?) — i rozważaniom o tym, jak oddani oni są Partii i jak Partia z czasem wszystko naprawi. Można opisać powszechną radość przy zakupie obligacji nowej pożyczki (co równe jest wyrzeczeniu się pieniędzy na zakupy w obozowej kantynie). Można wiecznie milczące więzienie wypełnić gwarem rozmów (łubiański fryzjer pyta z miejsca, czy Diaków aby jest komunistą... Chore majaczenia!). Można wstawiać do więziennych pukanych rozmów pytania, jakich od wieków nikt tu nie zadawał („Czy jesteś członkiem partii?... Jakie stanowisko zajmowałeś?..."). Można wymyślać anegdoty, które już nie śmiech budzą, ale ból brzucha: zek zgłasza zażalenie sekretarzowi partii, wolnia-kowi, że pewien wolny obszczekał jego, zeka, członka partii!". — W jakie ośle uszy chcecie to nakłaść?... (Diaków). Albo taki obrazek: zek z konwojowanej kolumny więźniów (szlachetny Pietrakow, towarzysz broni Kirowa) zmusza do skręcenia w kierunku pomnika Lenina i do zdjęcia czapek całą kolumnę, w tej liczbie również konwojentów (a jak celowali z automatów?)! (Ałdan-Siemionow). U Wiatkina złodziejskie tałatajstwo na Ko-

443

łymie ochoczo ściąga czapki, składając tym hołd Leninowi podczas apelu. Absolutna

brednia. (Gdyby to nawet była prawda — niewielki byłby dla Lenina zaszczyt).

Cały *Samorodek* Szelesta to tylko anegdota, od początku do końca. Oddać władzom obozowym znaleziony złoty samorodek? — Żeby w ogóle zastanawiać się nad tym potrzebna jest straceńcza odwaga: bo jak cię przy-łapią — rozstrzelanie! (już za samo zadanie takiego pytania — też rozstrzelanie!)... Ale *oddali* — generał zaś uznał za stosowne zarządzić w ich drużynie rewizję. A co by było, gdyby nie oddali?... Sam autor wzmiankuje
0 sąsiadującej z nimi „drużynie Łotysza", którą rewidowano także w miej
scu pracy i w baraku. Tak więc problem polegał nie na tym, czy wspomóc
Ojczyznę, czy też nie — ale na tym, czy dla tych czterech ludzi kawałek
złota wart był ich własnego życia? Cała ta sytuacja jest wymyślona tylko
po to, aby mogła przejawić się komunistyczna i patriotyczna postawa bo
haterów. (Co innego — zwolnieni spod konwoju. U Ałdana-Siemionowa
kradnie samorodki nawet major milicji i zastępca komisarza przemysłu
naftowego).

Ale Szelest tak czy inaczej nie nadąża za potrzebami chwili: zbyt ostro, prawie z nienawiścią mówi o kierownictwie obozu, co prawdziwemu ortodoksie nie uchodzi. Ałdan-Siemionow, o zdeklarowanym łotrze — naczelniku kopalni, tak pisze: „był on bardzo dorzecznym organizatorem" (!). Zresztą cała jego moralność jest taka: jeśli naczelnik jest sprawny — to
1 w obozie pracuje się raźniej, i żyje się nieomal jak na swobodzie[17].

Podobnie u Wiatkina: w jego powieści kat Kołymy, dyrektor Dalstoju, Karp Pawłów, już to „nic nie wiedział" o bestialstwach, których sam był sprawcą, już to „nie zdawał sobie sprawy", już to — w ogóle do gruntu się zmienił.

A w tak naszkicowaną dekorację musieli teraz autorzy wpisać — dla większego prawdopodobieństwa — również autentyczne detale. U Ałdana-Siemionowa: konwojent przywłaszcza sobie wydobyte złoto; jeśli ktoś odmawia pracy — znęcają się nad nim, gwiżdżąc sobie na normy prawne; pracuje się tam przy 53 stopniach mrozu; złodziejom powodzi się świetnie w obozie; penicylina zarezerwowana jest wyłącznie dla dowództwa obozu. — U Diakowa: konwojenci są brutalni; scena w Tajszecie, przy pociągu: z zeków nie zdążono zerwać numerów i pasażerowie rzucają więźniom

[17] Wydaje się, że Aldan-Siemionow zna stosunki panujące wśród dowódców — i że bywał u nich, ale życie za drutami zna nieco gorzej; stąd pełno u niego rażących pomyłek: baptyści to „obiboki"; konwojent-Tatar daje kawał chleba zekowi-Tatarowi i dlatego więźniowie uznają go za donosiciela! W istocie nie mogli tak pomyśleć, bowiem konwój co dzień się zmienia i nie ma własnych donosicieli...

444

machorkę i jedzenie, które konwojenci zabierają dla siebie; opis przedświątecznej rewizji. Te scenki wykorzystują autorzy tylko dla nadania wiarygodności całej

reszcie.

A oto, co jest solą ich książek (zacytujmy recenzje):

„W *Jednym dniu Iwana Denisowicza* straż obozu — to nieomal bestie. Diaków wykazuje, że wśród strażników było wielu takich, którzy bili się z myślami[18]" (no i co też wymyślili?).

„Diaków ocalił gorzką prawdę życia... Dla niego bezprawie w obozach to... tło (!), a istotą zagadnienia jest to, iż sowiecki człowiek nie ugiął się przed samowolą... Diaków dostrzega także uczciwych czekistów, którzy zdolni byli do bohaterstwa, tak jest, do bohaterstwa[19]!".

(To bohaterstwo sprowadzało się do zapewniania komunistom dobrych funkcji. Zresztą elementy bohaterstwa dostrzegają oni również u więźnia-komunisty Konokotkina, który „dotknięty do żywego haniebnym oskarżeniem... pozbawiony wolności... nie porzucił pracy"... laboranta! A więc na tym polega to męstwo, że udało mu się uniknąć przeniesienia ze szpitalnego laboratorium na roboty ogólne[20]).

A jakiż jest koronny wniosek Diakowa? „Wszystko co złe — minęło" (o tych, co zginęli, Diaków nie wspomina). „Wszystko co dobre — wróciło". „Nic nie poszło na marne".

A u Ałdana-Siemionowa: „Nie bacząc na to wszystko — nie czujemy żalu". Chwała Partii — to ona zniosła obozy! (z wierszowanego epilogu).

Czy istotnie zniosła je?... Czy nic nie zostało?... A poza tym — *kto obozy stworzył?*... O tym milczą.

A co tu teraz odpowiedzieć zekowi A.K. K-wowi, który pyta: „Czy za Berii władza była sowiecka, czy może jakaś inna? Dlaczego mu pozwolono na to wszystko?...".

Albo jaką dać odpowiedź P.R. M-owi: „Jak to się dzieje: władza u nas należy do ludu i to lud sam siebie tak tyranizuje?".

Nasi autorzy nie zabiegali przecież o pajkę, nie harowali, przez cały czas snuli tylko te swoje wzniosłe rozmyślania — niechże teraz odpowiedzą!

Milczą. Cisza[21]...

[18] „Tiumenskaja Prawda", 13.VIII. 1964.

" Wolgin, *Soldaty riewolucji,* „Krasnojarskij Raboczij", 27.IX.1964.

[20] M. Czarnyj, *Kommunisty ostajutsia kommunistami* „Litieraturnaja Gazieta", 15.IX.1964.

[21] Jeśli chodzi o ton osobisty tych wspomnień, to Szelest zachowuje największy umiar — bo jednak otarł się o prawdziwe dno (choć niewykluczone, że przez większą część odsiadki migał się, jak jego bohater Zaborski). W jego opowiadaniach odnaleźć można autentyczne rysy życia obozowego. — Najbardziej antypatyczny ton ma utwór Diakowa.

I nie chodzi tu tylko o fokową, okrągłą czapkę (w Specobozie!), i wodę kolońską, i skargi,

445

Ot i tyle. Dziurka już zacerowana i zamalowana (generał Gorbatow dał jeszcze ostatni sztych). I żadnej wyrwy w murze nie było! A sam Archipelag, jeśli nawet był — to jakiś taki widmowy, nierzeczywisty, maleńki, nie wart chwili uwagi.

Co by to dodać? Na wszelki wypadek machną jeszcze pędzlem dziennikarze. Taki Michał Bieriestinskij na zamówienie niestrudzonej „Litieratur-nej Gaziety" (nic nie ujdzie jej uwagi — oprócz literatury) odwiedził zakład karny na stacji Jercewo. Sam też siedział, jak się okazuje. Ale jakże wzruszyło go spotkanie z *nowymi gospodarzami* wysp: „Nie można sobie nawet wyobrazić w dzisiejszych zakładach poprawczych, czy w miejscach odosobnienia ludzi, którzy czymkolwiek przypominaliby Wołkowego[22]... Dziś są to autentyczni komuniści. Surowi, ale dobrzy i sprawiedliwi ludzie. Nie należy sądzić, że to jakieś anioły bez skrzydeł... (jak widać kursuje również taki pogląd — A. S.). Ogrodzenia z kolczastego drutu, wieżyczki strażnicze, wszystko to, niestety, jest jeszcze chwilowo potrzebne, ale oficerowie z *radością* opowiadają, że „kontyngenty" wciąż maleją[23]. (I z czego to oni tacy zadowoleni -— że do renty nie dociągną? że przyjdzie im zmieniać fach?).

Malusieńki ten Archipelażek, kieszonkowy! Bardzo potrzebny, ale jak cukierek lodowy.

Robota skończona. Ale wciąż jeszcze pchali się chyba na te rusztowania różni ochotnicy z kielniami, z pędzlami, z wiaderkami pełnymi zaprawy.

Krzyknięto tedy na nich:

— Cyt! W tył zwrot! *Zapomnieć raz na zawsze!* Żadnego Archipelagu nie było — ani dobrego, ani złego! I w ogóle — milczeć! Zapomnieć!

Tak więc pierwszą reakcją było — konwulsyjne trzepotanie.

Drugą — gruntowne zasklepienie wyrwy.

Trzecią — puszczenie w niepamięć.

Prawa wolnych obywateli do informacji o Archipelagu zostały sprowadzone do stanu sprzed 1953 roku. Sprawa wróciła do punktu wyjścia.

że było mu — uważacie — zimno w przechowalni osobistych rzeczy — ale o wykrętne próby ukrycia oczywistego faktu, że w obozie powodziło mu się dobrze („w obozie funkcji się nie rozdaje, przydział funkcji zależy od artykułu i wysokości kary" — ba, ale przede wszystkim od kuma!); przerabiając swoje „notatki" dla nowego wydania — przekręca motywy, które skłoniły go do starań o pracę w sanitariacie; *a posteriori* przypisuje sobie niewiarygodną śmiałość, przejawianą rzekomo w rozmowach z nadzorcami, operami, ba, nawet szefa działu pracy i ewidencji obezwał ponoć od kłamców — a mimo to był konferansjerem już na najbliższym wieczorku artystycznym — (może wybłagał to sobie na klęczkach?).

[22] Przypomnijmy A. Zacharową: wszyscy oni zostali na swoich miejscach!

" „Litieraturnaja Gazieta", 5.IX.1964.

446

I znowu każdy pisarz może spokojnie wypisywać dyrdymałki o nawracaniu knajaków. Może kręcić filmy o tym, jak policyjne psy z rozkoszą rozszarpują ludzi. Może zachowywać się tak, jakby nic się nie zdarzyło, jakby żadnego wyłomu w Murze nie było.

A młodzież, znużona tą bieganiną raz w przód, raz w tył, macha w końcu ręką: żadnego „kultu" też pewnie nie było i żadnych potworności; jeszcze raz nas skołowano. I mknie na potańcówkę.

Bo słusznie powiedziano: póki biją, poty krzycz, bo jak wrzaśniesz potem — to nikt już nie uwierzy.

Gdy Chruszczow, ocierając łzę, dawał zezwolenie na wydanie *Iwana Dcni-sowicza,* był przecież zupełnie pewien, że to książka o stalinowskich obozach i że *w jego* gospodarstwie niczego takiego już nie ma.

I Twardowski, gdy zabiegał o zezwolenie najwyższych władz, też szczerze wierzył, że to przeszłość, że to — już nie wróci. Ale Twardowskiemu trzeba wybaczyć, całe otaczające go stołeczne towarzystwo żyło tym, że nastała odwilż, że ustały areszty, że oto odbyły się dwa oczyszczające zjazdy i właśnie wracają ludzie z niebytu, a tak ich wielu! Za piękną, różową mgiełką rehabilitacji zniknął Archipelag, stał się zupełnie niewidoczny.

Ale ja — ja! — a jednak i ja się temu poddałem, mnie zaś tego już wybaczyć nie można. A przecież nie okłamywałem Twardowskiego! Ja także wierzyłem gorąco, że przyniosłem mu opowieść — o przeszłości! Czyżby mój język zapomniał smaku bałandy? — a przysięgałem, że nigdy go nie zapomnę. Czym to ja nie poznał na wylot tych hodowców psów policyjnych? Czyż sposobiąc się do roli kronikarza Archipelagu nie wiedziałem, że jest on rówieśny naszemu państwu — i jak bardzo mu jest potrzebny? Mogłem ręczyć za siebie jak za nikogo innego i byłem pewien, że to prawo nade mną władzy nie ma: Krzywda — trawą, ciało — sadłem obrasta.

Ale — obrosłem w sadło. Ale — ugrzązłem... Ale zaufałem... Zaufałem stołecznej beztrosce. Pomyślności jakiej zaznałem w moim nowym życiu. I opowieściom nowych przyjaciół dopiero co przybyłych *stamtąd:* zrobiło się całkiem znośnie; reżym zelżał!, wypuszczają, wypuszczają!, całe żony likwidują!, enkawudzistów zwalniają...

Tak — nędznym prochem jesteśmy. I te same prawa nami rządzą, co garścią prochu. I najgorsze doświadczenia własne nie uczą nas jeszcze rozumienia nieszczęścia powszechnego. I dopóki nie wzniesiemy się ponad to, co jest w nas prochem — nie będzie na ziemi sprawiedliwych ustrojów ani demokratycznych, ani autokratycznych.

I dlatego tak mnie zaskoczył trzeci nurt listów, listów od zeków d z i -

447

si ej szych. Chociaż był to nurt najbardziej naturalny i chociaż tych właśnie

listów powinienem był przede wszystkim oczekiwać.

Na wymiętych karteluszkach, słabo widocznym pismem, w przypadkowych kopertach, nierzadko adresowanych przez wolnych, a więc wysyłanych nielegalnie, *na lewo* — dzisiejszy Archipelag dawał mi znać o swoim sprzeciwie i o swoim gniewie.

Te listy były także jednym wspólnym wołaniem. Był to krzyk: *„A my!!??"*.

Cały gazetowy hałas wokół mojej opowieści sterowany był tak, aby *wolnych* i zagranicę skłonić do jednej tylko konkluzji: „to wszystko — było, ale nigdy się już nie powtórzy".

I podniósł się ryk zza krat: jakże to — nie powtórzy się, skoro my teraz siedzimy, i to w tych samych warunkach?!

„Od czasów Iwana Denisowicza nic się nie zmieniło" — zgodnie pisali mi z rozmaitych stron.

„Zek przeczyta waszą książkę i zrobi mu się gorzko i ciężko, bo wszystko jak było, tak i jest dalej".

„Cóż się zmieniło, skoro utrzymały się w mocy wszystkie wydane za Stalina prawa, przewidujące 25-letnie wyroki?".

„Jakiej to jednostki kult teraz panuje, że dalej siedzimy Bóg wie za co?".

„Czarna mgła nas przesłoniła — i nikt nas nie widzi".

„Dlaczego dalej chodzą bezkarnie tacy faceci, jak Wołkowoj? Także dzisiaj są oni naszymi wychowawcami".

„Poczynając od byle nadzorcy i kończąc na szefie zarządu — wszyscy do spółki zainteresowani są w utrzymaniu przy życiu obozów. Nadzorcy za każde głupstwo piszą na człowieka raporty, pełnomocnicy operacyjni skrobią pracowicie w teczkach personalnych. My — skazani na dwadzieścia pięć lat — jesteśmy dla nich jak bułeczka z masłem — i żywi
nas cnót. Czy nie w ten sam sposób kolonizatorzy opisywali Indian i Murzynów jako istoty niepełno-wartościowe? Zmobilizować przeciwko nam opinię publiczną to pestka, wystarczy napisać artykuł *Człowiek za kratą*[24]... i już jutro na masowych

[24] Kasjukow i Monczanskaja, *Człowiek za kratą* „Sowietskaja Rossija", 27.VIII. 1960. Artykuł inspirowany przez kota rządowe, który położył kres krótkiej (1955-1960) odwilży na Archipelagu. Autorzy są zdania, że w obozach istnieją „warunki takie, jak w instytucjach filantropijnych", że w nich „zapomina się o karze"; że „więźniowie nie chcą słyszeć o swoich obowiązkach", a „administracja ma o wiele mniej praw, niż uwięzieni"(?). Zapewniają, że obóz, to „bezpłatny pensjonat" (nie wiadomo czemu nie pobiera się od więźniów opłat za zmianę bielizny, za strzyżenie, za izby widzeń). Oburzeni są tym, że w obozach obowiązuje tylko 40-godzinny tydzień roboczy i że ponoć „praca nie jest dla więźniów obowiązkowa" (??). Nawołuje się do stworzenia „surowych i trudnych

448

zebraniach uchwalone będą rezolucje domagające się, aby nas spalono w

piecach".

Słusznie. Przecież to wszystko prawda.

— „Jesteście już w tej chwili w ariergardzie!" — zaskoczył mnie Wania Aleksiejew.

I po tych wszystkich listach ujrzałem nagle siebie wcale nie w roli bohatera, jak to sobie wyobrażałem, tylko winowajcy: bo w ciągu dziesięciu lat zatraciłem wyczucie tego, co się naprawdę na Archipelagu dzieje.

Dla nich, dla dzisiejszych zeków moja książka i moja prawda straciłyby wszelką wartość, gdyby nie było dalszego ciągu, gdyby nie znalazło się tam miejsca również dla nich. Żeby opisane zostało wszystko — i żeby to się zmieniło! Jeśli słowo nie rzecz ma na względzie i rzeczywistych zmian nie powoduje — to co jest warte? Tyle, co nocne ujadanie wsiowych psów, nie więcej.

(Chciałbym to rozumowanie zadedykować naszym modernistom: do takiego oto pojmowania literatury przyzwyczaił się nasz lud. I nie prędko się odzwyczai. I — czy odzwyczajać się powinien?).

Ocknąłem się. Poprzez różowe, wonne opary rehabilitacji dojrzałem znany mi skalny masyw Archipelagu, jego szary kontur zwieńczony rzędem wież wartowniczych.

Stan naszego społeczeństwa nieźle da się objaśnić przez analogię z *polem* fizycznym. Wszystkie linie sił tego pola społecznego biegną od wolności — ku tyranii. Linie te odznaczają się wielką trwałością i odpornością na zmiany, werżnęły się w pole, okrzepły, nieomal niemożliwością jest zmienić kierunek i bieg, skorygować je lub przesunąć. Wszelki ładunek lub masa, wprowadzone na teren owego pola, łatwo ześlizgują się w stronę tyranii, nie mogą natomiast przebić się ku wolności. Chyba, żeby zaprząc dziesięć tysięcy wołów.

Teraz, gdy książka moja uznana została otwarcie za szkodliwą, gdy jej druk poczytuje się za błąd („skutki woluntaryzmu w dziedzinie literatury"), gdy wycofuje się ją nawet z bibliotek publicznych — cytowanie imienia Iwana Denisowicza albo mojego stało się na Archipelagu niewybaczalnym aktem rebelii. Ale wtedy! — wtedy gdy Chruszczow ściskał mi dłoń i przy wtórze oklasków prezentował mnie tym trzem setkom osób, które uważały się za elitę artystyczną, gdy w Moskwie robiono mi „dobrą prasę",

warunków" tak, by przestępca bal się więzienia (ciężka praca, twarde prycze bez materaców, zakaz noszenia własnej odzieży, „żadnych kiosków z cukierkami", itd.) oraz do skasowania praktyki zwolnień przedterminowych („a jeśli popełnisz wykroczenie przeciw dyscyplinie — to siedź dalej!"). A także, by „więzień nie liczył na miłosierdzie po odsiedzeniu kary".

18 Archipelag **Gulag** 449

a korespondenci czekali tłumnie pod drzwiami mego pokoju hotelowego, kiedy oświadczono wszem wobec, że partia i rząd *popierają* takie publikacje, kiedy Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego chlubiło się tym, iż zostałem

zrehabilitowany (tak jak dziś zapewne tego żałuje), a pułkownicy służby sprawiedliwości głosili z trybuny, że książka ta *powinna być czytana* w obozach — wtedy to już owe nieme, ciche, bezimienne siły naszego pola społecznego oparły się cichcem — i wstrzymały rozpowszechnienie książki!!! Już wtedy wstrzymały! Do niewielu tylko obozów trafiła legalną drogą tak, by można ją było wypożyczać z biblioteki działu KO. Wycofano ją z bibliotek. Konfiskowano ją, jeśli nadeszła w paczce adresowanej do jakiegoś więźnia. Ukradkiem, pod połą, przynosili ją wolniacy, brali od zeków po 5 rubli, albo nawet i po 20, jak słyszałem (to już nowe ruble! i to od zeków je brali!, ale wiem jaka podła pazerność panuje w otoczce obozów, więc się nie dziwię). Więźniowie mimo wszelkich rewizji przemycali ją do obozu jak nóż; za dnia ją ukrywali, a czytali w nocy. W jakimś obozie na Północnym Uralu dano jej oprawę z metalowych płytek, żeby się tak prędko nie zniszczyła.

Co tu gadać o zekach, skoro na całe otoczenie obozów rozciągnął się już ten niemy, lecz wszystkich obowiązujący zakaz! Na stacji Wis (Północna Kolej Żelazna) *wolna* obywatelka Maria Asiejewa napiała do „Literaturnej Gaziety" list z pozytywną oceną mojej opowieści. Zdążyła go już wrzucić do skrzynki pocztowej, czy może zostawiła nieopatrznie na stole — dość, że po pięciu zaledwie godzinach sekretarz organizacji partyjnej W. G. Szy-szkin oskarżył ją o prowokację polityczną (jakich to słów zaraz używają!) — po czym *aresztowano* ją natychmiast[25].

W tyraspolskiej Kolonii Karno-Poprawczej Nr 2 rzeźbiarz, zek G. Nie-dow, ulepił z plasteliny w swojej pracowni (był na funkcji) figurkę więźnia. Naczelnik działu dyscyplinarnego kapitan Sołodiankin zobaczył ją i zawołał: „To ty więźnia lepisz? Kto ci pozwolił? To *kontrrewolucja!"*. Schwycił figurkę za nogi, rozdarł ją na pół i cisnął na podłogę: „Naczytał się jakichś Iwanowów Denisowiczów!". (Ale nie rozdeptał, więc Niedow mógł połówki schować). Na żądanie Sołodiankina Niedow został wezwany do komendanta obozu Bakiejewa, ale zdążył tymczasem zdobyć w świetlicy parę gazet. — „Oddamy cię pod sąd! Podjudzasz ludzi przeciw władzy sowieckiej!" — zagrzmiał Bakiejew. (A rozumieją, rozumieją jakie wrażenie robi wizerunek zeka!...). — „Przepraszam, obywatelu naczelniku, ale spójrzcie, co mówi towarzysz Chruszczow... Albo towarzysz Iljiczew...". — „Ależ on tu z nami gada jak równy z równym!" — powiedział Bakiejew ze zgrozą.

*″ Dotąd nie wiem, czym się ta historia skończyła.

450

Musiało minąć pół roku, by Niedow ośmielił się znów wydostać te swoje połówki, posklejać je, odlać w babbicie i przesłać figurkę poza żonę przez znajomego wolniaka.

Zaczęto szukać książki po całej kolonii. W żonie mieszkalnej urządzono kipisz generalny. Nic nie znaleziono. Niedow postanowił spłatać im nawet figla. Z książczyną Tewekeliana *Granitu nie da się stopić* wlazł na pryczę, zasłonił ją od reszty sypialni (w obecności kapusiów poprosił przyjaciół, aby mu pomogli), ale tak, że przez okno wszystko było widać. Nakapano na niego natychmiast. Wbiegło trzech

nadzorców (a czwarty stał na zewnątrz i patrzył w okno, komu też Niedow przekaże tomik). Wyrwali książeczkę! Odwieźli na odwach, schowali do kasy pancernej. Nadzorca Czyżyk wziął się pod boki, trzymając w prawicy ogromny pęk kluczy: — „Książkę już mamy! A jutro tobie włożymy manele!". Ale rano oficer przejrzał książkę: — „Ech, durnie!... Możecie mu to oddać".

Tak czytać musieli więźniowie książkę „popieraną przez partię i rząd".

W deklaracji rządu sowieckiego z grudnia 1964 roku czytamy: „W żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach sprawcy potwornych zbrodni nie powinni ujść zasłużonej kary... Bestialstwa faszystowskich morderców, którzy dążyli do wytrzebienia całych narodów, nie mają sobie równych w całych dziejach".

Napisane to było po to, by nie pozwolić na zastosowanie w Republice Federalnej Niemiec zasady przedawnienia po upływie dwudziestu lat od chwili dokonania przestępstwa.

Jedynie s a m y c h s i e b i e jakoś nie bardzo chce się pod sąd oddawać, chociaż „dążyli do wytrzebienia całych narodów".

Wiele u nas publikuje się artykułów o tym, jak ważną jest rzeczą, by zachodnioniemieckich zbrodniarzy spotkała kara. Istnieją nawet specjaliści od takich artykułów: jakąż to zaprawę moralną musieli przejść hitlerowcy, aby morderstwa masowe im samym zaczęły się wydawać rzeczą naturalną i etyczną? Teraz zaś ich prawodawcy bronią się twierdząc, że to przecież nie oni byli wykonawcami wyroków! Wykonawcy zaś utrzymują, że przecież to nie oni wydawali prawa!

Jak dobrze to znamy... Dopiero co przeczytaliśmy w listach naszych Praktyków: „Traktowanie więźniów w obozie jest tylko następstwem wyroku sądowego... Straż nie wiedziała, za co kto siedzi".

To trzeba było się *dowiedzieć,* jeśli jesteście ludźmi! Dlatego właśnie jesteście łajdakami, że nie mieliście ani ludzkiego, ani obywatelskiego sto-

451

sunku do ludzi, których dozorowaliście! Czy to hitlerowcy nie mieli swoich *instrukcji! Czy* hitlerowcy nie byli przekonani, że ratują w ten sposób rasę aryjską?

Ale nasi panowie śledczy nie omieszkają (już to robią) odpowiedzieć bez zająknienia: a czemu to więźniowie sami się oskarżali o najgorsze zbrodnie? Trzeba było, uważacie, opierać się dzielniej, kiedyśmy ich torturowali! A dlaczego szpicle składali nam fałszywe donosy? Przecież opieraliśmy się na nich, jako na zeznaniach świadków!

Była taka krótka chwila, gdy ogarnął ich niepokój. Wspomniany tu już W.N. Iljin (były generał lejtnant MGB) tak się wyraził, gdy generał Gor-batow w swoich wspomnieniach napomknął o śledczym Stołbunowskim, który go badał: „Ajaj, jak to nieładnie! Przecież teraz Stołbunowski będzie miał przykrości. A jest na takiej przyzwoitej rencie!". — Właśnie dlatego chwyciła za pióro A. F. Zacharowa —

przelękła się, że wkrótce im wszystkim dobiorą się do skóry; i oto co napisała z gorącą sympatią o kapitanie Lichoszerstowie, którego „oczernił" Diaków: „dalej jest kapitanem, sekretarzem organizacji partyjnej (!) *pracuje gorliwie* w państwowym gospodarstwie rolnym. I wyobraźcie sobie z jak ciężkim sercem przystępuje teraz do pracy, kiedy takie rzeczy o nim się pisze! Chodzą wieści, że wypadek Lichoszerstowa ma być rozpatrywany, a jego samego — omal czy nie chcą pociągnąć do odpowiedzialności[26]. Ależ *za co?!* Pół biedy jeśli to tylko plotki, ale przecież nie wykluczone, że komuś przyjdzie to do głowy na serio. To już wywoła prawdziwe oburzenie wśród pracowników sił bezpieczeństwa. Pociągnąć do odpowiedzialności za to, że człowiek *wykonywał wszystkie zlecenia zwierzchników?* A teraz ma świecić oczyma za tych, którzy mu te zlecenia dawali? A to dobre! Zwrotniczy winien!".

Ale panice szybko położono kres. Nie, nikt nie będzie *odpowiadał.* Nie będzie się *rozpatrywać* niczego.

Może jeszcze gdzieś tam trochę obetną etaty, ale wystarczy przeczekać — i to też wróci do normy! A chwilowo — gebiści, co jeszcze muszą poczekać na rentę, albo ci, co lubią dorobić sobie na boku — poczuli wolę Bożą: jęli bawić się w pisarzy, dziennikarzy, lektorów (tematy antyreligij-ne), działaczy frontu ideologicznego albo i w dyrektorów rozmaitych przedsiębiorstw. Zmienili rękawiczki, ale dalej chcą nami powozić. To ludzie pewni. (A kto chce przejść na rentę — niech se używa! Na przykład taki podpułkownik w st.sp. Churdenko. Podpułkownik, to jest dopiero szarża! — pewno dowodził co najmniej batalionem? Gdzie tam, w 1938

[26] **Nie dopuszcza nawet myśli, żeby mieli go „sądzić" — to słowo nie przejdzie jej przez gardło.**

452

zaczynał jako zwykły klucznik, trzymał gumową rurę przy sztucznym odżywianiu więźniów).

A tymczasem w archiwach przegląda się bez pośpiechu i niszczy wszystkie niemiłe, a zbędne dokumenty: spisy skazanych na rozstrzelanie, zlecenia na osadzanie w SZIZO i BUR-ach, materiały obozowych dochodzeń wewnętrznych, donosy konfidentów, niektóre dane o Praktykach i konwojentach. Zresztą — nawet w lazarecie czy w księgowości znajdą się takie niepotrzebne papierki, takie ślady.

> *... Do tej uczty razem z wami zasiądziemy — Ci, co byli solą w oku warn za życia. Dziś już każdy z nas jest martwy, cichy, niemy — Ale martwych jeszcze więcej się boicie.*

(Wiktoria G. z Kołymy).

Spytajmy nieśmiało: a prawda to, że wszyscy byli tylko i wyłącznie zwrotniczymi? A jak tam ze Służbą Ruchu? A *wyżej,* nad tymi wszystkimi klucznikami, praktykami i śledczymi? Ci, co to tylko wskazującym paluszkiem ruszali? Albo parę słów rzucali z trybuny?...

A no, jak to tam było? — „sprawy potwornych zbrodni... w żadnych

okolicznościach... zasłużonej kary... nie mają sobie równych w całych dziejach... którzy dążyli do wytrzebienia całych narodów...".

Cyt! cyt! Bo przecież w sierpniu 1965 roku z trybuny Narady Ideologicznej (była to zamknięta sesja w sprawie Rządu Dusz) właśnie dlatego rzucona została taka myśl: „Już czas przywrócić do praw pożyteczny i pełen słuszności termin-— *wróg luduF*

II

## WŁADCY ZMIENIAJĄ SIĘ, ARCHIPELAG TRWA

Wolno sądzić, że Specobozy należały do tych późnych płodów jego geniuszu, z których Stalin najbardziej był dumny. Po tylu eksperymentach w dziedzinie wychowania i represji wykluł się wreszcie ów twór dojrzały i doskonały: ta ujednolicona, ponumerowana, posegregowana i obwarowana oschłymi rygorami organizacja, psychologicznie już odseparowana od ciała macierzy, posiadająca wejście, ale nie dająca żadnych możliwości wyjścia, pochłaniająca tylko wrogów, a wydzielająca jedynie owoce procesów wytwórczych i trupy. Trudno sobie nawet wyobrazić ten ból zawiedzionego twórcy, jakiego doznałby Jasnowidzący nasz Budowniczy, gdyby stał się świadkiem bankructwa również tego swojego wspaniałego dzieła. Już za jego życia zatrząsł się ów system, pootwierały się w nim zionące ogniem szczeliny — ale zapewne nikt mu o tym z ostrożności nie meldował. System Specobozów — z początku niewzruszony, nieruchawy, wszechstronnie zabezpieczony — przeszedł w stan lawy wulkanicznej. Gdyby Koryfeusz pożył sobie jeszcze roczek-dwa nie można by zataić przed nim tych eksplozji i jego znużony, starczy umysł musiałby dźwigać ciężar jeszcze jednego wyboru: wyrzec się ulubionego konceptu i znowu przemieszać obozy, albo też przeciwnie — doprowadzić rzecz do końca przez systematyczne wystrzelanie wszystkich numerowanych tysięcy.

Ale Myśliciel zmarł przedwcześnie, żegnany chóralnym łkaniem. Umierając zaś, pociągnął za sobą ostygłą już ręką swego rumianego, pełnego jeszcze sił i woli towarzysza walki — ministra owych najważniejszych, zawiłych, nierozwikłanych spraw wewnętrznych.

454

Upadek Szefa Archipelagu dramatycznie przyśpieszył rozkład Specobozów. (Był to błąd historyczny nie do naprawienia! Jak można było tak wypatroszyć ministra spraw intymnych? Jak można było tak ochlapać dziegciem błękitne wyłogi?!).

Największe odkrycie ciupologii XX wieku — numerowane łaty — zostały pośpiesznie odprute, wyrzucone i zapomniane! Już to jedno sprawiło, że Specobozy utraciły swoją surową jednolitość. Ale nie dość na tym, kraty z okien i kłódki z drzwi do baraków też zdjęto, przez co Specobozy zatraciły owe sympatyczne cechy więzienne, które różniły je od zwykłych ITŁ. (Co do krat — to na pewno zdjęto je

zbyt pochopnie! — ale też nie sposób było czekać; takie czasy, trzeba było czym prędzej się odciąć!). Kamienny BUR w Ekibastuzie, który oparł się atakom buntowników
—teraz rozwalono zupełnie oficjalnie. A szkoda[1]... Ba, ni stąd, ni zowąd puszczono wolno ze Specobozów wszystkich Austriaków, Węgrów, Pola ków, Rumunów, bez względu na ich ponure zbrodnie i 15- czy 25- letnie wyroki — podkopując w ten sposób w oczach więźniów powagę samej instytucji kary. Skasowane zostały ograniczenia korespondencji, jedynie dzięki którym mieszkańcy Specobozów czuli się jak istoty naprawdę żyw cem pogrzebane. I zezwolono nawet na widzenia! — aż strach to słowo wymówić: widzenia!... (I nawet w buntowniczym Kengirze zaczęto budo wać dla widzeń i wizyt malutkie domki). Pozbawiony już wszelkich skru pułów liberalizm tak zamulił niedawne Obozy Specjalne, że więźniom prze stano golić łby (i aluminiowe miski zaczęły znikać z kuchni, bo wyrabiano z nich grzebyki). A tubylcom — zamiast papierowych kont w księgowości i bonów — pozwolili trzymać w ręku ogólnoparistwowe pieniądze i płacić nimi, jakby byli ludźmi spoza żony.

Lekkomyślnie i głupio rujnowali więc system, który im samym dawał papu — system, który tkali, dziergali i wzmacniali węzłami przez całe dziesięciolecia!

A czy ci zatwardziali przestępcy choć trochę zmienili się na lepsze, widząc tyle przykładów łagodności? Bynajmniej! Wręcz przeciwnie! Dając tym dowód swojego zapsucia i niewdzięczności nauczyli się powtarzać ar-cyniesłuszne, krzywdzące i bezmyślne słowo „beriowcy" — i teraz, ledwo im coś nie przypadło do smaku, wykrzykiwali je pod adresem sumiennych konwojentów, cierpliwych nadzorców i troskliwych swoich opiekunów

- naczelników obozu. Nie dość, że raniło to serca Praktykom, ale ponadto
- zaraz po upadku Berii, było to nawet niebezpieczne, bo mogło być przez

kogoś wykorzystane jako punkt wyjścia dla dochodzeń i oskarżeń.

-' Bo odebrano nam możliwość otwarcia tam muzeum.

455

Dlatego to komendant jednego z podobozów kengirskich (już oczyszczonego z rebeliantów i goszczącego dziś zeków, przeniesionych z Ekibas-tuza) musiał z trybuny zwrócić się do zeków z takim apelem: „Chłopaki! (uznano za dopuszczalne, by na czas krótki — od 54. do 56. roku wszedł w użycie ten sposób zwracania się do więźniów) — ubliżacie nadzorcom i konwojentom wykrzykując to przezwisko — „beriowcy"! Proszę, abyście tego zaprzestali". Maleńki W.G. Własow tak mu odparł: „Wy tu macie pretensję o tę parę miesięcy. A ja od waszych strażników już od 18 lat jedno tylko słyszę: „faszysta". Myślicie, że dla nas to nie obraza?". Więc major obiecał *zakazać* wymyślania więźniom od faszystów. Figur za figur.

Po wszystkich tych destrukcyjnych i fatalnych w skutki reformach — można uważać historię Specobozów za rozdział zamknięty (w 1954 roku) i potem nie

czynić już różnicy między nimi a obozami ITŁ.

Na całym obszarze rozbebeszonego Archipelagu w latach 1954—1956 wiały łagodne wiatry; była to era nieznanych dotąd aktów tolerancji, okres największej może swobody w dziejach tej instytucji, jeśli nie liczyć „dom-zaków"*, istniejących w połowie lat 20.

Jedna instrukcja po drugiej, jeden inspektor po drugim! A wszystko toto ze skóry wyłazi, żeby jeszcze bardziej rozplenić w obozach liberalizm. Wycofano kobiety z robót przy wyrębie lasu! — tak jest, uznano, że te roboty są rzekomo za ciężkie dla bab (chociaż przez trzydzieści długich lat nazbierało się dość dowodów, że wcale nie są za ciężkie). — Przywrócono zasadę zwolnienia przedterminowego dla tych, co odsiedzieli już dwie trzecie kary. — We wszystkich obozach zaczęto wypłacać więźniom zarobki i wiara ruszyła całą hurmą do kantyn, a nie wprowadzono tu żadnych rozumnych ograniczeń dyscyplinarnych, bo też co za dyscyplina może być, jeśli tylu jest zwolnionych spod straży i każdy jeden może sobie kupić w osiedlu? — Zainstalowano głośniki radiowe we wszystkich barakach, zawalono je gazetami, gazetkami ściennymi, wyznaczono agitatorów dla każdej brygady. Przyjeżdżali towarzysze lektorzy (pułkownicy!) i mieli dla zeków odczyty na różne tematy — nawet o wypaczaniu historycznej prawdy w powieściach Aleksego Tołstoja, ale nie tak łatwo było kierownictwu zapewnić frekwencję: pałkami zaganiać nie wolno, trzeba stosować okrężne metody perswazji. A jak już się zebrali, to gadali o swoich sprawach i nie słuchali, co mówi lektor. — Pozwolili więźniom na subskrypcję pożyczki państwowej, ale nikt, prócz prawowiernych, jakoś się tym nie wzruszył i wychowawcy musieli po prostu ciągnąć za rękaw faceta do wyłożonej

Dosłownie: dom więźnia, otwarte zakłady wychowawczo-karne dla przestępców pospolitych.

456

listy, żeby wycisnąć z niego jakiegoś dziesiątaka (teraz to jeden rubel). — Przy niedzieli zaczęto urządzać przedstawienia dla obu zon naraz: męskiej i kobiecej; tu już walili drzwiami i oknami, nawet krawaty kupowali sobie w kantynie.

Ze skarbca nagromadzonych niegdyś na Archipelagu doświadczeń wydobyto teraz niejedno — na przykład twórczość amatorską i ten duch zapału, który panował za czasów wielkich Kanałów. Ot, powołane zostały Rady Aktywu z sektorami: oświaty zawodowej, kultury, spraw bytowych (całkiem jak w miejscowych komitetach przedsiębiorstw); miały one przede wszystkim walczyć o wydajność pracy i o dyscyplinę. Znów powstały sądy koleżeńskie, które miały prawo do dawania nagan i składania wniosków o zaostrzenie reżymu oraz o nieudzielanie przedterminowego zwolnienia.

Te metody bardzo się niegdyś przydawały Kierownictwu — ale to było w obozach, które nie przeszły jeszcze speczaprawy, nie wiedziały nic o s z a t k o w a n i u i o buntach. A teraz — proszę bardzo: pierwszego

przewodniczącego takiej rady (w Kengirze) z punktu zarżnięto, drugiego pobito — i nikt nie chciał już należeć do Rady Aktywu. (Komandor-pod-porucznik Burkowski brał udział w pracach Rady Aktywu i to świadomie, dla zasady — ale w sposób bardzo ostrożny: wciąż grożono mu, że posmakuje noża; chodził on na zebrania banderowskiej brygady, by wysłuchać krytyki swojego postępowania).

A bezlitosne ciosy liberalizmu wciąż podcinały i podcinały system obozów. Zorganizowane zostały „podobozy o reżymie złagodzonym" (również w Kengirze było coś takiego!): właściwie w żonie tylko się spało, bo do pracy chodziło się bez konwoju, dowolną trasą i o dowolnej porze (każdy starał się wyjść jak najwcześniej i wrócić jak najpóźniej). W niedzielę zaś jedna trzecia zeków brała przepustki do miasta przed obiadem, druga — po obiedzie i tylko trzecia część pozbawiona była spaceru[2].

Niech więc czytelnik wyobrazi sobie, że jest w sytuacji kogoś z zarządu obozu i niech sam powie: czy można w takich warunkach *pracować!* i czy można liczyć na jakiekolwiek efekty pracy?

Pewien oficer MWD, mój towarzysz podróży koleją przez Syberię w 1962 roku takimi słowy scharakteryzował epokę, która w życiu obozów zaczęła się w 1954 roku: „Kompletne rozpanoszenie! Kto nie chciał ten mógł sobie wcale nie chodzić do pracy. Kupowali sobie telewizory za swoje

[2] Nie znaczy to, że wszędzie było tak dobrze. Istniały dalej karne obozy, jak na przykład „wszechzwiązkowy karniak" Andzioba pod Bratskiem — gdzie dalej działa! krwawy kapitan Miszyn z Ozierłagu. Latem 1955 roku siedziało tam karnie 400 zeków (w ich liczbie Tenno). Ale tam również gospodarzami żony stali się nie nadzorcy, lecz więźniowie.

457

pieniądze[3]". Bardzo ponure wspomnienia zostały mu z tych lat, na szczęście krótkich.

Bo przecież nie może być dobrze, jeżeli wychowawca musi stać przed więźniem jak jakiś petent, nie mając na swoje poparcie ani nahajki, ani BUR-a, ani skali głodowych porcji!

Ale jakby jeszcze mało było tego wszystkiego — dano Archipelagowi potężnego dubla taranem tzw. systemu *ekstrazonowego:* aresztanci mogli w ogóle mieszkać poza żoną, mogli zakładać sobie rodziny i wynajmować mieszkania, pobory płacono im jak wolnym, to jest bez potrąceń (na żonę, na konwój, na administrację obozu) a ich kontakt z obozem do tego się sprowadzał, że raz na dwa tygodnie musieli się w nim meldować.

To już był koniec!... Koniec świata albo koniec Archipelagu, a może ich obu razem! — a pisma prawnicze wychwalały jeszcze ten system jako najbardziej humanitarną i postępową zdobycz ustroju komunistycznego[4].

Po tylu ciosach, zdawało się, że nic innego nie pozostaje, jak tylko rozpuścić wszystkie obozy — i tyle. Zrujnować wielki Archipelag, zrujnować, rozproszyć, zbić do reszty z pantałyku setki tysięcy *praktyków z* ich żonami, dziećmi i chudobą,

przekreślić ich wieloletnie zasługi, ich doświadczenie, ich nienaganną służbę!

I na dobrą sprawę —już to się zaczęło: zaczęły przyjeżdżać jakieś „Komisje Rady Najwyższej", aby rozładować obozy i wyłączając z gry kadrę kierowniczą zasiadały w baraku sztabowym wypisując nakazy zwolnień z taką samą łatwością i dezynwolturą, jakby to były nakazy aresztowania.

Nad całą korporacją Praktyków zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Trzeba było działać! Trzeba było *walczyć!*

W ZSSR istnieją tylko dwa warianty interpretacji każdego ważnego wydarzenia publicznego: może być ono albo przemilczane, albo przedstawione opinii w sposób kłamliwy. Nie potrafię wymienić ani jednego poważniejszego wydarzenia, któremu oszczędzono by tego losu.

Dotyczy to również Archipelagu, samego faktu jego istnienia: przeważnie bywał on przemilczany, gdy zaś cokolwiek o nim już pisano — ucieka-

[J] Skoro nie pracowali — to skąd te pieniądze? Jeśli to było na Północy, a nadto w 55. roku, to skąd telewizory? No, ale nie dyskutowałem z nim, rad byłem posłuchać do końca.

[4] Przypomnijmy, że było to już opisane (razem z odliczaniem od kary — w podwójnym wymiarze — dniówek roboczych, oraz z „przedterminowym zwolnieniem warunkowym") jeszcze przez Czechowa w *Sachalinie:* katorżnicy okazujący chęć poprawy mieli prawo do budowania domów i zawierania małżeństw.



no się do łgarstw. Na przykład w okresie budowy wielkich Kanałów. Dotyczy to również Komisji, które w 1956 roku przyjechały, by obozy rozładować.

Ale co do tych komisji, to nawet bez gazeciarskich zmyśleń i bez przymusu my sami przykładaliśmy rękę do tych sentymentalnych kłamstewek. Bo też — czy mogliśmy nie poddać się rozczuleniu? Toć przyzwyczailiśmy się do tego, że nawet adwokat nas atakuje, a tu prokurator przyjechał, aby nas bronić! Stęskniliśmy się za wolnością, czujemy że tam, na swobodzie, zaczyna się jakieś nowe życie — poznać to nawet po zmianach w samym obozie — i nagle cudotwórcza, obdarzona pełnią władzy komisja, po pię-cio- dziesięciominutowej rozmowie z więźniem wręcza mu bilet kolejowy i dowód osobisty (niektórym nawet z prawem pobytu w Moskwie i odpowiednią pieczątką)! A cóż prócz hymnów dziękczynnych może wyrwać się z naszej zapadłej, wiecznie przeziębionej, ochrypłej więźniarskiej piersi?

Ale jeśli na chwilę wznieść się ponad nasz radosny dygot, z jakim biegniemy, by szybko wepchnąć kupkę naszych łachów do plecaka — to czy taki powinien był być finał całego stalinowskiego łajdactwa? Czy nie powinna była ta komisja stanąć przed więźniami, na placu, zdjąć czapki i powiedzieć:

— Bracia, przysłała nas tu Rada Najwyższa, aby prosić was o przebaczenie. Przez

całe lata i dziesięciolecia cierpieliście tu niezawinione katusze, my zaś zbieraliśmy się we wspaniałych salach pod kryształowymi żyrandolami i nie wspomnieliśmy was ani razu. Potulnie sankcjonowaliśmy wszystkie okrutne rozkazy Ludożercy, jesteśmy współodpowiedzialni więc za jego zbrodnie. Jeśli możecie — przyjmijcie te słowa spóźnionej skruchy. Wrota są otwarte i jesteście wolni. Patrzcie, tam lądują samoloty z lekarstwami, żywnością i ciepłą odzieżą dla was. Przylecieli też lekarze.

I tu i tam chodzi o wyjście na swobodę, ale różnie ono wygląda i różny w obu wypadkach jest jego sens. Komisja — to jedynie sumienny stróż, który kroczy z miotłą w ręku i starannie zamiata stalinowskie rzygowiny, oto wszystko. Nie ma tu mowy o żadnym zakładaniu nowych fundamentów moralnych życia społecznego.

Przytaczam tu dalej relację A. Skrypnikowej, z którą zupełnie się zgadzam. Więźniowie pojedynczo (więc znowu w rozproszeniu) wzywani są do gabinetu przed oblicze komisji. Kilka pytań dotyczących powodów aresztowania i samej sprawy sądowej. Pytania zadawane są życzliwym tonem, bardzo uprzejmie, ale ich tendencją jest, aby więzień *uznał swoją winę* (nie Najwyższy Sowiet, tylko znów nieszczęsny więzień!). Spodziewają się po nim, że pomilczy chwilę ze spuszczoną głową, że zachowa się jak ten, komu się wybacza, a nie ktoś, kto przebaczył innym! A więc w istocie, kusząc go

459

wolnością, chcą z niego wydobyć teraz to, czego nie mogli niegdyś wyrwać nawet torturami. Po co im to? A to jednak ważne: powinien wrócić na wolność jako istota potulna! A jednocześnie — Historia taki wniosek wyciągnie z protokołów komisji, że siedzieli w zasadzie ludzie naprawdę winni, że trudno w tych warunkach mówić o jakimś szczególnym okrucieństwie i bezprawiu, że to przesada. (Być może była w tym również pewna kalkulacja handlowa: nie będzie rehabilitacji — to nie będzie też odszkodowania[5]). *Taka* interpretacja problemu zwalniania więźniów nie naruszała samej zasady istnienia obozów i nie przeszkadzała dopływowi *nowych kontyngentów* (dopływ ten nie ustawał nawet w latach 1956-1957), a nadto nie zobowiązywała władz do stosowania takiej samej polityki zwolnień w przyszłości.

No, a ci, którym niepojęta duma kazała odmówić przyznania się do winy? Ci *siedzieli dalej*. Nie było ich wcale tak mało. (Kobiety, które w 1956 roku, w Dubrowłagu nie okazały przed komisją skruchy, wysłane zostały do obozu w Kemerowie).

Skrypnikowa opowiada o takim wypadku: pewna Ukrainka spod Lwowa dostała 10 lat za męża — banderowca; zażądano od niej teraz, aby przyznała, że siedzi przez męża — *bandytę*. — *Ni, ne skażu*. — Ależ powiedz, wyjdziesz na swobodę! — *Ni, ne skażu. Win ne bandyt, win OUNi-weć*. — „No, jak nie chcesz, to siedź dalej!". (Przewodniczący komisji nazywał się Sołowiow).

Minęło zaledwie kilka dni i przyjechał do niej na widzenie mąż,

wracający z Północy. Wyrok jego opiewał na 25 lat, przed komisją z łatwością zgodził się na tytuł bandyty i został ułaskawiony. Wcale nie docenił postawy swojej żony i zasypał ją wyrzutami: — Toć mogłaś powiedzieć nawet, że jestem diabłem, że mam ogon, *szczo kopyta u mene baczyła!* Jak sobie teraz dam radę z gospodarstwem i z dziećmi?!

Przypomnijmy, że Skrypnikowa nie chciała uznać się za winną i została w obozie jeszcze na trzy lata.

Tak więc — nawet era wolności zawitała na Archipelag w prokuratorskiej todze.

A jednak przestrach jaki ogarnął naszych Praktyków nie był bezpodstawny: niebywała konstelacja dobrych gwiazd zapaliła się na niebie Ar-

[5] **Mówiąc nawiasem, w początkach 1955 roku wysunięto projekt wypłaty odszkodowań za wszystkie odsiedziane lata. Byłoby to zupełnie naturalne i w krajach Europy Wschodniej tę zasadę stosowano. Ale nie przy takiej ilości ludzi i takiej ilości odsiedzianych lat! Podsumowali rachunek, złapali się za głowę — „zrujnujemy państwo!" i skończyło się na dwumiesięcznym odszkodowaniu.**



**i**

chipelagu w latach 1955-56. Były to lata feralne dla tego systemu i mogły stać się jego latami ostatnimi.

Gdyby ludzie mający w ręku pełnię władzy i dysponujący pełnią informacji o swoim kraju przejęli się ponadto — no, choćby tylko zasadami własnej Teorii i wniknęli w nie głębiej, ale bezkompromisowo, bezinteresownie, nie zostawiając żadnego marginesu dla własnych ambicji — to kiedyż, jeśli nie w tych właśnie latach powinni byli rozejrzeć się dookoła, poczuć zgrozę i zapłakać z żalu? Bo któż ich wpuści do „królestwa komunizmu" z tym krwawym worem na grzbiecie? Przecież sączy się z niego, przecież już całe plecy w szkarłatnych plamach! Politycznych wypuszczono

—a miliony *pospolitaków* kto rozplenił, skąd się wzięły? Czy nie wpłynęły na to określone stosunki produkcji? Czy aby nie *środowisko?* Czy nie my sami? A może i *wy?*

Skoro tak, to trzeba było do stu diabłów posłać program kosmiczny! Nie troszczyć się chwilowo o flotę Soekarno i gwardię Kwame Nkrumaha. Siąść by już raczej i zacząć skrobać się w kark: co mamy ze sobą począć? Czemu to nasze najlepsze w

świecie prawa odrzucane są przez miliony naszych współobywateli? Co każe im pchać kark pod to mordercze jarzmo za te druty? — a im to jarzmo cięższe, tym tłumniej się pchają? Co zrobić, aby ten potok wysechł? A może nam innych praw trzeba? (A tu zaraz trzeba by sobie przypomnieć i naszą *szkolę* zadręczoną, i *wieś* naszą zaniedbaną, i wiele takich spraw, które mają wspólne imię: *niesprawiedliwość*, bez żadnych klasowych kategorii). A jak tu przywrócić krajowi tych, co już trafili za druty? — nie szerokim, a tanim gestem woroszylowskiej amnestii, ale pochylając się z troską serdeczną nad każdym z tych powalonych, nad jego *sprawą* i nad własnym jego losem.

No, a czy skończyć z Archipelagiem trzeba, czy nie trzeba? Czy może ma już tak trwać po wiek wieków? Czterdzieści lat gnił w naszym ciele — może dosyć tego?

Okazuje się, że nie! Nie dosyć tego! Jakoś się nie chce wysilić zwojów mózgowych, a w duszy też całkiem głucho. Niech tam Archipelag zostanie sobie na dalsze czterdzieści lat, a my zajmijmy się tamą Assuańską i dziełem zjednoczenia Arabów!

Za 10-letniego panowania Nikity Chruszczowa przestały niejako działać pewne prawa fizyczne, do których już przyzwyczailiśmy się, a ciała cudownym sposobem jęły poruszać się wbrew siłom pola i wbrew sile ciążenia; otóż historycy, którzy tym okresem się zajmą, na pewno zdumieją się, widząc ile możliwości zbiegło się na krótki czas w tych rękach i jak szansę te wykorzystywane były jakby tylko dla zabawy — dla kawału, a potem
—beztrosko rzucane na łaskę losu. Rozporządzając największą po Stalinie

461
siłą w naszych dziejach —już osłabioną, lecz wciąż ogromną — używał jej jak ów niedźwiedź Miszka z baśni Kryłowa, co to na leśnej polanie przetaczał kloc bez żadnego celu. Było mu dane trzykroć, pięciokroć śmielej i dalej pchnąć naprzód dzieło wyzwolenia w naszym kraju — on zaś porzucił je w połowie, nie rozumiejąc własnych zadań, porzucił dla kosmosu, dla kukurydzy, dla kubańskich rakiet, berlińskich ultimatów, dla nagonki na cerkiew, dla podziału komitetów partyjnych, dla walki z abstrakcjami.

Niczego i nigdy nie doprowadził do końca, przede wszystkim zaś — akcji poszerzenia obszaru wolności. Ktoś chciał poszczuć go na inteligencję? — nic prostszego. Trzeba było jego rękoma, tymi samymi rękoma, które zburzyły stalinowskie obozy — obozy te znów umocnić? — załatwiono to bez trudu! I to *kiedy?*

W roku 1956, roku XX Zjazdu —już wydane były pierwsze zarządzenia zmierzające do zaostrzenia reżymu w obozach! Dalszy ciąg nastąpił w 1957 roku, gdy Chruszczow skupił w swoim ręku całą władzę, nie dzieląc jej z nikim.

Ale korporacja Praktyków nie była zadowolona. Przeczuwając bliskie zwycięstwo, kontratakowała: tak dalej być nie może! System obozów jest opoką, na której cała władza sowiecka się trzyma, a oto go rujnują!

Najważniejsze naciski wywierane były dyskretnie i po cichu — przy stole

bankietowym, w salonie samolotu i w trakcie przejażdżki łódką na daczy, ale niekiedy manifestowały się publicznie — na przykład w przemówieniu B.I. Samsonowa na Sesji Sowietu Najwyższego (grudzień 1958 roku): więźniom dzieje się *za dobrze,* są zadowoleni (!) z wiktu (a powinni wszak być wciąż niezadowoleni...), obchodzą się z nimi *zbyt łagodnie.* (I w tym parlamencie, który nie poczuł skruchy za dawne swoje winy, nikt z Samsono-wem nie polemizował, to jasne). Albo w artykule o *Człowieku za kratą* (1960 rok).

I oto — poddając się tym naciskom, nie wnikając w nie głębiej; nie zastanawiając się, że przecież w ciągu tych 5 lat przestępczość *nie* wzrosła (a gdyby wzrosła, to przyczyn szukać trzeba w wadach ustroju); nie widząc rozdźwięku między tymi nowymi sankcjami a własną szczerą wiarą w bliskie i tryumfalne nadejście komunizmu; nie znając szczegółów sprawy, bo jej się własnym okiem nie przyjrzał — ten car-wędrowniczek lekką ręką podpisał zlecenie na zakup gwoździ, z pomocą których zbito szafot, przy-wracając mu dawną formę i świetność.

I wszystko to zdarzyło się w roku 1961 — właśnie wtedy, gdy Nikita po raz ostatni próbował poderwać do podniebnego lotu wóz swobodny, co ugrzązł w piachu. Właśnie w 1961 roku — roku XXII Zjazdu! — wydany został dekret przewidujący karę śmierci w obozach „za terror wobec współ-

462

więźniów, którzy okazali chęć poprawy (to znaczy — kapusiów) i wobec personelu nadzorującego" (nigdy tego nie było!) — a plenum Sądu Najwyższego (czerwiec 1961 rok) dało sankcję na wprowadzenie *czterech stopni reżymu* w obozach — teraz już nie stalinowskich, tylko chruszczowow-skich.

W chwili gdy Nikita wchodził na trybunę Zjazdu, by znów zaatakować stalinowską, więzienną tyranię — jego własny system był już — z jego pochopnego błogosławieństwa — wyposażony we wcale nie gorsze mechanizmy. I wydawało mu się, że to wszystko da się pogodzić ze sobą, że mieści się w jego koncepcji!

Dzisiejsze obozy — to właśnie te obozy, które partia zaaprobowała przed XXII Zjazdem. Nic się nie zmieniły.

Od obozów stalinowskich różnią się nie reżymem lecz składem społecznym: nie ma już wielomilionowej warstwy skazanych z artykułu 58. Ale dalej siedzą miliony bezradnych ofiar niesprawiedliwości sądowej: zapędzono je tu tylko po to, by dać żer systemowi, by się on nie zachwiał.

Władcy się zmieniają, Archipelag trwa dalej.

Dlatego trwa dalej, że *ten* system państwowy nie mógłby istnieć bez niego. Gdyby skasował Archipelag, to sam nie mógłby dalej *trwać.*

Nie ma historii, które można by opowiadać bez końca; zawsze trzeba gdzieś postawić kropkę. W miarę naszych niewystarczających sił i na skromnej podstawie informacji, jakie mieliśmy do rozporządzenia — zbadaliśmy historię Archipelagu od szkarłatnych salw towarzyszących jego narodzinom, aż do różowych oparów

rehabilitacji. Opis okresu sławetnych ulg i zamętu w przededniu nowego zaostrzenia reżymu i przed wprowadzeniem w życie nowego kodeksu — jest na dobrą sprawę zamknięciem tej naszej kroniki. Znajdą się inni kronikarze — ci, którzy, na swoje nieszczęście, lepiej od nas znają obozy z czasów Chruszczowa i z okresu późniejszego.

Ba, już się znaleźli: są to S. Karawański[6] i Anatol Marczenko[7]. I pojawi się ich jeszcze całe mnóstwo, bowiem prędko, bardzo prędko nadejdze w Rosji epoka jawności!

Przy lekturze książki Marczenki nawet zahartowane serce starego zeka ściska się z bólu i uczucia zgrozy. Opisane jest w niej więzienie jeszcze Doskonalszego Typu, nie idzie z nim w paragon to, które opisywali moi

[6] S. Karawański, *Chodatajstwo,* Samizdat, 1966.
[7] A. Marczenko, *Moi pokazania,* Samizdat, 1967.

463

korespondenci. Dowiadujemy się, że Róg, ów drugi Grot więziennych wideł (patrz część I, rozdział 12) jeszcze się zaostrzył, jeszcze boleśniej wbija się w aresztancki kark. Porównując dwa budynki więzienia centralnego we Włodzimierzu — gmach carski i gmach sowiecki — Marczenko bardzo konkretnie nam pokazuje, gdzie kończą się wszelkie analogie z carskim okresem dziejów rosyjskich: carski budynek jest suchy i ciepły, sowiecki

_ wilgotny i zimny *w celi marzną uszy* i nikt nie zdejmuje wierzchniej

kurtki, carskie okna zamurowane są sowieckimi cegłami tak, że tylko czwarta część z nich została — a nie zapominajcie jeszcze o blincach.

Jednakże Marczenko opisuje tylko Dubrowłag, gdzie skonsygnowani są dzisiaj wszyscy polityczni z całego kraju. Do moich rąk dotarły zaś materiały z różnych obozów, gdzie siedzą skazani za wykroczenia pospolite. Jestem dłużnikiem tych, którzy mi te listy pisali i nie powinienem ich treści przemilczeć. W ogóle zaciągnąłem dług moralny u tej kategorii więźniów: niewiele miejsca i uwagi poświęciłem im na całej przestrzeni tej książki.

Tak więc postaram się wyłuszczyć tutaj najważniejsze z tych rzeczy, których dowiedziałem się o stosunkach panujących d z i s i a j w obozach.

Ale o jakich „obozach" tu mowa? *Obozów* już nie ma, oto na czym polega wielka nowość, wprowadzona za czasów Chruszczowa. Pozbyliśmy się wreszcie tego koszmarnego spadku po epoce kultu jednostki! Przezwali wilka baranem i zamiast obozów mamy już teraz... *kolonie* (tu metropolia — tam kolonia, tubylcy mieszkają przecież w koloniach, tak właśnie powinno być, prawda?). Przy tym już nie ma żadnego GUŁagu tylko GUITK (ale uważny czytelnik zapamiętał przecież, że tak już się kiedyś nazywał, wszystko już kiedyś było). Jeśli dodać, że również MWD zniknęło i zamiast niego mamy jedynie MOOP, to trzeba też przyznać, że istnieją wreszcie wszystkie elementy praworządności a zatem nie ma o co się spierać[8].

Otóż latem 1961 wprowadzono następującą gradację obozowego reżymu: *ogólny*

— *obostrzony* — *surowy* — *specjalny* (bez „specjalnego" u nas ani rusz od 1922 roku...). Jaki reżym wyznaczyć skazanemu — decyduje właściwy sąd „w zależności od charakteru i ciężaru przestępstwa, jak również (rzekomo) charakteru samego przestępcy". Ale prościej i krócej: sądy najwyższe odpowiednich republik ułożyły listy artykułów kodeksu karne-

[8] Ciekawe, że instytucja ta, tak często wychwalana publicznie — na mocy jakiegoś wewnętrznego impulsu nie może długo wytrzymać w skórze tej samej nazwy, ciągle ją coś kusi,-aby zmienić tę skórę. W ten sposób mamy w ZSSR MOOP (= Ministierstwo Ochrany Obszczestwiennogo Poriadka, czyli ministerstwo ochrony porządku publicznego). Wydaje się, że to coś nowego, brzmi jakoś świeżo, prawda? Ale perfidny nasz język wyprowadził projektodawców w pole. Wyszło na to, że to ministerstwo *ochrony,* czyn' dawna ochranka! Co za fatum!

464

go, z których to list od razu widać kogo dokąd posłać. Dotyczy to tych, którzy mieli być dopiero skazani. A co zrobiono z tymi, których przedzjazdowa reforma zastała na Archipelagu, którzy korzystali z systemu „ekstrazonowe-go", którzy chodzili sobie bez konwoju i podlegali przepisom o złagodzonym reżymie? Zajęły się nimi miejscowe sądy ludowe, posiłkując się wspomnianymi listami (no, może jeszcze opierając się na opiniach miejscowych operów) — i porozsyłano ich do obozów wspomnianych czterech kategorii*.

Jak miło i* wesoło przeżywać takie kołysy na górnym pokładzie — ster — 10 rumbów w lewo! ster — 10 rumbów w prawo! Ale jak znoszą to ludzie w niemej i ciemnej ładowni? Trzy-cztery lata przed tym faktem powiedziano im: zakładajcie rodziny, budujcie domy, postarajcie się o dzieci i w ogóle żyjcie sobie — wszak czujecie już ciepłe promienie wschodzącego nad nami słońca komunizmu! Od tej chwili nic złego człowiek nie zrobił i nagle — ujadanie psów, posępny dwuszereg konwojentów, apel — i już rodzina została w nie dokończonym domu, a faceta zapędzają za jakieś nowe druty.

„Obywatelu naczelniku — a dobre zachowanie się?... Obywatelu naczelniku — a sumienna praca?...". A pies trącał wasze dobre zachowanie, pies was trącał z waszą sumienną pracą!...

Jaka, no jaka choć trochę odpowiedzialna administracja pozwoli sobie na takie skoki i piruety? Może tylko w jakichś całkiem nowych afrykańskich państwach!...

Jaka myśl przyświecała reformie z 1961 roku — serio, a nie na pokaz? (Bo na pokaz było, że chodzi o „stworzenie lepszych warunków dla procesu poprawy"). Wydaje mi się, że taka: pozbawić więźnia wszelkich śladów materialnej i osobistej niezależności, której Praktycy wszak tolerować nie mogą, postawić go w sytuacji, w której każdy ruch palca Praktyka miałby wpływ na stan jego żołądka — to znaczy sprawić, by zek dał sobą kierować bez oporu i z całą potulnością. W tym celu należało: skończyć z masowym zwalnianiem spod straży (pionierzy, ludzie, którzy muszą dziewicze i nie

zamieszkane ziemie zamieniać w uprawne grunta — zwykle robili to bez konwoju, nieprawdaż?), wszystkich zapędzić z powrotem do żony, zredukować wikt podstawowy tak, aby znów stał się niewystarczający i przeciąć wszelkie możliwości dożywiania się: zarobki pieniężne i paczki żywnościowe.

A p a c z k a w obozie — to nie tylko dodatkowa żywność, to zastrzyk otuchy, to radość taka, że ręce się trzęsą: nie zapomniano o tobie, nie jesteś

[9] A jak mógl"być przy tym brany pod uwagę stopień „poprawy" danego przestępcy? A w żaden sposób. Czyśmy to komputery, czy co? Nie można wszystkiego brać pod uwagę!

465

sam, ktoś o tobie myśli! W naszych katorżniczych specobozach mieliśmy prawo do nieograniczonej liczby paczek (ograniczenie ciężaru do 8 kilogramów dotyczyło w ogóle wszelkich przesyłek pocztowych na terenie kraju). Chociaż wcale nie wszyscy i wcale nieregularnie otrzymywali je, ale podwyższało" to nieuchronnie stopę życiową w całym obozie, nie było już takiej morderczej walki o kęs chleba. Teraz zaś wprowadzono również ograniczenie wagi paczek do 5 kilogramów i bardzo surową gradację — nie więcej niż 6, 4, 3, 2 paczki rocznie — w zależności od reżymu: to znaczy, że przy największych luzach w obozie o reżymie ogólnym człowiek mógł raz na dwa miesiące dostać pięciokiłogramową paczkę (licząc już tarę i może jakąś sztukę odzieży), to znaczy mniej niż dwa kilogramy miesięcznie i to wszelkich artykułów żywnościowych łącznie. W obozach o reżymie specjalnym było to zaledwie 600 gramów miesięcznie.

Ale gdyby chociaż na to pozwalali!... Te nędzne paczki otrzymywać mieli prawo tylko ci, którzy odsiedzieli już *więcej niż pól terminu kary* — a nie wolno było mieć żadnych nagan (czyli, że facet musiał przypaść do gustu operowi, wychowawcy, nadzorcy i prosięciu pani nadzorczym!) no i koniecznie — żeby wykonywał 100% planu! i żeby obowiązkowo uczestniczył w „życiu kulturalnym kolonii" (w tych mizernych koncertach, o których pisze Marczenko, w tych przymusowych spartakiadach, gdzie zawodnicy padają na nos z osłabienia; albo gorzej — w imprezach politycznych, wymyślanych przez panów nadzorców).

Taką paczką można się udławić! Za te rzeczy uciułane przez twoich bliskich — żądają od ciebie duszy!

Czytelniku, to nie sen! To już nie historia, nasza kronika jest skończona. To dzieje się dziś, kiedy nasze sklepy żywnościowe pełne już są towarów (przynajmniej w stolicy), kiedy z całym przekonaniem mówisz cudzoziemcom, że nasz naród jest już prawie syty. A naszych ziomków, którzy zbłądzili (a częstokroć są *całkiem niewinni*, toć mogliśmy się wreszcie przekonać jak nieomylny jest nasz aparat sprawiedliwości) starają się nawrócić na drogę cnoty *za pomocą głodu.* Niech śni im się chleb!

Dodajemy, że samowola gospodarzy obozu nie ma żadnych granic, że nie są oni poddani żadnej kontroli. Naiwni krewniacy przysyłają więźniowi otwartą przesyłkę z

gazetami albo lekarstwami — i nawet takie przesyłki zaliczane są do paczek żywnościowych. (Wiele jest takich wypadków, mam relacje z rozmaitych miejscowości. Naczelnik działu dyscypliny występuje w roli robota z fotokomórką: cyk — i jedna sztuka zaliczona. A następna paczka jest już odsyłana z powrotem).

Pilnie się też baczy, aby ani jeden kęs nie został przekazany więźniowi

466

w trakcie widzenia. Nadzorcy uważają za swój punkt honoru, by do tego nie dopuścić. Dlatego też wolne kobiety, przybywające do krewnych, są przed widzeniem rewidowane i obmacywane. (Przecież Konstytucja tego nie zabrania. A jak nie zgadza się, to niech wraca bez widzenia).

Jeszcze staranniej ogranicza się przypływ przekazów pieniężnych do obozu. Jakąkolwiek sumę krewni by przysłali, wszystko to odkładane jest na konto, jakie więzień ma w księgowości obozu — do dnia wyjścia na wolność (to znaczy, że państwo bierze od zeków bezprocentowe pożyczki na 10-25 lat). Zek nie zobaczy też wcześniej swoich zarobków — niezależnie od ich sumy.

*Rozrachunek własny* polega na tym, że pobory więźnia wynoszą 70% poborów przewidzianych w tym wypadku dla wolnego pracownika (a dlaczego?, czy owoce pracy więźnia pachną inaczej? Gdyby działo się tak na Zachodzie — nazwano by to u nas eksploatacją i dyskryminacją). Połowa tej sumy zostaje potrącona na rzecz kolonii karnej (na utrzymanie żony, Praktyków i psów). Z pozostałej części odlicza się jeszcze więźniowi za wikt i ubiór więzienny (można wyobrazić sobie, ile kosztuje bałanda na rybich łebkach). I wreszcie — resztkę zapisuje się na rachunek więźnia „po wyjściu na wolność". Prze trwonić zaś w obozowej kantynie więzień może — zależnie od kategorii reżymu — 1 0 - 7 - 5 - 3 — ruble. (Ale z kolonii Kalikatki w obwodzie riazanskim skarżą się, że po wszystkich potrąceniach nawet 5 rubli nie zostało ludziom w kieszeni — i na kantynę nie starczyło). A oto dane wzięte z rządowej gazety „Izwiestia" (to jeszcze dobre czasy, marzec 1960 roku, a ruble jeszcze stare i dęte, stalinowskie): dziewczyna z Leningradu Irena Papin, karczując pnie aż do wrzodów na palcach, przenosząc głazy, rozładowując wagony, rąbiąc drwa — zarabiała... 10 rubli miesięcznie.

Dalej trzeba wspomnieć o „reżymowej" dyscyplinie sprzedaży w kantynach, skrzyżowanej z bezdusznością sprzedawców. Reżym kolonialny (tak przecież należałoby teraz mówić — zamiast „obozowy", prawda? Językoznawcy, co tu robić, skoro obozy przedzierzgnęły się w *kolonie?)* ma to do siebie, że wszystko w nim zamienia się w swoje przeciwieństwo! W rezultacie kantyna-dobrodziejstwo stała się narzędziem kary. Jest to ten słaby punkt, w który zeka teraz najłatwiej uderzyć. Czytam prawie w każdym liście z syberyjskich czy archangielskich kolonii: kantyna stosowana jest jako środek represji: za najmniejsze wykroczenie grozi zamknięcie dostępu do kantyny. Za trzyminutowe spóźnienie do pracy pozbawili jakiegoś zeka prawa do zakupów na trzy miesiące (więźniowie nazywają to „biciem po brzuchu"). Inny — nie zdążył dopisać listu przed wieczornym obchodem — i na cały miesiąc zamknięto mu dostęp do kantyny. Jeszcze inny

467
został ukarany tak samo za to, że „ma ozór za bardzo obrotny". A z Ust'Wymskiej kolonii o surowym reżymie tak mi piszą: „Prawie co dzień ogłasza się nową listę pozbawionych prawa do zakupów — na miesiąc, drugi, trzeci. Co czwarty zek oskarżony jest o jakieś wykroczenia. A to znów księgowość nie zdążyła ludziom obliczyć zarobków za bieżący miesiąc — więc kantyna przepadła". (Karcer — to co innego, jeśli od razu cię nie wsadzili, nie znaczy to, że jeszcze nie wsadzą; to nie przepadnie).

Starego zeka to nie dziwi. Zwykłe oznaki bezprawia.

Albo inny list: „Jeśli ktoś może pochwalić się *sukcesami w pracy* — to ustawowo należą mu się dwa dodatkowe ruble na bieżące zakupy. Ale żeby dostać je do ręki, trzeba zdobyć się na coś iście heroicznego".

Pomyślcie tylko, jak wysoko ceni się pracę w naszym kraju: za wyjątkowe sukcesy w pracy — dwa ruble miesięcznie!

Przypomniano mi również historię, która zdarzyła się w Norylsku — co prawda jeszcze w 1957 roku, za błogosławionych czasów odwilży: jacyś bliżej niezidentyfikowani więźniowie zjedli psa, który był faworytem płatniczego Woronina; za karę cały obóz przez siedem miesięcy (!) „chodził bez poborów".

To bardzo realistyczna opowieść, bardzo w stylu Archipelagu.

Tu wtrąci się Historyk-Marksista: ależ to wypadek anegdotyczny, po co pisać takie rzeczy? I sam pan przecież powiedział, że tylko co czwarty oskarżony jest o jakieś wykroczenia. Wystarczy więc zachowywać się przykładnie — a nawet w surowym obozie dadzą ci do ręki trzy ruble miesięcznie — toć to niemal równowartość kilograma masła śmietankowego.

Akurat! Udało się temu Historykowi z całą jego „teorią loterii", że nie znalazł się w obozie (bo też pisał artykuliki zawsze pełne słuszności). Dobrze by było, gdyby w kantynie był chleb, tanie cukierki i margaryna. Bo na ogół to chleb jest dwa-trzy razy na miesiąc. A cukierki — tylko drogie. Co tam gadać o maśle śmietankowym, czy o cukrze! — jeśli nawet kierownik sklepu się postara (ale się nie postara), to jest przecież Władza, aby mu podpowiedzieć, co ma mieć na składzie. Proszek do zębów, szuwaks, szczotki, mydło, koperty (i to zresztą nie wszędzie, a co do papieru listowego — to nie ma go nigdzie, przecież można na nim pisać skargi!), drogie papierosy — oto asortyment kantyny. Proszę przy tym nie zapominać, że to nie jest normalny sklepik, który każdego ranka musi być otwarty i w którym możesz kupić dzisiaj za 20 kopiejek i jutro znowu za 20. U nas inaczej: kantyna bywa otwarta dwa dni w miesiącu, musisz postać w kolejce trzy godziny, a gdy już wejdziesz, popędzany przez stojących za tobą, musisz od razu kupować za wszystkie swoje wydzielone ruble — bo nie masz ich właściwie w ręku, tylko wypisane jest na liście, za ile masz prawo

468
kupić. Bierz więc dziesięć paczek papierosów na raz, bierz cztery tubki pasty.

Cóż zatem zostaje biednemu zekowi? W zasadzie tylko norma —jego tubylcza, kolonialna norma (tyle, że te kolonie leżą za Kołem Podbiegunowym): chleba — 700 gramów, cukru — 13 gramów, tłuszczu — 19 gramów, mięsa — 50 gramów, ryby — 85 gramów (ale to tylko cyfry! — dostarcza się tu takich gatunków mięsa i ryb, że połowę od razu trzeba odciąć i wyrzucić). To są cyfry, ale nie docierają one do miski, nie bywa ich tam. Więźniowie z Ust'Nery tak opisują swoją bałandę: „Ciecz, którą nie każde bydle w kołchozie zeżre". Albo w Norylsku: „Poślad i sieczka królują tu po dzień dzisiejszy". A jest także specjalna dieta dla ukaranych: 400 gramów chleba i raz na dzień coś gorącego.

Co prawda na Dalekiej Północy dla więźniów „wykonujących szczególnie ciężkie prace" przewidziane są porcje dodatkowe. Ale znając dobrze nasze wyspy, wiemy jaką drogą trafia się do takiego spisu (nie każda ciężka praca zalicza się do „szczególnie trudnych zajęć"), i że „duża pajka człowieka gubi"... Taki Piczugin „póki był zdrów, potrafił wypłukać po czterdzieści kilogramów złota w ciągu sezonu i przenosił dziennie na plecach po 700-800 podkładów kolejowych — ale po 12 latach odsiadki stał się inwalidą i wobec tego zaliczono go do *niższej* kategorii żywionej według o wiele niższych norm". Powstaje pytanie, czy istotnie zmniejszył mu się żołądek?

Ale zapytajmy raczej: ilu sowieckich dyplomatów utrzymywał ten jeden Piczugin ze swoimi czterdziestoma kilogramami złota? Że np. całą naszą ambasadę w Nepalu, to pewne! A czy tam u nich też obowiązują *obniżone* normy?

Zewsząd piszą, że panuje głód, że wszyscy niedojadają. „Wielu cierpi na wrzody żołądka, na gruźlicę". (Obwód Irkucki): „Nawet młodzi chorują na suchoty, na rany żołądka". (Obwód riazański): „Liczni więźniowie cierpią na TBC".

Już w ogóle nie wolno gotować albo smażyć własnych potraw, chociaż wolno to było robić nawet w Specobozach. Zresztą — z czego tu warzyć?...

Oto najstarszy środek: Głód. Dzięki niemu tubylcy znów dają sobą kierować.

A prócz tego wszystkiego — p r a c a i normy jej wykonania' są o wiele wyższe, niż na swobodzie: bo przecież ostanio wydajność (ludzkich mięśni) bardzo u nas wzrosła. Co prawda, dzień pracy jest ośmiogodzinny. Dalej istnieją brygady: zek zeka pogania. Ale na przykład w miejscowości Ust'Nera roboty nie starcza: „Dwudziestu ludzi chodzi na budowę do kołchozu „Przyjaźń" i kują tam kilofami zmarzły grunt, a pozostałych 280

469

siedzi z założonymi rękoma". W Kalikatkach — zupełnie na odwrót: namówiono inwalidów drugiej grupy, aby wzięli śię do pracy, obiecując im za to zwolnienie po odsiedzeniu dwóch trzecich kary. Ludzie bez ręki czy bez nogi rzucili się więc, aby zająć miejsce inwalidów trzeciej grupy, tych zaś posłano na ogólne.

Ale jeśli nie dla wszystkich pracy starcza, jeśli dniówka jest taka krótka, jeśli — i Ty nie grzmisz, Boże! — w niedzielę się nie pracuje, jeśli *praca* —*cudotwórczym* nie daje sobie rady z nawróceniem tych wyrzutków spo łeczeństwa, to mamy przecież pod ręką innego Cudotwórcę — reżym!

Według relacji z Ojmiakonu i z Norylska, a więc z obozów o reżymie specjalnym i reżymie obostrzonym — konfiskowane są wszystkie własne swetry, podkoszulki, ciepłe czapki, có dopiero futra! (Chodzi o rok 1963! 46 lat po Październiku!). „Nie wydają ciepłej bielizny i nie pozwalają wdziać niczego ciepłego. Grozi za to karcer" — (Krasłag - Reszoty). „Odebrali wszystko, prócz zwykłej bielizny, wydali: bawełniany kitelek, fufajkę, kurtkę, czapkę z nausznikami bez podbicia. I to w miejscowości Indigirka, w Ojmiakońskim rejonie, gdzie do roboty się nie idzie dopiero, gdy mróz osiągnie 51°".

Bo też prawda: czym — prócz głodu — najłatwiej jest ująć w karby wszelką żywą istotę? A chłodem, chłodem oczywiście.

Szczególne wartości wychowawcze ma reżym specjalny. Przede wszystkim nosi się tam odzież w pasy: czapka-furażerka, spodenki i wdzianko —wszystko to uszyte jest z materiału w białe i granatowe pasy*, używane go do wyrobu materaców. Ten pomysł przyszedł do głowy naszym ciupologom, jurystom Nowego Społeczeństwa — w piątym dziesięcioleciu po rewolucji Październikowej! W drugiej połowie XX wieku! Na progu komunizmu! Postanowili przebrać w błazeńskie szaty swoich zaszczutych więźniów. (Ze wszystkich listów wynika, że nie głód, chłód, czy inne rygory, lecz właśnie te pasiaki najbardziej dokuczyły dzisiejszym katorżnikom, najbardziej ich upokorzyły).

Ponadto — w obozach o reżymie specjalnym takie się rzeczy dzieją: baraki są zakratowane, drzwi zamyka się na noc od zewnątrz; baraki but-wieją, za to istnieją murowane, przestronne BUR-y (chociaż prócz picia c z y f i r u — nie ma prawie wykroczeń: ani awantur, ani bójek, ani nawet kart). Po żonie wolno chodzić tylko w szeregu, ale równiutko, bo inaczej nie sposób nigdzie wejść ani znikąd wyjść. Jeżeli nadzorca zobaczy w szeregu kogoś z papierosem — rzuca się na niego całym ciężarem, przewraca na ziemię, wyrywa niedopałek i prowadzi zbrodniarza do karceru. Jeśli

Przypomnijmy, że pasiaki podobnych kolorów nosili więźniowie w Auschwitz.

470

tego dnia nie ma pracy — ani się waż odpocząć na pryczy: na własne legowisko wolno patrzeć jak na eksponat i aż do dzwonka nie wolno go tknąć. W czerwcu 1963 roku rozkazano wykosić trawę dookoła baraków, aby nikt nie mógł się na niej wylegiwać. Gdzie zaś trawa została — sterczą tabliczki z napisami: zabrania się leżenia (obwód irkucki).

Boże, jak dobrze to znamy! Gdzie to już czytaliśmy? Toż całkiem niedawno słyszeliśmy o podobnych obozach? Czy to nie beriowskie specobozy? Tu *spec* i tam *spec*...

Reżym specjalny w obozie pod Solikamskiem: „Najmniejszy szmer i zza klapy w drzwiach baraku wysuwają się lufy automatów".

Rzecz jasna — wszędzie panuje bezkarna samowola, za byle co posyła się

więźniów do SZIZO. Więzień I.N. otrzymał zlecenie ładowania na samochód płyt betonowych (każda ma 128 kg wagi) w pojedynkę, bez pomocy. Odmówił — i dostał 7 dni bunkra.

W mordowskim obozie w 1964 roku pewien młody zek dowiedział się, że podobno w Genewie w 1955 roku podpisana została międzynarodowa konwencja zakazująca pracy przymusowej w miejscach odosobnienia — i odmówił chodzenia do pracy! Za ten swój wybryk poszedł na 6 miesięcy do celi-izolatki.

Wszystko to nosi cechy l u d o b ó j s t w a — pisze Karawariski.

Ale może lewicowi labourzyści mają dla tych praktyk inną nazwę? (Boże drogi, nie zaczepiajcie, kolego, lewicowych labourzystów! Przecież jeśli im się narazimy, to koniec z naszą reputacją!...).

Ale dość już tych ponurych szczegółów! Dla równowagi oddajmy głos młodemu Praktykowi, absolwentowi szkoły MWD w Tawdzie (1962): „Dawniej (przed 61. rokiem) dziesięciu nadzorców musiało ich pilnować na pogadankach — i też nie mogło dać sobie rady. Teraz zaś jak makiem zasiał, jeden drugiego pilnuje. Bo się boją, żeby im nie wlepiono surowego reżymu. *Pracuje się* teraz lżej, zwłaszcza po Dekrecie (o rozstrzelaniu). Już go do kilku z nich *zastosowano.* Bo zdarzało się dawniej, że przychodzi taki na odwach z nożem i powiada: tu mnie macie, zabiłem gada... Jak w takich warunkach pracować?".

To fakt, atmosfera się oczyściła. Potwierdza to również nauczycielka szkoły kolonijnej: „za chichoty podczas pogadanek politycznych — traci się prawo do przedterminowego zwolnienia. Wystarczy jednak, że należysz do *aktywu,* to możesz być nawet chamem nad chamami; jeśli innym zwracasz uwagę, żeby nie rzucać niedopałków, nie siedzieć w czapce — to zaraz masz i lżejszą pracę, i lepszą charakterystykę, i pomogą ci później przy staraniach o prawo pobytu".

Rada Kolektywu, Sekcja Wewnętrznego Porządku (dowiadujemy się od

471

Marczenki: Suka Wyszła Posiusiać) — są to jakby „drużynnicy"; noszą czerwoną opaskę: bacz na wykroczenia! pomagaj nadzorcom! A Rada może *składać wnioski o ukaranie!* Kto siedzi z takiego artykułu, który zezwala na przedterminowe zwolnienie — musi koniecznie współpracować z Sekcją, bo inaczej pozbawią go tej szansy. Kto siedzi z innych artykułów — nie współpracuje, nie musi. I. A. Aleksiejew pisze: „większość woli powolną śmierć, niż pchanie się do tych rad i sekcji".

A już się czuje nową atmosferę, prawda? *Aktywność społeczna w obozie!* Do jakich pięknych uczynków popycha ona ludzi (lizusostwo, donosiciels-two, utrącanie kolegi) — oto marmurowe schody, prowadzące do nieba poprawy! Ale jakież one śliskie!

W liście z tyraspolskiej kolonii Nr 2 skarży się Ołuchow (członek partii, dyrektor sklepu, siedzi za nadużycia): przemawiał na zlocie przodowników pracy, wytknął coś z trybuny pewnemu więźniowi, „nawoływałem tych zbłąkanych Synów Ojczyzny do sumiennej pracy", sala zareagowała gromkimi oklaskami. A gdy wrócił na swoje miejsce — podszedł do niego jakiś zek i powiedział: „Gdybyś ty, ścierwo,

przemawiał tak 10 lat temu — zarżnąłbym cię, zanim zdążyłbyś zleźć z trybuny. Ale teraz kodeks nie pozwala, bo za ciebie, psi synu, pod mur mnie poślą".

Czy widzi czytelnik, jak to wszystko łączy się ze sobą, jedność przeciwieństw, związki dialektyczne? — Z jednej strony — praca społeczna kwitnie, a z drugiej — wspiera się na Dekrecie o rozstrzelaniu? (A długość kary — chyba czytelnik zauważył? „10 lat temu" — a facet wciąż siedzi. Epoki mijają, jak z knuta trząsł — a ten wciąż siedzi...).

Tenże Ołuchow opowiada o więźniu Isajewie byłym majorze (Mołdawia, kolonia Nr 4). Isajew „był nieprzejednany w stosunku do sprawców wykroczeń. Na zebraniu Rady Kolektywu wymienił konkretnych winowajców", żądając by zostali ukarani i pozbawieni ulg. I cóż? „Następnej nocy zginął mu juchtowy but wojskowy, jeden od pary. Wzuł więc trzewiki, ale nazajutrz rano nie znalazł również jednego z nich". Oto jakie nikczemne formy walki stosuje w naszych czasach przyparty do muru wróg klasowy!...

Oczywiście, ta cała praca społeczna — to zajęcie hazardowe i trzeba umieć nim kierować. Zdarzają się wypadki, które zupełnie więźniów demoralizują, na przykład historia z Wanią Aleksiejewem. — Pierwsze w obozie zebranie ogólne wyznaczono na godzinę 20.00. Ale nawet o 22.00 grała tylko orkiestra, a zebranie ani myślało się zacząć chociaż oficerowie siedzieli na scenie. Aleksiejew poprosił orkiestrę, aby sobie „odpoczęła" i zwrócił się do oficerów z pytaniem, kiedy zacznie się zebranie. Odpowiedziano mu, że wcale się nie zacznie. Aleksiejew: w takim razie my, więźniowie sami poprowadzimy zebranie na temat — *O Życiu W Ogóle i Chwili*

*All*

*Obecnej W Szczególności.* Więźniowie okrzykami wyrazili zgodę, oficerowie uciekli ze sceny. Aleksiejew z notatnikiem w ręku wszedł na trybunę i zaczął od kultu jednostki. Ale nadbiegło kilku oficerów. Usunięto go z trybuny, wykręcono żarówki i zrzucono ze sceny paru więźniów, którzy zdążyli tam wleźć. Nadzorcom kazano Aleksiejewa aresztować, ale ten zwrócił się do nich z taką przemową: „Obywatele nadzorcy, jesteście przecież komsomolcami. Słyszeliście dobrze, że mówiłem tu prawdę. Na kogo więc podnosicie rękę? Na sumienie idei leninowskiej?". Aresztowano jednak w końcu także owo sumienie idei, ale zeki z Kaukazu zabrali Aleksiejewa do swojego baraku i na jedną noc uratowali przed aresztem. Później jednak trafił do karceru, a po karcerze wpisano mu do akt całą historię jako antysowiecki wybryk. Rada Kolektywna zwróciła się do administracji z wnioskiem o izolowanie Aleksiejewa za agitację antysowiecką. W oparciu
0 ten wniosek administracja zwróciła się do sądu i Aleksiejew dostał trzy
lata więzienia.

W całokształcie pracy wychowawczej bardzo ważną rolę odgrywają w dzisiejszych koloniach cotygodniowe seanse szkolenia ideologicznego. Wpływają one dobroczynnie na światopogląd więźniów. Szkolenie prowadzą naczelnicy oddziałów (oddział liczy 200-250 ludzi), oficerowie. Za każdym razem wybiera się określony temat, powiedzmy: humanizm naszego ustroju, wyższość

naszego systemu, sukcesy socjalistycznej Kuby, przebudzenie się kolonii afrykańskich. Kwestie te wprost pasjonują tubylców, pomagając im lepiej rozumieć własny reżym kolonialny i wydajniej pracować. (Oczywiście — nie wszyscy jeszcze należycie to pojęli. List z Irkucka: „W obozie, gdzie panuje głód, mówią nam o wielkiej obfitości produktów żywnościowych w naszym kraju. Mówią o powszechnej mechanizacji pracy, a tymczasem u nas widzimy tylko kilof, łopatę, tragi, i wszystko nosimy na własnym grzbiecie[10]").

[10] Jeszcze przed wzmiankowanym wyżej zebraniem, Wania Aleksiejew taki kawał zrobił na jednym z seansów szkolenia. Poprosił o głos i oświadczył: „I wy, oficerowie MWD,
1 my, więźniowie jesteśmy przestępcami, których do naszych zbrodni pchnął kult jednostki.
I my i wy — jesteśmy wrogami ludu i powinniśmy teraz ofiarną pracą zasłużyć sobie, aby
sowiecki lud wybaczył nam winy. I proponuję wam z całą powagą, obywatelu majorze,
abyście wzięli kurs na komunizm!". Wpisano mu do akt: „niezdrowe, antysowieckie na
stroje".

List, który dostałem od Aleksiejewa z Ust'-Wym'-lagu jest długi, papier jest wytarty, pismo wyblakłe, sześć godzin ślęczałem, aby je odcyfrować. Czegóż tam tylko nie ma! Jest na przykład taka uwaga ogólna: „Kto dzisiaj siedzi w koloniach — tych gettach niewolników? Wypchnięta za nawias społeczeństwa, najbardziej ekspansywna i buntownicza warstwa ludu... Blok biurokratów wysadził z siodła tę pełną rozmachu młodzież; było rzeczą niebezpieczną dawać jej do ręki taką broń, jak teoria społecznej sprawiedliwości. Zeki — to wydziedziczone dzieci proletariatu, oddane ITL na własność".

473

Nader ważną rolę gra też radio, jeśli tylko jest właściwie wykorzystywane (żadnej muzyki, żadnych miłosnych pień, same tylko pogadanki wychowawcze). Tak jak wszystko — również radio jest dozowane proporcjonalnie do reżymu — od dwóch-trzech godzin dla reżymu specjalnego
—aż do programu całogodzinnego w obozach o reżymie ogólnym".

Bywają również szkoły (a jakże! Chodzi przecież o przysposobienie
więźniów do powrotu na łono społeczeństwa!). Tylko że „wszystko jest tylko formalnością, to mydlenie oczu i tyle... chłopaki chodzą do szkoły jedynie z musu, całą chęć do nauki odbiera nam BUR"; a ponadto „wstydzą się wolnych nauczycielek, bo są poubierani w szmaty".

A spotkanie z żywą kobietą — jest zbyt ważnym wydarzeniem dla więźnia.

Nie wymaga też podkreślenia, że prawidłowe wychowanie, mające na celu poprawę — zwłaszcza gdy chodzi o ludzi dorosłych i szczególnie, gdy ten proces

trwać musi całe dziesięciolecia — prowadzić można wyłącznie na gruncie stalinowsko-beriowskiej, konsekwentnej separacji płci. Jest to na Archipelagu zasada niewzruszona. Kontakty między mężczyznami a kobietami, które wszędzie indziej uznane są za źródło impulsów uszlachetniających i wpływających dodatnio na rozwój ludzkiej jaźni — nie mogą mieć miejsca na Archipelagu, bowiem w takim wypadku życie tubylców stałoby się „podobne do życia w sanatorium". Im więcej zaś światła nam rzuca zorza komunizmu, od której już się pół nieba rumieni, z tym większą stanowczością należy separować przestępców od przestępczyń, jedynie bowiem taka izolacja sprawi im należne męki i przyczyni się do ich poprawy[12].

Jak to wszędzie w naszej nie znoszącej bezprawia i przemilczeń epoce — cały ów harmonijny system kolonialnej korekcji przestępców nadzorowany jest bacznie przez opinię publiczną. Mam nadzieję, że czytelnik nie zapomniał o komisjach obserwacyjnych? Bo nikt ich nie kasował.

Ich skład ustalany jest przez „miejscowe organy władzy". Ale praktycznie w tej dzikiej głuszy, w tych wolniackich osadach — któż, oprócz żon urzędników obozowych zechce brać udział w pracach takich komisji? Są to po prostu babskie komitety, robiące to, co mężowie każą.

[11] To już lepiej uciec do tamtych pasiaków!...

[12] Sam minister Ochrony Tikunow opisał mi (niezadługo znajdziecie relację o naszym spotkaniu) taki wypadek: w trakcie widzenia indywidualnego, to znaczy w osobnym domku (3 dni) matka, która odwiedziła syna, zastąpiła mu żonę. Temat antyczny — córka, karmiąca ojca własną piersią, jest jednym z częstych tematów mitologicznych. Ale pan minister, mówiący o tych dzikusach z grymasem obrzydzenia, nie pomyślał chyba, co przeżywa miody chłopak, któremu nie wolno widzieć kobiety przez 25 łat.

474

Jednakże w dużych miastach system ten czasami może dać nieoczekiwane rezultaty. Członkini partii, Galina Pietrowna Filipowa, otrzymała z rej-komu nakaz wejścia w skład komisji obserwacyjnej odeskiego więzienia. Broniła się wprawdzie, że nie chce mieć nic do czynienia z przestępcami, ale zmuszono ją do tego w trybie dyscypliny partyjnej. I ta praca od razu ją wciągnęła. Zobaczyła wśród więźniów — ludzi, przekonała się, ilu wśród nich jest niewinnych, ilu takich, którzy czują szczerą skruchę. Z punktu wprowadziła zasadę rozmów z więźniami na osobności, bez nadzoru (mimo ostrych sprzeciwów administracji). Niektórzy więźniowie całymi miesiącami patrzyli na nią złym okiem, ale w końcu przekonali się do niej. Zaczęła odwiedzać więzienie dwa, trzy, cztery razy w tygodniu, zostając w nim do

wieczornego dzwonka. Zrzekła się nawet urlopu — i już ci, którzy ją tu przysłali, pluli sobie w brodę. Zaczęła interweniować w i n s t a n c j a c h w sprawie skazanych na 25 lat (kodeks nie przewiduje już takiej kary, a niegdyś skazani — odsiadują ją dalej), w sprawie zatrudnienia wypuszczonych na wolność oraz zesłańców. Dotarła bardzo wysoko i spotkała się tam albo z zupełną nieznajomością problemu (dyrektor Departamentu Więziennictwa RSFSR, generał zapewniał ją w 1963 roku, że *w ogóle* nie ma w całym kraju ani jednego człowieka skazanego na 25 lat — i co najśmieszniejsze: chyba naprawdę ***nic*** *o tym nie wiedział!),* albo z doskonałą jego znajomością — i wówczas natrafiała na zaciekły opór. Zaczęto ją tępić i prześladować zarówno w MWD Ukrainy, jak w partii. Rozpędzono na cztery wiatry całą komisję za składane na piśmie wnioski i zażalenia. A niech nie przeszkadzają gospodarzom Archipelagu! Niech nie pętają się Praktykom pod nogami! Przypomnijcie sobie tylko: dopiero co od nich samych dowiedzieliśmy się, że ***ci*** *sami ludzie* którzy pracowali w tamtych czasach — pracują po dziś dzień, „nowych sil jest nie więcej jak 10%".

Ale, ale, nie wykluczone wszak, że wszyscy oni przeżyli przełom duchowy? Mogli wszak umiłować swoich podopiecznych? Owszem, wszystkie gazety i wszystkie pisma twierdzą, że umiłowali ich z całej duszy. Nie wybierałem tych głosów specjalnie, ale przecież czytaliśmy już (w rozdziale pierwszym tej części) reportaż w „Literaturnej Gazietie" o pełnych troski nowych gospodarzach kolonii na stacji Jercewo. I znów w tym samym piśmie" znajdujemy wypowiedź komendanta kolonii:

„Wychowawców wyklinać łatwo — o wiele trudniej im pomóc, a jeszcze trudniej ich znaleźć: ludzi bystrych, wykształconych, inteligentnych (koniecznie inteligentnych), zainteresowanych tą pracą i utalentowanych... Trze-

[13] **Z dnia 3 marca 1964.**

475

ba stworzyć im odpowiednie warunki, aby mogli tu żyć i wydajnie pracować... Wiem, jak skromne są ich zarobki, jak nieskończenie długi jest ich dzień roboczy...".

I jak pięknie by to było, gdybyśmy tym akcentem mogli rzecz zakończyć, tu postawić kropkę! Żyłby człowiek znacznie spokojniej, mógłby bez reszty poświęcić się sztuce, albo — co jeszcze lepsze — nauce, gdyby nie te listy przeklęte, wygniecione, zatarte, wysyłane „na lewo" z obozów! I cóż piszą ci niewdzięcznicy o ludziach, którzy tyle serca im okazują w czasie bezkresnego roboczego dnia?

I-n: „Mówisz z wychowawcą o swoich najcięższych troskach i widzisz, że słowa odbijają się rykoszetem od szarego sukna jego szynela. Aż korci, żeby go zapytać raczej: 'przepraszam, jak zdrowie waszej krówki?', bo w obórce spędza więcej czasu niż wśród swoich wychowanków". (Krasłag, Reszoty).

L-n: „Ci sami tępi nadzorcy, szef działu dyscyplinarnego — typowy Wołkowoj. Z nadzorcą nie wolno dyskutować, od razu karcer".

K-n: „Dowódcy oddziałów w rozmowach z nami'używają tylko żargonu, wciąż

człowiek słyszy takie słowa, jak — ścierwo, suka, bydlę". (Stacja Jercewo, co za zbieg okoliczności!).

K-j: „Szef działu dyscyplinarnego — rodzony brat tego Wołkowoja, leje wprawdzie nie nahajką, tylko pięścią, ale patrzy spode łba, jak wilk... Naczelnik oddziału — były oper, który tym zasłynął, że miał swojego donosiciela-złodzieja i za każdy donos płacił mu narkotykami... Wszyscy ci, co bili, torturowali, zadręczali więźniów — zostali po prostu przeniesieni z jednego obozu do drugiego i zajmują nieco inne stanowiska". (Obwód irkucki).

I.G.P-w: „Każdy komendant kolonii ma po sześciu zastępców i pomocników. Wszystkie budowy starają się pozbyć darmozjadów, więc ci szukają sobie pracy tutaj... Wszystkie obozowe tępaki... pracują po dziś dzień, aby odwalić latka dzielące ich od emerytury; więźniów nie uważali i dalej nie uważają za ludzi".

W.I.D-w: „W Norylsku (skrytka pocztowa 288) nie ma ani jednego „nowego" — wciąż ci sami beriowcy. Jeśli któryś idzie na emeryturę, to na jego miejsce wraca taki, co go usunięto z pracy w 1956 roku... Liczą im się podwójnie lata do renty, otrzymują podwyższone pobory, mają dłuższe urlopy i wysokie przydziały żywnościowe. Dzięki temu podwójnemu zaliczeniu lat pracy mogą przejść na rentę, gdy im stuknie 35 roczek...".

P-n: „Na naszym odcinku służy 12-13 tęgich chłopów, noszących kożuchy do pięt, futrzane czapy i wojskowe filcaki. Czemu by nie mieli iść do kopalni czy na ugory i tam szukać szczęścia, ustępując miejsca starszym?

476

Nie, nawet na kotwicznym łańcuchu ich się tam nie zaciągnie. To na pewno te trutnie utrzymują zwierzchność w przekonaniu, że więźniowie są niepoprawni — przecież jeżeli zeków zrobi się mniej, to również ich etaty ulegną redukcji".

I tak jak dawniej zeki sadzą kartofle w ogródkach panów naczelników, podlewają warzywa, chodzą koło bydła, robią meble do ich domów.

Ale kto wobec tego mówi prawdę? Komu tu wierzyć? — pyta skonfundowany czytelnik.

Pewno że gazetom! Wierzyć trzeba — gazetom. Wierzcie we wszystko, co piszą nasze gazety.

Enkawudyści to siła. I nigdy nie ustąpią dobrowolnie. Jeśli przetrzymali rok 1956, to wytrzymają jeszcze wiele.

Tu nie chodzi tylko o aparat więziennictwa i obozów. I nie tylko o Ministerstwo Ochrony. Widzieliśmy już, jak chętnie popierają ich i gazety, i deputaci.

Dlatego, że to z nich składa się kościec. Kościec niejednego organizmu.

Ale mają nie tylko siłę — mają również na podorędziu arsenał swoich argumentów. Nie tak łatwo jest toczyć z nimi spory.

Próbowałem to robić.

Właściwie — nie miałem wcale tego zamiaru. Ale pchnęły mnie do tego listy, te

właśnie listy, których wcale się nie spodziewałem — słane mi przez dzisiejszych więźniów. Tubylcy prosili, abym o nich mówił, abym wziął ich w obronę, abym sprawił, by warunki ich życia stały się bardziej ludzkie. Pokładali we mnie nadzieje.

Więc komuż będę mówił? Pomijając już — że nikt słuchać mnie nie zechce... Gdyby istniała wolna prasa, opublikowałbym po prostu to wszystko — i proszę bardzo, możemy o tym pogadać!

Teraz zaś (jest styczeń 1964) snuję się po korytarzach instytucji w charakterze nieoficjalnego i nieśmiałego petenta, pochylam się przed okienkami w biurach przepustek, czując na sobie pełen dezaprobaty i podejrzliwości wzrok mundurowych dyżurnych. Jak o zaszczyt i o łaskę zabiegać musi pisarz-publicysta, aby bardzo zajęci działacze państwowi raczyli udzielić mu półgodzinnego posłuchania!

Ale nie na tym polega główny szkopuł. Najtrudniejszą dla mnie rzeczą jest — jak to już niegdyś było na zebraniu w Ekibastuzie — odpowiedzieć sobie: *o czym* mam z nimi mówić? *Jakim* językiem?

Powiedzieć to wszystko co myślę, przy tym tak, jak w tej książce opisa-

477

}em — nie tylko byłoby niebezpieczne, lecz nadto zupełnie bezskuteczne. Oznaczałoby to oddanie głowy pod topór w bezechowej ciszy gabinetu i to tak, że ani społeczeństwo niczego by się ode mnie nie dowiedziało, ani spragnieni pomocy nic by z tego nie mieli, ani ich sprawy nie ruszyłyby z miejsca. Skoro tak — to jak tu z nimi gadać? Wchodząc w ich marmurowe, błyszczące jak zwierciadła progi, krocząc po ich miękkich dywanach, sam muszę nałożyć na siebie uprząż, nie, raczej jedwabne struny, którymi na-samprzód trzeba przebić mój język, uszy, powieki, aby później przyszyć wszystko do ramion i skóry na plecach i brzuchu. A już co najmniej muszę zgodzić się na następujące założenia:

1) Chwała partii za całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość! (A to znaczy, że nie wolno poddawać w wątpliwość ogólnej polityki kar. Tak samo — jak nie wolno mi poddawać w wątpliwość niezbędności Archipelagu jako takiego. I nie mogę twierdzić, że większość siedzi bez powodu i potrzeby).

2) Wysokie szarże i mężowie stanu, z którymi będę rozmawiać — są przecież oddani sprawie i troszczą się o więźniów. Nie wolno oskarżać ich zatem o nieszczerość, obojętność i brak orientacji (bo nie mogą przecież być niekompetentni w dziedzinach, którym tyle czasu i serca poświęcają).

O wiele bardziej podejrzane wydają się przecież motywy *moich* interwencji: co *ja* tu mam do roboty? Dlaczego się wtrącam, skoro nie jestem do tego służbowo powołany? Czy nie chodzi mi czasem o jakieś brudne cele, o prywatę?... Po co tu węszę, skoro Partia i tak wszystko widzi bez mojej pomocy i postąpi jak można najsłuszniej?

Żeby wyglądać w ich oczach nieco korzystniej, wybieram miesiąc, w którym — jak już wiem — mają wysunąć moją kandydaturę do nagrody leninowskiej. Teraz poruszam się jak pionek, o którym nie wiadomo czy przypadkiem nie zostanie wieżą.

*Sowiet Najwyższy ZSSR. Komisja Projektów Ustaw.* Jak się okazuje nie pierwszy już rok komisja ta zajęta jest redagowaniem nowego Kodeksu Pracy Poprawczej, to znaczy składu zasad całego przyszłego życia Archipelagu — który zastąpić ma kodeks z 1933 roku, co to istniał, bo tak był traktowany, jakby go nigdy nie publikowano. I oto zostaje zorganizowane spotkanie, na którym ja, wychowanek Archipelagu zajrzeć mam w otchłanie ich mądrości i błysnąć przed nimi szychem moich propozycji.

Jest ich ośmiu. Czterech — zadziwia swoją młodością: dobrze, jeśli ci młodzieńcy zdążyli zakończyć studia, a nie wygląda na to. Tak szybko wchodzą do aparatu władzy! Tak swobodnie zachowują się w tym pałacu pełnym marmurów i parkietów, do którego wpuszczono mnie z taką nieuf-

478

ością. Przewodniczącym komisji — jest Iwan Andrejewicz Baduchin, człowiek już niemłody i odznaczający się niezmierną dobrocią, co widać na pierwszy rzut oka. Wydaje się, że gdyby to zależało od niego — już jutro otwarto by wszystkie wrota Archipelagu. Ale od razu też widać, jaką gra tu rolę: przez cały czas naszego spotkania siedzi z boczku i milczy. Dwaj zaś najbardziej tu zawzięci — to staruszkowie! — dwaj staruszkowie z komedii Gribojedowa, ci sami, co to pamiętają czasy

*Potrzeby oczakowskiej oraz podboju Krymu,*

wykapani! Nie chcą znać nic ponad to, czym niegdyś przesiąkli i gotów jestem ręczyć, że od 5 marca 1953 roku nawet po gazetę nie sięgnęli — bo przecież nie mogło się zdarzyć nic takiego, co wpłynęłoby na ich poglądy! Jeden z nich nosi granatowy żakiet, a mnie się wydaje, że to dworski, błękitny surdut frakowy z czasów Katarzyny i widzę nawet ha jego piersi ślad po srebrnej gwieździe, nadanej przez carycę. Obaj starcy absolutnie i a 1 i m i n e nie aprobują ani mnie, ani mojej wizyty, ale postanowili popisać się tolerancją.

Wtedy właśnie najciężej jest mówić, gdy zbyt wiele ma się do powiedzenia. A tu jeszcze te struny, czuję szwy przy każdym ruchu. Ale w końcu przygotowałem sobie zasadniczą tyradę i myślę, że w jej trakcie nie powinienem poczuć żadnego szarpnięcia. Więc im powiadam: nie wiadomo skąd wzięło się przeświadczenie (jak najdalszy jestem od przypuszczenia, że to oni tak sądzą) że obozom grozi niebezpieczeństwo przedzierzgnięcia się w SANATORIA i że jeśli w obozach nie będzie panował głód i chłód, to już staną się one oazami pomyślności. Proszę ich, aby nie bacząc na brak bezpośrednich doświadczeń, wyobrazili sobie częstokół tych wyrzeczeń i dolegliwości, który składa się na pobyt w więzieniu *sam przez się:* człowiek oderwany jest od swego rodzinnego miasta czy wsi; mieszka razem z ludźmi, których nie chciałby wcale mieć za sąsiadów; nie mieszka za to z tymi, kogo chciałby mieć w pobliżu (rodzina, przyjaciele); nie widzi swoich dorastających dzieci, nie bierze udziału w procesie ich wychowania; oderwany jest od swojego otoczenia, własnego domu; nie ma swoich rzeczy, nawet zegarka na ręce; utracił

dobre imię, okryte jest teraz hańbą; pozbawiony jest swobody ruchów; zwykle nie może pracować w swoim zawodzie; poddany jest rozmaitym naciskom ze strony obcych, a częstokroć wrogo do niego nastawionych ludzi — innych więźniów, mających całkiem inne doświadczenie życiowe, inne poglądy i obyczaje; pozbawiony jest towarzystwa osobników drugiej płci, niezbędnego wszak dla złagodzenia obyczajów (nie mówiąc już o fizjologii); nawet opieka lekarska, z jakiej korzysta, jest znacznie gorsza od normalnej. Czy to są warunki uzdrowiskowe? Dlaczego tak boją się owego wyimaginowanego „sanatorium"?

' 479

Nie, ten przewód myślowy jakoś ich nie uderza. Nie widać, żeby zadrżeli.

Ujmijmy więc rzecz nieco szerzej: czy *chcemy,* aby ci ludzie wrócili na łono społeczeństwa? Skoro tak, to dlaczego zmuszamy ich do życia w potępieńczych warunkach? Dlaczego sens całej skali *reżymów* na tym polega, aby systematycznie więźniów upokarzać i doprowadzać ich do fizycznego wycieńczenia? Jaką korzyść odnosi państwo z tego, że stają się inwalidami?

I teraz leżę jak długi. Moi rozmówcy wyjaśniają na czym polega mój błąd: nie bardzo wiem mianowicie, z kogo składa się dzisiejszy *kontyngent,* oceniam sytuację według dawnych moich obserwacji, dziś nieaktualnych, życie nie stoi w miejscu. (To istotnie mój słaby punkt: rzeczywiście *nie widzę* już tych, którzy tam dzisiaj siedzą). Dla tych zaś recydywistów
—izolowanych i jakże nielicznych — wszystko to, co wyliczyłem, wcale nie jest dolegliwością ani wyrzeczeniem. Obecnie stosowane rygory mogą ich tylko skłonić do opamiętania. (Szwy, szwy, już je czuję — tu są na pewno w swoim żywiole, bo przecież lepiej wiedzą, *kto dziś siedzi).* A co do po wrotu na łono społeczeństwa?... Tak, tak, oczywiście — drewnianym gło sem mówią starcy, ja zaś słyszę: nie, nie, oczywiście, niech tam już zdycha ją, tak lepiej i dla nas, i chyba dla pana.

No a — *reżymy?* Odpowiada mi jeden z oczakowskich starców, prokurator, ten w błękitnym fraku z gwiazdą na piersi, z rzadkimi siwymi kę-dziorkami na głowie, ba, nawet Suworowa trochę przypomina:

— Już zaczęliśmy rejestrować *efekty* wprowadzenia surowych rygorów. Zamiast *dwóch tysięcy* morderstw rocznie *{tutaj* można wymienić tę cyfrę)
—mamy tylko kilkadziesiąt.

Ważna cyfra, zapisuję ją sobie ukradkiem. Zdaje się, że to będzie najważniejszy profit z tej mojej wizyty.

K t o d z i ś s i e d z i!? Rzecz jasna, aby dyskutować o rygorach i reżymach, trzeba wiedzieć, kto siedzi. Trzeba w tym celu dziesiątków psychologów i prawników, trzeba, by pojechali do obozów i aby tam mogli rozmawiać z zekami bez przeszkód; podyskutować można by dopiero później. Moi zaś obozowi korespondenci nigdy nie piszą mi właśnie o tym za co siedzą i za co wpakowano ich towarzyszy[14].

Ogólna część rozmowy jest zakończona. Przechodzimy do szczegółów.

[14] Ale wyobraźmy sobie tych rozmaitych r e c y d y w i s t ó w ! Na przykład w kolonii Tawda siedzi 87-letni były oficer carski, który zapewne później byl białogwardzistą. W 1962 roku odsiadywał 18 rok swojego d r u g i e g o d w u d z i e s t a k a . Nosi rozłożystą brodę, jest rachmistrzem w warsztacie rękawiczarskim. Wolno spytać: może czterdzieści lat odsiadki to trochę za dużo za przekonania, jakich się człowiek trzymał w młodości? — Ileż to takich losów niepowszednich! A trzeba znać każdy, aby decydować w sprawie reżymu, jaki ma obowiązywać w s z y s t k i c h .

480

Ale tu komisja już wszystko ustaliła, wszystko widzi na wskroś bez mojej pomocy, nie jestem im wcale potrzebny, a po prostu to dla nich ciekawy widok.

Paczki? Tylko po 5 kilogramów i tylko według tej skali, która właśnie obowiązuje. Proponuję, aby chociaż ową skalę podwoić i zezwolić na wysyłanie paczek do 8 kilogramów wagi (przecież oni głodują! Kto dziś stosuje głód jako środek wychowawczy?!).

„Jak to — głodują?" — jednogłośnie zakrzyknęli panowie z komisji —„ *Byliśmy tam sami* i widzieliśmy na własne oczy, ze *resztki chleba wywozi się z obozu ciężarówkami!"*. (Bo przecież świniaki panów nadzorców też muszą żreć, nieprawdaż?...).

I co mam teraz zrobić? Krzyknąć: „łżecie! to niemożliwe!" — ale zaraz aż mnie zakłuło w język, przyszyty przez ramię do tyłka. Nie wolno mi łamać warunków umowy: ci tutaj są dobrze poinformowani, szczerzy i przejęci troską. Pokazać im listy moich zeków? To dla nich chińszczyzna, a te przetarte i zmięte karteluszki śmiesznie i nędznie będą wyglądać, jeśli je rozłożę tu na aksamitnym obrusie.

- Ależ przecież państwo nic nie straci, jeśli paczek będzie więcej!
- Ale *kto* skorzysta z tego prawa? — odpowiadają mi. — Przede wszys tkim bogate rodziny (używają tu tego terminu — bogate, potrzebne im to, aby ich państwowotwórcze rozważania miały realną podstawę). Albo ci, co się nakradli i zdołali to ukryć przed pójściem do więzienia. I w rezultacie — zwiększając wagę paczek sprawimy, że właśnie rodziny należące do *warstwy pracującej* znajdą się w gorszej sytuacji!

Ależ mnie rwą, ależ rżną te struny! To jest punkt nietykalny: obrona interesów warstw pracujących — nade wszystko. Oni tu wszyscy zasiadają wyłącznie w interesie warstw pracujących.

Okazuje się, że wcale nie jestem zręcznym dysputantem. Nie wiem, co im odpowiedzieć. Jeśli powiem: „nie, wcale mnie panowie nie przekonali!", nic ich to nie obejdzie, bo czy jestem ich zwierzchnikiem?

- Kantyna! — atakuję dalej. — Gdzie tu socjalistyczna zasada sprawie dliwej zapłaty? Skoro człowiek zarobi — niech mu to będzie wolno wydać!
- A z czym wyjdzie na wolność?! — odparowują cios. — Toć inaczej po zwolnieniu państwo będzie musiało go utrzymywać.

Interesy państwa — są poza dyskusją, tu trzyma mnie gruba nitka i nie mogę podskakiwać. Nie mogę przecież żądać, aby zarobki zeków podwyższone zostały z *kasy państwa.*

- Ale niech przynajmniej niedziela będzie dniem absolutnie zawarowanym dla wypoczynku.
- To już przewidziane i tak już jest.

19 Archipelag Gulag 481

Ale istnieją dziesiątki sposobów na zepsucie więźniowi niedzieli we wnątrz żony. Trzeba wyraźnie tego zabronić!

— Przepisów kodeksu nie można tak detalizować.

Dzień roboczy ma 8 godzin — coś tam nieśmiało mamroczę na temat dnia 7-godzinnego — ale wewnętrznie sam to uważam za bezczelność: już przecież nie 12, nie 10, czego jeszcze można sobie życzyć?

— Korespondencja — łączy więźnia ze społeczeństwem socjalistycznym (patrzcie jak nauczyłem się argumentować!), nie trzeba jej ograniczać.

Ale nie mogą zmieniać ustaleń. Zatwierdzono już skalę i to nie tak surową jak w naszych obozach... Pokazują mi też skalę widzeń, w tym również — „osobistych" trzydniowych — a myśmy całymi latami nie mieli żadnych, więc to sytuacja znośna. Wydaje mi się, że ta ich skala jest dość humanitarna, ledwie się powstrzymuję, aby jej nie pochwalić.

Czuję zmęczenie. Wszystko ściągnięte nićmi, ani ruchu zrobić nie można. Nic tu po mnie. Trzeba stąd iść.

I w ogóle z tego jasnego, wytwornego salonu, z tych foteli, przy wtórze ich płynnych wyjaśnień — obozy już wcale nie wydają się takie straszne, ba, zaczynają się wydawać czymś zgoła rozsądnym. Na przykład, ten chleb, co go samochodami wywożą... No nie można przecież zostawiać społeczeństwa sam na sam z tymi strasznymi facetami; przypominam sobie mordy knajackich pachanów... nie siedząc już od lat dziesięciu — trudno zgadnąć *kto* tam teraz siedzi? Polityczni — jakby już na wolności. Różne grupy narodowe — też...

Jeden z odpychających staruszków (ten bez gwiazdy) pragnie wiedzieć, co myślę o głodówkach: nie potępiam chyba sztucznego odżywiania jeżeli jego skład kaloryczny jest lepszy niż w bałandzie[15]?

Ale tu staję dęba i ryczę im o prawie zeka nie tylko do głodówki — tego jedynego środka obrony własnego „ja", lecz również do śmierci z głodu.

Moje wywody sprawiają na nich wrażenie dziwacznego wybryku. A we mnie wszystko jest przyszyte: nie mogę przecież mówić z nimi o tym, co łączy problem głodówek z problemem opinii publicznej.

Wychodzę znużony i rozbity: zachwiałem się nawet trochę w moich przekonaniach, oni zaś — bynajmniej. Wszystko i tak zrobią jak sobie zamierzyli, a Najwyższy Sowiet zatwierdzi projekt jednogłośnie.

*Minister Ochrony Porządku Publicznego, Wadim Stiepanowicz Tikunow.* Czy to

sen, czy mara? Ja, nędzny katorżnik SZCZ-232 mam uczyć ministra spraw wewnętrznych, jak powinien rządzić Archipelagiem?!...

[15] Dopiero od Marczenki dowiadujemy się o nowym sposobie: wlewają przez rurę wrzątek, aby wywołać ciężkie oparzenie przełyka.

482

Jeszcze na przedpolu gabinetu ministra — mnóstwo pułkowników; są krągłogłowi, czyści i zadbani, a zarazem nadzwyczaj ruchliwi. W gabinecie osobistego sekretarza ministra nie widać żadnego przejścia do dalszych komnat. Stoi tam za to olbrzymia kryształowa szafa z marszczonymi jedwabnymi zasłonkami wewnątrz; może się w niej zmieścić dwóch konnych. Okazuje się, że to jest właśnie tambur, coś w rodzaju przedsionka, z którego wchodzi się do gabinetu ministra. W samym gabinecie zmieści się doskonale 200 osób.

Minister jest chorobliwie otyły, szczęka masywna, twarz trapezowata, rozszerzająca się ku dołowi. Przez cały czas rozmowy zachowuje ton ściśle oficjalny, wysłuchuje mnie bez wszelkiego zainteresowania, ot, z obowiązku.

Ja zaś wygłaszam przed nim tę samą moją tyradę o „sanatorium". I stawiam znów te same, retoryczne pytania: czy jest naszym (to znaczy moim i jego) wspólnym zadaniem praca nad reedukacją zeków? (Co myślę o tej „reedukacji", napisałem w części IV). I na co zdały się zmiany wprowadzone w 1961 roku? Po co te cztery stopnie reżymu? I powtarzam te nudne rzeczy, o których była mowa w tym rozdziale — o wyżywieniu, o kantynie, o paczkach, o odzieży, o samowoli, o wyczynach Praktyków. (Listów nawet nie przyniosłem, obawiając się, że mi je tu capną — tylko wypisałem cytaty, nie podając nazwisk autorów). Przemawiam tak jakieś 40 minut albo nawet godzinę, bardzo jakoś długo i sam się dziwię, że wciąż mnie słucha.

Przerywa mi od czasu do czasu ale tylko po to, aby od razu wyrazić zgodę albo z punktu odrzucić mój argument. Jego odpowiedzi nie są jednak miażdżące. Spodziewałem się wyniosłego muru, tymczasem Tikunow jest bardziej ustępliwy, niż sądziłem. Z wieloma moimi wywodami zgadza się! Zgadza się, że należy zwiększyć sumę przeznaczoną na wydatki w kantynie i że paczek powinno być więcej, i że nie należy reglamentować z góry składu tych paczek jak to czyni Komisja Projektów Ustaw (ale to nie od niego zależy, decydować o tym będzie nie minister, tylko nowy Kodeks Pracy Poprawczej); zgadza się, ażeby więźniowie mogli gotować i smażyć ze swoich zapasów (tylko gdzie te zapasy); żeby korespondecja i druki mogły przychodzić w nieograniczonej ilości (tylko że to ogromny wysiłek dla cenzury obozowej); jest przeciwnikiem przesady — na przykład z chodzeniem tylko w szeregu, jak za czasów Arakczejewa (ale nie bardzo wypada mu wtrącać się do tego: dyscyplinę łatwo rozchwiać, a trudno ją zaprowadzić); zgadza się, że trawy w żonie nie należy wypalać (ale skądinąd w Dubrowłagu, tuż koło warsztatów mechanicznych więźniowie założyli, wyobraźcie sobie, grządki i spędzali przy nich wolne chwile, a każdy

483

miał po dwa-trzy metry kwadratowe, na których hodował ogórki czy pomidory; otóż minister kazał wszystko to zlikwidować i był z tego dumny! Powiedziałem mu: „związek z ziemią ma na człowieka wpływ umoralnia-jący", a ten mi odparł: „indywidualne ogródki sprzyjają rozbudzeniu się w człowieku prywaciarskich instynktów"). Minister aż się wzdryga: tak, to było straszne, kiedy ludzi przeniesionych już poza żonę zmuszano znów do powrotu poza druty. (Niesporo mi jakoś zapytać, kim był w tym okresie i jak starał się temu zarządzeniu przeciwdziałać). Ba, minister przyznaje, że traktowanie zeków jest teraz *surowsze* niż za czasów Iwana Denisowicza!

Wobec tego nie mam go o czym przekonywać! W ogóle nie mam o czym z nim gadać. (On zaś nie ma powodu, aby notować propozycje człowieka nie zajmującego żadnego stanowiska).

A cóż tu proponować? — zwolnić cały Archipelag spod straży, znieść konwój? — nie przechodzi mi to przez gardło — utopia! Zresztą żaden poważny problem nie zależy od pojedynczego człowieka, wije się jak wąż między rozmaitymi instytucjami, nie będąc w wyłącznej gestii żadnego z nich.

Minister zaś z całym przekonaniem twierdzi, że pasiaki dla recydywistów są konieczne („gdybyście wiedzieli, co to za ludzie"). Natomiast moje zarzuty dotyczące zachowania się nadzorców i konwojentów wydają się dotykać go osobiście: „coś się warn poplątało albo to wasze indywidualne podejście, będące skutkiem waszych kolei życiowych". Zapewnia mnie, że nikt nie chce pracować jako nadzorca, ponieważ *skończyły się dla nich ulgi.* („Ależ w tym, że nie pchają się tam — widać wpływ zdrowego ludowego instynktu" — chciałbym krzyknąć, ale nici ostrzegawcze szarpią mnie za uszy, za powieki, za język. Zapominam zresztą powiedzieć, że brak kandydatów tylko na sierżantów i frajtrów, natomiast na stanowiska oficerskie jest ich aż nadto). Trzeba kierować więc rekrutów. Dalej minister utrzymuje, że po chamsku zachowują się jedynie więźniowie, nadzorcy zaś rozmawiają z nimi wyjątkowo grzecznie.

Gdy taka jest różnica między listami nędznych zeków a słowami ministra, to komu tu wierzyć? Jasne, że więźniowie kłamią.

Minister powołuje się również na własne obserwacje — bywa przecież w obozach, ja natomiast nie. Czy nie chciałbym pojechać? — Kriukowo, Dubrowłag? (Już skwapliwość, z jaką wymienił te dwie nazwy, świadczy, że chodzi o instytucje potiomkinowskie. I j a k o k t o mam tam jechać? Jako kontroler z ministerstwa? Nie będę mógł przecież zekom w oczy spojrzeć... Odmawiam więc).

Minister zaś powiada mi, że więźniowie obojętnie odnoszą się do wszystkich wysiłków administracji, mających na celu ich dobro. Przyjeżdżasz na

484

przykład do kolonii w Magnitogorsku i pytasz: „Czy są jakieś skargi w sprawie traktowania?" — i chociaż komendant obozu stoi tuż obok, krzyczą chórem: „Nie ma skarg!".

A oto jakie minister znalazł dowody, że wychowanie w obozie przynosi skutki:

- widział robotnika dumnego z pochwały, jaką go wyróżnił komendant obozu;
- widział zeków dumnych z tego, że wyrabiane przez nich przedmioty (chodziło o sterylizatory) posłane zostaną na heroiczną Kubę;
- dowodem było również sprawozdanie i wybory nowych członków do obozowej „Sekcji Wewnętrznego Porządku (Suka Wyszła Posiusiać);
- a także wielka obfitość kwiatów (sadzonych na rozkaz) w Dubrowłagu.

Uważa, że najważniejszym zadaniem jest stworzenie własnej bazy przemysłowej we wszystkich obozach. Minister sądzi, że atrakcyjna praca jest najlepszym antidotum przeciw ucieczkom[16]. (Gdy odpowiadam mu argumentem o „ludzkiej tęsknocie do wolności" — nie rozumie nawet o czym mówię).

Wychodzę znużony rozmową ze smutnym przekonaniem, że nie dojdę do żadnego kłębka. Że nie udało mi się niczego zmienić, że dookoła Wojtek. Wyszedłem zgnębiony przepaścią, jaka dzieli ludzkie poglądy na te same sprawy. Ani zek nie potrafi zrozumieć ministra, póki nie zasiądzie przy jego biurku, ani minister nie może zrozumieć zeka, póki sam nie znajdzie się za drutami, nie stratują mu grządek i zamiast wolności nie zaproponują sterczenia w obozie przy maszynie.

*Instytut badań nad źródłami przestępczości.* Bardzo interesująca była ta konwersacja z dwoma inteligentnymi zastępcami dyrektora i kilkoma pracownikami naukowymi. Żywi ludzie; każdy broni własnych opinii, dyskutują ze sobą. Później jeden z wicedyrektorów, W.N. Kudriawcew, odprowadzając mnie do wyjścia, powiedział na korytarzu z pewnym wyrzutem: „Nie, nie bierzcie jednak pod uwagę wszystkich punktów widzenia, a Tołstoj na pewno by to zrobił...". I nagle skręcił podstępem w stronę jakichś drzwi: „Wpadnijmy na chwilkę, przedstawię warn naszego dyrektora, Igora Iwanowicza Karpieca".

Tej wizyty nie było w planie! Wszystkośmy już obgadali, po co to? Ale mniejsza, wszedłem tylko, aby się przywitać. Akurat! witać się? z tobą? Aż

" Tym bardziej, że jak wiemy teraz od Marczenki — zbiegów już nie łapie się żywcem, tylko zabija na miejscu.

485

się nie chce wierzyć, że ci mili kłótnicy i szefowie sektorów pracują pod berłem *tego* dyrektora, że to *on* kieruje całą pracą naukową. (Najważniejszej rzeczy jeszcze wtedy nie wiedziałem: Karpiec jest wiceprezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawników-Demokratów!).

Podniósł się na mój widok zza biurka z miną nieprzyjazną i wzgardliwą (zdaje pę — że cała nasza pięciominutowa rozmowa odbyła się na stojąco) — tak, jakbym długo starał się był o audiencję i wreszcie z trudem ją dostał; mniejsza. Ma na twarzy napisane, że jest syty i dobrze usytuowany, twardy i nieustępliwy, a także pełen odrazy (to już — do mnie). Na piersi, bez żadnej litości dla sukna eleganckiej marynarki,

przykręcony ma znaczek wielkości orderu: pionowy miecz pod którym coś się wije, a w otoku napis — MWD. (Jest to jakiś nader ważny znaczek. Jest oznaką, że posiadacz szczególnie już dawno ma „czyste ręce, gorące serce i chłodną głowę").

— Więc *o co,* o co właściwie chodzi? — mówi z niechętnym grymasem. Nic mi po nim, ale skoro już tu jestem, grzeczność każe to i owo po wtórzyć.

— A-a — coś dotarło wreszcie do uszu prawnika-demokraty — libera lizacja? *Cackać się* z zekami?

I tu nieoczekiwanie otrzymuję wyczerpujące odpowiedzi, których daremnie szukałem wśród marmurów i kryształów:

Polepszyć byt więźniów? *Nie wolno!* Bo wtedy wolni, mieszkający wokół obozów, żyć będą na niższym poziomie niż więźniowie — to niedopuszczalne.

Zwiększyć ilość i wagę paczek? *Nie wolno!* Bo wywrze to fatalne i szkodliwe wrażenie na nadzorcach, którzy nie otrzymują żywności ze stolicy.

Wychowywać nadzorców, wytykać im błędy? *Nie wolno!* Wszystko u nas na nich się opiera! Nikt nie chce brać się do tej roboty, a płacić im wiele nie możemy, pozbawiono ich już różnych ułatwień.

Nie stosujemy do więźniów socjalistycznej zasady sprawiedliwej opłaty za pracę? Oni sami wykreślili się ze społeczeństwa socjalistycznego!

Ale przecież chcemy, aby przywrócić ich życiu?!...

Przywrócić???... — kawaler mieczowy jest zdumiony. — Obóz nie po to istnieje. Obóz to *kara!*

Kara! — huczy w całym gabinecie. — Kara!!

Karrra!!!

Sterczący pionowo miecz — wbija się, wrzyna, ani go wyrwać!

Ka-ra!!

Archipelag istniał, Archipelag trwa, Archipelag wszystko przetrwa!

Bo inaczej — kto by płacił za omyłki Przodującej Teorii? — za to, że ludzie nie rodzą się takimi, jakimi ich zaplanowano?

486

## III

## PRAWO DNIA DZISIEJSZEGO

Jak już o tym mógł czytelnik tej książki się przekonać, w kraju naszym, poczynając od pierwszych dni stalinowskiej ery, nie było żadnych więźniów politycznych. Wszystkie te wielomilionowe tłumy, które tu przepędzono, het, precz przed naszymi oczyma, wszystkie mnogie miliony Pięćdziesiątki Ósemki — składały się ze zwyczajnych *kryminalistów.*

A już gadatliwy, jowialny Nikita Siergiejewicz na wszystkich trybunach powtarzał z tym większym przekonaniem: *polityczni?* Nie!! U nas nie ma takich!

I spójrzcie tylko, co znaczy owa zdolność krzywdy do rozchodzenia się po kościach, zdolność walca do wyrównania nawet całej góry, skłonność skóry do obrastania sadłem: bośmy w to niemal wierzyli! Nawet starzy więźniowie. Toć na naszych oczach puszczano do domów miliony zeków — więc mogło się wydawać, że żadnych politycznych już tam nie zostało, bo jakże inaczej? Przecież myśmy — wrócili, do nas też wrócili, i w ogóle wrócili nasi. Krąg naszych znajomych, miejskich inteligentów też jakby wypełnił się i zamknął. Budzi się człowiek rano, po dobrze przespanej nocy, patrzeć — a nikogo z domu nie zabrano, znajomi telefonują jak zwykle, nikogo nie brak. Nie żebyśmy tak do końca uwierzyli, ale przyjęliśmy do wiadomości, że co do politycznych, to w zasadzie nikt teraz za to nie siedzi. No, powiedzmy że kilkuset Bałtów nawet dzisiaj (1968) jakoś nie dostaje pozwolenia na powrót do swoich republik. No i jeszcze z Tatarów kryms-kich wciąż nie zdjęto klątwy — ale to tylko sprawa czasu... Na oko wszystko było jak zawsze, podobnie jak za Stalina — gładkie, czyste i zupełnie nie budzące podejrzeń.

487

A Nikita nie schodził wprost z trybuny: „Do takich zjawisk i faktów, nie ma powrotu — ani w naszej partii, ani w kraju". (22 maja 1959 roku, jeszcze przed Nowoczerkasskiem). „Teraz w naszym kraju lżej się oddycha... jesteśmy spokojni i p dzień dzisiejszy i o jutrzejszy". (8 marca 1963 roku, już po Nowoczerkassku).

Nowoczerkassk! Jedno z tych miast Rosji, w których jej fatum się spełnia. Jakby nie dość mu było blizn po wojnie domowej — jeszcze raz nadstawił karku pod szable.

Nowoczerkassk! Całe miasto, całe powstanie w mieście tak zaklajstro-wać, tak ukryć dokładnie! Mgła powszechnej dezinformacji nawet za Chru-szczowa była wciąż tak gęsta, że nie tylko za granicą o Nowoczerkassku nic nie wiedziano (bo i radio zagraniczne nic nam o nim nie mówiło), ale nawet wszelkie miejscowe pogłoski zadeptane zostały od razu, blisko ognia, wieść się nie rozeszła i większość naszych współobywateli nic nie wie o tym fakcie, o tej dacie: Nowoczerkassk, 2 czerwca 1962 roku.

Powtórzmy więc tu to wszystko, czego sami zdołaliśmy się dowiedzieć.

Można rzec bez przesady, że zadzierzgnął się wtedy ważny węzeł najnowszych dziejów rosyjskich. Wyjąwszy bardzo poważny (ale zakończony w sposób pokojowy) strajk tkaczy z Iwanowa na przełomie lat 20. i 30. — nowoczerkasska eksplozja była pierwszym od 41 lat (od Kronsztatu, Tambowa i Syberii Zachodniej) ludowym buntem — przez nikogo nie przygotowanym, nie dowodzonym, niesztucznym, była krzykiem duszy, że dalej tak żyć nie sposób.

W piątek 1 czerwca opublikowano na terenie całego kraju jedno z hołubionych dawno, ulubionych chruszczowowskich rozporządzeń o podwyżce cen wyrobów mięsnych i masła. A tymczasem — w trybie wykonania planu ekonomicznego, wcale z pierwszym nie związanego, tego samego dnia w dużych nowoczerkasskich zakładach budowy elektrowozów (NEWZ) obniżono robotnikom normy płac o 30%. Rano robotnicy z dwóch oddziałów fabrycznych (kuźni — i

gorącej obróbki metalu) nie bacząc na tradycyjne posłuszeństwo, przyzwyczajenie i kierat produkcyjny — nie mogli zdecydować się na przystąpienie do pracy: za bardzo ich już z obu stron przypiekło! Głośne niespokojne rozmowy przemieniły się stopniowo w żywiołowy wiec. Wydarzenie zupełnie powszednie na Zachodzie, u nas zupełnie niebywałe. Ani inżynierowie, ani inżynier naczelny nie potrafili robotników uspokoić. Zjawił się dyrektor fabryki Kuroczkin. Na pytanie robotników: „Skąd teraz weźmiemy na życie?" — ten syty pasibrzuch odparł: „Żarliście paszteciki z mięsem — teraz będziecie żreć z powidłami!". Omal nie rozszarpano Kuroczkina i jego świty, ledwie zdążyli uciec. (Może gdyby znalazł inną odpowiedź — jakoś by się wszystko uspokoiło).

488

Koło południa strajk objął już cały ogromny NEWZ. Posłano łączników do innych fabryk, robotnicy tam wahali się, ale w końcu strajku nie poparli. Niedaleko zakładów biegnie linia kolejowa Moskwa — Rostów. Już to dlatego, by w Moskwie jak najprędzej dowiedziano się
0 wypadkach, już to — aby utrudnić dowóz wojska i czołgów —
mnóstwo kobiet usiadło na torach, chcąc zatrzymać przejeżdżające pocią
gi. Rozmach strajku — był nietuzinkowy, zresztą na miarę tradycji rosyj
skiego ruchu robotniczego. Na budynku zakładów pojawiły się transpa
renty: „Precz z Chruszczowem!", „Chruszczowa na kiełbasę!". W stronę
zakładów (wraz z otaczającą je osadą położone są one za rzeką Tuzłow,
w odległości 3-4 kilometrów od miasta) natychmiast zaczęto ściągać od
działy wojska i milicji. Na moście przez rzekę Tuzłow stanęły czołgi.
Wprowadzono godzinę policyjną: od wieczora do rana wzbroniony był
wszelki ruch w mieście i na moście.

Osada fabryczna nie ucichła nawet w nocy. Nocy tej aresztowano i odwieziono do gmachu miejskiej milicji około trzydziestu robotników — „podżegaczy".

Rankiem 2 czerwca przyłączyły się do strajku również inne przedsiębiorstwa w Nowoczerkassku (wcale jednak nie wszystkie). Na NEWZ-ie — zaczął się zwykły żywiołowy wiec, na którym postanowiono urządzić demonstrację, iść do miasta i zażądać tam zwolnienia aresztowanych robotników. Pochód (początkowo szło zresztą nie więcej niż 300 ludzi, przecież strach!) z kobietami i dziećmi, z portretami Lenina i spokojnymi w tonie transparentami, przeszedł obok czołgów stojących na moście i — nie zatrzymywany przez nikogo — ruszył w górę miasta. Tu szybko zaczął się powiększać, bo przyłączali się do demonstrantów i gapie, i niektórzy robotnicy z innych fabryk, i wszędobylscy chłopcy. Tu i ówdzie manifestanci zatrzymywali ciężarówki i z ich wysokości wygłaszali przemówienia. Całe miasto wrzało. Pochód z NEWZ-u przemaszerował główną ulicą (Moskiewską)
1 tu część demonstrantów zaczęła szturmować zamknięte wrota miejskiej
komendy milicji, sądząc że tam siedzą aresztowani towarzysze. Odpowie
dziano im salwami z pistoletów. Ulica prowadziła dalej do placyku z pom
nikiem Lenina[1], później rozdwajała się, obejmując skwer dwoma wąskimi

alejami i zbiegała się przed komitetem miejskim partii (mieścił się w daw nym pałacu atamana, tym samym, w którym zginął generał Kaledin). Wszystkie ulice pełne były ludzi, a tu, na placu przed komitetem — było już czarno. Mnóstwo chłopaków wdrapało się na drzewa, aby lepiej wi dzieć.

' Stanął na miejscu posianej na złom rzeźby Klodta, przedstawiającej atamana Płatowa.

489

Komitet miejsk' był pusty — miejskie władze uciekły do Rostowa[2]. Wewnątrz gmachu — pełno tłuczonego szkła i papierów na podłogach, całkiem jak przy odwrocie za czasów wojny domowej. Koło dwudziestu robotników przebiegło puste sale pałacowe; wyszli potem na balkon i zwrócili się do tłumu z improwizowanymi przemówieniami.

Było koło 11 rano. Milicja zniknęła z miasta, wojska było za to coraz więcej. (Jest to fakt znamienny: już w pierwszej chwili strachu władze cywilne schowały się za plecami armii). Żołnierze obsadzili urząd pocztowy, radiostację, bank. W tym momencie cały Nowoczerkassk już był otoczony pierścieniem wojska, przecięty był dostęp do miasta i uniemożliwione wyjście z niego. (Pierścień zewnętrzny sformowany był również z elewów ros-towskich szkół oficerskich; część zostawiono w Rostowie dla służby patrolowej). W górę ulicy Moskiewskiej, szlakiem demonstracji, w stronę komitetu miejskiego powoli popełzła kolumna czołgów. Chłopcy włazili na ich pancerze i zatykali szmatami wyziory. Czołgi kilkakrotnie wystrzeliły ślepymi nabojami z dział, brzęknęły szyby wybite wstrząsem z okien i witryn, chłopcy rozbiegli się, czołgi popełzły dalej.

A studenci? Przecież Nowoczerkassk to studenckie miasto! Gdzie są studenci?... Studenci Politechniki, innych szkół wyższych i kilku technicznych siedzieli od samego rana *pod kluczem* w swoich bursach akademickich i gmachach uczelni. Zmyślni ci rektorzy! Ale dodajmy tez: ci studenci nie bardzo się popisali obywatelską żyłką. Zapewne radzi byli z takiego usprawiedliwienia. Innych studentów, z krajów na zachód od Rosji leżących (albo naszych dawnych, przedrewolucyjnych) żadna kłódka na drzwiach chyba by nie zatrzymała.

Wewnątrz komitetu miejskiego zaczęła się jakaś przepychanka mówców jednego po drugim wciągano do środka, na balkonie zamiast nich zaczęli się pojawiać wojskowi i robiło ich się coraz więcej (czy nie tak samo wychodzili oficerowie na balkon zarządu Stepłagu, aby przyjrzeć się kengirs-kiemu buntowi?). Obrawszy sobie za punkt wyjścia maleńki placyk pod samym pałacem, tyraliera strzelców z pepeszami jęła odpychać tłum w stronę parkanu otaczającego skwer. (Świadkowie twierdzą jednogłośnie, że *ci* żołnierze nie byli Rosjanami. Byli to chłopcy z Kaukazu, dopiero co przywiezieni z drugiego krańca okręgu wojskowego. Przyszli na miejsce stoją-

[2] Pierwszy sekretarz rostowskiego obkomu — Basów (którego imię, obok imienia

generała Plijewa, dowódcy Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego znajdzie się przecież kiedyś na tablicy uwieczniającej miejsce i fakt masowej rzezi) w ciągu tego ranka zdążył przyjechać do Nowoczerkasska, ale szybko z niego uciekł bardzo wystraszony (podobno zeskoczył nawet z balkonu drugiego piętra) — i wrócił do Rostowa. Od razu po wypadkach nowoczerkasskich posłany został w misji na bohaterską Kubę.

490

cego tu przedtem oddziału, należącego do tutejszego garnizonu. Ale dalsze zeznania są sprzeczne: nie wiadomo czy prawdą jest, że oddział który stał tu przedtem, otrzymał rozkaz strzelania — ale rozkazu nie wykonano dlatego, że kapitan dowodzący pierwszym oddziałem nie zakomenderował — „ognia", tylko zastrzelił się przed szeregiem[3]. Publiczne samobójstwo oficera zdaje się nie budzić wątpliwości, ale niezbyt jasne są relacje o jego okolicznościach, nikt przy tym nie potrafi wymienić nazwiska tej bohaterskiej ofiary własnego sumienia. Tłum cofał się powoli, jednakże nikt nie oczekiwał nieszczęścia. Nie wiadomo, kto tym razem wydał komendę[4] — ale *ci* żołnierze podnieśli automaty i oddali pierwszą salwę w powietrze, ponad głowami.

Być może generał P1 i j e w nie miał z początku zamiaru strzelania do tłumu, ale wypadki potoczyły się własnym torem: pociski, które miały przejść ponad głowami, przeszyły korony drzew na skwerze i z gałęzi posypali się siedzący tam chłopcy. Tłum zaniósł się rykiem — i wtedy żołnierze — na rozkaz, czy może ogarnięci krwawym szałem albo strachem — zaczęli szyć gęsto w kłębiącą się masę ludzką, co gorsza — kulami dum-dum[5] (pamiętacie Kengir? i tych szesnastu przed odwachem?).

Tłum ogarnęła panika, ludzie rzucili się do ucieczki, tłocząc się w alejkach otaczających skwer — ale *wojsko strzelało dalej w plecy uciekających.* Żołnierze strzelali dopóty, dopóki nie opustoszał cały wielki plac za skwerem, za pomnikiem Lenina, ciągnący się między byłym prospektem Płatowa a ulicą Moskiewską (pewien świadek naoczny opowiadał mi, iż zdawało się, że wszystko zawalone jest formalnie trupami. Ale rannych też tam było wielu, to jasne). Dane pochodzące z wielu źródeł świadczą zgodnie, że zabito wtedy 70-80 ludzi[6]. Żołnierze zaczęli zatrzymywać samochody i autobusy, ładowali do nich zabitych i rannych i odsyłali je do wojskowego szpitala, otoczonego wysokim murem (jeszcze przez kilka dni autobusy te kursowały z okrwawionymi siedzeniami).

Podobnie jak w Kengirze robiono tego dnia zdjęcia fotograficzne i filmowe buntowników na ulicach miasta.

Gdy strzelanina skończyła się i pierwszy strach minął — tłum znowu

[3] Według tej wersji żołnierze, którzy odmówili strzelania do tłumu, zesłani zostali do
Jakucji.

[4] Mogli wiedzieć tylko ci, którzy stali blisko, ale wszyscy oni albo zostali zabici, albo
wyaresztowani.

[5] Według wiarygodnych relacji — wśród zabitych 47 osób padło ofiarą samych tylko
kul dum-dum.
[6] Nieco mniej niż przed Pałacem Zimowym; rocznice 9 stycznia obchodziła cała roz
gniewana Rosja, a kiedyż zaczniemy obchodzić rocznicę 2 czerwca?

491
wrócił na plac i wojsko *znowu strzelało* do ludzi. Wszystko to działo się między dwunastą w południe a pierwszą.

Oto zaś co zobaczył pewien uważny obserwator o godzinie drugiej:

„Na placu przed komitetem miejskim partii stoi osiem czołgów rozmaitych typów. Przed nimi — rozciągnięty szereg żołnierzy. Plac jest prawie pusty, widać na nim tylko małe grupy, składające się z młodzieży i wykrzykujące coś pod adresem wojskowych. Na placu, tam gdzie w asfalcie są wyboje — kałuże krwi. Wcale nie przesadzam, nie przypuszczałem dotąd, że można zobaczyć tyle krwi naraz. Ławki na skwerze splamione są krwią, widać krwawe plamy na wysypanych piaskiem ścieżkach, na bielonych wapnem pniach drzew ogrodowych. Cały plac porznięty był śladami gąsienic. O mur komitetu partyjnego oparty był czerwony sztandar, który nieśli demonstranci. Na górnym końcu drzewca wisiała szara cyklistówka zbryzgana burą krwią. Na fasadzie komitetu widniał zaś czerwony transparent, dawno już tam wiszący, z napisem: „Naród z Partią, Partia z Narodem!".

Ludzie podchodzą do żołnierzy nie szczędząc im wyrzutów i wyzwisk: „Jak mogliście to zrobić?", „Do kogoście strzelali? Do prostych ludzi?!". Żołnierze starają się odeprzeć zarzuty: „To wcale nie my! Nas dopiero co tu przywieźli i postawili. Niceśmy o tym wszystkim nie wiedzieli".

Nie sposób naszym mordercom odmówić przemyślności (a powiadają o nich, że to nieruchawi biurokraci): t a m t y c h żołnierzy zdążyli już usunąć z placu i przysłali tu zaskoczonych rosyjskich chłopców. Generał Plijew zna się na rzeczy...

Stopniowo, gdzieś koło piątej, szóstej po południu plac znów wypełnia się ludźmi. (Dzielni nowoczerkasscy! Miejskie radio nadaje przez cały czas: „Obywatele nie idźcie na lep prowokacji! Rozejdźcie się do domów!". Wszędzie żołnierze z automatami, krew jeszcze nie zmyta, a ci wciąż swoje). Zaczynają się krzyki, jest ich coraz więcej i znów żywiołowy wiec. Wiadomo już, że do miasta przyleciało (a może już tu byli przed pierwszą strzelaniną?) sześć grubych ryb z KC — a wśród nich rzecz jasna, Mikojan (specjalista od budapesztariskich rozwiązań), Susłow i Froł Kozłów (co do pozostałych — informacje nie są tak ścisłe). Zatrzymali się jak w wartowni w gmachu byłego korpusu kadetów. Delegacja młodych robotników z NEWZ-u poszła, aby opowiedzieć im o przebiegu wydarzeń. W tłumie słychać krzyki: „Niech tu Mikojan przyjdzie! Niech sam popatrzy na tę krew!". Nie, Mikojan tu nie przyjdzie. Ale helikopter oblatuje nisko cały plac, widać z niego wszystko. Odleciał.

492

Delegacja robotnicza wraca. Jak ustalono wcześniej, żołnierze rozstępują się przed delegatami i ci — w towarzystwie oficerów — wychodzą na balkon komitetu. Cisza. Delegaci zawiadamiają zebranych, że byli u członków KC, że opowiedzieli im o tej „krwawej sobocie" i że Kozłów płakał, gdy usłyszał, jak po pierwszej salwie posypały się dzieci z drzew. (Kto nie zna Froła Kozłowa — przywódcy leningradzkich złodziei partyjnych, zawziętego stalinowca? — otóż płakał!...). Członkowie KC obiecali, że przeprowadzone będzie dochodzenie w sprawie tych wypadków, a winni zostaną surowo ukarani (a jakże, w specobozach też nam to obiecano), teraz natomiast trzeba, aby wszyscy rozeszli się do domów i żeby w mieście zapanował spokój.

Ale wiec wcale się nie skończył! Pod wieczór ludzi zebrało się jeszcze więcej. Co za dzielni ludzie w tym Nowoczerkassku! (Powiadali niektórzy, że brygada biura politycznego tego wieczoru podjęła uchwałę o *wysiedleniu całej ludności miasta!* A wierzę, nic by tu nie było dziwnego po wywózce całych narodów. Czy nie ten sam Mikojan stał wtedy u boku Stalina?).

Koło dziewiątej wieczór próbowali odpędzić tłum od pałacu puszczając czołgi w ruch. Ale gdy tylko czołgiści uruchomili silniki ludzie oblepili formalnie pancerze, pozasłaniali włazy i wyziory. Silniki umilkły. Strzelcy z automatami stali opodal nie idąc wcale na pomoc pancernym.

Po jakiejś godzinie czołgi i transportery pancerne pojawiły się z drugiej strony placu. Zmontowane miały na pancerzach specjalne osłony desantowe dla strzelców. (Ma się to doświadczenie frontowe! To myśmy przecież pobili faszystów!). Jadąc z dużą szybkością (przy gwizdach młodzieży, stojącej na trotuarach; studenci wyszli wieczorem z zamkniętych burs) zdołały oczyścić jezdnię ulicy Moskiewskiej i byłego prospektu Płatowa.

Dopiero koło północy strzelcy zaczęli walić z automatów pociskami świetlnymi w powietrze i tłum powoli jął się rozchodzić.

(Jaką potęgę mają ludowe rozruchy! Jak szybko zmienia się dzięki nim sytuacja w państwie! Poprzedniego wieczoru — godzina policyjna, wszędzie panuje lęk — a dziś całe miasto na ulicach i wszyscy gwiżdżą sobie na wojsko. Czyżby skorupa tego półwiecza tak była cienka, czyżby ukrywał się pod nią całkiem inny naród i krążyło całkiem inne powietrze?).

3 czerwca radio miejskie nadało przemówienia Mikojana i Kozłowa. Kozłów nie płakał. Nie obiecywali też, że szukać będą winnych (na górze). Powiedziane zostało natomiast, że *zajścia sprowokowane zostały przez wrogów i wrogowie zostaną surowo ukarani.* (Przecież ludzie już się rozeszli, plac był pusty). Mikojan dodał jeszcze, że *kule dum-dum nie wchodzą w skład środków bojowych sowieckiej armii — a zatem użyte zostały przez wrogów.*

493

(Ale co to za wrogowie?... Na jakich spadochronach ich tu przyniosło? I gdzie się

podzieli? — zobaczyć by chociaż jednego! O, jakeśmy się już przyzwyczaili do robienia z nas durniów — „wrogowie" i od razu wszystko wydaje się zrozumiałe... Jak diabły w średniowieczu[7]...).

W sklepach z punktu pojawiło się mnóstwo śmietankowego masła, kiełbasy, których nigdy tu nie było, bo widuje się je tylko w stolicach.

Wszyscy ranni zaginęli bez wieści, nikt do miasta nie wrócił. Natomiast *rodziny* rannych i zabitych (ci ludzie szukali przecież swoich bliskich) zostały *zesłane na Syberię.* Ten sam los spotkał tych, których zauważono na miejscu zajść, czy sfotografowano; Miała miejsce cała seria niejawnych procesów sądowych wytoczonych uczestnikom demonstracji. Odbyły się też dwa procesy ,,przy drzwiach otwartych". Bilety wstępu rozdano sekretarzom fabrycznych organizacji partyjnych i pracownikom miejskiego aparatu partyjnego. Na jednym z tych procesów dziewięciu mężczyzn skazano na rozstrzelanie i dwie kobiety na 15 lat obozu.

Skład komitetu miejskiego nie uległ żadnym zmianom.

Następnej soboty — po tej „krwawej" — radio nadało komunikat:

„Robotnicy zakładów budowy elektrowozów podjęli zobowiązanie wykonania planu siedmioletniego przedterminowo".

... Gdyby ostatni car nie był słabeuszem, to zapewne rozkazałby, aby również 9 stycznia łapano w Petersburgu na ulicach robotników z fere-tronami i stawiano ich przed sądem za *bandytyzm.* I nie byłoby mowy o żadnym „ruchu rewolucyjnym".

W mieście Aleksandrów, w roku 1961, rok przed wypadkami w Nowo-czerkassku, milicja zatłukła na śmierć aresztowanego i później nie pozwoliła nieść go na cmentarz tą ulicą, na której stał komisariat. Tłum wpadł we wściekłość i komisariat spalił. Nastąpiły aresztowania. (Nie tak dawno coś podobnego zdarzyło się również w Muromie). Jak teraz kwalifikować aresztowanych? Za Stalina artykuł 58 wlepiano nawet krawczykowi, który wetknął igłę w gazetę. A teraz poszli po rozum do głowy: rozgromienia komisariatu milicji nie należy uważać za akt polityczny. Jest to wyłącznie chuligaństwo, bandytyzm. Taka właśnie instrukcja przyszła z góry: „Roz-

[7] Nauczycielka z Nowoczerkasska (!) w 1968 roku z całą pewnością siebie tak rzecz klaruje współpasażerom w przedziale kolejowym: „Żołnierze nie strzelali, raz tylko wystrzelili w powietrze dla ostrzeżenia. A strzelali dywersanci, i to kulami dum-dum. Skąd je wzięli? Dywersant ma wszystko co tylko zechce. Strzelali i do żołnierzy i do robotników... A robotnicy całkiem zgłupieli, rzucili się na żołnierzy, bili ich — jakby ci byli winni? A później Mikojan chodził po mieście, wstępował do mieszkań, żeby zobaczyć, jak ludzie żyją. Kobiety częstowały.go truskawkami...". Chwilowo t y l k o to zostaje na kartach historii.

494

ruchów masowych" — nie należy uważać za akty polityczne. (A cóż wtedy jest aktem politycznym?).

W ten sposób — więźniowie *polityczni* zniknęli.

A wciąż płynie przecież ten potok, który nigdy w ZSSR nie wysychał. Mowa o tych przestępcach, którzy nie doświadczyli „błogosławionych skutków owej fali, jaką powołała do życia..." itd. Potok płynący przez te wszystkie dziesięciolecia — zarówno wtedy, kiedy „wypaczano" leninowskie normy, jak wtedy, gdy ich przestrzegano. Za Chruszczowa ów potok wezbrał na nowo.

Chodzi mi tu o wierzących. O tych, którzy opierali się nowej, sztormowej fali, zatapiającej cerkwie. Zakonnicy, których wyrzucano z klasztorów (wiele takich faktów przytoczył Krasnow-Lewitin). Uparci członkowie sekt, zwłaszcza ci, którzy odmawiali pełnienia służby wojskowej (no, przepraszam — tu już nie możecie mieć pretensji, to już jest okazywanie bezpośredniej pomocy imperializmowi). Ale ponieważ przyszły teraz czasy tolerancji, więc masz tu bracie pięć lat, na początek.

No, ale ci — to już na pewno nie polityczni, to po prostu „religianci", których trzeba poddać zabiegom *wychowawczym:* wyrzucać z pracy tylko za to, że są wierzący; posyłać komsomolców, aby wybijali im szyby; zmuszać ich administracyjnie do uczęszczania na odczyty antyreligijne; palnikami acetylenowymi przecinać wrota cerkiewne, zwalać kopuły, ściągając je z dzwonnic łańcuchami, do których wprzęga się traktory; rozpędzać modlące się staruchy, polewając je wodą z hydrantów. (Czy na tym ma polegać dialog, towarzysze komuniści francuscy?).

Jak to oznajmiono zakonnikom z Poczajewa w Sowiecie Deputatów? — *„Gdybyśmy mieli przestrzegać wszystkich sowieckich praw, to komunizm kazałby na siebie długo czekać".*

I jedynie w skrajnych wypadkach, gdy zabiegi *wychowawcze* nie pomagają — trzeba uciekać się do pomocy *prawa.*

Ale tu właśnie możemy pochwalić się diamentowym blaskiem naszego dzisiejszego Prawa: nie sądzimy ich już przy drzwiach zamkniętych, jak przy Stalinie, nie sądzimy zaocznie — lecz w najgorszym wypadku półpub-licznie (to znaczy — z udziałem półpubliczności).

Mam tu w ręku pisaną relację: proces nad baptystami w miasteczku Nikitowka (zagłębie Donieckie, styczeń 1964).

Odbyło się to mniej więcej tak. Baptyści, którzy przyjechali specjalnie na proces, wpakowani zostali na trzy doby do kozy pod pretekstem sprawdzenia ich dowodów tożsamości (tymczasem proces się skończy, a strach zostanie). Pewien wolny obywatel, który podsądnym rzucił bukiecik kwiatów — obrywa dziesięć dni aresztu.Tak samo ukarano pewnego baptystę,

495

który stenografował przebieg procesu (stenogram zabrano, ale zachowała się kopia). Grupę wybranych komsomolców wpuszczono przez boczne drzwi jeszcze przed otwarciem sali, aby mogli zająć pierwsze rzędy. W trakcie procesu rozlegały się przeto okrzyki wśród publiczności: „Wszystkich ich oblać by naftą i podpalić!". Sąd puszcza mimo uszu te oznaki słusznego oburzenia. Charakterystyczne cechy procedury sądowej: zeznania zawistnych sąsiadów; zeznania nastraszonych małoletnich; sąd przesłuchuje nawet dziewięcio- i jedenastoletnie dziewczynki (byleby tylko mieć

odpowiedni materiał procesowy, a co dalej będzie z tymi dziewuszkami, to wszystko jedno). Ich zeszyciki z tekstami modlitw figurują jako dowody rzeczowe.

Jednym z podsądnych jest górnik Bazbej, ojciec dziewięciorga dzieci, który nigdy jednak nie otrzymał żadnej pomocy od kopalnianej organizacji związkowej, właśnie dlatego, że jest baptystą. Ale jego córkę, Ninę, uczennicę 8 klasy zdołano zastraszyć i przekupić (komitet dał jej 50 rubli), obiecując pomóc jej później w dostaniu się na uczelnię, więc w czasie śledztwa złożyła przeciw ojcu fantastyczne zeznania: że chciał otruć ją skwaśniałą lemoniadą; że gdy wierzący szli na wspólne, tajne nabożeństwa do lasu (w osadzie szykanowano ich za to) — chodzili tam po to, by uruchomić „nadajnik radiowy w postaci wysokiego drzewa oplecionego drutem". Skrucha, którą Nina poczuła po złożeniu fałszywych zeznań tak ją zadręczyła, że dziewczynka zapadła na chorobę umysłową i umieszczona została w oddziale dla furiatów miejscowego szpitala psychiatrycznego. Mimo to ściągnięto ją na proces, spodziewając się, że złoży właściwe zeznania. Ale dziewczyna wypiera się teraz wszystkiego! „Śledczy sam dyktował mi, co mam zeznawać". Nie szkodzi, bezwstydny sędzia ociera gębę i uznaje ostatnie zeznania Niny za nieważne, za ważne zaś — jedynie te, które złożyła w śledztwie. W ogóle, kiedy zeznania idące na rękę oskarżeniu nie trzymają się kupy — sąd stosuje zwykle chwyt nader charakterystyczny: macha ręką na wyniki dochodzenia sądowego, opierając się wyłącznie na dętych wynikach dochodzenia wstępnego: „No jak tak można?... A w śledztwie zeznawaliście przecież... A tu w protokole śledztwa jest napisane... Nie macie prawa teraz tego zmieniać!... Za to też idzie się pod sąd!".

Sędzia nie wnika w sedno sprawy, nie obchodzi go, gdzie jest prawda. Ci baptyści oskarżeni są o to, że nie uznają kaznodziejów, wyznaczonych przez ateistę-pełnomocnika państwowego, chcą zaś mieć swoich własnych (według reguły baptystów kaznodzieją może być każdy z braci). Obwodowy komitet partii zalecił, aby facetów skazać, odbierając im dzieci. I tak się stanie, chociaż dopiero co Prezydium Sowietu Najwyższego lewą ręką podpisało (2 lipca 1962) międzynarodową konwencję „o walce z dyskrymi-

496

nacją w dziedzinie wykształcenia"[8]. Jest tam taki punkt: „Rodzice powinni mieć możność zapewnienia dzieciom takiego religijnego i moralnego wykształcenia, które byłoby zgodne z ich własnymi przekonaniami". Ale właśnie na to nie możemy przecież pozwolić! Każdy, kto chce na tym procesie mówić o meritum sprawy, wyjaśniając, o co w niej właściwie chodzi — natychmiast traci głos albo też sędzia zbija go z tropu, stara się go zaplątać. Oto poziom sędziowskich argumentów: „Kiedyż to ma być koniec świata, skoro myśmy już zaplanowali budowę komunizmu?".

Fragment ostatniego słowa młodziutkiej dziewczyny, Żeni Chłoponin: „Zamiast chodzić do kina albo na tańce — czytałam Pismo Święte i modliłam się, a wy tylko za to pozbawiacie mnie wolności. Owszem, przebywać na swobodzie — to wielkie

szczęście, ale być wolnym od grzechu —jeszcze większe. Lenin powiedział: jedynie w Turcji i w Rosji zachowały się tak haniebne zjawiska, jak prześladowanie ludzi za ich przekonania religijne. W Turcji nie bywałam, więc nie wiem, a w Rosji — jak widzicie". Tu jej przerywają.

Wyrok: dwóch dostaje po 5 lat obozu, dwóch — po cztery, wielodzietny Bazbej —-3. Podsądni przyjmują wyrok *z radością* i modlą się. „Delegaci z miejsca pracy" wrzeszczą: „Za mało, dodać im jeszcze!" (Oblać naftą...).

Cierpliwi baptyści wzięli wszystko pod uwagę i stworzyli swoją „Radę rodzin uwięzionych", która zaczęła wydawać rękopiśmienne informacje 0 wszystkich prześladowaniach. Z biuletynu tego dowiadujemy się, że od 1961 do czerwca 1964 roku skazano 197 baptystów wśród nich 15 kobiet (wszyscy wymienieni są z nazwiska. Wyliczeni są również członkowie ro dzin więźniów, którzy zostali teraz bez środków do życia: jest ich 442, wśród nich 341 dzieci w wieku przedszkolnym). Większość dostaje 5 lat zesłania, ale niektórzy — 5 lat obozu o surowym reżymie (jeszcze krok 1 musieliby nosić pasiaki!), a na dodatek jeszcze trzy do pięciu lat zesłania. B.M. Zdorowiec z Olszan w obwodzie charkowskim dostał za praktyki religijne 7 lat surowego reżymu. Posłano za kraty 76-letniego J. W. Arenda, to samo stało się z całą rodziną Łozowów (ojciec, matka, syn). Eugeniusz M. Sirochin, inwalida, który zupełnie stracił wzrok na ostatniej wojnie, skazany został we wiosce Sokołowo (zmijowski rejon obwodu charkowskiego) na trzy lata obozu za to, że wychowywał w duchu chrześcijańskim swoje córki Lube, Nadię i Raję; zostały mu odebrane na mocy decyzji sądowej.

Sąd, który rozpatrywał sprawę baptysty M.I. Brodowskiego (miasto Ni-

**[8] No owszem — podpisaliśmy, bo chodzi o tych tam Murzynów amerykańskich. Bo inaczej — na co by się zdało?!**



kołajew, 6.X.1966) nie zawahał się ani chwili i włączył w charakterze dowodów niezręcznie sfałszowane dokumenty. Podsądny protestuje: „To nieuczciwość". W odpowiedzi słyszy warknięcie: „Nasze prawo zmiecie was z drogi, rozdepcze i zlikwiduje!"[9]. *Prawo* to już nie „represja pozasądowa" z tych lat, kiedy jeszcze u nas „przestrzegano norm".

Niedawno trafiło do rąk czytelników mrożące duszę „Podanie" („Cho-datajstwo") S. Karawanskiego, przemycone z obozu. Autor skazany został swego czasu na 25 lat. Odsiedział 16 (1944-1960), został wypuszczony (zapewne po odsiedzeniu „dwóch-trzecich"), ożenił się, wstąpił na uniwersytet, ale nic w 1965 roku przyszli po niego znów: zbieraj się! Nie dosie-działeś 9 lat.

Gdzie to jeszcze możliwe, w jakim jeszcze Prawodawstwie na całym świecie, prócz naszego? Nakładali ludziom na karki chomąta 25-letnich wyroków, których termin miał ubiegać w latach 70. Nagle — wchodzi w życie nowy kodeks (1961), jako

najwyższą karę przewidujący lat 15. Każdy student pierwszego roku prawa zrozumie, że tym samym anulowane są i zredukowane owe 25-letnie kary! Ale u nas — bynajmniej. Możesz wrzeszczeć do zachrypnięcia, walić głową **o** ścianę — obowiązują dalej. U nas — proszę z nami, raczy pan dosiedzieć swoje!

I takich ludzi jest wielu. Ci. których ominęła epidemia zwolnień za Chru-**szczowa** — nasi porzuceni w obozach towarzysze z brygad, koledzy z cel, sąsiedzi ze zborniaków. Dawnośmy o nich zapomnieli w naszym zaczętym od zera życiu, oni zaś z taką samą desperacją, tak samo posępnie i tępo snują się po tej samej piędzi wydeptanej ziemi, między tymi samymi wieżyczkami, wśród tych samych zasieków. Zmieniają się portrety w gazetach, zmienia się treść oracji wygłaszanych z trybun, to walczą z *kultem,* **to** przestają z nim walczyć —• a te ***dwudziestopięciolatki,*** chrześniacy nieboszczyka Stalina — wciąż jeszcze siedzą...

Mrożące krew w żyłach więzienne biografie niektórych z nich przytacza **Karawanski** w swojej książce.

Kochankowie wolności, „lewicowi" myśliciele Zachodu! O, radykalni labourzyści! O. postępowi amerykańscy, niemieccy, francuscy studenci! Waszym zdaniem — tego wszystkiego jeszcze za mało. Także cała ta moja książka **nic** dla was nie znaczy. Dopiero wtedy zrozumiecie wszystko — i to z punktu — kiedy („ręce do tyłu!"") sami poczłapiecie na nasz Archipelag.

' *A propos* — 100 lat temu odbył się proces narodowolców, znany jako „sprawa 193' Ileż to hałasu było. Boże mój! Piszą o nim w podręcznikach.

498

Ale istotnie — politycznych jest teraz nierównie mniej niż za Stalina; już nie na miliony i nie na setki tysięcy trzeba ich liczyć.

Czy dlatego p r a w o zmieniło się na lepsze?

Nie, zmienił się tylko (przynajmniej chwilowo) kurs okrętu. Wciąż tak samo wybuchają *epidemie prawne,* upraszczając znacznie procesy myślowe w głowach prawników. Nawet gazety służą tu sugestiami ludziom uczonym w piśmie: zaczęto pisać o chuligaństwie — to dowód, że modny jest artykuł traktujący o chuligaństwie i że odbywają się z tego tytułu masowe aresztowania. Piszą o trwonieniu państwowych środków — więc można być pewnym, że masa ludzi idzie pod klucz za przywłaszczenie mienia państwowego.

Dzisiejsi więźniowie piszą z kolonii zrezygnowanym tonem:

„Szukanie sprawiedliwości nie ma żadnego celu. W gazetach pisze się jedno, a w życiu widzi się coś zupełnie innego".
(W.l.D.)

„Sprzykrzyło mi się być banitą, wypędzonym z szeregów społeczeństwa i narodu. Ale gdzie można znaleźć sprawiedliwość? Śledczemu bardziej się ufa niż tobie. A co może wiedzieć i rozumieć taka 23-letnia smarkula, która prowadzi dochodzenie? Czy

może sobie wyobrazić na jaki los skazuje człowieka?".
(W.K.)

„Właśnie dlatego nie życzą sobie rewizji starych spraw, bo wtedy wielu z nich musiałoby pójść na grzybki".
(L-n)

„Stalinowskie metody śledztwa i wymiaru sprawiedliwości po prostu przeniesione zostały z dziedziny politycznej do kryminalnej, to wszystko".
(G.S.)

Wypunktujmy zatem to, co powiedzieli mi ci zadręczeni ludzie:

1. Rewizja spraw jest niemożliwa (bo to godzi w cały stan prawniczy);
2. Podobnie jak dawniej haratano ludzi artykułem 58, tak teraz harata się ich artykułami mówiącymi o przestępstwach kryminalnych (bo inaczej— skąd wezmą papu? i co wtedy stałoby się z Archipelagiem?).

Jednym słowem: powiedzmy, że jakiś obywatel chciałby pozbyć się innego obywatela, bo mu przeszkadza (oczywiście, nie chodzi o pozbycie się przy pomocy noża, nie, ma to być zrobione w majestacie *prawa).* Jak to zrobić na pewniaka? Dawnymi czasy trzeba było pisać donos na temat przewidziany w artykule 58-10. Dzisiaj zaś — należy tylko naradzić się

499

zawczasu *z pracownikami* (aparatu śledczego, milicji, sądownictwa) — a już *taki* obywatel właśnie *takich* przyjaciół zwykle miewa: co jest tego roku *en voguel* Na jaki „towar" zarzucono sieci? Jaka procedura sądowa przewidziana jest w danym wypadku? I już potem możesz dźgać bez żadnego noża.

Przez długi czas grasował na przykład artykuł dotyczący gwałtu: Ni-kita z rozpędu kazał któregoś dnia nie wlepiać mniej niż 12 lat. I tysiące młotków w całym kraju zaczęły sztancować te dwunastki, każdy kowal miał huk roboty! A jest to artykuł delikatny, intymny, zauważcie, że przypomina poniekąd sławetny paragraf 58-10: I tu i tam rzecz odbywa się w cztery oczy! i tam trudno sprawdzić i tu trudno sprawdzić, świadków na ogół się unika — a dla sądu właśnie to jest potrzebne.

Wzywają na przykład na posterunek milicji dwie niewiasty z Leningradu (sprawa Smiełowa). — Czy byłyście na prywatce w towarzystwie męskim? — Byłyśmy. — Czy doszło do stosunków płciowych? (A to już ściśle ustalone, donos był). — D-doszło. — Wobec tego jedno z dwojga: alboście te stosunki miały dobrowolnie, albo też niedobrowolnie? Jeżeli dobrowolnie, to mamy was od tej chwili za prostytutki, dawać tu dowody z lenin-gradzkim meldunkiem i w 48 godzin won z Leningradu! Jeżeli *niedob*-rowolnie — no to piszcie podania jako poszkodowane i wytaczamy sprawę o gwałt! Niewiasty wcale nie chcą wyjeżdżać z Leningradu. Partnerzy ich dostają zatem po 12 latek.

A oto historia M.J. Potapowa, mojego kolegi ze szkoły, nauczyciela. Wszystko zaczęło się od zwykłej rozróbki mieszkaniowej — sąsiedzi chcieli powiększyć

trochę swoją powierzchnię mieszkalną, wobec czego żona Potapowa, członkini partii, złożyła donos na sąsiada, że bezprawnie i pobiera rentę. A więc zemsta! Latem 1962 roku Potapow, człowiek spokojny i nie spodziewający się żadnych przykrych niespodzianek, wezwany został nagle do śledczego Wasiury i z wizyty tej już nie powrócił. (Czytelniku, ważna to nauka! W tak praworządnym państwie, jak nasze, może się to zdarzyć również z wami, i to każdego dnia, słowo!). Śledztwo było znacznie uproszczone dzięki temu, że Potapow już odsiedział 9 lat z artykułu 58 (a ponadto jeszcze w 40. latach nie zgodził się na złożenie fałszywych zeznań przeciwko towarzyszowi z ławy oskarżonych, co z punktu widzenia śledczego, czyni z niego postać szczególnie odrażającą). Wasiura mówi mu zupełnie otwarcie: Takich jak wy wpakowałem tylu, ile mam włosów na głowie, szkoda, że stare prawa nie są już w mocy". Przyleciała żona, próbuje męża wyciągnąć, a Wasiura powiada: „pluję na to z pierwszego piętra, że jesteś partyjna! Jak mi się spodoba, to ciebie też wsadzę!". (Jak to powiada zastępca prokuratora generalnego ZSSR,

500

N. Żogin[10]: „W niektórych artykułach i reportażach próbuje się pomniejszyć znaczenie pracy śledczego, zerwać z niego romantyczną aureolę. Dlaczego właściwie?"). W listopadzie 1962 roku Potapow staje przed sądem. Oskarżony jest

0 zgwałcenie 14-letniej Cyganki Nadii, mieszkającej na tym samym po
dwórzu i zdeprawowanie 5-letniej Oli, które w tym celu zapraszał na telewi
zję. W protokołach dochodzeń — na podstawie zeznań 6-letniego Wowy,
który nigdy w życiu nie widział aktu płciowego — opisany jest szczegółowo
1ze znajomością rzeczy stosunek płciowy jaki „Wujcio Misza" miał z Na-
dią, a co rzeczony Wowa obserwował ponoć przez okno — zbyt wysokie,
jak na jego wzrost, pokryte grubym szronem, zasłonięte choinką i opat
rzone firankami. (A za to *dyktando* demoralizujące dziecko — kto pójdzie
pod sąd?). „Zgwałcona" Nadia — w szóstym miesiącu ciąży — milczała
0 całej sprawie, ale gdy wujcio Wasiura poprosił, zeznała jak należy. Na
rozprawie zjawiają się nauczyciele z naszej szkoły — ale nie zostają wpusz
czeni na salę. Dzięki temu jednak są świadkami lekcji, jakich w korytarzu
sądowym udzielają rodzice swoim dzieciom, które za chwilę mają występo
wać w roli świadków! Nauczyciele składają list zbiorowy na ręce sądu, ale
ma to tylko ten skutek, że wzywają ich teraz pojedynczo do rejkomu partii
1 grożą wyrzuceniem z pracy *za brak zaufania do sowieckiego sądu* (a jakże
inaczej? Podobne protesty należy przecinać w samym zarodku! Bo cóż to
za życie dla naszego wymiaru sprawiedliwości, jeżeli opinia społeczna
ośmieli się wyrażać swoje zdanie o nim). Tymczasem — zapada wyrok: 12
lat surowego reżymu. I to wszystko. A kto zna stosunki prowincjonalne
ten wie, czy można tu wierzgać? Nie można. Jesteśmy bezsilni. Bo nas też
wyrzucą z pracy. Niech tam niewinny ginie. Sąd ma zawsze rację i rejkom
zawsze ma rację (i łączy ich kabel telefoniczny).

I na tym by się skończyło. Bo właśnie na tym zwykle się kończy.

Ale zbieg okoliczności sprawił, że właśnie w tym okresie pojawia się w druku moja opowieść o dawno minionych, nieprawdopodobnych przygodach Iwana Denisowicza — i rejkom przestaje być dla mnie groźbą; wtrącam swoje trzy grosze, piszę zażalenie do Sądu Najwyższego Republiki, a co najważniejsze — włączam do sprawy korespondentkę „Izwiestii" O. Czajkowską. I zaczyna się wałka, która trwać ma *trzy lata*.

Tępe i głuche Ciało Orzekające, owa ciężka machina śledczosądowa, na tym się tylko trzyma, że jest nieomylna. Ta machina stąd czerpie swoją siłę i pewność siebie, że nigdy nie rewiduje swoich decyzji, że każdy podsędek może ciąć na prawo i na lewo — i nic; nikt go nie skoryguje. Istnieje w tym

**[10] „Izwiestia" z dnia 18 września 1964.**



celu cicha zmowa: każde zażalenie, choćby adresowane było do nie wiedzieć jakich superurzędów, zawsze odsyłane jest stamtąd do rozpatrzenia na ręce tej właśnie instancji, na której działalność petent się skarży. I niech nikt nie śmie wytknąć komuś z pracowników sądownictwa (prokuratury, organów śledczych, itp.), że popełnił nadużycie, dał się ponieść nerwom, załatwiał osobiste porachunki, albo omylił się, czy postąpił niezgodnie z przepisami — bo zawsze go wybronimy! staniemy przy nim murem! Właśnie po to jesteśmy Prawem.

Jak to możliwe — żeby rozpocząć śledztwo, a potem nie sformułować oskarżenia?! Więc cała robota śledczego była zbędna? Jak to możliwe — żeby sąd wszczynał proces — i żeby nie zapadł wyrok skazujący?! To by znaczyło, że śledczy daremnie się trudził a sąd słomę młócił? Jak to możliwe — żeby sąd okręgowy rozpatrywał ponownie werdykt niższej instancji?! — przecież to oznacza zwiększenie odsetka braków produkcyjnych — i to we własnym okręgu! I wreszcie — po co robić przykrości kolegom z własnego resortu? A zatem — *śledztwo raz zaczęte* — powiedzmy, na podstawie donosu, musi koniecznie zakończyć się *wyrokiem skazującym*, od którego *nie może być odwołania*. A skoro tak — to już mur-beton: jeden drugiemu nie może robić kawałów. To samo dotyczy rejkomu partii: rób, co ci mówią. Za to oni też nie zostawią cię na lodzie.

Nowoczesna procedura sądowa ma jeszcze jedną ważną cechę. Nie żaden magnetofon ani stenotypista, tylko nierychliwa sekretarka z szybkością zeszło wiecznej pensjonarki pisze coś na arkuszach protokołów. Otóż protokół ten nie jest odczytywany na sesji sądowej i nikt nie ma prawa zajrzeć doń, dopóki nie przeczyta go i nie zatwierdzi sędzia. I tylko to, co zatwierdzi — jest treścią rozprawy, miało na niej miejsce. A to, co słyszeliśmy na własne uszy — jest tylko dymem, wcale tego nie było!

Wcielona Prawda, pokryta czarnym lakierem stoi cały czas przed oczyma duszy naszego sędziego: to aparat telefoniczny w sali narad. Ta wyrocznia nie wystawi cię na sztych, ale musisz postępować zgodnie z jej orzeczeniami.

My jednak zdołaliśmy doprowadzić do apelacji; wypadek całkiem niebywały. Minęły 2 lata, nieszczęsne dzieci podrosły, chcą uwolnić się od brudu fałszywych zeznań, zapomnieć o nich — ale gdzie tam, znów musztrują je rodzice i nowy śledczy: masz mówić tak a tak, bo inaczej mamusia będzie miała kłopoty: jeżeli wujcio Misza nie zostanie skazany, to mamusia pójdzie pod sąd.

I oto siedzimy w sali rozpraw riazańskiego sądu okręgowego. Obrońca wyzuty jest z wszelkich praw, jak to zawsze. Sędzia może oddalić każdy

502

jego protest i decyzja ta nie podlega żadnej kontroli. Znów są na tapecie zeznania zawistnych sąsiadów. Znów to niegodziwe wykorzystywanie zeznań małoletnich (porównajcie tylko ze sprawą Bazbeja). Sąd nie pyta: „Powiedz jak to było?", nie prosi: „Powiedz całą prawdę", tylko żąda: „Powtórz to, co mówiłaś podczas śledztwa!". Świadków obrony starają się zbić z tropu i zastraszyć pogróżkami: „Przecież podczas śledztwa mówiliście co innego... Jakim prawem odwołujecie tamte zeznania?!".

Sędzia Awdiejewa tłamsi swoich ławników jak lwica parę jagniąt. *(A propos* — gdzież ci siwobrodzi, czcigodni sędziowie? Pełno teraz przebiegłych i szczwanych bab na stanowiskach sędziów). Ma na głowie grzywę, mówi męskim tonem, głos jej wibruje metalicznie i drży, gdy sama się upaja wzniosłością własnych formuł. Skoro tylko rozprawa przybiera obrót niezamierzony — Awdiejewa wpada w gniew, *bije ogonem*, pąsowieje, odbiera głos niepożądanym świadkom, próbuje zbić z pantałyku składających zeznania nauczycieli: „Więc ośmielacie się wątpić w rzetelność sowieckiego sądu?". „Jak mogło warn przyjść do głowy, że ktoś instruował dzieci? Widocznie sami uczycie dzieci kłamstwa?", „A kto właściwie był inicjatorem listu zbiorowego do wyższej instancji?". (W kraju socjalizmu niedopuszczalna jest sama idea akcji zbiorowych, kolektywnych działań! — kto? kto? kto?). Prokurator nie ma żadnego pola do popisu przy takim agresywnym sędzi.

Podczas przewodu sądowego wszystkie zarzuty rozsypały się w proch: Wowa nie mógł nic zobaczyć przez okno, Ola cofa wszystkie poprzednie zeznania, nikt jej nie chciał „zdeprawować"; przez cały ten okres, w którym przestępstwo mogło być popełnione, w jedynym pokoju Potapowów leżała w łóżku chora żona nauczyciela, mąż nie gwałcił chyba w jej obecności sąsiadki-Cyganki; i Cyganeczka ta już przedtem coś ukradła; i w domu też nie nocowała, włóczyła się pod wszystkimi płotami już od dawna, nie bacząc na swoje 14 lat; — ale nie mógł przecież mylić się sowiecki śledczy!, nie mógł popełnić omyłki sowiecki sąd! Wyrok — 10 lat! Niech tryumfują sowieccy juryści! Niech śledztwo toczy się dalej tym samym torem! Znęcajcie się nad ludźmi bez żadnych obaw i skrupułów!

A działo się to w obecności korespondenta „Izwiestii"! I po interwencji Sądu Najwyższego RSFSR! A co z takimi podsądnymi, za którymi nikt się nie wstawił?

Rok bez mała ciągną się jeszcze kazuistyczne utarczki i wreszcie Sąd Najwyższy orzeka, że: Potapow jest absolutnie niewinny, ma być zrehabilitowany i wypuszczony

na wolność! (Trzy lata już odsiedział...). No, a co z tymi, którzy deprawowali dzieci, ucząc je fałszywych zeznań? A nic, nie udało się im, to wszystko. A czy jedna chociaż plamka została na lwiej

503

piersi Awdiejewej? A skądże — dalej jest ogólnie szanowaną rzeczniczką ludowej sprawiedliwości! A co zrobiono ze stalinowskim hyclem Wasiurą? Spokojna głowa, jest dalej na tym samym stanowisku — nikt mu pazurów nie obciął.

Niech żyje i rozkwita nasz aparat wymiaru sprawiedliwości! Nie on dla nas, lecz to my istniejemy dla niego, jego potrzebom służymy! Niechaj sprawiedliwość ściele mu się pod nogi, jak puszysty dywan! Grunt, aby to jemu było dobrze!

Dawno już wykazano, że na drodze do społeczeństwa bezklasowego również proces sądowy stanie się zjawiskiem bezkonfliktowym (w czym znajdzie wyraz wewnętrzna bezkonfliktowość systemu społecznego): będzie to proces, w którym cały skład sądu, prokurator, obrona i nawet sam oskarżony wspólnymi siłami dążyć będą do wspólnego celu.

Ta wypróbowana stałość zasad, cechująca nasz wymiar sprawiedliwości, ogromnie ułatwia milicji życie i pracę: pozwala bez żadnego kłopotu stosować w praktyce chwyt, noszący nazwę „przyczepy" albo „wspólnego worka". Chodzi o to, że na skutek niedbalstwa, niedopatrzenia, niechlujstwa miejscowej milicji jeden, drugi, czy trzeci sprawca przestępstwa nie zostaje wykryty i schwytany. Ale sprawozdawczość ma swoje wymagania; wszystkie zbrodnie muszą być wykryte. Trzeba więc czekać na odpowiednią okazję. Wreszcie doprowadzony zostaje na komisariat jakiś facet zahukany, nierozgarnięty, podatny na perswazję. Na niego to więc zwala się wszystkie nie wykryte do końca przestępstwa. To on je popełnił w trakcie bieżącego roku sprawozdawczego — oto ów nieuchwytny zbrodzień! Pięścią i głodem zmusza się go potem, by do wszystkich tych zbrodni się p r z y z n a ł i podpisał protokół dochodzenia. Potem wlepia mu się duży wyrok za wszystko razem — i rejon znów jest czysty jak łza.

W miejscowości Artasztat pod Erewaniem ktoś kogoś zabił. W 1953 roku złapano faceta, który się nawinął, obstawiono go fałszywymi świadkami, bito i wlepiono w końcu 25 lat. A w 1962 znalazł się prawdziwy morderca...

Życie społeczne nabiera zdrowych rumieńców dzięki temu, że wszelki grzech zostaje ukarany. A funcjonariusze milicji inkasują premie.

Wywabić ze swojego rewiru takie plamy można również na odwyrtkę: postarać się, żeby w ogóle nie było mowy o żadnym przestępstwie. Stary eks-zek, Iwan Jemielianowicz Bryksin, 69-letni, który dawno już odbębnił swoją dychę (był moim kolegą w szarażce Marfino), w lipcu 1978 roku został straszliwie pobity i ograbiony przez dwóch młodych chuliganów. Było to wieczorem, gdy mało kto chodzi po ulicach, w letniskowej miejscowości Turist. Dwie godziny Iwan leży na przystanku autobusowym, nikt się do niego nie kwapi. W końcu przywożą go do najbliższego szpitala w miasteczku Diedieniewo. Lekarka — internistka, Sawieliewa, nie okazuje

504
mu żadnej pomocy i nie odsyła go do szpitala urazowego. Chociaż Bryksin wymienia swoje nazwisko, imię, wiek — lekarka nie zawiadamia o niczym ani kolegów lekarzy, ani nawet milicji. Trzy doby ofiara napadu z hemato-mą, wylewem krwi w mózgu, wybitymi zębami, zalanymi krwią oczami, leży tak, nie tylko bez pomocy lekarskiej, ale nawet bez opieki pielęgniarskiej (siostrzyczka się urżnęła), na kawałku ceraty, po pachy w moczu. Przez te trzy doby jego krewni szukają go w popłochu wszędzie, w tejże osadzie, w miejscowościach wzdłuż szosy — ale przecież lekarka nic nikomu nie mówiła. Wreszcie znajdują go i własnym wysiłkiem (szpital dalej nic nie robił) sprowadzają z Moskwy ambulans reanimacyjny, który zawozi chorego do neurochirurga. Specjalista robi trepanację, ale nic już nie może poradzić na wylewy wewnętrzne. Po dziewięciodniowych męczarniach chory umiera.

Miejscowa milicja z Ikszy otrzymała wyniki ekspertyzy sądowo-lekarskiej, ale wcale nie spieszy się ze wszczęciem śledztwa i ani myśli oglądać w szpitalu odzieży zabitego, wcale na niej śladów nie szuka. Chodzi o to, że zabójców w Diedieniewie wszyscy dobrze znają i — wszyscy ich się boją. Pani doktor Sawieliewa, wciąż ta sama, pomaga prowadzącej dochodzenie tow. Gierasi-mowej (w trakcie przesłuchania żony zabitego grzmiała w jej gabinecie muzyka estradowa) dojść w trzecim miesiącu śledztwa do takiego wniosku: Bryksin miał udar mózgowy, upadł i stąd ślady obrażeń. W ten sposób nie trzeba nikogo aresztować, zbrodnia nie miała miejsca i powiat ma czystą kartę.

Pokój twojej duszy, Iwanie!

Społeczeństwu jeszcze więcej zdrowia przybyło, a wymiar sprawiedliwości jeszcze bardziej okrzepł, gdy rzucone zostało hasło ścigania, sądzenia i wysiedlania *pasożytów*. Również ten dekret zastąpił w pewnym stopniu nieodżałowany, a tak elastyczny artykuł 58-10; zarzut pasożytnictwa także okazał się wystarczająco śliski i niekonkretny, a zarazem — nie do odparcia. (Udało się przecież zastosować go do poety J. Brodskiego!).

Sens słóweczka — *pasożyt* — został bardzo zręcznie przekręcony zaraz na wstępie. Pasożyci co się zowie — świetnie wynagradzane nieroby — zasiedli na sędziowskich albo administracyjnych fotelach i zaczęli bombardować wyrokami biednych chałupników i majsterklepków kołaczących się jeszcze po dniu roboczym w pogoni za dodatkowym zarobkiem. Z jakąż nienawiścią — typową nienawiścią sytych do głodnych! — rzucili się na tych „obiboków"! Dwóch pismaków o miedzianych czołach, dwóch dziennikarzy z organu Adżubeja" napisało bez cienia wstydu: pasożytów wysiedla się do miejscowości leżących zbyt blisko stolicy!, pozwala im się na otrzymywanie paczek i przekazów pieniężnych od krewnych!, traktuje się

**[11] „Izwiestia" z dnia 23 czerwca 1964.**

505
ich nie dość surowo!, „nie każe im się pracować od świtu do nocy!" — dosłownie tak

— *od świtu do nocy!* A cóż to za świt komunizmu, a cóż to za konstytucja nam przyświeca, że taka pańszczyzna jest ludziom narzucana?

Pominęliśmy tu kilka ważnych *potoków,* które stale zasilają odmęty Archipelagu, podczas gdy nigdy nie wysycha jezioro wewnętrzne urzędowego złodziejstwa.

A przecież całkiem nie bez celu krążą po ulicach, przesiadują w swoich sztabach i wybijają zęby zatrzymanym członkowie „ludowych drużyn", ci — koncesjonowani przez milicję — grasanci albo szturmowcy, nie wymienieni w konstytucji i nieodpowiedzialni wobec prawa.

Na Archipelag przybywają nowe kontyngenty. 1 chociaż społeczeństwo nasze od dawna już jest bezklasowe, a łuna komunizmu już na pół nieba płonie, ale zdołaliśmy się jakoś przyzwyczaić, że przestępczość nie zanika, nie maleje — i że już nam tego nawet nikt nie obiecuje. To prawda, w latach trzydziestych słyszeliśmy zapewnienia: trochę cierpliwości, jeszcze tylko kilka lat! A teraz nawet obietnic nie słychać.

Prawo nasze jest tak wszechmocne i giętkie, że aż niepodobne do niczego, co na świecie nosi miano prawa.

Ograniczeni Rzymianie wymyślili formułkę: „prawo nie działa wstecz". A u nas — działa! Stare, reakcyjne przysłowie głosi: „Prawo nie chodzi rakiem". A u nas — chodzi! Jeśli wyszła nowa Ustawa, a Prawo świerzbi ręka, aby zastosować ją do tych, co już dawno w kozie siedzą — to dlaczego nie, prosimy bardzo! Tak się stało z waluciarzami i łapownikami: posłano z terenu (np. z Kijowa) ich spisy do Moskwy z prośbą, by zaznaczyć na liście do kogo z wymienionych zastosować wolno ustawę *a posteriori* (tzn. zwiększyć *szpulę* albo zamienić na *dziewięć gramów).* I stosowano ją.

Ponadto nasze prawo bywa *jasnowidzące.* Można by sądzić, że przed rozprawą sądową nie wiadomo — jaki będzie przebieg procesu i jaki zapadnie wyrok. A tu raptem czasopismo „Socjalisticzeskaja Zakonnost'" napisze ci o tym wszystkim *zanim* jeszcze proces się zaczął. Jak im się to udało? Spróbuj zapytać[12]...

**[12] „Socjalisticzeskaja Zakonnost" (Organ Prokuratury ZSSR), styczeń 1962, Nr 1. Podpisano do druku 27.12.1961. Na str. 73-74 opublikowany jest artykuł Grigoriewa (Gruzda) — „Faszystowscy oprawcy". Zawiera on sprawozdanie z procesu estońskich przestępców wojennych, który odbył się w mieście Tartu (Dorpat). Korespondent opisuje zeznania świadków; dowody rzeczowe leżące na stole sędziowskim; przesłuchanie podsądnego („ ...cynicznie odparł morderca"); reakcje publiczności; przemówienie oskarżyciela. Kończy wiadomością o wyroku śmierci. I wszystko rzeczywiście tak się odbyło — ale dopiero 16 stycznia 1962 roku. (p. „Prawda" z 17.1.1962), gdy czasopismo już dawno było wydrukowane. (Proces został przesunięty, ale pisma o tym nie uprzedzono. Reporter oberwał rok pracy przymusowej).**

506

A jeszcze na dodatek nasze Prawo nie chce nie wiedzieć o grzechu fałszywego świadectwa — w ogóle go za przestępstwo nie uważa! *Legiony* fałszywych świadków żyją sobie pomyślnie w naszym środowisku, kroczą

spokojnie ku czcigodnej starości, grzeją się w cieple złotej jesieni swego żywota..W całym świecie i na całej przestrzeni dziejów — jedynie nasza ojczyzna tak hołubi swoich fałszywych świadków!

A do tego wszystkiego — nasze Prawo nie przewiduje żadnej kary dla *sędziów-morderców* i *prokuT-dtoiów-morderców.* Wciąż zajmują oni swoje poczesne stanowiska, zajmują je od dawna i długo jeszcze zajmować będą, aby oddać się później szlachetnym uciechom starości.

A wreszcie — nie sposób odmówić Prawu skłonności do twórczych wahań i natchnionych porywów. To raptem w jedną stronę się rzuci: żeby mi w ciągu roku przestępczość spadła! mniej aresztów! mniej procesów! skazanych nie więzić, brać *na porękę!* To znów — na odwyrtkę: Za dużo tych złodziei! Dosyć zabawy w „poręczenia"! Ostrzejsze rygory! Surowsze wyroki! Kara śmierci!

Nie bacząc na wszystkie burze, korab naszego Prawa płynie majestatycznie i szparko. Sędziowie i Prokuratorzy Generalni — mają doświadczenie i te wahania ich nie dziwią. Będą zwoływać swoje Sesje Plenarne, roześlą swoje Instrukcje — i w rezultacie każdy nowy, niesamowity kurs zaprezentowany będzie podwładnym jako rzecz od dawna oczekiwana, jako konsekwencja rozwoju historycznego i naturalny wniosek z Jedynej Słusznej Teorii.

Korab naszego Prawa gotów jest stawić czoła każdej nawałnicy. I jeżeli jutro znów rozkażą uwięzić miliony ludzi za nieprzepisowe poglądy albo wywieźć na zesłanie całe narody (te same albo inne jeszcze) czy buntownicze miasta, albo znów nakładać na ludzi cztery numerowane łaty — potężny kadłub Prawa nawet nie drgnie, a kil tak samo będzie pruł fale.

Cóż więc zostaje? Chyba tylko pogłos owych słów Dzierżawina, które zapaść mogą w samo serce jedynie temu, kto rzecz zna z własnego doświadczenia:

*Gorszy niż rozbój jest sąd stronny Gdzie prawo śpi —*
*tam kąty sędzię...*

Otóż nic się tu nie zmieniło. Pod tym względem wszystko toczy się tym samym trybem, co za Stalina, jak toczyło się przez wszystkie lata w tej książce opisane. Wiele wydano przez ten czas Ustaw, Dekretów, Praw — i sprzecznych wzajemnie, i pięknie współbrzmiących — ale kraj nie wedle nich żyje, nie na ich podstawie aresztuje się i sądzi ludzi, nie one są bazą ekspertyz i orzeczeń. Jedynie w tych nielicznych (15%?) wypadkach gdy wykroczenie, będące przedmiotem dochodzeń i przewodu sądowego,

507

nie koliduje w żaden sposób z interesami państwa i panującej ideologii ani z prywatnym interesem lub spokojem jakiegoś dygnitarza, otóż wtedy pracownicy aparatu sprawiedliwości mogą pozwolić sobie na ten zbytek, by nigdzie nie telefonować, od nikogo nie pobierać *wskazówek,* tylko *sądzić*

- zgodnie z meritum sprawy i rzetelnie. We wszystkich zaś pozostałych

wypadkach, to znaczy w ogromnej ich większości — wszystko jedno, czy chodzi o sprawy karne, czy cywilne — *muszą* wszak wchodzić w grę ważne

interesy przewodniczącego kołchozu, czy rady wiejskiej, kierownika od działu w fabryce, jej dyrektora, szefa urzędu kwaterunkowego, dzielnico wego, pełnomocnika bezpieczeństwa, albo komendanta milicji, lekarza na czelnego, głównego księgowego, dyrektorów zarządów i urzędów, kierown- ników specwydziałów i działów osobowych, sekretarzy komitetów rejono wych i obwodowych partii i wyżej, wyżej! — a we wszystkich tych wypad kach dzwoni telefon w cichym gabinecie — a z innych, podobnych gabinetów dochodzą przez druty spokojne głowy, które bez pośpiechu, życzliwym tonem *doradzają,* wskazują, sugerują — j a k mianowicie roz strzygnąć należy sprawę sądową małego człowieczka, nad głową którego krzyżują się nie znane mu, niezrozumiałe zamierzenia istot stojących na niedosiężnych dlań szczytach. I oto ufny czytelnik gazet, mały człowiek, przekracza z bijącym sercem próg sali sądowej, z przekonaniem że słusz ność jest po jego stronie, ze wszystkimi argumentami w zanadrzu • i z przejęciem je wysypuje przed senne oczy sędziów, nie wiedząc wcale, że wyrok już zapadł i że *nie ma odwołania,* że nie ma ani czasu, ani sposobu, by zmienić złowrogi, tendencyjny werdykt, który przepali mu pierś węglem krzywdy.

Rozdział ten nosi tytuł — „Prawo dnia dzisiejszego". A trzeba by zatytułować go: Prawa n i e ma.

Jest tylko — mur. I spoiwem cegieł tego muru jest kłamstwo.

Wciąż ta sama przewrotna skrytość, ta sama mglista zawiesina niesprawiedliwości rozproszona jest w naszym powietrzu, osnuwa nasze miasta oparem gęstszym, niż dym z kominów fabrycznych.

Już drugie półwiecze sterczy wyniośle ogrom naszego państwa, ściągnięty stalowymi obręczami i oto obręcze — są, a prawa — nie ma.

*Koniec części siódmej*

POSŁOWIE

Nie sam powinienem był tę książkę pisać; trzeba było rozdać poszczególne

rozdziały ludziom doświadczonym, a później, na radzie redakcyjnej, poprawiać wszystko, wzajemnie sobie pomagając.

Ale nie przyszedł jeszcze po temu czas. I ci, którym poszczególne rozdziały proponowałem — nie chcieli się tego podjąć, woląc ograniczyć się do relacji ustnej czy pisemnej, którą dawali mi do dyspozycji. Prosiłem Warłama Szałamowa, abyśmy tę książkę pisali razem — ale też się wymówił.

A potrzebne tu było całe biuro. A także apele w gazetach, przez radio („odezwijcie się ludzie!"), cała korespondencja —jak to było z obrońcami twierdzy brzeskiej, gdy zbierano materiały o jej oblężeniu.

Nie dość, że nie mogłem zdobyć się na taki rozmach — ale cały swój zamysł, a także listy i materiały musiałem ukrywać, dzielić na cząstki i robić to wszystko w głębokiej tajemnicy. A nawet udawać, że czas, który spędzałem nad tą robotą — w istocie poświęcony był innym zajęciom.

Ileż to razy zaczynałem pisać tę książkę, ile razy przerywałem robotę! Nie mogłem dać sobie rady z dręczącą wątpliwością: czy to dobrze, że ja sam taką rzecz piszę? I czy podołam? Ale gdy — niezależnie od zebranych już materiałów — sypać się na mnie zaczęły jeszcze listy więźniów z całego kraju — zrozumiałem, że skoro to wszystko właśnie mnie powierzono — to widać muszę.

Trzeba wyjaśnić, że *ani razu* cała ta książka — to znaczy wszystkie jej części razem — nie leżała na jednym stole. Gdy praca nad „Archipelagiem" była właśnie w pełnym toku, we wrześniu 1965 roku — archiwum moje

509

zostało rozgromione, a powieść, którą też wtedy pisałem — zatrzymana. Wówczas to napisane już części „Archipelagu" i materiały do innych części rozleciały się w różne strony i nigdy więcej nie znalazły się już razem: „bałem się ryzyka, zwłaszcza, że pełno tam było imion i nazwisk. Wciąż notowałem sobie — gdzie trzeba jeszcze coś sprawdzić, gdzie zaś

—skreślić; objuczony tymi notkami jeździłem z jednego miejsca na drugie.

Co począć, książki nasze są nie wykończone, pisane kurczowo — to właśnie jest wyróżnikiem naszej prześladowanej literatury. Również tę ksią żkę musicie przyjąć w szkicowym kształcie.

Nie dlatego postawiłem kropkę, bym uważał tę pracę za zakończoną, lecz dlatego, że nie zostało mi już na nią niezbędnych lat życia.

Nie tylko więc proszę o wyrozumiałość, lecz pragnę krzyknąć: gdy nadejdzie wreszcie czas po temu, gdy stanie się to już możliwe — zbierzcie się, ocaleli przyjaciele, znawcy przedmiotu — i napiszcie komentarz do tej książki; poprawcie, co należy, dodajcie to, czego w niej brak (tylko nie szafujcie zbytnio materiałem, nie trzeba powtórzeń). Wtedy dopiero stworzycie ostateczną wersję tej książki — i niech warn Bóg w tym pomoże.

Sam wyjść nie mogę z podziwu, że nawet rzecz tak niedoskonałą zdołałem jakoś doprowadzić do końca; wiele razy już byłem pewien, że mi w tym przeszkodzą, że nie dadzą.

Kończę ją w roku niezwykłym, roku podwójnego jubileuszu (a nadto — oba jubileusze coś łączy): 50-lecia rewolucji, której dziełem jest Archipelag — i 100-lecia wynalazku drutu kolczastego (1867).

Druga z tych rocznic nie doczeka się obchodów, ani chybi...

27.IV.58-22.I1.67 Riazań — Kryjówka.

I JESZCZE PO ROKU

Bardzo mnie wtedy piliła, bom się obawiał, że po wybuchu sprawy mego listu do Zjazdu Pisarzy — jeśli nawet nie spotka mnie zguba, to na pewno utracę możność pisania i dostęp do moich manuskryptów. Ale historia z listem taki wzięła obrót, że nie tylko nie capnięto mnie, ale umocniłem się tak, jakbym na granicie stanął. Wtedy to zrozumiałem, że moim obowiązkiem jest tekst ten uzupełnić i poprawić.

Mogło ją wreszcie przeczytać kilku wybranych przyjaciół. Dzięki nim zdałem sobie sprawę z ważnych błędów i braków. Nie ośmielałem się poddać jej próbie szerszej lektury, a jeśli kiedy przyjdzie na to czas — dla mnie już będzie za późno.

W ciągu tego roku zrobiłem co mogłem, wprowadziłem sporo poprawek. Niechże jednak nikt nie zarzuca mi, że książka jest niekompletna: nie sposób wyobrazić sobie wszystkich m o ż l i w y c h uzupełnień i każdy, kto z tematem miał cokolwiek do czynienia, albo rozmyślał o tych dziejach, zawsze mógłby coś dodać, nieraz perłę. Ale istnieją prawa objętości. Objętość tej książki i tak już przekracza miarę; spróbuj dodać nawet garstkę najlepszego ziarna — a kiełki całą skałę rozsadzą.

A że nieraz wyrażałem się nietrafnie, że powtarzałem się, albo że luźnym szwem łączyłem fragmenty tej kroniki — za to proszę o przebaczenie. Przecież aż do końca nie zdarzyło mi się przeżyć spokojnie nawet roku, a w ciągu ostatnich miesięcy znów paliła się ziemia — i mój stół. 1 nawet w trakcie tej ostatniej roboty redakcyjnej *nigdy* nie widziałem całej tej książki naraz, nie miałem jej przed sobą na jednym biurku.

Wciąż jeszcze nie nadszedł czas, abym powierzyć mógł papierowi pełny

511

wykaz przyjaciół, bez których tej książki nie sposób było napisać, przerobić, przechować. Wiedzą to oni sami. Nisko im się kłaniam.

*Rożdiestwo - na - Istie* maj 1968.

I JESZCZE D Z I E S I Ę Ć LAT PÓŹNIEJ

Dziś, na wygnaniu, mogłem w końcu zająć się w spokoju uzupełnieniami do tej książki, choć tam i poniewczasie, bo przecież już świat ją poznał. Jeszcze ze 20 nowych świadków, byłych zeków, zechciało poprawić, czy wzbogacić to, com napisał.

Tu, na Zachodzie, miałem też nieporównanie większe możliwości korzystania z

drukowanych już publikacji i nowych ilustracji. Ale ta książka wzdraga się przed wchłonięciem w siebie tego wszystkiego. Poczęta w mrokach ZSSR, powstała z naporu i błysków pamięci zeków, powinna trzymać się tego podłoża, na którym wyrosła.

1979, Vermont.

513